PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SIÓDMY. — TOM CVI.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1910.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1910.

ZWYRODNIENIE MŁODZIEŻY I ŚRODKI ZARADCZE.

Rzecz przedstawiona na podstawie spostrzeżeń i doświadczeń radcy opiekuńczego.

I.

Wszyscy wiemy doskonale, czem się zwyrodnienie objawia, nie wszyscy atoli zdają sobie może sprawę, skąd się ono bierze i jakie składają się na to powody — czy słuszne, niech łaskawi słuchacze osądzą.

Powody są różne, że przytoczymy tu tylko te najogólniejsze, które nie tylko gdzieindziej, ale i dla naszych stosunków są najcharakterystyczniejsze. Są one dwojakiej natury; na jedne składają się stosunki materyalne, w jakich niższe warstwy ludności, zmuszone są życie pędzić, lub często z własnej winy rzeczywiście pędzą — inne zaś pochodzą niestety z bardzo nizkiego kulturalnego poziomu szerokich warstw ogółu społeczeństwa.

Co się tyczy stosunków materyalnych, podnieść należy, że w niższych warstwach społecznych najwięcej jest rodzin, w których ojciec i matka muszą poza domem oddawać się pracy zarobkowej, a przeto ich dzieci całymi dniami pozostawione są same sobie. Wprawdzie nieraz matka zmuszona jest tylko zaniedbywać swe obowiązki — oddając się zarobkowej pracy — gdyż ojciec zarabiając dużo, woli pieniądze zmarnować na grę lub trunki, co najwyżej opłacając tylko czynsz za mieszkanie.

Nie tylko tak zwany Blau-Montag jest ulubionym dniem

wolnym od pracy w rozmiarach przerażających, — utrudniona co do tego statystyka choć parcyalna, bo podawana w pismach socyalistycznych jak *Il Laboratore*, podaje liczby oddających się temu kultowi robotników soc. 30 do 50%, — ale i tygodnie nieraz, któreby nazwać można Blaue Wochen, po prostu zmarnowane, podczas gdy żona i dzieci marnieć muszą z nędzy — upicie się należy bowiem niestety zawsze do rzędu ludowych przyjemności. To jest pierwszy widomy znak niekulturalności, a dalej idą przyczyny natury moralnej.

Na pierwszy rzut oka przeciętny mieszkaniec miast nie wydaje się być pozbawionym uczuć, ale uczucia te są raczej natury powierzchownej. Litość i uczucie dobroczynne, miłość bliźniego, rozwija się najczęściej jako romantyzm albo próżność, pierwsze da się stosować do uboższych, drugie do klas zamożniejszych.

Tysiące dzieci corocznie z końcem roku szkolnego nie jest klasyfikowanych, gdyż nie uczęszczało regularnie do szkoły, a pewno i tysiąc znalazłoby się takich, które wcale w szkole nie były bez podania słusznego powodu. Władze szkolne wprawdzie zwracają na to uwagę, ale rodzice najczęściej wcale się o to nie troszczą. Między rodzicami, którym znowu na tem zależy, szczególne istnieje pod tym względem zapatrywanie, mianowicie, że tak zwany przymus szkolny właściwie nie jest żadnym z ich strony obowiązkiem, ale raczej obowiązkiem społeczeństwa, umożliwienie rodzicom wykonywanie tego przymusu.

Słyszy się przeto żądanie, ażeby dzieci, uczęszczające do szkoły na koszt gminy były zaopatrywane w odzież, obuwie, książki i Bóg wie co nie jeszcze, coby więc przeto, czy ze strony gminy, czy to prywatnej instytucyi w tym kierunku nie uczyniono dobrego, zawsze przez takich rodziców poczytywanem jest za rzecz małą.

Natomiast nie żal im i nie trudno o pieniądze, by dzieciom choćby i małym dać możność zabawienia się z rodzicami po szynkowniach, od małego przyzwyczajać je do używania trunków, samemu przytem upić się i w oczach swych własnych dzieci miotać przekleństwa; widok, który nieraz za serce ściska!

O moralności, wstydzie, najczęściej niema mowy — słyszy

się często kobiety, dające dzieciom własnym najbezwstydniejsze przezwiska, a kiedy dla tych młodych istot obojga płci, życie już żadnych nie kryje tajemnic, w stosunkach najpoufalszych widzi się je obcujące z kobietami najgorszego prowadzenia.

Doliczyć do tego obrazu trzeba jeszcze i tę plagę ludzkości, jaką jest życie w konkubinatach, — z przyczyny niezawartych małżeństw i to bez żadnego powiedzmy powodu — jako jedno więcej z głównych źródeł nędzy i zaniedbania moralnego u dzieci, czemu na szczęście do pewnego stopnia u nas przynajmniej zapobiegać się stara Tow św. Wincentego à Paulo, tak w swojej działalności zbawienne.

Opuszczenie i pozostawienie samym sobie dzieci przez rodziców, ma zresztą i te złe skutki jeszcze, że dzieci takie, same wchodzą w towarzystwo najczęściej ludzi zepsutych, oddających się różnym nałogom i występkom, a którzy w większych zwłaszcza miastach, dla utrudnionej kontroli, łatwiej ukrywać się mogą, aniżeli to ma miejsce gdzieindziej. Skutki tego są zaś takie, że przy braku jakiegokolwiek hamulca i w chęci prawie zawsze zaspokojenia chwilowej materyalnej potrzeby, dzieci takie sposobem myślenia i zachowania się wkrótce wyrastają na dzikie, a nierzadko i niebezpieczne indywidua dla społeczeństwa. Tem się tylko daje tłumaczyć ten przyrost karygodnych przestępstw, zwłaszcza kradzieży u małoletnich, które zazwyczaj rozpoczynają się od małego, a doprowadzone zostają do kunsztu.

Trafiają się i tacy wreszcie rodzice, którzy całymi miesiącami nie troszczą się wcale o własne dzieci, nie wiedzą nawet gdzie się one obracają, to »bezdomne dzieci« — a nie rzadkie są wypadki, że rodzice tacy zapytani przez sędziego opiekuńczego co się z ich dziećmi dzieje, odpowiadają wprost, że nic o nich wiedzieć nie chcą — żądają natomiast zapłaty za stawienie się w sądzie, tłumacząc, że na takie sprawy nie mają czasu, a natomiast nie pomijają żadnej sposobności, aby się oddawać pijatykom i bijatykom.

Tych i tym podobnych wypadków naliczyćby można nieskończenie wiele, jakich u nas chyba nie brak.

II.

Ażeby temu stanowi, jaki obecnie tu przytoczyłem, zapobiedz, a tem samem od złych skutków połowicznego działania uchronić się, oraz stworzyć zasady, celem osiągnięcia wydatnej pomocy tak ze strony państwa — kraju — gmin, oraz akcyi dobroczynnej prywatnej w kierunku ochrony dzieci przed skutkami zaniedbania, zepsucia, zwyrodnienia, pozostać musi najbliższem zadaniem kół decydujących, zgrupowanie wszystkich sił i dążeń na tem polu w jednolitą obejmującą cały kraj organizacyę. Odpowiednie zjednoczenie miarodajnych państwowych oraz autonomicznych władz, organów, związków osób prywatnych celem jednolitego działania, uważać należy jako rzecz nieodzowną, gdyż jedynie tylko te czynniki i to przez swoje zjednoczenie, odpowiedzieć mogą tak trudnemu zadaniu.

Odnośna organizacya dałaby się oprzeć na już istniejących tak państwowych jak i autonomicznych urządzeniach, przez przyłączenie do nich nowych związków, mających na celu ochronę dzieci w każdym pojedyńczym okręgu, czy to sądowym, czy autonomicznym, zarówno na wsi jak i w większych miastach; tym sposobem działalność tych związków rozciągałaby się równomiernie na kraj cały, a przez zainteresowanie całej ludności, znaczenie i wpływ ich, mógłby się stać donioślejszym, ich dobroczynna działalność stałaby się udziałem zarówno wszystkich dzieci i małoletnich, a wpływem dosięgałyby one tam, gdzie jeszcze tej socyalnej pracy w tym kierunku brak, lub gdzie ona słabe, jak dotychczas przynosić może korzyści.

Tu niewiele oddziałać jest w stanie wydatniejsza nawet opieka nad ubogimi, przez złagodzenie nędzy najbardziej nią dotkniętych; ochronę skuteczną w działaniu, przynieść może tylko systematyczna opieka nad dziećmi, które jej potrzebują bądź z powodu sieroctwa, materyalnej biedy — a wreszcie nieudolności rodziców w spełnianiu swych obowiązków, wskutek braku uświadomienia lub niedbalstwa.

Jeżeli z drugiej strony środki działania skuteczną oraz trwałą mają przynieść korzyść, to nieodzownem jest stworzenie

zakładów tak poprawczych jako też ochronnych, stosownie do wymagań nowoczesnych lub też wydatna pomoc materyalna dla już istniejących w kraju zakładów dobroczynnych, które tak wielostronne i zbawienne przynoszą korzyści, na polu opieki nad sierotami i zaniedbanemi dziećmi. Jeżeli instytucye prywatne działając na polu ochrony dzieci w swem zbawiennem i owocnem działaniu nie mają cierpieć na ciągły niedostatek funduszów i bądź to przez zmniejszanie się ofiar lub składek swych członków, stale w swej egzystencyi być zagrożonemi, to ani państwo, ani kraj, ani społeczeństwo samo nie powinno się cofać przed poniesieniem pewnych stałych rocznych wydatków, ażeby im przyjść z pomocą. Większa część z tych stowarzyszeń, zakładów, ma jeszcze i to do siebie, że liczba ich wspierających członków ograniczona jest do pewnej tylko miejscowości oraz najbliższego otoczenia a zjednywanie nowych ofiarodawców tem samem jest wielce utrudnione. Jeżeli przeglądamy nieraz listy członków niejednego z tych stowarzyszeń, najczęściej spotykać możemy jedne i te same nazwiska, a ubytek osób tych bądź to przez śmierć lub zmianę miejsca pobytu, obniża od razu dochód całego szeregu tych stowarzyszeń.

Ale i to nie wyczerpuje jeszcze dostatecznie kwestyi; ochrona ani opieka dzieckiem nie może być pełną ani skuteczną, jak długo szerokie warstwy społeczne nie wezmą w niej udziału, gdyż tylko tym sposobem można mieć zupełną świadomość o stanie złego, oraz o użyciu właściwych środków w odpowiedniem miejscu i czasie, jeżeli nikt od tej ofiary usuwać się nie będzie. Do tego potrzeba przedewszystkiem jest u nas uświadomienia, gdyż wszelkie wysiłki poniesione jedynie przez ludzi dobrej woli — jak dotychczas przynajmniej — nie są w stanie uczynić zadość licznym potrzebom, jakie właściwie są wywołane a po części powodowane tym brakiem najogólniejszych pojęć w szerokich masach ludności o konieczności ochrony i opieki nad dziećmi, wszelkich kategoryi, począwszy od niemowląt aż do wieku, kiedy zaniedbanie wychowania czyni z nich prostych przestępców. Dziś już niema wątpliwości pod tym względem, że zasądzenie lub ukaranie małoletniego przestępcy nie jest bynajmniej ostatniem słowem sprawiedliwości, ale i sądy same z własnego poczucia szukają dróg dzi-

siaj, by te wybryki nieraz młodego wieku nie były przekleństwem na całe jego późniejsze życie.

Państwo oraz władze autonomiczne nie są w stanie same spełnić wszystkich ciążących na nich zadań i obowiązków bez stałego współdziałania samego społeczeństwa, bez tej akcyi, wszystko inne pozostanie tylko ułamkiem.

Dlatego to zadanie społeczeństwa, jakie ono ma do spełnienia, jest ogromne, dlatego też odpowiedzialność jego wielka, dlatego każdy bez wyjątku, według sił swoich, pracować musi ażeby poprawa rozpoczętą została od podstaw.

Wszędzie już prawie zaczątki dane zostały, i niema prawie pola, na któremby w tym kierunku działania nie rozpoczęto, a przeto nierzadko wypadnie może tylko dalej rozpoczęte dzieło rozwijać — i na podstawie już istniejącej dźwigać je.

Niema podstawy do twierdzenia, że cyfry wykazujące u nas procent zaniedbanych dzieci, dają powód do troski, że przyjdzie nam ponieść większe wydatki, aniżeli nasze stosunki ekonomiczne na to pozwalają. Przeciwnie spodziewać się i oczekiwać można, że na podstawie poczynionych gdzieindziej doświadczeń w tym kierunku u nas bardziej liberalniej da się postąpić. Tak samo jak gdzieindziej i nam prawdopodobnie przyjdzie rozpoczynać od małego, ale to nie jest i nie może być powodem, byśmy raz nie mieli rozpocząć akcyi szerokiej na polu ochrony dzieci; jeżeli zaniedbanie ich wychowania jest już tak wielkie, jeżeli ochrona jest tak pilnie potrzebna dla ratowania od zepsucia i zwyrodnienia. Inicyatywa oraz akcya prywatna jest jakby powiedzieć niezależna, nie dająca się kierować żadną ustawą, a mimo całej swej wartości i pożytku w poszczególnych wypadkach, wskutek braku planowości i jednolitości z punktu widzenia potrzeb socyalnych, traci wiele swych sił oraz środków nadaremnie. Z drugiej strony potrzeby socyalne znowu są zbyt wielkie oraz zbyt pilne, ażeby społeczeństwo mogło nadal obojętnie patrzeć na to rozdrabnianie sił i środków.

Ze względów, że przy stosunkach panujących u nas, nie można oczekiwać szybko wydatnej pomocy ze skarbu publicznego czy to państwowego czy też krajowego, przeto właściwszem może byłoby ażeby społeczeństwo w drodze samopomocy postarało się

o wyszukanie i wydobycie środków potrzebnych do skutecznego zwalczania zwyrodnienia u dzieci i młodzieży pochodzącej z klasy ubogiej skutkiem zaniedbanego wychowania.

To właśnie winno być głównem zadaniem zamierzonej organizacyi, gdyż tylko zbiorowemi siłami musimy coś zdziałać oraz osiągnąć pomyślne wyniki w tym kierunku — w łączności tylko bowiem tkwi siła a rozbicie tych sił powoduje ich upadek.

Zorganizowana praca niewątpliwie potrafi wyszukać i wydobyć różne źródła dochodu, nie ograniczając się wyłącznie tylko jak dotychczas do składek członków poszczególnych stowarzyszeń, które również stanowić mogą potężną dźwignię — jeżeli całe społeczeństwo weźmie udział w organizacyi.

Wprawdzie ogół naszego społeczeństwa nie jest tak dalece zasobnym w środki materyalne, lecz nie jest znowu tak ubogim, by nie potrafił zdobyć się na ofiarę na rzecz dobra publicznego, gdy tego potrzeba wymaga. I nasze społeczeństwo poniosło ofiary nawet dość wydatne, dowodem tego choćby złożony dar grunwaldzki i wogóle imponujące dochody Tow. Szkoły ludowej — lecz to są wypadki sporadyczne, pochodzące z chwilowego podniecenia uczuć patryotycznych — nam atoli rozchodzi się o to, by tę gorączkę do ofiar przemienić na trwałe źródło dochodu i skierować je na cele filantropii dziecięcej.

To powinno być celem organizacyi naszej pracy ku ochronie dzieci niesionej. Lecz zadanie to nie ogranicza się tylko do strony materyalnej — zło pochodzące wskutek zaniedbania pracy wychowawczej nad ubogiemi sierotami i opuszczonemi dziećmi przybrało tak wielkie rozmiary, iż celem zwalczania go potrzeba skupić i wytężyć również siły moralne i intellektualne. Siły te niewątpliwie tkwią w naszem społeczeństwie, lecz trzeba je obudzić, bo są uśpione i skupić, bo są rozbite.

Organizacya powszechna nie może i nie powinna niweczyć ani przekształcać dotychczasowych nabytków na tem polu, lecz powinna być taką, ażeby każde stowarzyszenie zachowało i utrzymało swoją odrębną indywidualność. I to, naszem zdaniem, nie jest rzeczą niemożliwą — zważywszy, że organizacya powszechna będzie to związek krajowy stowarzyszeń i instytucyi poświęco-

nych sprawie opieki nad sierotami i zaniedbanemi dziećmi z podziałem na wschodnią i zachodzią część kraju, przy współudziale czynników władzy państwowej oraz krajowej, przedstawicieli Kościoła, szkoły wreszcie ludzi dobrej woli.

Instytucya ta przedstawiałaby organizm zbiorowy, mający na celu popieranie wspólnych dążeń oraz reprezentacyę wspólnych interesów, w którym dotychczasowe stowarzyszenia oraz zakłady stanowiłyby ogniwa połączone ze sobą zapomocą nawiązać się mających nici organizacyjnych w jedną organiczną całość.

Inicyatywa do podjęcia tej właśnie akcyi organizacyjnej jak również ustalenie podstaw samej organizacyi jest zadaniem krajowego komitetu do spraw ochrony dzieci — naszym obecnie celem — przypomnienie tylko i przyspieszenie tego doniosłego i pilnego postulatu.

Tak dla państw jak i poszczególnych społeczeństw nie istnieje chyba wyższe dobro nad to, jakiem jest młode ich pokolenie. Państwo jak i każdy naród mają bowiem swoją przyszłość a ich teraźniejszość jest tylko przygotowaniem przyszłości.

Ten przeto cel musi mieć zarazem i te następstwa ażeby te nasze dążenia miały za sobą wszystkie siły państwowe oraz by niesione przez nie ofiary nie były skąpo niesione.

Władze krajowe a po części i gminne świadome być powinny, że ochrona dziecka a potrzeba ratunku w późnej starości, to dwa akty w tragedyi życia ludzkiego, że te zastępy straconych, odepchniętych dzieci, a wiecznych nieraz helotów nie tylko nie przynosi pożytku społeczeństwu, ale w dodatku jeszcze żyje potem kosztem jego; wiedzą i to chyba dobrze, że kultura ludzkich społeczeństw opiera się nie tylko na przeszłości i teraźniejszości, ale szczególnie i przedewszystkiem na przyszłości.

Dlatego też dążenia i wysiłki ludzi dobrej woli, którzy jedynie jak dotychczas poświęcają całe swe siły dla tego dzieła, jakiem jest podniesienie moralne przyszłych pokoleń, w pierwszym rzędzie i najwydatniej wspierane być winny, im życzyć najobfitszych owoców oraz skutków ich pracy, niesionej ku dobru ludzkości, ku szczęściu ojczyzny!

Z POWODU DZIEŁA KSIĘDZA CHOTKOWSKIEGO[1].

Polski czytelnik wie, jak pisze ks. Chotkowski; ma w samem jego nazwisku rozkaz, żeby czytać jego dzieła i chyba w razie przeszkód wielkich, poznać je ze sprawozdawczej treści. Streszczać ostatnie jego dzieło, to robota niewykonalna. Dwa tomy streszczają już setki źródeł. Tu można tylko zdać sprawę z pojęć wytycznych, aby czytelnik pochwycił myśl przewodnią i powiedział sobie, że na paru urywkach tego dzieła nie poprzestanie, musi przeczytać je całe[2].

Papieże znajdowali się pod koniec XVIII wieku w położeniu wodzów, opuszczonych przez wojsko, a patrzących na coraz groźniejsze zamachy wrogów Kościoła, którzy dążyli do jego ostatecznej zguby.

W takiem położeniu dowiedzieli się najwyżsi wodzowie Kościoła, że łupem sąsiadów innowierców miał się stać jedyny kraj na wschodzie Europy, w którym podówczas Kościół zajmował uprzywilejowane stanowisko, a religia katolicka była naprawdę panującą. Prosty obowiązek nakazywał więc zapobiegać klęsce, i ratować religię katolicką, która musiała przez rozbiór Polski być na szwank narażona. Pomocy szukać mogli papieże tylko

---

[1] »Historya polityczna Kościoła w Galicyi za rządów Maryi Teresy. Kraków. Z zasiłkiem Akademii Umiejętności, 1909. Tom I, str. XXIII, 444,— t. II, str. XI, 532, — w 8-ce.

[2] Aby czytelnik mógł utworzyć sobie sąd najwierniejszy, znajdzie tu wytyczne myśli czcigodnego pisarza, powtórzone jego przeważnie słowami.

u państwa ościennego, którego cesarzowa była znana papieżom, jako wierna i szczerze pobożna katoliczka. Na niej też budował Klemens XIII nadzieję, kiedy zagrzewał biskupów polskich (6/9 1766 r.) do sporu przeciw innowiercom w kraju. Również nuncyusz polecał sejmowi obronę wiary (12/11 1766 r.), przekonany, że *sacratissima apostolica maiestas* opiekować się będzie religią katolicką. Kiedy zaś przemoc wywiozła biskupów (13/10 1767 r.) na dalekie wygnanie, wtedy zwrócił się Klemens XIII do Maryi Teresy (7/12 1768 r.) i zaklinał ją, żeby ratowała zagrożoną w Polsce religię katolicką (I, 99). W odpowiedzi (z 9/1 1768 r.) dostał papież gorzką odmowę, owiniętą w słodkie słówka.

I Klemens XIV przypominał Maryi Teresie sprawę religii w Polsce i prośbę w tej sprawie zanoszoną przez poprzedniego papieża do Wiednia. W połowie kwietnia 1772 r. układał Klemens pismo, z którego widać, że w Rzymie nikt nie wiedział o postanowionym już rozbiorze Polski. Ani tego nie wiedział Rzym, że w sprawach religii Marya Teresa mniej sama rządziła, niż dawała się rządzić przybocznym doradcom, a wszyscy jej doradcy główni, byli członkami loży. Ci też od roku 1772 dokazali przez Kaunitza, że cesarzowa zupełnie dla nich pozyskana, obowiązała się do opieki nad masonami.

Wzywana przeciwnie do opieki nad Kościołem w Polsce, wysłała do tego kraju swoje wojska, których wódz wydał odezwę, że w imieniu Najjaśniejszego cesarza rzymskiego, bierze pod opiekę kraj polski. Niezwłocznie sam cesarz potwierdził, że dowiedziawszy się o wielkich zaburzeniach, które panują w Polsce i doprowadziły mieszkańców do ostatniej zguby, postanowił posłać tam wojska, aby przywrócić spokój.

Nastąpiły zabiegi (4/12 1772 r.), aby król i stany Rzeczypospolitej zatwierdziły zabór. Do tego wybrana delegacya polska wystosowała pismo (10/8 1773 r.) do władz rakuskich i w niem domagała się między innemi, żeby w traktacie rozbiorowym umieszczony był osobny artykuł, którymby cesarzowa zagwarantowała duchowieństwu katolickiemu fundusze, dochody, prawa, przywileje, przyznane mu w Polsce, jako stanowi szczególnie protegowanemu.

Na to przedstawiciel Austryi dał zręcznie wykrętną odpowiedź, że wszelkie prawa, prerogatywy, wolności i przywileje wszelakie, którymi się cieszy kler katolicki w dzierżawach austryackich, będą spólne duchowieństwu w kraju zajętym.

Wiedziano zaś dobrze, jak odmienne stanowisko zajmowało duchowieństwo w Polsce, i że wpływ i znaczenie jego w ziemi zabranej było daleko większe, niż w Austryi, gdzie stosunki kościelne były całkiem inne.

Pierwszym gubernatorem Galicyi został Pergen, znany dworowi wiedeńskiemu z niechęci do duchowieństwa; ten dowodził Kaunitzowi, że w Galicyi lud jest głupi i niewolniczy, bo słuchał księży, dopóki więc »karność« pomiędzy duchowieństwem nie zostanie zaprowadzona, dopóty też lud nie dojdzie do oświaty.

Na czem polegał ten brak karności? Ogółem byli wobec gubernatora hardzi, jeden tylko biskup ormiański Augustynowicz okazywał się posłusznym i tylko w jednym klasztorze lwowskim, znalazło się kilku rozsądnych zakonników, spragnionych gorąco dla Galicyi tych wszystkich przepisów, które dawno już istniały względem duchowieństwa w dziedzicznych krajach cesarzowej. Otóż w owych krajach dziedzicznych dawno już przyjmowała się zasada, że cesarz w swojej monarchii rządzi Kościołem sam, a nie ogląda się na najwyższą władzę w Rzymie. Tym zasadom dał naukowy wyraz prof. Erastus w Bazylei († 1587 r.) i odtąd t. zw. erastyanizm albo regalizm trwał bez przerwy na wiedeńskim dworze, budził w Rzymie obawę silną za rządów Ferdynanda I i za Maksymiliana II, doprowadził otwarcie Leopolda II do zatargu ze Stolicą świętą o obsadzanie stolic biskupich, panował za Karola VI; nic dziwnego, że dla jego córki Maryi Teresy przygotował drogę utartą.

Ta cesarzowa, przekonana, że jest najwyższą rzeczniczką Kościoła, przyznawała sobie prawo jego obrony, a więc i rządów w sprawach kościelno-politycznych. W tem tylko była trudność, że kościelne sprawy i prywatne i polityczne wiążą się ze sobą i łączą tak, że jedne od drugich nie dają się oddzielić przez granicę ściśle oznaczoną. Marya Teresa tę granicę z latami coraz bardziej traciła z oczu i przekraczała coraz śmielej, w miarę jak

poddawała umysł pod wpływy przybocznych doradców. Pod koniec rządów nie uważała się już za adwokata Kościoła, ale za nieograniczonego zwierzchnika.

Znosiła się tedy z papieżem, nie jak z władzą najwyższą, ale jak z postronnem mocarstwem, z władcą równorzędnym, od którego przyjmuje się rady, nie dostaje rozkazów.

Tak Klemens XIV stanowczo odrzucił dekret cesarzowej, który powagą świecką za nieważne ogłaszał zakonne śluby uroczyste, złożone przed 25-m rokiem życia. Wręcz wypowiedział to Maryi Teresie (20/2 1771 r.), ale z odpowiedzi jej dowiedział się, że cesarzowa o jego wielkoduszności ma dobre wyobrażenie i o jego prawości i czystości zamiarów, prosi przeto papieża, żeby uwiadomił ją poufnie, czy — i w jaki sposób przyczyni się powaga apostolska do dekretu cesarzowej, w żadnym razie nieodwołalnego, a cesarzowej będzie przyjemnie zastosować się do rady papieskiej, jeżeli ta połączy dobro duchowne z doczesnem ludów, powierzonych cesarzowej z Boskiej Opatrzności.

Złośliwie wygląda prośba, żeby papież poufnie uwiadomił cesarzową, w jaki sposób przystaje na dekret, potępiony przecież wyraźnie.

A cesarzowa nawet w ustnej rozmowie z wysłannikiem papieskim, Viscontim, wygląda przekonana, że dobre to, czego papież chce, ale jej ministrowie utrzymują, że władza cesarska wcale nie potrzebuje zgody Rzymu poza własną władzą i powagą swoją i że wcaleby z tem się nie potrzeba zwracać do Rzymu, chyba dla większej ostrożności.

Cesarzową pchali doradcy, aby zupełnie zerwała ze Rzymem; nim dokonali tego pod koniec jej rządów, już cesarzowa robiła, co chcieli, ale jeszcze dbała przynajmniej o pozory, że działa we wszystkiem z wolą papieża. Jeśliby się jednak upierał, — wtedy bez jego zgody mogła się obyć.

W ręce takiej opiekunki wpadł Kościół na małopolskiej ziemi pod zaborem rakuskim.

Jedną z pierwszych trosk rządu rakuskiego było rozciągnąć nadzór nad duchowieństwem, nadewszystko przystawić urzędnika do boku biskupom, zwłaszcza kiedy ci zwiedzają dyecezye. No-

taryusz albo audytor świecki, śledziłby każdy krok biskupa i przy jego objazdach parafii, miałby najsposobniejszą chwilę, aby przy biskupie poznać dochody i ducha proboszczów.

To też, ledwo lwowski arcybiskup Sierakowski, wybierał się na objazd dyecezyi i chciał się w tej sprawie porozumieć z gubernatorem Pergenem, zaraz ten grzecznie odpowiedział, że nie ma nic przeciw objazdowi, uważa to owszem za bardzo potrzebne, ale że doda arcybiskupowi komisarzy rządowych, którzy mu wszędzie będą towarzyszyli.

Arcybiskup oświadczył, że takiego towarzystwa nie przyjmie. Wywiązała się z tego wymiana poglądów sprzecznych, aż gubernator zażądał wkońcu, żeby arcybiskup podał piśmiennie powody, czemu nie chce objeżdżać dyecezyi w towarzystwie urzędnika.

Gubernator miał za sobą wyraźny podpis cesarzowej na wniosku (z dnia 24/12 1772 r.), żeby wszystkim biskupom kraju zabranego, przy objeździe dyecezyi, przynajmniej jeden urzędnik towarzyszył i to wedle zwyczaju nie zupełnie nieznanego, zalecanego nawet rzekomo przez niektóre koncylia.

We wniosku tym wyraźnie czytamy, że »tutaj działa się pozornie dlatego, aby urzędnicy królewską powagą przeprowadzili wszystko ze skutkiem, co biskup zarządzi dla naprawy obyczajów, — w rzeczy jednak samej dlatego, aby mieć poufnych nadzorców nad biskupem i przez nich osiągnąć, czego nie można oczekiwać po biskupach galicyjskich, przynajmniej obecnie, mianowicie wyśledzić dokładnie i ściśle wszystkie stosunki, niedostatki i t. d., jakie panują po klasztorach, parafiach, uczelniach, zakładach pobożnych i wszystkiego, co wchodzi w zakres *disciplina ecclesiastica*, — aby mieć stały pogląd i o *quo modo* potrzebnych napraw«.

Czuł tedy gubernator za sobą wolę cesarską, ale arcybiskup czuł za sobą prawo do wolnych ruchów, kiedy spełnia swój obowiązek pasterski. Wyłożył to pisemnie, wedle woli gubernatora Pergena, ale już nie tego listem swoim zastał gubernatora we Lwowie, tylko jego następcę. Został nim hr. Hadik, który zwrócił się do cesarzowej, aby sama rozstrzygnęła, czy arcybiskupowi

przydać towarzyszów rządowych do objazdu zamierzonego, czy kazać wstrzymać się na razie z objazdem dyecezyi.

Odpowiedź przyszła, że »ponieważ biskupa lwowskiego trzeba uważać tak samo, jak pozostałych biskupów w krajach dziedzicznych, zatem nic nie przeszkadza, żeby mu pozwolić na objazd dyecezyi w tenże sposób, jak ordynaryuszom pozostałych krajów«.

Stałość arcybiskupa Sierakowskiego odniosła zwycięstwo, a to tem większe, iż rząd sam uważał je tylko za chwilowe i nie dawał za wygrane, nie szczędził zabiegów, aby postawić na swojem, ale mimo wysiłków nie wydarł na nowo zdobyczy, którą raz odniósł katolicki duch arcybiskupa.

Trudno było biurokracyi zgnieść ten twardy orzech, a przedewszystkiem referent spraw duchownych w galicyjskiem gubernium, Knop, nie mógł przełknąć objazdu arcybiskupiego bez nadzorców rządowych. Dlatego usiłował wbrew cesarzowej i mimo późniejszego jej wyroku przeprowadzić jej uchwałę zasadniczą o państwowych opiekunach biskupów.

Marya Teresa, otoczona siecią podstępów, niepokojona w sumieniu przez gorliwych biskupów, a równocześnie uspakajana przez innych biskupów i księży, a zwłaszcza przez najbardziej zaufanych sobie doradców, trwożliwa o swoją władzę zwierzchniczą, którą rzekome zabiegi duchowieństwa ukrócić chciały: stawiała *sacratissima apostolica maiestas* często bardzo dwa kroki naprzód, a jeden wstecz.

Gromadziły się tedy przed oczyma arcybiskupa Sierakowskiego zapowiedzi coraz dokuczliwszych zamachów na Kościół: budziły zarówno w nim trwogę, jak we wszystkich umysłach katolickich, które dobrze rozumiały i umiały przewidzieć, do czego muszą doprowadzić rządy wolnomularskie nad Kościołem.

A rząd ten w każdą szparę wsuwał palce, aby przytrzymać coś dla siebie z władzy kościelnej. Więc z gubernatorem galicyjskim i swojemi komisyami wywodził, że będzie jeszcze trzeba wiele naprawić, aby uczynić duchowieństwo pożyteczniejszem dla parafii. »Ponieważ nauczaniem ludu musi w równej mierze opiekować się rząd, więc w tem nie przekracza swojego zakresu dzia-

łania, jeśli zwraca uwagę na ten obowiązek (duszpasterski) i przypisuje, w jaki sposób trzeba nauczać po parafiach«.

»Potrzeba, żeby chłop pobierał naukę obyczajności zastosowaną do jego stanu; obowiązek to duchowieństwa najważniejszy: więc starostowie powinni zniewolić przedewszystkiem plebanów, żeby wypełniali ten obowiązek stanu«.

Taki pogląd poruczał starostom nadzór nad kaznodziejstwem: to też starostowie rozciągnęli nadzór pilny nad księżmi, zmuszali ich stawać przed urzędem, kiedy tylko pan starosta ich wezwał, a nawet mieć gotowe kazanie na piśmie, aby przedłożyć, kiedy starosta zażąda. Ba, urząd przepisywał nawet treść kazania i nadużywał kazalnicy, aby ogłaszać z niej wszelakie reskrypty, nawet policyjnych władz, nie tylko administracyjnych.

Galicyę uważał rząd za trupy czy nieme zwierzęta, na których wolno lekarzom wykonywać doświadczenia, choć bolesne, ale pożyteczne dla nauki; więc rząd w krajach rakuskich nie zaprowadzał porządków swoich, zamiast papieskich, póki nie doświadczył, jak w Małopolsce Kościół je znosi.

W Małopolsce Kościół znosił je źle: zaniósł do papieża skargę. Nuncyusz Visconti pisze (z Wiednia 22/5 1774) do kardynała sekretarza stanu, że dostał od niego pismo o niezwykle hardej postawie, którą zajął gubernator Hadik wobec biskupów z Galicyi. Nuncyusz znał nastrój duszy gubernatora i piętna jej właściwe, które doprowadziły do wybuchu i przymusowych środków przeciw Kościołowi: zatem opracował treściwy wykaz owych zamachów na Kościół, aby przedłożyć cesarzowej i wywrzeć wpływ na jej serce. Ściągnął też na siebie gniew Kaunitza, iż stanął przy arcybiskupie Sierakowskim, który miał do Rzymu niejedną skargę na gubernatora, a nawet na cały rząd.

Już gubernator pierwszy, Pergen, dawał arcybiskupowi odczuć swoją władzę w licznych wypadkach. Prócz innych, także w sprawie sądownictwa biskupiego okazywał się wyższą nad niego powagą i przyjmował apelacye od jego sądu [1].

---

[1] Przy wzmiance o sądownictwie trzeba z żalem wytknąć pomnikowej pracy czcigodnego pisarza, że jej strona techniczna niezupełnie zadawalnia.

Gorzej jeszcze w tem zachował się Pergen, że nawet pomijał władzę biskupią i, — jakby nie wiedział o konsystorzach, — posyłał przez urzędy powiatowe rozkazy dziekanom, żądał sprawozdań i wykazów.

Arcybiskup na to wszystko nie spieszył się z należytą odprawą; cierpliwie wyglądał chwili sposobnej, aż od gubernatora Hadika otrzymał pismo, że cesarzowa zarządziła (29/1 1774), żeby po kościołach pojezuickich księża świeccy odprawiali nabożeństwa stale, a następnie (w marcu) przepisała, jak mają być nadawane probostwa patronatu królewskiego; wtedy nagromadziło się tyle materyału, że arcybiskup musiał wkońcu przerwać milczenie.

Wystosował zatem (7/3 1774) obszerne pismo do gubernatora Hadika, w czternastu punktach odpowiadał na rekwizycye rządowe, ale też wyrażał swoje zażalenia i potrzeby. Na prośbę nie wygląda to pismo, bo jeszcze się arcybiskup prosić nie nauczył; forma jest urzędowa, a ton raczej stanowczy, niż pokorny.

Pismo to poszło do decyzyi cesarzowej wraz z opinią o niem całego gubernium lwowskiego, ułożoną przez referenta spraw duchownych Knopa: stąd poznać można zasady ówczesnego rządu.

Arcybiskup żądał po pierwsze, żeby osoby duchowne nie

---

czytelnika pilnego. Dzieło równie wielkiej ceny, jak to, wymaga od czytelnika uwagi niepowszedniej. Ale przeciętny czytelnik nie zdoła ściśle zapamiętać stronic książki, na których znalazł słowa dowodne o wypadku później znów wspomnianym, a na które odwołuje się czcigodny pisarz w dalszym biegu wywodów. W takiem dziele czytelnik pragnie odnośników zupełnie dokładnych na ustępy poprzednie. Znajdzie wskazówkę ogólną np. w rozdziale 12-ym o sprawie sądownictwa: »jak to z poprzedniego rozdziału wiemy«, — szuka w rozdziale 11-ym i nie może znaleźć... wraca do poprzednich rozdziałów dalszych i po daremnej pracy wie tylko, że ponowne wydanie cennego dzieła i dalsze jego tomy zyskałyby, gdyby odsyłały nie ogólnie na rozdział któryś z poprzednich, ale na wyraźną stronnicę.

Również czytelnik gubi się w spisie rzeczy, który odsyła przy rozdziałach na stronice nie odpowiednie, tylko na te, które należą do rozdziałów następnych.

Także błędy pisowni w obcych wyrazach, choć jeszcze pozwalają odgadnąć ich myśl, przecie zaprzątają czytelnika pracą niepotrzebną.

Oczywiście nie czcigodny dziejopis odpowiada za takie usterki techniczne, tylko mniej udolny korektor

były pociągane przed sądy świeckie w sprawach cywilnych, jak to już poprzednio cesarze przepisali.

O tem Knop zaopiniował, że arcybiskup podnosi zarzuty przeciw naczelnikowi kraju i przedstawicielowi cesarza, bynajmniej nie upoważniony, żeby dawał nagany: należałoby mu więc dać napomnienie i pouczyć, że wykroczył przeciw czci należnej gubernatorowi i odtąd niema sobie pozwalać na nic podobnego.

Arcybiskup żądał powtóre, żeby władza świecka nie przyjmowała nawet rekursu przed swój sąd w sprawach należnych wyłącznie do forum duchownego. Knop wydał opinię, że arcybiskup oskarża gubernium bez danych poszczególnych; niechby przytoczył pojedyncze wypadki.

Arcybiskup żądał po trzecie, żeby osoby duchowne pozostały wolne od podatków, zgodnie z wyrokami poprzednich cesarzy; to samo dotyczy szpitali, które przybrały naturę dóbr duchownych.

Knop odpowiedział, że arcybiskup przestanie się żalić, skoro będzie patrzał głębiej i odprzysięże się ducha republikańskiego, złożywszy przysięgę wierności: wszak Pismo św. obowiązuje do podatków... ale kogo?... o tem Knop milczy.

Arcybiskup przedstawiał po czwarte, że kanony przyznają tylko biskupom prawo wizytowania; ramię świeckie nigdy sobie tego urzędu nie przywłaszczało: arcybiskup ośmiela się przedstawić, jakby to było niestosowne, gdyby osoby świeckie miały się wtrącać do takiego urzędu pasterskiego, przy którym musiałyby się dowiadywać o niedostatkach życia duchownego, tak kleru, jak wiernych, co ma w sobie część trybunału pokuty, jak to kanony przepisują.

Na to Knop oświadczył, że nie zawadziłoby przeciw dowodom arcybiskupa przytoczyć ustęp z prawa kanonicznego.

Przytacza też z Van Espena ustępy, z których jeden mówi, że na synodzie w Arles przewodniczyli wysłańcy Karola zwanego Wielkim, — ale nie świeccy, tylko arcybiskupi, — i nie mówi ten ustęp nic o objeździe dyecezyi biskupim w towarzystwie urzędnika.

Przytacza Knop dalej ustęp, że czterej wysłańcy Karola cesarza z biskupami objeżdżali klasztory, ale również nie świeccy,

tylko trzej arcybiskupi i kapelan nadworny. Szło tedy o oględziny klasztorów w towarzystwie dostojników Kościoła, nie urzędników gubernatorskich: o tej różnicy Knop raczył nie wiedzieć.

Dalej Knop przytacza wyrok Karola cesarza do synodu w Akwisgranie: »Wyprawiliśmy do was posłów, aby powagą naszego imienia razem z wami poprawiali, co trzeba«. Ale znowu ci wysłańcy byli biskupami wyprawionymi do udziału w pracach synodalnych.

Karol, Wielkim zwany, który Kościół w swojem państwie zamienił rzeczywiście na państwowy, a z opiekuna papieży i z obrońcy Kościoła przedzierzgnął się nieznacznie w jego pana, nie myślał jednak wcale o tem, do czego zmierzali doradcy Maryi Teresy i co chcieli na próbę zaprowadzić w Galicyi.

Knop jednak nie o dziejową prawdę dbał, tylko do przytoczonych a przekręconych wypadków dodaje uwagę: wszystko to działo się w czasach, kiedy Głowa Kościoła jeszcze pojmowała, że bez ramienia świeckiego nie można Kościoła karnym utrzymać, bo posłuszeństwo ustawom duchownym i religii potrzebuje poparcia księcia, któremu równo podlegają stany duchowny i świecki pod względem religii.

Do tak bez ogródki wypowiedzianej zasady bizantyńskiego cezaropapizmu Knop dodaje jeszcze więcej podobnych uwag, między niemi, że stan religii jest takim przedmiotem, o jakim władca musi być uświadomionym równie, jak o wszystkich innych sprawach politycznych: niema na to sposobu lepszego, jak przez urzędników w towarzystwie biskupa, zwłaszcza w kraju, gdzie kler świecki i zakonny potrzebuje gruntownej reformy a lud oczyszczenia z fanatyzmu.

Biskupi powinni się temu prawu tem chętniej odtąd poddawać, iż zyskają na powadze przez towarzystwo urzędników, zdobędą więcej czci u duchowieństwa i ludu.

Arcybiskup żąda po piąte, żeby gubernium wyjaśniło, czemu kłopocze się proboszczami, którzy wybierani na kanoników gremialnych zachowują swoje parafie. Wszak dzieje się to na mocy dyspenzy apostolskiej, udzielanej za każdym razem, kiedy kanonia nie przynosiła ani w części dochodów dostatecznych, a w dy-

spenzie zawsze Stolica święta zastrzegała, że duszpasterstwo nie ucierpi nic przez kanonię proboszcza. Czemuż się rząd kłopocze? Czy myśli poodbierać ponadawane w Rzymie dyspenzy? Na to nie ma władzy. Czy podejrzywa o niedbałe duszpasterstwo? Nad tem czuwa arcybiskup.

Na to Knop oświadczył, że za pieniądze można podostawać dyspenzy z łaski apostolskiej, ale cesarzowa wydała wyrok (27/11, 1773 r.), w którym oznaczyła dla kanoników-proboszczów dzień, przed którym mają zrzec się albo probostwa albo kanonii. Sądzi tedy Knop, że stosownie do najwyższego rozkazu Najjaśniejszej Pani trzeba kanonikom poodbierać probostwa.

W tymże duchu odpowiedział Knop na inne punkta w piśmie arcybiskupiem. Rząd uważał, że całej Galicyi dotyczą sprawy, poruszone przez arcybiskupa, dlatego polecił na jego pismo obrobić tę obszerną odpowiedź Knopowi.

Referat Knopa, zaopatrzony uwagami kancelaryi wiedeńskiej, uzyskał aprobatę cesarza Józefa i wedle tej aprobaty gubernator odpowiedział arcybiskupowi, — nieprzychylnie.

Sędziwy arcybiskup nie dał jednak jeszcze za wygranę i chciał bronić przynajmniej tego, coby jeszcze ocalić się dało. Nie mógł liczyć na żadne ustępstwo ze strony gubernatora lwowskiego. Ale o Maryi Teresie słyszał ze światem całym rozgłośne pochwały, jako o pani bardzo pobożnej i religijnej: mógł sądzić, że nie od niej samej, tylko od urzędników pochodzą wszelkie uchwały, przeciwne prawom i przywilejom, jakimi się dotąd Kościół w Polsce cieszył: więc mimo lat siedmdziesięciu kilku, w r. 1775-m wybrał się starzec w żmudną na owe czasy podróż do Wiednia.

Przedłożył trzy podania: pierwsze w sześciu punktach powtarzało prawie treść odrzuconych już czternastu żądań; dwa drugie dotyczyły stosunków z Cerkwią ruską. Otrzymał odpowiedzi albo wprost odmowne albo niewyraźne tymczasem z obietnicą ostatecznego wyroku na czas sposobny. Ale przyjęcia doznał najlepszego od cesarzowej i cesarza: dwór wiedeński wiedział, że sędziwy arcybiskup nie był giętkiego karku i właśnię dlatego starano się okazać mu najwyższą łaskę, aby go pozyskać. Najpierw wręczono mu dyplom z tytułem hrabiowskim dla niego

i wszystkich członków jego rodziny; w tydzień potem mianowany tajnym radcą z tytułem ekscellencyi, złożył przysięgę i nazajutrz miał na piersiach wielki krzyż najwyższego orderu rakuskiego.

Przyjmował te zaszczyty ale dworskim się duchem nie przejął.

W następnym już roku gotował dla rządu gorzką pigułkę, jakiemi i później częstował.

Marya Teresa wydała (12/10, 1776 r.) ustawę, że z papieżem nie wolno znosić się pisemnie nikomu z duchownych świeckich i zakonnych, ani biskupom, nawet metropolitom. Myślałbyś, że zakaz taki wywoła sprzeciw ze strony biskupów w cesarstwie rakuskiem. Ale ślad żadnego sprzeciwu nie da się nigdzie wypatrzeć. Biskupi rakuscy już przywykli uważać cesarzową za najwyższą opiekunkę Kościoła i obywać się bez papieża. Kościół w cesarstwie stawał się z dnia na dzień coraz widoczniej państwowym, rakuskim, a nie już powszechnym.

W Galicyi tymczasem eksjezuita Jan Jełowicki wyrobił sobie przyjęcie na koadjutora kanonii lwowskiej z prawem następstwa u arcybiskupa Sierakowskiego, ale ten zastrzegł wyraźnie, że koadjutor otrzyma zatwierdzenie Stolicy świętej. Tedy udał się ksiądz Jełowicki (18/2, 1777 r.) do gubernatora z prośbą, żeby mógł znieść się ze Rzymem.

Tem pismem narobił jednak dużo kłopotu, bo gubernium zażądało, żeby arcybiskup wyjaśnił, czemu zastrzega sobie zgodę Rzymu na koadjutoryę Jełowickiego, chociaż gubernium nie uważa za potrzebne takich zastrzeżeń. Wszak Najjaśniejsza Pani upoważniła już gubernatora, żeby zatwierdził koadjutora na mocy władzy poruczonej, a zastrzeżenie arcybiskupie może tylko zachęcać do wymiany listów z Rzymem wbrew najwyższym rozkazom.

Arcybiskup nie spieszył z odpowiedzią od lutego aż do czerwca, aż odpisał, że koadjutorye z prawem następstwa potrzebują, wedle soboru trydenckiego, dyspenzy papieskiej, więc arcybiskup prosi, żeby ksiądz Jełowicki mógł pisać do Rzymu, a nadto jeszcze, żeby ksiądz Kicki pisał o dyspenzę na kanonię obok probostwa, a nadto jeszcze, żeby ksiądz Bietkowski pisał o podobną dyspenzę do Rzymu. A nadto jeszcze kanonik Sierakowski z Prze-

myśla prosił, żeby mógł do Rzymu pisać o zgodę na swój wybór jako dziekana w kapitule.

Słowem: cezaropapiści obruszeni na arcybiskupa za jedną wzmiankę o liście Jełowickiego do Rzymu, w odpowiedzi na swój gniew dostali cztery prośby o listy do papieża. Załatwili się z temi prośbami jednym środkiem: poprzekręcali prawa i przedłożyli swój wywód cesarzowej, która (7/11, 1777 r.) potwierdziła ich wniosek: kanonicy dowiedzieli się, że im nie wolno pisać do Rzymu, — i przyjęli wyrok bez słowa w obronie praw Rzymu.

Wyjałowiona w owe czasy niwa kościelnego życia nie rodziła męczenników.

Jeszcze arcybiskup Sierakowski nie wygląda złamany na duchu, choć spostrzega się otoczonym nawet kapitułą dworacką. Jeszcze zbiera siły, zwiedza kilkadziesiąt parafii i zapada na zdrowiu poważnie przy wieku podeszłym, aż śród tych walk traci sufragana, księdza Samuela Głowińskiego, — umarł jeden z sufraganów najlepiej wspominanych w rocznikach lwowskiej kapituły. Mianuje tedy arcybiskup następcą po nieboszczyku księdza Kickiego, który zwrócił się niezwłocznie do gubernatora z prośbą, żeby mógł pisać do Rzymu w sprawie swojej prekonizacyi i dyspens co do probostwa w Szczerzecu. Sprawie tej jednak rząd nadał obrót nie dla Kościoła korzystny.

Z Wiednia przyszła odpowiedź (8/4, 1777 r.), żeby Kicki na razie jeszcze nie pisał do Rzymu. Kicki ponowił swoją prośbę (2/5, 1777 r.) z podpisem rodzinnego nazwiska już zniemczonem: Kitzki, i pojechał do Wiednia po prędszą odpowiedź. Z Wiednia przyszła do arcybiskupa odpowiedź niespodziana (29/9, 1777 r.), że nie sufragana dać mu zamierza Marya Teresa, tylko koadjutora z prawem następstwa; niechże arcybiskup sam o koadjutora prosi dla późnego wieku i braku zdrowia, a wysyła prośbę niezwłocznie; osobę odpowiednią na koadjutora sama cesarzowa upatrzy.

Arcybiskup nie spieszył się wcale z prośbą; dopiero wezwany ponownie, wyprawił (12/1, 1778 r.) pismo, w którem powtarza, że sufraganem chce mieć księdza Kickiego, a koadjutora

nie potrzebuje, bo ani nie taki stary jeszcze, ani nie taki słaby, żeby nie sprostał sam obowiązkom.

Żeby arcybiskup miał tak okazać się stałym wobec Wiednia, tego po nim nie oczekiwał ani Kicki ani żaden z kanoników gremialnych: ci w liczbie blizko trzydziestu wystosowali (17/1 1778) pismo do cesarzowej, w którem przedstawiają, że »skoro arcybiskup uległy woli Najjaśniejszej Pani proponował na koadjutora swojego« księdza Kickiego, tedy kapituła cała wyraża się o nim z wielką pochwałą. Marya Teresa mianowała Kickiego koadjutorem; gubernator dostał rozkaz (7/3, 1778 r.), żeby arcybiskup prosił Najjaśniejszą Panią o Kickiego na koadjutora i poczynił odpowiednie zabiegi u dworu rzymskiego.

Arcybiskup bronił się przed koadjutorem uwagą, że nie ma skąd go utrzymać ze szczupłych dochodów.

Niedługo potem cesarzowa podpisała (23/7, 1778 r.) rozkaz, żeby arcybiskupowi wypłacać 9000 złr. dodatku rocznego do pensyi.

Arcybiskup Sierakowski, widocznie niewygodny gubernatorowi, zaprzestał obrony beznadziejnej i przyjął do boku osobę, na której rząd pokładał nadzieje.

Miał wprawdzie i Kicki swoją skazę w oczach gubernatora: jeszcze to nie był Niemiec, a gubernator pisał do Wiednia (8/2, 1778 r.), »że poprawa tutejszego duchowieństwa, tak świeckiego jak zakonnego, wymaga rzetelnego biskupa niemieckiego na koadjutora, któryby sprostał takiemu dziełu, bo bez takowego nigdy nie będzie można zaradzić tak rozlicznym i tak ważnym niedostatkom. Jednak w braku niemieckiego biskupa, po którym możnaby się tego wszystkiego spodziewać, i któryby jako koadjutor z prawem następstwa chciał iść do Lwowa, w tym razie nie umiałbym przedstawić lepszego niż Kicki: widzi zło zakorzenione śród duchowieństwa i rokuje najwięcej nadziei«.

Taki koadjutor był nadto jeszcze upragniony dla innej sprawy: t. j. wizytacyi dyecezyi z dodaniem komisarzy rządowych.

Myśli tej nie porzucał radca Knop.

Galicyjska kancelarya nadworna była również tego zdania i wyraźnie żądała (9/7, 1774 r.), żeby gubernium jeszcze raz o tem

zdało sprawę. Knop skorzystał i (5/8, 1777 r.) wywodził, że tylko przez urzędników u boku biskupa mogłoby się gubernium dowiedzieć wszystkiego o stanie duchownym kraju. Mogliby też urzędnicy zasięgnąć potrzebnych wiadomości politycznych i spólnie z wizytującym biskupem zaraz niedostatki naprawić, albo przynajmniej zapisać; mogliby spólnie z biskupem przedstawiać wnioski co do życia duchowego.

Dalej uważa Knop:

Jednakże biskupi powinniby donosić gubernatorowi o wszystkich wadach i niedostatkach, dotyczących dusz-pasterstwa i wkraczających *in politicum*, a środki zaradcze powinni przedłożyć według swojego zapatrywania gubernatorowi do dalszego zarządzenia.

Jak widzimy, p. Knop degradował biskupa do roli urzędnika gubernialnego, a gubernatorowi przyznawał to, co należy w pierwszym rzędzie do powołania biskupiego.

Referent kancelaryi czesko-austryackiej hr. Chotek uważał także urzędników za koniecznych biskupowi przy objazdach dyecezyi i sądził, że przy tem lwowski koadjutor będzie mógł oddać pożyteczne usługi.

Hr. Chotek przywięzywał do księdza Kickiego jeszcze inną nadzieję, a mianowicie, że zgodzi się, żeby biskupi listy swoje pasterskie układali w porozumieniu z gubernatorem i zamieszczali w nich rozporządzenia polityczne. »Kicki jest właśnie taki człowiek, po którego energicznej działalności spodziewamy się wykonania tego dzieła i który innym biskupom na razie będzie mógł przykładem świecić«

Dopiął rząd zamiaru i uzyskał dla Kickiego (15/10 1779 r.) bullę papieską. W niej wytknął hr. Chotek brak wzmianki o najwyższej prezentacyi i nominacyi, bo papież wyraził się najprościej, że koadjutora stałego ustanowił i naznaczył. Takie wyrazy sprzeciwiają się ustawowym prawom majestatu, jednakże nie radził hrabia wszczynać sporu, bo działalność koadjutora jest potrzebna. Przecie trzeba w »placet« zaznaczyć, że Najjaśniejsza Pani prezentowała i mianowała koadjutora na mocy cesarskiej władzy.

Z tąż wzmianką o pełnej władzy cesarskiej rząd, wysłał

pismo do gubernatora, oraz przypomniał najwyższy rozkaz, żeby władze w Galicyi trzymały się ustaw węgierskich w każdym wypadku, kiedy te ustawy rozszerzają prawa cesarskie, a w innych wypadkach obowiązują w Galicyi ustawy krajów dziedzicznych.

Tak ujrzał Sierakowski Kickiego, jakby dozorcą swoim z ramienia rządu: tak ujrzał spełnioną zapowiedź z chwili zaboru, że w kraju odzyskanym Kościół na równi z duchowieństwem krajów dziedzicznych użyje wszelkich praw, prerogatyw, wolności i przywilejów.

Znękany starzec przeżył ledwo o rok chwilę zwycięstwa rządowego w sprawie koadjutora, a w dwa miesiące po nim umarła Marya Teresa.

W podobny sposób rząd przystawił do boku przemyskiemu biskupowi koadjutora w osobie dworaka, Betańskiego Czecha.

Nie przepuścił rząd i krakowskiej dyecezyi, którą w części zajął. Nie mógł w samego biskupa uderzyć przez swojego służalca pod nazwą koadjutora. Znalazł radę w pomyśle, żeby z krakowskiej dyecezyi wyciąć sobie osobną z wiernym biskupem w Tarnowie, a tymczasem krępować krakowskiego biskupa w każdym ruchu i w jarzmo kaudyńskie wpędzić duchowieństwo po parafiach.

Dla przeniewierców rząd bił medale, tłoczył patenta pochwalne.

Ucisk zewnętrzny Kościoła nie wystarczał: trzeba było od wnętrza dostać się do duszy kapłańskiej i podbić ją w niewolę wiedeńską, zamiast posłuszeństwa Rzymowi. Wykształcenie kleru, studya teologiczne, szkoły łacińskie, akademia stanowa, uczelnie ludowe, szkoła normalna we Lwowie: oto nagłówki programu wiedeńskiego, który dobijał się do duszy tego czynnika, jakim duchowieństwo w Polsce okazuje się wobec wszelkich zamachów na naród.

Te nagłówki programu prześladowczego: to całe stronnice najciekawszych w dziele czcigodnego prałata opisów, a na każdą stronnicę składały się życiowe tragedye.

I kiedy rząd doszedł do sił, których pewny, mógł już śmielej poczynać i znosić klasztory: czytelnik widzi przed sobą dramaty,

przez które łatwo przesuwa się oko czytelnika, ciężko przedrzeć się pastwie bezprawia.

I taką walkę przeciw wszechwładzy państwowej stoczył Kościół rzymsko-katolicki sam. We spółwyznawcach obrządku ormiańskiego nie znalazł sprzymierzeńców, a w unitach obrządku greckiego, widział to, o czem czcigodny dziejopis wyznaje, że badania dziejów Cerkwi przyniosły mu największe, a bardzo przykre rozczarowanie. Z bólem i prawdziwą przykrością musiał zmienić poprzednie wyobrażenia o Rusinach.

Roku 1672 przekroczył granice Polski Mahomet IV w dwa kroć sto i czterdzieści tysięcy wojska, a po roku, w dzień świętego Marcina 1673, Polacy śpiewali pod zdobytym namiotem Seraskiera *Te Deum*, dziękowali Panu Bogu za Chocim. W dziesięć lat później, zwycięzca z pod Chocima usunął się przed oswobodzonymi z niewoli tureckiej, aby lud wiedeński nie całował go w nogi.

W sto lat po Mahomecie, w roku 1772 wkroczyło w granice Polski pięć oddziałów wojska rakuskiego. Tylko jeden z nich napotkał Konfederatów barskich w Lanckoronie i zmusił ich przy pomocy Moskali z Krakowa, żeby poddali się w Tyńcu.

I Kościół, głosem nuncyusza żałośnie opisywał naród bezbronny i zrozpaczony. Czuć umieli nieszczęście ci, co dziesiątkami wpadali w obłęd, ale czuli szalenie, nie działali nic.

I Kościół czynami jedynie wybitnych jednostek wśród swojego duchowieństwa sypał tamę przeciw zalewowi rakuskich zasad, aby nie dać im zmieniać wiary w bizantyńskie władzochwalstwo, a polskich ziemian w narodowych zaprzańców.

W tych walkach Kościół nie ustał ze śmiercią Maryi Teresy, ale z nią czcigodny dziejopis urywa pracę, a na dalsze tomy zostawia dzieje kościelne w Galicyi, aż do rewolucyi marcowej.

Jak mnóstwo głosów gorąco dziękuje autorowi za pracę zaczętą, tak gorąco pragną ujrzeć jaknajprędzej dalsze jej tomy.

Ks. K. Czaykowski.

DR. MATIJA MURKO

I JEGO DOTYCHCZASOWA DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA[1].

Słowieńcy, choć jeden z najmniejszych narodów słowiańskich, mogą być dumni z naukowego dorobku swego na polu filologii słowiańskiej i słowianoznawstwa. Od pierwszej chwili odrodzenia, u schyłku XVIII w., od pierwszych śpiewaków narodowych: Vodnika i Prešerna, żyje wśród nich bardzo uświadomiona tradycya studyum słowianoznawczego, które do dzisiejszego dnia uprawia się tam z niegasnącem zamiłowaniem, a doprowadza do bardzo bujnych i cennych rezultatów.

Powszechnie to już stwierdzono i do dziś dnia na najmłodszych stwierdza się pokoleniach, że Słowieńcy odznaczają się szczególnemi zdolnościami lingwistycznemi, dzięki czemu największy procent młodzieży, poświęcającej się filozofii, obiera dział t. zw. slawistyki, w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Jeśli słowiańskość jest cechą najbardziej właściwą Czechom, — jeśli oni niemal z natury swojej są »zawodowymi« pionierami »idei słowiańskiej«, wyssawszy ją niejako z mlekiem matki tak, że śmiało można powiedzieć, iż każdy Czech *eo ipso* jest słowianofilem, — jeśli jednak z drugiej strony to »słowianofilstwo« Czechów niejednokrotnie do przesady dochodzi, stając się najpowszedniejszym środkiem brukowej polityki, najbardziej

[1] Z powodu jego *Geschichte der älteren südslavischen Literaturen.* Por. *Przegląd Pow.* grudzień 1909, styczeń 1910.)

pustym frazesem iście słowiańskiego gadulstwa, — to u Słowieńców istotnie ma ono zawsze charakter bardzo poważny i jednolity, oparte na doskonałych podstawach wiedzy, na krytycznym, bez optymistycznych uprzedzeń, sądzie, na świadomości siebie i swoich celów.

Nie chciałbym przez to ubliżyć długoletniej i nader doniosłej pracy Czechów, — nie chciałbym obniżać ich nieocenionych zasług na polu słowianoznawstwa w najszerszem słowa znaczeniu, bo zasłużyli się oni nie tylko na tem polu, a niemniej około uświadomienia innych Słowian, nie wyjmując Słowieńców, którzy są przecież uczniami Czechów. Chciałem tylko podnieść zasługi pierwszych, pracujących od samego początku do dzisiaj w warunkach bardzo uciążliwych, wśród otoczenia albo wrogiego Słowianom, albo zupełnie nieuświadomionego. Praca ta w porównaniu z działalnością Czechów, choćby najbardziej płodna, ale w warunkach stokroć szczęśliwszych [1], przyniosła na polu badań ściśle naukowych owoce daleko obfitsze i lepsze, — dostarczyła w przeciągu nader krótkiego czasu bardzo liczną stosunkowo falangę badaczy gorliwych, a w swoim rodzaju i na swoje czasy doskonałych. Nadto w Czechach w ostatnich czasach słowianofilstwo a za niem i słowianoznawstwo objawia się często jako modna i popłatna mania, kryjąca za sobą płytkość i tendencyjność, a zużytkowywana niejednokrotnie do potrzeb chwili, zaprawiona fanatyzmem narodo-

[1] Inna rzecz, że nie zawsze były te warunki takie szczęśliwe i że zdobycie ich było zasługą tylko energii i wytrwałości samych Czechów. Chodzi o to jedynie, że Słowieńców, o tyle słabszych pod każdym względem od Czechów, możemy porównywać na tem polu z Czechami i to porównywać śmiało, z pewną korzyścią dla nich samych, podczas gdy o dorobku Polaków na polu słowianoznawstwa dotychczas niemal mowy być nie mogło. — Próby i usiłowania, korzyści i złudzenia, porywy i błędy nasze w tym kierunku, o ile się przejawiły w naszej prasie, zbiera i ogłasza od lat dwu w rocznikach *Słowiańskiego Świata* pilny badacz tego przedmiotu, Edm. Kołodziejczyk, który przygotowuje obszerną bibliografię wszystkiego, co się u nas w XIX. wieku pisało o Słowianach i Słowiańszczyźnie. Por. Sł. św. R. v. (1909) t. I, str. 261; t. II, str. 45, 147, 201, 306, 380. R. VI (1910) t. I, str. 37. — Por. także Wł. Nehringa »Wspomnienia o wzajemnych pomiędzy Kroatami (sic!) i Polakami stosunkach«. *Zbornik u slavu Vatroslava Jagića*, Str. 267. i nn. p. n.

wym i zdawkowem krzykactwem, schlebiającem upodobaniom »słowiańsko« nastrojonego tłumu. Słowiańskość ta wszystkiego i wszędzie w Czechach, podkreślana, wielbiona, idealizowana, przesadzana wszędzie, — znużyć wreszcie musi i zniecierpliwić każdego, kto szuka w niej poważnej i zasobnej treści, kto szuka jej głębiej, nie tylko w zdawkowem, choćby codziennem demonstrowaniu ulicznem, — kto na niem chce budować. To »słowianofilstwo« i »słowianoznawstwo« czeskie odróżniam stale od tego drugiego, głębszego, co wydało Husów i Chelčických, Palackých i Havlíčków, Masaryków, Niederlich, Černých i wielu innych, tak ogromnie zasłużonych mężów.

Wracając do Słowieńców i prof. Murki, podkreślam raz jeszcze tę żywą do dzisiaj wśród nich tradycyę studyum słowianoznawczego, która niezawodnie oddziałała silnie i na naszego uczonego. Pamięć o Kopitarze, Miklošiču, Oblaku i wielu innych nie zanikła; owszem żyje do dzisiaj wśród swego społeczeństwa i jest najlepszym bodźcem do szlachetnych usiłowań i współzawodnictwa młodszych pokoleń. Do pracy tych trzech wielkich slawistów słowieńskich nawiązuje od roku 1886. swoją działalność prof. Murko i rozpoczęte przez nich dzieło prowadzi z zapałem dalej.

Prof. Matija Murko urodził się dnia 10. lutego r. 1861.[1], w Drsteli, koło Ptuja (Pettau), w Styryi[2]. Pochodzi z rodziny wieśniaczej, która jednak już dała z innej linii swemu społeczeństwu dzielnego pracownika na polu słowianoznawstwa, księdza Antona Murkę[3].

---

[1] W Otty *Slovníku naučným* fałszywa data urodzenia: 10. stycznia, 1860. r. (str. 883.)

[2] Daty i wiadomości bio- i bibliograficzne czerpałem głównie z czeskiego *Slovníka naučného* Otty (Díl XVII, str. 883—884), z Годишняка Срб. Краљ. Академије w Belgradzie (Г. XVIII, 1904, str. 360—7), z Энциклопедическаго Словаря Ф. А. Брокгауса і И. А. Ефрона w Petersburgu (tom XX, 1897, str. 213, art. H. Сумцова), tudzież z prywatnej korespondencyi swojej z prof. Murką.

[3] Anton Ivan Murko, rodem ze Styryi, żył w latach 1808—72. Prawnik, gramatyk, publicysta słowieński, zasłużony, jako jeden z nielicz-

Nauki średnie pobierał w gimnazyum realnem (niemieckiem — rozumie się,) w Ptuju, dokończył zaś je w Mariborze (Marburg), poczem w r. 1880. wstąpił na wszechnicę wiedeńską, oddając się studyom porównawczej filologii germańskiej i słowiańskiej.

Początkowo germanistyka (pod kierunkiem prof. R. Heinzla i Schmidta,) stanowiła główny przedmiot zajęć młodego filozofa, niebawem jednak wpływ przeważający wywarł na niego prof. slawistyki, Fr. Miklošič, którego Murko w ostatnich trzech latach był prawą ręką w pracach z zakresu porównawczej filologii słowiańskiej.

Otrzymany w roku 1886. *sub auspiciis* (pierwszy) doktorat filozofii[1] z jednej strony, cenne zaś wskazówki i rady starego Miklošiča, później V. Jagića, z drugiej — otwierają przed młodym badaczem nowe pola studyów. Zaraz w następnym roku, dzięki stypendyum uniwersytetu wiedeńskiego, wyjeżdża dr. Murko na dalsze studya do Rosyi, gdzie przebywa półtora roku, zbierając gorliwie materyały do dziejów rosyjskiego języka i piśmiennictwa, zwłaszcza XVI—XVIII. stulecia, wchodząc w bliskie stosunki z przedstawicielami rosyjskiego świata literackiego i naukowego.

Po powrocie z Rosyi kierunek działalności Murki ulega pewnym zmianom. Mianowicie przydzielony on zostaje, na polecenie ówczesnego ministra wyznań i oświaty bar. Gautscha, do ministeryum spraw zagranicznych, jako referent dzienników słowiańskich. Choć ta czynność, uciążliwa, pochłaniająca mnóstwo czasu, a dla filologa i historyka literatury dosyć nudna, oderwała go prawie zupełnie od dotychczasowych studyów, miała dla niego nieocenione znaczenie, pozwoliła bowiem początkującemu slawiście zaznajomić się praktycznie, jak najdokładniej ze wszyst-

---

nych jeszcze pracowników około ożywienia ducha narodowego, podniesienia języka i literatury. Zestawił »Theoretisch-praktische slowenische Sprachlehre für Deutsche« (Gradec, 1832), »Slovenisch-deutsches und deutsch-slowenisches Handwörterbuch« (Gradec, 1832), który w krótkim czasie zupełnie rozchwytano, i wydał »Leopolda Volkmera fabule in pesmi«. (1836). Por. Ottův Slov. Nauč.

[1] Na podstawie rozprawy o staro-górno-niemieckim glossarze: *Über das Adamsglossar.* (Das 11. Buch des Summarium Heinrici). Nie wydane.

kimi językami słowiańskimi, i co więcej, poznać gruntownie współczesne życie polityczno-narodowe i ekonomiczno-społeczne Słowian austryackich i zagranicznych, — warunki, zjawiska, dążenia i cele ich życia. Nie zaniedbując jednak filologii samej, działał równocześnie dr. Murko, jako profesor języków słowiańskich, w wielu zakładach naukowych, jak w Akademii terezyańskiej (1892—1896); języka słowieńskiego i rosyjskiego w zakładzie publicznym dla nauki języków wschodnich (1891—1899).

Rok 1896. stanowi ponowny zwrot w działalności słowieńskiego uczonego: od polityki i publicystyki ku ścisłej pracy na polu słowianoznawstwa. W roku tym bowiem otrzymuje katedrę języka rosyjskiego w t. zw. Akademii konsularnej (pierwotnie oryentalnej)[1], a wkrótce potem, na podstawie pracy o niemieckich wpływach na początki słowiańskiego romantyzmu, habilituje się na wszechnicy wiedeńskiej, jako docent prywatny słowiańskiej filologii. Tu zetknąwszy się z takim uczonym, jakim jest Vatroslav Jagić, pozostając w bardzo blizkich stosunkach z wiedeńskimi Słowianami, rozwinął nader żywą i energiczną działalność, zarówno w uniwersytecie, jak i poza jego murami. Lubiany i szanowany powszechnie, nie usuwał się od żadnej szlachetnej, korzystnej, zwłaszcza dla Słowiańszczyzny, akcyi, działając słowem i piórem, zarówno w języku niemieckim, dla zapoznania Niemców z najżywotniejszemi sprawami Słowian, jak nie mniej w języku ojczystym, także w czeskim, serbo-chorwackim i rosyjskim.

W roku 1902. powołany na katedrę profesora slawistyki do Gradcu, kontynuuje tam swą ruchliwą działalność, starając się dokoła swej katedry stworzyć ognisko życia umysłowego młodzieży słowiańskiej w Gradcu i budzić uświadomienie narodowe wśród Słowieńców styryjskich. Rzecz prosta, że wobec znanej brutalności Niemców gradeckich i ich nienawiści do wszystkiego, co słowiańskie i słowieńskie, zadanie prof. Murki, jak i wogóle słowieńskich patryotów tamtejszych, jest niezmiernie ciężkie i trudne.

Oceniając zasługi młodego profesora około sprawy naro-

[1] Od r. 1896. do 1902.

dowej, wybiera go w r. 1897. *Slovenska Matica* w Lublanie członkiem swego wydziału, a *Jugoslavenska Akademija znanosti* w Zagrzebiu, swym członkiem korespondentem. Za temi instytucyami idzie w r. 1902, *Narodopisná společnost česko-slovanská* w Pradze, a w dwa lata później (1904) i Српска краљевска Академија w Belgradzie, mianując go również swoim członkiem korespondentem.

W czerwcu wreszcie ub. roku (1909) zatwierdził cesarz mianowanie dr. Murki na honorowego doktora czeskiej wszechnicy w Pradze.

Działalność Murki rozwijała się od samego niemal początku na dwu polach, a w czterech kierunkach, mianowicie na polu filologii germańskiej i słowiańskiej, a w kierunku *a)* lingwistycznym, *b)* historyczno-kulturalnym, *c)* porównawczo-literackim i *d)* ludoznawczym. Zręcznie umiał zawsze wyszukiwać nader żywotne i zajmujące przedmioty, które odnosiły się równocześnie do obu gałęzi jego specyalności, których pierwiastki splatały się i wzajemnie przesiąkały, wchodząc równocześnie w zakres badań slawistyki, jak i germanistyki. Z szczególnem upodobaniem śledził zwłaszcza wzajemny wpływ i oddziaływanie piśmiennictw i języków słowiańskich na niemieckie i odwrotnie.

Pierwociny naukowe Murki odnoszą się do zakresu językoznawstwa i gramatyki. Są to prace młodociane, przeważnie uniwersyteckie, a jednak okazują już dojrzałość w sądach i hypotezach, doskonałe wyrobienie stylu naukowego, opanowanie metody i wszechstronne przygotowanie. Należą do nich z większych opracowań: *Enklitike v slovenščini*[1], owoc nader sumiennego i żmudnego studyum, który jednak niesłusznie uszedł uwagi głównych organów naukowych i znawców, a to z tego powodu, iż ukazał się w języku słowieńskim, (nie niemieckim!) i mało znanym w szerszym świecie naukowym »Letopisie« Macierzy słowieńskiej.

---

[1] Dwie części w *Letopisie Matice Slovenske* (Ljubljana). I del: l. 1891. (Str. 1—65), II del: l. 1892. (str. 51—86) i osobno.

Niedługo potem ukazuje się rozprawa niemiecka z zakresu języka słowieńskiego p. t. *Zur Erklärung einiger grammatischer Formen in Neuslovenischen*[1] i zajmujący artykuł przygodny: *Die Bedeutung der Fremdwörter*[2].

W pierwszym mowa o kilku najciekawszych zjawiskach fonetycznych, morfologicznych i syntaktycznych w języku słowieńskim, któremu nadają one odrębny charakter w rodzinie słowiańskich języków. A więc: o *dat.* i *loc. sing. fem. gen.* starego zaimka na 3. osobę *jъ* o gen. *dualis*, o epentetycznem *n*, o formach zaimkowych, jako enklitycznych przyczepkach (sufiksach) i o skróconych formach słowa posiłkowego *bądą*, przyczem nie ogranicza się Murko jedynie do języka ojczystego, ale w myśl porównawczej metody badania sięga często i do innych języków słowiańskich.

Szczególnie głosowni białoruskiego języka poświęcił baczniejszą uwagę, pisząc w archiwum Jagića obszerne i pouczające oceny prac gramatycznych I. Niedieszewa[3] i E. Karskiego[4].

Zajmuje się także kwestyą stosunku języków słowiańskich do sanskrytu i pisze w języku chorwackim rozprawę o dotychczasowych badaczach tego stosunku, roztrząsając, oświetlając i poprawiając ich poglądy. Tytuł pracy brzmi: *Prvi usporedivači sanskrita sa slovenskim jeziciena*[5].

Choć w ostatnich czasach niemal zarzucił dr. Murko studyum ściśle gramatyczne, przecież od czasu do czasu przygodnie ogłasza drobne przyczynki do badań językowych słowiańskich. I tak w najnowszych czasach wszedł do redakcyi niemieckiego czasopisma *Wörter und Sachen*[6], w którem ogłosił zajmującą

[1] *Archiv für slav. Philol.* Jagića B. XIV. (Berlin, 1892.) Str. 89—115.

[2] *Wiener Zeitung.* 1886. Nr. 43, 44.

[3] Иван Недешевъ — Историческій обзоръ важнѣйшихъ звукоыхъ и морфологическихъ особенностей бѣлорускихъ говоровъ. (Warsz. 1884. Русс. филол. Вѣст. XII. 1—54.) *Arch. f. slav. Phil.* B. XII. (1890.) Str. 526—531.

[4] Е. Ѳ. Карскій — Обзоръ звуковъ и формъ бѣлорусской рѣчи. (Moskwa, 1886.), tamże, str. 531—539.

[5] *Rad Jugosl. Akad.* Knj. CXXXII.

[6] Kulturhistorische Zeitschrift für Sprach- und Sachforschung, herausgegeben von R. Mezinger, W. Meyer-Lübke, I. I. Mikolla, R. Mach, M. Murko. (Graz).

notatkę o t. zw. słowiańskich »tudjinkach« (zapożyczeniach) z języka chorwackiego (np. *sužanj* = Sklave, *muka* = Marter).

Prócz wyżej wspomnianych, z pod pióra prof. Murki wyszedł cały szereg drobniejszych rozpraw, szkiców i sprawozdań krytycznych, których już szczegółowo nie wymieniam, a porozrzucane są po licznych wydawnictwach naukowych, jak zwłaszcza Jagića *Archiv f. slav. Phil.*, czeskie *Listy filologické*, chorwacki *Rad Jugoslov. Akademije*, słowieński *Letopis Mat. Slov.*, wiedeńskie *Sitzungsberichte* akademii i inne.

Największa jednak część prac słowieńskiego uczonego dotyka dziejów piśmiennictw, nauki i kultury słowiańskiej wogóle, a południowo-słowiańskiej w szczególności. W pierwszych rozprawach z tego zakresu spłaca autor przedewszystkiem dług wdzięczności mistrzowi swemu i poprzednikowi, Fr. Miklošičowi, któremu poświęca już w r. 1883. dłuższy artykuł p. t. *Miklošič in Hrvati*[1], a w r. 1891. obszerny nekrolog w »Letopisie Matice Slovenske«. Były to prace przedwstępne do większego studyum biograficznego, ogłoszonego w r. 1898. p. t. *Miklosich's Jugend- und Lehrjahre*[2].

Uzupełnienie tego studyum znajdujemy w szkicu *Kopitar in Vuk Karadžić*[3], ogłoszonym niedawno z powodu wydania korespondencyi odrodziciela serbskiej literatury[4].

Korespondencya ta rzuca niezmiernie ciekawe światło na wszystkich pionierów odrodzenia Słowian zarówno północnych, jak i południowych, a w szczególności podnosi znaczenie słowieńskiego filologa, Kopitara, który — wedle wyrażenia prof. Murki — *ustvaril celega Vuka Karadžića* (str. 281). Rehabilituje go wobec

[1] Poslanica hrvatskemu akademičkemu društvu »*Zvonimir*« u Beču, napisal... (V Ljubljani. 1883. Str. 35.) Także krótka biografia w wiedeńskiej *Presse*, 17. marca, 1891.

[2] Forschungen zur neueren Literaturgeschichte. W księdze jubileuszowej na cześć prof. Richarda Heinzla p. t. *Festgabe für R. H.* (Weimar 1898.)

[3] *Ljubljanski Zvon* 1908. Z. v. Str. 281—8. Z. vi. Str. 347—356.

[4] Вукова преписка. Кн. I. Државно изданье. Београд. 1907. Str. 777 (wyd. Ljub. Stojanovića).

wielu zarzutów, podnoszonych przeciwko niemu, z powodu rzekomej jego »austryackości« (»Hofslavist«), która stała się przyczyną zerwania stosunków z chorwackimi »illirami« i dr. Gajem. Murko bardzo subtelnie wysnuwa wszystkie rysy Kopitara z tej korespondencyi, potrącając i o działalność polskich uczonych, jak Kucharskiego i mało znanego Emila Korytki, który Kopitarowi »krainisches Montenegro... vorbereitet hat« [1].

Tego samego rodzaju pracą jest studyum biograficzno-krytyczne, poświęcone życiu i działalności jednego z najtęższych południowo-słowiańskich filologów, a przedwcześnie zgasłego d-ra Vatroslava Oblaka [2] (1900). Pełne serdecznego ciepła studyum jest nie tylko spłaceniem długu przyjaźni szczeremu druhowi, z którym wiązały Murkę blizkie węzły życiowe i wspólnej pracy naukowej, ale i poważnym hołdem, złożonym rzetelnej zasłudze młodo zmarłego uczonego i gruntowną oceną jego naukowej działalności.

Szczególnie ta monografia zasługuje na silniejsze podkreślenie, bo dzieło to i pewnej wiedzy i gorącego serca. W ramach przystępnych, w słowach ciepłych i nieraz łez pełnych, zamyka autor ten krótki a tragiczny żywot jednego z najgenialniejszych, słowiańskich językoznawców, — tę pełną dramatycznej walki i krwawych szamotań historyę wzniosłej a nieszczęśliwej duszy, — tę »Poesie der Tuberkulose«, jak ją sam nazywa [3].

Droga to książka i dla nas, bo wykazuje, jak ów młody, rwący się ku światłu duch słowieńskiego uczonego rozkwitał pod kierunkiem polskiego badacza, Jana Baudouina de Courtenay, z którym Oblak korespondował w sprawach filologicznych już jako szóstoklasista [4], — który wywierał nań bardzo silny

[1] T. zn. zbiory ludowych pieśni krainskich, na wzór Vukowego zbioru: »Montenegro und die Montenegriner«. (Murko, op. cit. 349). Pisał o nich, jak i o ich autorze dr. Iv. Prijatelj w *Zborniku* na cześć V. Jagića (str. 607, i n.) p. niżej.

[2] Dr. V. O. izdala *Slov. Matica,* VI. zvezek Knezove Knjižnice v Ljubljani. 1900, str. 73 i wyciąg z tego: Vatroslav Oblak. Ein Beitrag zur Geschichte der neuesten Slavistik. Wien. 1902. (A. Hölder). Str. 62.

[3] Wyd. niem. str. 31.

[4] Ibid. Str. 6.

wpływ, jako »pierwszy nauczyciel« i »dobroczyńca«. Baudouin to wzbudził w nim swemi dziełami zamiłowanie do studyum słowiańskiej filologii, Baudouin wywołał w nim zwrot przeciw przestarzałej metodzie naukowej Miklošiča i wskazał nową drogę samodzielnych badań.

W bliższych stosunkach pozostawał też Oblak z prof. Leciejewskim, podczas jego pobytu na docenturze wiedeńskiej, także z Nehringem, Kaliną, Rozwadowskim i innymi. W *Pracach filologicznych* Baudouina pomieszczał często swoje rozprawy, a głównemu dziełu A. Kaliny »Studya nad historyą języka bułgarskiego« poświęcił surowe lecz wyczerpujące studyum krytyczne [1].

Szczegółowo kreśli dr. Murko dzieje wędrówek językoznawczych, zwłaszcza po Macedonii, i prześladowań ze strony władz politycznych tego pełnego ognia badacza, któremu przewrotność ludzka i po śmierci nie poskąpiła upokorzeń, piętnując go w sposób bezmyślny, jako szpiega [2].

W drugiej części swej monografii podaje Murko w sposób wyczerpujący rezultaty badań Oblaka, a zwłaszcza nieocenionych jego studyów dyalektycznych, dokonanych po ziemiach Macedonii, Bułgaryi i Słowenii. Głównym owocem ich było w pierwszym rzędzie zburzenie t. zw. hypotezy pannońskiej Kopitara i Miklošiča o pochodzeniu języka starocerkiewnego (starobułgarskiego) Cyryla i Metodego, którą zastąpił nową, bułgarsko-macedońską, popartą bardzo ścisłymi faktami językowymi, a którą przyjęli niemal wszyscy najwybitniejsi slawiści współcześni. Niezmiernie doniosłe również moją znaczenie badania Oblaka w przedmiocie pokrewieństwa, wzajemnego stosunku i pochodzenia języków południowo-słowiańskich, w czem, jak i we wszelkich naukowych dociekaniach był Oblak zawsze najzupełniej

---

[1] *Einige Capitel aus der bulgarischen Grammatik.* (Arch. f. slav. Phil. XVII. Str. 129 i n. 430 i n.) Dał też rozbiór pracy J. Leciejewskiego »Der Lautwert d. Nosalvocale im Altpolnischen«. (Ljubljanski Zvon. 1886.)

[2] Charakterystyczne, że wszystkie władze polityczne, bo i turecka i grecka i austryacka i rosyjska obawiały się »filologicznych« zapisków Oblaka. Prym tu wiodły, rozumie się, w pierwszym rzędzie *Neue Freie Presse* i — słowianofilski Свѣтъ. (Por. Murko op. cit. Str. 20 i i.)

zdecydowanym realistą. Od niego to datuje się podział południowosłowiańskiego kompleksu językowego na trzy grupy: *a)* dyalekty słowiańskie wraz z chorwacką »kajkawszczyzną«, *b)* serbo-chorwackie, *c)* bułgarskie wraz z siedmiogrodzkimi. Podział ten obala również dość naiwny systemat Kopitarowsko-Miklošičowski.

W kwestyi bułgarsko-macedońskiej zabierał Murko niejednokrotnie i gdzieindziej głos, zawsze w imię rezultatów badań ś. p. Oblaka. Najciekawsze zwłaszcza wystąpienie jego przeciw poglądom P. Draganowa[1], usiłującego w swych publikacyach[2] udowodnić, że Macedonia przedstawia odrębne plemię słowiańskie, pośrednie między Serbami i Bułgarami. Hypoteza, czysto fikcyjna, upadła w zarodku.

Kończy Murko swe studyum niemniej zajmującym ustępem, odkrywającym do dna szlachetną duszę i wielki umysł przedwcześnie zmarłego slawisty, ustępem o zasługach jego na polu słowiańskiej dyalektologii, gramatyki i literatury szkolnej, do których zreformowania Oblak przyczynił się w przeważnej części, — które pchnął na nowe tory, pozostając do ostatniej chwili duszą całej pracy nad reformą.

Podobnej monografii, chociaż częściowej, i sądu nad swą działalnością doczekał się również ze strony prof. Murki i głośny słowacko-czeski poeta i słowianofil, Jan Kollár: naprzód w specyalnym artykule czeskim p. t. *Kollárova vzájemnost slovanská*[3], a następnie w obszernej, samodzielnej rozprawie, ogłoszonej w języku słowieńskim[4]. Kollárem też zajmuje się autor w dziele nie-

---

[1] Arch f. slav. Phil. XI. B. S. 264. XII. B. S. 616.

[2] Этнограф. очеркъ слав. части Македоніи. (Слав. Извѣст. 1887—1888) і Македон.-слав. Сборникъ. I. (Спб, 1894).

Por. też sądy znawców macedońszczyzny, jak K. Jirečka, L. Niederlego, W. Кънczowa, L. Miletića, P. Miljukowa, G. Weiganda, N. Marenina i w. i.

[3] *Jan Kollár,* Sbornik statí... redakcí Fr. Pastrnka, wydany na cześć poety we Wiedniu 1893. r. Tu też ogłosił Murko *Listy Kollára Kopitarovi a Miklošičovi.*

[4] *Jan Kollár.* Cz. I. »Letopis Matice Slovenske« l. 1894. Cz. II. tamże, l. 1897.

mieckiem, na wielką skalę obliczonem, o wpływach niemieckich na romantyzm słowiański, o czem jeszcze niżej mowa będzie.

Wszystkie te prace jednak nie wyczerpują jeszcze całej działalności i znaczenia Kollára, ani też poglądów na nie prof. Murki. Słowieński slawista zajmuje się jeszcze ciągle autorem »Slavy dcery«, przygotowując prawdopodobnie wyczerpującą o nim monografię, do której jest najbardziej powołany.

Czeskiej kultury i piśmiennictwa tyczy się też jedna z najnowszych prac prof. Murki, mianowicie oryginalny artykuł *Johannes Hus als Reformator der lateinischen Schrift*[1].

Do tego zakresu działalności d-ra Murki zaliczyć wreszcie musimy szereg drobniejszych, lecz często nader cennych przyczynków historyczno-literackich, bio- i bibliograficznych i krytyczno-sprawozdawczych. Takimi są artykuły o najwybitniejszym romantyku słowieńskim, Francu Prešernie[2], liczne notatki do dziejów słowieńsko-chorwackiego odrodzenia, czyli t. zw. »iliryzmu«, zwłaszcza *Početek Gajevih »Novin« in »Danice«*[3], szkice do epoki odrodzenia Czech i Słowaczyzny, jak np. *Die Literatur zum 100-jährigen Jubilaeum P. J. Safařik's*[4], i w. i., co wszystko, — jak widzimy, — stanowi rozległy materyał pod budowę przyszłego wielkiego dzieła o początkach romantyzmu wśród Słowian i jego zależności od piśmiennictwa niemieckiego.

To dzieło, jak i dwa najnowsze, niedawno w Niemczech ogłoszone, stanowią najcenniejszy dorobek naukowy w dotychczasowej działalności prof. Murki. O pierwszem (»Deutsche Einflüsse« i t. d.), którego właściwie ukazała się dopiero część pierwsza, mowa będzie niżej. Drugie: *Geschichte der älteren südslavischen Literaturen* streściliśmy już obszernie w powyższem sprawozdaniu. Trzecie zaś jest cząstką wielkiego wydawnictwa zbiorowego współcze-

---

[1] Στρωματεις, Grazer Festgabe zur 50. Versammlung deutscher Philologen und Schulmänner. 1909.

[2] W *Ljubljanskim Zvonie* 1891 i »Misli k Prešernovemu životopisu« 1901. r.

[3] Spomen-cvijeće iz hrvatskih i slovenskih dubrava. Zbornik u slavu J. Strossmayera. (Zagreb 1900).

[4] Archiv f. slav. Phil. XVIII. Str. 557—584.

snych językoznawców i historyków piśmiennictw wschodnich p. t.: *Die osteuropäischen Literaturen und die slavischen Sprachen* [1]. Jest to zarazem krótkie i jędrne streszczenie i uzupełnienie »Dziejów połud.-słow. literatur«, doprowadzające je do dni ostatnich. Część prof. Murki obejmuje stron zaledwie pięćdziesiąt (od str. 194—245), przedstawiała więc niesłychaną trudność ujęcia całokształtu dziejów piśmiennictw południowo-słowiańskich w tak ciasno zwarte ramy. A przecież trzeba przyznać, że pokonał prof. Murko tę trudność wcale szczęśliwie, dając rzeczywiście nader przejrzysty przegląd dziejów piśmiennictwa od czasów najdawniejszych do doby dzisiejszej i to nie tylko piśmiennictwa oryginalnego, rodzimego, ale i całej bogatej literatury przekładowej i przeróbkowej.

Ta dokładność i skrupulatność w szczegółach — rzecz prosta — całości nie wyszła na korzyść. Spowodowała pewną suchość w wykładzie, pewne przeładowanie wiadomościami bibliograficznemi, ze szkodą dla strony ideowej piśmiennictwa, co też dało powód niektórym sprawozdawcom, zwłaszcza słowiańskim i czeskim, do pewnych utyskiwań [2].

Utyskiwania te zresztą z wielu względów dadzą się uzasadnić. Najważniejszym dla nas argumentem byłoby to, że autor opisał był już w wydawnictwie Amelanga tak obszernie i szczegółowo dawniejsze epoki piśmiennictw południowo-słowiańskich w dziele Hinneberga, więc powinien był poświęcić więcej uwagi nowszym epokom i to głównie ich stronie ideowej, kulturalno-narodowej i artystycznej, mniejszą kładąc wagę na stronę historyczną i bibliograficzną. Zwłaszcza rozdziały, odnoszące się do najnowszych epok w rozwoju piśmiennictw południowo-słowiańskich, w opracowaniu d-ra Murki pozostawiają niejedno do ży-

[1] ... von A. Bezzenberger, A. Brückner, V. v. Jagić, J. Máchal, M. Murko, F. Riedl, E. Setälä, G. Suits, A. Thumb, A. Wesselovsky, E. Wolter. (*Die Kultur der Gegenwart,* ihre Entwickelung und ihre Ziele, herausgegeben von Paul Hinneberg. Teil I. Abt. IX.) Verlag von B. G. Teubner. Berlin u. Leipzig. 1908. Str. VIII i 396.

[2] Por. recenzyę dr. Jos. Tominška w »Ljubljanskim Zvonie« (1909, III. Str. 182—186), J. Machála w »Čes. Časopisie Histor.« (R. XV, 1909. seš. 4. Str. 469), Gj. Šurmina w »Savremeniku«. (R. III, 1908. Str. 596—8.) i in.

czenia; po części braki te i niedomagania zrozumiałe ze względu na wielką odległość przedmiotu, bądź co bądź obcego dla historyka literatury i filologa, obracającego się przeważnie w epokach dawniejszych, przywykłego do historyczno-filologicznej, starej metody w traktowaniu piśmiennictwa.

Z tych, ogólnego charakteru niedomagań, wyniknęły i pewne usterki i nierówności w szczegółach. Za rażący błąd uważam zbyt powierzchowne traktowanie epoki »iliryzmu« i postaci Gaja, zupełne pominięcie działalności D. Demetra i wielu innych pionierów odrodzenia chorwackiego, a wzmiankę tylko o twórczości Fr. Markovića, którzy, jak i niedawno zmarły Stjepan Miletić, mają i mieć będą zawsze dla chorwackiej sceny i literatury dramatycznej niezmiernie wielkie znaczenie. Ująłbym się też za dwoma wybitnymi dzisiaj pisarzami chorwackimi, którzy niezawodnie będą kiedyś stanowić epokę w dziejach chorwackiej powieści narodowej i nowoczesnego dramatu, a to za Lj. Babić-Gjalskim i Iv. knezem Vojnovićem, na których odpowiednią ocenę brakło autorowi zapewne czasu i miejsca. Również t. zw. szkoła dalmatyńsko-włoska współczesnych poetów chorwackich, cała twórczość bośniacko-hercegowińskiej grupy pisarzy mahometańskich, działalność bułgarskiego poety, Pencza Sławejkowa, zasługiwały na szersze i bardziej wyodrębniające traktowanie. Dosyćby się dało też podnieść zarzutów w stosunku do opracowania literatury słowieńskiej. Z dawniejszych Korytko, z nowszych zaś ani Kettego, ani Zofki Kvedrovej nie powinno się było pominąć.

Słusznie podnosi jeden ze sprawozdawców, prof. N. Petrowskij[1] zarzut, że autor nie zużytkował najnowszych wyników badań nad postacią i działalnością jednej z najważniejszych postaci literatury serbskiej w epoce odrodzenia, Dositeja Obradovića i jego poprzednika, Orfelina[2], tu-

---

[1] Н. Петровкій: Журналъ Минист. Народ. просвѣщенія. 1909. Май. Str. 195 8.

[2] Prace T. Ostojića: *D. Obr. Vlosserjahre.* Д. Обрадович (Нови Сад. 1907) i w Archiv f. sl. Phil. (xxx).

dzież, że nie znał ważnych materyałów d-ra Rajkovića[1], M. Breyera i i.

Pełną natomiast dłonią, a zawsze umiejętnie, czerpał autor z szeregu cennych dzieł historyczno-literackich, które w ostatnich czasach hojnie wzbogaciły dorobek naukowy południowych Słowian. Szczególnie dzieje serbskiego piśmiennictwa znalazły znakomitego rzecznika w niestrudzonem piórze profesora belgradzkiego, Jovana Skerlića, którego Омладина и њена књижевност[2] musiała posłużyć d-rowi Murce za podkład w dziale serbskiego piśmiennictwa.

Z chorwackiej literatury krytyczno-naukowej powinno było ułatwić autorowi znacznie zadanie (zwłaszcza co do epoki »iliryzmu«) obszerne, choć niedość przejrzyste, dzieło prof. Gj. Šurmina p. t. *Hrvatski preporod,* a nadto szereg metodycznych opracowań kilku młodszych pracowników, jak d-ra M. Prohaski, M. Marjanovića, d-ra B. Drechslera i innych.

Niemniej słowieńska starsza i nowsza krytyka historyczno-literacka dostarczyła obfitego materyału. Prócz dawniejszych dziejów piśmiennictwa, d-ra K. Glasera, prac d-ra I. Tominška i innych, ważne źródło stanowił *Trubarjev Zbornik* w redakcyi d-ra Frana Ilešiča, tudzież drobniejsze artykuły i rozprawy jego, jak i d-ra Merhara, Šlebingera, Prijatelja i innych.

(Dok. n.)

Tad. Stan. Grabowski.

---

[1] Градја за историју штампарија у Срба. (Летоп. Мат. Срп. CXVII. 126.)— M. Breyer: Prilozi. j. w.

[2] 1848—1871. Изучаваньа о националном и књижевном романтизму код Срба. (У Београду. 1906. Str. XV, 557.) Cenne też uwagi czerpał autor z jego szkiców p. t. Писци и књиге. Београд. I. (1907) II. (1907) III. (1908). Nieznaną mu natomiast była jeszcze inna praca, pełna ciekawych odkryć, p. n. Француски романтичари и српска народна поезија. (Mostar. 1908. Str. 79.) Chorwacki recenzent Murki dr. Drechsler powołuje się nadto na nieznaną mi książkę Skerlića: *Srpska književnost u XVIII vijeku,* którą uważa, obok »Omladiny« tegoż autora i Murkowej »Historyi literatur południowo-słowiańskich«, za najdonioślejsze zdobycze naukowe na słowiańskiem południu.

Nie mógł też autor korzystać z krótkiego, ale bardzo treściwego i obfitego w materyał podręcznika P. Popovića, który ukazał się dopiero w ub. roku p. t.: Преглед српске књижевности. (Београд. 1909. Str. XXI+486.)

OSTATNIE DZIESIĘCIOLECIE ARCHEOLOGII CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

(Dokończenie).

Tą samą sztukę oglądamy w wielkich dwu katalogach zabytków muzeum w Kairze, wydanych przez angielskiego uczonego Crum'a i wiedeńskiego obecnie profesora Strzygowskiego. Crum w swych *Coptic Monuments* (Kairo 1902) podaje przeszło 300 stel koptyjskich, czyli nagrobkowych kamieni chrześcijańskich; Strzygowski w swej *Koptische Kunst* (1904), wydał bogato illustrowany opis zabytków, objętych w muzeum numerami 7001 do 7394 i 8742 do 9200. Obydwa te katalogi dają nam dokładny obraz sztuki koptyjskiej, o której tu słów kilka na podstawie ostatniej literatury. Pisali o niej w ostatnich czasach, prócz Strzygowskiego, Maspero[1] i Gayet w dziele p. t. *L'art copte* (Paryż 1902). Wszyscy ci trzej uczeni godzą się w tym punkcie, że sztuka koptyjska nie miała żadnego wpływu na początki sztuki arabskiej; jednak w określeniu genezy i istoty sztuki koptyjskiej różnią się zasadniczo. Maspero i Gayet uważa ją za nowe odżycie sztuki egipskiej, dokonane pod wpływem chrześcijaństwa i artystycznych tradycyi Bizancyum. Określają ją zatem jako prowincyonalną odmianę sztuki bizantyńskiej. Inaczej Strzygowski. W zabytkach koptyjskich widzi mieszaninę elementu egipskiego, greckiego i syryjskiego. Ta właśnie mieszanina jest stylem koptyjskim. Egipski

[1] *Guide du visiteur au musée du Caire.* Cairo 1902.

element przejawia się w duchu i technice artysty koptyjskiego, element grecki w typach form, a syryjski w ornamentacyi. Nie decyduje tu zatem wcale treść chrześcijańska. Sztuka koptyjska rodzi się już w epoce helleńskiej i rzymskiej, a chrześcijaństwo z czasów Konstantyna znajduje ją już w pełnym rozwoju. O wpływie Bizancyum nie może być mowy. Konstantynopol w epoce przedarabskiej zapożyczał się raczej od Egiptu, a nie przeistaczał go swymi wpływami. Egipt nie przyjął od Bizancyum żadnych symbolów ani nowych typów formy artystycznej, owszem, zapomocą żywych stosunków między ogniskami egipskich mnichów a resztą ówczesnego świata chrześcijańskiego, roztaczał swój wpływ wszędzie. Nawet na Północy można się nierzadko spotkać ze śladami koptyjskiej szkoły, jak to Strzygowski stwierdził na niektórych zabytkach w Trewirze i Akwisgranie. Olbrzymia znajomość zabytków wschodnich u Strzygowskiego, wielka ścisłość jego metody, skłaniają wielce do przyjęcia zapatrywań Strzygowskiego na problematyczną jeszcze i niedość poznaną sztukę koptyjską. Zalet tych, a zwłaszcza ścisłości metody, brak książce Gayet'a. Uczony ów dał się unieść swemu zamiłowaniu do staroegipskiej mytologii i widzi ją prawie we wszystkich objawach kultu i sztuki chrześcijańskiej. Zdaniem jego Koptyjczyk nie uważał chrześcijaństwa za zupełnie nową religię, ale tylko za nową inkarnacyę staro-egipskich wierzeń i mytów. Wydane atoli przez Crum'a i Strzygowskiego katalogi, są najlepszem osłabieniem tak daleko idących wniosków.

Inny katalog wydał w 1906 r. ks. Józef Wittig p. t. *Die altchristlichen Skulpturen im Museum der deutschen Nationalstiftung am Campo Santo in Rom.* Jest to zatem opis zabytków staro-chrześcijańskiej plastyki, zgromadzonych w młodem jeszcze muzeum na *Campo Santo.* Dzięki zapobiegliwości mons. de Waal'a wzbogaciło się to muzeum w ostatnich dziesiątkach lat wcale pokaźnie, zebrało dość rzadkie zabytki. Wydawca sklasyfikował je w 5 grup i omówił wystarczająco każdy zabytek z osobna. Co przedewszystkiem w jego katalogu uderza, to datowanie pomienionych pomników sztuki, oparte na innych zasadach, jak to dotychczas było w zwyczaju. Nie możemy tu pominąć milczeniem

tej kwestyi, bo należy ona bezwątpienia do rzędu zagadnień podstawowych w archeologii chrześcijańskiej, tu i ówdzie poruszonych. Już Weis-Liebersdorf w pracy, o której niżej, wyraził stanowczo swe niedowierzanie dotychczasowej chronologii rzeźby starochrześcijańskiej. Strzygowski, omawiając dzieło Weis-Liebersdorfa[1], przychylnie przyjął ów śmiały krok. Dopiero atoli Wittig obszerniej wypowiedział się w tej kwestyi i zajął jasno wrogie stanowisko wobec dotychczasowej opinii, jakoby plastyka staro-chrześcijańska nie istniała przed połową w. III, jakoby największa część ze znanych dotąd pomników rzeźby, pochodziła z czasów pokonstantyńskich. Oto główny bieg jego myśli. Chrześcijaństwo zerwało zaraz w swych początkach z dawną tradycyą palenia zwłok. Wkrótce i pogański Rzym przejmuje zwyczaj grzebania zwłok; zaczyna się w Rzymie plastyka sarkofagowa. Naturalnie zatem mogła się rozwijać równorzędnie z plastyką pogańską i chrześcijańska. Pozorną tylko trudność przedstawia przeceniana dotąd opinia, że chrześcijańska plastyka nie mogła się rozwijać w czasach prześladowań tak swobodnie, jak chrześcijańskie malarstwo w ciemnych i ukrytych katakumbach. Nowsze badania wykazały, że i przed Konstantynem były dość długie okresy, wolne od prześladowań. Zresztą i plastyka mogła się również, choć w mniejszym stopniu jak malarstwo, taić przed okiem wroga. Reliewy na łuku Konstantyna, wyraz sztuki IV w., również stoją swym stylem w sprzeczności z dotychczasową chronologią sarkofagów. Wiele zatem sarkofagów, przewyższających swym artyzmem reliewy łuku Konstantyna, należy bezwarunkowo odnieść do wieku III, mimo wyraźnie chrześcijański charakter przedstawianych na nich scen. Artysta z czasów Konstantyna już nie był w stanie tworzyć w tak wykwintnym stylu. Do tych samych wyników prowadzi porównanie chrześcijańskich sarkofagów z pogańskimi. Nie można powiedzieć, że Wittig rozwikłał w zupełności problem chronologii zabytków plastyki chrześcijańskiej, ale wniósł bezsprzecznie wiele światła w tę kwestyę i za-

[1] *Beilage zur Allgemeinen Zeitung.* 19 stycznia 1903 r.

chwiał poważnie dotychczasowe na nią poglądy. Przyszłość powie nam o tem więcej.

Inną drogą, niż wspomniani wyżej wydawcy zabytków, poszedł zasłużony bardzo, niedawno zmarły archeolog, Graeven. Podczas gdy tamci wydawali katalogi zabytków, zgromadzonych w jakiemś jednem muzeum, Graeven wydał zbiór wyrobów z kości słoniowej, rozrzuconych po różnych muzeach. Jego *Frühchristliche und mittelalterliche Elfenbeinwerke*, wydane w dwu seryach, obejmują zabytki ze zbiorów angielskich (wyd. w r. 1898) i włoskich (1900 r.). Przeszło 150 fotografii, objaśnionych komentarzem autora z dodaniem całej dotychczasowej literatury o każdym zabytku — to nad wyraz cenna pomoc, jaką wyświadczył Graeven dalszym badaniom. Może wreszcie i wyrób z kości słoniowej, ta ważna gałąź sztuki staro-chrześcijańskiej, zwróci na siebie baczniejszą uwagę uczonych. Dotychczas bowiem niewiele prac poświęcono temu przedmiotowi [1], mimo, że wyroby z kości słoniowej są, obok wyrobów z drogich kamieni, prawie jedynym świadkiem staro-chrześcijańskiej plastyki po zamarciu plastyki sarkofagowej. Okoliczność wymieniona podnosi wielce wartość i znaczenie katalogu Graeven'a dla nauki.

Wspomnijmy na tem miejscu także o pracy O. Grizara T. J., wydanej w r. 1908 p. t. *Die römische Kapelle »Sancta Sanctorum« und ihr Schatz*. Kaplica *Sancta Sanctorum*, tak nazwana przez wzgląd na liczne w niej nagromadzone relikwie, była przez długie wieki domową kaplicą papieży, za ich pobytu w pałacu lateraneńskim. Wieki bogaciły ją w cenne skarby sztuki chrześcijańskiej, stworzyły z niej pewnego rodzaju święte muzeum. Zwłaszcza ukryta w ołtarzu jej cyprysowa skrzynia, widziana przez żelazne kraty ołtarza, nęciła już od dawna uczonych nimbem swej tajemniczości. Wreszcie udało się O. Grizarowi uzyskać od Piusa X pozwolenie otwarcia tej skrzyni i odsłonienia jej zabytków przed światem nauki. Książka powyższa zaznajamia nas z nimi i mieści w sobie ich reprodukcye. Są to przeważnie zdobne

[1] W ostatnich czasach Stuhlfauth w swej *Altchristl. Elfenbeinplastik* (1896) uczynił pierwszy krok w tej dziedzinie. To też praca jego nosi na sobie dość wybitne piętno pierwszej próby.

w reliewy relikwiarze ze srebra, kości słoniowej lub drzewa. Uderza nas przedewszystkiem relikwiarz w kształcie krzyża ze scenami życia Chrystusa Pana, emaliowanemi na wszystkich ramionach krzyża, jakoteż przepiękna owalna puszka srebrna, na której nakrywie widnieje reliew adoracyi krzyża przez aniołów rozmodlonych. Niezmiernie cenną zdobyczą są także liczne, kosztowne, tkane materye, które służyły do owijania relikwii. Jedwab ze sceną zwiastowania Najśw. Maryi Panny, uważają znawcy za najlepszy i najpiękniejszy okaz ze wszystkich dotąd znanych tkanin z tą sceną. Wielkie odkrycie O. Grizara ma zatem niezwykle doniosłe znaczenie dla nauki. Dawne niezbadane tajemnice kaplicy *Sancta Sanctorum* mają już pokaźną literaturę, rozprószoną po naukowych czasopismach. Uzupełnieniem do książki Grizara jest francuska publikacya Lauer'a *Le Trésor du Sancta Sanctorum* (Paryż 1907), z licznemi illustracyami i obszernym komentarzem.

Tak zatem wydawnictwo pomników staro-chrześcijańskiej sztuki, podjęło ostatnie dziesięciolecie w bardzo obszernych granicach. Niemal kilka tysięcy zabytków, rozrzuconych po europejskich i poza-europejskich muzeach, oddało do wygodnego, podręcznego użytku. Nie wątpić, że przyczyniło się przez to niepomiernie do szybszego jeszcze, niż dotychczas, rozwoju archeologii chrześcijańskiej. I z tego względu można je uważać za istotnie niezwykłe dziesięciolecie. Owocami jego wydajnej pracy będą się żywiły długo następne badania.

W szeregu wydanych ostatnimi laty pomocniczych środków do nauki archeologii, zajmuje jedno z naczelnych miejsc wydawana od r. 1903 encyklopedya archeologii chrześcijańskiej p. t. *Dictionnaire d'archeologie chrétienne et de liturgie*. To wydawnictwo angielskich Benedyktynów nosi na sobie cechy prawdziwie średniowieczo-benedyktyńskiej sumienności i pracowitości. Rośnie ono wprawdzie bardzo wolno, bo obecnie jest dopiero w początkach litery C, mimo że już opuściło prasę prawie 5000 kolumn gęstego i drobnego druku, ale będzie w całem znaczeniu słowa dziełem monumentalnem. O omawianych przedmiotach czyta się tu nie zwykłe, encyklopedyczne artykuły, ale wprost wyczerpujące monografie. Wyczerpująca literatura, odnosząca się do poszczegól-

nych zagadnień, obfity zasób rycin w tekście, których już do dziś dnia podano niespełna 2000, daje wyobrażenie, jak walną usługę świadczą nauce Benedyktyni swoją publikacyą. Zaradzają potrzebie, jaką już z dawna odczuwano, gdyż wzorowe encyklopedye Krausa i Martigni'ego były już przestarzałe wobec nowych odkryć i badań.

Do tej klasy wreszcie wydawnictw archeologicznych zaliczyć także wypada pojawienie się kilku podręczników archeologii chrześcijańskich, skreślonych przez znane powagi w świecie tej nauki. Znaczenie podręczników dobrych w początkach zwłaszcza rozwoju jakiejś nauki, jest niewątpliwie bardzo doniosłe. Dzięki podjętym wysiłkom ostatnich lat w tym kierunku i archeologia chrześcijańska będzie mogła wkrótce zwiększyć koła swych miłośników, przestanie być tajemnicą szerszych warstw [1].

Trzeci kierunek, w jakim się rozwijał wydawniczy ruch omawianego tu dziesięciolecia — to dążność do naukowej syntezy w olbrzymim labiryncie pomników staro-chrześcijańskiej sztuki. Wyśledzić w rozległym lesie zabytków pokrewne sobie grupy; naszkicować linie ich rozwoju od pierwszych brzasków tworzącego je pomysłu artysty, do ostatnich kresów tającej się w nich myśli; wykrzesać z nich światło, któreby nam oświetliło religijne i społeczno-kulturalne stosunki pierwszego chrześcijanina — to najwdzięczniejsze pole studyów archeologicznych. Istotnie wiele pracowano w ostatnich latach na tem polu. Zapełnione artykułami tego rodzaju wszystkie czasopisma, poświęcone archeologii i sztuce; wcale liczne również monografie należałoby nam wymienić, gdybyśmy chcieli podać dokładny obraz tego kierunku archeologicznej pracy ostatniej doby. Musimy jednak poprzestać na wymienieniu paru zaledwie dzieł.

---

[1] Dla wygody czytelników podajemy spis ważniejszych podręczników. Ks. Bilczewski: »Archeologia chrześcijańska« 1890; A. Pératé: *L'archéologie chrétienne.* Paryż 1892; Marucchi: *Éléments d'archéologie chrétienne.* Trzy tomy. Rzym 1900 i nast.; Dom H. Leclercq: *Manuel d'archéologie chrétienne.* T. I, II. Paryż 1907; Kaufmann: *Handbuch der christlichen Archäologie.* Paderborn 1905; P. Syxtus O. C. R.: *Notiones archeologiae christianae, disciplinis theologicis coordinatae.* Rzym. Dotąd wyszły dwa tomy.

Bardzo ciekawą np. pracę o zabytkach, odnoszących się do życia małżeńskiego pierwszych chrześcijan napisał Pelka p. t. *Altchristliche Ehedenkmäler*, 1901; pisano także wiele o przedstawianiu Bożej Rodzicy w sztuce chrześcijańskiej [1]. Podkreślić szczególnie należy dzieło Munz'a: *Iconografia della Madonna. Studio delle rappresentazioni della Vergine nei monumenti artistici d'Oriente e d'Occidente*, 1905. Dawson opracował monografię nad zabytkami z przedstawieniem Narodzenia Chrystusa Pana [2]; szczegół to z życia Zbawiciela, który artysta chrześcijański otoczył niezwykle głębokim symbolizmem.

Problemem, który ważniejszą rolę odegrał w ostatniej literaturze, to problem typów postaci Chrystusa Pana w sztuce staro-chrześcijańskiej. Zajmowali się nim French [3], Bayliss [4], Dobschütz [5]. Narzucimy tu w głównych liniach ów problem według książki, która również zastanawia się nad typami apostołów [6].

Wiadomo, że sztuka staro-chrześcijańska znała dwa różne typy Chrystusa. Na zabytkach trzech pierwszych wieków występuje Chrystus Pan w postaci pięknego młodzieńca, podczas gdy od w. IV przybiera postać dojrzałego mężczyzny, obdarzonego gęstym porostem. Jak powstały te różne typy, co spowodowało przemianę pierwszego w drugi? — oto jądro zagadnienia. Czemu w trzech pierwszych wiekach sztuka w postaci Chrystusa tak znacząco podkreśla jego młodzieńczość i piękność, kiedy cała kościelna literatura tych czasów, wzorując się na opisie cierpiącego Mesyasza u Izajasza (r. 52—53), wyraźnie mówi o niepokaźnym i niepięknym zewnętrznym wyglądzie Jego. Skąd ta sprzeczność między sztuką a literaturą? Autor w odpowiedzi zwraca uwagę na bogatą ówczesną literaturę apokryficzną gnostyczną i czysto

---

[1] Venturi: *La Madonna. Svolgimento artistico delle rappresentazioni della Vergine.* 1900; Iameson: *Legends of the Madonna as represented in the Fine Arts.* 1903.

[2] *Christmas. Its origin and associations.* 1903.

[3] *Christ in Art.* 1900.

[4] *Rex regum. A painter's study of the likeness of Christ from the time of the Apostels to the present day.* 1902.

[5] *Christusbilder.* 1900.

[6] Weiss-Liebersdorf: *Christus- und Apostel bilder* 1902.

chrześcijańską, w której Chrystus Pan we wszystkich cudownych zjawieniach się występuje, jako młodzieniec uroczy i piękny, która wprost daje Mu przydomek: Piękny. Ta właśnie literatura, zdaniem autora, wywarła, przez swą powszechną poczytność, tak olbrzymi wpływ na sztukę, iż odstąpiła w tym punkcie od przeciwnego zdania pisarzy kościelnych. A jak powstał typ drugi? Modelami jego były przedstawienia bóstw pogańskich, odpowiadają niektórzy uczeni protestanccy, którzy mają zwyczaj wiele mówić o zalewie chrześcijaństwa przez wpływy pogańskie w w. IV. Uczeni jednak również protestanccy, Schultze i Hauck zaprzeczają stanowczo temu zapatrywaniu. Autorowi nie wydaje się także prawdopodobnem, żeby typ ów był wytworem realistycznego więcej kierunku sztuki w IV w. Wpływową rolę miały tu odegrać ludowe opowiadania o wyglądzie Chrystusa Pana i legendy o znajdującym się gdzieś portrecie Jego, które już w czasach Konstantyna przeradzają się w powszechne poszukiwania za onym portretem. Zwolna pojawiały się tu i ówdzie obrazy, którym lud nadawał bardzo dawny początek, które też dlatego wielką czcią otaczał— i tak typ ów utrwalał się coraz bardziej, zwłaszcza, że rosła też równocześnie apokryficzna literatura o tych obrazach. Przyznać atoli trzeba, że i po tej próbie autora, geneza drugiego typu Chrystusa Pana nie jest zadowalająco wyświetlona.

W drugiej części swego dzieła autor stwierdza, że typ św. Pawła o wiele prędzej się ustalił od typu św. Piotra, podczas gdy typologia innych apostołów w staro-chrześcijańskiej sztuce jeszcze nie istniała.

Pomijamy wiele innych prac natury syntetycznej z zakresu chrześcijańskiej archeologii, by zakończyć owo sprawozdanie choć krótką tylko wzmianką o sporze, który się jeszcze nie rozegrał, lecz w ostatniem dziesięcioleciu zaognił się w wysokim stopniu pod wpływem prac Strzygowskiego [1]. Jakkolwiek się ów spór zakończy, to jednak już dziś należy się wdzięczność Strzygowskiemu, że postawił na ostrzu miecza najważniejsze ogólnego cha-

[1] *Byzantinische Denkmäler* I—III; *Orient oder Rom; Hellenistische und koptische Kunst in Alexandria; Kleinasien* i t. d.

rakteru zagadnienie na polu archeologii chrześcijańskiej. Każde z przytoczonych w przypisku dzieł Strzygowskiego stara się być odpowiedzią na jedno to pytanie: Gdzie jest kolebka sztuki chrześcijańskiej. Dotychczas utarło się zdanie, w ostatnich jeszcze latach uzasadniane przez wiedeńskich uczonych Wickhoffa i Riegla, że w Rzymie zrodziła się sztuka chrześcijańska, skąd następnie zawładnęła całym ówczesnym chrześcijańskim światem. Już Kraus rolę przewodnictwa w sztuce przeniósł na Egipt, a zwłaszcza na Aleksandryę. Strzygowski widzi kolebkę sztuki chrześcijańskiej na Wschodzie. *Ex Oriente lux* — oto *motto* wszystkich prac jego. Jak się przedstawiają jego poglądy?

Strzygowski podzielił liczne zabytki architektury w Małej Azyi, a zwłaszcza w bogatej w ruiny dawnych kościołów Binbirkilissie na pewne grupy, jak bazylika sklepiona, bazylika kopułowa, krzyżowo-kopułowa i poligonalna. Są to zatem typy, które w Azyi Mniejszej pojawiły się już w w. IV—VI, podczas gdy na Zachodzie przyjęły się dużo później. A więc Wschód tworzył, Zachód tylko naśladował. Ale te zabytki azyatyckie nie mają bynajmniej jednolitego charakteru. Są one synkretyzmem wpływów helleńskich, egipskich, syryjskich i lokalnych. Stało się to drogą bardzo naturalną. W pierwszych wiekach naszej ery panowała na Wschodzie sztuka hellenistyczna, ale nie zgłuszyła bynajmniej tętna indywidualnego życia artystycznego prowincyi wschodnich: Azyi Mniejszej, Syryi, Egiptu. Owszem, lokalna sztuka przeobraża w wielu zasadniczych szczegółach formy hellenistyczne. Chrześcijaństwo budzi w tych krajach wielką żywotność sztuki przez stworzenie nowych potrzeb i warunków. Trzeba było nowych miejsc i budowli na zebrania liturgiczne, trzeba było wznieść piękne *martyrion* nad świętemi zwłokami męczennika, więc wybiła nowa godzina dla miejscowej architektury. Tworzy się zatem wcale rychło w pojedyńczych krajach Wschodu styl, który jest skojarzeniem form tubylczych z formami hellenistycznemi. W Azyi Mniejszej, tym naturalnym pomoście pochodu ludów Wschodu ku Zachodowi, spotykają się wszystkie te prądy, zlewają się w styl jeden, w najwyższym stopniu synkretystyczny i szerzą się na całym Zachodzie. Rzym nie odgrywa żadnej roli twórczej w ro-

dzeniu się nowej sztuki. Owszem, przez pośrednictwo Rawenny i Medyolanu sam ulega i poddaje się jej wpływowi. Jeżeli w Rzymie znajdują się nierzadko współczesne, analogiczne do wschodnich, formy, to trzeba to tłumaczyć wspólnym Wschodowi i Zachodowi podkładem sztuki hellenistycznej.

Co sądzą o zapatrywaniach Strzygowskiego inni uczeni? Stwierdzić musimy, że jeszcze wielu z nich utrzymuje się na dawnem stanowisku. Między innymi włoski uczony Rivoira stara się w swem poważnem dziele o początkach architektury lombardzkiej[1] wykazać, że styl lombardzki jest autochtonicznym tworem włoskim, który stał się z czasem węgielnym kamieniem całej sztuki romańskiej. Jednak i Rivoira nie przeczy, że rzeźba ziem włoskich wykazuje silne wpływy Wschodu. Na tym punkcie łączy się i on z większością uczonych, którzy w zasadzie przyjmują całą teoryę Strzygowskiego. Rozwijające się i potęgujące z rokiem każdym badanie Wschodu rokuje blizkie wyświetlenie tak poważnego zagadnienia archeologii chrześcijańskiej.

Pozostanie to również wielką chlubą ostatniego dziesięciolecia archeologii chrześcijańskiej, że zwróciło baczniejszą uwagę świata uczonych na Wschód.

Ks. Karol Feliś.

---

[1] *Le origini della architettura lombarda.* Rzym 1901.

DARWIN I JEGO DZIEŁO.

Według darwinizmu walka o byt i dobór naturalny są temi potężnemi dźwigniami rozwoju życiowego. Lecz walka o byt nie może nam tłumaczyć całego szeregu faktów. Jakim np. sposobem ma nam ten czynnik wyjaśnić powstanie ślicznych kształtów, rysunków i kolorów, jakie podziwiamy u rozmaitego rodzaju muszli, liści, motyli i t. d.? Lub skąd rozmaita ilość pręcików lub listków w różnych kwiatach? Skąd tak często zachodząca w przyrodzie proporcya złotego kroju? Skąd to dostosowanie rozlicznych organizmów nie dla ich własnej korzyści, lecz dla korzyści innych, a nawet wrogów śmiertelnych? Skąd wogóle ta dziwna estetyka w przyrodzie, będąca wciąż nowym i nigdy niewyczerpanym przedmiotem naszego podziwu?

I czy na prawdę walka o byt przyczynia się do zwycięstwa organizmów doskonalszych? Bierzemy np. pasorzyty wszelkiego rodzaju, które dziwną mają wytrwałość i zdolność do adaptacyi nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt i roślin! Przecież zdaje się, że właśnie istoty o najprostszej budowie są najlepiej zaopatrzone na drogę życiową. Przeciwnie, im większe rozróżniczkowanie narządów, tem większe są wymagania, tem trudniejsze do zaspokojenia potrzeby, tem większe niebezpieczeństwo uszkodzenia.

Według teoryi Darwina dziedziczność odgrywa bardzo wielką rolę w świecie przyrody. Lecz i tu musiały następne badania znacznie ograniczyć doniosłość tego rzekomo wszechpotężnego

czynnika. Liczni uczeni, nawet skądinąd zwolennicy Darwina, jak His, Götte, Weismann, Brooks zaprzeczają, jakoby własności indywidualne dopiero nabyte podlegały prawu dziedziczności. Prócz tego zwracają uwagę na to, że dziedziczność istniejąca w rzeczy samej w przyrodzie nie jest tak ogólną, jak darwiniści twierdzą, i że nie objawia się we wszystkich kierunkach. John Sebright otrzymał przy swoich eksperymentach najrozmaitsze i to nieraz najdziwaczniejsze formy gołębi; ale przecież były to zawsze gołębie. Darwiniści twierdzą, że nieubłagana walka o byt wytwarza waryacye korzystne dla danej jednostki i że te waryacye przez dziedziczność się gromadzą i potęgują. Lecz i na tym punkcie nie szli tyle za ścisłem doświadczeniem, ile za aprioryczną, przychylną im teoryą. Własności bowiem nabyte w walce o byt są dość nieznaczne. Walka o byt przyczynia się do wzmocnienia i hartowania organizmu, lecz trudno twierdzić, że wywołuje zupełnie nowe własności.

Wogóle stosunek dziedziczności do waryacyi jest jednym z najsłabszych i najdrażliwszych punktów w darwinizmie. Waryacya dąży do coraz to większego oddalania się od typu pierwotnego; dziedziczność zaś jest czynnikiem na wskroś konserwatywnym. Waryacya ma służyć do wytworzenia nowych, dla walki o byt korzystnych odmian; dziedziczność ma te korzystne odmiany ustalić, przekazać potomkom i w ten sposób powiększyć. Lecz jakim dziwnym sposobem dzieje się to, że waryacya i dziedziczność zlewają się w jeden jedyny proces harmonijny, wybierający właśnie te własności i odmiany, które są najbardziej celowe? Bo pamiętajmy o tem, że darwinizm odrzuca wszelkie czynniki celowe, że pracuje środkami czysto mechanicznymi! Ze stanowiska darwinizmu niema innej odpowiedzi na tę trudność, jak odwołanie się do przypadku; przypadek zaś jest śmiercią wszelkiej nauki.

Zresztą gdyby wszystkie własności wyższe i później występujące były tylko wynikiem walki o byt, waryacyi i dziedziczności, możnaby je pojąć jako sumę drobnych odmian. Lecz właśnie to jest rzeczą zgoła niemożliwą. Jakim naprzykład sposobem można sobie wyobrazić typ kręgowców jako sumę drobnych od-

mian? Albo oddechanie płucami, phanerogamię, wzrok, czucie, myśl i t. d.?

* * *

Tak moglibyśmy jeszcze długi szereg trudności wyliczyć. Lecz szczegółowa analiza naukowa nie wchodzi w zakres dzisiejszej pracy. Natomiast nie mogę tu pominąć jednej kwestyi, łączącej się ściśle z nazwiskiem Darwina i z dzisiejszemi pojęciami o darwinizmie, kwestyi mianowicie o stosunku darwinizmu do człowieka.

Czy Darwin wciągnął także człowieka w ten powszechny proces ewolucyi organicznej? A jeżeli tak jest, czy dał jakieś dowody prawdziwie naukowe na pochodzenie człowieka od zwierząt? Na te dwa pytania musimy jeszcze odpowiedzieć.

Wspomniałem już wyżej, że w pierwszych pracach swoich Darwin pominął zupełnie ten punkt bądź co bądź dość drażliwy i delikatny. Dopiero w r. 1871 wystąpił z dziełem mającem jako główny przedmiot kwestyę pochodzenia człowieka: *The descent of man and selection in relation to sex.* Widzimy tu, że się w przeciągu długoletniej pracy pojęcia Darwina coraz jaśniej wyrobiły, bardziej skrystalizowały i uogólniły. Albowiem w dziele o pochodzeniu człowieka Darwin niema innego celu, jak opierając się na badaniach i hipotezach w dziele o powstawaniu gatunków zawartych wykazać, że i człowiek także nie jest wyjęty z pod ogólnego prawa ewolucyi organicznej i selekcyi naturalnej, że i człowiek także nie tylko z ciałem, ale i z duszą, ze zdolnością czucia, chcenia i myślenia, z całym ustrojem swoim intelektualnym, moralnym i religijnym, jest tylko wynikiem doboru naturalnego, walki o byt i korrelacyi wzrostu. A więc Darwin chce wykazać, że człowiek jest tylko wysoko rozwiniętym potomkiem pierwotnych organizmów, że niema zatem żadnej istotnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem.

Jak udowadnia Darwin swoją tezę?

Musimy przyznać, że Darwin sobie pracę tę bardzo ułatwia. Nasamprzód przyjmuje wszystkie hipotezy postawione w dziele o powstawaniu gatunków jako udowodnione i pewne. Następnie

dzieli pytanie o pochodzeniu człowieka tak samo jak ogólny problem ewolucyi na dwa pytania, na kwestyę faktu i kwestyę przyczyn. Kwestyi faktu, t. j. czy człowiek rzeczywiście pochodzi od zwierząt, poświęca tylko pierwszy rozdział pierwszej części. Widać, że Darwin jest z góry już przekonany o fakcie pochodzenia człowieka, skoro bez głębszej krytyki przytacza homologiczne twory u człowieka i zwierząt, różne podobieństwa w budowie ciała, twory rudimentarne i t. d. jako dostateczne dowody na swoje twierdzenie.

Wiadomo, że dziś jeszcze, po tylu usiłowaniach materyalistów i ewolucyonistów, kwestya ta nie jest rozstrzygnięta, że wszystkie fakta, na jakie się nauki przyrodnicze powołują, co najwyżej do tego wniosku uprawniają, że może człowiek powstał z jakichś niższych form organicznych. W każdym razie wniosek Darwina o rzeczywistem pochodzeniu człowieka od zwierząt jest przedwczesny i nieuzasadniony, gdyż wszystkie fakta przytoczone mogą mieć rozmaite inne przyczyny prócz tej jednej przez Darwina przyjętej. A wniosek ten jest wprost fałszywy i nielogiczny, jeżeli stąd Darwin wyciąga dalszy wniosek: a więc człowiek pochodzi cały od zwierząt, nie tylko ciałem, ale i duszą. Chociażbyśmy bowiem na razie przypuszczali, że fakta przez Darwina przytoczone są niezbitym dowodem na rzeczywiste pochodzenie człowieka, odnosiłyby się zawsze i wyłącznie tylko do strony somatycznej, fizycznej człowieka, nie zaś do jego strony psychicznej. Rozumowanie Darwina możnaby krótko tak przedstawić: udowodniłem na podstawie podobieństwa w budowie ciała, tworów homologicznych i t. d. i t. d., że różne gatunki roślin i zwierząt są pomiędzy sobą pokrewne, że jedne pochodzą od drugich, że więc cały świat roślinny i zwierzęcy jest jedną wielką rodziną zespoloną najściślejszymi węzłami rzeczywistego pokrewieństwa. Gdy zaś bierzemy pod uwagę fizyczną budowę człowieka, widzimy tu te same zjawiska, co u zwierząt. A więc i człowiek jest ze zwierzętami spokrewniony i od nich pochodzi. Zatem niema istotnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem; a więc i dusza jego, jego zdolności umysłowe, moralne i religijne są tylko

wyżej rozwiniętą formą życia psychicznego, jakie i u zwierząt znajdujemy.

Atoli w tem rozumowaniu jest cały szereg niedokładności a nawet błędów logicznych. Nasamprzód widzielimy już, że teorya Darwina o pochodzeniu gatunków jest raczej nieuzasadnioną hipotezą aniżeli naukową teoryą. Wniosek zatem o pochodzeniu człowieka jest hipotezą do drugiej potęgi i ma jeszcze mniejsze znaczenie naukowe. Wreszcie wniosek o pokrewieństwie psychicznem z pokrewieństwa fizycznego jest wprost błędem logicznym, jest μετάβασις εἰς ἄλλο γένος. Mamy tu bardzo ciekawy przykład, powtarzający się zresztą nieraz w historyi nauki i filozofii, jak pod wpływem powziętej z góry hipotezy same nawet fakta doświadczeniu naszemu bezpośrednio przystępne się paczą i w fałszywem przedstawiają świetle. Zamiast bowiem wprost porównać życie psychiczne człowieka z życiem psychicznem zwierząt i stąd najpierw wnioskować o możliwości wogóle pochodzenia pierwszego od drugiego, Darwin zamyka oczy na tę rzeczywistość, i zajęty jednostronnie myślą o ewolucyi organicznej, uważa życie psychiczne za dodatek tylko zupełnie podrzędny, za jakieś ἐπιφαινόμενον, za funkcyę konieczną i jednoznaczną zmian fizycznych i fizyologicznych. Tak więc przyjmuje, choć prawdopodobnie bez całkowitej świadomości, pogląd materyalistyczny jako istotną podstawę swej teoryi o pochodzeniu człowieka. Jeżeli zaś którykolwiek pogląd na życie psychiczne jest fałszywy, to właśnie przedewszystkiem, i na pierwszem miejscu pogląd materyalistyczny. Materyalizm nie jest nawet w stanie pojąć, czem jest życie psychiczne, bo sam rdzeń jego nauki wyrasta z zupełnego wywrócenia prawdziwego porządku rzeczy. Albowiem właśnie tą jedyną rzeczywistością, którą bezpośrednio i niejako w istocie swojej znamy, jest nie materya, nie świat fizyczny, ale duch, czucie, chcenie i myślenie. Jakim więc sposobem może sądzić o tem, czy istnieje rzeczywiste pokrewieństwo między psychiką człowieka a zwierzęcia? Napróżno zwrócimy mu uwagę na to, że zdolność wolnego wyboru, zdolność tworzenia pojęć oderwanych, zdolność sądzenia i rozumowania, zdolność mowy, zdolność wreszcie do życia moralnego i religijnego nieda się żadną miarą, żadną zgoła ewolucyą wyprowadzić

z prostej i bezpośredniej psychyki zwierząt: materyalizm jest ślepy na te olbrzymie różnice. Widząc tylko z jednej strony pewne zewnętrzne i częściowe podobieństwo, z drugiej zaś strony będąc przekonanym o pokrewieństwie organicznem, musi wnioskami swoimi objąć całe także życie psychiczne. Cały rozdział trzeci, czwarty i piąty pierwszej części wspomnianego dzieła Darwina jest klasycznym przykładem takiego zaślepienia materyalistycznego. Ustępy te, w których Darwin z dziwnie naiwnym i bezkrytycznym antropomorfizmem mówi o pokrewieństwie życia intellektualnego i moralnego u człowieka i zwierząt, objawiają rażący brak wszelkiego wyszkolenia psychologicznego i filozoficznego. Jakim naprzykład sposobem można z faktu, że u zwierząt znajduje się dostosowanie użytych środków do celu, wyciągnąć wniosek, że i zwierzęta myślą, ponieważ my ludzie przeważnie zapomocą rozumowania wybieramy środki odpowiedne wytkniętemu celowi? Lub jakim prawem można z instynktu społecznego zwierząt wnioskować, że całe nasze życie społeczne, prawne i moralne jest tylko dalszym tego instynktu rozwojem? Wszędzie suponuje Darwin właśnie to, co nam miał dopiero udowodnić. Tak naprzykład czytamy na stronie 134 wspomnianego dzieła (tłómaczenie niemieckie): »Gdyby (człowiek) w czasach pierwotnych nie był podlegał doborowi naturalnemu, nie byłby z pewnością nigdy doszedł do dzisiejszego wysokiego stopnia ludzkości«. Ależ właśnie chodzi o to, czy się człowiek rozwinął z nizkiego stanu zwierzęcego! Tymczasem Darwin rozumuje odwrotnie: człowiek jest tylko wyższą formą ewolucyi organicznej, a więc i człowiek musiał podlegać prawu doboru naturalnego. Taką drogą nie można dojść do jasnego poznania prawdy. Nic nie jest tak zgubne dla nauki, jak ślepa wiara w teorye niedostatecznie uzasadnione. Zresztą sam Darwin scharakteryzował może najdobitniej swoją teoryę doboru naturalnego, kiedy mówi, że trzeba w nią wierzyć, skoro żadne fakta za nią nie przemawiają. W liście bowiem z dnia 10 stycznia 1860 roku do Lyell'a pisze: »Co się tyczy ras, niemożliwość otrzymania faktów popsuła mi najlepsze szanse dojścia do prawdy (t. zn. do teoryi selekcyi naturalnej). Mam wyborną drogę do spekulacyi; lecz należy mieć

ałkowitą wiarę w dobór naturalny, zanim się o tem nawet słyszeć chce«. A gdy sławny uczony A. R. Wallace postawił cały szereg trudności przeciwko teoryi Darwina, tenże odpisał mu dnia 16 marca 1871 r.: »Chcę się zastanowić nad pańskimi zarzutami przeciwko moim poglądom; obawiam się atoli, że te poglądy otrzymały w mym duchu charakter już prawie stereotypowy«.

* * *

Naszkicowałem krótko tylko poglądy Darwina na człowieka i jego pochodzenie; lecz te skromne uwagi wystarczą, by pokazać, jak nieuzasadnione jest zdanie, że Darwin raz na zawsze udowodnił pochodzenie człowieka od zwierząt i że obalił dogmat stworzenia. Nie mamy jeszcze do dziś dnia ani jednego prawdziwie pewnego dowodu na pochodzenie człowieka od zwierząt. Nadzieje, jakie niektóre odkrycia wzbudzały, okazały się raz po raz płonnemi. A choćby nawet kiedyś przyszedł czas — o czem słusznie wątpić można — że będziemy mieli zupełnie pewne, niezbite dowody na descendencyę człowieka, i wtedy nawet, powiadam, materyalistyczny ewolucyonizm nie może się cieszyć z wygranej. Dusza bowiem ludzka pozostanie na zawsze wykluczoną z descendencyi. Jak z martwej materyi nigdy nie może powstać życie, a tem mniej czucie, tak i z psychyki zwierzęcej nigdy nie może powstać dusza ludzka.

Widzimy zatem, że pod niejednym względem przypisuje się Darwinowi więcej, aniżeli się jemu według prawdy należy. Lecz powtarzam, że wyczerpującą krytykę darwinizmu da tylko sumienna, mozolna, długoletnia praca fachowa. Może za sto lat rodzaj ludzki będzie jaśniej widział w tej kwestyi.

Na to jedno chciałbym tylko raz jeszcze zwrócić uwagę, że należy jasno i dokładnie rozróżnić między teoryą ewolucyi lub descendencyi jako takiej, a darwinistyczną teoryą selekcyi naturalnej. Można powiedzieć, że nauka odłożyła teoryę doboru naturalnego i czysto mechanicznego *ad acta*. Idea zaś ewolucyi stała się jednem z najbardziej podstawowych i zasadniczych pojęć w naszym dorobku kulturalnym. I w tem tkwi, krótko mówiąc, właściwa zasługa Darwina dla nowożytnej nauki. Idea ewolucyi

przesiąknęła wszystkie dziedziny myśli i czynu, stworzyła nowe nauki, nowe kąty widzenia, dała całemu wiekowi naszemu charakter odrębny. Świadomość ewolucyi spotęgowała nasze siły do nieznanego dawniej stopnia, dała nam w miejsce spokojnego posiadania obecnej chwili nieugaszone pragnienie coraz to wyższych doskonałości, w miejsce zadowolonego ze siebie konserwatyzmu hyperkrytyczny pesymizm względem tego, co jest, a względem tego, co będzie, optymizm przekraczający najśmielsze nawet marzenia rozbujałej wyobraźni. Myśl ewolucyi zdołała do tego stopnia opanować nasze umysły, że ją stosowały nawet tam, gdzie ewolucya jest niedorzeczną, gdzie z czynnika życiodajnego przemienia się w śmiertelną truciznę, gdzie zamiast budować, niweczy i burzy. Ewolucya, rozwój, zmiana jest tylko tam możliwa, gdzie są pierwiastki zdolne do ewolucyi; tylko tam ma miejsce, gdzie jest coś, co trwa po przez cały przeciąg rozwojowego postępu. Jednostronne, bezwzględne i powszechne podkreślanie zasady ewolucyi jest zatem błędem logicznym, jest herezyą metafizyczną, jest utopią niezgodną tak z doświadczeniem jednostki, jak z doświadczeniem tysiącletniej historyi. Bezwzględny ewolucyonizm metafizyczny Haecklów, Spencerów, Hartmannów lub Nietzschech jest łańcuchem zawieszonym w powietrzu; on podkopuje najbardziej podstawowe zasady naszego myślenia i zamienia szukającą prawdy filozofię w fantastyczne marzenie schorzałej mózgownicy.

Bądźmy i pozostańmy wszędzie umysłami krytycznymi. Nasz wiek dwudziesty chlubi się tem, że w krytycyzmie naukowym doszedł do szczytu wyrafinowanej finezyi. Bądźmy więc krytycznymi nie tylko tam, gdzie chodzi o analizę naszej wiary w Boga i życie przyszłe, gdzie chodzi o badanie naszych przekonań etycznych i religijnych, ale tam także i, powiedziałbym, tam przedewszystkiem, gdzie największe nawet umysły sypią kadzidło bożyszczom opinii i mody chwilowej. Boć i nauka ma swoje mody.

Niema atoli najmniejszego powodu, by katolicki uczony lękał się teoryi ewolucyjnej, by jej unikał, jakoby była herezyą lub blizką herezyi. Mówię tu oczywiście o ewolucyi jako teoryi orga-

nicznej, o ile paleontologia, geografia zwierząt i roślin, morfologia, klasyfikacya systematyczna i t. d. za nią przemawiają. Historya nauki zna cały szereg uczonych katolickich skłaniających się wyraźnie ku teoryi ewolucyjnej. Wspominam tylko zmarłego roku 1900. Wilhelma Waagena, który w pracy o *Ammonites subradiatus* pierwszy stosował ewolucyę do paleontologii. Innymi zwolennikami ewolucyi a przytem gorliwymi katolikami lub przynajmniej głęboko wierzącymi ludźmi są: petrograf Karol August Lossen, słynny zoolog z kongregacyi Lazarzystów Armand David, wielki paleontolog i botanik Oswald Heer, geolog i paleontolog Fryderyk August Quenstedt, wybitny fizyolog Alfred Wilhelm Volkmann, botanik Aleksander Braun, największy geolog amerykański James Dwight Dana, zmarły 14 kwietnia 1895 roku, niemniej słynny botanik amerykański Asa Gray, znany fizyk angielski Lord Kelvin i sławny geolog już wyżej wspomniany Charles Lyell, paryski profesor paleontologii Albert Gaudry, docent prywatny na uniwersytecie w Gracu Jan Ude, Nestor katolickiej filozofii w Niemczech, monasterski profesor Konstanty Gutberlet i wreszcie znany powszechnie formikolog Erich Wasmann. Już sama liczba i powaga tych imion daje nam pewną zewnętrzną rękojmię, że i katolicki uczony może z całą swobodą naukową oddawać się studyom nad ewolucyą. Lecz powtarzam z całym naciskiem: ze swobodą naukową, nie ze swobodą bezwzględną, która się nie kieruje ani danymi faktami nauki ani podstawowemi zasadami filozofii, lecz powziętymi z góry dogmatami apryorystycznej spekulacyi. Takim właśnie apryorystycznym, niczem nieudowodnionym dogmatem jest bezwzględny ewolucyonizm metafizyczny, mający dzisiaj między najwybitniejszymi myślicielami niemało zwolenników. Taki bezwzględny ewolucyonizm, który niemal zawsze w ewolucyonistycznym panteizmie lub monizmie znajduje swoje zaokrąglenie religijne, jest sprzeczny z zasadą przyczynowości i racyi dostatecznej, jest sprzeczny z pojęciem absolutu, do którego i ewolucyoniści bądź co bądź dochodzą. Pogląd ten jest tylko wynikiem nieuzasadnionego rozszerzenia pojęć czysto lub przeważnie przyrodniczych,

jest owocem grasującego dziś na wszystkich polach naszej kultury naturalizmu. Zatem nie tylko katolicki uczony, ale każdy zdrowo i jasno myślący człowiek musi odrzucić podobne zapatrywania, akoby Bóg i świat tworzyły jedną jedyną i nierozerwalną całość rozwijającą się od wieczności do coraz nowych i coraz doskonalszych form zjawiskowych.

Jasną więc jest rzeczą, że żaden uczony, a przedewszystkiem żaden katolicki uczony nie może się zgodzić na niektóre inne dogmaty współczesnej nauki, mające wyłączny i jedyny fundament właśnie w potępionym przed chwilą ewolucyonizmie metafizyczno-religijnym.

Takim dogmatem jest np. twierdzenie, że życie i czucie jest tylko wyższą ewolucyą anorganicznej materyi bez współdziałania przyczyny twórczej. *Nemo dat quod non habet;* nikt nie może dać tego, czego sam nie ma: oto popularne tłómaczenie zasady przyczynowości, dające się i tu w całej pełni zastosować. Nie mamy ani jednego dowodu naukowego na samorództwo, owszem doświadczenia przemawiają wszystkie za przeciwną teoryą. Jedyną pobudką do przyjęcia samorództwa jest właśnie wspomniany ewolucyonizm metafizyczny, za którym kryje się niechęć przyjęcia osobistego Boga. Możliwą jest rzeczą, że Bóg tworząc materyę wszczepił w nią zarazem w jakiś dla nas niepojęty sposób pierwiastek życiowy. Już św. Augustyn mówi o *rationes seminales* dochodzących z biegiem czasu do pełnego rozwoju. Lecz powtarzam, to jest tylko możliwe przypuszczenie, nie mamy jednak na nie żadnych pozytywnych dowodów — a zresztą różni się ono zasadniczo od teoryi samorództwa.

Dalej choćbyśmy się zgodzili na zupełnie powszechną ewolucyę i descendencyę w królestwie zwierząt, nie możemy się nigdy zgodzić na ewolucyę duszy ludzkiej z psychyki zwierzęcej, a więc nie możemy się także zgodzić na ewolucyę rozumu i wolnej woli, na ewolucyę języka i kultury, na ewolucyę moralności i religii z analogicznych zjawisk w świecie zwierzęcym. Jeszcze żadna teorya sensualistyczna nie zdołała tłumaczyć powstania pojęć li tylko zapomocą powtarzających się i skróconych wyobrażeń, a nawet najgłębsza i najbystrzejsza pod tym względem teorya,

mianowicie lipskiego profesora W. Wundta, nie tłumaczy w ten sposób powstania pojęć, lecz suponując już istnienie pojęć tłumaczy tylko dodatkowe zjawiska psychologiczne. Wykazałem to obszerniej w mojej książce o filozofii Wundta. W ślad zaś za empiryzmem, pozytywizmem i sensualizmem musi z natury rzeczy iść odrzucenie prawdziwej wolności woli. I ciekawa doprawdy rzecz, że nasz wiek, który tyle mówi i pisze o wykształceniu indywidualności, który aż do przesady głosi kult osobowości, że ten sam wiek nie chce nic słyszeć o wolności woli, będącej przecież konieczną i jedyną podstawą osobowości i indywidualności.

Nie może być na tem miejscu mojem zadaniem, wspomniane myśli obszerniej uzasadnić. Niech mi jednak wolno będzie z całą szczerością podkreślić, iż nie dlatego tylko podobne nauki odrzucamy, że nam je Kościół nasz zabrania, lecz dlatego, że mamy całkowite i jasne poznanie ich nieuzasadnionego, dowolnego, dogmatycznego charakteru. Kościół zaś katolicki potępia podobne nauki z tych samych pobudek, z jakich je każdy zdrowo myślący człowiek potępia. I Kościół katolicki musi stanowczo odrzucić ewolucyonizm wyrastający nie z badania prawdy, lecz z nienawiści do osobistego Boga.

Prawdy się nigdy i na żadnem polu nie boimy, chociażby była nie wiem jak przeciwną dotychczasowym przekonaniom choćby tysiącletniej nawet tradycyi. Ale też nie schylimy czoła przed opinią nieuzasadnioną, choćby w imię nauki potępiano nas jako zacofańców, obskurantów i ślepych konserwatystów. Prędzej czy później prysną bańki mydlane urojonych konstrukcyi chwilowej mody, a prawda wypłynie coraz jaśniej na wierzch i zdobędzie przynależne sobie panowanie choćby po wiekowych dopiero walkach. Nie przyczynimy się zaś do zwycięstwa prawdy ani ślepym jednostronnym entuzyazmem, ani dyktowaną przez namiętność nienawiścią do wszystkiego, co na prawdę wielkie i święte, lecz spokojnem, gruntownem, prawdziwie przedmiotowem i naukowem badaniem rzeczywistości.

Ks. Fryderyk Klimke.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

WIELKIE GOSPODARSTWA ROLNE I HANDEL.

Co się tyczy rolnictwa, rzecz dziwna, w kapitularzu *de villis* bardzo niewiele znajdujemy uwag. Tłumaczy się to widocznie tem, że uprawa ziemi podówczas była prawie wyłącznie w rękach ludu niewolnego. Chłop swoim dobytkiem i sprzętem i na swój sposób uprawiał pola pańskie i to było najgłówniejszą przyczyną wiekowego zastoju kultury rolniczej aż do ostatnich czasów. Tem się też tłumaczy brak prawie zupełny narzędzi rolniczych i bydła rolnego na ówczesnych folwarkach, których inwentarz gospodarczy przechował się do naszych czasów. Tak inwentarz żywy na folwarku koronnym Stephanswert, liczącym 740 morgów pola uprawnego był następujący: 1 koń, 26 wołów, 20 krów, 67 jałówek, 118 owiec, 70 kóz, 90 świń i 113 sztuk ptactwa podwórkowego, z narzędzi rolniczych natomiast inwentarz wylicza tylko 27 sierpów i 7 motyk.

Uprawa ziemi w epoce Karola polega przeważnie na gospodarstwie trójpolowem, w wielkich przynajmniej gospodarstwach. Był to postęp niemały w porównaniu do palenia zarośli i dzikiej gospodarki pastwiskowej lat dawnych, gdy zwyczajnie $^1/_3$ tylko część pola ornego szła pod uprawę zboża[1]. Co było przyczyną tych zmian w technice gospodarczej?

[1] Zdaniem v. Inama pierwsza wzmianka o trójpolowem gospodarstwie mieści się w słowach: »in primum [illegible]r arata iurnalem 1 et in mense iunio

Powszechne zaprowadzenie, zdaje się, podatku kościelnego, t. zw. dziesięciny przyczyniło się głównie do podniesienia rolnictwa. Dziesięcinę bowiem pobierano w naturze, w interesie więc Kościoła i duchowieństwa leżało, celem pomnożenia zbiorów i chowu bydła, wprowadzić trójpolową, regularną uprawę ziemi.

Za zmianą w technice gospodarczej poszły inne przeobrażenia, których wyraźne choć skąpe ślady i objawy znajdujemy w dokumentach i notatkach współczesnych. Według prastarego zwyczaju bowiem uprawa ziemi i zbiory polne odbywały się co do czasu i sposobu według ścisłego porządku gospodarczego, który obowiązywał każdego członka gminy. Porządek ten układały gminy oraz regulamin korzystania z wspólnego pastwiska i lasu. Otóż nowy system trójpolowy uprawy ziemi i co zatem poszło potrzeba nawozu i wzmożony chów bydła roboczego wywołały potrzebę nowych pastwisk i łąk. Poczęto tedy na wykarczowanych obszarach leśnych zakładać nowe łąki prywatne, które dawnym zwyczajem rzymskim uprawiano i nawadniano starannie i koszono kilka razy do roku. Był to wyłom niemały w ówczesnych stosunkach własnościowych, gdyż pastwiska, łąki i lasy uważano pierwotnie zawsze za własność wspólną. Dalej z nowym systemem uprawy, okazała się nadto potrzeba założenia stałego pastwiska gminnego, jako niezbędne dopełnienie trójpolowego gospodarstwa zbożowego z chudym ugorem i rżyskiem dla bydła. Następstwem tych zmian i przeobrażeń był nowy porządek gospodarczy i regulamin w obrębie gmin o autonomii prawie bezwzględnej i wyrobienie się własności spółkowej pastwiska i zwierzchnicze prawo dworu, przewodzącego wszystkim tym reformom, które znowu w następstwie z biegiem wieków stało się źródłem różnych ciężarów i powinności pańszczyźnianych, ale o tem później. Zapewne zmiany w technice uprawy ziemi nie były jedyną, ale w każdym razie jeśli nie główną, to jedną z najgłówniejszych

---

brachare alterum et in autumno ipsum arare et seminare«. Trad. Sang a. 763 nr. 39. *Deutsche Wirtschaftsgesch.* t. 1, str. 402. Wyraźnie już o trójpolowym podziale ziemi gminnej mówi Codex Laureshamensis nr. 662: »Unum mansum de terra araturia, 27 iurnales in tribus locis sitos«. Hansen: *Agrarhistorische Abhandlungen* 1, 154.

przyczyn, które wpłynęły na nowe ukształtowanie się stosunków własnościowych i społecznych w świecie gminnym. Technika agrarna stała się tu punktem krystalizacyjnym, około którego układać i grupować się poczęły nowe siły i nowe stosunki na mocy prawa silniejszego i łakomego na własną korzyść sobkostwa. W życiu bowiem i rozwoju ekonomicznym i społecznym prawa te zawsze najgłówniejszą odgrywają rolę.

Ściśle z rolnictwem łączy się ogrodnictwo, które w epoce Karola i wogóle w ciągu wieków średnich w kwitnącym było rozwoju. Na pańskich gruntach ornych pracował na swój sposób lud pańszczyźniany, ogrody natomiast były w bezpośrednim zarządzie dworu. Uprawiano w nich prócz zboża wszystko, na co ówczesna sztuka ogrodnicza, opierająca się na szczątkach dawnej kultury rzymskiej, zdobyć się mogła, a więc drzewa owocowe i kwiaty, warzywa i rośliny lecznicze i przemysłowe, farbierskie, przędzalne i oliwne. Ogród to rozległy, opodal dworu obszar ziemi najlepszej ogrodzony, w którym znajdowały się szlachetne drzewa owocowe i grzędy kwiatowe i warzywne i łany roślin przemysłowych. Po dworach i klasztorach szczególnie owoce i wina owocowe były w wielkiej cenie. Za Merowingów ogrody to zwyczajnie ogrodzone, trawiaste sady maleńkie tuż przy dworku z pasieką. Karol Wielki natomiast w swoim kapitularzu wylicza cały szereg szlachetnych drzew owocowych, które pielęgnować należało w sadach koronnych. Są tam jabłonie i grusze w szlachetnych odmianach (Gozmaringe, Geroldinge, Creredelle, Spirauke), śliwy i kasztany jadalne i morwy, z których wyrabiano smakowite wino, brzoskwinie, figi, pigwy i migdały, leszczyna i drzewa orzechowe i wiśniowe. Nie brak też drzew parkowych [1], jak jarząb, wawrzyn, jodła, nieszpułka, bo z drzewami owocowemi, zdaje

[1] L. Sal. 8, 1: »Unum apem de intro clavem«. Dalej 1 Em. § 3: »Unum vas cum apibus inter alia vasa sub tecto aut sub clave«. Według 1. Baj. 22, 1 dwanaście drzew owocowych stanowi sad. Pasieka dla miodu, który zastępował cukier, i ze względów religijnych i miodowarnych wielką podówczas odgrywała rolę w gospodarstwie rolnem. Tymczasem Kötzschke w świeżo wydanym podręczniku *Deutsche Wirtschaftsgeschichte bis zum XVII Jahrhundert,* str. 74, o początkach średniowiecza pisze: »Endlich lieferte er (der Wald) den Honig, das einzige im M. A. bekannte Versüssungsmittel, und

się, łączyły się ogród spacerowy i drzewa cieniste. Grzędy warzywne i kwiatowe, bardzo starannie uprawione, zakładano według starej, rzymskiej sztuki ogrodniczej. Wśród kwiatów lilia i róża trzymały prym, a ogród kwiecisty w takiej był cenie, że od Karolingów począwszy, raj w fantazyi ludów germańskich przedstawiał się nie w postaci łąki, lecz ogrodu, zdobnego w kryształowe źródło i woniejące kwiaty i wieńce drzew cienistych. Karol Wielki w swoim kapitularzu wylicza przeszło 70 roślin i kwiatów, które mają się mieścić w ogrodach dóbr koronnych.

Do rozwoju i potrzeb rolnictwa dostraja się zwolna chów bydła. W miarę, jak grunta orne się powiększają i uprawa ziemi polepsza, wysuwa się na pierwszy plan potrzeba bydła roboczego i nawozu. Chów koni, związany z wolnością i służbą wojenną ludu, zanika wśród włościaństwa. Odtąd tylko w dobrach koronnych i wielkich gospodarstwach chowają się na pół dzikie stadniny dla potrzeb wojennych, komunikacyjnych i łowieckich, wśród włościan zaś tylko zamożniejsi *caballarii* w przeciwieństwie do biednych *pauperibus* trzymają konie. Karol Wielki przywiązywał do chowu koni wielkie znaczenie, jak to z drobiazgowych w tym kierunku przepisów kapitularza jego widać, gdy mówi o pielęgnowaniu koni sztafetowych, o stadninie i matkach i źrebcach i o koniach roboczych [1]. Bydło, podobnie jak konie, chowało się jeszcze przeważnie na pastwiskach, choć zmiana systemu uprawy ziemi i potrzeba bydła roboczego i nawozu w dawnych zwyczajach coraz to nowe czyniły wyłomy. Uprawa bowiem ziemi od-

---

das Wachs, den besten Rohstoff für die Zumal für kirchliche Zwecke sehr begehrten Lichter; denn die Zeidlerei beutete die Waldbienen aus und legte noch nicht Bienenstocke in den Gärten nahe bei menschlichen Wohnungen an«. Patrz v. Inama: *Deutsche Wirtschaftsgeschichte,* wydanie drugie, 1909, t 1, str. 227.

[1] Cap. de villis c. 13: »Ut equos emissarios, id est waraniones, bene praevideant et nullatenus eos in uno loco diu stare permittant, ne forte per hoc pereat. Et si aliquis talis est, quod bonus non sit aut veteranus sit, si vero mortuus fuerit, nobis nuntiare faciant tempore congruo, antequam tempus veniat, ut inter iumenta mitti debeant. Ut iumenta nostra bene custodiant et poledros ad tempus segregent. Et si pultrellae multiplicatae fuerint, separatae fiant; et gregem per se exinde adunare faciant«. C. 15: »Ut poledros nostros missa s. Martini hiemale ad palatium omnimodis habeant«.

bywała się albo wyłącznie, albo przeważnie przy pomocy bydła rogatego, a jak w wielkich gospodarstwach ceniono sobie nawóz, wynika stąd, że chłopi oczywiście w dobrach koronnych bez uszczerbku dla swego gospodarstwa byli zobowiązani wywozić go na pola pańskie. Na potrzebę też nawozu i robotę w polu, kładzie nacisk Karol Wielki w kapitularzu, gdy mówi o zagrodach dla bydła [1].

Najwięcej jednak i w wielkiem i małem gospodarstwie rozwijały się i kwitnęły owczarstwo i hodowla trzody. Przedewszystkiem hodowla świń, odkąd Kościół Germanom ze względu na pamięć bożka Wodana, zabronił używać mięsa końskiego, upowszechniła się ogromnie. Pełno ich po zagrodach włościańskich, gdzie się pasały razem z owcami i kozami, pełno po rozległych lasach bukowych i dębowych, gdzie się chowały na pół dziko w luźnych trzodach i dworskich i gminnych.

Owczarstwo natomiast więcej upowszechniło się na północy i we Fryzyi i Ardenach wielką odgrywało rolę. »We wszystkich dobrach naszych, poleca Karol Wielki, niech zarządcy założą zagrodzenia dla bydła i trzody, dla owiec, kóz i kozłów, o ile możności jak najwięcej« [2].

Ważną wreszcie gałąź gospodarstw wielkich stanowiło leśnictwo i winogrodnictwo.

Kultura winnej latorośli, odziedziczona po Rzymianach, za Karola i jego następców upowszechniła się szeroko w zachodniej Europie. Po klasztorach, w dobrach Karola i możnych panów i tam, gdzie powietrze łagodne, jak po słonecznych stokach gór nadreńskich i tam, gdzie warunki klimatyczne najmniej odpowiednie, jak w górzystej Bawaryi i północnej Szwajcaryi i w Turyngii powstają winnice, które ze względów praktycznych oddawano najczęściej włościanom niewolnym pod uprawę. Oczywiście ekstenzywna ta kultura nie stworzyła win smacznych, ani nie

---

[1] Cap. de villis c. 23: »Et insuper habeant vaccas illorum servitium perficiendum commendatas per servos nostros; qualiter pro servitio ad dominium opus vaccaritias vel carrucas nullo modo minorate sint«.

[2] Cap. de villis c. 23: »In unaquaque villa nostra habeant iudices vaccaritias, porcaritias, berbicaritias, capraritias, hircaritias, quantum plus potuerint«

przyczyniła się do wytworzenia szlachetnych gatunków, choć wina frankońskie więcej podówczas ceniono sobie, niż wina »hunskie«. Chcąc podnieść kulturę winnej latorośli, poleca Karol Wieki, aby zarządcy dóbr objęli winnice, w obrębie ich terytoryum się znajdujące we własny zarząd i dbali o dobre naczynia i winorośle i z całego gospodarstwa winnego dokładny zdawali corocznie rachunek [1].

Gospodarstwo leśne w epoce Karola było pierwotne bardzo. Początkowo wogóle trzymano się zasady, że lasy karczować należy i robotę tę na wielką skalę podejmowały klasztory i dwory za pozwoleniem króla. Tak powstawały na wykarczowanych szmatach i obszarach leśnych czynszowe osady włościańskie i futory obok wolnych gmin włościańskich.

W drugim okresie lasy przechodzą z własności wspólnej albo niczyjej w posiadanie króla i możnych panów. Król, patrząc się na zmniejszające się obszary leśne, roztacza nad nimi, mocą swej władzy zwierzchniczej opiekę i ochronę. Za przykładem króla idą możni panowie. W lasach, zagarniętych na własność koronną i prywatną, surowo zabroniono łowiectwa i rybołowstwa, wyrębu drzewa i wspólnego pastwiska. Oczywiście zawłaszczenia te i przywłaszczenia, a najczęściej wywłaszczenia lasów, które uważano za własność gminną i wspólną, wywołały gwałtowne spory i krwawe zapewne zatargi, które ostatecznie się skończyły w ten sposób, że z reguły lasy przeszły na własność korony albo panów, a gminom pozostało tylko prawo użytkowania tam, gdzie i w jakiej mierze im na to pozwolono. Użytkowanie to, niekiedy podzielone pomiędzy kilku właścicieli, odbywało się według ściśle określonych reguł, stosownie do tego, jaką drogą wyrobiły się i powstały nowe te prawa i stosunki własnościowe. W lasach koronnych i częstokroć pańskich, ochrona leśna była bardzo ścisła i surowa. Widać to już z organizacyi urzędników i robotników leśnych Karola, ale właściwego gospodarstwa leśnego nie było żadnego.

---

[1] Cap. de villis c. 8: »Ut iudices nostri vineas recipiant nostras, quae de eorum sunt ministerio et bene eas faciant, et ipsum vinum in bona mittant vascula... Cippaticos enim de vineis nostris ad opus nostrum mittere faciant. Censa de villis nostris, qui vinum debent, in cellaria nostra mittat«

C. 62: ... »quid de vineis; quid de illis qui vinum solvunt«...

Wszędzie — nie mówiąc już o lasach dziewiczych — drzewa dojrzałe stoją obok młodszych i zarośli, wszędzie bezładnie ścinano według potrzeby, nie troszcząc się, chyba wyjątkowo, o odnowienie lasu. Przeważnie były to lasy liściaste, dębowe i bukowe, bo takie głównie ceniono ze względu na węgiel drzewny i smołę, na wartość drzewa i żer dla trzody. Liściastych też lasów trzymała się czarna i gruba zwierzyna i żubry i dzikie konie i łosie i niedźwiedzie i miodne pasieki. Karol Wielki dbał przedewszystkiem o ochronę zwierzyny i o to, żeby lasów nie niszczono [1].

Razem z rolnictwem i przemysłem dźwiga się handel, który wśród zawieruchy wędrówek ludowych i zaburzeń wewnętrznych ciężko był podupadł.

Z dawnego ongi kwitnącego handlu z czasów rzymskich pozostały w państwie Karola słabe resztki tylko. Stosunki handlowe ze Wschodem oprócz Wenecyi i Amalfi, które w luźnej jeszcze podówczas były zależności od Bizancyum, utrzymywały miasta prowańskie i septimańskie nad morzem śródziemnem. Tam pod osłoną nadbrzeżnej floty Karola, rozwinął się w miastach portowych jak Marseille i Narbonne żywotny ruch handlowy, tam były miasta przemysłowe jak Nimes i słynące z bogactw Arles, gdzie główne znajdowały się składy produktów lewantyńskich. Tędy szły purpurowe tkaniny i kolorowe płaszcze jedwabne, wzorzyste skóry i perfumy i wonności różne, leki apteczne i przyprawy korzenne, perły indyjskie i papirusy egipskie i zwierzęta egzotyczne i ongi przed zawładnięciem Wschodu przez Saracenów

---

[1] »Ut quandam silvam in pago Freverensi in bannum mitteremus, et ex ea sicut franci dicunt, forestem faceremus«. *Mittelrh. Urkundenbuch*, 896, I, 140.

Cap. de villis c. 36: »Ut silvae vel forestes nostrae bene sint custoditae; et ubi locus fuerit ad stirpandum, stirpare faciant, et campos de silva increscere non permittant; et ubi silvae debent esse, non eas permittant nimis capulare atque damnare; et feramina nostra intra forestes bene custodiant«...

Cap. Aquisgr. 802, c. 39: »Ut in forestes nostras feramina nostra nemine furare audeat«...

Cap. 813, c. 18: »Forestarii... custodiant bestias et pisces«. Od trzody, pasącej się w lasach koronnych, płacono dziesięcinę, od której nie był wolny ani zarządca dóbr ani urzędnicy dominialni«. Patrz: Cap. de villis c. 36.

smakowite wina z Gazy i Sarepty. Stąd naodwrót wywożono na Wschód zboże, wino, oliwę i kosztowne sukna fryzyjskie.

Na północy pod osłoną flotylli, broniącej brzegów przed napadami Normannów prowadzą ożywiony handel z Anglią miasta Rouen i Boulogne z latarnią morską, wskazującą żeglarzom przystań, Gandawa i Duerstade, l'Écluse i przedewszystkiem Quentovio, gdzie było centralne biuro celne dla wszystkich portów i nadbrzeżnych miasteczek morza północnego pod kierunkiem Gervolda, opata z Saint-Wandrille. Stosunki handlowe z Hiszpanią i Irlandyą utrzymują miasta portowe Nantes przy ujściu Loiry, zwłaszcza pod żywotnymi rządami biskupa Feliksa z Bordeaux.

Wewnątrz państwa w Galii były jeszcze z czasów rzymskich bite gościńce, odnowione przez Brunehildę i Dagoberta, ale handel najchętniej trzymał się dróg wodnych. Jedną z najwięcej uczęszczanych dróg handlowych w Galii, była zdobna w miasta kwitnące dolina Rodanu, łącząca południe z północą i zachód ze wschodem. Piękność tej doliny i jej miast cudnych, Lyonu o »wyniosłych basztach« i Vienne, »ściśniętego z jednej strony przez skały, a z drugiej przez otchłanną rzekę« sławi już współczesny poeta Théodulf. Obok Rodanu ożywioną odznaczały się żeglugą Ren i Sekwana, górny Dunaj, Mozela i Skalda. Miasta głównie nad Renem: Kolonia, Koblenz, Moguncya, Worms i Strasburg oraz Tournai i Maestricht, zakwitły wzmożonym ruchem handlowym i dobrobytem. Ożywiły się też nowem życiem stare ogniska handlowe nad Sekwaną, Troyes i Paryż, a przedewszystkiem tuż obok Paryża w sąsiedztwie trzech rzek położone miasteczko Saint-Denis, słynne z jarmarków światowych, które trwały po 4 tygodnie, »ażeby kupcy z Hiszpanii, z Provence, z Lombardyi i innych krajów mogli wziąć w nich udział«. Targi i jarmarki odbywały się zresztą w dawnych prowincyach rzymskich wszędzie po miastach i w sąsiedztwie opactw i znaczniejszych gospodarstw wielkich w dnie uroczystości religijnych, gdy lud okoliczny i pielgrzymki ze stron dalekich tłumnie zgromadziły się na obrzędy Boże. W Germanii aż po Łabę i Salę, które stanowiły granice świata słowiańskiego, zamiast ruchu towarowego, panuje prawie

wyłącznie ruch wymienny. Tak przedstawiają się w najogólniejszych zarysach stosunki handlowe w epoce Karola.

A teraz co Karol uczynił w tej dziedzinie? Otóż pierwszym warunkiem i podstawą ruchu handlowego jest dobra komunikacya. Dobre więc drogi i bezpieczeństwo komunikacyjne były jedną z głównych trosk jego. Obowiązkiem komesów było utrzymywać drogi bite i wodne w dobrym stanie, odnawiać tamy i mosty i czuwać nad bezpieczeństwem publicznem. Przedewszystkiem spławne rzeki, których handel zwyczajnie się trzymał, wielkie miały znaczenie. Na nich bowiem przeważnie opierał się nie tylko cały ruch handlowy, ale i ruch wymienny dóbr koronnych i wogóle system podatkowy dochodów państwowych [1]. Dalej spokój i bezpieczeństwo na granicach państwa ułatwiały wielce wszelki ruch i transakcye handlowe. Jak zaś dbał Karol o bezpieczeństwo kupców, widać już stąd, że byli oni pod specyalną opieką króla, jak pielgrzymi [2]. Kto zaś raz na rok, albo co dwa lata na dworze królewskim w Akwisgranie uiścił pewien podatek, uzyskał cesarski dokument ochronny wraz z zwolnieniem od ceł i opłat, który mu otwierał drogi handlowe w całem państwie [3].

Dalej, główną zawadą handlu ówczesnego były liczne cła i opłaty, bezustannie mnożące się aż do śmieszności, ściągane sumiennie przez różnych magnatów feudalnych świeckich i duchownych [4]. Karol Wielki nie zniósł tych opłat, bo one były uwa-

---

[1] Mon. Sang. I, 30: »Fuit consuetudo in illis temporibus, ut, ubicumque aliquod opus ex imperiali praecepto faciendum esset, siquidem pontes vel naves aut traiecti sive purgatio seu stramentum vel impletio coenosorum itinerum, ea comites per vicarios et officiales suos exequerentur in minoribus dumtaxat laboribus«. Mon. Germ. Script. II, 745; Cap. Langob. 803, c. 18 (I, 111); Tr. Sang. 787, n. 113.

[2] Ep. Karoli ad Offam.

Bouquet 779, V, 742: »Ubicunque in regno nostro negotiantes... tam ultra Ligere et citra Ligere, vel in Burgundia, etiam in Provincia vel in Francia quam et in Austria... nullo teloneo nec de saumas, nec de carrigine, neque de navigio neque de qualibet redibitione exinde ad partem fisci nostri missi sui discurentes dissolvere non debeant«.

[3] Form. imper. 37 (a. 828).

[4] Handlowe transporty wodne składały następujące opłaty: przejściowe *(passagium)*, mostowe *(pontaticum)*, brzegowe *(ripaticum)*, portowe *(porta-*

runkowane stosunkami wieku i jednem z głównych źródeł podatków państwowych, ale ukrócił samowolę i usiłował sprowadzić je do miary słusznej. W myśl jego prawo pobierania ceł i opłat ma iść w parze z udogodnieniem komunikacyi i tylko ten ma je pobierać, kto przyczynił się do polepszenia dróg i środków komunikacyjnych [1].

Cła i opłaty Karola miały charakter podatku handlowego na rzecz administracyi państwowej i kościelnej w celu utrzymania w dobrym stanie i polepszenia środków komunikacyjnych. Wielkie transporty nietowarowe i dostawy pałacowe i wojskowe wolne były od ceł [2].

Z prawem pobierania ceł od towarów łączył się zwyczajnie przywilej odbywania targów i jarmarków. Jedno i drugie należy do zwierzchniczej władzy króla, który szafując nimi podobnie jak przywilejem imunitetu, usiłuje w ten sposób ożywić wewnętrzny ruch handlowy i podnieść ogólny dobrobyt. Ażeby więc czynić ruch handlowy poleca Karol biskupom, idąc w tym względzie za przykładem ojca swego Pepina, aby po miastach, gdzie dostateczne znajdują się zasoby towarowe według ustawy odbywały

---

licum), kotwicowe *(anchoraticum)*. Za transporty lądowe ściągano dużo więcej opłat: w ciągu drogi *viaticum, rotaticum, pulveraticum, cespitaticum;* u kresu podróży *salutaticum, modiaticum, mensuraticum, ponderaticum* i t. d.

[1] Cap. Teod. 805, c. 13: »De teloneis placet nobis, ut antiqua et iusta telonea a negotiatoribus exigantur«. Cap. Nium. 806, c. 10: »Ubi antiqua consuetudo fuit, ita exigantur, ubi nova fuerint inventa, destruantur«. (Waitz IV, 55). Cap Theod. c. 13: »Ubi vel funes tenduntur vel cum navibus sub pontibus transitur, seu et his similia, in quibus nullum adiutorium itinerantibus praestatur, ut non exigantur (telonei)«. Cap. Aquisgr. 809, c. 8: »Ut nullus cogatur ad pontem ire ad flumen transeundi propter teloneis causam, quando ille in alio loco compendiosius illud flumen transire potest. Similiter et in plano campo, ubi pons nec traiectus est, omnimodi praecipimus ut non teloneus exactetur«. Bor. I, 156, 134, 144, 154. — Cap. de villis c. 62: w Kwestyonaryuszu dochodów quid de pontibus vel navibus... quid de mercatis.

[2] Pippin Cap. c. 4: »De theloneis vero sic ordinavimus, ut nullus de victualia et corralia, quod absque negotio est, theloneum praehendat. De saumis similiter ubicumque vadunt«. Cap. Theod. 805, c. 13: »Similiter etiam nec de his qui sine negotiandi causa substantiam suam de una domo sua ad aliam ducunt, aut ad palatium aut in exercitum«.

się targi [1]. Na targu [2] też wśród białego dnia, wobec świadków [3] i z kupcem znajomym [4] mają się odbywać wszelkie transakcye handlowe. Zarządzenia te miały cel podwójny. Najprzód chodziło o to, żeby skarb królewski przez uchylanie się kupców od płacenia ceł i opłat nie ponosił szkody a powtóre żeby ludność uchronić od oszustw i nieuczciwych praktyk handlowych. W niedzielę ze względów religijnych targi były zabronione [5]. Tak pod troskliwą i opatrzną opieką Karola powstają nowe ogniska targowe i ożywia się ruch handlowy. Później, gdy targi bogatem stały się źródłem dochodów, magnaci świeccy i duchowni już w własnym interesie w obrębie swego terytoryum skwapliwie popierać będą ruch ten i wkrótce w miejscowościach, ze względów komunikacyjnych dogodnych, kraj pokryje się siecią ognisk targowych mniejszych i większych nie tylko dla płodów rolnych i wyrobów domowego przemysłu lecz także dla rzeczy luksusowych i towarów zagranicznych. Tylko że wówczas i targi razem z prywatą wzmagającą się i imunitetami staną się przedmiotem frymarki publicznej, wiodącej nieuchronnie państwo do upadku.

W Germanii Karol przez zdobycie Saksonii pchnął karawany handlowe między ludy słowiańskie począwszy od Pomorza, gdzie głównem ogniskiem handlowem było miasto Jumna przy ujściu Odry, poprzez różne plemiona słowiańskie aż do Czech i Morawii i kraju Awarów. Na olbrzymim szlaku tym, kędy szedł handel

[1] 744, cap. Soiss. c. 6: »Et per omnes civitatis legitimus forus et mesuras faciat (episcopus) secundum abundantiam temporis«. Bor. 1, 21.

[2] Cap. Hom. c. 17: »Ut nullus negotium suum infra mare exercere praesumat, nisi ad portura legitima secundum more antiquo propter iusticiam d. imperatoris et nostram; et si quis aliter fecerit, omnem negotium suum perdat«. Bor. 1, 319.

[3] Cap. 803, c. 2: »De negotio super omnia praecipiendum est, ut nullus audeat in nocte negotiare in vasa aurea et argentea, mancipia, gemmas, caballos, animalia, excepto vivanda et fedro, quod iter agentibus necessaria sunt, sed in die coram omnibus et coram testibus unusquisque suum negotium exerceat«. Bor. 1, 120.

[4] Cap. 806, c. 3: »Ut nullus comparat caballum, bovem et iumentum vel alia, nisi illum hominem cognoscit, qui cum vendidit aut de quo pago est, vel ubi manet, aut quis est eius senior«. Str. 146.

[5] Cap. Aquisgr. 809, c. 9: »Ut mercatus die dominico in nullo loco habeatur, nisi ubi antiquitus fuit et legitime debet esse«.

głównie solą, bursztynem i futrami, zbudował Karol dziewięć grodów obronnych, (Bardowick, Schlessel, Magdeborg, Erfurt, Hallstadt, Forchheim, Brembourg, Ratisbonne, Lorsch), których głównem zadaniem było oprócz obrony granic czuwać nad bezpieczeństwem kupców i nad przemytnictwem broni do krajów słowiańskich.

W krajach nadreńskich na szlaku łączącym południe z północą wielkiem ogniskiem handlowem było miasto Moguncya, które Karol Wielki usiłował przeobrazić na wielki rynek światowy, łączący Gallię z Germanią i prawdopodobnie i dalekim Wschodem. Ażeby plan ten urzeczywistnić, usiłuje Karol po pierwszem zwycięstwie nad Awarami i w trakcie żywych stosunków ze Wschodem, zbudować kanał, łączący Dunaj z Menem i Renem. Plan ten z powodu bagnistego gruntu i trudności technicznych, których przezwyciężyć nie zdołano, okazał się niewykonalnym, ale bądź co bądź świadczy on wymownie o światowładnych zamysłach Karola [1]. Drugiem dziełem wielkiem, które Karol wykonał w Moguncyi i które w zdumienie wprawiało współczesnych, był most olbrzymi, wspinający się na arkadach, pięćset kroków długi. Most ten, który budowano przez 10 lat, spłonął w r. 813.

Z królestwami Anglii Karol Wielki w przyjacielskiem był porozumieniu. Liczni pielgrzymi anglo-saksońscy, którzy pod specyalną opieką cesarza w sprawach częstokroć handlowych zdążali do Rzymu albo na Wschód podtrzymywali i zacieśniali coraz ściślej te węzły, które za rządów jego tak doniosłe miały wydać

---

[1] Cap. Theod. 805, c. 7.: »De negotiatoribus qui partibus Sclavorum et Avarorum pergunt, quousque procedere cum suis negotiis debeant, id est partibus Saxoniae usque ad Bardaenowic, ubi praevideat Hredi, et ad Schezla, ubi Madalgaudus praevideat; et ad Magadoburg praevideat Aito. Et ad Erpesfurt praevideat Madalgaudus et ad Halazstat praevideat item Madalgaudus. Ad Foracheim et ad Breemberga et ad Ragenisburg praevideat Andulfus et ad Lauriacum Warnarius«.

Ann. Einh. a. 793: »Et cum ei persuasum esset a quibusdam qui id sibi compertum esse dicebant, quodsi inter Redantiam et Alomonam (Rednitz i Altmühl) fluvios eiusmodi fossa duceretur, quae esset navium capax, posse percommode a Danubio in Rhenum navigari, quia horum fluviorum alter Danubio alter Moeno miscetur, confestim cum omni comitatu suo ad locum venit ac magna hominum multitudine congregata, totum autumni tempus in eodem opere consumpsit«.

owoce cywilizacyjne. W roku 790 został przyjacielski ten stosunek za płomiennym podszeptem szatana *diabolico fomento inflamante*, jak się Alkuin wyraża, z niemałą dla obu krajów szkodą na czas krótki przerwany. Otóż Karol Wielki chcąc ożenić najstarszego syna z córką króla mercyjskiego Offa, wyprawił do niego posła z prośbą o rękę księżniczki. Offa zgodził się na to pod warunkiem wszelako, że syn jego otrzyma rękę księżniczki Berty. Karol, urażony dumnym warunkiem tym do żywego, zawrzał gniewem i wydał rozporządzenie, zabraniające »ludziom, przybywającym z wyspy Brytańskiej lub należącym do rasy angielskiej lądować na pobrzeżu la Manche w celach handlowych«. Dopiero na przedstawienie opata Gervolda, głównego inspektora urzędów celnych na pobrzeżu północnem, że zarządzenie to rujnuje handel i podcina źródła dochodów państwowych, Karol cofnął swoje rozporządzenie.

Stosunków handlowych z Bizancyum i dalekim Wschodem nie przerwały najazdy zaborcze Saracenów. Karol nie mogąc ich pokonać w Hiszpanii, umiał jednak uzyskać od nich ważne koncesye handlowe dla Marsylii i Narbony, które to miasta głównemi stały się ogniskami handlowemi dla Wschodu. Dla obrony też głównie brzegów Septimanii przed korsarskimi napadami Maurów utrzymywał Karol flotę na morzu Śródziemnem. Do ożywienia i spotęgowania tych stosunków przyczynił się jeszcze traktat handlowy z Wenecyą, główną pośredniczką pomiędzy zachodnią Europą a Lewantem oraz przyjacielskie stosunki z kalifem Harun-al-Raschid, który pielgrzymom jerozolimskim ważnych udzielił przywilejów oraz pozwolił na zbudowanie szpitala w Jerozolimie dla kupców frankońskich. W łączności z szpitalem tym był rynek, na którym za drobną opłatą spotykali się kupcy świata całego.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z powodu uwag d-ra W. Kętrzyńskiego o autorze i tekscie najdawniejszej Kroniki polskiej.

Nie o wszystkich kwestyach, poruszonych przez d-ra W. Kętrzyńskiego [1], mam zamiar tutaj mówić. Pomijam pytanie co do drugiej redakcyi kroniki t. zw. Galla, natomiast zajmę się najpierw właściwościami językowemi, które »zdają się« między innemi przemawiać za hipotezą autora o słowiańskiem pochodzeniu naszego kronikarza (miał on być »Słowianinem węgierskim«), poczem zastanowię się nad interesującym przyczynkiem do ustalenia tekstu kroniki Galla.

W zwrocie eufemistycznym: Bolezlavo inter homines exeunte (I, 16) zmieniamy ‚inter' na ‚deinter' (= fr. d'entre), przez co całe wyrażenie staje się jasnem i poprawnie łacińskiem: »z chwilą, kiedy Bolesław odszedł z pośród ludzi«. Greck.: ἐξ ἀνθρώπων ἀφανίζεσθαι. Nieco wyżej czytamy o śmierci tegoż króla: rege de mundana conversatione discedente (rękopisy i wydawcy: descendente). Por. Spartianus, Sev. 20, 5 de rebus humanis discedere. Nie jest też slawicyzmem użycie »per« w zdaniu III, 24: positio regionis per insulas [2], a przyimek

[1] Dr. Wojciech Kętrzyński: »Niektóre uwagi o autorze i tekscie najdawniejszej Kroniki polskiej«. Kraków. Akad. Umiej. 1909. Str. 16.

[2] Per insulas = in insulis; por. Manil. astr. II. 923 aserit hanc Cytherea sibi per sidera sedem; Valer. Flaccus, Argon IV, 750: vidimus aequoreo similem per litora (= in litore) monstro (sc. stratum). Vergil. Aen. III, 631 iacuitque per antrum i t. p.

»pro« w znaczeniu »propter« (II, 46 pro Pomoranis... remeavit; nadto np. II, 3 pro discordia separantur; II, 4 pro quo facto... contristatur; II, 37 pro periculo lamentatur) występuje w łacinie późniejszej, od II wieku począwszy, zwłaszcza w pismach prawników, i jest prawdopodobnie przeważnie właściwością g a l l i c k ą. Np. Macer, app. 49, 5, 6 causam pro qua (= pourquoi) non recepit appellationem. Por. W. Kalb: Roms Juristen, Lipsk 1890, str. 140).

W początkowem zdaniu listu dedykacyjnego: »supra montem Sion Domini sanctorum gregi commisso vigilanti studio speculari, ac de virtute in virtutem gradiendo Deum deorum facie ad faciem contemplari« zmienia p. Kętrzyński »commisso« na »commissis«, sądząc, że autor życzy biskupom, aby przydzieleni do grona świętych (sanctorum gregi commissi) mogli »vigilanti studio speculari Deum« (str. 13). Ale przez »grex« rozumiem owczarnię (wiernych), powierzoną biskupom, i czytam: sanctum (t. j. montem) cum grege commisso. »Deum« zależy tylko od »contemplari«, a do »speculari« odnosi się »supra montem«: pragnę, abyście razem z poruczoną sobie owczarnią czujny wzrok trwale kierowali na Syon, świętą górę Pana, a z cnoty w cnotę idąc mogli oglądać (jako święci) Boga i t. d. Cały ten ustęp jest wiernem odbiciem stylu i pojęć biblijnych: por. Psalm 2, 6 constitutus sum rex ab eo super Sion montem sanctum eius (t. j. Domini); Psalm 83, 8 ibunt de virtute in virtutem: videbitur Deus deorum in Sion. »Bóg nad bogi« jest znanem określeniem Boga w Starym Testamencie (np. Deut. 10, 17; Dan. 2, 47; 3, 90 i t. d.), niema więc najmniejszego powodu do zmiany, jaką wprowadza p. Kętrzyński: »Deum de facie ad faciem contemplari«. Dodam, że »facie (bez »de«) ad faciem« ma w języku biblijnym prawo obywatelstwa. Dalsze, błędnie przekazane miejsce listu (dignum est sqq.) tak poprawia G. E. Saenger (Żurn. min. narod. prosw. 1905, maj, str. 125): »Dignum est enim, ueterum etiam »gestis« institutum [1], praenotari quos divina gratia facit solemniis [2] charismatum ipsis principibus principari, uti quorum dispensatione subditorum quoque precatibus caelestis alimoniae medela [3] erogatur, eorundem patrocinii suffragia nostrae pusillanimitatis

[1] P. Kętrzyński: Et eorum etiam gestis iustificatum (indicatum).

[2] Ręk. Z: de hys; może: de rivis (z powodu obfitości), albo: xeniis (= donis)?

[3] Wydanie lwowskie (1899): caelestis alimonia fideliter (Z: fideles); czytałbym: caelestis alimonia fidei.

opusculum tueantur[1]. W epilogu mają już stare wydania: »continuo ieiunare triduo«. Zamiast »regionibus suis partialiter divisuris sive constituturis« (w prooemium) w ślad za ręk. S i H czytam: r. s. divisivis sive constitutivis. Tego rodzaju przymiotniki mogą mieć znaczenie bierne (= divisis, constitutis) lub potencyalne (dający się podzielić, ustanowić). Wyrażenie »Hunis occupatam« znaczy to samo, co »ab Hunis occupatam« (prooemium). I 2 wolałbym: secreto. Konstrukcya »peregrinos hoc inquirant« (= interrogent) I 2 tłumaczy się dobrze na wzór zwykłego zwrotu: hoc, illud te interrogo. Wyraz »aliis« (I 4 aliis equidem exultantibus) znaczy tu »ceteris, reliquis« w przeciwstawieniu do ojca; zmiana na »illis« niepotrzebna. Tamże: »cunctisque residentibus« mają starsze wydania i ręk. Z. I, 6 pisze p. Kętrzyński słusznie: gloriosi Bolezlavi cognoscendi (dla stwierdzenia, sprawdzenia) famam introivit (Otto Rufus). O wielkim rozgłosie chwały Bolesława donosi w tym związku Kronika książąt polskich i Kadłubek; możliwa jednak byłaby lekcya: fame (= desiderio), por. Kadłubek 2, 10 desiderio experiendi ea sqq.; MPH. III, str. 439: pro habenda notitia tanti ducis Poloniam veniens. I 7 et vos et filii vestri (zamiast: et vos, filii vestri) mają SH i starsi wydawcy. I 10 militum in [»in« dittografia?] meridiana dormientium (MPH. III, 441 meridiana hora). Ellipsa wyrazu »hora« nie jest obca przedewszystkiem późniejszej łacinie; może jednak pierwotną lekcyą było: meridiano? I 15 rustici (damnum r.) użyto w znaczeniu kollektywnem. I 16 czytałbym: quia solidis (wulgata: solis) militibus indigeret; p. Kętrzyński: quia solis militibus probis ind. (raczej: probis militibus, por. w tymże ustępie: divitiis probisque militibus; probus hospes; probum militem). I 19 castellaque... vincendo terrae coaequabat: ręk. H i starsi wydawcy; przeciwnie p. Kętrzyński, nie licząc się z poprzednią klauzulą »conculcabat«, poleca: coaequabat terrae. Wystarczy samo »coaequabat«: por. np. III epist. »muri coaequati«; III 21 coaequando scopulos. Konstrukcye: loricis Polonia dissuevit (Gall I, 25) oraz: dissueverunt loricis uti Poloni (Kronika ks. pol., MPH. III, 449) są zupełnie samoistne i jednej według drugiej nie wypada poprawiać. Do kwestyonowanych słów: sed... dolet inimico I 28 powrócę kiedyindziej.

Zbytecznem jest uzupełnienie »loca« w zwrocie II 4: per diversa vagabantur; por. II 43 discurrentibus per diversa; II 25 per concava

[1] Przedtem pisano: opusculum suffragio tueatur; uwzględniając klauzulę »erogatur«, wolelibyśmy: patrocinii suffragio... tueatur (forma bierna).

montium condensaque silvarum. II 4 pisałbym: eosque paulatim aliam in partem inflectebat; p. Kętrzyński: in partem suam. Por. MPH. III 454 in partem aliam inflectebat. Jeżeli przypomnimy sobie, że »mando« może znaczyć: ‚donoszę, uwiadamiam', obejdzie się bez uzupełnienia »significando« w zdaniu II 16: ducem... puero mandavisse, se Bohemos in Poloniam intraturos... audivisse, jakkolwiek Kronika ks. pol. str. 455 ma: dare mandatum significando i t. d. Przy sposobności notuję: II 19 fluvium nocturno tempore enatavisse (przepłynąć); tamże: sequenti diluculo (ręk. Z: sequentis diluculo, wulgata: sequentis diei diluculo). Słusznie czyta p. Kętrzyński II 19: dominicae diei vigilia, równocześnie jednak trzeba powyżej zmienić tekst w ten sposób: suaeque gloriae vindicator (wulgata: suaeque vigiliae vindicator). II 26 in munitionibus: tamże: peditibus expeditis — mają także starsze wydania. II 26 czytam: Moravia... est obstrusa, quod et pacificis viatoribus ac peditibus expeditis periculosa videtur ac pernimium onerosa. Nie potrzeba więc dodawać »itinera« po »viatoribus«. Tamże: proelium campestre committere (ze starszemi wydaniami), albo: proelio campestri rem committere (proelio campestri committere Z). II 33 cursores in ore gladii momentaneo dissipavit: ręk. Z: more (czytaj: in ore). Węclewski bezpodstawnie poprawił na »mucrone« (MPH. III 460), najzwyklejsze to bowiem w Piśmie św. wyrażenie: interficere in ore gladii (Deut. 20, 17), percutere, occidere in o. g. (Iosue 10, 28, 35; 1 Reg. 15, 8; Iudith 2, 16) i t. d. Por. Kadłubek, III 6 alii omnes in ore gladii obsorbentur. Starsze wydania mają również ‚in ore'. II 33 nec tantam multitudinem dubitavit; podobnie III 23 quia cautelam Bohemorum et insidias dubitabat. W obu miejscach rękopiśmiennie zgodnie przekazanych »dubitare« przyjmujemy w znaczeniu »timere«, co wykluczałoby jakąkolwiek zmianę tekstu, np. devitavit i t. p. Tak samo tłumaczyłbym II 36 dubitansque Bohemos... properare. W tejże funkcyi występuje »dubito« w Kronice o Piotrze Właście: »ne dubita (nie obawiaj się) comes strenue ex hoc negotio aliqua tibi evenire discrimina (MPH. III, 780). II 39 ecce cives et oppidanos... procedentes: nie potrzeba uzupełniać »adesse contigit«, bo sam accusativus przy »ecce« da się poprzeć licznymi przykładami: np. Seneca, contr. 16, 10 ecce navem divinitus armatam i t. p. Nie wymaga też uzupełnienia »ignorabant« t. zw. coniunct. deliberativus: II 43 quid consilii caperent... vel quo fugerent. II 46 czytamy już w starszych wydaniach: tres castellanias. II 47 Nam eo absente (zamiast: iam eo absente). Tamże: et Poloni illud (illud Po-

loni: Bielowski, Szlachtowski) Pomoranis iam, Gnevomir suggerente, per traditionem reddiderant. Tak dobrze poprawia p. Kętrzyński (por. MPH. III, 464), stosowniej jednak zatrzymać szyk: illud Poloni Pomoranis.

III 1 populo succurre maerenti... populo (t. j. barbaris) vim tolle furenti (tak pisałbym zamiast: p. s. merenti... p. v. t. ferenti). III 5 Unde constat, quia securus... pertransivit = unde c., eum securum... pertransisse, dlatego lepiej zostawić »quia«, niż zmieniać na »quam«. III 10 opowiada Gallus, że taki strach przed Bolesławem ogarnął nieprzyjaciół, iż nikt nie odważył się zbyt daleko wyruszać poza obóz dla zdobycia paszy lub żywności, a nawet Czesi, jakkolwiek z natury żądni rozboju, musieli się ograniczać, nie mieli odwagi wybiegać na łup. W tym związku ma swe uzasadnienie epitet Czechów: naturaliter raptores. Por. III 23: Bohemi sicut monstra marina vel silvatica de gregibus nostris aliquid rapuisse sq.; (do Czechów:) non praedam furtim rapiendo... rapidorum more luporum. III 14 dodatek »Henrico caesari« przed »Bolezlavus dux Polonorum« nie jest konieczny wobec poprzedniego: remandavit caesari. Po »pacem quidem« opuszczamy »vult« za przykładem tekstu Paprockiego. Tamże: Malo enim ad honorem oram regni Poloniae salva libertate perdere (»ad honorem regnum Poloniae«; »ad horam regnum Poloniae« lekcye wydań; Paprocki: oram Poloniae regni, a za nim p. K.: oram regni Poloniae). III 16 qui se cum Bolezlavo unum scutum coniunxerat. Czy: per unum scutum? Przypuszczałbym: unum in scutum, t. j. ut unum scutum utriusque esset. III 21 zbytecznem jest »sed« przed »verbis traditorum«, prawdopodobnie jednak trzeba zmienić następstwo wyrazów: quia puerili simplicitate verbis traditorum regnum acquirere sine bello sine victoriis se credebat (w naiwności chłopięcej wierzył słowom zdrajców, że może pozyskać tron bez wojny, bez zwycięstw). III 23 comes quoque Scarbimirus ex altero latere in silva tenui [Bolezlavo] latitabat; »Bolezlavo« jest zapewne glossemem. Ktoś chciał zaznaczyć, że Skarbimir stał naprzeciw Bolesława (ex altero latere, t. j. Bolezlavo oppositus), brak też tego imienia w MPH. III 472: et comes Scarbimirus ad sinistrum latus in silva tenui latitabat. Pan Kętrzyński pisze: Bolezlavo imperante latitabat, a przecież Bolesław zgoła nie wiedział, gdzie się znajduje Skarbimir (ita quod Bolezlavus de Scarbimiro... penitus, ubi staret... ignorabat). III 23 non ordinati, ut prius: tak czytamy już w starszych wydaniach. Tamże czytałbym: superioribus tribus diebus adiectis (septem tribus adiectis:

Szlacht., Biel.) denarium profectionis numerum impleverunt. »Superiores« t. j. siedm dni, bo w siódmym dniu rozpoczęła się walka, por. III 23 in.: vos vero iam die septimo... exercitum congregatum vidistis sq.; na zaopiekowanie się rannymi i przygotowanie do odwrotu obrócono trzy dni. Wyprawa (profectio) trwała zatem 10 dni (to jest »denarius numerus«). Pan Kętrzyński: superioribus adiectis denariis (?) profectionis n. i. Znak zapytania przy »denariis« dał sam autor. III 25 czytałbym: Audita tanta (zamiast »fama«) fratris, tam humillima supplicatione, mniej bowiem właściwem wydaje się użycie »fama« o prośbie Zbigniewa, przedłożonej Bolesławowi przez osobne poselstwo. Pan Kętrzyński: audita tamen sq.; MPH. III 472: audita ergo fratris petitione humili. Tamże: fraterna caritate quaedam castella sibi daret (ostatnie wyd.: nec quaedam; poprawnie brzmi to miejsce u starszych wydawców). Tamże: »vigilandi studio« na »vigilanti studio« poprawił Pertz. Dodać należy »spiritaliter« w zdaniu: infirmum spiritaliter spiritali medicamine sustentari. Co do »karina« (III 25) por. słowniczek w Mon. Germ. hist. XI (scriptt. IX) s. v. III 26 hostemque... in virga ferrea... visitavit. Por. Psalm 89, 33 visitabo in virga iniquitates; zmiana na »cum virga« nieuzasadniona. Podobnie w jęz. biblijnym: in virga percutere, visitare in gladio. Połączenie »virga ferrea« często pojawia się w Apokalipsie. Zawikłany okres, odnoszący się do zdobycia Wyszogrodu (III 26), rozjaśnia poniekąd p. Kętrzyński przy pomocy Kroniki ks. pol., ale i tam (str. 474) wkradło się zamącenie. Gallus opowiada, że Bolesław z doborową garstką rycerzy chciał opanować gród, zanim wojsko jego nadciągnie i rozpocznie formalne oblężenie. Sądzę, że w zdaniu »Sicque contigit... ex hostili« należy uwydatnić te dwa ataki: assultus civilis t. j. assultus electorum militum, oraz: assultus hostilis t. j. szturm całej siły zbrojnej. Czytam więc: Sicque contigit ignoranter in bello damnum fieri prius ex civili, quam, octo diebus expugnando castrum illud, assultu fuerat (factum erat?) ex hostili. Jak »fuit« może znaczyć: factum est, ἐγένετο (por. Ovid. met. 5, 118 casuque fuit miserabile carmen), tak tutaj »fuerat« stałoby na równi z »factum erat«. III 26 Pomorani <parant> similiter instrumenta modis omnibus repugnandi. Takiej klauzuli wymaga poprzedzające: expugnandi.

Oto garstka uwag, dorzucona do rozprawy d-ra W. Kętrzyńskiego. Niech mi wolno będzie zauważyć, że przyszły wydawca Galla będzie musiał przedewszystkiem jeszcze raz skolacyonować rękopis Zamoyskich jak najsumienniej, nie mniemam też, żeby inne kodeksy

(Sędziwoja, a po części i heilsberski) zasługiwały na zupełne pominięcie. Naczelnym nadto postulatem jest znajomość języka, jakim się Gall posługuje. Nie bez podstawy powołuje się p. Kętrzyński na Kronikę książąt polskich celem rekonstrukcyi tekstu, miałem jednak sposobność stwierdzić, że dostrajanie czy poprawianie Galla na modłę tego środka pomocniczego nie zawsze jest konieczne. Kronika ks. pol. wielokrotnie tylko parafrazuje Galla pod względem językowym, trudniejsze zwroty i wyrazy zastępuje popularnymi synonimami lub łatwiejszą konstrukcyą. Ale wogóle wdzięczni jesteśmy szanownemu autorowi, że w takich rozmiarach starał się przeprowadzić rewizyę słów łacińskich, poświęconych chwale Polski Bolesławowej.

Adam Miodoński.

Unia. Powieść litewska. *Józef Weyssenhoff.* Warszawa 1909.

Ile razy się weźmie do ręki książkę Józefa Weyssenhoffa ma się pewność, że się nie spotka nic banalnego, pospolitego, że rzecz będzie artystycznie piękna, mniej lub więcej udana, ale w każdym razie niepowszednia i zajmująca. Sądzę, że nic lepszego jako uznanie dla autora powiedzieć nie można, a niemniej, że się z tym sądem każdy nieuprzedzony zgodzi. Na niwie naszej belletrystyki tak obfitej, ale tak rozpaczliwie ubogiej w dzieła, nie mówię pierwszorzędnej wartości, bo te wszędzie są rzadkie, ale w utwory, mogące dać coś więcej nad chwilową rozrywkę, Józef Weyssenhoff jest wyjątkiem, a to z rozmaitych powodów, raz bo tworzy wolno i rzadko, co za wielką uważamy zaletę, powtóre, bo tworząc dzieła tendencyjne i nie kryjąc się wcale z tem, jego powieści, albo powiedzmy raczej jego studya polityczne i społeczne nie tracą nic na zajęciu i na uroku opowiadania. Utworów w tym charakterze jest w naszej literaturze bardzo wiele. Natomiast bardzo rzadko się spotykamy ze samoistną i artystyczną inwencyą, która samym urokiem i sztuką tak rzadką wprowadzenia ogólno-ludzkich uczuć do samodzielnego obrazu, nadaje mu uroku i złudzenia rzeczywistości. Natomiast obrabia się najczęściej pewien temat z naszego życia narodowo-społecznego ostatnich czasów, a raczej ostatnich dni. Kanwa i fabuła, jak i plan utworu z góry są gotowe, autor zaś ledwie że nie widzi przed sobą całego dzieła ukończonego. Zadanie literackie upraszcza się przez to w znakomity sposób, akcya tworzenia prawie że ustaje, rysunek charakterów, ukazywania ich w swej mierze aż do końca dzieła samo przez się jest spełnionem, bo tendencya starczy za wszystko. To też można powie-

dzieć, że w największej części utworów belletrystycznych naszego kraju panuje niepodzielnie frazes, każący o szczerości autora powątpiewać. Najrozmaitsze bywają tendencye społeczne, narodowe, socyalistyczne, a często i terorystyczne i stosownie do tego młóci się pustą słomę aż do skutku, t. j. do ukończenia dzieła, które pewne rozmiary mieć musi, by stać się przedmiotem handlu księgarskiego. Słyszymy też bezustanne frazesy niby to bardzo górnolotne, ale któreśmy tysiące razy aż do przesytu czytali. Jeżeli jest jaka nowa i oryginalna myśl, to autor po większej części nie umiał z niej korzystać i konsekwentnie jej przeprowadzić. Że te t. zw. powieści, albo też studya nad naszym narodem i charakterem są prawie zawsze nudne i nie zostawiają w duszy żadnego dodatniego wspomnienia, to najmniejsza wada tych utworów; najgorsze jest to, że prawie zawsze celem jest powaśnienie stanów społecznych i same niezgody między braćmi. Na pewno dość jest smutno w naszym kraju, ale jak się tę powódź powieści rozpatruje, mogłoby być jeszcze gorzej, tak dalece nie widać nawoływania do zgody, ale owszem krzewienia zawiści i niechęci jednych przeciw drugim. Co właściwie jest najgorsze, to, że większa część autorów nie zna wcale środowiska, które opisuje, albo zna je niedokładnie, naciągając wszystko do pewnego z góry oznaczonego celu. Są naturalnie wyjątki od reguły, którą tutaj stawiamy i uznajemy chętnie tych, którzy sobie zadali pracę, by pewien przedmiot, pewną atmosferę, pewne dążności i cele dokładnie poznać. To ostatnie jest przecie nieodzownym warunkiem wartości dzieła, chodzi tutaj bowiem o prawdę, ale nie o tę prawdę, jaką sobie autor wymyślił albo w czytelników wmówić zamierza, ale o rzeczywistą bezwzględną prawdę, którą w tej chwili rozpoznać w utworze można. Nie robimy tutaj żadnych porównań, wiedząc iż takowe wobec nieskończonej rozmaitości talentu zawsze kulać muszą, ale w każdym utworze lepszym czy gorszym, albo bardzo sławnym, można rozpoznać czy autor tej zasadzie prawdy hołdował. Nie jest to jednak rzeczą łatwą; potrzeba doskonałego zastanowienia, osobistych często nader subtelnych studyów, aby z pewnej sytuacyi właśnie wyciągnąć to, co zawiera plastycznie, to przedstawić, co stanowi jądro danego położenia. Mamy przekonanie, że wielu autorom nie brak dobrej woli, nie brak talentu, ale brak pracy i zagłębienia się w przedmiot, co niestety jest wadą pierworodną naszego narodu. Musieliśmy temi ogólnemi uwagi całą rzecz uprzedzić, ażeby wykazać na czem wewnętrzna wartość Weyssenhoffa polega. O to, że swój przedmiot zna na wskróś, doskonale, ze wszyst-

kich stron i że tylko to opisuje, co widział osobiście, albo co zna skądinąd bez zawodu. Nam jego dzieła robią wrażenie, że każdą składową część powieści, to jest kraj, otoczenie, nadewszystko działające osoby na żywych studyował wzorach. To zresztą obojętne, czy z każdym rozmawiał, czy każdy krajobraz widział, czy się wżył w tajniki życia społecznego w rozmaitych sferach; skutek jest ten, że nam robi wrażenie bezpośredniej obserwacyi, a wskutek tego daje tę pewność bardzo rzadką, że to co opisuje albo się zdarzyło, albo się mogło zdarzyć rzeczywiście tak jak je przedstawia. Obok tego zaś co wiele uroku pisarzowi temu dodaje, że jest w ciągłym postępie, że nie zadawala się osiągniętym sukcesem, ale coraz więcej od siebie samego wymaga. »Podfilipski« w swoim czasie narobił dosyć wrzawy i z pewnością żaden utwór ostatnich czasów nie był tak czytany i rozchwytywany. Oczywiście mówimy tylko o dziełach, których autor się szanuje, unikając nagiego przedstawiania zbrodni i wszelkiej podłości ludzkiej. Ma się rozumieć, że kto się pozbył wszelkich więzów wstydu, uczciwości i przeciętnej nawet u każdego człowieka moralności, temu bardzo łatwo znaleźć sukces szczególniej u szerokich mas, których niezdrową ciekawość umiał aż do namiętnej wybujałości podrażnić. Co do poziomu i wysokiego nastroju co do szlachetnych wstydliwości jest Weyssenhoff zupełnym tak u nas jak zagranicą wyjątkiem. Ileż to »Podfilipski« nastręczał sposobności do dwuznacznych albo wcale nie dwuznacznych uwag, autor jednak z największą wstrzemięźliwością i bezustanną pieczą nie dał się skusić do tanich, pospolitych wycieczek. Słyszałem zdanie, że »Podfilipski« jest najlepszem jego dziełem, że się, by tak powiedzieć, w nim wypisał i do czegoś równie dobrego nie był zdobnym. Zdania tego stanowczo podzielić nie mogę, uznając głębokość satyry, dokładność i rozum obserwacyi, wreszcie nadzwyczajny dar zainteresowania czytelnika, musimy przecie powiedzieć, że egoizm »Podfilipskiego« do wszechmocnej zasady życia doprowadzony nie jest dodatnim objawem. Wiemy bardzo dobrze, iż tu i owdzie autor z prawdziwie misterną sztuką zwycięstwo innych zasad głosi, ale sądzę, że nie wielu czytelników te wskazówki pojęło i odnalazło, a większość rozbawiona iskrzącym dowcipem i wyjątkową żywością obrazów, książkę tę nieco powierzchownie sądzi. Zresztą autor, co i później wykażemy, uległ od czasu do czasu chęci przesady.

I tak, »Podfilipski«, zachwycający się z całą naiwnością nad wyborną kolacyą na balu u pp. Kostków powiedział za dużo, i że autorowi możnaby w tem miejscu przypomnieć zasadę rzymską *ne quid*

nimis. Nie mamy zamiaru wznawiać krytyki albo pochwały, którą w swoim czasie wywołał »Podfilipski«. Pobieżne uwagi, któreśmy tu wtrącili, służą jedynie na wykazanie, że autor w późniejszych, mianowicie zaś w ostatniem dziele, którem się tu szczegółowo zająć mamy zrobił, zachowując wszystkie swoje dotychczasowe zalety znakomity postęp. »Unia«, powieść litewska; skromny tytuł, skromne stosunki i ludzie, ale jak to wszystko uchwycone, jak żyją, jak po mistrzowsku przeprowadzone charaktery od początku do końca może ocenić każdy, co powieść dokładnie przeczytał. Autor ma szczególniejszy dar i właściwą metodę przedstawiania, działających w powieści osób. Nie myślimy wcale porównywać Weyssenhoffa z Goethem, ale to pewne, że przy wprowadzaniu każdej osobistości na widownię nie daje nam wcale długiego jej opisu, ale że osoba ta wprowadza się sama przez się i tak, jak ją autor chciał mieć, taką pozostaje do końca opowiadania. Goethe w »Wilhelm Meistrze« nie daje nam również żadnych opisów, jakoby wstępu, mających nam objaśnić późniejsze jej działanie, ale każda osoba swem zachowaniem, mową i charakterem zaznacza się głęboko w pamięci czytelnika. Ten przymiot występuje już w »Synie Marnotrawnym« i w »Sprawie Dołęgi«, tylko że w powieści »Unia«, dużo wybitniej się zaznacza. Kto chce pisać o naszym kraju, a pisać prawdę, ten nic wesołego powiedzieć nie może. To też obraz Litwy, który autor przed oczami naszemi roztacza, nie jest bynajmniej ani pogodny, ani szczęśliwy. Rozbicie stronnictw, wzajemne podejrzewanie się, zupełny brak zgody między Polakami i Litwinami jak się dzisiaj wyrabiają; stosunek szlachty do chłopów i duchowieństwa przedstawiają mało realnej nadziei poprawy. Sztuka autora bardzo niepospolita, polega na tem, że w tem środowisku zwykłem, codziennem, pospolitem, wobec zawiści jednych względem drugich, potrafił uchwycić rysy prawdziwie sympatyczne, charaktery zacne albo i przewrotne, jednakże obraz sielsko-dobrodusznych stosunków jest pełen uroku, a poszukawszy, można się w nim domacać patryotycznych zacnych chęci i usiłowań. Są to położenia życiowe na pozór bardzo zwykłe i codzienne, ale na tem tle rozwija się akcya bardzo interesująca, albowiem autor, choć tego wyraźnie nie mówi, przejęty jest tą głęboką prawdą, że najważniejsze życia wypadki odbywają się właśnie na tle tego, co nas codziennie otacza i zajmuje. Oczywiście nie wiemy jak się autor do swojego dzieła zabierał; w każdym razie nie może ono być jeno wynikiem bardzo głębokich i sumiennych badań i spostrzeżeń. Jeżeli w innych dziełach tę sumienność i prawdę

autora ocenialiśmy, tembardziej w ostatniej powieści. To też całość robi wrażenie bijącej w oczy prawdy, a że nie jest wesołą, to nie wina autora.

Przeciętny koroniarz niema nawet słabego o Litwie wyobrażenia. Jest to świat społecznie, moralnie, a nawet fizycznie zupełnie nam nieznany, ale tembardziej zaciekawiający. Kiedyśmy mówili o fizycznej stronie kraju, to musieliśmy podnieść nadzwyczajną, wyjątkową zdolność opisywania danej miejscowości. Te odwieczne jeziora, niezgłębione moczary pokryte zielskiem, którego ani nazwy ani barwy w naszym kraju nie mamy, te podszyte knieje, zapewnie nieco przetrzebione od matecznika mickiewiczowskich czasów, a szczególniej ludzie w tych stronach żyjący, to jakby nowe odkrycie. Nad tem zaś wszystkiem wznosi się wieś polska czy polsko-litewska z dworem, chatami, kościołem i nabożeństwem — to wszystko ma urok przedziwny i chociaż odrębność tego świata daje nam wrażenie, że autor to wszystko widział i że nam podaje prawdę. Wszystkie stosunki są dotknięte, ani jedno stronnictwo nie pominięte, więc prawdziwi Litwini, jak się dzisiaj starają wyodrębnić Polacy, szlachta, duchowieństwo po większej części żywiołowi polskiemu przeciwne, ale mimo to wszystko to żyje, działa i przypatrzywszy się temu dokładnie, nie jest bynajmniej obojętne.

Znakomitym typem jest pan Chmara, zamożny, o silnem stanowisku obywatelskiem, mający pełną gębę najszczytniejszych zasad i chęci i bez których się nibyto w powiecie i gubernii nic odbyć nie może, zupełnie jak u Fredy »Wielki człowiek do małych interesów«; tylko że tamten jest sobie dobroduszny i naiwnie swą wielkością przejęty, kiedy Chmara chcąc uchodzić za wzór uczciwości i szlachetności, oszukuje po cichu swoją pupilkę, pragnąc ją resztek mienia pozbawić.

Un prudhomme double d'un coquin, jakby powiedział Halevy. Pewne występujące osoby później dokładnie określimy, na teraz zaś musimy ocenić, z jaką sztuką autor poza wszelkiemi osobami i wypadkami potrafił zatrzymać naszą uwagę koło dwóch osób, o które głównie mu chodzi, t. j. o »Rokszyckiego« i o »Krzysię«. Sposób, w jaki się stracili z oczu i jak się nadaremnie długi czas szukają aż do szczęśliwego znalezienia się, wszystko jest jak najbardziej proste i naturalne, jak niemniej sposób czysto przypadkowy, ale doskonale naprowadzony, jak za pomocą gajowego czy leśniczego, starego wygi, któremu znane najtajniejsze zakątki Litwy, dowiaduje się wreszcie

Rokszycki o chwilowem schronieniu Krzysi i postanawia natychmiast z nią się połączyć.

Już w »Sprawie Dołęgi« autor dowiódł, że jak chodzi o zgłębienie miłości, potrafi znaleźć najszlachetniejsze dźwięki, co ważniejsza zaś to życie serc, opisuje w sposób prosty, bez żadnej przesady i chwytający po prostu uwagę czytelnika. W »Unii« zrobił pod tym względem nadzwyczajne postępy i można śmiało powiedzieć, że z tej części swego opowiadania świetnie się wywiązał. Mianowicie trzeba zauważyć, jak nieznacznie pod wpływem tego wszchmocnego uczucia ścierają się przeciwieństwa, łagodzą wyuzdane lub przesadzone teorye, a wszystko do jednej harmonii spływa, ten cały ustęp pobytu Rokszyckiego u księdza Wyrwicza, powolne przejęcie się dwóch istot i sprowadzenie do jedności najpiękniejszej i najszlachetniejszej, to może najbardziej udana część powieści. Ocenialiśmy zdaje nam się sumiennie wartość dzieła, więc też nam autor zapewne za złe nie weźmie, że wskażemy otwarcie na usterki, których pominąć nie możemy. Bardzo się dziwimy, że pisarz tak wprawny, z ręką tak doświadczoną i delikatną właśnie w tym względzie t. j. przy przedstawieniu charakterów się omylił i wpadł w przesadę.

Najprzód »Apolinary Budzisz« stanowczo jest za głupi. Przyzwyczajeni jesteśmy wprawdzie u naszych działaczy społecznych i Zbawców Ojczyzny do sporej dozy pospolitej bezmyślności, jednakże on tego wszystkiego ma za wiele. Przeszedł przez ciężką szkołę ustawicznych niepowodzeń, przekonał się, że ze zdaniem jego nic a nic się nie liczą: w sprawie odczytu, na który publiczność przyjść nie chciała, powinien był dojść do jakiegoś zastanowienia, że ostatecznie niczem nie jest, nie był, ani być nie może. Tymczasem to wszystko groch na ścianę, a znalazłszy w Warszawie dawnych towarzyszów, nie przestaje szumnych frazesów i górnolotnych politycznych zamiarów. Z powodu Budzisza musimy nadmienić, że wystarczało to piętno bezdennej głupoty, a należało nam oszczędzić sceny bardzo przykrej, którą się tylko ze wstrętem czyta. Zapewne że wszystko się może zdarzyć, bądź co bądź jednakże Polacy i to rzekomi patryoci w Wilnie koło Ostrej Bramy, upijający się na umór w jakimś *ting-tanglu* z ladacznicą wiedeńską tak, że nazajutrz muszą wołać doktorów dla poratunku; to wszystko nader jest bolesne i upokarzające i zdaje nam się, że się powieść bez tego brzydkiego epizodu doskonale obyćby mogła.

Co do księżnej Zasławskiej, to jest zanadto potworna i podła.

Taka niegodziwość duszy, mogła się pomieścić w ramach dajmy na to »Macbetha«, albo »Zbójców« Schillera, ale z tymi arcy-codziennymi stosunkami wcale nie licuje. Do tego jej konfidencya ze starą sługą Krzysi, w której Rokszyckiego stara się przedstawić jako zupełnego infamisa, jest niesmaczna i pospolita.

Wreszcie co do Krzysi i tutaj rzeczywiście tem trudniej jest autorowi zrobić zarzut, że ostatecznie rzecz do najpiękniejszego końca doprowadził. Jednakże ta młoda kobieta, która strzela na wszystkie strony najwyższem natchnieniem i nieprawdopodobnymi czynami, wydaje nam się niedość naturalną. Jej zaś narzucenie się Rokszyckiemu podczas polowania, mogło u człowieka nie tak rycerskiego i statecznego jak Rokszycki, doprowadzić do zboczenia, któreby wszystkie zamiary autora zniweczyć mogły.

Poza tem, to powieść pana Weyssenhoffa uważamy nie tylko za najlepsze jego dzieło, ale zarazem jako doskonałe i niespodziewane wzbogacenie naszej literatury powieściowej.

Paweł Popiel.

Z piśmiennictw obcych.

La lumière invisible. *Robert-Hugh Benson.* Paris — Librairie Perzim et Co. 1909.

Przed półtora rokiem *Przegląd Powszechny* dawał sprawozdanie z niezmiernie interesującej powieści Roberta Hugh Bensona, przetłumaczonej na język francuski przez Teodora Wyzewę p. t. *Le Maître de la Terre.* W tej chwili mamy inne dzieło tegoż autora, które poprzedziło powieść tamtą — i jest pierwszym jego utworem po nawróceniu. Robert H. Benson urodził się jako syn protestanckiego pastora późniejszego arcybiskupa Canterbury i po wielu namysłach i badaniach został katolikiem — nie dość na tem — przyjął święcenia kapłańskie, dalej prowadząc natężone studya naukowe i teologiczne, pracując zarazem na polu literackiem [1]. Powieści jego cieszą się wielkiem powodzeniem, tryskają dowcipem, interesują świetną obserwacyą.

Lumière invisible to książka, która nie mija obojętnie. Gdy ją przeczytałam, miałam uczucie, że jakaś zasłona między znanem a nie-

[1] Brat O. Benson'a, J. f. Benson, ma również wybitne zdolności.

znanem na chwilę się osunęła, i że ta przepiękna wiara nasza w obcowanie świętych, przybrała dotykalne formy... Nici, łączące świat widzialny ze światem duchowym, stają się jakby przewodem przenoszącym światło elektryczne, które ciemności nagle oświeca. Ktokolwiek z mych znajomych czytał tę książkę, doznawał też tego dziwnego uczucia, że za mało zdajemy sobie sprawy z życia nieuświadomionej interwencyi i »niewidzialnego widzenia«... Pod kątem tym obserwowane zjawiska życia naszego i niektóre dziwne zdarzenia, stają się zrozumialszymi. Jednak rozmyślając nad opowiadaniami w tej książce zawartemi, rozumie się, że mogły być tak pojęte tylko przez duszę mistycznemu życiu oddaną. A zarazem element północnym narodom właściwy, ten element rozmarzonej, zasłuchanej w głębie ciszy zimowej wyobraźni, gra tu rolę niemałą: odnajduje się dalekie podobieństwo z opowiadaniami szwedzkich i norwegskich pisarzy, którzy wnoszą w swe utwory jakąś tajemniczą o rozpierzchłych konturach fantazyę, gdzie się tak dziwnie kombinują: wrażenia i wspomnienia przeżywane w samotności długich nocy zimowych, lub też przetworzone w opowieściach, snutych bez końca przy ogniu kominka i jego dziwnych płomieniach.

Inne także zajdowałam jeszcze analogie w tej książce: czytałam prawie równocześnie życie O. Helkera, tego sławnego apostoła nowoczesnej Ameryki. Jego nacisk stały i wybitny na indywidualne powołanie każdej duszy — i ta konieczność i ten obowiązek wyrabiania siebie w kierunku tego głosu wewnętrznego, którym Duch Boży przemawia w chwilach pokornego skupienia — wydały mi się zbliżone do atmosfery, panującej w książce O. Bensona. Różnorodność zadziwiająca darów Bożych, objawia się niesłychanem bogactwem powołań, przeznaczeń i zdolności każdego z ludzi: więc ten ksiądz na schyłku życia, którego opowiadania stanowią treść tej książki ma zupełną słuszność, gdy mówi o swym szczególnym d a r z e w i d z e n i a. Jest to zdolność, którą posiadają w mniejszym lub większym stopniu dusze, obdarzone czynem wewnętrznym więcej rozwiniętej wiary i obcowania z Bogiem. U mnie — mówi ów kapłan — ten przywilej nie jest samą wiarą: jest to specyalny dar p e r c e p c y i d u c h o w e j: odczucia i sprawdzenia tego przez własne doświadczenie, czego nauczyliśmy się uznawać przez posłuszeństwo. Podobało się Bogu dać mi szczególną zdolność i delikatność wyjątkową w kierunku tego daru — tak, jak panu udzieloną została naprzykład wyjątkowa wrażliwość na każdą formę piękna, pod tą lub ową formą, którą inni wcale nie dostrzegają...

Chwilami ten dar percepcyi jest tak silnym, tak natężonym, że świat duchowy, ukazuje mi się równie widzialnym, jak ten, który nazywamy światem naturalnym. Najczęściej w takich chwilach dalej czuję różnicę między światem duchowym a naturalnym: ale oba ukazują mi się równocześnie, jakby na jednym planie...

Na innej stronnicy tej książki znajdujemy nadzwyczaj jasne określenie odmienności punktów wyjścia pomiędzy wiarą i nauką.

»Na pierwszy rzut oka konkluzye nauki i wiary wydają się być zupełnie odmienne dla tych próżnych umysłów, które chcą wszystko pojąć«. Ale nauka i wiedza wychodzą z wręcz przeciwnych pojęć. Podstawą nauki jest, że nie masz prawa poruszać się na jeden cal poza to, co ci jest intellektualnie dowiedzionem. Zasadą religii jest, że wiara twoja jeśli chce dojść do czegoś, co zasługuje być poznanem, musi zawsze trochę wyprzedzać dowody, które posiadasz...

I później jeszcze ta niezmiernie ważna uwaga. Religia przyjmuje na świadectwo i serce i człowieka całego, gdy nauka przyjmuje tylko głowę, odmawiając wiarę zmysłom nawet. Ale doświadczenie przyznaje słuszność zapatrywaniom z punktu wyjścia religii. Każdy czyn wielki naprawdę jest natchniony sercem, nie dowodzeniami głowy — przez poryw i uczucie nie przez rachunek możliwości. Prawdę Bożą tylko gwałtownicy zdobywają.

W szeregu opowiadań, które zawiera ta książka, są niektóre tak głębokie i tak pocieszające, że mogą stać się źródłem rozmyślań pokrzepiających. W innych odkrywa się potężna interwencya Opatrzności, która dopuszcza nieszczęścia z zamiarem, by przyszłość szczęśliwą duszy zabezpieczyć.

Niemniej wstrząsają relacye, gdzie się widzi namacalnie władzę ducha złego, którego moc łamie potęga modlitwy.

Jedna z tych opowieści ma za przedmiot dziwne zdarzenie. W odległej miejscowości, gdzie proboszcz może znać osobiście wszystkich swych parafian, żyła kobieta starsza, do której żaden wpływ dobry nie mógł dotrzeć. Każde staranie księdza, rozbijało się o opór twardy. Bracia wyrwali ją z odmętu zepsucia, ale nic więcej ponad to nie dokazali. Jednego zimowego dnia starszy z braci Alfred, uprzedził proboszcza, że siostra chora i że będzie pewno wkrótce prosić o jego przybycie. Rzeczywiście w dwa dni później zjawił się na plebanii, donosząc o nagłem pogorszeniu, zarazem wspomniał o drugim swym bracie, który z Londynu przybyć miał, i dalej zaraz spieszył do najbliższego miasteczka po doktora. Proboszcz co prędzej zbierać się

zaczął do swej nocnej wycieczki i w chwili, gdy był prawie gotów, usłyszał nagle spieszne pukanie, nie zaświecając świecy, poszedł otworzyć drzwi do sieni. Przed nim stał człowiek po same oczy zakulony. W pierwszej chwili sądził, że to był brat chorej, Alfred.

Nie — odpowiedział nieznajomy — ale przyszedłem prosić, by Ojciec nie męczył się daremnie. Sara ma się dużo lepiej i na razie nie chce być zaopatrzona św. Sakramentami.

Zadziwiło mnie to niezmiernie — opowiadał dalej ksiądz.

— Ale kimże pan jesteś? czy może drugim bratem, Patrykiem?

— Tak mój ojcze.

Głos mówiącego był przytłumiony, postać dziwna. W dalszej rozmowie z coraz większym naciskiem nalegał na odłożenie bytności księdza. Targował się prawie o termin, chciał go choćby do drugiego dnia odłożyć, — ale ksiądz mimo tego kończył się gotować do drogi. Daremno stara gospodyni, nagle przerażona, zaczęła też błagać proboszcza o ostrożność: to nie jest Patryk — Ojcze!

Noc była ciemna, zadymka, zimno znaczne. Proboszcz szedł sam, przyświecając sobie latarką i kierując się śladami, które zostawiły buty dwóch braci. Po jakimś czasie rozdzieliły się — ślady jedne szły w kierunku miasta, drugie dziwnie zaczęły się kręcić, wreszcie nagle bez żadnego powodu ustały, znikły. Nie było tu ani nowego śniegu, ani żadnej przeszkody. Kroki Alfreda wyraźnie się odznaczały tak, jak szedł z domu do plebanii przed godziną, — ale drugich śladów nie było... żaden człowiek nie szedł tędy...

Dziwne wrażenie ogarnęło księdza — uczuł, że jakaś niewidoma siła chciała tej spowiedzi przeszkodzić — zaczął wątpić, czy ów człowiek był rzeczywiście bratem chorej. W tem usposobieniu dobił wreszcie do domu Sary — pokazało się, że oczekiwała Sakramentów z niecierpliwością. Umarła przed świtem jeszcze. Ale jakież było wzruszenie księdza, gdy się dowiedział, że brat drugi wcale jeszcze nie przyjechał z Londynu. Przybył dopiero na sam pogrzeb siostry.

Kimże był ów nieznajomy z taką gorliwą natarczywością chcący przeszkodzić owej duszy zbłąkanej do pojednania się z Bogiem?

Inna opowieść dotyczy pomocy, spływającej z wyżyn niewidzialnych.

Ten sam kapłan, którego wspomnienia składają się na tę książkę, musiał udzielić jednej z blizkich znajomych strasznej dla niej wiadomości. Z rozdarciem serca widział, jak wchodziła do salonu wesoła, swobodna, uśmiechnięta — i jak spojrzawszy na poważną twarz niespo-

dzianego gościa, nagle zbladła, przeraziła się nim jeszcze usłyszała tę wieść straszną, która miała złamać całe jej życie. Nieprzytomna z bólu padła na fotel — ksiądz stał milczący, bezradny, sam nie wiedząc jakich słów pociechy użyć — ledwo zdobył się na krótką modlitwę. Nagle w chwili, gdy nawet jemu wydawał się tak dalekim Bóg, dający pociechę i siłę — ujrzał w powietrzu wizyę niezwykłą — klęczał tam kapłan z rękoma błagalnie wzniesionemi, pogrążony w modlitwie natarczywej, gorącej; widocznem było, że boleść i całą rozpacz owej nieszczęśliwej wziął do serca własnego, że uczynił ją swoją przez całą moc woli poświęcającej się za drugich i że ją ofiarowywał Bogu. Nagle w tej ciszy rozległy się szlochania kobiety — ksiądz obrócił się i ujrzał ową nieszczęśliwą płaczącą rzewnie, ale jakby z uczuciem ulgi, bo twarz jej traciła wyraz niemej rozpaczy, a usta jej wymawiać poczęły słowa modlitwy — zdawało się, jakoby jej ból przeszedł na owego pośrednika, którego wizya znikła w tym momencie. »Widziałem cierpienie dojmujące tej kobiety, przeniesione przed tron Najwyższego przez kogoś większego i mocniejszego«.

Inne »widzenie« dotyczy widoku dzieci, bawiących się na moście. Śliczny, cichy dzień wiosny; wokoło słońce, kwiaty, srebrny szmer strumienia; dwie dziewczynki prowadziły małego braciszka i wszystko troje rozśmiane, rozbawione, szczęśliwe w tej atmosferze wiosny. Rybki w wodzie, motyle w powietrzu, zajmowały zupełnie uwagę dziewczynek, tak, że zostawiły braciszka samego na wązkim mostku, wpatrzonego w płynącą wodę. Nagle rozległ się tętent spieszny. To koń spłoszony zaprzężony i wlokący wózek, pędził w tym kierunku. »Nie było czasu wyrwać dziecko, przeszkodzić nieszczęściu — leciałem co mi sił starczyło, zobaczywszy zdala na co się zanosi. Nie pamiętam nic prócz strachu«. I nagle ujrzałem postać jakąś pochyloną nad maleństwem: twarz promieniała dobrocią i nieopisaną tkliwością. Jedna ręka zasłaniała w tymże momencie oczy dziecka, druga objęła je wpół. Przymknąłem oczy, pewny, że dziecko zostało uratowane. Ale w tymże momencie usłyszałem krzyk nadbiegających ludzi. Koń stratował chłopczynę, zabijając go na miejscu i dalej popędził jak szalony. Byłem zrozpaczony. Ale równocześnie zaczęła w mej duszy objawiać się reakcya na wspomnienie tej dziwnej twarzy i twarzy Ojca, którą podziwiają w pokorze aniołowie. On wie dlaczego na ludzi przychodzi nieszczęście pozorne, które od większego chroni.

Marya Harsdorf.

Schriften der Zentralstelle für Wohnungsreform in Oesterreich. Wien 1907—1908.

1. »Ziele und Wege der Wohnungsreform in Oesterreich« von Prof. Dr. Heinrich Rauchberg.
2. »Arbeitergärten« von Prof. Dr. Theodor Pfeiffer.
3. »Die Steuer- und Gebührenlast der gemeinnützigen Vereinigungen zum Zwecke der Errichtung von Kleinwohnungen«.
4. »Die Beschaffung der Geldmittel für die gemeinnützige Bautätigkeit« von Dr. Felix Freiherr von Oppenheimer.
5. »Wohnungsfürsorge durch Beamtenbaugenossenschaften« von Regierungsrat Max Koska.
6. »Die Kosten einer Wiener Wohnungsreform und ihre Deckung« von Dr. Ing. Walther Conrad.

Kwestya mieszkań, w Austryi niemniej paląca jak w innych państwach zachodnio-europejskich, była do niedawna zagadnieniem bardzo mało stosunkowo roztrząsana. Pojawiały się wprawdzie bardzo interesujące monografie Philippowicha i Mengera, ale na ogół, sumienie społeczne w Austryi, nie mówiąc już o Galicyi, nie ruszyło się. Dlatego też z uznaniem powitać należy powstanie instytutu dla reformy mieszkań w Austryi. Pierwszym celem tego instytutu było ruszenie sumienia społecznego, zwrócenia uwagi również naszych magistratur samorządnych na istnienie i znaczenie tej niesłychanie palącej kwestyi społecznej, rozjaśnienie całego szeregu aktualnych zagadnień z kwestyą tą się łączących, ułatwienie praktycznego rozwiązywania tych kwestyi.

Pierwszym i, powiedzmy od razu, bardzo udatnym czynem, w tym kierunku przez Instytut dokonanym, to wydawnictwo publikacyi wyżej wyszczególnionych. Są to wszystko broszury bardzo przystępnie i jasno wyłuszczające szereg kwestyi z reformą mieszkań się wiążących. Więc przedewszystkiem: ogólne cele i zadania tej reformy. Wyjaśnia je znakomity statystyk mieszkaniowy prof. Rauchberg z Pragi. Autor w śmiałych rzutach trafnie wskazuje na wielkie znaczenie, jakie ma dzisiaj t. zw. kwestya miejska, kwestya pomieszczenia tych coraz większych mas ludności ciągnących do miasta (dziś w Austryi 30% ogółu ludności), kwestya zakonserwowania ich życia i zdrowia. Zaznacza, że obecnie w wielkich miastach istnieje ogromne przeludnienie. Tak np. w Wiedniu 27.397 mieszkańców, z 165.000 mieszkańców czyli 17% jest stanowczo przeludnionych, t. zn. jedna ubikacya obejmuje 6 i więcej osób. Drugą ujemną stroną tych mieszkań, to ich ciągła ruchomość. Prawie czwarta część mieszkań w Wiedniu bywa corocznie sądownie wypowiadana. W dalszym rzędzie podaje autor bardzo interesujące daty, dotyczące gruźlicy, alkoholizmu i chorób we-

nerycznych, szerzących się w gwałtowny sposób w miastach nowożytnych wskutek ujemnych stosunków mieszkaniowych.

Jako przyczynę tych smutnych objawów podaje autor przedewszystkiem czynsze mocno wygórowane, a dające się odczuwać najsilniej drobnym lokatorom. Ci drobni lokatorzy 70 do 80 dni rocznie muszą pracować dla właściciela domu i jego wierzycieli, do których należą także państwo i gmina ze swemi pretensyami podatkowemi. Czyli, że ci drobni lokatorzy piątą lub nawet czwartą część swego dochodu muszą zużyć na opłacenie czynszu najmu, podczas gdy warstwom średnim wystarczy poświęcić na ten cel jedną szóstą a warstwom wyższym jedną dziesiątą lub jeszcze mniej. Mimo to, wskutek wzajemnej zawisłości wszelkich zjawisk społecznych, warstwy wyższe są również w wysokim stopniu zainteresowane w należytem rozwiązaniu kwestyi mieszkań. Zarazki chorobotwórcze, wytworzone w suterenach nędzarza nie cofają się bowiem i przed pałacem.

Przechodząc do rozwinięcia programu reformy autor żąda decentralizacyi osadnictwa, wytworzenia przemysłu wiejskiego, ułatwienia zabudowania dalszych przestrzeni, komunikacyi z centrum miasta, ustawy o wywłaszczeniu dla celów reformy mieszkań, opracowania planu ogólnej regulacyi miasta, reformy ordynacyi budowlanej, ułatwień budowlanych dla mniejszych mieszkań, nowożytnej ustawy mieszkaniowej, reformy należytości przewoźnych, ulg podatkowych dla domów z małemi mieszkaniami, podatku od przyrostu wartości, ułatwienia tworzenia asocyacyi dla budowy tanich mieszkań, organizacyi kredytu budowlanego a wkońcu propagandy dla samej idei.

W drugiej broszurze omawia stosunkowo obszernie szczegółowo prof. Pfeiffer z Gracu sprawę, stanowiącą pożądane bardzo uzupełnienie reformy mieszkań t. j. sprawę t. zw. ogrodów robotniczych *(jardins ouvriers)*, opierając się przytem głównie na materyałach niemieckich i francuskich. Ogrody robotnicze dwom celom mają służyć przedewszystkiem. Mają one podnosić dochód przez przychód z ogrodu i mają ulepszać stan zdrowotny przez pobyt i pracę na wolnem powietrzu. Poza tem wchodzą tu w rachubę także skutki zażywania natury na duszę robotnika.

Trzecia broszura daje szczegółowy obraz przepisów prawa austryackiego, dotyczących ciężaru podatkowego i należytościowego, ciążących na asocyacyach ogólno-pożytecznych, zainicyowanych w celu budowy drobnych mieszkań, jako to: stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, spółek z ograniczoną odpowiedzialnością i spółek akcyj-

nych. Kto zna ogromne ciężary, jakie fiskalizm austryacki nakłada na wszelkie objawy życia gospodarczego, ten najlepiej zdoła ocenić, jak bardzo należy być ostrożnym przy obiorze pewnej formy prawnej. Bo od tej lub owej formy prawnej zależy nieraz bardzo wiele, zależy wprost byt i istnienie przedsięwzięcia. Dlatego też bardzo słusznie postąpił Instytut, gdy szczegółowe w tym przedmiocie przeprowadził badania i debaty. Praktyczność tych badań zwiększa jeszcze niepomiernie fakt, że do książeczki dołączono cały szereg przykładów praktycznych i prób rachunkowych.

Czwarta broszura wyszła z pióra wybitnego znawcy kwestyi mieszkań (zwłaszcza w Anglii) br. Feliksa Oppenheimera. Omawia kwestyę pierwszorzędnej wagi, przy praktycznem rozwiązywaniu zagadnień ze sprawą mieszkań się łączących, mianowicie kwestyę dostarczania środków pieniężnych na cele działalności budowlanej w interesie dobra publicznego podejmowanej. Bo przecież, jak słusznie wyraził się prof. Karol Fuchs na leodyjskim kongresie mieszkaniowym, kwestya mieszkań jest przedewszystkiem kwestyą kredytową.

Autor omawia urządzenia publiczne w całym szeregu państw, w tym kierunku działające. I tak w Belgii, kraju pod tym względem najbardziej klasycznym, krajowa kasa oszczędności udziela bardzo taniego kredytu w celu nabycia lub wynajęcia odpowiedniego domostwa robotniczego. Pośrednikiem między dłużnikiem a kasą oszczędności są stowarzyszenia lub spółki akcyjne. W związku z krajową kasą oszczędności stoi również instytucya państwowego ubezpieczenia życiowego, która ręczy za zupełną spłatę pożyczki mieszkaniowej w razie przedwczesnego zgonu dłużnika w instytucyi tej ubezpieczonego. Stopa procentowa tych pożyczek była na ogół bardzo nizką, wynosiła mianowicie 2·5 do 3%. Jakie rozmiary przybrało to urządzenie, wskazuje fakt, że suma pożyczek z tego tytułu udzielonych wynosiła w dniu 1 stycznia 1907 r., 72·5 milionów franków, liczba domów, która, dzięki temu urządzeniu, stała się własnością robotników, wynosiła 36.300.

Przykład belgijski oddziałał na Francyę. Ustawami z lat 1894 i 1895 zostały zakłady dobroczynne i szpitale, państwowe kasy depozytowe i kasy oszczędności upoważnione do używania piątej części swego majątku na cele budowy mieszkań ludowych lub jako kredytu hipotecznego dla stowarzyszeń budowlanych i kredytowych lub też do zakupna obligacyi tychże stowarzyszeń. Ponadto kasy oszczędności mogą użyć całego przychodu ich majątku osobistego na cele powyżej

oznaczone. W dwa lata później upoważniono również gminy i departamenty do lokowania (za zezwoleniem ministra handlu) swego majątku w mieszkaniach ludowych, przyczem jednak formę lokacyi ograniczono do udzielania zaliczek na zakupno obligacyi i akcyi stowarzyszeń budowlanych i kredytowych lub do uczestniczenia w tego rodzaju przedsięwzięciach w formie oddawania im swych gruntów po cenie szacunkowej lub do sprzedawania ich za połowę ceny szacunkowej.

Podobne urządzenia spotykamy we Włoszech podczas gdy w Anglii idea samopomocy społecznej (kooperatywy) i na polu kredytu mieszkaniowego święciła tryumfy. Ale bo też stopa zarobkowa robotnika angielskiego nie da się żadną miarą porównać ze stosunkami w tym względzie w innych krajach panującymi; bo jedynie znakomite stosunki zarobkowe angielskie umożliwiają robotnikowi angielskiemu dźwiganie się o własnej sile, podczas gdy stosunki w innych krajach w tym względzie panujących, pomoc publiczną czynią wprost nieodzowną. Jako dalsze przykłady takiej pomocy publicznej, wymienia autor przedewszystkiem Wilmey, gdzie do końca r. 1906 krajowe zakłady ubezpieczenia na starość i na wypadek niezdolności do pracy udzieliły na cele kredytu mieszkaniowego nie mniej jak 172.000 milionów marek. Stopa procentowa wynosi 3 do 3·5%, roczna kwota amortyzacyjna 1%.

Wysokość obciążenia może wynosić nawet 75%, przy zakładzie nawet pełną wysokość wartości szacunkowej. Charakter humanitarny tych mieszkań, musi być zabezpieczony odpowiednią wysokością czynszu najmu, ograniczeniem dywidendy, liczbą części mieszkalnych, osobne mieszkania tworzących, wkońcu daleko idącemi ograniczeniami w podnajmie i t. p.

Przechodząc do omówienia stosunków austryackich, stwierdza autor z ubolewaniem, że tutaj niema na ogół możności uzyskania drugich hipotek na odpowiednich warunkach oprocentowania i amortyzacyi; i to jest, zdaniem autora, główną przyczyną, dlaczego reforma mieszkań nie może się ruszyć z miejsca. Reformy w tym względzie spodziewa się i żąda autor od projektowanego ubezpieczenia na starość i na wypadek niezdolności do pracy. Te wielkie kapitały lokacyjne tej asekuracyi na ten cel przedewszystkiem powinnyby być przedewszystkiem użyte.

Piąta książeczka zawiera referat pruskiego radcy rządowego Koski o działalności władz pruskich w kierunku pomocy dla stowa-

rzyszeń budowy mieszkań dla urzędników i o sposobie organizacyi tych stowarzyszeń.

Pomoc państwa w trzech głównie objawia się formach: w formie przystępowania szefów władz do stowarzyszeń w celu dania podwładnym dobrego przykładu, w formie oddawania ziemi stowarzyszeniom budowlanym i w formie udzielenia im pieniędzy. Dla tworzących się w naszym kraju dość licznie stowarzyszeń budowlanych urzędniczych rzecz to niezmiernej wagi.

Bardzo interesująco przedstawia się również broszura szósta (ostatnia) zawierająca studyum inż. Conrada o kosztach reformy mieszkań w Wiedniu i o sposobie ich pokrycia. Autor wykazuje, że przeludnienie Wiednia względnie przepełnienie mieszkań wiedeńskich jest tak silne, a równocześnie tak trudne do usunięcia, że gdyby chciano wszystkie przepełnione mieszkania istotnie doprowadzić do odpowiedniego, t. j. do zasad higieny społecznej zastosowanego stanu rzeczy, to nadwyżki mieszkańców, w ten sposób mieszkań swych pozbawionych, nie byłoby gdzie ulokować. Z drugiej strony reforma radykalna wskutek gwałtownego ubytku czynszów dla właścicieli realności byłaby połączona z tego rodzaju niebezpieczeństwami dla spokojnej ewolucyi ekonomicznej, że groziłoby to zupełnem wstrząśnieniem stosunków kredytowych. Dlatego też autor proponuje reformę powolną: znoszenie podatków realnych i wprowadzanie w ich miejsce jednolitego podatku od wartości. To zmniejszenie ciężarów podatkowych, ciążących na właścicielach realności, umożliwi im również z drugiej strony i zrównoważy przeprowadzenie ustawy mieszkaniowej i inspekcyi mieszkań. Nadwyżka przychodu podatkowego miałaby być użytą na cele kredytu domowego, któryby miał stanowić podstawę reformy mieszkań i budowy nowych domów.

Statut instytutu dla reformy mieszkań przewiduje tworzenie stowarzyszeń miejscowych i instytutów krajowych. Byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną, gdyby instytut taki w Galicyi się utworzył. Odmienne stosunki naszego kraju czynią niewątpliwie wskazanem indywidualizowanie badań i roztrząsań nad kwestyą mieszkań. Małe uświadomienie doniosłości tej sprawy i wśród szerokich warstw ludności pracującej naszego kraju i wśród czynników rządzących miastami naszemi, czyni również nieodzowną działalność propagatorską. Wydawnictwo broszur, jak powyżej omówiono, a uwzględniających nasze stosunki krajowe, przez wspomniany instytut krajowy przedsięwziąć się mające, byłoby również rzeczą bardzo pożądaną. *Dr. Z. Gargas.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Nowe szkoły w Anglii, Francyi, Niemczech i Szwajcaryi — ich geneza i organizacya. Szkic z podróży. *Józef Lewicki.* Lwów. Księgarnia Połonieckiego, — Warszawa. Wende i Sp. 1908. Str. 77, 13 ryc., 6 tabl.

Kwestya szkolna coraz żywsze budzi zainteresowanie. I słusznie. Wszak ona w głównej mierze orzeka o przyszłości licznych, przez siebie w świat wysłanych jednostek. Na Zachodzie ruch pod tym względem o wiele intenzywniejszy, aniżeli u nas, gdzie wszystko jeszcze w granicach planów. Czy temu winno społeczeństwo samo, czy może rządy tem społeczeństwem się opiekujące? Na to pytanie każdy łatwo sam sobie odpowie. Mimo jednak wszystko, mimo pewności, że nierychło nastąpi zwrot ku lepszemu, warto powyższą książkę wziąć do ręki, warto przedewszystkiem wszelkiego rodzaju pedagogom. Może choć w części wpłynie ona na lepsze zrozumienie, jakiem winno być wychowanie młodzieży.

W. B.

Pamiętniki obejmujące okres od r. 1863 do 1908. Poprzedzone wspomnieniami z lat dziecinnych. *Ks. Leon Postawka.* Paryż 1908. Tom I, str. 360. Tom II, str. 414.

Na przeszło 700 stronach przesunie się przed oczyma czytającego mnóstwo wydarzeń czepiających się historyi. Razem z niemi idą osobiste wspomnienia autora, które nie bardzo dostrajają się do pierwszych i stąd pewien dysonans. Ale to już cecha pamiętników — cecha dawna uprzywilejowana widocznie, kiedy ustawiczna, choć niewygodna. Bo jeżeli je do ręki weźmie uczony, to razić go będą owe drobnostki niepotrzebne, z któremi na każdej stronie będzie się musiał spotykać. Ryciny rozrzucone po obydwu tomach, wybrane dość dowolnie, ale krytyk musi przychichnąć, bo przed swemi oczyma ma — pamiętniki, a te każdy pisze, jak za stosowne uważa.

W. B.

Jak można wyleczyć suchoty (phthisis pulmonum) napisał *D. Dmyterko*, nauczyciel c. k. seminaryum; przetłumaczył A. B. Tarnopol 1909. Nakładem księgarni A. Bruggera. 16-ka, str. 27.

Pan »nauczyciel« Dmyterko zapragnął być zbawcą ludzkości, zagrożonej przez suchoty. To też postanowił przyjść z pomocą ludziom cierpiącym popularnem pouczeniem o rozwoju choroby i o samolecznictwie. Zamiar bardzo chwalebny. Ale zamiast robić konkurencyę lekarzom, powinien pan »nauczyciel« c. k. seminaryum wyuczyć się wprzód poprawnego pisania. Znajdujemy bowiem w jego książeczce takie wonne kwiatki, jak np.: »Ażeby m i ę s o lepiej wygotowało się, trzeba g o posiekać«; — »ona tylko udowodniła jego chciwości pieniędzy« (str. 27) i t. d.

Zet.

Żywot i dzieła Wiel. Sługi Bożego Bartłomieja Holzhausera. *Ks. dr. J. Górka.* Tarnów 1908. Nakładem autora.

Motto, jakie autor przytacza, wykazuje nam cel i przyczynę, jaka skłoniła go do napisania monografii. »Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim« (Eccli 44, 1). Cnoty bowiem Holzhausera i jego życie, jak życie jako człowieka świątobliwego, nie jest wyłączną własnością Niemiec, lecz należy do całego

Kościoła i, jako świecące przykładem, zasługuje na rozpowszechnienie a nawet wymaga zapoznania się z niem kleru a zwłaszcza świeckiego duchowieństwa.

Holzhauser pochodził z rodziny niemieckiej, poświęcił się stanowi kapłańskiemu, został proboszczem i dziekanem, założył zgromadzenie XX. wspólnie żyjących, które przetrwało u nas do połowy XIX w. Szczególną łaską Bożą obdarzony, posiadał dar proroctwa i widzenia. Człowiek głęboko wykształcony pisał wiele dzieł moralnych o wspólnem życiu, a jako moralista zasługuje też na to, by duchowieństwo zaznajomić z jego zasadami. W pracy ks. Górka opiera się na poważnych źródłach i na dziełach Holzhausera, co się zaś tyczy cudów i widzeń na powadze czysto ludzkiej.

St. B.

Lud Polski i Rusi wśród Słowian i Aryów. *Dr. Michał Żmigrodzki.* Księga I. Obrzędy weselne. Kraków 1907. Str. 355.

Na wstępie zaznaczyć należy, iż praca naukowa jest rzetelnie i źródłowo przeprowadzona. Świadczy o tem szerokie oczytanie i wyzyskanie obszernego materyału, jaki autor cytuje. Natchniony folklorem podejmuje się autor trudnego zadania, a mianowicie odtworzenia stosunków życia familijnego (w niniejszej książce jedynie stosunków weselnych) w prastarej Polsce i Rusi wnioskując z przeżytków na przeszłość lub przeszłością tłumacząc przeżytki. Przechodzi po kolei rytuał polski, ruski dokładnie, pobieżnie zaś stosunki u ludów południowych Słowian, zach. Słowian, na Żmudzi i Litwie, w Rosyi i Estonii, w Italii i Helladzie, wreszcie rytuał indyjski. Zakończenie stanowi kilka kartek o Niemcach, Francyi, Anglii, Szkocyi, Irlandyi.

St. B.

Boże Stopki. Archeologia i folklor kamieni z wyżłobionymi śladami stóp. *Maksymilian Baruch.* Wydanie z zapomogi Kasy im. d-ra J. Mianowskiego. Warszawa 1908. 8-ka. Str. 113.

Nauka nasza pozyskała w autorze wymienionej książki wytrwałego pracownika. Po wyczerpującej monografii Pabianice i Rogowa wraz z okolicą, które stanowiły ongi dobra kapituły krakowskiej, otrzymaliśmy książkę, poświęconą kwestyi u nas dotąd prawie nietykanej, jakkolwiek niemało uwag i spostrzeżeń luźnych wypowiedzieli między innymi: prof. Przyborowski, Łaguna, Łuszczkiewicz, Koehler i Kopera, żeby nie wymieniać badaczy podrzędniejszych. Pan Baruch postawił sobie za zadanie przedewszystkiem zgromadzić wiadomości o kamieniach z wyżłobionemi stopami w Polsce i w innych krajach a nadto dać wytłumaczenie znaczenia tych tajemniczych znaków. Stosownie do takiego założenia dał autor w części pierwszej swojej książki przegląd treściwy dotychczasowych badań, które zapoczątkował jeszcze w r. 1820 geograf niemiecki Ritter. Natomiast wywody samego autora są nieco zagmatwane; bo jakkolwiek utrzymuje z jednej strony, że pochodzenie owych wyżłobień jest różne, tak znowu z drugiej powiada, iż »bez względu na pierwotne znaczenie ich i cel, w następstwie wszystkie te kamienie w umyśle ludu otrzymują jedno tylko znaczenie: stają się one cudownemi stopami, nabierają cechy świętych śladów, pozostawionych na kamieniu przez stąpanie żywych istot«. Ostatecznie książka ta nie jest

monografią w właściwem znaczeniu tego wyrazu, tylko raczej materyałami, ułożonymi w system geograficzny. Na ogół znanych 276 faktów takich stopek, mamy w Polsce 57 i one przedstawiają największy interes nie tylko dla nas, ale i dla uczonych obcych. Książkę szpeci aż nadto wiele błędów drukarskich.

Zet.

Z nizin. *Emilia Topas-Bernsztajnowa.* (Nowości literackie XVII). Warszawa 1909.

Maksyma łacińska, orzekająca, że częstokroć zdarza się *nomen — omen,* znajduje doskonałe zastosowanie w odniesieniu do wymienionego zbiorku nowelek. Nie tylko bowiem autorka rozmiłowała się w pospolitości nizin życiowych, ale, co gorsza, wykazała dowodnie, że rodzaj jej talentu jest bardzo a bardzo nizinny. Z góry należy zaznaczyć, iż w całym tym zbiorku niema obrazka, któryby był bez poważniejszego zarzutu. Na każdym z nich znać skazy, ba, nawet grube błędy. Za największą wadę poczytujemy bladość, wielomowność i rozwlekłość nużącą.

Gdyby nie ta ostatnia, szkic wesela mazurskiego byłby wcale dobry. Tymczasem tutaj, skutkiem przeładowania słownego, wszystkie charakterystyczne rysy obrzędu ślubnego gdzieś rozwiewają się w mgłę, nie pozostawiając innego wrażenia, jak tylko to, że rzecz pisana jest gwarą miejscową. A chyba od noweli można wymagać wszystkiego, tylko nie gwary!...

Lub — gdyby kto inny podjął opracowanie tematu p. t. »Jak to Michałka złe opętało«, z pewnością uniknąłby pustej gadaniny dwu kumoszek, a sięgnął do bogatych wierzeń ludowych w »wieczystą siłę«, obfitujących w momenta prawdziwie dramatyczne.

Również skutkiem niepohamowanej wielomowności niedola ulicznika warszawskiego została opisana tak nieudolnie, iż sama postać tego dziecka ulicy gubi się, jak we mgle.

Na ogół wziąwszy musimy skonstatować, że autorka jest wcale nieudolną w chwytaniu rysów psychologicznych, które niejednokrotnie łamią się u niej najniespodziewanej i bez dostatecznie umotywowanej przyczyny. Są tutaj nowelki wcale dobrze zaczęte i pisane z rozmachem, ale tylko po to, ażeby najdalej w połowie ta sama ręka, która je udatnie podjęła, kilku chybionemi pociągnięciami pióra zepsuła i pozbawiła kompletnie wartości artystycznej. A te wszystkie niedostatki powiększa jeszcze jaskrawiej frazeologia pusta, kochająca się w jakichś szumnych, a w istocie rzeczy pustych wezwaniach, retoryczność sztywna, nie będąca w mocy nikogo poruszyć. Oto już i wszystko, bo chyba więcej nie trzeba?...

Jest w tym zbiorku jeden obrazek bez zarzutu, a mianowicie portrecik autorki. Ale zalety jego nie dadzą się policzyć na karb zasług p. Bernsztajnowej.

R. Ch.

Reichthum und Eigenthum in der Altchristlichen Literatur. Von *O. Schilling.* Freiburg i. Br. Herder. 1908. Str. 223.

Cennym zbiorem materyału socyologicznego zbogacił pisarz literaturę, zwłaszcza kościelną. Nie obrobił sam tego materyału: widocznie nie ważył się na krok, do którego nie czuł się zawodowo przygotowanym. Nie tknął zblizka pytań, co pierwsi pisarze chrześcijańscy uważają za zbytek

i życie nad stan? Jaką zapłatę wyznaczają, aby sprawiedliwie wynagrodzić robotnika? Co wskazuje za drogę dla rozwoju przemysłowego, jeżeli nie przyjmują zasad kapitalistycznych? Aby rozwiązywać te pytania, musiałby Schilling uwzględnić wiele jeszcze opuszczonych miejsc z patrystyki. Na podstawie zebranego materyału wypowiedział nieraz sąd śmiały, niedość poparty świadectwem odnośnego pisarza. Wykazał tylko niezbicie, że chrześcijaństwo uznaje prawo własności osobistej i od początku szło drogą zupełnie odmienną, niż dzisiejszy socyalizm.

K.

Manuel d'économique politique. *Jos. Schrijvers.* Bruxelles. A. de Wet. 1908. Str. 392.

Podręcznik ten o tyle jest podręcznikiem, że w pewnym porządku określa wszelakie pojęcia, związane ze socyologią, i wylicza przeróżne zasady, wysnuwane z tych pojęć w różnych stronnictwach. Czytelnik zatem, czy uczeń uświadomiony z tego podręcznika, mniej zna ekonomii politycznej, niż znalazłby w nowszej encyklopedyi bądź której pod odpowiednimi nagłówkami: tam czytałby urywane ustępy w porządku abecadłowym, tu czyta niepodomawiane poglądy w jakimś porządku rzeczowym: tu i tam znajdzie spis dzieł, które dokładnie prawdę wyłożą. Słowem, podręcznik ów doskonale może służyć czytelnikowi dzisiejszych dzienników, aby rozumieć różne hasła spotykane po artykułach albo podnoszone na wiecach czy przy obradach sejmowych: dzięki podręcznikowi można sobie zdać sprawę, o czem ludzie mówią. Ale czy ci mówią rozumnie, czy owi? czy to, czy owo stronnictwo rozwiązuje szczęśliwie zagadki społeczne? o tem sądzić umiejętnie nie zdoła, kto nawet z pamięci powtórzy cały podręcznik.

C.

Die Inspirationslehre des Origenes. Von *Dr. Theol. August Zöllig.* Freiburg i. Br. Str. 130.

Wartość i znaczenie wzmiankowanej pracy polega na określeniu pojęcia inspiracyi u Oryginesa. Żeby tem jaśniej uwydatnić jego własne pojęcie, analizuje nasamprzód autor pojęcie inspiracyi przed Oryginesem i przechodzi jego ewolucyę u Żydów aleksandryjskich, u Żydów talmudystów i u Ojców apostolskich. Następnie rozbiera w trzech rozdziałach sam fakt inspiracyi u Oryginesa, jej istota, rozciągłość i wpływ na jego egzegezę, która się głównie obraca na polu allegorycznem z zaniedbaniem lub nawet całkowitem pominięciem znaczenia dosłownego. Źródło i podstawa tego tłumaczenia, to zbyt wygórowane pojmowanie Boskości ksiąg św., które koniecznie musiało Oryginesa sprowadzić na drogę allegoryi.

L. B.

St. Augustins Schrift De consensu Evangelistarum unter vornehmlicher Berücksichtigung ihrer harmonistischen Anschauungen. Eine biblisch-patristische Studie von *Dr. Heinrich Vogels.* (Biblische Studien, XIII Bd., 5 Hft.) Gr. 8-vo (XIV u. 148). Freiburg im Br. 1908.

W dzisiejszych czasach, kiedy się wiele mówi i pisze o sprzecznościach w Ewangeliach, warto przypomnieć, co o nich sądził wielki Ojciec Kościoła Augustyn św. Już i za jego czasów podnoszono wiele z tych zarzutów, które w naszych czasach są na porządku dziennym. Poświęca im ten wielki Doktór Kościoła osobne dzieło *De consensu Evangelistarum.*

Wobec tego praca Vogelsa o tem właśnie dziele nie jest bez znaczenia. W pierwszych sześciu rozdziałach wstępnych przechodzi autor cel, przeciwników, czas powstania, źródła wyżej wspomnianego dzieła, dodając wszędzie swe krytyczne uwagi. Na szczególniejsze uwzględnienie pomiędzy nimi zasługuje rozdział czwarty, w którym autor usiłuje wykazać, że Augustyn św. nie używał, jak mylnie utrzymywali Burkitt, Zahn, Debschütz i inni, tekstu Hieronima św., ale starej Italii.

Właściwa praca Vogelsa rozpada się na dwie części. W pierwszej analizuje dwie główne podstawy Augustyna św., zapomocą których godzi ten wielki doktor sprzeczne na pozór ze sobą miejsca w Ewangeliach św., t. j. jego pojęcie inspiracyi i wzajemny stosunek ewangelistów do siebie.

Zdaniem Augustyna św. nie kończy się inspiracya na pobudzeniu tylko hagiografa do pisania, ale rozciąga się i na dalszą jego pracę. Wszystkie zdarzenia, które zapisał pisarz natchniony, były mu znane bądź to dlatego, że był naocznym ich świadkiem, bądź to, że je słyszał z ust wiarogodnych. Wybór jednak faktów, ich ugrupowanie i następstwo, to wszystko jest wynikiem działania Bożego a nie czystego przypadku. Ewangelista, to niejako pisząca ręka samego Chrystusa. Oto klucz do jasnego zrozumienia u Augustyna św. takich wyrazeń, jak *Evangelium est os Christi, opus digitorum Dei* i t. d. Nie schodzi jednak pisarz natchniony do rzędu martwego narzędzia w ręku Chrystusa. Zachowuje on całą swą indywidualność, całą swą umysłowość i wolną wolę. Jasnego i ściśle określonego pojęcia inspiracyi nie posiadał jednak, zdaniem Vogelsa, Augustyn św. O określeniu granic i rozciągłości działania Bożego i ludzkiego ani nie myślał.

Co się zaś tyczy wzajemnego stosunku ewangelistów do siebie, na który się nieraz powołuje Augustyn św. w rozwiązywaniu trudności, podziwiać trzeba krytyczny jego umysł. Wyraża nieraz myśli, które i w najnowszej egzegezie nie są bez znaczenia. I tak np. zupełnie jasnem było Augustynowi św., że wobec uderzającego podobieństwa nie tylko myśli, ale i słów i całych wyrażeń przyjąć trzeba coś więcej, niż tylko zależność rzeczową ewangelistów od siebie, czyli że przyjąć trzeba zależność literalną.

W drugiej części ocenia Vogels szczęśliwie lub mniej szczęśliwie próby Augustyna sw. pogodzenia sprzecznych na pozór ze sobą miejsc, jakie napotkał w mowach i stanach Pana Jezusa, w historyi i chronologii.

W końcowym rozdziale omawia autor wpływ dzieła *De consensu Evangelistarum* na cały późniejszy wykład Pisma św.

L. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z francuskich kłopotów

Zbliżające się wybory naraziły rząd francuski na wielkie kłopoty z powodu głośnego dzisiaj skandalu likwidacyjnego. Ów osławiony miliard kongregacyjny, który miał dostarczyć funduszów na założenie różnych instytucyi dobroczynnych i tą drogą zwykłej, prostej kradzieży odebrać pozornie jej właściwy charakter, rozwiał się gdzieś i utonął w kieszeniach likwidatorów; ogół nie miał z niego żadnej korzyści. Briand gorąco pragnął uwolnić siebie i rząd od odpowiedzialności, co mu się swoją drogą niezbyt udało. Od dawna przecież już wiedział rząd, jak olbrzymich defraudacyi dopuszczali się likwidatorzy i milczał; milczał tak długo, aż już dłużej milczeć nie było można, bo sprawa stała się zbyt głośną. Dzisiaj gazety różnych obozów zapatrują się bardzo sceptycznie na defraudacye milionów, popełnioną przez Dueza i stają nawet w jego obronie, ale ta obrona jest miażdżącą krytyką rządu: »Położenie Dueza, pisze liberalna *République Française,* nie jest bez wyjścia. ‚O co mnie właściwie oskarżacie, może on zapytać? O to, żem kradł na rachunek rządu? Czyż jest to rzeczywiście tak wielką zbrodnią, żem część łupu dla siebie zabrał? Wasz przykład tego mnie nauczył'. Dla okradzionych kongregacyi jest rzeczą obojętną, na jaki cel ich pie-

niędzy używają; kradzież rozpoczęto nie wówczas, gdy Duezowi polecono likwidacyę, lecz w tym dniu, w którym Izba uchwaliła kongregacye wywłaszczyć. Nie zdaje się nam, żeby komisya senatu pod przewodnictwem Combesa była uprawnioną wołać: oto złodziej. Wy twórcy tego zbrodniczego prawa, powiecie nam może: Kradliśmy dla ogółu, Duez kradł dla siebie samego. Tak! ale ogół nic nie otrzymał i jeszcze dzisiaj na obiecany miliard czeka. Zbieracie teraz owoce rabunku waszego«.

Ostre to słowa, lecz aż zbyt uzasadnione. Rząd jednej tylko rzeczy domagał się od likwidatorów, tej mianowicie, aby wobec bezbronnych zakonników i zakonnic postępowali bezwzględnie i bez umiarkowania; we wszystkiem innem dawał im wolną rękę, choć od dawna wiedział, że całe miliony z likwidowanych dóbr przechodzą bezprawnie na własność likwidatorów, choć często nawet nie otrzymał ani centima, lecz musiał jeszcze pokrywać koszta. Zacięta walka, jaką rząd przeciwko Kościołowi zawsze toczył i toczy, słuszne w likwidatorach budziła nadzieje, że nie potrzebują się niczego lękać, bo rząd z pewnością stanie w ich obronie. Nie mylili się długo, ale ostatecznie i rząd nie jest wszechmocnym; farsa skończyła się więc tragedyą.

Dla żywiołów umiarkowanych i dla katolików nadaje się dobra okazya, żeby przygotować teren pod przyszłe wybory, tem bardziej, że rząd, aczkolwiek ciągle Kościołowi wrogi, jednak w tej walce nie zawsze jest konsekwentny i nie zawsze ma wytknięty cel. Mimo np. oświadczenia Brianda, że biskupi byli w prawie ogłoszenia listu pasterskiego przeciwko bezwyznaniowej szkole i antyreligijnym książkom, kardynał Luçon został przez sąd w Reims skazany na większą grzywnę, za to sąd w Nancy odrzucił takąż samą skargę ateistycznych nauczycieli, wniesioną przeciwko biskupowi Turinaz.

Nieustanne szykany, na jakie co chwila narażony jest kler i Kościół, stają powoli wszystkim rozumniejszym kością w gardle. W Ivry Port np. tamtejszy mer, socyalista Coutant, zaprowadził z wielką pompą chrzty cywilne; w Charanges zmusił mer proboszcza do dzwonienia w czasie cywilnego pogrzebu; w St. Martin zakazał również mer noszenia przy katolickich pogrzebach

krzyża, świec i szat kościelnych; w Guingamp zażądał mer od biednej wdowy, która swoje dzieci do katolickiej szkoły posyłała, pod grozą utraty nieznacznej jakiejś posady, aby jej dzieci uczęszczały wyłącznie do szkoły ateistycznej. To drażni ciągle i coraz więcej ludność, spragnioną wreszcie jakiegoś pokoju, tem bardziej, że coraz częściej sądy nawet stają w obronie pokrzywdzonego kleru.

Ateizm i fanatyzm rządu zamyka jednak siłą oczy na budzące się niezadowolenie i fanatyzm też w niebardzo odpowiedniej chwili podsunął rządowi myśl nowego projektu ustawy szkolnej. Opracował ten projekt minister Doumergue i dał mu tytuł: *Projeti de loi relatif à l'enseignement primaire privé,* do czego liberalna *République Française* dodała złośliwie: *de liberté,* charakteryzując ten projekt tak, jak on jest w rzeczywistości czyli pozbawiający szkoły katolickie wszelkiej wolności. Projekt ten niemożliwie utrudnia zakładanie szkół prywatnych; żąda np. deklaracyi, że nauczyciel czy nauczycielka nie należą i nie należeli do żadnej nieupoważnionej kongregacyi; inspektora szkolnego upoważnia do odmówienia pozwolenia, jeżeli moralność, hygiena lub bezpieczeństwo dzieci tego domagać się będą; odrzuca dawne świadectwa i dyplomy i domaga się od prywatnych nauczycieli świadectwa pedagogicznego uzdolnienia; jednem słowem szkołom katolickim takie robi trudności, że *Peuple Français* mógł projekt ten słusznie nazwać »arcydziełem fanatyzmu i obłudy... zapomocą którego żółcią przepojony hugenota Doumergue na katolickich dzieciach pomścić pragnie noc św. Bartłomieja«. Nie dosyć na tem! Rodzice, którzy zabierają dzieci ze szkoły świeckiej, aby je posyłać do szkół prywatnych, lub nie pozwalają dzieciom używać książek rządowych, podpadają karze od 11—15 franków, a w razie powtórnej zbrodni karze więzienia do 5 dni; księżom, którzyby przeciwko szkole świeckiej z ambony kazali lub pismem ją zwalczali, grozi więzienie od trzech miesięcy do dwóch lat.

Możliwe bardzo, że dzisiejszy parlament w imię równości i wolności projekt ten przyjmie; możliwe jednak także, że taka ustawa uśpione serca zbudzi i do skuteczniejszej popchnie walki.

Z liberalnego obozu w Belgii

Liberalizm belgijski wysila znowu swe siły, by osłabić wreszcie rząd katolicki i wyzyskać dla siebie blizkie wybory; droga jednak, jaką do urzeczywistnienia tego celu obrał, nie bardzo pochlebnie świadczy o politycznym zmyśle jego kierowników i wodzów. Jak już w zeszłym zeszycie *Przeglądu* pisaliśmy, głównym środkiem, jakim liberalizm w swej walce przeciwko rządowi i katolikom się posługuje, jest zwalczanie szkoły, zwalczanie podjęte na oślep i bez celu, pozbawione też wszelkiego widoku.

»Klerykali«, według liberalnych posłów, zabagnili całe szkolnictwo ludowe w tym jedynie celu, by dzieci do szkół klasztornych uczęszczały. Minister Schollaert i przewódca prawicy, Woeste, dali na te zarzuty taką nieoczekiwaną a wyczerpującą odpowiedź, że sprzymierzona opozycya nie odważyła się nawet, jak to zwykle czyniła, na postawienie wniosku o wyrażenie rządowi nieufności.

Radykalny deputowany Masson przyznał znowu w niebacznej chwili, gdy zwalczał szkoły belgijskie, że w prowincyach: Flandryi i Antwerpii na przeszło pół miliona dzieci uczęszczających do szkół ludowych, nie całe dwadzieścia tysięcy nie chodzi na żądanie rodziców na wykłady religii. »To jest właśnie dowodem, odparł Woeste, że naród nie chce o waszych bezwyznaniowych szkołach nawet słyszeć«. Ten sam niefortunny mowca zarzucił rządowi, że wolne czyli katolickie szkoły pieniężnie więcej wspomaga, aniżeli szkoły państwowe czyli liberalne. Gdy go z prawicy zainterpelowano, jaki jest procent uczniów szkół wolnych do szkół państwowych, w pokorze przyznał, że jak 4 do 1, że więc wydatniejsze wspomaganie jest zupełnie na miejscu.

Socyalista Hubin i Demblon, przez własne stronnictwo k l o w n e m l e w i c y przezwany, nietaktownymi swymi występami w parlamencie (rzucają np. na wszystkie strony obelgami i w braku silniejszych dowodów biorą się do kija i pultu) narażają całe stronnictwo na coraz to nowe kompromitacye. Nie pomagają partyi z pewnością takie występy, jak np. brukselskich socyalistycznych nauczycieli ludowych, którzy ogłosili patetyczny protest przeciwko władzy królewskiej i potępili publicznie P o-

wszechny związek nauczycieli belgijskich za to, że monarsze przy wstąpieniu na tron hołd złożył.

Ile od opozycyi spodziewać się można, zrozumiał naród z okazyi debaty z powodu rozwiązania pewnego stowarzyszenia antwerpskiej młodzieży gimnazyalnej, które uprawiało publicznie wolną miłość i anarchię. Krok władzy nazwała opozycya nietaktownym, gdyż w Belgii, według socyalisty Smetsa, każdy ma prawo być anarchistą, a obywatele, to znaczy studenci, mają prawo do wolności sumienia. Takie występy podkopują coraz więcej powagę opozycyi do tego stopnia, że jeden z liberalnych brukselskich organów widział się zmuszonym wezwać do baczności i większej uwagi. »W obecnej chwili są socyaliści i liberalni zwolennikami państwowej, świeckiej, bezwyznaniowej i obowiązującej szkoły, a żądają odebrania wszelkiej materyalnej pomocy szkołom wolnym. Gdyby ten plan został urzeczywistniony, powstałaby walka, której niebezpieczeństwa i zaciekłości lewica niedocenia. Nasi mężowie zaufania wiedzą, jak głębokie korzenie zapuściło w sercach ludu przekonanie religijne, w sercach nawet takich ludzi, którzy przeciwko katolikom głosują. Możemy wprawdzie nad tem ubolewać, dziecinnem i nierozsądnem byłoby temu chcieć przeczyć«.

Radykał Janson radzi dlatego swoim politycznym przyjaciołom, nałożyć maskę tolerancyi. »Jako oszczerstwo trzeba piętnować twierdzenie, że liberalizm jest wrogiem religii, że zwalczałby ją, gdyby doszedł do władzy«. Jak na złość wtedy właśnie, gdy Janson nową taktykę opozycyi wytknął, w ukropie kąpana opozycya wystąpiła z odkrytą przyłbicą i z otwartym programem: *ecrasez l'infâme*, a jak ten program zrozumiała, wykazała mowa socyalisty Demblona: »Wydajecie wiele na kościoły; my, gdy dojdziemy do władzy, zamienimy je na publiczne sale zgromadzeń«; wykazała również prasa liberalna: »Wyrzucamy ze szkół dogmaty religijne, obywatelskie i militarystyczne«. Takie i do nich podobne występy akcyę katolikom niepomiernie ułatwiają i do ostatecznego zwycięstwa przyczynić się powinny.

Liberalizm angielski przeciw katolikom

Liberalna prasa angielska zionie jadem na katolików z powodu ich zachowania się w czasie wyborów. Rzeczywistą racyą tych namiętnych ataków jest wzmocnione stanowisko katolików w parlamencie, które doszło do skutku po zwiększeniu się liczby deputowanych irlandzkich; że znienawidzeni Irlandczycy odgrywać będą w parlamencie obecnym często decydującą rolę, to wyprowadza protestantów z równowagi. Do tego jednak trudno się przyznać i nie można się temu nawet dziwić.

Rozpoczęto więc uderzać na program katolików, rozwinięty w czasie wyborów. Katolicy żądali pierwotnie od kandydatów pełnego uprawnienia, zniesienia bluźnierczej przysięgi koronacyjnej i szkoły wyznaniowej. Pod wpływem biskupów odstąpili od dwóch pierwszych postulatów, zatrzymali tylko trzeci. Ostatecznie jednak i tu nie można było ich zaczepić, gdyż byli w swem prawie, zarzucono im więc, że postąpili tak, jak i wielka część narodu, głosowali mianowicie na konserwatystów. Pokazało się jednak, że i ten zarzut, jeżeli wogóle zarzutem być może, jest nieuzasadnionym, gdyż katolicy oddawali swe głosy na konserwatystów lub liberałów, według tego czy obiecali w kwestyi szkolnej stać na stanowisku katolików, czy nie. Wytoczono więc cięższą broń i przemówiono do fanatyzmu tłumu. Oto zadaniem katolików jest obecnie poddać Anglię pod jarzmo papieskie, zabrać anglikańskiemu Kościołowi wolność, sobie zdobyć niezależność, a znaczenie Anglii osłabić. Na ten kawał dużo się już złapało i więcej pewnie jeszcze się złapie.

Tymczasem postulat katolików co do szkoły wyznaniowej zyskuje na coraz trwalszej podstawie. Anglikański *Guardian* pisze, że ponieważ głównem stronnictwem w obecnym parlamencie są nacyonaliści, szkół wyznaniowych naruszyć nie będzie można. Nie podoba mu się to swoją drogą, gdyż na straży tych szkół stoją Irlandczycy, rząd więc zmuszony jest tak tańczyć, jak mu Irlandczycy zagrają. Ostatecznie weszła kwestya szkolna na porządek dzienny parlamentu dziesiątego marca. Deputowany unionistyczny Smith, zwalczał ostro pewne rozporządzenie ministeryalne, krzywdzące szkoły wyznaniowe, a na które uskarżają

się w równej mierze katolicy i wyznawcy państwowego Kościoła i zwracał uwagę ministrów, że dzisiejsza Izba niższa inaczej się na sprawę szkolną zapatruje, jak poprzednia, że więc największy czas zło naprawić. Konserwatywny poseł Lyttelton stanął w obronie rządu, choć nie bardzo szczęśliwie. Nieszczęśliwie również odpowiedział minister oświaty, któremu wykazano, że państwo upośledza szkoły wyznaniowe, a szczególnie katolickie na korzyść szkół nonkonfirmistów i uniemożliwia często przyjmowanie do szkół wyznaniowych uczniów z własnych obozów, zmuszając te same szkoły do przyjmowania dzieci innych wyznań. Rozprawa nie dała ostatecznego rezultatu, szkoła wyznaniowa stoi jednak w Anglii obecnie silniej, jak przed kilku miesiącami.

O pozytywnej pracy katolików angielskich to dziś donieść można, że na 29 lipca przygotowują oni na wzór katolików niemieckich, pierwsze walne zgromadzenie katolików w mieście Leeds. Myśl została przyjęta nie tylko z uznaniem, lecz z entuzyazmem; uczestnicy pojedyńczy, związki i stowarzyszenia zgłaszają się coraz liczniej; program, wzorowany na niemieckim, zarysowuje się coraz jaśniej i wyraziściej, a to wszystko, wraz z powstającymi już atakami protestanckiej prasy, rokuje przyszłemu wiecowi nie najgorszą przyszłość.

Fanatyzm antykatolicki we Włoszech

Trzystudziesięcioletnia rocznica śmierci Giordana Bruno dała we Włoszech pożądaną okazyę do nowych wystąpień przeciwko Kościołowi. Nie zatrzymujemy się tu nad dziecinnymi pierwiastkami tej demonstracyi, jak np. nad umieszczeniem lokalu Związku na złość papieżowi w bezpośredniem sąsiedztwie Watykanu, lub nad wywieszaniem czarnych chorągwi z olbrzymimi stosami. Ot! niedobrze wychowane dzieci się bawią i myślą, że im więcej hałasują, tem więcej uwagi na siebie zwrócą!

Cennem przyznaniem się był ustęp mowy, wygłoszonej w obecności około 400 wolnomularzy i socyalistów przez prezydenta włoskiego Związku pracy, Żyda Barzilai. »Giordano Bruno, mówił, jest dla nas tylko wojennem hasłem; jego filozoficzne, teologiczne, antydemokratyczne i antysocyalne idee nic nas nie

obchodzą«. Wśród oklasków dobranego towarzystwa domagał się Żyd, jako w tej sprawie najbardziej kompetentny, przeprowadzenia ustawy przeciwko kongregacyom, bezwyznaniowej szkoły i zeświecczenia instytucyi dobroczynnych. Pochód po mieście, w którym, rozumie się, cała ulica udział wzięła, zakończył tę demonstracyę więcej dziecinną, jak szkodliwą.

W parlamencie wniósł znowu deputowany Muratori projekt ustawy małżeńskiej; robi on wrażenie, że i sam jego twórca nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, czego właściwie żąda. Artykuł np. 1 i 2 stawiają jako zasadę ślub cywilny przed kościelnym; paragrafy następne pozwalają znowu na wyjątek, o ile pretor nie znajdzie jakiejś przeszkody. Przeszkodę jednak będzie trudno wynaleźć; byłoby nią np. pobieranie pensyi lub renty. W tym wypadku małżeństwo kościelne musiałoby być zgłoszone w pewnym terminie w magistracie. Swoją drogą nie chodzi tu tak o stosowanie nowej ustawy w praktyce, jak raczej o zasadę, a zasada mogłaby być zgubna.

Zdawało się, pisaliśmy o tem w zeszłym numerze *Przeglądu,* że tak zwana Rada robotnicza, *Consiglio superiore del Lavoro,* która dotychczas z zasady katolików ze swego grona wykluczała, pod wpływem ministra Luzzatti'ego na inne zajdzie drogi, gdyż zmuszoną była przyjąć przedstawiciela katolików, profesora Benassi'ego. Ten fakt przeraził zazdrosnych o swoje wpływy wodzów socyalistycznych i 24 lutego, po rozdrażnionej, długiej rozprawie uchwalono 33 głosami przeciwko głosowi katolickiemu, że Związki wyznaniowe i polityczne nie mogą mieć w Radzie swego przedstawiciela. Tą uchwałą dotknięto, rzecz jasna, tylko związki katolickie, gdyż rozumie się, wysoce polityczne i bezwyznaniowe syndykaty socyalistyczne, w oczach socyalistów politycznego ani wyznaniowego charakteru nie mają; minister Luzzatti tym razem sromotnie katolików opuścił. Tak więc walka przeciwko katolikom zarysowuje się znowu coraz wyraźniej na polu publicznego i nawet prywatnego życia.

Kłopoty liberalne w Holandyi

Jak gdzieindziej, i w Holandyi, toczy się na całej linii walka między stronnictwem liberalnem a dość silnie zgrupowaną prawicą, składającą się ze stronnictw umiarkowanych, katolickich i protestanckich. Zdrowy zmysł narodu odwraca się jednak coraz więcej od stronnictw liberalnych, a odwróciłby się jeszcze więcej, gdyby nie chwiejność a raczej uprzedzenie antykatolickie w łonie tak zwanych chrześcijańsko-historycznych. Przy uzupełniających wyborach w Wijk przeszedł katolicki kandydat 3683 głosami przeciwko liberalnemu, który otrzymał 3005. Ilość głosów liberalnych wzrosła jednak o 1677 a jest to właśnie następstwem chwiejnego stanowiska chrześcijańsko-historycznych. O nich mówią głośno, że era chrześcijańska zaczyna się dla nich od reformacyi dopiero; uprzedzenie do katolików, to główna charakterystyka tych ludzi. Oficyalnie poleciło i to stronnictwo katolickiego kandydata, lecz skutkiem całego kierunku nie ma ono żadnego prawie wpływu na swoich sojuszników, którzy też głosy swoje jednogłośnie na liberalnego kandydata oddawali.

Tymczasem jednak zaszedł fakt, który widoki liberalnych bardzo obniżył. Gdy to stronnictwo stało jeszcze u steru rządu, uszczęśliwiło ono Holandyę szkołą bezwyznaniową. To też nauczyciele rządowi byli bez żadnego prawie wyjątku liberalnymi i razem z całem stronnictwem zrobili zwrot na lewo ku socyalnej demokracyi tak dalece, że sześćdziesiąt procent nauczycieli rządowych należy dziś do socyalistów. Wierni swym zasadom wzbraniają się oni śpiewać po szkołach pieśni patryotycznych, a przewodniczący holenderskiego Związku nauczycieli orzekł na ostatnim zjeździe, że takie stanowisko jest dla holenderskich nauczycieli jedynie dopuszczalnem. Kraj cały wzburzył się, a pod adresem liberalnych padają bardzo ostre słowa, które raz jeszcze udowadniają, że kto wiatr sieje, zbiera burzę i że kogo Bóg chce ukarać, rozum mu odbiera.

Stronnictwo katolickie przemyśliwa tymczasem nad częściową przynajmniej zmianą swego programu i nad większem dostosowaniem tegoż do dzisiejszych wymagań. Pierwszy krok już uczyniono. Zasłużony wódz holenderskich katolików, dawny minister sprawiedliwości Loeft, ustąpił dobrowolnie ze zajmowa-

nego stanowiska i rządy stronnictwa złożył w ręce profesora uniwersytetu w Amsterdamie, d-ra Nolensa. Powodem tej zmiany nie były niesnaski lub rozdwojenie, lecz wyłącznie wzgląd na dobro sprawy. Tak częściowo zreformowane stronnictwo rozpoczęło swą działalność na rzecz socyalnego ustawodawstwa. Od dawna bowiem toczy się w Holandyi spór, jaką sprawę na pierwszym planie postawić: reformę prawa wyborczego czy też socyalnego ustawodawstwa. Przekonanie ogółu twierdzi, że przy dzisiejszym systemie wyborczym i przy obecnych przedstawicielach narodu w parlamencie o odpowiedniem i rozumnem ustawodawstwie socyalnem i mowy być nie może. Rząd nie podziela tego zdania a katolicy, którzy dotychczas zdania swego w tej sprawie nie wypowiedzieli, zajęli ostatecznie stanowisko rządu i energicznie domagają się przeprowadzenia przyobiecanej przez rząd ustawy socyalnej, szczególniej zaś prawomocnego zabezpieczenia inwalidów. A czują się oni widocznie na siłach, skoro bardzo poważnie przestrzegają rząd przed zaniedbaniem tej sprawy, grożą nawet ewentualnie obaleniem gabinetu. W protestanckiej Holandyi to w każdym razie wypadek niezwykły.

Ks. Wiktor Wiecki.

Christliche Kunst.

Dziś w sztuce, pierwszeństwo, stanowczo zdobyła — dusza nad ciałem. Dziś nas nie interesuje piękno, linia nosa, brwi lub ust. My szukamy charakterów i namiętności, które stanowią życie moralne człowieka. My szukamy duszy w oczach, w całej twarzy, w całym ruchu ciała, — my szukamy — *une gorgée d'une vie active...*

Stoimy przed Leona Fr. Scherbeck'a dużem płótnem — »Pogrzeb« *(Begräbnisgang).*

Akcesorya — wspaniałe pod względem linii, kolorytu, światłocienia. Zimowy pejzaż w pełni słonecznego światła... Gdzieś — pierwsza po południu, bo cienie błękitno-fioletowe pełzają prawie u stóp postaci i rzadkich przedmiotów. W dali — widzimy zapadłą w śniegu

wioskę, z niezbędną wieżyczką dzwonicy kościelnej, z topolami, żórawiami...

Mieszkańcy jej z pewnością, jak mówi Dumas fils, *ne font pas bruit dans le grand monde, mais qui sans doute s'agilent beaucoup autour de leur clocher*...

I rzeczywiście, do uszów dochodzi ponure dzwonienie, bo wioska odprowadza jedną ze swoich — na wieczny odpoczynek. Staruszek proboszcz, prawdopodobnie w kościółku rzewnie przemówił do wszystkich, żegnając zmarłą... Co się zaś działo i dzieje w duszy najstarszej córki, otoczonej młodszem rodzeństwem — to patrzmy... *elle ne pleure plus faute de larmes*...

Wychodząc ze wsi za trumną — spotyka krzyż przydrożny... Siły ją opuszczają... Złamana, rzuca się do stóp tego krzyża, obejmuje rękoma — tuli twarz... Bo to krzyż — przed którym dzieckiem z tą matką, powracając z pola — klękała do *Ave Maria*, do *Angelus*, przy odgłosie dzwonu kościółka... To krzyż z rozpiętym Chrystusem, któremu ofiarowała swój niedzielny fartuszek, prosząc o zdrowie dla tej matki... To krzyż, przed którym wszystkie swe troski i bole zawiedzionej swej duszy spowiadała... Nie ma sił przejść koło niego, gdy rozpacz szarpnęła tą duszą... Nogi się ugięły — nie idą dalej... Napróżno krewni, znajomi chcą ją oderwać od krzyża i dalej prowadzić... napróżno sam ksiądz proboszcz, zatrzymawszy pochód, zwraca się do niej surowo... Asceta, surowy dla parafian, tem więcej dla siebie, zda się ciągle szepczący *Memento mori*... lecz rodem z tej wioski, zna wszystkich — chrzcił ją i matkę dziś grzebaną, — wie, co ich wiązało... widzi rozpacz nieszczęsnej i — ręka surowo wyciągnięta upada i — łza cieknie z oka ascety... *c'est une perle, que le bon Dieu aime le plus*...

Raz już widziałem takie załzawione oko starca. Jacek Malczewski, przed laty, pokazał nam u więźnia, klęczącego przy barłogu młodego »sybiraka«, konającego pod strażą żołdaka rosyjskiego...

Starzec, trzymając w drżących rękach

...»Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości,
Dar macierzyńskiej, najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa«...

dodawał nim otuchy młodzieńcowi, wzbudzał wiarę — nadzieję w lepsze życie, — pocieszał i ocierał nim łzy konającego... sam zbolały — zmiażdżony — spłakany...

Patrząc na ten pochód pogrzebowy, wstrzymany boleścią sieroty, —

patrząc na twarz tego proboszcza, pełnego serca dla młodszej braci— odczuwamy tak wstrząsające nami do głębi duszy uczucie, tyle bezgranicznej litości i współczucia nami miota, że rzeczywiście, nikomu na myśl nie może przyjść zwrócić uwagę, że też ten proboszcz ani jednej linii w swej twarzy, w swej postaci nie ma pięknej. Nikt nie zwrócił uwagi, że nos ma zanadto typowy starego człowieka z wiecznym katarem, — że usta — wykrzywione starością i litością, — że oko — otoczone porwanemi, pogiętemi liniami, wybladłe, bez życia, zamglone... Nikt nie spostrzega, że żałobna kapa — byle jak rzucona na ramiona, ani jednej pięknej, klasycznej linii nie tworzy, — że biała komża pod nią ma u dołu porwane od starości koronki, a nawet nie pierwszej czystości... A jednak, a jednak... pierwszy lepszy zapytany, jak mu się podoba w obrazie proboszcz? — odpowie z pewnością: wspaniała postać, piękna twarz! Tak, rzeczywiście piękną jest!... piękna — duszą, rozlaną na niej! Piękną jest ta postać — pięknością typu, charakteru poczciwego proboszcza wiejskiego, tak nam wszystkim znanego, tyle razy widzianego w podobnych okolicznościach!.. My widzimy, my czujemy, że to nasz proboszcz *jusqu'au bout des ses ongles* nie bardzo czystych — ale czystej duszy, odczuwającej cierpienia, rozpacze, zawody życiowe swych bliźnich... spieszący z pociechą zawsze moralną, a Bóg wie, jak często i — materyalną...

A te twarze krewnych, otaczających biedną sierotę? — Ile w nich cierpienia, współczucia, żalu, — ile boleści, wstrząsającej!... Jakież one są piękne — pomimo braku klasycznych linii!...

. . . . . .

Przechodząc koło Max Bossmanna *Ave Maria*, musimy się zatrzymać z pietyzmem.

Tryptyk ten utrzymany w zlekka gotyzującym stylu, pełen różnych piękności kompozycyjnych, malarskich, technicznych i — typów charakterystycznych.

Plain air. Święta Dziewica siedzi w ogrodzie na prostej ławce. Może zażenowana różnorodnym tłumem, który Ją otacza, wpatrzonym w Nią i Dzieciątko na Jej kolanach... Dwóch aniołów trzyma wspaniałą, złocistą brokatę, jako tło. Dwóch drugich powiewa chorągwiami z herbami bawarskimi — dla uciechy dzieciątka, wyciągającego do nich swe rączęta. Po obu stronach ławki — chłopcy w komżach klęczą ze świecami, w przepysznych gotyckich lichtarzach. U stóp zaś Matki Boskiej, na rozrzuconym perskim dywanie — stoją i klęczą malutkie dziewczynki, zachwycone Dzieciątkiem — Jezusem... W prawej części

tryptyku — widzimy na noszach, trzymany przez dziewice, olbrzymi kosz róż, wpośród których ze złocistej monstrancyi wyłania się serce gorejące, rzucając światło na twarze tych dziewic. Dalej — kurfürst bawarski w szkarłatnym płaszczu i złotej koronie, zatopiony w modlitwie wpośród różnych swych dworzan. Z należnym szacunkiem, trochę niżej — staruszka schorowana podnosi się na noszach, przy pomocy swej wnuczki, wpatrzona z nadzieją zdrowia w święte oblicza. Część lewa tryptyku — to jakaś księżna we wspaniałej zielonej szacie, obramowanej futrem ciemno-bronzowem, prowadzi ociemniałą swą córeczkę do stóp Najświętszej... za nią — rycerz w zbroi, zsiadłszy z konia, w tej chwili padnie na kolana, — dalej — kobieca postać w czerni, smutna, zamodlona z dzieckiem swem powtarza *Ave Maria*...

To w zarysach — treść obrazu, jego zewnętrzna forma.

Przystąpmy teraz — do duszy jego...

Patrzmy na Najświętszą — na twarz Przeczystej Matki...

Toż widzimy, czujemy, jak wysoce rozrzewnione serce Jej matczyne, gdy wszyscy i wszystko wpatrzone w Jej dzieciątko z najwyższą miłością... Toż widzimy, czujemy, jak dusza Jej rozpływa się nad trzymanym, słodkim ciężarem — *d'une émotion delicièuse à ne le point celer*... A ten — jakiś »błysk wilgotny« w lewem oku?... toż to zamglona przyszłość, które Jej serce przeczuwa, patrząc na te rączęta Dzieciątka swego... Cała ta postać, tak rozpoetyzowana, tak rozrzewniona teraźniejszością, a może więcej jeszcze — dramatyczną, tragiczną przyszłością, że rzeczywiście chyba powiem z poetą: ...*je ne sais ce qu'il faut le plus: La regretter ou La remercier... pour son devoir auguste*...

A wszystkie te wkoło postacie z *Ave Maria* na ustach?... Ile wiary, ile zachwytu, ile pokory i błagania do Tej »Łaski pełnej« — »Błogosławionej między niewiastami«... od tej staruszki schorowanej, rycerza w żelazie — *sans peur et reproche*, aż do księcia ze schylonem czołem...

A te dzieciaki wpatrzone z zachwytem w Jezusa?... a toż maleństwo, trzymające czerwone jabłko w ręku?... czyż ono nie mówi: »dam Ci z rozkoszą, jak Twoja Mamusia pozwoli«?... A to drugie modlące się?... jakie charakterystyczne, jakie ciekawe, ile w tej dziecka istocie i zabawnego i rozrzewniającego?... Z pewnością, gdy powtarza za matką »Chleba naszego powszedniego daj nam«... — przerywa, pytając — *puis — je prier le petit bon Dieu un peu de confiture la dessus ?*?...

A jak to wszystko malowane, jaki wytworny, delikatny rysunek!... A ile poezyi we wszystkiem... choćby w kolorycie draperyi... Suknia Najświętszej?... Toż żaden brzeg nieba o świcie nie jest tak jaśniej, łagodniej, tak rozkoszniej niebieski, jak błębit tej sukni... A ciemny, karmazynowy płaszcz książęcy?... toż on stanowi niby głęboki, basowy akompaniament do tego wysokiego, subtelnego, niebieskiego violinu...

A cóż mówić o tych różach, niesionych w koszu?... przecież Najświętsza na byle jakie patrzeć nie może... Cóż mówić o tem wspaniałem, słonecznem niebie?... *il ne lui manque que des hirondelles!...*

. . . . . .

Max Rossmann przedstawia nam też studya do tego obrazu.

W nich widzimy nie tylko świetnego malarza i rysownika, ale też poznajemy jego duszę wysoce subtelną, czujemy jego wielki talent, który z roku na rok *semble grendir en vigeur, en grâce, en prestige*...

Maryan Strzembosz.

Przegląd muzyczny.

Kompozycye ks. d-ra Antoniego Chlondowskiego. — Kompozycye polskie zagranicą. — O. Piątkiewicz T. J. i jego »wiolinion«. — Niebezpieczeństwo, którego nikt nie widzi.

Do szeregu polskich kapłanów-kompozytorów przybywa ks. dr. Antoni Chlondowski, katecheta w salezyańskim zakładzie w Lublanie (Kraina). *Katoliška Bukvarna* w Lublanie wydała dwie jego kompozycye: *Božične Pesni* (na chór mieszany z towarzyszeniem organów) i *Missa brevis et facilis in honorem S. Stanislai Kostkae* (na 4 głosy mieszane z towarzyszeniem organu). Trzy inne kompozycye znajdują się pod prasą. Zarówno pieśni jak i msza zdradzają muzyka wykształconego sumiennie i umiejącego nie tylko poprawnie pisać, ale i przestrzegać zasad formy nienagannej. Przeznaczenie powyższych kompozycyi powoduje i łatwość techniczną i łatwość inwencyi, płynącej naturalnie i śpiewnie. Nie znajdziemy w nich ani jednego szczegółu, któryby zdradzał wahanie i niepewność. Kto zna stan twórczości muzycznej religijnej w Polsce, ten uzna, iż to jest stanowcza zaleta. Z innych kompozycyi ks. d-ra Chlondowskiego będziemy zapewne

mogli ocenić, jak daleko sięga jego wiedza kontrapunktyczna. Rodzaj inwencyi kompozytora jest na wskroś liryczny, co zwłaszcza w »Pieśniach« jest bardzo korzystnem. Co do mszy, bardziej wartościowej, niż »Pieśni« (zresztą sympatyczne i zdradzające powyżej wspomniane zalety), poczyniłbym pewne zastrzeżenia, które wynikają jednakże z mego zdecydowanego poglądu cecyliańskiego: mianowicie byłbym rad widzieć więcej stylu kościelnego oraz silniejszych kontrastów. Nie wątpię jednakże, iż pod wpływem zagłębiania się w nieśmiertelne arcydzieła Palestriny, Orlanda di Lasso, Vittorii, Aneria i klasyków katolickiej muzyki osiągnie szanowny kompozytor to, czego z pewnością od razu nie można osiągnąć. Kompozycye wydane budzą wszelkie dobre nadzieje i wiarę w talent ks. d-ra Chlondowskiego, *quo feliciter peracto* muzyka kościelna w Polsce będzie mogła zaliczyć go do swych rzetelnych pionierów.

Ostatnie lata rozwoju muzyki polskiej przyniosły tyle miłych niespodzianek, że każdy, kto ten rozwój śledził, posiadał pewność, iż z chwilą, gdy już nasza muzyka pozbyła się jakiejś nieśmiałości lokalnej, będziemy mogli śmielej patrzyć na losy jej i być świadkami uznania zagranicy. Możemy już obecnie szczycić się, że pragnienia nasze zaczynają się urzeczywistniać.

W ostatnich dwóch miesiącach wykonano w Monachium poemat symfoniczny ś. p. M. Karłowicza »Powracające fale«, w Wiedniu »Balladę« na fortepian i orkiestrę L. Różyckiego, w Berlinie zaś »Pieśń o sokole« G. Fitelberga, zaś na międzynarodowym konkursie na utwory fortepianowe (w Berlinie) między kilku nagrodzonymi utworami znalazły się »Preludyum i fuga« K. Szymanowskiego. Ci sami kompozytorowie odnieśli wielki sukces na koncercie kompozytorskim w Moskwie. I niemiecka i rosyjska krytyka była — rzecz dziwna — znacznie przychylniejsza, niż polska. Okazało się, że na gruncie neutralnym, gdzie nie dosięgają intrygi i prywatne namiętności i gdzie krytyka jest — co musimy przyznać — wprawdzie niezbyt dla polskości przychylna, lecz bezstronna, osiągnęliśmy znowu sukces, lecz i ponowny dowód, że *nemo in patria propheta.* Zawziętość pewnych krytyków jednakże z chęcią zataiła powodzenia tych kompozytorów ojczystych, którzy przypadkiem nie mają szczęścia podobania się pp. recenzentom. O tych utworach pisaliśmy swego czasu w *Przeglądzie* (1908—10) — Szymanowskiemu poświęcimy osobne studyum, zwłaszcza że ukazał się niedawno szereg bardzo wartościowych kompozycyi tego bardzo utalentowanego muzyka.

Żyjemy w czasach muzycznej mechaniki. Fabrykanci gramofonów, pianol, patefonów i innych samogrających instrumentów zasypują świat swymi wyrobami, które mają podobno zastąpić trudy artystów — niczem nie dające się zastąpić. Udoskonalają swe wrogie sztuce pomysły, wydają coraz nowsze, zawsze »niedoścignione« pomysły, patentują we wszystkich krajach wschodniej i zachodniej półkuli, wyrzucając miliony i setki milionów na reklamy. Z wyjątkiem pianoli są to maszyny, które tem się odznaczają, że zawsze będą doskonalone, nigdy zaś nie będą mogły być udoskonalone i nie zastąpią tego, co jest wykwitem żywego uczucia artysty-wykonawcy. Wszystkie zaś popularyzują z zasady utwory o małej wartości albo też i bardziej wartościowe lecz skarykaturowane z powodu pewnych fizykalnych właściwości maszyn i ich części, nie dających się zastąpić żadnymi środkami; nietrwałość tych maszyn jest notorycznie znana. Między Polakami jedynym wynalazcą w dziedzinie nowych instrumentów jest O. A. Piątkiewicz T. J. Zaznaczam wyraźnie: »nowych instrumentów«, nie zaś maszyn samogrających. Instrument, który O. Piątkiewicz skonstruował ma za zadanie reprodukcyę brzmienia orkiestry smyczkowej względnie kameralnego zespołu smyczkowego zapomocą mechaniki właściwej instrumentom klawiszowym oraz fisharmoniom ze względu na pedały służące do przeniesienia siły wywołującej dźwięk na wewnętrzne urządzenie polegające na przesuwanie paska skórzanego po strunach różnej długości. Całość przypomina w konstrukcyi zewnętrznej pianino. W wysokości kolan grającego znajduje się dźwignia — niektóre systemy organów posiadają ją również — mające na celu dynamiczną regulacyę tonu, nie ograniczoną do trzech stopni (jak to bywa w organach), lecz dowolną. Pomocą jej są pedały, które w razie cichszej gry należy wolniej poruszać. Kto zna technikę gry na fortepianie, ten w niedługim czasie może nauczyć się grać na tym bardzo interesującym instrumencie. Zważyć należy, iż głębokość pociśnięcia klawisza wpływa również na barwę i siłę tonu; nadto »tremolo« skrzypcowe jest nietrudne do oddania w sposób wierny i nie pozostawiający niemal nic do życzenia. O. Piątkiewicz zbudował kilkanaście modeli swego instrumentu, robiąc wielkie postępy w udoskonalaniu instrumentu mającego niewątpliwie przyszłość. Typ, jaki osiągnął obecnie, jest o wiele doskonalszy, niż podobne pomysły niemieckie. Nic dziwnego, że niemieccy fabrykanci wszelkiemi siłami dążą do kwestyonowania patentów. Miejmy nadzieję, iż O. Piątkiewicz, który nie tylko jest wynalazcą, ale i bardzo dobrym i kulturalnym muzykiem

(w kompozycyi uczeń d-ra W. Courvoisiera, znanego monachijskiego kompozytora), nie zwątpi w przyszłe powodzenie instrumentu, którym już zainteresowało się kilku obcych muzyków, i będzie dążył do coraz większego doskonalenia swego wynalazku.

Polska kultura naukowa i artystyczna rozporządza wieloma środkami, które zdążają nie tylko ku konserwacyi dawnych ale i żywych pomników sztuki. Czynniki te zajmują się także ludową sztuką. Gromadzi się dzieła ludowej sztuki zdobniczej i architektury, użytkuje się pomysły ludowych artystów, a przedewszystkiem chroni się je w różny sposób przed zagubą, przed niwelującymi wpływami wszechwładnej kultury. Muzea zapełniają się wyrobem przemysłu artystycznego, powstają nowożytne, pełne komfortu wille w stylu architektonicznym, mającym cechy pokrewne budownictwu ludowemu, malowanki ludowe dostarczają materyału do zbiorów »Polskiej sztuki stosowanej«, ratującej je przed zaginieniem. Filologowie badają gwary i narzecza, póki nie znikną pod naporem języka literackiego, stającego się coraz bardziej wszechwładnym, w miarę wzrostu oświaty i rozpowszechnienia druku. Na jedno nie zwrócono uwagi: na konserwacyę melodyi ludowych.

Kto sądzi, że zbiory Kolberga i innych są wystarczające, lub, że wiernie oddają autentyczne brzmienie ludowych melodyi wraz z ich dowolną rytmiką i tempem i ozdobnikami — ten zasługuje na miano naiwnego. To samo dotyczy i tych, którym się zdaje, że te melodye nie giną w zapomnieniu nawet samego ludu. Obcy spostrzegli już niebezpieczeństwo dla »pieśni gminnej« i poczynili liczne kroki zdążające ku konserwacyi muzyki ludowej. Na pierwszem miejscu wymienić należy Finlandczyków z prof. d-rem I. Krohnem i magistrem A. Launisem na czele. Uczniowie muzycznego fakultetu na uniwersytecie w Helsingfors, przebiegają Finlandyę, Szwecyę i kraje Łotyszów, zbierając setki tysięcy melodyi celem wydania ich. Gdzieindziej znowu wyruszają badacze, uzbrojeni w odpowiednie fonograficzne aparaty, celem zrobienia »zdjęć« z melodyi śpiewanych przez lud; jest to jedyny środek, który nie zawodzi, gdyż utrwala melodye tak, jak są w rzeczywistości śpiewane, t. j. bez wygładzenia i »uszlachetnienia«, które często jest przeciwne duchowi ludowej interpretacyi. Są bowiem pewne figury rytmiczne i dowolności tempa, które równie trudno jest spisać, jak i fonetyczne zwroty gwary. Z tych ostatnich trudności zdaje sobie sprawę każdy filolog, obdarzony subtelniejszym zmysłem słuchowym. Współpracownicy etnograficznego archiwum Akademii wie-

deńskiej (głównie dr. Hornbostel, Pommern, Götz, dr. Polak i inni), uzbrojeni fonografem typu Edisona, poczynili niezwykle bogate zdjęcia. Najwyższy czas, aby i u nas pomyślano o czemś podobnem, gdyż istnieje wiele złych wpływów na naszą muzykę ludową, między którymi gramofony, produkcye muzyki wojskowej, operetkowe »szlagery« i t. p. nie należą do najmniejszych [1]. Wszelka zwłoka powoduje dalsze. Należy zebrać komisyę, którąby powierzyła znawcom etnografii muzycznej zbieranie melodyi ludowych zwłaszcza w tych okolicach, które jako oddalone od środowisk miejskich zachowały większą odporność na wpływy kulturalne. Wątpię czy sprawiłoby nam to szczególną przyjemność, gdyby nas uprzedzili obcy.

Dr. Adolf Chybiński.

Listy z Warszawy.

Bankructwo neoslawizmu. — Jeszcze sprawa żydowska. — Litwacy. — Roman Dmowski o Żydach oświeconych. — Dyfuzya. — Robota wewnętrzna.

Nie mamy szczęścia do polityki. Wszystko, czego się dotkniemy w tym kierunku, kruszy się w naszym ręku, jak szkło.

Pamiętamy jeszcze wszyscy ładne nadzieje, z jakiemi spieszyli nasi politycy (temu dwa lata) do czeskiej Pragi, pamiętamy entuzyazm, z jakim przyjmowała Warszawa (temu rok) czeskich gości. Pochodem tryumfalnym był ten wjazd Czechów. Witały ich udekorowane balkony, niemilknące na całej drodze od dworca wiedeńskiego aż do hotelu Bristol oklaski i okrzyki, sypały się na nich wieńce, kwiaty, cała prawie prasa wypisywała panegiryki na cześć »bratniego przymierza«.

Z tego całego entuzyazmu został po roku tylko dym, swąd.

Tegoroczny zjazd neoslawistów (12 – 15 lutego) rozwiał ładną sielankę słowiańską. Zdarzyło się (historya lubi satyrę), że na ten czas przypadła właśnie interpelacya w dumie w sprawie katolickiego kościoła w Opolu, zabranego przez prawosławnych. Jeden kościółek wiejski, drobnostka wobec tego, co się dzieje na świecie, ale drobnostki mają czasem znaczenie wielkich wypadków. Z powodu tej in-

[1] Obszerniej zajmuję się tym przedmiotem w pracy »O metodach zbierania i porządkowania melodyi ludowych«. Lwów 1907.

terpelacyi zabrał głos hr. Bobrinskij, jeden z głównych działaczów neosłowiańskich, a przemawiał w taki sposób, że mógł obrzydzić nawet najżarliwszym neoslawistom polskim eksperymenty słowiańskie. Jak taranem walił hr. Bobrinskij w złudzenia słowiańskie, zatrutym potokiem lała się z jego ust stara, odwieczna brutalność polityki: racyę mają zawsze ci, co są w danej chwili mocniejsi; bezprawie zmienia siła w prawo, cudzą krzywdę w sprawiedliwość; milczcie i ukorzcie się słabi i t. d.

Nic nowego nie powiedział hr. Bobrinskij. Powtarza to samo i wciela historya od lat tysięcy, uczy ciągle, mówi faktami, a mimo to znajdują się zawsze naiwni zapaleńcy, którym się zdaje, że można ładną gadaniną przekonać politykę. Nauczmy się już raz tej oklepanej prawdy, że słabi nie mają w polityce nigdy racyi, że przegrywają zawsze z góry.

Ochłonęli nasi neoslawiści, spuścili nos na kwintę, zagryźli usta i wrócili do domu, ogłosiwszy *urbi et orbi* następującą »deklaracyę Polaków«:

»Zjazd praski r. 1908 postawił za zadanie swoje zasadnicze zaniechanie stosunków wrogich i ustanowienie pokoju pomiędzy narodami słowiańskimi dla dobra całej słowiańszczyzny i każdego narodu słowiańskiego w szczególności. Proklamowana na zjeździe tym idea słowiańska nie tylko nie uległa dalszemu rozwojowi, ale przekręcone postanowienia zjazdu posłużyły za poparcie działań, skierowanych na szkodę sprawy słowiańskiej. W zakresie stosunków rosyjsko-polskich zaszło znaczne pogorszenie; nie tylko utrzymanie istniejących ograniczeń, hamujących rozwój kulturalny narodu polskiego, ale i wprowadzenie w życie nowych prześladowań, napotkało współdziałanie i poparcie nawet ze strony niektórych uczestników zjazdu praskiego, którzy uznali jego postanowienia zasadnicze. Wobec tego, my, Polacy, uczestniczący w komitecie wykonawczym zjazdu praskiego, stojąc niezachwianie na gruncie idei słowiańskiej, wyrażonej w zasadach neoslawizmu, oświadczamy pełną gotowość do przyszłej pracy, wiodącej do określenia tych skutków konkretnych, jakie obowiązkowo wypływają z zasad neoslawizmu, ażeby usunąć możliwość nieporozumień i przewrotnych komentowań. Uważamy nadto, że zewnętrzne objawy solidarności słowiańskiej, wyrażające się na zjazdach neosłowiańskich, mogą przynieść korzyść sprawie słowiańskiej tylko pod warunkiem, jeżeli opierają się na jasnym, ustalonym programie. Dlatego w chwili obecnej, dopóki wiele doniosłych spraw życia słowiańskiego nie zna-

lazło należytego określenia, nie uważamy za możliwe powziąć decyzyi o udziale naszym w zjazdach najbliższych«. Podpisali: *Dmowski, Straszewicz, hr. Olizar.*

Dyplomatyczna to deklaracya, zostawia ona sobie otwartą furtkę: a może kiedyś... Może. *Fortuna variabilis, Deus admirabilis.*

Cała bezcelowość polityki neosłowiańskiej w chwili obecnej maluje rosyjska gazeta *Swob. Sł.*, opatrując utworzenie komisyi polsko-rosyjskiej w celu rozpatrzenia sporu polsko-rosyjskiego i wyszukania środków w celu jego rozwiązania następującym komentarzem:

»Wszystko to byłoby wielce zabawne, gdyby nie było tak smutne. Co bowiem w ostateczności może zdziałać owa komisya? Jakie może osiągnąć rezultaty, nie posiadając żadnej władzy wykonawczej?«

»Dajmy na to, że zasiadający tam np. taki hr. Bobrinskij ożywiony będzie nawet jak najlepszemi chęciami ulżenia doli Polaków — to co może uczynić komisya, jeżeli władze nie zechcą uwzględnić jej życzeń?«

»A że władza nie tylko tych życzeń nie uwzględni — ale będzie je ignorować, to nie ulega wątpliwości, chociażby jedynie z tego powodu, by postępowanie jej nie pozostawało w sprzeczności z obowiązującym kursem dzisiejszej polityki rządowej. W takich warunkach wspominać o ulgach dla Polaków jest bardziej niewłaściwe niż kiedykolwiek«.

»Niema też najmniejszego wyrachowania przypominać o tem społeczeństwu rosyjskiemu, naprzód, że społeczeństwo to, z powodu zawodu, jaki spotkał usiłowania jego wywalczenia sobie konstytucyi, ogarnęła taka apatya i obojętność nawet na własne swe losy, że trudno je poruszyć; dalej, że lepsza część społeczeństwa rosyjskiego, świadomie zachowująca się wobec idei swobody narodowej, uważa narodowe prawa Polaków obecne za »nie na czasie«, a nawet w wielkiem podejrzeniu u rządu, który dziś mniej niż kiedykolwiek czuje potrzebę rachowania się z postulatami opinii publicznej«.

Należy-ż potępić naszych polityków za ten ostatni, znów nieudany eksperyment? Chyba nie. Tonący chwyta się wszystkiego: listka, gałązki, każdego źdźbła: a może... Trudno go za to potępić, bo cóż ma robić innego? Ale może już dosyć tych bezpłodnych eksperymentów, bałamucących kraj, demoralizujących nieuświadomionych, dosyć tego ciągłego »zawracania głowy«, dosyć takiej polityki. Praktyczniej byłoby zwrócić całą energię narodu w kierunku wewnętrznego wzmocnienia i odrodzenia, — gojenia wrzodów porewolucyjnych.

Oto np. nie starzejąca się u nas, bezustannie świeża sprawa żydowska, gwałtowny najazd Żydów obcych, wprost zuchwały atak na Królestwo Polskie.

Najechała Warszawę i Łódź, jak wiadomo, wielka gromada Żydów z cesarstwa, głównie z dzielnic byłej rzeczypospolitej polskiej. Litwakami albo Litwokami nazywają polscy Żydzi tych przybyszów.

Jest to żywioł bardzo ruchliwy, energiczny, przedsiębiorczy, jak oświadczają nasi Żydzi, a tę ruchliwość, energię, przedsiębiorczość tłumaczą nasi Żydzi tem, że Litwacy, zostawieni na Wschodzie sami sobie, pozbawieni kierownictwa mieszczaństwa niemieckiego (jak w Polsce), wyrobili sobie z czasem samodzielność, inicyatywę.

Ostatnie pokolenia Litwaków oddalały się powoli pod wpływem szkoły rosyjskiej od zachowawczej tradycyi Żydów. Radykalizm literatury rosyjskiej wsiąkał w młode pokolenia, przepajając je pojęciami wywrotowemi. Jedna część Litwaków poszła w kierunku rewolucyjnym *(Bund)*, druga wytworzyła nacyonalizm żydowski w formie syonizmu, terytoryalnego separatyzmu, czy też w innem sformułowaniu. Obie jednak części były kulturalnie obce Żydom polskim, są wywrotowcami lub syonistami, pokostowanymi świeżo kulturą rosyjską.

Wnieśli więc Litwacy do naszego kraju swoją ruchliwość, energię, przedsiębiorczość i swoją niestrawioną jeszcze kulturę rosyjską, mieszaninę skrajnego radykalizmu rosyjskiego. Ruchliwością, energią, przedsiębiorczością wzięli rychło na munsztuk naszych, ociężalszych od nich, Żydów polskich, zapanowali nad nimi, narzucili im swoje poglądy i cele, pokonali ich ekonomicznie i moralnie. Dziś rządzą oni w Judei polskiej, prowadzą oni wielkie masy ciemnego żydostwa. Oni wydają gazety żargonowe, gardłują na zebraniach i t. d. Oni to stłumili resztki tlejącej słabo asymilacyi i wywołali w społeczeństwie polskiem naturalny odruch samoobrony czyli reakcyę przeciwżydowską. Cała prasa narodowo-polska stała się antysemicką. Jeden tylko Ludwik Straszewicz broni jeszcze spłowiałej doktryny asymilacyjnej. Nawet Bolesław Prus, zawsze dla Żydów pobłażliwy, więcej niż na to zasługują, zniecierpliwił się wkońcu i nawymyślał srodze (w *Tyg. Illustr.* w kronice p. t. »Nasze obecne położenie«). Pisze on: »Stosunek niektórych grup żydowskich do Polaków jest nie tylko niegodziwy, ale wprost nieprzyzwoity. Na Żydach sprawdza się starorzymski aforyzm: »Pojedynczy senatorowie dobrzy ludzie, cały senat to bydle«.

Od tej całej wrzawy antysemickiej odcina się oryginalnością

stanowiska artykuł Romana Dmowskiego p. t. »W dziedzinie religii« (*Gazeta Warszawska* nr. 20 i 29, 1910 r.). Dmowski mówi:

»Mówiąc o asymilacyi, o spolszczeniu duchowem Żydów, pozostawiamy zwykle dziedzinę życia religijnego na boku, traktujemy ją jako coś odrębnego, nie związanego wcale z życiem narodowem. Jest to bądź umyślne, bądź nieświadome omijanie jednej z najpoważniejszych, może najważniejszych trudności. Religia zawsze była, i dziś, pomimo wszystko, jest pierwszorzędnym czynnikiem twórczym życia narodowego. Ona w ogromnej mierze urabiała duszę narodu, ona równolegle z państwem dawała mu organizacyę i wzmacniała wewnętrzne jego węzły moralne, ona dziś jeszcze dla milionów pozostaje najbardziej widomym znakiem narodowej odrębności«.

»Prądy umysłowe niedawnej przeszłości, racyonalizm końca XVIII stulecia, materyalizm, pozytywizm i ewolucyonizm drugiej połowy XIX-go, podkopały silnie, lub zniszczyły w licznych szeregach intelligencyi wszystkich wyznań wiarę w dogmaty religijne. U nas, w dobie zwłaszcza popowstaniowej, ruch w tym kierunku silnie się rozwinął, wytwarzając ogromny zastęp intelligencyi niewierzącej, lub w zakresie dogmatów wiary mniej więcej obojętnej. Stosunek ten wszakże do dogmatów nie decyduje jeszcze o stosunku do religii, jako całości. Religia bowiem nie tylko z dogmatów się składa«.

»Nawet we Francyi, gdzie dziś niewiara największe bodaj zrobiła postępy, gdzie w polityce tyle jest wojny z Kościołem, tylko niewielka względnie część intelligencyi zrywa z Kościołem zupełnie i ogłasza się oficyalnie za bezwyznaniową. Najbardziej zdecydowani ateusze biorą śluby w kościołach, chrzczą dzieci i umierają z myślą, że będą po katolicku pogrzebani. Cóż to znaczy? To znaczy, że zerwanie z religią ojców zupełne jest o wiele trudniejsze, niż utrata wiary w jej dogmaty. Ostatnia jest wynikiem danego stanu umysłu, który jeszcze za sobą nie pociąga zerwania silnych, dziedzicznych nici moralnych, wiążących duszę człowieka z przeszłością, tą, która była, i tą, która żyje w teraźniejszości. I w tem tkwi olbrzymia siła religii, skupiającej naród z pokolenia na pokolenie, pomimo takiego czy innego stanu pojęć i wierzeń w różnych epokach«.

»Polska jest krajem katolickim. Określenie to o wiele więcej znaczy, niż się ludziom często zdaje. Znaczy ono, że nie tylko psychika narodowa urabiała się pod wpływem tej religii, nie tylko masy ludowe tworzą przywiązane zastępy wiernych Kościoła, nie tylko istnieje w niej znaczna liczba oświeconych katolików, ale że cały prawie ogół

polski, z włączeniem znacznej części intelligencyi niewierzącej lub w przedmiocie dogmatów obojętnej, moralnie do religii katolickiej należy i z nią ścisłymi węzłami duchowymi jest związany«.

Po tym wstępie, bardzo znamiennym, jak na publicystę, który nie należy do t. zw. wstecznikow, bardzo rozumnym ze stanowiska polityka polskiego, Dmowski podkreśla znaczenie mozaizmu w życiu Żydów, widzi w nim bardzo słusznie główną przeszkodę do asymilacyi. Bardzo słusznie, poświadcza to bowiem historya lat dwóch tysięcy. Może się to *librepenseurs'om* niepodobać, ale ich pogardliwe wzruszenie ramion nie usunie dokumentu historycznego.

Zdawałoby się, że oderwanie się Żyda od mozaizmu ułatwia mu asymilacyę z innymi narodami. Historya jednak uczy, że ten zlew nie zawsze się udaje, bo, twierdzi Dmowski, znów słusznie:

»Zapomniano o tem, że człowiek, przestający wierzyć, nie zrywa tem samem jeszcze wszystkich węzłów ze swą religią. Zapomniano o tych niciach moralnych, które nawet człowieka niewierzącego wiążą z religią jego ojców, jego narodu. I jeżeli węzły te posiadają niemałą siłę u Polaków w stosunku do religii katolickiej, to u Żydów w stosunku do mozaizmu są jeszcze silniejsze.

Wkońcu zwraca się Dmowski do naszych Żydów oświeconych:

»Nasz ruch »postępowy« przypadł na moment wystąpienia na widownię licznego zastępu intelligencyi żydowskiej. Rozwijał się on w środowisku polsko-żydowskiem. Biorący w nim udział Żydzi byli istotnie ludźmi wolnomyślnymi, w tem znaczeniu, że się wyzwolili z wiary, ale moralnego związku z religią swoich ojców nie zerwali, co zresztą wcale na ich niekorzyść nie przemawia. Wnieśli też oni do ruchu postępowego całą nienawiść, jaką mozaizm żywi do religii chrześcijańskiej, w szczególności do katolicyzmu. Tę nienawiść narzucili w znacznej mierze postępowcom pochodzenia polskiego, strzegąc jednocześnie mozaizmu przed ich atakami. Tym sposobem wytworzył się szczególny typ wolnomyślicielstwa wojującego, atakującego ostro katolicyzm, obrażającego na każdym kroku uczucia religijne naszego narodu, ale menażującego religię Żydów. W okresie wyborów do Dumy wszyscy Żydzi, włącznie z żywiołami najbardziej ortodoksyjnymi, byli ogłoszeni za obóz postępowy, szeregujący się przeciw wstecznictwu i obskurantyzmowi polskiemu. Czyż można wymyśleć jaskrawszy paradoks! Najpierwotniejsza z rozpowszechnionych dziś w świecie wielkich religii, najbardziej sprzeczna z ideałami moralnymi dzisiejszej cywilizowanej ludzkości, najzaciętszy opór stawiająca dążeniom nie tylko

moralnego, ale nawet umysłowego postępu, znalazła się niejako pod opieką obozu postępowego, który całą swą wolnomyślicielską namiętność skierował przeciw katolicyzmowi, przeciw religii narodu polskiego«.

»Silny udział intelligencyi żydowskiej w naszem życiu umysłowem i jej wpływ na znaczną część intelligencyi polskiej wytworzył w licznych kołach niezdrowy i dla naszej spójności moralnej zabójczy stosunek do religii. Zachwianie wiary w umysłach odbyło się pod innymi wpływami, wspólnymi całej Europie, ale pod wpływem Żydów nastąpiło zerwanie węzłów moralnych, łączących ludzi z religią ich ojców, z religią narodu. A to już jest częściowe wynarodowienie duchowe«.

Idąc konsekwentnie dalej w kierunku swojej argumentacyi, dochodzi Dmowski do wniosków, które podpisze każdy »wstecznik«. »Jestem zdania, mówi wkońcu, że zagadnienia religijne odegrają w blizkiej przyszłości doniosłą rolę w życiu warstwy intelligentnej zarówno u nas, jak w innych krajach cywilizowanych. Historya jeszcze nie złożyła dowodu, że możliwe jest istnienie narodu, zwłaszcza narodu silnego, moralnie zdrowego, bez religii. To, co wiemy z przeszłości, świadczy przeciw. Dzisiejszy stosunek warstw intelligentnych, stojących na poziomie wiedzy współczesnej — do religii niezawodnie podlegnie gruntownej rewizyi«.

»Na tem miejscu traktujemy zagadnienia narodowe. Z tego stanowiska właśnie trzeba stwierdzić, że sprawie jedności narodowej dzieje się niesłychana krzywda tam, gdzie jedni obrażają najgłębsze uczucia religijne innych, gdzie pod wpływem czynnika obcego, tradycyjnie wrogiego religii narodu, ludzie zrywają z tą religią wszelkie węzły moralne, niezależnie od tego, jakie są ich poglądy i wierzenia«.

»Naród silny, żywotny, mający poczucie swej godności i przywiązanie do swej indywidualności, nakazuje innym szacunek dla swej religii, zamiast wydawać ludzi, którzy wtórują im w napaściach na nią«.

Artykuł ten przynosi zaszczyt odwadze Dmowskiego, bo u nas musi być człowiek intelligentny odważnym, żeby bronić jawnie wiary swoich przodków. Postępowcy obwołają Dmowskiego niewątpliwie wstecznikiem, obskurantem, oświeceni Żydzi wliczą go do »czarnej sotni«. Powtórzyłem artykuł Dmowskiego rozmyślnie jako dokument, poświadczający, że nie potrzeba być wcale patentowanym »wstecznikiem«, ażeby zrozumieć, odczuć znaczenie religii w życiu człowieka i narodu. Jednych prowadzą do tej cnoty uczucia religijne, innych doświadczenia życiowe, jeszcze innych patryotyzm. Ale rezultat jest

zawsze ten sam: tylko ciasny lub sekciarski umysł pada w proch przed pychą rozumu ludzkiego, ubóstwa człowieka.

Stropieni tą wrzawą antysemicką postępowcy (obecnie: wolnomyśliciele, wrogowie chrześcijaństwa, oświeceni żydzi, zżydzeni intelligenci polscy, socyaliści i radykaliści) szukają nowych dróg w celu nawiązania porwanych nici asymilacyi. Któryś z nich wpadł na pomysł t. zw. dyfuzyi.

Cóż to takiego ta »dyfuzya«?

Asymilacya znaczy w procesach przyrodniczych pochłonięcie jednego ciała przez drugie, dyfuzya zaś, zmieszanie się z sobą, przeniknięcie dwóch ciał, ich zupełny zlew, czyli, dyfuzyoniści marzą o zlaniu się narodu polskiego z żydowskim, o wytworzeniu z tej mikstury nowego żydowsko-polskiego albo polsko-żydowskiego narodu, czyli, w ostatecznym rezultacie, zważywszy ruchliwość i natręctwo Żydów — zmianę Polski na Judeę.

Bardzo dużo musi być u nas Żydów i bardzo silnymi muszą się czuć, skoro wpadają na taki potworny pomysł.

Więc trzeba się bronić, a bronić trzeba się praktycznie, nie artykułami dziennikarskimi, nie skargami i gadaniną, jeno czynem. Trzeba oprząść cały kraj siecią chrześcijańskich stowarzyszeń spółdzielczych, sklepów, sklepików, wytrącić z rąk żydowskich handel, a opuszczą nas Żydzi sami. Jeśli nie wszyscy, to przynajmiej znaczna ich część. A w zżydzonej już w dwóch trzecich Warszawie trzeba się od Żydów odciąć ostrą granicą, czego się oni zresztą sami domagają, przeciwstawiając się wrogo naszej religii i naszym tradycyom narodowym.

Prawie bezpośrednio z kwestyą żydowską, łączy się u nas sprawa działalności t. z. »Kultury Polskiej«, stowarzyszenia, pozostającego pod kierownictwem albo Żydów, albo zżydzonych Polaków, co prawie na jedno wychodzi. Mówił mi w tych dniach jeden z wybitniejszych artystów teatrów rządowych, że był u niego któryś z członków komitetu »Kultury Polskiej« prosić go o udział w jakimś koncercie na cele tejże »Kultury«, a prosił go takim językiem polskim, iż go artysta mimowoli zdziwiony zapytał: czy pan na prawdę z »Kultury Polskiej«? Drobiazg ten illustruje doskonale pewną grupę naszych kulturników »polskich«. Usiłują oni zapanować nad duszą naszego ludu wiejskiego i miejskiego, rozrzucają po kraju liczne kółka, mają swoje gazetki ludowe *(Zaranie)*, wygłaszają odczyty.

A jakie to odczyty? Dowiadujemy się o tem z mnóstwa listów

prywatnych, nadsyłanych do redakcyi pism chrześcijańskich. Na jednym np. z takich odczytów, przeznaczonych dla robotników, popularyzował prelegent »Kultury« doktrynę ewolucyjną. Wolno zapytać, co robotnika, umiejącego zaledwie czytać, może obchodzić Darwin z całą ewolucyą, albo co filozofia z jej skokami to w tył to naprzód. Dobra to zabawka dla zawodowych uczonych lub dla ludzi oświeconych wogóle. Szerokim, bezkrytycznym masom, nieprzywykłym do logicznego, samodzielnego myślenia, pozbawionym busoli w labiryncie różnych, nieustalonych jeszcze teoryi, nie służą nigdy takie mądrości. Nie ucząc ich właściwie niczego, przewracają im w głowie, nie dając im nic konkretnego, zabierają im jedyny ich skarb duchowy, wiarę. Wiadomo, że mózgów surowych, niewygimnastykowanych, czepiają się głównie wszelkie jaskrawości, im błyskotliwsze, tem chętniej chwytane. Nauczyła nas rewolucya, jak sobie robotnik tłumaczy wolność i socyalizm, nauczyła świat rewolucya francuska, w co zamienia się niestrawiona doktryna w grubem ręku tłumu, »sankiztów« i »sanżyponek« *(sans-jupon)*.

Ale cóż to wszystko obchodzi naszych »kulturników«? Chodzi im głównie o odchrześcijanienie naszego ludu, o oderwanie go od katolicyzmu.

I oto drugie, a rozległe pole pracy dla ludzi dobrej wiary. Bronić trzeba duszy naszego ludu przed napaścią bezwyznaniowców. Cóż robi w tym kierunku Związek katolicki? Gdzie są jego prelegenci, dziełka popularne i czasopisma, wydawane jego staraniem, gdzie jego szeroka, etyczna działalność, dla której chyba głównie istnieje? Bo stowarzyszenia spółdzielcze, kasy i t. d. zakładają także inni, bo katechizacya i tworzerie bractw jest rzeczą duchowieństwa, w którego atrybucye nie wolno się mieszać świeckim. Centralny Komitet »Związku« drzemie sobie dotąd, stoi w miejscu. Gdyby nie prowincya, która pracuje żwawo, nie wiedzielibyśmy wcale, że istnieje Związek Katolicki. A jeśli kto, to powinien on przeciwdziałać »Kulturom« i systematycznie prowadzonej akcyi bezwyznaniowców i równie systematycznie prowadzoną działalnością, której dotąd wcale nie widać.

Nie tylko duszy ludu trzeba bronić przed atakiem różnych eksperymentatorów, ale i duszę naszej intelligencyi trzeba powoli oczyszczać z resztek brudów porewolucyjnych. Obabrała się ta dusza »intelligentna« wszelakiem błotkiem rozpętanych zmysłów, zanurzyła się w mętnych wodach ogólnego »przewartościowywania dawnych wartości«. Nie wszystko, co stworzyła przeszłość, cuchnie, próchnieje, rozkłada się.

Są »wartości«, które się nigdy nie starzeją, a do takich należą: obowiązek, uczciwość, honor, rodzina.

Dużą krzywdę naszej duszy intelligentnej wyrządza współczesna literatura razem z teatrem. Poniesiona szałem bezmyślnego wywrotu w kierunku etycznym, przezmysłowa, lubieżna, anarchistyczna, toczy współczesna literatura rakiem duszę oświeconych i półoświeconych czytelników, demoralizuje młode pokolenie, burzy wszystko, nie buduje nic, wstrzykuje w tych, co po nas idą, jad bezmyślnego pesymizmu, który rozkłada charaktery.

Więc mamy dosyć do roboty w domu, wewnątrz, możemy się obyć na pewien czas bez »wielkiej polityki« na zewnątrz, która nie wygrała dotąd ani razu, przegrała wszystkie kampanie.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 15 kwietnia 1910.

PROF. TADEUSZOWI WOJCIECHOWSKIEMU.

Pamiętają czytelnicy naszego pisma dyskusyę, jaka w ubiegłym roku toczyła się w sprawie św. Stanisława, z powodu hipotezy prof. Wojciechowskiego. Obecnie, w ostatnim zeszycie *Kwartalnika historycznego* odpowiada na tę dyskusyę prof. Wojciechowski w polemicznym artykule, p. t. »Plemię Kadłubka«. Artykuł przynosi jeden szczegół nowy, mianowicie ustalenie tekstu *christus in christum.* Zdobycz to bardzo cenna, bynajmniej jednak nie przesądzająca o ostatecznym wyniku dyskusyi. Owszem, jak wykazuje świetnie prof. Krzyżanowski w tym samym zeszycie *Kwartalnika historycznego*, w rozprawie »Na marginesie Galla«, słowa te przez Galla użyte dowodzą, że wyszedł on z antygregoryańskiego obozu.

Wchodzenie w *meritum* polemiki nie do nas należy; uczynią to niewątpliwie historycy, biorący udział w dyskusyi. W *Kwartalniku historycznym* zapowiedział już odpowiedź prof. Smolka, a obecny zeszyt naszego pisma przynosi odpowiedź pp. Prochaski i Miodońskiego.

Jest jednak jeden ustęp w rozprawie p. Wojciechowskiego, który domaga się od Redakcyi pewnego wyjaśnienia. Ustęp ten brzmi w całości, jak następuje:

»Zanim jednak przystąpię do rzeczy, winienem wprzód odpowiedzieć na kwestyę, którą Redakcya *Przeglądu Powszechnego* wysunęła na samo czoło dyskusyi. Jest rzecz poważna. ‚W wynikach swoich — tak pisze Redakcya — prof. Wojciechowski za-

rzuca św. Stanisławowi grzeszną zdradę i kultowi jego odmawia słusznych podstaw'; ‚w szerokich sferach katolickich powstało zaniepokojenie i poczucie potrzeby wyjaśnienia tej sprawy'. Na to odpowiadam: 1) ‚grzeszna zdrada' to są wyrazy własne Galla a nie moje i dlatego przytaczałem je zawsze w cudzysłowie; 2) skrupuły pietyzmu religijnego szanuję najmocniej, bo sam podzielam; jeżeli zaś w mojej książce napisałem te słowa: ‚Sprawa św. Stanisława wedle mego widzenia rzeczy stracona', to każdy historyk zrozumie, że pisałem to w odniesieniu do tych źródeł, jakie obecnie posiadamy. Kronika Galla, źródło naczelne, jest św. Stanisławowi nie tylko że nieprzychylna, ale stanowczo wroga; o tem nie może być dwóch zdań; a dowodzić jego świętości na podstawie tej kroniki, to sprawa daremna. Ale jest inna rzecz: mogą się znaleźć nowe źródła historyczne, które zadadzą kłam Gallowi; nie zaprzeczy temu żaden trzeźwy historyk; niema zatem powodu do zaniepokojenia o kult, który trwa od półszosta wieku, a zrósł się z tradycyą narodu tak mocno, że już zaginąć nie może. Ale powtarzam: dowodzić świętości Stanisława na gruncie Kroniki Galla, to rzecz marna, bo nienaukowa; a jeżeli moi przeciwnicy podjęli niniejszą dyskusyę w takim zamiarze, osiągną raczej przeciwny skutek. Lepiej było nie zaczynać«.

Wyrażając szczerą wdzięczność czcigodnemu profesorowi za szlachetne usiłowanie, by pogodzić swoje stanowisko historyczne ze stanowiskiem Kościoła, musimy od siebie kilka uwag dorzucić. Najpierw, nie było celem dyskusyi, aby na podstawie Kroniki Galla udowodnić świętość św. Stanisława i słuszność jego kultu, który bynajmniej nie z Kroniki Galla bierze swój początek, — ale, celem tej dyskusyi było, roztrząsnąć i zanalizować ten komentarz, jaki do niejasnej Kroniki Galla dał profesor Wojciechowski w swych »Szkicach«. Ten komentarz był dla sprawy świętego Stanisława nieprzychylny i gdyby był słuszny a decydujący, nie wiele pomogłoby czekanie na nowe źródła historyczne i powoływanie się na sześciowiekową tradycyę narodu. Słaba to pociecha. Tymczasem, dyskusya, która unaocznia, że komentarz prof. Wojciechowskiego w kołach historyków nie jest przyjęty, sprawia przynajmniej tyle, iż każdy nieuprzedzony widzi, że

sprawa św. Stanisława stoi tak po »Szkicach« p. Wojciechowskiego, jak stała przed nimi. W braku nowych źródeł i to wystarcza.

Tyle w tej sprawie. Uwagę p. Wojciechowskiego, co do organizowania tej dyskusyi, jak też i sam tytuł jego rozprawy, tłumaczymy sobie napięciem polemicznem i dlatego nad tem nie zatrzymujemy się.

W dalszym toku zamieszczamy odpowiedzi pp. Prochaski i Miodońskiego.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

W ostatnim podwójnym zeszycie *Kwartalnika historycznego* (Lwów, 1910) ogłosił prof. T. Wojciechowski rzecz p. t. »Plemię Kadłubka«, jako odpowiedź na dyskusyę w sprawie św. Stanisława, drukowaną niedawno w *Przeglądzie Powszechnym*. Wprawdzie treść tej odpowiedzi znaną mi była z odbitki, czekałem jednak pojawienia się *Kwartalnika*, myśląc, że autor sam się rychło zoryentuje i umieści w nim sprostowanie kilku rażących pomyłek, popełnionych przy omawianiu moich uwag. Ponieważ tego nie uczynił, stwierdzam tu pokrótce, co następuje:

1) Mówiłem o niesprawiedliwości Bolesława Śmiałego, ale też zmieniłem *corporaliter vindicare* na *corporali vi vindicare*, dodając, że przez to »uwydatni się rodzaj g w a ł t o w n e j , n i e n a t u r a l n e j kary (por. osobne odbicie: »W sprawie św. Stanisława«, Kraków, 1909, str. 41).

2) Wojciechowski utrzymuje (str. 15): »Miodoński przepisuje przeciwko mnie całe stronice materyału leksykalnego z rozmaitych słowników, aby wykazać moje błędy«. Z jakiegoż to słownika pochodzi np. notatka Piotra Lombarda o osobach duchownych, przytoczona (str. 37—38) przeciw zapatrywaniu autora? Mam ją z własnej lektury. Specyalnie dla dyskusyi czytałem sam cały szereg klasycznych, a zwłaszcza średniowiecznych tekstów i z nich przytoczyłem okrągło 80 przykładów, resztę (blizko 40) wziąłem z pomocniczych źródeł filologicznych, czemu nikt nie

powinien się dziwić. Kto sądzi, że łaciny średniowiecznej nauczyć się można ze słowników, np. z Du Cange'a lub t. zw. słowników dyplomatycznych, myli się najkapitalniej.

3) Kto przyjmował lekcyę »christianus in christianos«, nie potrzebował ani »logomachii« ani »wysiłku«, aby wykazać, że oba grzechy były Bolesława, bo to było jasne i proste przy takiem ukształtowaniu tekstu. W tym wypadku partykuła enim, miałaby znaczenie autem. Zarzut uczyniony Wojciechowskiemu co do »wypaczenia myśli Galla« przez rzekomo niestosowne tłumaczenie spójnika enim cofam, gdyż rzeczywiście wprowadzenie do tekstu liczby pojedyńczej wymaga znaczenia: bowiem. By uchylić nieporozumienie, zaznaczam, że (str. 39 uw. 2) nie obstaję bynajmniej przy jednej tylko funkcyi słowa adhibere, lecz uważam za możliwe oba znaczenia: »dodawać« i »używać jako środka (leczyć)«.

4) »Śmiesznie wygląda przytem owa remarka moralistyczna: »to mu wielce zaszkodziło«; zupełnie tak samo, jak żeby powiedzieć o złodzieju, że jeżeli nie tylko kradnie, ale jeszcze i zabija, »to zaszkodzi mu to wielce« np. dla zbawienia duszy. Tylko, że Gallus nie pisze takich marnych komunałów«. Tak Wojciechowski, str. 17. I dla zbawienia duszy nie jest obojętna, czy złodziej kradnie tylko, czy też nadto zabija; nie obojętna też i dla ciała samego, bo za kradzież zamkną złodzieja w więzieniu, a za zabójstwo mogą śmiercią ukarać. Czy zabójstwo św. Stanisława było tylko politycznie obojętnym epizodem w reakcyi przeciw Bolesławowi, czy też (jak mi się zdaje) było o tyle głównym powodem katastrofy, że zaostrzyło i spotęgowało opozycyę, prowadząc ostatecznie do wygnania króla? W tym drugim bardzo prawdopodobnym wypadku wyrażenie Galla »multum nocuit« byłoby czemś więcej, niż »marnym komunałem«.

5) Wyraz »traditio« brałem w znaczeniu »karcenie«, natomiast odrzuciłem wywód ks. F. Namysłowskiego, który chciałby rozumieć przez traditio klątwę, na wzór dradere satanae. Mówię wyraźnie, że »takiego uzupełnienia (t. j. satanae) koniecznie wymagalibyśmy u Galla« (str. 32, por. tamże uw. 1). Wojciechowski — prawie trudno uwierzyć — tak referuje: »Miodoński wywodzi... traditio od tradere = nauczać, w danym razie = karcić... Poza

tem przypuszcza też Miodoński: traditio = rzucenie klątwy... i przy klątwie ostatecznie też obstaje« (str. 17). Nie tylko nie odnoszę Gallowego traditio do klątwy, ale co więcej, mam zamiar przy lepszej sposobności wyjaśnić, że słowa Kadłubka (tandem anathematis gladium intentat) nie wskazują z całą pewnością, jakoby rzeczywiście św. Stanisław rzucił klątwę na króla.

6) Na str. 25, zarzuca Wojciechowski swoim przeciwnikom, że nie obznajomili się z literaturą przedmiotu i nie wiedzieli o konjekturze Saengera (de fratre), która pojawiła się już przed czterema laty«. Na rozprawę Saengera zwrócił mi uwagę prof. Stanisław Smolka, mówię też o owej zmianie deferre na de fratre w dyskusyi (str. 30): »jeżeli tam według poprawki G. E. Saengera *(de fratre* Wladislao facto dolet inimico) wymieniony jest Władysław Herman [1]. Jakkolwiek konjekturę Saengera nazwano »bystrą, trafną i mocną«, uważam ją za niepotrzebną, bo rękopiśmienne *deferre* daje dobry sens, jeżeli wyjdziemy z założenia, podkreślonego szczególnie przez prof. St. Smolkę, że zdanie »partim restat locus irae« jest objaśnione przez następne wyrażenie: sed deferre... dolet inimico, jeżeli dalej idąc za Pertzem będziemy rozumieli: restat locus irae *sc.* Boleslavo, a odpowiednio: dolet *sc.* Boleslavus. Wyrażenie »locus irae« może znaczyć: sposobność, powód do gniewu; trafnie też tłumaczy to pierwsze zdanie Komarnicki: »Posłyszawszy Władysław o przybyciu Bolesława, częścią się cieszy z oglądania przyjaciela, częścią daje mimowolny powód temuż do gniewu«. Mówiąc o różnych sposobach objaśnienia tego ustępu, podanych w ciągu dyskusyi, w konkluzyi zdobywa się Wojciechowski (str. 27) na pewną »grzeczność« pod adresem filologii polskiej! Otóż krytyka tekstu ma przedewszystkiem obowiązek trzymać się tradycyi rękopisów i starać się wytłumaczyć i bronić lekcyi przekazanej środkami dozwolonymi. Często w wątpliwych miejscach zależy w pierwszym rzędzie na odgadnięciu

[1] Miejsce z Długosza: »Indignum insuper, ut reor, Providentia iudicabat suprema, ut *christus Domini*... deberet contingi«, na które zwrócił Wojciechowskiemu uwagę dr. E. Modelski, proszony o kwerendę, przytoczył już przedtem Saenger (str. 126) na poparcie swej konjektury »christus Domini«, co także zaznaczyłem w dyskusyi (str. 38, uw. 1).

związku wewnętrznego i zasadniczej myśli; odnalezienie tej nici wewnętrznej będzie już zasługą, choćby się nie dało wiernie odtworzyć samych słów, zewnętrznej tylko formy. W naszym wypadku dyskutujący mieli to poczucie, że rozdział 28 Galla, w całości poświęcony jest opowiadaniu o spotkaniu Bolesława z Władysławem węgierskim i jego skutkach, że odmienne uczucia radości i boleści rozgrywają się tylko między nimi dwoma. Interpretacya była w zasadniczym punkcie słuszna. Dodaję, że gdyby nawet miało się okazać, iż pierwotną lekcyą było naprawdę »de fratre«, nie bylibyśmy zmuszeni odnosić to pojęcie do Władysława Hermana. Jeżeli Wojciechowskiego teza o buncie Władysława Hermana, oparta li tylko na wątpliwej konjekturze i interpretacyi, przynosi zaszczyt metodzie historycznej, to o filologię polską, może szanowny profesor być całkiem spokojny.

W dyskusyi (str. 26, uw. 3) była mowa o ważnych słowach Kadłubka *inter infulas*. Odnosiłem je tam do oznak pontyfikalnych i mógłbym użycie przyimka inter w tem znaczeniu (= *w* stroju pontyfikalnym) jeszcze lepiej uzasadnić. Widzę jednak, że o wiele bliższem jest pojmowanie wyrazu infulae (strój, oznaki kapłańskie) jako metonimii na oznaczenie samych kapłanów. *Inter infulas* znaczy to samo, co *inter sacerdotes*, jak to kiedyindziej objaśnię całym szeregiem analogicznych wyrażeń łacińskich. W ten sposób opis śmierci św. Stanisława zgodziłby się z relacyą Jana z Salisbury o męczeństwie św. Tomasza, jak widać z tekstu umieszczonego na końcu przytoczonej uwagi: Certe in Ecclesia (immolatus est)... coram altari, inter consacerdotes (= inter infulas u Kadłubka) et manus religiosorum i t. d.

Kończę uwagą o rzeczy najważniejszej, o poprawnym tekście Galla: *christus in christum*. Wiadomo dzisiaj, że taka jest właściwa lekcya rękopisów, o której wszechstronnie pod względem paleograficznym i rzeczowym pisze w świeżo wydanym *Kwart. hist.* Stanisław Krzyżanowski. Pozwolę sobie w tej mierze dać małe wyjaśnienie. Kiedy zabierałem się do pisania dla *Przeglądu Powszechnego*, starałem się najprzód o zyskanie pewności co do lekcyi rękopisów. Z powodu dłuższego niedomagania mogłem w tej sprawie tyle tylko zrobić: zwróciłem się z prośbą do wy-

dawcy Galla prof. L. Finkla o stwierdzenie, jak jest pisane w ręk. Zamoyskich *christianos*. Na to otrzymałem odpowiedź taką: »w christianos końcowe nos n a p e w n o s k r ó c o n e m n i e j e s t. Christianum ma odpis z XV wieku Sędziwoja Czechla. Równocześnie dostałem od kustosza Muzeum XX. Czartoryskich p. B. Biskupskiego wierne odbicie ustępu Galla z rękop. Sędziwoja, widziałem więc lekcyę *xpc iu xm*, ale wobec zapewnienia prof. Finkla, jakoby ręk. XIV w. miał rzeczywiście »christianus in christianos«, nie kładłem na nią wagi, sądząc, że jest niedokładną lub błędną reprodukcyą. Panowie, z których uprzejmości korzystałem, nie wezmą mi za złe powyższego komunikatu. Wydobycie na jaw poprawnego tekstu (christus in christum) bynajmniej nie przechyla szali na stronę prof. Wojciechowskiego. Zachowanie się biskupa, nazwane traditio (traditor), uważa za »grzech« Bolesław Śmiały, a opinię jego reprezentuje Gallus, jako zwolennik króla. Gdyby chodziło o zdradę, przeniewierstwo polityczne, kronikarz nasz podług przestrzeganego gdzieindziej zwyczaju dodałby do traditio jakieś bliższe określenie. Takim zacieśniającym, szczegółowym terminem nie może być wyraz peccatum, bo on sam w sobie zawiera pojęcie zbyt ogólne. Dla arbitralnego Bolesława każde słowo lub wystąpienie biskupa, choćby najsłuszniejsze, ale niepożądane, musiało być »grzechem« (przekroczeniem). Twierdzenie Galla: non debuit christus in christum »peccatum« quodlibet corporaliter vindicare — znaczy: pomazaniec nie powinien był karać cieleśnie pomazańca za »grzech« choćby największy, t. j. choćby ten pomazaniec popełnił zdaniem króla największy »grzech«.

Adam Miodoński.

I.

W najnowszym *Kwartalniku histor.* (XXIV, str. 1—26) czytamy odpowiedź prof. Tadeusza Wojciechowskiego na wywołaną jego książką »Szkice historyczne« dyskusyę, pomieszczoną w zeszłorocznych tomach *Przeglądu Powszechnego* i zbiorowo potem wydaną p. t.: »W sprawie św. Stanisława«. Rezultat dysku-

syi był co do »faktum biskupa« zgodny. Filologowie i historycy zabierający głos w omówieniu hipotezy prof. W., odrzucili ją, jako niemającą realnego oparcia źródłowego. Przypominamy, że prof. W. twierdził, że św. Stanisław dopuścił się zdrady i że ta zdrada polegała na poparciu Władysława Hermana przeciwko Bolesławowi Śmiałemu.

O jakąś zdradę pomawiał św. Stanisława Gallus, najstarszy kronikarz Polski, a wyraz jego z d r a d a = *traditio*, służył prof. Wojciechowskiemu za jedyny argument w »Szkicach«, że św. Stanisław jej się dopuścił. I w »Odpowiedzi« nie przytacza nam, prócz wspomnianego ustępu Galla, żadnego innego źródła popierającego twierdzenie, w tak ważnej sprawie wypowiedziane. Sam przyznaje, że powtarza tylko dawniejsze wywody w sprawie zdrady, t. j. rzekomego buntu przeciwko Bolesławowi Śmiałemu przez brata młodszego Władysława Hermana podniesionego i w sprawie udziału, jaki w tym rzekomym buncie miał mieć św. Stanisław. Chociaż świadectwo Kroniki Galla (I, c. 27 i 28) i teraz jest jedynem, którem popiera swoje twierdzenie, w niczem nie odstępuje od niego, a raczej tem mocniej przy niem stoi, o ile że lekcya Galla (I, 27) *christianus in christianos*, jak czytali wydawcy, i na której przeciwnicy hipotezy część swych zarzutów formowali, nie utrzymała się. Ponieważ z wyjaśnienia prof. W. nie ulega wątpieniu, że Gallus wyraził się: iż pomazaniec na pomazańcu *(christus in christo)* t. j. Bolesław na św. Stanisławie, nie powinien był jakiegokolwiek grzechu cieleśnie karać, przeto upadają wszystkie zarzuty, na podstawie fałszywego tekstu zbudowane i jest pewnem, że Gallus miał tu na myśli biskupa ukaranego przez króla za grzeszną zdradę ucięciem członków.

Jeżeli prof. Wojciechowskiemu tekst Galla, mówiącego o zdradzie biskupa i karze ćwiertowania wystarcza do sformułowania »faktum biskupa« jako nie ulegającego wątpieniu, bo to przecież nie prof. W. ale sam Gallus mówi, to nam przeciwnikom hipotezy wolno nie wierzyć w nieomylność naszego pierwszego kronikarza. Po pierwsze Gallus nie pisze o fakcie sobie współczesnym ale w trzydzieści i kilka lat później; pisze na dworze Pia-

sta, którego poprzednik i przodek (stryj) splamił się krwią biskupa, który to przodek pogrążył królestwo i dom piastowski w nieszczęście, którego w interesie dynastyi należało rehabilitować i te wszystkie względy musiały wpłynąć na sąd przybysza do Polski, zażywającego na dworze Piasta gościnności. Dalej Gallus jest jedynym historykiem mówiącym o grzesznej zdradzie i jakkolwiek czyni biskupowi tak poważny zarzut, ani słowem go nie popiera — tem bardziej przeto należało krytycznie się odnosić do jego twierdzenia.

Sam Gallus w ustępie wspomnianym zwraca uwagę wyrażeniem *longum esset enarrare*, że on tylko prześliznie się tak przez grzech i zdradę biskupa, jak i przez grzeszną i nieroztropną karę króla; jest to *longum esset enarrare* także usprawiedliwieniem ściśliwości, ale historyk rozważając usprawiedliwienie krytycznie musi wysnuć wniosek, że Gallus nie wypowiedział tu istoty rzeczy, że tylko się prześliznął; a już ten wzgląd nakazuje ostrożność wobec jego sądu, nie mówiąc o uważaniu go za nieomylny.

Prof. W. wskazuje i w odpowiedzi na analogie walk juniorów przeciwko seniorom posługując się niemi na poparcie »faktum biskupa«. Ale w sprawie tak ważnej, jaką jest udział biskupa w rzekomej zdradzie, a dodajmy, biskupa wyniesionego przez Kościół na ołtarze, historyk nie może się zadowolnić analogiami; on zapytuje, na jakiej podstawie Gallus to twierdzenie wypowiedział; jaka jest przyczyna »faktu biskupa«, boć przecież byłaby to rzecz niesłychana w dziejach, aby biskupa, który brał udział w zwykłym buncie księcia przeciw panującemu i za to ukarany został śmiercią, Kościół stawiał na ołtarzach! Czytając wyraz Gallusowy *traditio*, musi historyk zapytać o przyczynę faktu; wszakże do opozycyi biskupa musiał dać król powód, że przeciwko niemu biskup wystąpił. Obowiązkiem historyka jest zastanowić się nad wyrazem *traditio* głębiej, aniżeli to prof. W. uczynił, jeżeli chce konstatować »factum biskupa«. Wojciechowski w »Szkicach« str. 340 tłumaczy wyraz jako zdradę główną t. j. zdradę stanu. Wiadomo zaś powszechnie, że taka zdrada jest pojęciem co do strony etycznej bardzo względnem: że uważana dzisiaj za zbro-

dnię, jutro jako cnota jest obwołaną. W odpowiedzi swej uzupełnia p. W. tłumaczenie wyrazu *traditio* na podstawie Galla, podnosząc, że tenże utożsamia tę zdradę z grzechem — ale to przekonanie Galla jest osobiste tego kronikarza, tem łatwiej dającem się usprawiedliwić, że pisał na dworze Piasta, a jako niczem nie poparte, nie może historykowi służyć za argument ostateczny. Jeszcze w czasach przed Gallem inaczej oceniali biskupi polscy rzekomą zdradę biskupa, jeżeli dokonali uroczystej translacyi ciała świętego w 9 lat po śmierci do katedry krakowskiej, aniżeli ją oceniano na dworze piastowskim. Tak samo z Kadłubka dowiadujemy się dowodnie, że w jego czasach rzekomą zdradę biskupa nie oceniano jako *peccatum*, lecz jako *summa virtus*. Historyk, idący do przyczyn faktów, nie może odrzucać późniejszego źródła, zwłaszcza gdy ono dla powagi swej, dla możności dokładniejszych informacyi, dla miejsca samego posiadającego żywą tradycyę faktu, jest tak ważnem, że pominiętem być nie może. Wszakże Kadłubek, piszący o trzy pokolenia później, był biskupem krakowskim, jako taki mógł dokładniej znać biografię św. Stanisława, swego poprzednika, aniżeli przybysz, obcokrajowiec, zależny od dworu, któremu materyał do kroniki podawały strony interesowane, dworskie. Kadłubek zna Galla, zna ową *traditio*, którą Gallus obciążył pamięć świętego, ale on podobnie jak owi biskupi w dziewięć lat po śmierci świętego uważa ową zdradę stanu za najwyższą cnotę. Gallus był historykiem dworskim, liczącym się z rozmaitymi względami, wypowiedział sąd osobisty, podsunięty mu przez sfery dworskie bez najmniejszego ugruntowania. Kadłubek nie miał względów, którymi się Gallus kierował, podaje sąd umotywowany, podaje przyczynę faktu, której braknie u Galla. Czyż dlatego należy odrzucić sąd Kadłubka a przyjąć Gallusowy i idąc za prof. Wojciechowskim mówić o »rzekomo grzesznej zdradzie biskupa«?

II.

I w drugiej części odpowiedzi prof. W. niema właściwie nic innego nad to, co w »Szkicach« powiedział w sprawie rzekomego udziału biskupa w buncie Hermana. Dopełnia tylko sposób do-

wodzenia, usiłując za G. Saengerem poprawiać rzekomo zły tekst Galla, na którą jednak konjekturę, lubo ją prześwietną prof. W. nazywa, nie można się zgodzić.

Podobnie jak w pierwszej części odpowiedzi zgodnie z »Szkicami« wystarcza p. W. za dowód zdrady grzesznej wyraz *traditor* i *peccatum*, tak i w tej drugiej części wystarcza autorowi ustęp Galla o przyjęciu Bolesława Śmiałego przez Władysława Węgierskiego, a właściwie jedno zdanie tego ustępu, zą dowód rzekomego udziału w rzekomym buncie.

Przypominamy, że w ustępie, w którym Gallus mówi o trudnem stanowisku Władysława Węgierskiego wobec odwiedzin Bolesława wygnańca z Polski, wyczytuje p. W. przy pomocy konjektury, że ta wizyta wygnańca na Węgrzech sprawiła Władysławowi przykrość, bolał bowiem, że stał mu się wrogiem Władysław Herman, sprawca wygnania Bolesławowego. Na pierwszy rzut dostrzegamy, że niema związku logicznego pomiędzy takim tekstem a tem, co jest podmiotem opowiadania Galla. Żeby jednak przypuścić nawet taki mizerny co do logiki wykład ustępu, potrzeba uciec się do pomocy konjektury i wyraz *deferre* = *honorem referre* czytać *de fratre*.

Zauważyć należy przy ocenie konjektury, że do niej ucieka się krytyka tylko wtedy, gdy tekst jest zgoła niezrozumiały, tak że z nim niczego już począć nie można. Tymczasem ta konieczność z tekstem Galla nie zachodzi, mianowicie co do wyrazu *deferre*. Gramatycznie koślawo ale sens jest dobry, w związku z poprzedniem i następnem zaraz zdaniem będący. Natomiast wykłada prof. W., że w ustępie tym mowa o Władysławie Hermanie a co za tem idzie i konjektury proponowanej przez Saengera *de fratre*, przyjąć nie można z następujących powodów: najprzód brakowałoby zaimkowego określenia na oznaczenie o czyim to bracie mowa, powtóre, co ważniejsza, o Władysławie Hermanie Gallus wyraża się zawsze *dux* — tutaj w miejscu, w którem po raz pierwszy miałby użyć imienia Hermana, tem bardziej brakowałoby określenia *dux;* po trzecie, wyraz *Vladislao* nie może się odnosić do Władysława Hermana z tego powodu, że gdy w następującym ustępie (c. 29) Gallus mówi o Mieszku III wspominając

przytem imię Hermana po raz pierwszy, czyni to określając godność i stosunek familijny nowo występującej w jego kronice osobistości, gdy mówi *patruo suo Vladislao duci.* Wkońcu trudno przypuścić, żeby *Vladislao* mogło oznaczać Hermana, wobec następującego zaraz zdania: *Non cum recipit* — a przecież w zdaniu tem mowa jest o przyjęciu Bolesława a nie o przyjęciu Hermana. Także i ze względu na związek logiczny myśli nie można czytać *de fratre* zamiast *deferre,* gdyż właśnie w tem następującem zdaniu: *Non cum recipit,* jest bliższe wyjaśnienie owego *dolet* (honorem referre =) *referre.* Mniejsza o to, że w »Szkicach« czytał p. W. *deferre* wykładając wyraz ten mylnie, wybaczyć, w odpowiedzi zaś idzie za Saengerem i czyta *de fratre* a przecież rezultat jeden i ten sam i to do tego stopnia, że p. W. tylko dosłownie przywodzi z »Szkiców«, jaki to nowy fakt został tu odkryty (str. 23), — historyk musi wątpić w to odkrycie, uskutecznione na podstawie złego zrozumienia Galla. Bo jeżeli wszystkie rękopisy mają *deferre* a ten wyraz ma tu swoje głębokie znaczenie i jest przedmiotem całego następnego opowiadania a powiedzmy raczej całego ustępu, to już dlatego samego nie wolno jest historykowi poprawiać tekstu pierwowzoru. W całym tym następnym ustępie niema ani wzmianki o Władysławie Hermanie, natomiast na początku ustępu jest wyjaśnienie tego podwójnego uczucia u c i e c h y i b o l e ś c i z powodu przyjazdu dawnego p r z y j a c i e l a — a zarazem i n i e p r z y j a c i e l a, gdyż wyklęty chociażby był królem i cesarzem nawet, jest nieprzyjacielem każdego wiernego, obcowanie z nim ściąga cenzury duchowne. Doznaje też przyjęcia takiego dumny wygnaniec, że nie pozostał na dworze swego pupila. Gallus jest tu w zgodzie z kanonami, z opinią wieku, tekst jego nie wymaga koniecznie podpórek w konjekturach a tak i druga część dowodu prof. W. jest tylko hipotezą bez należytego naukowego poparcia, której nauka przyjąć nie może [1].

[1] Raczejby przypuścić można, chcąc koniecznie już jakąś konjekturę uczynić, że wyraz Vladislao należy czytać Boleslao. Wiem, że prof. W. zawoła: broń Boże, nie tykać tego wyrazu! Ale proponujący poprawkę — już dawno to uczyniono — mógłby się powołać na fakt, że rzeczywiście Gallus

Przypuśćmy, że hipoteza p. Wojciechowskiego, co do rzekomego buntu, jest prawdziwą — a dostrzeżemy, że ona zamiast objaśnić fakta, jako w niezgodzie z nimi będąca, zaciemnia je i stawi nam przed oczy szereg zagadnień, nie dających się objaśnić. Głowa buntu, Władysław Herman, działający na korzyść cesarza Henryka IV, w nagrodę poparcia doczekał się, że niebawem, bo w 1085 r., cesarz nadał koronę polską Wratysławowi Czeskiemu? (Prof. W. tłumaczy to nadanie jako nadanie tylko Krakowa, ale twierdzenie jego nie jest zgodne z tytułem, nadanym Wratysławowi przez samego Władysława Hermana w liście do antypapy Klemensa III. M. Pol. I. str. 375). Musimy też zapytać, dlaczegoż zwycięsca takiego despotycznego i potężnego monarchy, jakim był Bolesław Śmiały, poparty przez biskupa, przez cesarza, zaledwie się czuje być księciem polskim — Gallus stale nazywa brata króla i następcę na królewskim tronie *dux* a i Władysław Herman zawsze się tylko *dux* mianuje. Wszakże strącenie despotów przygotowuje tem pewniejsze despotyczne rządy dla tych despotów, którzy ich strącili — a tu zwycięzca takiego Bolesława i następca na tronie królewskim jest marnym księciem. W Krakowie 1088 r. panuje Mieszek III, według p. W., a w tym roku odbywa się uroczysta translacya ciała świętego do katedry; — jakże, zapytamy, mógłby się zgodzić książę na tę uroczystość, będącą wyrazem czci dla zmarłego, jeżeliby ten zmarły popełnił zdradę wobec ojca i przez udział w buncie Hermanowym spowodował upadek ojca?

Świetne hipotezy, jeżeli nie mają gruntu realnego, nie tylko że nie objaśniają, ale zaciemniają historyę, i zamiast pożytku, szkodę przynoszą nauce. Ujemną ich stroną jest to, że autorowie

---

na innem miejscu (l. II, c. 19 sub fine) napisał *Boleslao regnante*, jak to wszystkie rękopisy mają, a czytać należy *Vladislao regnante:* to słusznie zauważyli wydawcy. Ale i tej poprawki — Vladislao na Boleslao — tekst nie wymaga, a jest zrozumiały, chociaż zbudowany nieprawidłowo gramatycznie. Zamiast zaimka powtarza Gallus subiectum w dativie; facto inimico jest ablativus absol. A tak czy damy konjekturę czy jej nie damy — rzecz jest jasna, że Władysław Węgierski boleje także z powodu przyjazdu Bolesława, bo musi uczcić tego, który stał się mu wrogiem. Następne zdanie jak najściślej łączy się treścią swą z tym wykładem.

ich w czambuł potępiają wszystkie źródła, jakiekolwiek tylko przeciwko ich hipotezie przemawiają. Prof. W. z uporem utrzymuje, że czego niema w Gallu i to nb. w tem rozumieniu, jak on rzecz wyłożył, to nie jest już prawdą i nie dopuszcza do głosu Kadłubka, Vitae, Długosza, o których twierdzi, że przekręcają Galla. Zasada taka, że czego niema u Galla, to niema żadnej wartości ze względu na rzekomo grzeszną zdradę i urojony bunt biskupa, musiałaby zgubne pociągnąć w nauce skutki. Mielibyśmy niczem nie poparte hipotezy zamiast historyi. A przecież ci pogardzani przez p. W. autorowie prócz Galla mieli inne źródła, których Gallus nie miał lub które z rozmysłu pominął. Przy pomocy tych pogardzanych autorów uzyskujemy odpowiedź na wiele ważnych pytań, na które Gallus nie daje odpowiedzi. Cenzury duchowne, rzucone na króla przez biskupa krakowskiego, interdykt ciążący na Polsce, zakaz papieski konsekrowania Hermana, translacya ciała świętego i t. p. o tem wszystkiem niema nawet mowy u Galla, a przecież są to wszystko fakta niedające się zaprzeczyć a pozwalające na wniosek, że musiało zajść zabójstwo biskupa przez mszczącego się króla, zabójstwo tłumaczące nam utratę tytułu królestwa w Polsce i ogromnego zamieszania w niej i upadku. Było wiele buntów juniorów przeciwko seniorom za Piastów, a przecież żaden nie pociągnął za sobą tych skutków, tego zamieszania, jakie zaszło po śmierci męczeńskiej świętego Stanisława. Świętości biskupa żaden z historyków z Galla dowodzić nie będzie, ale do krytyki Galla a więc owej »grzesznej zdrady«, przypisywanej przez Galla biskupowi, musi historyk pociągnąć do kontroli źródła mówiące inaczej, chociażby i jak mu one były nienawistne. Inaczej skazani bylibyśmy na hipotezy, których wartość oceniliśmy powyżej. Jedną z nich, zbogacił nas świeżo w odpowiedzi swej prof. W. mianowicie o przejęciu przez Galla słów *Christus in christum* z bulli papieskiej (str. 18) i zginęła marnie hipoteza ta zaraz po swych narodzinach — wobec wyjaśnienia prof. St. Krzyżanowskiego o parę stronic niżej (str. 34) pomieszczonego, że pomazańcem u Grzegorza VII jest tylko kapłan, nigdy król. O innej znowu hipotezie mówi sam p. W. w »Szkicach« I, 327 temi słowy: »Jest to kon-

strukcya, oparta na samych niewiadomych, tylko że nieźle zgadza się z innymi znanymi faktami tamtego czasu. Czytając te hipotezy i wyznania autora o nich, nie można nie wyrazić żalu, że najgłębiej znający czasy piastowskie historyk polski, najszerzej patrzący na wypadki z owych czasów, znający źródła i bogaty w pomysły konstrukcyjne, przenosi trud daremny konstruowania opartego na samych niewiadomych, nad liczenie się ze źródłami znanymi, przechowującymi życia tradycyę miejscową a i czasem niezbyt odległymi od epoki opisywanej, a pisanymi przez mężów, którzy stali na świeczniku Polski, jako jej książęta duchowni. Autor przenosi konstrukcye na niewiadomych samych oparte nad liczenie się z powagą Kościoła, który Świętego wyniósł na ołtarze. A przecież kierując się samym rozumem powinien był uwzględnić powagę Kościoła, boć szło tu o charakter męża, który w tym Kościele tak wysokie zajął miejsce. Niepodobna przypuścić, żeby tylu mędrców w czasach piastowskich, kwiat oświaty i cywilizacyi polskiej, miało się pomylić, co bardziej, żeby Kościół powszechny miał popełnić omyłkę co do charakteru Świętego męża. Przecież w Rzymie dokładnie znanem być musiały i ów *traditor* i owe *pecatum* Gallusowe. Samo głębsze zastanowienie się nad powagą wysoko cenionej przez wszystkich historyków instytucyi takiej jak Kościół, o której wielki historyograf Anglii, Macaulay, z najwyższą czcią mówi, powinno było nasunąć myśl przy czytaniu Galla, że są dzieła i czyny przez maluczkich kronikarzy i historyków mianem *traditio* piętnowane, które Kościół wielbić każe i uznaje jako najwyższą cnotę, a świat cały cześć im oddaje.

Antoni Prohaska.

TRZECHSETNY JUBILEUSZ BONIFRATRÓW W KRAKOWIE.

Jeden z piękniejszych pomników w Krakowie stanął niedawno: nowy szpital przy konwencie Bonifratrów nad Wisłą. Pomnik to piękniejszy od wielu, ale ze wszystkich może najbardziej chwiejny.

Nie chwieje się sam budynek ceglany: stoi silnie na podwalinie z kamieni. Ale nie widok murów świeżych przemawia do serca polskiego; do głębi jego sięga świadectwo żywej pamięci o wypadku z dziejów naszych przed trzystu latami. Na straży pięknego urywku z dziejów Polski, stanął nad Wisłą ten pomnik, aby ochronić je przed niepamięcią. I to właśnie, że szpital stanął jako myśl cenna i pomnik z lat chwały, to właśnie z silnego kamienia dało mu podwalinę, to z twardego kruszcu wykuło na nim postacie wiekopomne. Na oko nie wykazuje ta budowla nic w sobie trwałego, nic zapewnionego na jutro. Budowa szpitala cała budzi obawę, czy nie marzyciel to jakiś uronił ją z wiotkich snów... przecie potęga ducha w niej panuje i bez sił uchwytnych objawia moc niewyczerpaną.

Pomnik ten wyrywa z niepamięci stronnicę dziejów, zwłaszcza krakowskich, zapisaną wypadkami, których właśnie trzechsetna upływa rocznica.

Zygmunt trzeci zapadł ciężko na zdrowiu. Nie mógł dnia 24 kwietnia 1608 r. o własnych siłach przybyć na konwokacyę senatorów. Blady i wyschły kazał zanieść się w lektyce na narady, które niecierpiały zwłoki: miały rozstrzygnąć sprawę rokoszu.

Kraj, rozbity na zbrojne obozy Radziwiłła, Zebrzydowskiego i Chodkiewicza, przeżywał najgorętsze chwile wojny domowej. Sprawcy zamętu grozili coraz nowszymi zamysłami wobec przewidywanej śmierci króla ledwo cierpianego. Długi ciąg klęsk przy bezkrólewiu wisiał nad społeczeństwem.

Kraków sprzyjał królowi, ale nie cały. Przy szlachcie okolicznej także zapalczywsi Krakowianie pod różnymi chorągwiami obozowali, — póki nie usłyszeli o chorobie królewskiej. Na wieść o niej odpasywali broń, wyostrzoną do walk bratobójczych, stanęli pod Wawelem, weszli w koło radnych, rzekli, że z chorym nie walczą. Nie myślał żaden z nich, czy pan Zebrzydowski lepszy, czy pan Chodkiewicz: myśleli, że najlepszy dla Polski król zdrowy, aby nie spadło bezkrólewie, nim kraj odzyszcze równowagę i spokój. Wiedzieli, że ojczyzna ich skarbem najdroższym na ziemi. Niechby i »nieme dyablę« sprawowało w niej rządy, byle niewczesną śmiercią nie pchnęło jej w przepaść. Już wszyscy choremu Zygmuntowi równie wierni Krakowianie z najżywszą trwogą śledzili przebieg jego »febry«; sięgnęli do kieszeń i wyprawili posłów daleko do sławnych w Europie lekarzy: niech ci każą sobie drogę dukatami wysypać, byle jechali dźwignąć króla na nogi, Polskę ocalić.

Na dworze rakuskim znaleźli upragnionego lekarza. Był nim członek świeżo założonego zakonu Jana Bożego, Brat Gabriel, a na świecie hrabia Ferrara, lekarz nadworny króla niemieckiego Ferdynanda.

Skąd hrabia został lekarzem?

Dnia 8 marca 1550 r. zmarł na klęczkach z krzyżem w ręku Jan Ciudad, zwany Bożym, jeden z odnowicieli miłosierdzia chrześcijańskiego względem chorych.

Przed Janem i po nim chrześcijańska opieka nad chorymi natchnęła wielu sług Bożych myślą o bezpłatnych lecznicach dla biednych; z tej myśli powstawały różne zakony męskie i żeńskie; żaden z męskich zakonów nie przetrwał różnych klęsk i przygód z rozwojem tak pomyślnym, jak dzieło Jana Bożego, Bonifratrzy.

Zakon ich potwierdzony w Rzymie w 1572 r. przyjął na siebie obowiązki na polu tak wówczas zaniedbanem i wywiązywał

się z nich tak wzorowo, że rósł z siłą nad podziw żywotną. W ćwierć wieku, odkąd został zatwierdzonym, liczył już kilkadziesiąt lecznic i setki członków. I rody wysokie i świat naukowy dostarczał Janowi Bożemu naśladowców, poświęconych miłosierdziu i zasłużonych w rozwoju umiejętnego lecznictwa.

Bonifratrom zawdzięcza nauka lekarska pierwszą myśl o księgach ze spisem chorych, wykazem ich chorób i szczegółami o przebiegu ich i wyniku zabiegów lekarskich. Przed Bonifratrami nie pomyślało lecznictwo europejskie, z jakim pożytkiem dla nauki można badać drobiazgowo rozwój każdej choroby i skutki środków lekarskich.

Również narkozę zawdzięcza Bonifratrom nauka lekarska.

W półtora wieku po śmierci Jana Bożego naśladowcy jego liczyli już we wszystkich częściach świata ośmnaście prowincyi zakonnych na posłudze w kilkuset szpitalach.

Wśród wielu mężów znacznych stanowiskiem na świecie i nauką zasłynął wspomniany lekarz nadworny króla Ferdynanda. Uproszony przez Polaków, pospiesznie zjechał do Krakowa, umiejętnie rozeznał rodzaj »febry« królewskiej, zastosował środki skuteczne. Król uleczony niebawem ruszył na czele wyprawy pod Smoleńsk.

Uradowani Krakowianie żywo zaczęli radzić, czem wynagrodzą Bonifratrom ich zasługę w zażegnanem niebezpieczeństwie ojczyzny. Przystali na myśl, którą podjął się wykonać jeden z najmajętniejszych mieszkańców Krakowa, świeżo przyjęty do indygenatu polskiego, potomek włoskiej szlachty, Waleryan Wilczogórski, herbu Montelupi. Ten świeżo zwany Polakiem, ale od lat szczerze zżyty z narodem, wyznawca zasad ściśle monarchicznych, raził szlachtę obcym obyczajem i poglądem na władzę królewską, niekonstytucyjnym oczywiście poglądem. Miał nieprzyjaciół. Ale wszystkich znalazł ich przy sobie, kiedy radził o zdrowiu królewskiem, o dowodzie serca wdzięcznego dla Bonifratrów. Uzyskał zgodną uchwałę Krakowian, aby Bogu na wieczną dziękę założyć konwent Bonifratrom i szpital. Przeznaczył na to dom swój przy ulicy św. Jana i doręczył zakonowi urzędowy akt darowizny, podpisany dnia 31 grudnia 1609 r. Mieszczanie hojną rękę wy-

ciągnęli do dzieła i Bonifratrzy dokupili przyległy dom, zabrali się do budowy kościoła i szpitala na dwanaście łóżek i uzyskali od władzy duchownej w 1610 r. życzliwą zgodę z błogosławieństwem na to pierwsze ich w Polsce pole do miłosiernej pracy.

Zapłonęło w Krakowie ognisko miłości dobroczynnej, z którego młody zakon żarliwie wybiegał w okolice coraz dalsze z posługą dla chorych, rósł w łasce u wdzięcznego narodu i dostawał od panów polskich i litewskich coraz nowe szpitale. Powstała z nich prowincya najliczniejsza w całym zakonie: dostała od Zebrzydowskiego dom r. 1611 w Zebrzydowicach, od Firleja r. 1625 w Łowiczu, od Wojny r. 1635 w Wilnie, od Tyszki r. 1639 w Łucku, od Teszmera r. 1646 w Gdańsku, od Świrskiego r. 1646 w Lublinie, od Sapiehy r. 1649 w Nowogródku, od Świrskiego r. 1649 w Krasnymstawie, przeniesiony do Zamościa, od Leszczyńskiego r. 1650 w Warszawie, od Lubomirskiego r. 1650 na Spiżu, od Sanguszki r. 1658 w Rakowie, od Sobieskiego (króla) r. 1659 we Lwowie, od Mniszcha r. 1665 w Przemyślu, od Wańkowicza r. 1700 w Mińsku, od Pamcerzyńskiego r. 1728 w Grodnie, od Sapiehy r. 1785 we Wysokiem Litewskim.

Nie tylko liczbą szpitali rosła prowincya zakonna: także cnotą słynęła między innymi daleko w Europie i dostarczała sąsiednim krajom wybitnych członków na przełożonych domu albo prowincyi, np. brata Bernarda Polaka na rakuskiego prowincyała od r. 1683 do 1685, następnie na przełożonego w Pradze do r. 1688. Polscy też Bonifratrzy wybierani na jenerałów zakonu w jego dziejach zasłużyli na zaszczytną wzmiankę za rządy przedsiębiorcze.

W kraju niejeden Bonifrater polski zostawił po śmierci sławę świętego, a inni, — w liczbie ośmnastu — poginęli śmiercią, której w kraju katolickim mogli nie oczekiwać, kiedy wstępowali do zakonu. Podczas najazdu inowierców i odszczepieńców w r. 1656 zmuszani do odstępstwa od wiary ponieśli śmierć w katuszach.

I przy posłudze rannych w obozach padali często. Dla niezwykłej ochoty do pracy wzywani licznie na każdą wyprawę wojenną, zwłaszcza za Jana III, umierali często z wysiłku w lazaretach, albo podczas zarazy.

I księża i laicy pracowali także piórem: wydawali bądź przekłady z obcych języków, jak ks. Ciosnowski, bądź własne dzieła, jak płodny pisarz Perzyna; ten zostawił wzorowy przekład reguły, ustaw i przepisów apostolskich dla zakonów, a nadto prace ascetyczne i wiele prac lekarskich, z których jedna, — o zdrowotnym trybie żywota, — doczekała się czterech wydań.

Nadto znajdujemy w dziejach Bonifratrów rakuskich wzmiankę, godną pamięci, o duchu, jaki wogóle ożywiał prowincyę zakonu polsko-litewską. Z wielką w tem dziele niemieckiem pochwałą mówi były prowincyał zakonu, że »konwenty polskie tworzyły jedną z prowincyi najpobożniejszych, a czynną w stopniu godnym podziwu. Zachwycać się możemy bohaterstwem, z jakiem bracia pracowali dla Boga i bliźnich, i odczuwać głęboką cześć dla całego narodu polskiego, który przez swoich synów w zakonie świętego Jana Bożego okazał się w niezwykłej mierze szlachetnym«.

Pochwała ta, ogólnie wyrażona, nie wyklucza poszczególnych przestępstw. Te zdarzały się, a jednak wraz z przykładnemi razem karami, za winy przyjmowanemi i odprawianemi sumiennie, tworzy obraz wcale nieujemny aż do czasów saskich. Nieszczęsne te rządy, jak na cały naród wpływały, tak i na prowincyę Bonifratrów ściągnęły ciężkie przeprawy.

Dobitnie to widać z sprawozdań wpisywanych do księgi kapituł, np. w konwencie warszawskim.

Jaskrawo uderza tu najprzód różnica nazwisk: prawie wyłącznie Polaków wymieniają spisy Bonifratrów przed Sasami; następnie maleje liczba nazwisk polskich, spada na połowę i szybko schodzi za saskich czasów na część nikłą wśród coraz znaczniejszej liczby nazwisk cudzoziemskich. A polskie nazwiska z czasów przedsaskich okazują, która to warstwa narodu najchętniej zasilała Zakon Miłosierdzia członkami: czytamy po uchwałach kapituł najczęściej podpisy rodzin szlacheckich, mało-mieszczańskich czy wiejskich: więc kładą ręką ciężką, widocznie spracowaną, podpisy Bracia Antoniewicz, Balzgiewicz, Bardziński, Bazarzewski, Boguszewski, Buczkowski, Chrzanowski, Dąbrowski, Dobrzyński, Dodwiński, Dowczański, Etganowski, Fliszewicz, Frankowicz, Ga-

liński, Gałecki, Gawroński, Gazdrowski, Gąsiorowski, Granicki, Grudziński, Hozryński, Jarocki, Jasiński, Jaszczołd, Kalinkiewicz, Kalinowski, Kamieński, Kąkolewski, Kątkowski, Klunicz, Kolęda, Kolberski, Kowalewski, Kozłowski, Kościuszko, Laski, Lewiński, Milewski, Miszkiewicz, Mroczek, Nałęcz, Niczkowski, Olszewski, Pałubiński, Piskorzewski, Plewiński, Podlaszewski, Polakowski, Pruchnicki, Rafalski, Romanowicz, Szarnowski, Szostakowski, Szymanczewski, Tomicki, Trojanowski, Tulmonowicz, Walicki, Wesołowski, Wnorowski, Zaborowski, Zapolski, Zbożyński, Żydlewicz.

Na tych miejsce wchodzą do zakonu za Sasów: Braun, Dittlof, Dojva, Gotther, Gottlos, Gottwald, Grundt, Holtz, Hoetzel, Heinrich, Kayzer, Littler, Lorentz, Roth, Rotter, Stoer, Schatz, Schoener, Schwidekopf, Ziegelwanger i tym podobni.

Wraz z napływem obcych nazwisk wykazują kapitały niespodzianą zmianę nastroju duchowego. Poprzednio wytykane przestępstwa wyglądają raczej na wybryki czy swawolę niż na właściwe występki, z jakimi zakon musi już walczyć za Sasów. Więc dawniej wychodziło przy kapitule na jaw, że niektórzy »za oczyma, o tem, czego potrzebowali, a na kongregacyi nie mówili«, albo spaźniali się z powrotem do domu na wieczór i za to nie dostawali wieczerzy, albo że brat Miszkiewicz zbyt dbał o swoją bieliznę, bo dawał ją prać osobno, a nie ze wszystkimi. I na gorsze wybryki puszczał się w biegu lat ten i ów, gotów następnie poddać się karze pamiętnej. Więc brat kucharz, Gabriel Jaszczołd, z Warszawy do Krakowa przeniesiony na wiosnę, jechał rzemiennym dyszlem po różnych drogach i przerażony spostrzegł, że już lato nadchodzi, a jego w Krakowie nie widać. Bezradny z przestrachu, zwlekał z przyjazdem do Krakowa całe lato i jesień, ba, — cały rok myślał, jak stanie przed przełożonym, — aż na drugą jesień spostrzegł przed sobą braci Graniekiego i Gałeckiego, i za ich namową wrócił do Warszawy, padł na kolana przed zgromadzonymi braćmi w kapitularzu i gotów na wszelkie kary, byle zostać w zakonie, przyjął wyrok surowy: dał sobie skuć nogi w kajdany, za włóczęgę po świecie, i odziać się w siermięgę zamiast habitu. Po kilku tygodniach, na Nowy Rok, »za inicyatywą Ojców i Braci kazało się z tego Hultaia Gabriela zdiąć

z nóg kaydany, iednak niechay chodzi w siermiędzy do dalszey dyspozycyi«. Doczekał się tej dyspozycyi ledwo w maju: uwolniony od siermięgi, musiał przecie do jakiejś podlejszej roboty przy szpitalu stanąć, bo już niegodnym okazał się kucharstwa, kiedy na niem przewinił.

Ale chyba ten Gabriel z owych Jaszczołdów pochodził, którzy w jednej z wojen polskich dokazywali dziwnych czynów odwagi. Gabriel ledwo przez rok nie dokazał nic pamiętnego, ale nakoniec wybuchnął: potargał jakiś obraz. Znowu upokorzył się: za karę przez kilka tygodni biczował się i potem leżał krzyżem po siedm godzin przed obrazem Matki Boskiej. Jednak krewki nie ustatkował się ani po kajdanach, ani po biczach: czegoś innego potrzebował. Zajechał na nową przygodę i uznany z pogardą »skazicielem zakonnym«, stracił prawo do udziału w kapitule na dwa miesiące. Jemu tej dopiero kary trzeba było do poprawy. Dotknięty pogardą, widocznie odczuł ją tak głęboko, że pan brat gotów dźwigać kajdany albo biczować się i krzyżem legać, nie zniósł ujmy w prawach szlacheckich do wolnego głosu, choć nie na sejmiku świeckim, przecie na kapitule zakonnej: pozbawiony głosu uznał potrzebę poprawy: odtąd już nazwisko jego nie zjawia się między napominanymi na kapitule, tylko między podpisami obecnych.

Do zakonnych zwyczajów u Bonifratrów wchodziła żyłka sejmikowiczów w sposób, który dla nas stanowi pamiątkę nie bez pewnego wdzięku. Przełożony był w konwencie podobnie jak na tronie król polski: pierwszym między równymi: więc nie przełożony sam, ale kapituła cała, niby sejmik, rozstrzygała o mnóstwie potrzeb, które nazwalibyśmy dziś drobiazgami. Nie przeora, ale całą kapitułę prosił zakonnik o jaką część nową ubrania: dopiero wszyscy bracia zebrani rozstrzygali głosami swoimi, czy w duchu ubóstwa można pozwolić któremu z braci na nowe obuwie albo cieplejszy kożuch. O ubóstwie ich świadczy i ten szczegół, że sejmik kapitulny przeznaczał bardzo szczupłe strawne na drogę braci w podróży, np. z Warszawy do Krakowa albo do Gdańska zaopatrywali w cztery złote polskie, do Lublina z Warszawy dawali pięć tynfów. A nawet na tyle nie zawsze starczyły ich za-

pasy: na konieczną podróż wypadało zastawiać srebra kościelne. Choremu bratu pozwalali na pielgrzymkę do miejsca cudownego, ale bez wzmianki o strawnem: chyba szedł o żebranym chlebie...

Saskie czasy pozmieniały mnóstwo zwyczajów, a natomiast rozpowszechniły w narodzie pijaństwo. I naocznie dostrzegamy coś z tego w kapitulnych księgach. Całe lata poprzednie wspominają o usterkach i wybrykach, milczą o pijaństwie. Aż pierwszy występuje z piętnem tego przestępstwa, — w konwencie już na pół nie polskim, — niejaki Ranek: poddał się jednak pokucie, na którą zdobyć się zdoła człowiek na wskroś skruszony. Winę swoją nie już, według zwyczaju zakonnego, Ojcom i Braciom wypowiedział: wypisał ją własnoręcznie w księdze kapituł... z rzewną pokorą uwiecznił wstyd swój z takiego przestępstwa. Ale tylko na kilka lat odstraszył drugich taką karą przykładną. Saskie czasy dawały się we znaki dobitnie. Nie na całe lata jeden raz zapisuje księga kapitulna przypadek pijaństwa odpokutowanego pokornie, ale co roku kilka razy i coraz częściej przełożony gromi ten występek, jakby już nałogowy. Nadto okazują się inne objawy rozstroju, przypisanego wyraźnemi słowami jednego z przełożonych tej przyczynie, iż dwa odmienne narody w prowincyi nie umieją zgodnie rozumieć ducha zakonnego.

Zakon przestał róść w liczbę i członków i domów za czasów saskich: między rokiem 1700-ym a 1785-ym znalazł tylko Sapiehę założycielem domu w Grodnie. Ale i tę przeprawę ciężką Bonifratrzy przetrwali. Ustąpili Sasi z królestwa; ustały i u Bonifratrów niemieckie czasy z językiem już nawet przez jakiś czas niemieckim w księdze kapituł, i z pijaństwem. Przybywa nazwisk polskich w podpisach: Czarliński, Wilczewski, Wiliński; przybywa nowy dom w Wysokiem Litewskiem. Odzyskują Bonifratrzy dawną sławę i taki wpływ w narodzie, że uchodzą u jego wrogów za żywioł niebezpieczny: tracą jeden po drugim dom, zamknięty albo zabrany, w Nowogródku roku 1774-go, we Lwowie 1786-go, w Przemyślu 1790-go, w Wysokiem 1795-go, w Zamościu 1805-go, w Łowiczu i Gdańsku roku 1807-go, w Grodnie 1810-go. W pożarze, który objął kraj cały, płonęły także przytuliska miłosierdzia Bonifratrów, ale z chlubną teraz dla nich pa-

mięcią w narodzie. Pozostały poniedopalane zręby prowincyi. Między nimi sterczał smutno szpital Bonifratrów w Krakowie.

Dziwna rzecz: w narodzie nawiedzonym karą Bożą nie powstały umysły wielkie cnotą; a nawet znikła pamięć w narodzie, że przodkowie wydawali ze siebie mężów, czczonych na ołtarzu. Dopiero w Warszawie zjawia się w dobie napoleońskiej mąż święty; nie Polak: Czech Dworzak. Bonifratrów dźwignąć mieli także Czesi cnotą niepospolitą. Naród nasz zaległ z wielu sprawami. Klęska bez nazwy w dziejach przeszła nad Rzecząpospolitą zgruchotaną. Nikt nie zabierał się do innej pracy poważnie: każdy myślał tylko o legionach.

A zakony potrzebowały opieki. Śród burzy, która zmiotła wszystko, jak wiele innych pamiątek ginęło bez śladu, tak i zatarła się pamięć o czci Bonifratrów świątobliwych, o całym ich zakonie. Zrębom jego niedogaszonym nie przepuszczały wojny napoleońskie.

Kraków jednak litościwie pielęgnował u siebie żużel ostatni wielkiego ogniska miłości. Nie szczędził wydatków ani nie żałował wysiłków, aby przechować Bonifratrów, jakby na wieki chciał przekazać dowód, że przodkowie z troski o miłą ojczyznę czujnie pielęgnowali króla nie wszystkim miłego. Zamiast pierwotnej siedziby przy ulicy świętego Jana, Bonifratrzy dostali obszerniejszy budynek z rozległym ogrodem po Trynitarzach nad Wisłą.

Kilkanaście lat spokoju po Napoleonie dało narodowi krzepić siły i goić rany najboleśniejsze. I Bonifratrzy krakowscy urządzili się do nowej pracy wraz z innymi konwentami swoimi w Kongresówce: na okrawku dawnej prowincyi rozległej utrzymywali się w duchu zakonnym. Wstrząśnięci znowu w noc listopadową, zaopatrywali rannych rodaków zbyt uczynnie, — jak osądził zwycięzca: zapamiętał sobie zanadto polskie postacie zakonników, czekał ze zemstą na dzień sposobny. Przyszły ponure dnie ze zawieruchą styczniową... zemsta za zbyt polskie serca dosięgła skrawka prowincyi, niedogorzałego przy gromach poprzednich. Siedziby Bonifratrów jedna po drugiej aż do ostatniej w Kongresówce zaległy gruzami. Strzaskana prowincya ocalała w szczątku

już jedynym, od którego była właśnie rozrosła się w Polsce: oparła się na krakowskim konwencie.

Uszedł pogromu samotny szpital nad Wisłą, ale nie budził myśli wesołych. Wystawał z pogorzeliska jak cmentarny posąg: kazał źle wróżyć o sobie. Zakonny dom stracił znamiona właściwe: dawniej przybytek modlitwy i pracy, teraz pozbawiony nagle zwierzchnictwa poważnego, opuszczony bez opieki duchownej, nie krępował się czujną strażą, jakiej doznają domy zakonne jeden od drugiego w rozkwitłej prowincyi. I dla ducha i dla ciała brakło chleba dla zakonników w tym domu: bo krakowski szpital czerpał przed powstaniem dochody z majątków wydartych po powstaniu w Kongresówce. Wyzuty z nich, — biedniał, posępniał, czerniał, zimnym powiewem duchowej pustki szeptał, że niedługo już, a ulegnie doli, która całą prowincyę polską w rumowisko zmieniła.

Ale Kraków nie dał zginąć swojemu pomnikowi miłości dla ojczyzny. Prawda, że sam ledwo zaczął się dźwigać od podwalin, strawiony pożarem, że zaraz już drżał znowu w posadach przy styczniowej burzy, więc nie mógł zaraz pieniężnie wspomódz podupadłego szpitala. ale oglądnął starannie smutne w nim stosunki i wziął je do serca. Gdzie widział teraz martwotę murów zczerniałych, tam pamiętał, co za duch płonął i jak się poświęcał dla Boga ukrytego w bliźnim. Ten przybytek staropolskich cnót najpilniej potrzebował teraz zapewnionej opieki duchownej: więc między pogorzeliskiem krakowskich Bonifratrów a prowincyą ich rakusko-czeską podjęła się krakowska kapituła pośrednictwa; uprosiła nad Dunajem przełożonych, aby podali rękę rozbitkom nad Wisłą i zasilili ich członkami wyrobionymi duchowo. Skazańcy na zagładę, skojarzeni z karną prowincyą, odżyli w towarzystwie mężów wielkiego ducha: dostali zadatek dalszych odrodzin.

W dalszym dopiero ciągu zabiegów krakowskich miał konwent, odrodzony duchowo, także z niedostatku się podnieść, ale nie czekał na poprawę stosunków majątkowych. W pracy ochoczej rozwinął zaraz siłę żywotną.

I jedną z bardzo pięknych stronic żywota zakonnego zaczyna teraz pisać właśnie ów szpital w dostatki nie uposażony,

tylko znów w cnotę bogaty. A pisał tę stronicę długo: przez ćwierć wieku z okładem.

Znają tę stronicę ubogie warstwy Krakowa i opowiadają o niej szczegóły, między którymi zwłaszcza jeden mówi nam wiele.

Dnie spędzone dosłownie w chłodzie i głodzie, noce nieprzespane przy chorych: to jeszcze nie najwymowniejsza zasługa Bonifratrów. Na to gotowi jechali z nad Dunaju i Łaby nad Wisłę; nędzę taką przewidywali ci niemiłosierni dla siebie i trwali w niej chętnie, byle nie dać szpitala zwinąć, nim dla niego doczekają się doli szczęśliwszej.

Z innego względu niespodzianie przykrych chwil doznali; i ten szczegół o ich zasłudze mówi najwięcej.

Byli to przeważnie Czesi.

Nie od razu nas zrozumieli, sami nie zaraz zrozumiani w Krakowie.

W Krakowie wtedy, w niedawno jeszcze wolnej rzeczypospolitej, całe pokolenie starsze czuło się po dawnemu obywatelami zrodzonymi pod swojemi prawami, rządzonymi przez swoich; wielu czuło dotkliwie jarzmo nowych stosunków. Ci spoglądali na Czechów, jako na sprzymierzeńców władzy, bacznej na wszystkie środki, aby nas wynarodowić. Czechom zdany rząd nad polskim konwentem, z Czechami wprowadzona mowa niemiecka nad Wisłę, przy Czechach spotykani na przyjacielskiej rozmowie surowi urzędnicy nowego ustroju: wszystko to ściągało na odnowicieli szpitala objawy niechęci, pogardy, podejrzliwych domysłów o ich tajemnych zamiarach.

Takie to głosy, krzykliwie podnoszone, otoczyły Bonifratrów pustką, przykrą nadspodziewanie. Tylko bieda, przez nich przygarniana dla porady w chorobie i troskliwej opieki, tylko ta błogosławiła Miłosiernych Braci, ale nieśmiałym głosem opowiadała o ich zasłudze: nie przemagała gwaru rozpowszechnionej niechęci.

Wtedy bardzo ciężko Bonifratrom szło; powstało pytanie, czego czekają jeszcze? czyż stanowisko ich nie stracone widocznie? czy nie lepiej wrócić do pracy wydatniejszej w ojczyznie, niż pracować na suchoty w Krakowie — ?

Prowincya zakonna już poważnie rozbierała powyższe pytania, kiedy rok 1892-gi przyniósł zaraźliwe choroby, cholerę i ospę: przez dwa lata śmierć zbierała bogaty łup śród warstw najbiedniejszych: cześć zakonu nie pozwalała w takiej chwili zamykać szpitala. Wtedy wysiłek Braci Miłosierdzia doszedł do szczytu: zdawało się, że dwoją się i troją w pracy, aby tem bohaterstwem zapieczętować swój pobyt w Krakowie i z czystem sumieniem zwinąć szpital, ledwo ustanie zaraza.

Ale właśnie, co ostatnim mogło być kresem ich pobytu, to otworzyło oczy, niewrażliwe dotąd na cichą drogę cnoty wytrwałej. »Takich nam trzeba!« — powiedział Kraków i przypomniał sobie żywo piękną stronicę dawnych dziejów, kiedy sprowadził Bonifratrów do Polski. W ślad przodków zaczął iść.

Więc kwestarz od Bonifratrów zaczął spotykać twarze przychylniejsze i hojniejszych dobrodziejów szpitala. Zakonnicy mogliby lepiej zaspokajać własne potrzeby i nie suchotniczy już żywot wieść, gdyby dla siebie korzystali z datków szczodrzej składanych. Ale nie pomyśleli o sobie.

Nastało dziwne spółzawodnictwo między Bonifratrami a Krakowem: im Kraków obficiej zaopatrywał konwent, tem Bonifratrzy częściej zapominali o swej śpiżarni pustej, więcej przyjmowali chorych do szpitala. Kraków podwoił datki: Bonifratrzy liczbę dwunastu łóżek potroili. Kraków w trójnasób podwyższył zapomogę: Bonifratrzy pięćkrotną liczbę chorych zaopatrywali na sześćdziesięciu łóżkach w roku 1892-m. Kraków o szpitalu na sto łóżek pomyślał: Bonifratrzy z uśmiechem dziękowali i... umilkli... po co zapowiadać, że jak wszędzie, tak w Krakowie do zapewnionej liczby przystawią tyle łóżek, ile napłynie chorych niespodziewanych — ? I tych utrzymają, przywykli sobie od ust odejmować.

Zamyślał Kraków wznieść wspaniały pomnik miłosierdzia? myśl piękna... ale czy nie zawisnąć w powietrzu miał ten pomnik, którego utrzymywać nie zdoła Kraków ubogi? Miłosierni Bracia władają potęgą, która niewidzialnie wzmocni chwiejną budowlę: znają tajemnice modlitwy i pracy.

Bez zwłoki powstał wydział poważnych obywateli Krakowa;

poruszyli dla myśli swojej kraj, uprosili księdza kardynała Puzynę o przewodnictwo, wielu innych biskupów o pomoc, profesora Talowskiego o plan pomnikowej budowli; założyli w 1897-ym r. kamień węgielny nowego szpitala i nie szczędzili długich trudów i zabiegów, aby pokryć poważny wydatek blizko pół miliona koron. Pospieszyła Rada miejska w Krakowie z datkiem 50.000 kor., krakowska Kasa Oszczędności i razem powiaty sąsiednie z datkiem 15.000 koron, kilkanaście zamożnych rodzin z Krakowa składało po cztery tysiące koron jako ustanowę na jedno łóżko w szpitalu, niektórzy ustanawiali po dwa albo trzy łóżka. Profesorzy Wszechnicy Jagiellońskiej i jej ukończeni wychowańcy podjęli się bezpłatnie posługi lekarskiej w szpitalu; prasa krakowska gorliwie podtrzymywała ruch miłosierny w całej okolicy.

Ruch w sercu Polski, pod Wawelem wszczęty, wywołał oddźwięk po kraju. Znowu kilka łóżek przybyło a sejm wyznaczył datek wspaniały: 60.000 koron. Nadto wydział urządził loteryę z czystym dochodem dwudziestu tysięcy, a prowincya rakusko-czeska ze swoich konwentów przysłała zapomogę znaczną: koron czterdzieści tysięcy; nakoniec mniej znaczne zasiłki mieszczan i drobniejsze datki pospólstwa składane szczodrobliwie w ręce kwestarzy, razem z poprzedniemi dorosły do 365.000 koron w ciągu niespełna dziesięciu lat.

Nie czekali już Bonifratrzy, aż składki pokryją nakład na budowę: wznieśli nowy szpital, urządzony według wszelkich przepisów nauki, uroczyście poświęcony i otwarty przed dwoma latami. Ma się rozumieć Miłosierni Bracia znowu prześcignęli miarę obowiązku: zamiast poprzestać na stu łóżkach, utrzymują, wraz z obsadą domową, półtora sta osób. Znowu księga dochodów i rozchodów zapisuje stronice dziwnymi wykazami. Wykazuje 85.000 k. niepokrytego dotąd wydatku na budowę a jako stały zasiłek rocznie wykazuje: krakowską zapomogę Rady miasta i Kasy Oszczędności, nadto dochód z dwu domków wynajętych i kilku akcyi winkulowanych, czyli stałego zasiłku rocznie wykazuje około czternastu tysięcy koron: mniej, niżby wystarczyło na opał przez rok.

Skądże zakład, na długu wzniesiony, czerpie środki, aby dostarczyć wygód dla chorób, których leczy bezpłatnie — ?

Podtrzymuje cały swój byt żebraczy wyłącznie jałmużną. Kraków z dnia na dzień przygodnym datkiem zaopatruje kwestarzy na ten pomnik miłosierdzia, który nie widzi pod sobą podwaliny pewnej, i kiedy przed siebie spogląda, nic zapewnionego na jutro nie widzi.

Za marzycielstwo byłby świat poczytywał przed kilku latami śmiałą myśl, żeby wznieść taki pomnik miłosierdzia, nie zabezpieczony niczem, tylko najzupełniej zdany na Boga opatrznego, na przygodną pamięć w sercach litościwych, na wysiłki modlitwy i pracy synów Jana Bożego.

Ale ten pomnik, chwiejny w swoim bycie od posad, wykazuje w sobie potęgę ducha: zasób sił niewyczerpany. Litościwe serca nie pozastygały poza szpitalem, a w szpitalu panuje ruch ochoczy śród Braci, niestrudzonych dniem bez odpoczynku, nocą bezsenną przy chorym. Długo podpatrywać można niejednego z najzasłużeńszych w zakonie, a nie znaleźć w ustach jego słowa samochwalstwa z wysiłków mimo nędzy, zakończonej wczoraj, ani słowa trwogi przed nową dobą ciężką, którą może jutro rozpocznie. Samolubne Bonifratra troski pierzchają przed modlitwą a po modlitwie myśl jego wypatruje, kogo dziś obsłuży i pocieszy z tego półtora tysiąca chorych, którym dobrze czyni przez rok; nie wyróżnia między nimi współwyznawcy od innowiercy i niedowiarka, od starozakonnych i bezwyznaniowców.

A dopiero kto najbaczniej śledzi te twarze pogodnych zakonników, ten zdoła dojrzeć, że przecie jakaś chmurka po niektórych przemyka. Czyż zapracowany i niewywczasowany zakonnik zadrżał niepokojem, iż przydzielony do zaraźliwie chorych nagle przeczuł przy nich blizką śmierć dla siebie? Nie! on codzień gotów umierać. Skądinąd smutek zamglił na chwilę oko zwykle pogodne: wypłynął z troski jedynej, jaka osiada nieraz na tych duszach cnotliwych... im to dolega, że społeczeństwo polskie skąpi im dziś ze siebie członków do ich zakonu. Dziś mało Polaków, powołanych do zakonu, myśli o żywocie śród tych pra-

cowników chrześcijańskich, którzy żadnego zasiłku od nas nie wyglądają tak pilnie, jak dopływu ochotników pod ich chorągiew miłosierdzia, aby z rodaków naszych wychować nam Bonifratrów najprzód dla Krakowa, a potem dla wskrzeszonej znowu polskiej prowincyi.

Może trzechsetny jubileusz pierwszego w Polsce szpitala Bonifratrów przypomni ich zasługi i zachęci do udziału w nich młodzież, spragnioną cnoty zakonnej.

Ks. K. Czaykowski.

Z POSTĘPÓW AWIATYKI I AERONAUTYKI[1].

Zadziwiająco szybkie w ostatnich latach były postępy na polu żeglugi powietrznej i sztuki latania. Głośne na świecie całym stały się nazwiska takich Zeppelinów z jednej, Wright'ów lub Blériotów z drugiej strony. Dzienniki i pisma peryodyczne podawały urywkami lub w dłuższych opracowaniach coraz nowsze szczegóły, a zaciekawienie ogółu przenosiło się do świata uczonego, tworzono kursa i katedry żeglugi powietrznej i coraz poważniejsze dzieła pokazują się w tej dziś już bogatej literaturze.

Wobec trudności pisania o rzeczy, w której niemal dzień każdy przynosi nowe zdobycze techniki, nie kusimy się o to, by dać wyczerpujący obraz tego ruchu, nie chcemy się też zapuszczać w szczegółowy opis genetyczny wszystkich prac i mozołów, które doprowadziły do dzisiejszych tryumfów. Chcemy tylko zebrać kilka uwag dla oryentacyi, odsyłając po szczegóły i gruntowniejsze wiadomości do licznych już dzieł naukowych lub książek popularnych, w różnych językach wydanych, z których niejedną i w naszych dopiskach spotkać będzie można[2]. Przypatrzymy się

[1] Musimy poprzestać na tych obcych wyrazach, póki się nie ustalą jakie inne terminy polskie, próbował stworzyć terminologię polską inż. Jarkowski (pr. »Poradnik językowy« 1909 str. 126 nn.), z którego zwrotów po części korzystać będziemy.

[2] Niektóre już tu podajemy: dla oryentacyi w dawniejszych próbach latania służyć może sumiennie ułożone dzieło mecenasa awiatyki amerykańskiej Chanute p. t.: *Progress in flying machines* New York, 1894. Nadto: *Moedebeck, Taschenbuch für Flugtechniker und Luftschiffer*, Berlin 1904—

więc tylko w ogólnych zarysach dwom zasadniczym typom przyrządów, unoszących człowieka w ocean atmosfery: balonom sterownym i przyrządom cięższym od powietrza, a w pierwszym rzędzie aeroplanom.

Starsze wiekiem i sięgające próbami swemi dawniejszych o wiele czasów są projekty balonów sterownych. Wszak pierwsze ich pomysły niewiele późniejsze od sławnego wynalazku braci Mongolfierów. Odkąd ludzie nauczyli się bujać po powietrzu, choćby tylko zawieszeni u olbrzymiego cielska statku powietrznego, zaraz zapragnęli nie być oddani na los szczęścia i kaprysom wiatrów, lecz sterować swym statkiem i nadawać mu pożądany kierunek.

A jednak wszystkie próby, ciągnące się przez wiek cały, pomysły takich Giffardów lub braci Tissandierów nie odniosły pożądanego skutku, brak było bowiem tego, co jest istotne dla racyonalnej żeglugi powietrznej, lekkiego a silnego motoru. Że siła ludzka nie sprosta choćby lekkiemu wiatrowi wobec olbrzymich rozmiarów balonu, to już wiedział Meusnier, który określił wiele momentów potrzebnych do zbudowania balonu sterownego. Uznał, że siłą ludzką można osiągnąć najwyżej szybkość 4 km. na godzinę, która zatem nie potrafi się oprzeć najzwyklejszym podmuchom atmosfery[1]. Motory jednak wówczas znane ciężarem swym nie odpowiadały celowi żeglugi powietrznej. To też typy prawdziwie godne nazwy sterowców okazują się dopiero od pojawienia się na widowni lekkich a silnych motorów benzynowych. Wtedy jednak pierwsze kroki czyniła i awiatyka, pierwsze próby przyrządów do latania cięższych od powietrza zajmowały już umysły takich Lilienthalów i jego naśladowców, dlatego obydwa typy racyonalnych przyrządów powietrznych zjawiają się prawie równocześnie.

Renard, *L'aéronautique,* Paris 1909 — Rouville: *Les ballons dirigeables,* Paris 1909 — *Rumpler Flugmaschinen,* Berlin, 1909 — Fouville et Besançon: *Notre Flotte aérienne,* Paris, 1908 i t. d.

[1] Wypracował nawet projekt sterowca (pr. Jarkowski j. w. zamiast »balonu sterownego«) i podał go w swym memoryale paryskiej Akademii 1784 r. Pr. *Voyer, Général Meusnier und die lenkbaren Ballons.* Illustr. aeronaut. Mitteil. 1906.

Co się tyczy balonów sterownych czyli sterowców, jak je nazywać będziemy, dwa kraje szczególnie tu się odznaczyły: Francya i Niemcy. Zbyt znane są nazwiska Lebaudy'ch lub Zeppelinów, zbyt wiele interesowano się sterowcami France, Patrie i innymi, na które tak często niestety tragiczny czekał koniec, byśmy się mieli zapuszczać w szczegóły przedstawienia historyi i kolei różnych pomysłów i typów statków powietrznych, z tak wielkim nakładem kosztów budowanych. Czytelników żądnych bliższych szczegółów odsyłamy po gruntowniejsze informacye do pism fachowych, których ilość coraz więcej się dziś mnoży [1], po ogólniejsze zaś wiadomości, historyczne np., do dziełek dla szerszych warstw pisanych, których nie brak już w żadnej prawie literaturze [2]. Zajmiemy się tu raczej pewną klasyfikacyą i zebraniem wyników w pewne typy, które mogą wyrobić lepsze pojęcie o całości, niż przedstawianie często nie najszczęśliwszych pomysłów

Wiadomo, że pierwsze balony, tak mongolfiery napełnione ciepłem powietrzem, jak i charliery wypełnione wodorem, były kuliste, kształt najłatwiejszy do otrzymania i który do dziś dnia jeszcze się utrzymał np. w balonach na uwięzi. Rozumie się, że gdy chodziło o sterowanie balonem, kształt ten utrzymać się nie mógł i musiano nadać sterowcowi postać podłużną, przedstawiającą mniejszy opór przy żeglowaniu w morzu atmosferycznem. Kształt ten utrzymany być musi pod odpowiedniem napięciem. Albowiem gdy balon się sfałduje skutkiem ujścia gazu lub poddania go większemu ciśnieniu przy zejściu z wyższych regionów w niższe, przedstawia opór większy niż sztywna powłoka. Do zaradzenia tej niedogodności wpadł już jenerał Meusnier [3] na pomysł t. zw. balonetu, t. j. balonu mniejszych rozmiarów, umieszczonego w środku głównego balonu, napełnionego powietrzem w mniejszej lub więk-

[1] Francuskie: np. *Revue de l'aéronautique, L'aérophile, L'aéronauto*, wiele artykułów dawniejszych np. Renarda lub Ferbera także w *Revue de l'artillerie*. Niemieckie: *Zeitschrift für Luftschiffahrt. Illustr. aeronautische Mitteilungen, Fachzeitung für Automobil und Flugtechnik* i t. d.

[2] Podaliśmy ich kilka wyżej. W polskim języku co do dawniejszych nieco zdobyczy daje przejrzysty i treściwy obraz broszurka inż. Libańskiego »Podbój atmosfery«. Lwów, 1905.

[3] W swym memoryale wyżej cytowanym.

szej mierze zależnie od potrzeby, by utrzymać główny balon zawsze pod równem napięciem. Inni znów wpadali na pomysł balonu ze sztywnego materyału, zwłaszcza z aluminium, jako najlżejszego metalu, skutkiem czego balonet staje się już niepotrzebnym.

Tak więc mamy typ balonów z materyi, balonów o sztywnym pancerzu i wreszcie trzeci typ, który jest kombinacyą obu poprzednich, mianowicie balonu, którego główny szkielet tylko jest z metalu. Wszystkie trzy typy mają swe dobre i słabe strony, wszystkie stosowane były do różnych konstrukcyi sterownych statków powietrznych.

Pierwsze sukcesy i powodzenia miał balon typu pierwszego, który przedstawia korzyść mniejszego o wiele ciężaru, stąd i mniejszej siły potrzebnej do jego kierownictwa. Brazylijczyk Santos Dumont, zbierający laury za swe próby, wykonywane w Paryżu w latach 1900 do 1903 posługiwał się takim balonem. On to odbył 1902 roku pierwszą jazdę z powrotem do miejsca wyjścia[1] mimo wiatru przeciwnego, okrążywszy wieżę Eiffel. Balon jego, obejmujący tylko 630 m. kubicznych gazu, opatrzony był w lekki bardzo motor o sile 12 koni parowych i w leciutką łódkę, mogącą wziąć tylko jednego pasażera.

Poważniejszy już i większych rozmiarów jest typ balonów majora niemieckiego Parsevala[2]. Balon długości 48 m, objętości 2500 m. kubicznych, ma służyć przedewszystkiem do celów wojskowych, jest zatem tak zbudowany, by mógł łatwo być demontowany i przewożony na dwu wozach. Do uzyskania równowagi

---

[1] Już w r. 1884, udało się Renard'owi i Krebsowi wybudować balon *La France*, wydoskonalenie pomysłów Giffarda (1852), który za pomocą motoru złożonego ze stosów elektrycznych (przy sile 8½ koni parowych ważył 98 kg), odbył przy nadzwyczaj spokojnym stanie atmosfery koło w powietrzu i wrócił do miejsca wyjścia. Sami wynalazcy, mimo rozgłosu tej próby, nie łudzili się wcale co do bezsilności swego statku powietrznego nawet wobec słabych podmuchów wiatru; osiągnęli bowiem szybkość tylko 20 km. na godzinę, podczas gdy wiatr niezbyt silny posiada już szybkość 10 m. na sekundę, t. j. do 36 km. na godzinę.

[2] Pr. E. Rumpler: *Das Parsevalsche Luftschiffmodel 1908. Zeitschrift d. Ver. deutsch. Ingen.* 1909.

zastosował Parseval płaszczyzny sztywne, przymocowane do tylnej części balonu, dwie poziome i jedna pionowa, zapewniające trwałą równowagę w powietrzu [1]. Przez przemieszczenie balonetu może balon zajmować położenie pochyłe, a wtedy służą równocześnie owe płaszczyzny do nadania mu popędu do góry lub na dół bez zużywania gazu lub balastu. Oryginalną jest śruba powietrzna, przyrząd używany powszechnie do poruszania balonów w oznaczonym kierunku [2]. Składa się z czterech skrzydeł z materyi, zwisających luźnie w stanie spokoju; przy obrocie motoru o sile 100 koni, pod wpływem siły odśrodkowej wyprężają się i spełniają funkcyę zwykłych śrub powietrznych. Skutkiem badań prof. Prandtl'a z Gietyngi [3], który określił kształt torpedy jako najodpowiedniejszy dla uzyskania najmniejszego oporu, zmienił nieco Parseval przy drugim modelu kształt swego balonu i nadał mu bardziej ostre zakończenia.

Pierwszy typ, który między sterowcami osiągnął donioślejsze rezultaty na większą skalę, był bezsprzecznie typ, wymieniony wyżej na trzeciem miejscu, t. j. typ balonów o sztywnym szkielecie. Takimi były balony braci Lebaudy, budowane i udoskonalane z zastosowaniem wszystkich badań naukowych na polu aeronautyki pod kierownictwem inżyniera Julliot. Jeszcze w r. 1899 wybudowano na koszta wzmiankowanych braci, właścicieli rafineryi w Paryżu, wszystkie warsztaty potrzebne do racyonalnych prób i budowy wielkiego statku powietrznego w pobliżu miasta Mantes. Już w listopadzie r. 1902 wyszedł z tych warsztatów wielki balon nazwany »Le Jaune« dla swej barwy, długi na 56 m., o objętości 2284 m. kub. Zastosowano, jakeśmy wspomnieli, szkielet metaliczny do utrzymania stałości kształtu, z nim sztywnie połączona była łódka również z metalu. W niej znajdował się motor o sile 40 koni, obracających śrubę o czterech skrzydłach stalo-

[1] Podobne płaszczyzny, choć innego systemu, miał już też jeden z typów balonów braci Lebaudy, o których niżej.

[2] Jak śruba okrętowa obracając się porusza okręt, tak też do poruszania balonu lub aeroplanu w powietrzu używa się śrub, kształtem swym przypominających skrzydła wiatraka.

[3] L. Prandtl: *Die Bedeutung von Modellversuchen für die Luftschiffahrt und Flugtechnik. Zeitsch. d. Ver. deutsch. Ingen.* 1909.

wych. Statek ten po krótkiej kampanii 1902 r. odbywał liczne próby w roku następnym w okolicach warsztatu, dochodził do szybkości 36 km. na godzinę i więcej, a w listopadzie tegoż roku po ponownych naprawach odbył podróż ze swych warsztatów do Paryża (52 klm. w linii prostej, 62 km. faktycznej drogi z szybkością przeciętną 36 km. na godzinę), a stamtąd po kilku dniach do Chalais Meudon, gdzie skutkiem wypadku przy lądowaniu powłoka jego się przedarła, bez szkody jednak dla ludzi i części mechanicznych. W następnym roku 1904 wyszedł balon z tych samych warsztatów z nowemi udoskonaleniami, z których najważniejsze polegało na płaszczyznach, mających mu zapewnić stalszą równowagę. Spotkaliśmy je już w balonie Parsevala, ten jednak dopiero w dwa lata później uzyskał znaczniejsze rekordy. Śruby w liczbie dwu umieszczono teraz po bokach łodzi, co się okazało praktyczniejszem i powiększało wydatność. Z tym nowym balonem przedsięwzięto znów seryę wzlotów nie zawsze wolnych od przygód, odważano się nawet na nocne wyprawy z odpowiednio silnem światłem i reflektorami. W następnym roku ofiarowany armii francuskiej wykonał jeszcze statek powietrzny podróż z Moisson do Meaux by oddać się na usługi wojskowości i wzmocnić jej flotę powietrzną.

Typ balonów Lebaudy'ch nie pozostał osamotniony, jak się można było spodziewać. Za wzór służył konstruktorom »Patrie«, porwanego i uwiedzionego w północne strony w r. 1907, »Ville de Paris«, który również odbywał znaczne podróże w r. 1907, i innym.

Trzecim typem, którym z kolei zająć się wypada, a któremu udało się uzyskać, mimo tylu niepowodzeń, największy może rozgłos, choć o jego praktyczności różnie się wyrażają, to typ sztywnych balonów pomysłu hr. Zeppelina. Zbyt znane z gazet i pism ilustrowanych jego różne statki powietrzne, jego warsztat w Friedrichshafen nad jeziorem Bodeńskiem i jego produkcye, byśmy się tu mieli nad tymi szczegółami rozwodzić. Wspomnimy tylko, że hr. Zeppelin już od przeszło 10 lat, bo od r. 1898 pracuje nad urzeczywistnieniem swego planu stworzenia prawdziwego pancernika powietrznego. Już w r. 1900 wykonywał pierwsze wzloty, ale szczęście przez dłuższy czas mu nie sprzyjało, zawsze pokazywały się

pewne braki w konstrukcyi, zawsze jakiś przypadek udaremniał większe powodzenia, nawet głośna jego podróż do Moguncyi w r. 1898 zakończyła się niemniej głośną katastrofą pod Echterdingen. Dopiero powodzenia roku zeszłego, do których się całe Niemcy składkami swemi przyczyniły, uwieńczyły pomyślniejszym skutkiem długie zabiegi niezmordowanego wynalazcy, choć ostatnia katastrofa pod Limburgiem nasuwa jeszcze poważniejsze wątpliwości co do praktyczności jego wynalazku.

Balon Zeppelina to prawdziwy olbrzym powietrzny, porównywany rozmiarami swymi z wielkim transatlantykiem albo raczej z jednym z tych pancerników, na które tak na wyścigi mocarstwa dziś grosz publiczny wydają, przypomina je nawet swym aluminiowym pancerzem, a raczej siecią sztywną naciągniętą powłoką z materyi. Długość balonu przy różnych modelach wahała się między 126 a 136 metrami, objętość wynosiła 11 do 15 tysięcy metrów kubicznych. Podłużny, w kształcie torpedy lub cygara, korpus metaliczny zawierał 17 balonów napełnionych gazem, a skutkiem sztywności powłoki funkcya balonetu okazała się niepotrzebną. Pod olbrzymiem cielskiem balonu wisiały dwie łódki [1] z oddzielnymi motorami, razem siły do 220 koni parowych, które wprawiały w ruch śruby o czterech skrzydłach umieszczone po bokach. Skutkiem wielkiej stosunkowo wagi sztywnej powłoki odpada znaczna część pędu do góry, nadanego przez tak znaczną ilość gazu, a to jest jedną z niekorzyści tego typu [2]. Mimo to potrafił balon ostatni prócz 9 do 12 osób dźwignąć jeszcze przeszło 2000 kg w motorach, różnych przyborach i balaście. Do wznoszenia się w różne wysokości i spuszczania się używał także hr. Zeppelin wspomnianych przy typie Parsevala płaszczyzn sterują-

[1] Przy ostatnim modelu trzy.

[2] Inna niekorzyść, która dała się we znaki przy katastrofie w Echterdingen, to niepodatność na uderzenia przy lądowaniu, jako też większy opór stawiany wiatrom, gdy z boku wieją. Przy ostatniej katastrofie wystąpiła na jaw jeszcze jedna niekorzyść sztywnej powłoki: podczas gdy inny balon w razie potrzeby od razu da się wypróżnić rozcięciem materyi, wypróżnienie tego balonu wymagało dłuższego czasu, co przyczyniło się do zwiększenia rozmiarów ostatniej katastrofy.

cych, co oczywiście pozwalało oszczędzać w znacznej części wentyle. Za to wymagał statek powietrzny wobec swych olbrzymich rozmiarów wielkiej równiny do wzlotu i do lądowania, co znów staje się niedogodnem zwłaszcza przy lądowaniu [1].

Hr. Zeppelin trzymał się uporczywie swego pomysłu sztywnej powłoki dla celów wojskowych, do których w pierwszym rzędzie jego balon był przeznaczony, choć tuszył sobie, że będzie mógł przedsiębrać nawet podróże nad oceanem i tak zainicyować nowy sposób komunikacyi między kontynentami.

Że sztuce wojskowej tak balon typu Zeppelina jak i francuskie sterowce i inne [2] znaczne przynieść mogą korzyści, nikt o tem zapewne nie wątpi. To też państwa nie szczędzą kosztów na pobudzanie wynalazców do coraz dalszych studyów i wydoskonalań swych pomysłów. Zapewne w sztuce wojennej przyszłości będą pancerniki powietrzne typu Zeppelina i inne podobne jakby twierdzami latającemi, zdatne nie tylko do rekognoscencyi, ale i do zaczepnej walki, a może i do wysyłania ze swych pokładów drobniejszych statków powietrznych lub aeroplanów w różne strony.

Niemniej przydać się mogą sterowce i do celów naukowych. Już Wellman rozgłaszał swe przygotowania do podróży na biegun północny sterowcem, i choć próba nie doszła do skutku a może o rzeczywistem wykonaniu jej sam autor nie marzył, jednak plan nie zdaje się być w przyszłości nie do urzeczywistnienia. Znajdzie się może naśladowca pragnący na seryo się zabrać do dzieła i uwieńczyć pomyślnym skutkiem tak liczne i w tak różny sposób próbowane podróże w arktyczne strony. Niemniej przydać się może sterowiec do uzupełnienia zdobyczy, jakie osiągnięto już balonami kulistymi [3]. Mogą posłużyć balony do rozszerzenia za-

---

[1] Dlatego próby odbywały się przeważnie nad jeziorem Bodeńskiem.

[2] Np. w Niemczech balon majora Grossa, we Włoszech kapitana Ricaldini i hrabiego da Schio, w Anglii balon pułkownika Templara i inne.

[3] Odwodziłoby to nas od tematu, któryśmy sobie zakreślili, gdybyśmy chcieli zapuszczać się w dziedzinę tych badań i usług, jakie oddały balony meteorologii. Odsyłamy w tym względzie do dzieł specyalnych (np. Hann: *Lehrbuch der Meteorologie.* Leipzig 1905. Bouquet de la Grye, *Les ballons sondes et les ascensions internationales.* Paris, lub choćby do wyżej wspomnianej broszurki Libańskiego). Podamy tu tylko kilka ostatnich re-

kresu zdobyczy na polu meteorologii, genezy wiatrów i badania zjawisk atmosfery, mogą być dla astronomów dogodnemi obserwatoryami powietrznemi do badania z odpowiedniego miejsca, choćby ponad chmurami, zaćmień słońca, księżyca lub innych zjawisk w przestworzach niebieskich, co już dziś chcą stosować do obserwacyi komety Halleya.

Co do innych korzyści więcej ogólno-cywilizacyjnych i społecznych, jakie niektórzy osiągnąć zamierzają, trudno przesądzać, co przyszłość przyniesie. Zdaje się jednak bardzo nieprawdopodobne, by mogły sterowce oddać większe usługi społeczeństwu, jako praktyczne środki do szybkiej komunikacyi. Naszem zdaniem jeśli cieszyć się będą jakiem powodzeniem, to chyba tylko przejściowem, dopóki nie wydoskonalą się i nie rozpowszechnią przyrządy cięższe od powietrza, czyto aeroplany czy inne jakie typy t. zw. dynamicznych przyrządów do latania. Konstrukcya balonów, które zawsze bardzo znacznych muszą być rozmiarów, pozostanie rzeczą stosunkowo bardzo drogą, na którą tylko państwa lub wielkie instytucye czy też jacyś miliarderzy będą mogli sobie pozwolić. A choć w pierwszej chwili zdaje się może paradoksalne, jednak prawdziwe jest powiedzenie, że siła dynamiczna ta sama wydatniejszą jest w przyrządach cięższych od powietrza, niż w balonach, mimo że w pierwszych służy zarówno do poruszania przyrządu, jak i do podnoszenia go, podczas gdy balon sam już w powietrzu utrzymać się potrafi i tylko siły popędowej potrzebuje. W sterowcach bowiem występuje opór powietrza, znaczny z powodu ogromu cielska gazowego, jako nieprzyjazna siła, którą

---

zultatów, osiągniętych zapomocą balonów, puszczonych bez pasażerów w najwyższe regiony atmosfery, na który to pomysł wpadli Hermitte i Besançon. Zaopatrywa się je w przyrządy, zaznaczające same przy odpowiedniem ciśnieniu barometrycznem temperaturę, stan elektryczności i t. d. Pierwszy puszczono w r. 1892, wzniósł się do wysokości 15 km. Przekonawszy się o praktyczności wynalazku, zaczęto pomysł naśladować. Dziś takich doświadczeń wykonano już cały szereg. Tak np. 1905 r. puszczony w Strasburgu balon osiągnął wysokość 25.8 km. (pr. *Geogr. Zeitschrift*, 1907, str. 385), w Uccle koło Brukseli puszczone w latach 1907 i 1908 baloniki osiągnęły 26.6 km. i 29 km. (tamże 1909, str. 222). Wyniki ostatniego doświadczenia były: ciśnienie barometryczne 10 mm., temperatura najniższa w wysokości około 13 km. (— 67.6° C), potem nieco się podniosła i znów spadła do — 63.4° C.

trzeba pokonać, w aeroplanie zaś i innych dynamicznych przyrządach opór powietrza w większej części współdziała do utrzymania całego przyrządu w zawieszeniu. Zrozumiemy to lepiej przy bliższém zapoznaniu się z awiatyką.

I tu nie będziemy się zapuszczać w szczegóły historyczne, nie wspomnimy szczegółowo o drogach i żmudnych próbach, po których sławy dzisiejszej awiatyki zdobyły sobie zasłużone laury. Wypada jednak zwrócić uwagę na jeden szczegół, któremu z pewnością zawdzięczamy tak szybki stosunkowo rozwój maszyn do latania. Podaje go jako motto do swej książki jeden z najzapaleńszych awiatorów francuskich, zmarły niedawno wskutek nieszczęśliwego wzlotu kapitan Ferber [1]: »Wymyślić przyrząd do latania, to jeszcze nic — wybudować go, to mało — wypróbować go, w tem mieści się wszystko«. Teorya oczywiście daje podstawę do racyonalnych prób, ona to nam wytłumaczyła zasadę lotu ptaków, tak nierozumianego do niedawnych jeszcze wieków, ale bez doświadczenia w tej trudnej dziedzinie do niczego nie można było dojść. To też najprędzej doszli do zadowalniających rezultatów ci, co mieniąc się sami uczniami Lilienthala, przez długie i mozolne próby, nie zapoznając przytem prac teoretycznych, dochodzili do opanowywania trudnej sztuki latania. Zwracali się przedewszystkiem do jednego typu, jedynego, który osiągnął dotychczas donioślejsze rezultaty, mianowicie do t. zw. aeroplanów.

Choć Niemcy przez Lilienthala [2] dali pierwszą podnietę w tym kierunku, jednak najwięcej się odznaczyli po śmierci tego pioniera awiatyki Francuzi i Amerykanie. Zbyt znane nazwiska Wright'ów, Lathamów i Blériotów, byśmy się mieli szczegółowo rozwodzić nad ich zasługami na tem polu. Niemniej jednak opłaci się może przypomnieć w kilku głównych rysach, jak postępowała teorya

---

[1] Na początku książki p. t. *L'aviation, ses débuts, son développement*, Paris, 1908. Te same słowa jakoby słowa Lilienthala przytoczył też w swym pierwszym artykule w *Revue de l'artillerie*, 1904 r.

[2] Jego artykuły bardzo pouczające i zaznaczające jego powolne postępy mieszczą się w *Zeitschritf für Luftschiffahrt*, 1891—4 i w *Prometheus*, 1893—4.

i praktyka, aż wydała dziś tak podziwiane i z ogólnem zainteresowaniem przyjmowane rezultaty.

Warto przypomnieć, że dawniejsi badacze teoryi lotu, którzy sięgają wstecz aż do genialnego i na tylu polach zasłużonego Leonarda da Vinci [1], zajmowali się przedewszystkiem lotem ptaków bijących skrzydłami, których lot ze strony teoretycznej o wiele trudniejszy do badania, a jeszcze trudniejszy do naśladowania za pomocą mechanizmu. Pomogła wiele ostatnimi czasy fotografia błyskawiczna, tak iż dziś dokładnie znamy już zasady lotu, co jest przedewszystkiem zasługą Marey'a [2], ale wszelkie próby naśladownictwa nie wydały zadowalniających rezultatów, choć już przed wiekiem zaciekawiały umysły przemyślnych wynalazców [3].

Bardziej płodne w swych skutkach okazały się obserwacye nad ptakami t. zw. żaglowcami. Kiedy widzimy albatrosa lub mewę, a choćby naszą wronę, jak potrafi się utrzymać dłuższy czas w powietrzu prawie nieruchoma, od czasu do czasu tylko poruszając z lekka skrzydłami, wydaje nam się to zagadką nie do wytłumaczenia, fakt przed którego rzeczywistością musimy ustąpić, o którego wytłumaczenie znanemi nam siłami daremnie się kuszono przez czas dłuższy. Chcieli niektórzy nawet przyznawać ptakom osobną siłę, która je utrzymywać miała w powietrzu i pokonywać siłę ciężkości. A jednak dziś zagadka ta rozwiązana, dziś aeroplan jakby wielki ptak potrafi także utrzymać się dłuższy czas w powietrzu, nie ruszając się z miejsca; powoli opadając, to znowu się podnosząc, może robić z daleka wrażenie olbrzymiego albatrosa unoszącego się spokojnie w oceanie atmosfery.

---

[1] W manuskryptach jego przechowywanych w *Bibliothèque nationale* w Paryżu znajduje się fragment rozprawy o locie ptaka, w której rozwija poglądy, jakichby się i dziś nie powstydzono. Zaznaczyć należy, że on też zajmował się dziś tak żywotną kwestyą śrub powietrznych, znaną jest jego o tem rozprawa, wydana z manuskryptu w r. 1893.

[2] E. Marey: *Le vol des viseaux*, Paris, 1890: pr. też Monillard: *L'empire de l'air*, Paris, 1881.

[3] Jakób Degen we Wiedniu 1808 r. wykonał próbę na statywie, o wolnym locie mowy nie było. Pr. Degen: *Beschreibung einer neuen Flugmaschine*, Wien, 1808.

Widzieliśmy niedawno taki wzlot i przyznać musimy łudzące podobieństwo z wyjątkiem ruchu skrzydeł, który zastąpiony jest niewidzialnym z daleka ruchem powietrznej śruby.

Do rozwiązania tej zagadki przyczyniły się studya zasłużonych w tej dziedzinie badaczy [1], między którymi i nazwisko polskie spotkać można [2]. Oni to umieli wykazać, że opór powietrza wchodzący tu w grę, a badany przedtem tylko w innych warunkach, dotychczas był niedoceniany i czynił ten problemat dlatego nierozwiązalnym. Już przed kilkunastu laty podał sławny w dziedzinie teoretycznej awiatyki Renard główne zasady, na których opierać się miało zdobywanie powietrza i wygłosił zupełnie słuszny i dziś przez doświadczenia potwierdzony wniosek: gdy znajdziemy motor, który ważyć będzie tylko 7 kg na konia parowego, zagadka lotu mechanicznego będzie rozwiązana. Rzeczywiście, odkąd Levavasseur wybudował, pierwotnie dla ludzi motorowych, lekkie motory typu t. zw. Antoinette, zastosowanie ich do latawców wydało dzisiejsze aeroplany.

Ale jakeśmy wyżej wspomnieli, teorya sama nie mogła tu dojść do praktycznego rozwiązania zagadnienia lotu, trzeba było prób, praktyki i doświadczenia, tem trudniejszych w tej dziedzinie, że już pierwsze próby suponowały istnienie przyrządu do wznoszenia się w powietrze i próbowania, że się tak wyrazimy, na gorącym uczynku, sztuki latania. W tem zasługa Lilienthala, że umiał znaleść sposób, by stosunkowo niekosztownymi przyrządami wykonać szereg wzlotów, a raczej zlotów z usypanego w tym celu pagórka, lub z innych wysokich punktów, by nabrać mechanicznej i jakby instynktownej wprawy w tak nowej dla człowieka dziedzinie. Nie obeszło się rozumie się bez ofiar, i pierwszy pionier awiatyki i jego naśladowca Anglik Pilcher,

[1] Prócz Lilienthala np. wspomnianego już Renard'a.

[2] S. Drzewiecki zajmował się teoryą śruby powietrznej. Pr. np. jego dziełko: *Des hélices aériennes. Théorie Générale des propulseurs hélicoidaux et méthode de calcul de ces propulseurs pour l'air*, Paris 1909. Inżynier ten, znany ze swych prac o śrubach okrętowych, podaje w tem dziełku prócz ogólnej teoryi metodę szybkiego obliczania charakterystyk śrub powietrznych, co oczywiście jest wielkiem ułatwieniem dla tych, którzy się wykonaniem aeroplanu lub sterowca zajmują.

przypłacili życiem swe próby, gdy zanadto ufni w swą wprawę zbyt ryzykowne wykonywali wzloty. Ale braciom Wright'om i Ferberowi, o których wyżej wspomnieliśmy, i Fahrmanowi i Blériotowi i innym, których dziś już na setki liczyć można, udało się dojść tą drogą do pomyślnych rezultatów. Lilienthal umarł 1896 r., a już od r. 1900 bracia Wrightowie, zachęceni przez mecenasa awiatyki w Ameryce, Chanute'a, zaczęli w największej tajemnicy naprzód, z rosnącym potem coraz więcej rozgłosem doświadczać swego biplanu naprzód na wybrzeżach Kitty Hawk w północnej Karolinie, potem na równinie koło Daytonu.

Długich i mozolnych prób potrzeba było, aż doszli do takiej wprawy w najelementarniejszych zasadach tej nowej zupełnie sztuki w rozwoju ludzkiej kultury, iż mogli się odważyć na wprowadzenie do swego aeroplanu motoru, któryby im pozwolił wykonywać nie tylko zloty, ale prawdziwe wzloty i podróże powietrzne. W r. 1903 odważyli się na pierwszą próbę z motorem, a już w dwa lata później zgłaszają się do rządu francuskiego za pośrednictwem Ferbera z gotowym przyrządem do latania. Przyjęci naprzód z nieufnością, odrzuceni przez Francyę, której oddać chcieli swój wynalazek, wykazali w dwa lata później, że niesłusznie zwyciężyło poprzednio tak zakorzenione w umysłach ludzkich mniemanie o niemożliwości mechanicznego lotu.

(Dok. nast.).

Ks. Józef Sawicki.

NEOSLAWIZM.

Polityka jest sztuką praktycznego przeprowadzenia pewnego programu, techniką życia publicznego, której doskonałość zależy od odpowiedniego doboru środków; właściwego ich zastosowania do realnych stosunków. Polityk musi trzeźwo rozpatrzeć okoliczności, w których ma działać, nie może poddawać się uczuciom lub nerwom, musi być przedewszystkiem zimnym i spokojnym rachmistrzem, nie dającym się unosić żadnym iluzyom, hasłom czy namiętnościom. Stąd powstała doktryna, u nas również bardzo silnie podkreślana, że w polityce działa tylko rozum, a należy wyeliminować wszelkie uczucia.

Teorya ta w części tylko jest prawdziwa, a raczej należy właściwą jej treść wydobyć dopiero z tej nazbyt ogólnikowej formy, inaczej bowiem dochodzi się do zupełnie chybionych rezultatów. Uczucia mogą wystąpić w polityce w dwojakiej formie, jako czynnik woli polityka działającego i jako jeden ze stosunków, w których ma on pracować. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sentyment, wpływający na wolę polityka jest szkodliwy, odbiera mu bowiem trzeźwość, zaciemnia jego sąd o rzeczy, skłania niejednokrotnie do czynów niedostatecznie przemyślanych. Zupełnie przeto słusznem jest żądanie, ażeby polityk kierował się tylko rozumem, nie poddając się nigdy swym indywidualnym uczuciom. Inna rzecz jednak gdy chodzi o nastroje, a więc uczucia społeczeństwa, gdyż stanowią one okoliczność zewnętrzną, z którą polityka musi się liczyć, jeżeli ma być realną. Żaden po-

lityk nie pominie przy swym obrachunku całego szeregu czynników natury prawnej, geograficznej, ekonomicznéj i t. p.; wie bowiem doskonale, że jedynie przy właściwem ich zużytkowaniu może cokolwiek zdziałać, podczas gdy zapoznanie ich istoty czy siły narazi go tylko na klęskę. Otóż niejednokrotnie nastrój ludności jest ważniejszym i potężniejszym czynnikiem kształtowania stosunków społecznych, aniżeli jakiekolwiek zewnętrzne warunki życiowe. Polityk, jeżeli nie chce zająć stanowiska doktrynera bez wpływu, albo co gorsza niesłuchanego lub nawet potępianego propagatora idei, przez społeczeństwo odrzucanej, musi się liczyć z temi uczuciami. Nie chodzi tu bynajmniej o podporządkowanie jego rozsądku namiętnościom i iluzyom ogółu. Być może, że prawda jest po jego stronie, że jedynie on trzeźwo ocenia rzeczywistość i najodpowiedniejszą daje radę. Ale ta prawda i ten program są na razie doktryną tylko, praktycznie bez znaczenia, bo są indywidualnym poglądem, nie przyjętym przez ogół. Zasady swe można istotnie przeprowadzić tylko o tyle, o ile zgrupuje się około nich dostateczne siły. Otóż zapoznawanie doniosłości uczuć sprowadza raczej rezultat odwrotny, gdyż zraża i odtrąca, a nie przyciąga tych, na których się chce oddziałać. Nie jest więc prawdziwym politykiem ten, który stworzywszy sobie fikcyjnego człowieka, nigdy i niczem nie poznanego, zawsze i wszędzie zimno liczącego, buduje swe plany dla takich nie istniejących w rzeczywistem życiu istot. Choćby jego pomysły były doskonałe, pozostaną zawsze utopią, bo nie zna on świata, lecz stworzył sobie w swej wyobraźni jakieś maryonetki, według jednego wyrobione szablonu.

Istnieje jednak jeszcze drugi rodzaj polityków, częstszy choć również chybiony. Widzą oni doskonale wrażliwość społeczeństwa, znają jego uczucia i namiętności, lecz sądzą, że wpływ ich na życie publiczne jest szkodliwy i dlatego pragnęliby go złamać. Sama ta idea może być i bardzo często jest rzeczywiście zupełnie słuszna, rozchodzi się jednak o środki, którymi się ją przeprowadza. Niestety rzadko tylko trafnie się je dobiera. Człowiek taki widząc jak inni popełniają błędy, jak porwani temperamentem zapominają o rozsądku mimowolnie, czuje się wyższym i ro-

zumniejszym od tamtych. Chcąc ich na dobrą naprowadzić drogę nie czyni tego w sposób, że tak powiem, koleżeński, lecz moralizatorski czy profesorski, nie staje pomiędzy nimi, lecz wysuwa się ponad nich, ażeby ich pouczyć. W tej jego roli tkwi właśnie całe niebezpieczeństwo, gdyż z jednej strony wyrabia się u niego przesada i jednostronność, z drugiej zaś dołącza się jeszcze — choćby nieświadomie — pewna ambicya i próżność. Zadanie polegające na niszczeniu różowych illuzyi i miłych nadziei, na przygaszaniu szlachetnego choć nierozsądnego zapału jest zawsze bardzo niewdzięczne i bardzo niepopularne. Polityk, który go się podjął, spotyka się z szeregiem najniesłuszniejszych zarzutów, naraża się na liczne inwektywy, na najniesprawiedliwsze komentarze swych słów i czynów, a minimalny tylko w początkach widzi owoc swej pracy. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, bo gdyby walka z sentymentem była łatwą, siła uczuć w społeczeństwach byłaby tak nikłą, że właściwie nie byłoby potrzeby przeciw nim występywać. Lecz z im głębszem przekonaniem zabieramy się do jakiejś pracy, tem boleśniej odczuwamy zawód, im większe czynimy wysiłki, tem większą goryczą napawa nas brak odpowiednich rezultatów. Człowiek pragnący wykształcić politycznie społeczeństwo, walcząc z najprzeróżniejszemi trudnościami, coraz dalej brnie w krytyce tych, których chce przeciągnąć ku sobie i wewnętrznie przerobić, coraz ostrzej zarysowuje się przedział pomiędzy nim a wszystkimi innymi. Pewna liczba podobnych działaczy, zniechęcona po pewnym czasie usuwa się z widowni, inni wytrwalsi pracują dalej lecz cel ich, rola i stanowisko zmieniają się znacznie. Początkowo widząc szkody zrządzone brakiem rozwagi, zwalczali wrażliwość społeczną w pewnych jej przejawach. Niepowodzenia tej akcyi sprawiły, że i u nich uczucia wzięły w pewnym stopniu górę nad rozsądkiem, że w ogniu walki zaczęli się również poddawać namiętnościom i sentymentom. Pierwotny cel polityczny — usunięcie pewnych konkretnych, ich zdaniem szkodliwych przejawów życia publicznego, ustępuje już miejsca ogólnej, a tem samem doktrynerskiej zasadzie, że gdziekolwiek w polityce uczucie się pojawi, należy przeciw niemu wystąpić.

Bez względu na to, czy pierwotne ich dążenia były uzasadnione, należy stwierdzić, że od chwili, gdy stali się bezwzględnymi przeciwnikami wszelkich porywów, zrzekli się mimowolnie jedynego celu każdej polityki, możliwości osiągnięcia pozytywnych rezultatów. Pomiędzy nimi bowiem a społeczeństwem powstaje na razie tak stanowczy rozdźwięk, że muszą pozostać bez wpływu i znaczenia. Tem się też tłumaczy, dlaczego znaczna część polityków tego rodzaju, widząc bezowocność swych usiłowań, a nie umiejąc czy nie chcąc zmienić dotychczasowej swej taktyki, zmienia w swem własnem przekonaniu swą funkcyę społeczną, podejmując się nowego zadania: politycznego wychowania przyszłych generacyi. W gruncie rzeczy jest rezygnacya i stwierdzenie swej klęski, bo akcya na rzecz odleglejszej przyszłości nie jest polityczną wobec tego, że nie wiemy w jakich wówczas wypadnie pracować okolicznościach.

Lecz walka, którą rozpoczęli wydaje i na dzisiaj pewne rezultaty, gdyż już sama polemika prowadzi do radykalniejszego zaakcentowania obu ścierających się prądów. A nie ulega wątpliwości, że najczęściej wzmacnia to tylko uczuciową stronę życia publicznego. W społeczeństwie znajdą się zawsze jednostki, które z przekonania czy dla postronnych celów, wystąpią w obronie dotąd panujących poglądów. Rola ich jest z pewnością wdzięczniejsza i łatwiejsza, stąd też każdy błąd, każda niezręczność szermierzy rozsądku, zwróci się przeciwko ich doktrynom z ogromną siłą; zamiast powstrzymać społeczeństwo od nierozważnych kroków, raczej popchną je ku czynom, którymi tylko temperament, a nie rozsądek kieruje.

Właśnie dlatego o prawdziwych mężów stanu, którzy umieją poprowadzić społeczeństwo, jest tak trudno. W każdym narodzie widzimy wielu ludzi bardzo uzdolnionych i szlachetnych, którzy głęboko przeświadczeni o słuszności swych zapatrywań, z poświęceniem pracują nad wpojeniem ich swym ziomkom. Jak nieliczni jednak są ci, którym się to istotnie udaje. Bo wyjątkowo tylko zdarzy się człowiek, który wytworzywszy sobie polityczny program, potrafi zarazem oderwać się zupełnie od swego ideału i zupełnie przedmiotowo ocenić czynniki społeczne, z którymi ma się

liczyć. Mąż stanu widzi jasno stan rzeczy i nie wdając się w ocenę jego wartości, na tej podstawie buduje swój plan działania. Polityk drugorzędny, olśniony niejako swą doktryną, przedewszystkiem zmierza do takiej zmiany stosunków faktycznych, któraby mu pozwoliła na rozpoczęcie pracy nad urzeczywistnieniem powziętych zamiarów. Tamten więc rozpoczyna od czynów, może skromniejszych, ale realnych i w ten sposób, dostarczając namacalnych dowodów zasadności swych dążeń zdobywa coraz więcej zwolenników i wpływu; drugi zakreśla program reform bardzo obszerny, ale rozpoczynając od stworzenia warunków dla ich zapoczątkowania, ulega w walce, zanim jeszcze uzyskał te dane, bez których jego akcyi przeprowadzić nie można. To też pierwszy jest politykiem, wie bowiem, że chcąc pociągnąć społeczeństwo należy je przekonać, że na dobrą kieruje się je drogę, drugi tylko doktrynerem, bo żąda ofiar, zanim cokolwiek zrobił, żąda zaufania w jego program a wyrzeczenia się własnych poglądów, zanim jeszcze okazał, że jego zdanie było trafniejsze. Słyszy się często zdanie, że o jakości polityki decyduje jej powodzenie. Jest ono niewątpliwie słuszne, o ile chodzi o ocenę polityka, powodzenie bowiem jest dowodem, że umiał on zharmonizować cel ze środkami i stosunkami, że więc jest rzeczywiście politykiem.

W naszem społeczeństwie było i jest polityki realnej niestety bardzo mało. Wobec bardzo znacznej wrażliwości i silnych przejawów temperamentu, wskutek zupełnie anormalnych stosunków prawno-publicznych, w których żyjemy już przeszło od wieku, jest rzeczą zupełnie naturalną, że sentymentalna, odruchowa polityka musiała przeważać. Okazało się, że nie liczyła się ona ani z siłami, ani z ludźmi, ani ze stosunkami, że przynosiła olbrzymie straty, że za każdym razem kończyła się klęską. Pod wpływem tych nieszczęsnych rezultatów zaczęła się budzić w społeczeństwie tendencya ku zmianie dotychczasowej metody, ku stworzeniu nowego, bardziej pozytywnego, obiecującego lepsze wyniki programu. Nazwano go programem realnym, choć w istocie rzeczy był utopią, o innym tylko, mniej pociągającym podkładzie. Polityka dawniejsza, zbrojnych walk zmierzających bezpośrednio do odzyskania niepodległości, opierała się w swej całości

na nadmiernym optymizmie. Przeceniano własne siły, wierzono w siłę prawa i sprawiedliwości, myślano, że dobra sprawa zjednoczy swoich i obcych. Gorzkie rozczarowania popchnęły część społeczeństwa w ekstrem wręcz przeciwny. Podniesiono zupełnie słusznie, że w akcyi politycznej musi się przedewszystkiem odmierzyć siły, że można liczyć tylko na siebie samych, że należy zakreślić jej cel do osiągnięcia możliwy, a nie zdążać ku nieziszczalnym na razie ideałom. Hasłem stało się wyleczenie społeczeństwa z iluzyi i skierowanie wszystkich sił ku organicznej, realnej pracy. Program ten był niewątpliwie bardzo ciężki do przyjęcia, żądał bowiem od społeczeństwa bardzo daleko idącej abnegacyi. Nie sądzę, ażeby którykolwiek naród mógł go przyjąć od razu bez opozycyi; zdaje mi się, że taka łatwa rezygnacya byłaby tylko tam możliwa, gdzie dawniejsze usiłowania sztuczny tylko miałyby początek. Nic przeto dziwnego, że i u nas przemiana ta mogła się odbyć tylko powolnie i z trudnością, że pionierowie nowej idei spotykali się z bardzo gwałtownymi przeciwnikami. To też zadanie ich było bardzo trudne i bardzo niebezpieczne. Trudne, bo głosili zasady niepopularne i niesympatyczne, niebezpieczne, bo zupełne ich zwycięstwo mogło być jednoznacznem z zanikiem niezbędnego w każdym narodzie przeświadczenia, że ma on prawo i siły do utrzymania samodzielnego bytu. Funkcya przeto inicyatorów nowej myśli była bardzo delikatna. Zadaniem ich było przekonać ziomków, że dotychczas stosowana metoda jest na razie błędną, że należy stosować odmienne sposoby działania, lecz nie pójść w tym kierunku za daleko, ażeby nie zniszczyć uczuć przywiązania i poświęcenia dla dobra ogółu, bez których żadna praca publiczna przeprowadzić się nie da, bez względu na to, jaką w danej chwili stosuje się taktykę.

Nie zajmuję się tu kwestyą, czy propagandę nowej myśli prowadzono zręcznie. Wystarczy zaznaczyć, że pod zaborem rosyjskim brakło jej niezbędnego poparcia, t. j. jakiegokolwiek sukcesu. Społeczeństwo może niekiedy zapomnieć o swych ideałach, gdy w zamian otrzymuje choćby drobne, ale natychmiastowe zdobycze, nie zdoła nigdy zrozumieć tych, którzy żądają zrzeczenia się żywionych nadziei wtedy, gdy każdy dzień przynosi

nowe klęski i nowe prześladowania. Wówczas odpada wszelki rozsądny motyw reformy swych poglądów, które przecież w tym wypadku realnie biorąc są równie obojętnie jak i nowe dla biegu wypadków. Nic przeto dziwnego, że w takich stosunkach zwolennicy nowej myśli nie mogli zjednać sobie poważniejszej liczby zwolenników, że zamiast przyciągnąć społeczeństwo na swą stronę, raczej ułatwili tylko zadanie przeciwnikom, którzy wszelką zmianę dotychczasowych poglądów politycznych uważali za szkodliwe i potępienia godne odstępstwo od narodowego patryotyzmu.

W takich mniej więcej warunkach rozwijała się w ostatnich latach polityka polska pod zaborem rosyjskim. Z jednej strony występowała t. zw. grupa ugodowców, domagająca się w imię rozumu politycznego daleko idącej rezygnacyi z aspiracyi narodowych, z drugiej stronnictwo narodowo-demokratyczne zwalczało gwałtownie tego rodzaju prądy. Polityka ugodowa, nie mogąc wykazać się żadnym poważniejszym rezultatem, nie zdobywszy żadnych ulg dla społeczeństwa, a w swej treści i formie z natury rzeczy mało sympatyczna musiała uledz w tej walce. To też, gdy w Rosyi wprowadzono formy parlamentarne, ogromna większość ludności stanęła pod sztandarem stronnictwa narodowego tak, że objęło ono od razu kierownictwo i odpowiedzialność za pozytywną akcyę polityczną.

Zasadniczo rzecz biorąc nie można takiego rezultatu nazwać pomyślnym. Stronnictwa narodowo-radykalne, których głównem zadaniem jest rozbudzenie i pogłębienie poczucia narodowego, nie powinny zużywać się w bieżącej polityce. Polityka praktyczna nie może obracać się około akcentowania ideałów, lecz zmuszona liczyć się z rzeczywistością i całym szeregiem względów taktycznych, opiera się na kompromisach, wysuwa na pierwszy plan cele najbliższe, idzie naprzód etapami, odstępuje nieraz od dróg prostych, ażeby tem pewniej ominąć przeszkody. Zewnętrznie akcya parlamentarna przedstawia się aż nazbyt często jako odstępstwo od zasadniczej idei, jako poświęcenie rzeczy wielkich dla drobnych korzyści. Stąd też każdy naród, który nie posiada swej własnej państwowości, powinien posiadać niejako dwie polityki, teoretyczną i praktyczną. Teoretyczna, która działa we-

wnątrz społeczeństwa, stawia zasadniczo postulaty narodowe nie badając, czy w danej chwili można je przeprowadzić, rozwija ideały, do których naród powinien trwale zmierzać. Jej zadaniem jest najpierw utrzymać społeczeństwo w przeświadczeniu, że codzienna polityka jest tylko szczegółem, który należy oceniać ze stanowiska ostatecznego celu, powtóre zaś dla polityków czynnych; dla przeciwników i postronnych ma ona stanowić podstawę dla stwierdzenia, że przedstawiane żądania i ewentualna walka mają charakter istotnie umiarkowany, bo społeczeństwo domaga się bez porównania więcej. Praktyczna polityka dopiero na tle tej nieprzejednanej, teoretycznej doktryny, nabiera rzeczywiście znamion umiarkowania i gotowości do zgody i ustępstw.

W Królestwie Polskiem stosunki ukształtowały się inaczej. Gdy pod naciskiem klęski w Mandżuryi zdawało się, że Rosya wchodzi w szereg państw konstytucyjnych, a w społeczeństwie naszem zaczęła się budzić nadzieja, że na arenie parlamentarnej można zdobyć znośniejsze warunki bytu, wówczas wszyscy niemal stanęli w obozie przeciwników polityki ugodowej. Stronnictwo narodowo-demokratyczne stało się od razu reprezentacyą ogromnej większości narodu, uzyskało przeważającą większość w kole posłów polskich, a tem samem objęło odpowiedzialność na dalszą politykę. Nie zamierzam wdawać się tutaj w krytyczną ocenę akcyi parlamentarnej, prowadzonej przez reprezentantów polskich w pierwszej, drugiej i trzeciej dumie. Wystarczy zaznaczyć, że w Petersburgu tak po stronie rządu i biurokracyi, jak i u stronnictw rosyjskich spotkano się z zupełnie czemś innem, niż się spodziewano. Kolejno jedną po drugiej tracono wszystkie illuzye, miejsce nadziei zajmowało rozczarowanie i przeświadczenie, że na polu parlamentarnem nie można uzyskać niczego. Polityka polska, od razu oparta na błędnych wyobrażeniach, musiała być chwiejną, bo zmieniała się w miarę, jak nasi reprezentanci zapoznawali się z rzeczywistością; napotykając na nieprzezwyciężone trudności i mając do czynienia w gruncie rzeczy z samymi nieprzyjaciółmi musiała prowadzić do samych niepowodzeń. Wskutek tego kraj ogarniało zniechęcenie, tem większe, im znaczniejsze były pierwotne nadzieje, a skoncentrowane w ręku tych, którzy dotąd reprezen-

towali pierwiastek idealny, polityki praktycznej, wprowadzało dezoryentacyę, bo wymagania chwili i taktyki zmuszały do ciągłych odstępstw i redukcyi zasadniczego programu.

W takiej chwili zniechęcenia, utraty wiary w możność osiągnięcia jakiegokolwiek dodatniego rezultatu wszystkich wysiłków, z natury rzeczy zaczęto szukać nowych sposobów i środków działania. Skrajne, gwałcące wszelkie prawo zaakcentowania eksterminacyjnej polityki antypolskiej w Prusach a ustawą o wywłaszczeniu i głosy potępienia tych projektów w świecie cywilizowanym, były tym czynnikiem, który przychodząc w psychologicznym momencie, musiał wywołać pewne skutki. Polityka antypolska zwracała się przeciwko nam, jako przeciw przedniej straży Słowiańszczyzny na zachód, stąd u niektórych naszych polityków zrodziła się myśl, ażeby w imię solidarności słowiańskiej, w imię wspólności interesów całego słowiańskiego świata żądać tego, czego na innej drodze nie można było uzyskać. W ten sposób wyłoniła się u nas idea neo-slawizmu.

(Dok. n.)

Włodzimierz Czerkawski.

ZJAZD KOBIET KATOLICKICH WE WIEDNIU.

Niedawno założona »Organizacya kobiet katolickich w Austryi« jest skutkiem rzeczywistej potrzeby. Potrzeby działania, jako p r z e c i w d z i a ł a n i a na tych polach pracy społecznej, które uprawiają od niedawna także, ale bardzo gorliwie, — inne ręce, z pominięciem zasad religijnych wogóle, katolickich w szczególności. Z tego samego już wynika, jakie sfery organizacyę tę stworzyły i utrzymują: konserwatywne i katolickie. A że dziś w Austryi — nie mówię o innych krajach koronnych — katolicką i religijną jest naprawdę tylko arystokracya, więc na pierwszym austryackim katolickim *Frauentag*'u, brakło absolutnie innych sfer. Nie było ani biurokracyi, ani mieszczaństwa; lud reprezentowały wyłącznie trzy robotnice, sprowadzone przez jednego z posłów Dolnej Austryi. I dlatego w konsekwencyi nie cieszmy się zbytnio, jeżeli z niniejszej relacyi potrafimy wywnioskować, że Galicya odniosła względny tryumf. Austrya, specyalnie Wiedeń, zrobiły już bardzo wiele, więcej od nas, tylko, że zrobiły to stowarzyszenia inne, bez katolickiej marki, lub jej wprost wrogie. I do tych właściwie powinniśmy iść w naukę. A tych właśnie na katolickim *Frauentagu* brakło zupełnie. Może to potrzebuje objaśnienia: robiono tam bardzo ścisłą dyspartycyę między pojęciami: *christlich* a *katholisch*. Można przypuszczać, że rzecz bierze początek w nomenklaturze politycznej: konserwatyści uważają się za katolików, partya chrześcijańsko-społeczna — tylko za chrześcijan. Naprzykład była mowa o tem, aby najpierw związać robotnice w stowarzy-

szenie *christlich*, a potem dopiero wprowadzić je na drogi katolickich działaczy. Jak się wyrażano: *christlich* jest popularne, *katholisch* odstrasza.

O wszystkich referatach da się powiedzieć jedno: oświetlały kwestye jednostronnie, te zwłaszcza, które dotyczyły spraw moralnych. Przyjęły za zasadę, że wszelkie zagadnienie społeczne da się rozwiązać w duchu Kościoła, z pomocą Kościoła, przez wiarę katolicką, nie uwzględniano stanowiska przeciwnego, t. j. tych, którzy nie w imię Boga, ale w imię ludzkości na innej drodze do celu dążą. Nawet wprost narzucało się przekonanie referentów, że każda praca społeczna, podjęta nie w imię miłości Bożej, jest bezwartościowa.

O ile zaznaczyć trzeba, że pierwsze jest prawdą, t. z. że nauka Kościoła katolickiego rozwiązuje wszystko, bo przewiduje wszystko — o tyle drugie jest zacieśnieniem nauki Kościoła, bo on właśnie w najszerszej mierze stosuje miłość bliźniego i uwzględnia czyn wolny, inicyatywą jednaką.

Drugą uwagą ogólną, dotyczącą prawie wszystkich referatów, tym razem pod względem formalnym, był cechujący je liryzm. Może to jest właściwość osobista, że najwięcej przemawiają do mnie konkretne cyfry i fakty; może taki mój ustrój, wybitnie polski zresztą, że niemieckiego sentymentalizmu, choć go rozumiem, to nienawidzę, — ale z początku posiedzeń zwłaszcza niezmiernie trudno mi było oswoić się z lirycznemi wycieczkami w stronę »zaszczytu przemawiania *in der reizenden Keiserstadt*«, »wobec gotyckiej wieży św. Stefana«, »pod tem samem niebem, które nakrywa austryacką Adryę« i »sprzymierzone nierozerwalnie a gorąco państwo pruskie«. Takiemi były nie tylko wstępy i zakończenia: samą kwestyę społeczną, jądro referatów, trzeba było nieraz wyławiać z szeregu obrazów, zapewne bardzo wzruszających, i tak prawdziwych, że chyba nawet między t e m i wielkiemi paniami nie było ani jednej, któraby ich kiedykolwiek nie widziała. Myślę, że robotnica, opuszczająca na pół dnia chore dziecko, albo inna, sypiająca na kuferku w izbie, zamieszkanej przez 3 rodziny, nie tylko u nas — i nie tylko paniom z Biura Sprawdzań .czy z Towarzystwa św. Wincentego à Paulo jest dobrą

znajomą. Referatów wogóle było 20; z tych w dwóch kwestyach zgrupowane po 2 i 4, mianowicie sprawa ochrony kobiet obejmowała 4 referaty, sprawa pracy zawodowej 2. Referentów przysłał Grac, Strassburg, Salzburg, Brück, Praga, Kraków, Berlin, Monachium, Kolonia. Resztę objął Wiedeń. Treść obejmowała mniej więcej wszystkie dziedziny, które zajmują dziś myśl społeczeństw kobiecych; więc wykształcenie naukowe, zawodowe, praktyczne; sprawą ochrony kobiet prawnej i praktycznej; walkę z niemoralnością; współudział kobiet w życiu politycznem i społecznem. Rezolucye i wnioski notowano, i staraniem »Organizacyi« będzie przedstawić je odnośnym władzom.

Interesujący treścią i przemawiający argumentem silnym, bo wiedzą — był referat p. r. d. Schalscha, delegatki berlińskiej. Krótka treść jest następująca: W Niemczech, r. 1908 jest 8 milionów kobiet pracujących. Potrzeba ich pracy rośnie w miarę przybywania dzieci; tym sposobem kobieta oderwaną zostaje od właściwego zadania. Płynie stąd krzywda dla kultury i dla ludzkości. Zwalcza się tylko symptomy, nie przyczyny, zatem obrano drogę fałszywą. Zło jest trojakie: niedostateczny zarobek męża, szkodliwość pracy robotnicy dla zdrowia, niebezpieczeństwo dla jej moralności. Następuje szereg obrazów życia robotnicy w fabryce porcelany, w tkalni, farbiarni.

Według badań na pruskim Śląsku robotnica zarabia 3—5 fen. za godzinę. Istnieje 111 zawodów szkodzących szczególniej fizycznej organizacyi kobiecej. Cygarniczek jest np. 40—90% ogólnej liczby robotników, a kobiety te umierają masowo w wieku 15—20 lat. Złe odżywianie rodzi projekt taniej kuchni z przytułkiem dla chorych. Płaca mężczyzn w fabrykach berlińskich wynosi 15 – 22 marek tygodniowo, podczas gdy kobiety zarabiają 8 – 9 marek. Ponieważ staje ich do pracy coraz więcej — płaca coraz niższa, i dlatego przeciętnie w jednej rodzinie pracują 3 osoby, aby zdobyć to, co zdobyć powinien mąż i ojciec. Budżet robotnicy: 32, 50 f. — po odtrąceniu Kasy ubezpieczeń zostaje jej 29 marek. Nie zdoła on wystarczyć, a niedobór choćby 5 marek miesięcznie, wpędza ją w długi bez wyjścia. A co dopiero w razie choroby? Kwestya obyczajności jest uwarunko-

wana mieszkaniem. Obraz t. z. *Schlafstellen* — u nas »kątem«. Czem może robotnica w tych warunkach być swemu dziecku? opuszcza je w kołysce, później zostawia na wychowanie — ulicy. Niedziela na wszystkie prace domowe wystarczyć nie może. A jednak ona obowiązki ma, ma więc i prawa. I nie można dziwić się, jeżeli ich żąda. Nie powinno się oddzielać pracy od osoby. Pracownica jest człowiekiem, a praca zabiera jej życie. Świat jest coraz bardziej zmateryalizowany, brak należytej oceny dla wartości idealnych, obniża się pojęcia Bóg, bliźni, moralność; ubóstwia się jedno: namiętność. Ten światopogląd zaraził także świat robotniczy, i socyalizm, ukazując zadowolenie namiętności musiał się przyjąć. Ale człowiek to nie maszyna. Zaprzeczenie Boga — to źródło wszelkiej nędzy. Wkońcu żądanie od państwa praw ochronnych dla robotnic, od Kościoła prawdziwej pracy nad szerzeniem idei Chrystusowych.

Pani Kamilla Theimer, autorka licznych broszur, mówi o *Heimarbeit.* Ta istnieje u nas w bardzo małych rozmiarach; nie zdarza się prawie, aby cała rodzina robiła np. same rękawy, same dziurki, same krawaty, same podszewki do kapeluszy. W Austryi, we Wiedniu, panują fatalne dla pracy tej stosunki. Przy 13—15 godzinach pracy dziennej zarobek tygodniowy wynosi maksymalnie 8—9 koron. Warunki mieszkaniowe fatalne: na 1000 badanych — 342 były sypialnią i warsztatem, 500 sypialnią, warsztatem i kuchnią, reszta kuchnią i warsztatem. Zła płaca płynie z taniości towaru, taniość z ciągle nowej mody; moda z głupoty kobiecej części publiczności. Brak praw ochronnych ze strony państwa.

Rezolucya: wzywa się zarząd zgromadzenia do wejścia w układy z innemi stowarzyszeniami, aby żądał wkroczenia władz w sanitarne i płatnicze kwestye bytu pracujących w domu. Powstaje projekt stworzenia urzędu centralnego *(Centralamt)* dla pośrednictwa pracy kobiecej, z siedzibą centralną w Wiedniu, a z biurami w pojedyńczych krajach koronnych. Interesa narodowościowe uwzględnione byłyby w ten sposób, że każda miałaby w Wiedniu swego reprezentanta, któryby w nieustannym był kontakcie z siedzibą centralną z jednej strony, z biurem krajowem — z drugiej.

Chodziłoby o zajęcie się pracą, zarobkiem, zapobieżeniem wyzyskowi tych, którzy z obcych krajów przychodząc, żadnej nie znajdują opieki. Porozumienie się za pomocą takich biur choć w części zapobiegłoby złemu.

Prof. Fleischer z Berlina mówi o współudziale kobiet w życiu publicznem, głównie w życiu politycznem. Po wycieczkach w stronę przymierza prusko-austryackiego, po zapewnieniach o katolickiem usposobieniu młodej generacyi Berlińczyków, po cytatach z Goethego i określeniach ideałów kobiecych z XVIII w., po obrazie miast i miasteczek pruskich w w. XIX, szerokich opisach zajęć kobiecych w dawnych czasach, według Schillerowskiej *Lied von der Glocke*, ubolewa, że kobiecie dzisiejszej pozostała tylko nuda. Bo pozwoliła sobie wydrzeć jedno pole pracy po drugiem, a nic nie zrobiła, aby je utrzymać. Zajęcia zaczęła potem szukać poza domem — a tam spotkała się z zagadnieniami natury ogólniejszej.

Kobieta i mężczyzna, to jest jednostka socyalna, a więc prawa równe, tylko ich forma inna. Cel kobiety — to rodzina, dom; a współudział w polityce celowi temu przeciwny. W dyskusyi zabiera głos wiele osób. Głos skrajnej lewicy — to p. Jeżewiczówna, studentka wiedeńska; żąda równości praw politycznych, bo póki mężczyzna prawa stanowi, zawsze krzywdzić będzie kobietę. Choćby przez egoizm. Skrajna prawica — to bar. Karnop z Kolonii, która twierdzi, że prawdziwa katoliczka nie może nigdy chcieć się wyemancypować. (!) Prócz tego, zdania pojednawcze: polityka wnosi w dom niezgodę, a kobieta domu strzeże; nie wiemy jeszcze jaki obrót, zły czy dobry, weźmie ruch kobiecy, więc czekajmy. Wreszcie dr. Fleischer odpowiada na zarzuty, że:

1) nie jest idealnym stan społeczny, gdzie pragnie się dla kobiety praw politycznych;

2) że kobieta najpierw musi stać się ich godną.

»Literacka działalność kobiet«, to był przedmiot, o którym mówiła p. Domanig z Wiednia. Właściwie — miała mówić. Bo treść zawiodła; zawiodła o tyle, że mowa była o czem innem. Sądziliśmy, że referentka da obraz tego, co kobieta w literaturze zdziałała, co nowego do niej wniosła, jaką jest jej rola, a jaką być

powinna. Pani Domanig rzecz pojęła inaczej: mówiła o pomocy, jaką jest literatura w uświadamianiu mas, i co może na tem polu zrobić kobieta. Więc o czytelniach, wypożyczalniach, wpływie matek na lekturę córek, o roli nauczycielki-bibliotekarki, wreszcie o potrzebie pisma specyalnego dla kobiet z intelligencyi, poświęconego sprawom społecznym i literackim. Myśl została przyjęta i w związku z rezolucyą, rozdano nazajutrz odezwę z kwitem, na którym podpisać się ma ten, ktoby pismo zaabonował. O ile zbierze się 1500 abonentów, pismo zacznie wychodzić, jako miesięcznik w cenie 4 koron rocznie. Aby już do kwestyi tej nie wracać, powiem zaraz, że zwrócono się do mnie z dwoma prośbami podczas posiedzenia delegatek:

1) abym zgodziła się na wydrukowanie nazwiska prezesowej związku naszego między reprezentantkami wszystkich krajów koronnych, na programowym numerze pisma, jako organizatorki;

2) abym przyjęła w piśmie współpracownictwo, informując je stale o działalności kobiet krakowskich na polu społecznem.

Pierwsze musiałam pozostawić do decyzyi Wydziału polskiego Związku Niewiast katolickich, który przedstawiony wniosek załatwił przychylnie. Drugie obiecałam, bo najpierw występowałam osobiście tym razem, a potem sądzę, że dobrze będzie informować się nawzajem.

Pani v. d. Wense mówi o organizacyi dziewcząt dorosłych, czyli o t. z. patronage'ach, związkach, stowarzyszeniach wśród różnych pracownic. Żąda dla zgromadzeń niedzielnych systematycznych wykładów religii i apologetyki i porozumiewania się z rodzicami; zaprowadzenia tańców, aby młode dziewczęta ruch miały; zabaw towarzyskich; wpływu osoby prowadzącej, która musi być stałą; narzeka na dorywczy współudział pań; na dyletantyzm w spełnianiu obowiązków, na robienie z pracy — rozrywki. Żąda częstych spowiedzi pod kontrolą, np. obserwowania 9-ciu pierwszych piątków; stałych komunii; stałych spowiedników; wspólnych rekollekcyi.

W dyskusyi p. v. Schalscha opowiada o organizacyi najmłodszych robotnic w fabrykach berlińskich; hr. Corti z Gracu prosi o współudział panien w pracy matek, a p. Anegg — także

z Gracu — opowiada, że próbowała zachęcić panny — napróżno. Wtedy niżej podpisana opowiedziała w kilku słowach o *Jugendsection* (sekcyi młodzieży) naszego Związku, o pracach panien w ochronkach, tanich kuchniach, w ekspedycyi *Przyjaciela sług*; o teoretycznem przygotowywaniu się i nowych pomysłach, wyrażając nadzieję, że w ten sposób przygotuje się zastęp pracownic Bogu i ojczyźnie, a zapewni dalszy rozwój Związkowi. Co przyjęto kolosalnem *bravissimo*.

Po hr. v. d. Wense było miejsce dla mego referatu »o szkołach gospodarczych«, który zresztą z czasem znajdzie miejsce na stronicach *Przeglądu*. Przyznano ogólnie, że był rzeczowym, o co właśnie chodziło. W dyskusyi stawia wspomniana już bar. Karnap wniosek, aby zwrócono się do rządu z życzeniem zaprowadzenia obowiązkowej nauki gospodarstwa domowego dla dziewcząt, kończących szkoły średnie. Dopóki nauka ta nie będzie obowiązkową, nie można spodziewać się żadnych rezultatów. O potrzebie szkół gospodarczych dla nauczycieli mówią dr. Ernst z Monachium, p. Einhäuser, bar. Scheyer; hr. Romerowa żąda wieczornych kursów gotowania dla robotnic.

Prof. Hilgenrainer z Pragi mówi o studyach uniwersyteckich dla kobiet. Jest im wogóle przeciwny, zwłaszcza przy obecnem przepełnieniu w zawodach uczonych, a przy braku sił do zawodów praktycznych. Uważa, że nauka pozbawia kobiety ich cech właściwych, bo nią zaabsorbowane nie mają czasu na ich pielęgnowanie; sądzi, że trzeba im stwarzać ogniska domowe, gdzie znajdowałyby ciepło rodzinne *(Familienschluss)*, a strzegły przed wynaturzeniem; idzie nawet tak daleko, że nie znajduje ani jednej kobiety dzisiejszej, którąby potrafiła połączyć męskie wyrobienie, hart, stałość — z wdziękiem kobiecym. Dyskusya trwa bardzo długo; najgoręcej mówi p. Jeżewiczówna o braku przygotowania do uniwersyteckich studyów, o biedzie między studentkami, o ciasnocie pojęć w odnoszeniu się do studyów kobiecych. Popiera ją pan Maresch, jeden z tych mężczyzn, którzy są za najdalej idącą emancypacyą. Wreszcie niżej podpisana przeczy, jakoby niemożliwem było połączenie pracy umysłowej z zaletami serca, charakteru i wdziękiem. Twierdzi, że znajduje przy-

kłady na uniwersytecie krakowskim, a jeżeli czasem zdaje się, że nauka oziębiła serce, to stało się jedynie tam, gdzie go wcale nie znalazła; zapomniano o niem w wychowaniu domowem; wreszcie informuje o myśli budowy domu akademickiego dla kobiet, która wprawdzie wyszła z kół innych, ale urzeczywistnioną zostanie przy naszym współudziale i naszej pomocy; i o internacie Urszulańskim. — P. Jeżewiczówna wyjaśnia, że nie wszędzie taka jest ofiarność, jak w Galicyi i dość ostro dodaje, że nawet dziś rozpoczęte w Austryi usiłowania pociągnięcia młodych, zwłaszcza uczących się kobiet, spotykały się z oporem: nie mają zaufania, bo je starsi utracili. »Straciliście w tym kierunku placówkę przynajmniej na lat dziesięć« — mówi p. Jeżewiczówna.

Dyrektor Kemetter (referat p. t. *Mittelschulen für Mädchen*) krytykuje naukę w szkołach średnich żeńskich: gimnazyach, liceach, wydziałowych. Nie widzi przyszłości dla kobiet o klasycznem wykształceniu; omawia plany, tak mało — właściwie wcale nie uwzględniające różnic między chłopcami a dziewczętami; sądzi, że usiłowania poprawy stosunków ministeryum oświaty skierować się powinno ku ulepszeniu liceów, t. j. zakładów z językami nowożytnymi, wprowadzają do nich obowiązkową naukę prowadzenia ksiąg gospodarczych, i gospodarstwa domowego. Podaje wreszcie statystyczne dane i kończy krótką charakterystyką nauczycielstwa, przyczem akcentuje, że musi podpisać wszystkie słowa uznania, jakie tu padały w stronę Galicyi: tam jest najwięcej miłości ideału i praca idzie gorąco na każdem polu. — Ponieważ mnie pierwszą zapisano do głosu w dyskusyi, więc czułam się w obowiązku za wyrazy te podziękować, jak wogóle za uznanie, z jakiem spotykały się nasze polskie usiłowania w austryackim *Frauentagu*. W przedmiocie referatu zwróciłam uwagę na konieczność zakładania szkół żeńskich przez rząd, bo prywatne muszą mieć braki, wynikające z ich prywatnego charakteru; na zmianę programu nauk według potrzeb zadań kobiecych; na konieczność uwzględnienia przedmiotów, kształcących zmysł piękna; na wychowanie fizyczne. P. K. Theimer poparła moje dowodzenie; p. Jeżewiczówna walczyła przeciw liceom, twierdząc, że

16-letnie, opuszczające je panny, są w nauce uniwersyteckiej jedynie balastem.

Hrabina Fünfkirchen-Lichtenstein (referat p. t. »Ochrona dziewcząt«) opowiada o domu założonym przez siebie dla poprawy osób złego prowadzenia się pod jakimkolwiek względem. Wyznaje, że działalność dotąd dość mało wydatna, bo 8 musiano oddać z powrotem policyi, a 12, umieszczonych w różnych zajęciach, wypuszczono z opieki i stracono z oczu. Atakuje ostro rząd o braki w prawie karnem, które nie zna żadnych ustaw dla wszelkiego rodzaju pośredniczek; o ustawę opieki przymusowej, o ochrony dla idyotek. Do skutecznego działania potrzeba osób zaufanych na prowincyi i kontaktu z różnymi krajami; adresów stowarzyszeń, związków, biur, z którymi możnaby się porozumiewać. Wskazuje na obojętność ogółu, na małą ilość członków płacących, jeszcze mniej czynnych: np. nikt nie spieszy z katechizacyą, z popularnymi wykładami. Kończy apelem do matek, aby synów uczyły, że kobietą także jest ich matka i siostra i przyszła towarzyszka życia; niechże w tej ulicznicy widzą godność kobiecą, zanim się ona przez nich ulicznicą stanie. Rozsądną bardzo jest uwaga, że księży sto względów powstrzymywać może od tej właśnie umoralniającej pracy; pozostają zatem tylko głowy i serca kobiece. Całe przemówienie jest nie tyle ścisłe, ile gorące i do serca trafia. To mówiła — matka. Dyskusya: Hrabina Romerowa w dłuższej przemowie żąda od społeczeństwa właśnie na ten cel pieniędzy i jeszcze pieniędzy. Bar. Karnap chce ustawy opiekuńczej, któraby dozwalała kobietom być opiekunkami sądowemi. Pater Rösler twierdzi, że grunt w tem, aby kobieta upadła wiedziała, że i dla niej otwartą jest droga łaski uświęcającej: więc częste spowiedzi; podnosi wpływ matek na synów; widzi postęp w tem, że kobiety tej sfery co referentka podjęły sprawę, podczas gdy dotąd wstrzymywał je wstyd. — Hr. Corti żąda łączności między stowarzyszeniami; p. v. d. Schalscha chce współudziału katoliczek, bo znajduje, że cała akcya na tem polu jest w rękach protestantów i liberałów. (?!) P. Einhäuser z Monachium opowiada o urządzeniu tamtejszem: stała asystentka na policyi przyprowadzone kobiety bada w rozmowie i odsyła gdzie uzna

za stosowne: do klasztorów, przytułków, domów poprawy. Tym sposobem mało zostaje w więzieniu i poprawiają się w otoczeniu odpowiedniejszem, zamiast, jak często, stawać się gorszemi.

Ale warunek: asystentka taka musi być wykształcona, bystra i serdeczna.

Pater Frömmel mówi o strasznej niemoralności Wiednia która wyraża się przedewszystkiem małżeństwami bez ślubów kościelnych. Daty są przerażające: w jednem mieszkaniu — pięć takich małżeństw; w jednej fabryce na 30 robotnic — 29 żyjących na wiarę; w domu o 180 mieszkaniach 59 zajętych przez dzikie małżeństwa. Starce 74-letni — i 23-letni młodzieńcy; dziewczęta od 14 roku życia; często matka i ojciec, synowie i córki obok siebie, w jednem mieszkaniu. Powód leży w cierpliwości rządu; miasto Wiedeń udziela np. zapomóg matkom dzieci nieślubnych — więc ślubu nie biorą, by zapomogi nie utracić. Dalej: głupota, bieda, niezaradność. Np. przepis, że trzeba mieszkać 6 tygodni w jednej parafii, aby w tej właśnie wyszły zapowiedzi, bywa tłumaczony, że 6 tygodni trzeba mieszkać razem. — Jest w Wiedniu stowarzyszenie dla walki przeciw konkubinatowi: nazywa się Stow. św. Franciszka Regis. W r. 1908 nawróciło 715 małżeństw dzikich, w 1909 — 900. Jedna robotnica przyprowadziła w jednym roku 68 par do ślubu, inna — 90. Dyskusya jest trudna.

P. Pauzer mówi o szkołach ludowych; plany są nieodpowiednie, za szerokie, za obszerne, dzieci wychodzą bez żadnych wiadomości. Trzeba też zreformować seminarya nauczycielskie — dobierać materyał nauczycielski. Referentka przechodzi pojedyncze przedmioty, wyjaśniając — czego się żąda — i dowodząc, że żąda się zawiele. Wykład dla tej publiczności jest zbyt specyalny i na sali nauczycieli jest bardzo niewielu, dyskusya więc słaba. P. Theimer żąda innego planu dla nauczycielek ludowych wiejskich i miejskich; p. Auegg uważa to za utopię ze względów praktycznych: żadna bowiem nauczycielka nie idzie na wieś na wieczne czasy, natomiast każda z nadzieją, że kiedyś przeniesioną zostanie do miasta. Niżej podpisana twierdzi, że dobór nauczycielskiego materyału uniemożliwia protekcya, która jest plagą całej Austryi,

a przynosi ujmę kobiecej godności. P. Lincke sądzi, że zawsze jeszcze najwięcej gwarancyi daje wychowanie klasztorne.

Nastąpił referat d-ra Plöchla (Wiedeń) o walce z niemoralnością *(Kampf gegen die Unsittlichkeit)*. Nie będę tu powtarzała szczegółowo jego wywodów: atakował swobodę mężczyzn i niewolę kobiet; prostytucyę; brak ustaw ochronnych; tłumaczenie się ustrojem fizycznym; podwójna moralność i t. d. Powody znajdował w nędzy, w próżności, w chęci użycia, w zbytku w braku znajomości najprostszych zasad katechizmowych. Dyskusya poruszyła sprawę aktorek, wyzysku, pornografii, sztuk teatralnych, kart korespondencyjnych, a w rezolucyi postawiono wniosek o dopuszczenie kobiet do cenzury książek i sztuk teatralnych w odpowiednich urzędach starostw, policyi, w komisyach rad miejskich.

W porównaniu z naszemi posiedzeniami uderza jedno: większa swoboda w mówieniu. U nas zwykle na otwarcie dyskusyi odpowiada zrazu głębokie milczenie, potem zawiązuje się ożywiona rozmowa »po cichu« między najbliższemi sąsiadkami. Tam trzeba było co chwila zamykać listę zgłoszonych. A ci mówiący, właściwie te mówiące, nie zawsze wprawdzie trzymali się przepisanego czasu, ale zawsze mówili o przedmiocie, zwykle żywo, z zacięciem, z przekonaniem. Ułatwiało sprawę — zdaniem mojem — znakomite urządzenie: po referacie, t. zw. *Diskussionsleiter* ogłaszał głośno podczas referatu wynotowane punkta i kolejno poddawał dyskusyi. Dlatego był porządek i dlatego jasnym obraz dyskutowanego przedmiotu, choćby nie był takim referat sam przez się.

Brak wyszkolenia myślowego raczej, niż formalnego, objawiał się w pozornym bezkrytycyzmie: brawa otrzymywali często przedstawiciele najskrajniejszych opinii. Ale to o tyle nie dziwne, że słuchający żywego słowa odbiera równocześnie wrażenia różne i logiczność wywodów mówiącego odgrywa rolę 10 razy mniejszą, niż np. jego pozór, żywość, sympatyczność. Działa ogół wrażeń, nie wyłącznie treść słów, więc można zrozumieć pomyłki w sądzeniu.

Pozostaje mi zdać sprawę z posiedzenia delegatek, *ad hoc* zwołanego tylko dla Galicyi, t. j. Lwowa i Krakowa; właściwe

bowiem odbyło się w drugie święto Wielkiejnocy i żadna z reprezentantek tych miast nie brała w niem udziału. Miałam przedstawić działalność Związku: uczyniłam to na podstawie ostatniego sprawozdania (z miesiąca marca za rok 1909), omawiając pokrótce prace w ośmiu istniejących sekcyach. Obecnych było 12 pań, panów 2; przewodniczyła hr. Zichy księżna Metternich. Gdy skończyłam, słowom podziwu dla Krakowa nie było końca. Tyrol zainteresował się najwięcej Stowarzyszeniem św. Zyty, Styrya — taniemi kuchniami, Kolonia — Sekcyą młodzieży, wszyscy — szkołą gospodarstwa domowego w Mielcu. Adres Związku i własny zostawić musiałam kilkunastu osobom. Życzenie do Wydziału *Frauentagu* wystosowałam jedno: o przesłanie Polskiemu Związkowi niewiast katolickich jak najdokładniejszego sprawozdania z odbytych obrad. Będąc delegatką czułam się odpowiedzialną za każde słowo i chciałabym, aby moje sprawozdanie znalazło potwierdzenie faktyczne.

Salwując posiedzenie delegatek hr. Zichy Metternich prosiła o prędki do Wiednia powrót, dodając, że im brak osób z temperamentem i miłością Polek.

Tegoż dnia wieczorem odbyło się uroczyste zamknięcie zjazdu, gdzie zgromadzony literalnie cały Wiedeń, wysłuchał sprawozdania z obrad wygłoszonych przez Monsignora Weisa z Tyrolu, przyjmując oklaskami projekt nowego kobiecego pisma i dziękując hr. Zichy powstaniem za urządzenie zjazdu. I tam także serdeczne słowa dostały się przedstawicielkom przybyłym z innych krajów, i tym, które służyły zjazdowi pracą choć w obcym dla siebie języku.

Trochę na komplement wyglądają słowa Monsignora Weisa, jednak komplement tak Polce miły, że odważam się tu go powtórzyć: *Sie sind ein zweiter, diesmal weiblicher Sobieski: Sie kamen Wien zu erobern.*

Zapytana, czego się nauczyłam podczas zjazdu, odpowiedziałabym: subordynacyi. — Czy przywiozłam nowe pomysły do wprowadzenia w życiu u nas? Owszem, trzy:

1) Stanowisko asystentki na policyi;

2) udział kobiety w cenzurze;

3) urządzenie wystawy książek godnych polecenia, dla młodzieży, przed Bożem Narodzeniem.

Pod względem formalnym: uporządkowanie dyskusyi przez nadanie jej kierownika.

Zupełnie nie mam zamiaru taić: zadanie, które mi Związek powierzył nie należało do najłatwiejszych; zapewne można też było spełnić je nieskończenie lepiej. Mimo to wdzięczna jestem za zaufanie — i za sposobność nauczenia się niejednego pod niejednym względem.

Wróciłam bogatsza o jedną pewność: że u nas nie jest najgorzej. I o jedną wiarę: że jeszcze potrafimy dowieść sił naszych, żywotności, konieczności istnienia w tej czy innej przejściowej formie — nie słowem tylko, lecz czynem.

Nie zginęła!

Marya Ruszczyńska.

WALKA O HOME RULE.

Wreszcie tryumfują Irlandczycy!

Opanowali Anglię i jak dotąd p. Redmond zwycięża.

Odkąd wrócił do parlamentu wypowiadał się zawsze jasno, energicznie i powoli usuwał p. Asquitha. Najpierw, jak tego chciała partya irlandzka uchwalono prawo przeciwko lordom, potem premier ministrów zmuszony był oświadczyć, że złożyłby tekę jeśliby ten projekt prawa przeciw Izbie wyższej nie przeszedł. Wtedy narodowcy irlandzcy, ale dopiero wtedy zgodzili się, a może jeszcze za prędko, -- głosować za budżetem wniesionym przez liberałów. (Narodowcy dyssydenci t. j. niezawiśli, głosowali przeciw).

Oto w kilku słowach na czem stanęło: Izba niższa posłała Izbie lordów projekt prawa czyli bill, na mocy którego odtąd lordowie nie będą mogli obradować nad sprawami dotyczącemi finansów, a co do innych spraw, regułą ma być na przyszłość, że skoro jaki bill po trzykroć zostanie odesłany przez Izbę niższą do Izby lordów, to już *ipso-facto* zostaje przyjęty, mimo odrzucenia go przez Izbę lordów. Znaczy to w praktyce znieść Izbę wyższą.

Jeżeli bowiem lordowie odrzucą ten projekt, co więcej jak pewne, to rząd zażąda rozwiązania parlamentu i rozpisze nowe wybory, ale zawczasu żądać będzie od króla rękojmi, czyli zapewnienia, że król zamianuje tylu parów (czyli lordów) liberalnych, ilu ich będzie potrzeba, aby osiągnęli przewagę w Izbie wyższej. Jeżeli się król nie zgodzi, p. Asquith się usunie i partya

liberalna nie weźmie udziału w rządzie. Jeżeli zaś król się zgodzi, wtedy nowe wybory nastąpią, a program liberalny zawierać będzie:

1) Home Rule dla Irlandyi, 2) zniesienie Kościoła państwowego we Wallii, 3) nowe prawodawstwo szkolne.

Ponieważ Home Rule jest bardziej jak kiedykolwiek dotąd na porządku dziennym, przeto sądzę, że będzie pożądanem dla czytelników *Przeglądu* poznać właściwy stan opinii co do tej kwestyi. Następnie roztrząśniemy zagadnienia związane z Home Rule i dobrodziejstwa, których się może po nim Irlandya spodziewać.

Za często Anglicy sądzą, że ujmą całą siłę argumentom irlandzkim, wykrzykując: »widzimy czego chcecie, zamierzacie rozerwać więzy, które was łączą z Anglią. Jesteście odstępcy i buntownicy niepoprawni! Czyż jest tak w istocie? Oprócz małej grupy — rzeczywiście małej, i kilku zapalonych Irlando-Amerykanów wzbogaconych i upojonych pomyślnością, czyż to prawda, by ludność dążyła do urzeczywistnienia planu separacyjnego? Najlepszą odpowiedzią na to pytanie jest wytłumaczyć co to znaczy »Home Rule«.

Wyraz Home Rule był wprowadzony przez Izaaka Butt i oznaczał dochodzenie praw politycznych, które miały zastąpić dochodzenie własności swej prawem »Repealu«. »Repeal« sam wymagał zerwania bez żadnych zastrzeżeń węzła, łączącego Irlandyę z Anglią od czasu aktu Unii z roku 1800. Przedtem pomiędzy dwoma krajami były stosunki niezupełnie wyraźne. Związek obu państw polegał głównie na Unii personalnej, t. zn. na tem, że w Anglii i Irlandyi panował jeden i ten sam monarcha, ale Irlandya miała osobny swój parlament w Dublinie. Później wrócę jeszcze do tej kwestyi. W każdym razie od r. 1800 parlament ten nie istnieje i Irlandya jest rządzona jak Anglia, Szkocya i Wallia przez parlament angielski w Westminsterze.

Żądania Butta były ułożone przez konferencyę »Home Rule«, która się zebrała w Dublinie 13 listopada 1873 r. Dopominano się o przywilej, ażeby sprawy irlandzkie załatwiane były przez parlament obradujący w Irlandyi a złożony z monarchy, lordów

i gmin irlandzkich (3 rezolucya). Ale »żądając wykonania tych praw i tych przywilejów dla naszej ojczyzny przyjmujemy zasadę związku federacyjnego, któryby zapewnił dla parlamentu irlandzkiego przywilej uprawniania i określania wszystkich kwestyi tyczących się wewnętrznego zarządu Irlandyi; — gdy tymczasem parlament królewski zachowałby prawo rozstrzygania kwestyi wszystkich, dotyczących korony i rządu królewskiego, prawo zarządzania koloniami i innemi terytoryami zależnemi od korony; nadto kontrole stosunków państwa z obcemi mocarstwami, głosowanie w sprawach podatkowych, żądanych przez administracye państwa i bezpieczeństwo publiczne« (4 rezolucya).

Cztery ostatnie postanowienia odnoszą się do stanowiska, jakie zajęła partya narodowa irlandzka względem państwa i mniejszości związkowej [1]. Są one następujące:

a) Konstytucya narodowa nie zamierza żadnej zmiany wnosić do parlamentu królewskiego, nie chce wtrącać się do przywilejów korony, ani do praw konstytucyi.

b) Ażeby zapewnić narodowi irlandzkiemu korzyści rządu konstytucyjnego, za najważniejszą rzecz uważa, aby administracya irlandzka nadzorowaną była podług zasad konstytucyjnych przez parlament irlandzki i zawisłą była od ministrów odpowiedzialnych przed tymże parlamentem.

c) Według zdania członków konferencyi, układ federacyjny oparty na wskazanych zasadach przyczyniłby się do wzmocnienia i utrwalenia podstaw państwa, dodałby mu większej godności, a koronie prawdziwego splendoru.

d) Wobec przekonania, że parlament irlandzki zabezpieczy najlepiej i najistotniej prawa i wolność wszystkich klas ludności, pragniemy ujrzeć zamieszczone w Konstytucyi federacyjnej artykuły, dające zupełną gwarancyę i przyrzekające, iż ten parlament nie uchwali żadnej zmiany co do podziału ziemi i prawa własności, że nie przeprowadzi takiej ustawy, któraby jakąkolwiek

---

[1] Przez partyę związkową należy rozumieć tych, którzy uznają związek z Anglią, zawarty aktem Unii z r. 1800. Temu stronnictwu przeciwną jest partya narodowa.

religię czyniła panującą, lub pozbawiała kogoś praw obywatelskich z powodu jego religijnych przekonań.

Mówiąc o tem musimy zauważyć, że od r. 1873 parlament królewski już wiele razy zmieniał rozdział ziemi i prawa własności.

W r. 1886 Gladston wniósł projekt ustawy zezwalający na »Home Rule«, cała sprawa już przestała zatem istnieć li tylko w teoryi, a stała się kwestyą praktyczną. Ówczesny leader irlandzki, wielki ale nieszczęśliwy, Parnell, wyraził się wtedy temi słowy: Odkąd Bill wszedł pod dyskusyę, zawsześmy pojmowali różnicę pomiędzy parlamentem współrzędnym a parlamentem zależnym i rozumieliśmy, że zamiarem premiera ministrów było przedłożyć utworzenie w Irlandyi parlamentu zależnego... Co do mnie, to bez wątpienia wolałbym dla Irlandyi parlament zupełnie królewskiemu współrzędny, wolałbym, by był przywrócony parlament Grattana, ale uważam, że są także korzyści i z takiego parlamentu, jaki obecnie proponują, t. j. nie samowładny, ale podległy parlamentowi królewskiemu, które to korzyści uczynią ten parlament pożyteczniejszym dla Irlandyi aniżeliby ten był, jakiego Gratten pragnął.

»Wyższość parlamentu królewskiego, pojmuję w ten sposób iż będzie on mógł wkraczać w sprawy parlamentu irlandzkiego, ale tylko pod pewnymi warunkami, wtedy mianowicie, jeśliby sądził, że tamten nadużył powierzonej mu władzy. Ale przecież stronnictwo narodowe, przyjmując projekt ustawy, który mu przedkładają, zobowiązuje się tem samem, o czem nie wątpię, nie nadużywać udzielonej sobie władzy i my zobowiązujemy się pod tym względem w imieniu ludu irlandzkiego o ile tylko zobowiązać się możemy, iż sami nie popełnimy nadużycia, i że wszystkie siły nasze poświęcimy i całego naszego wpływu użyjemy, ażeby tej władzy nie nadużyto. Zresztą uważamy przedłożoną ustawę taką, która może całe położenie polityczne stanowczo uregulować, i mocno jestem przekonany, że to samo zdanie podziela cały naród irlandzki«.

Ta mowa historyczna Parnella jest jasnem i zupełnem streszczeniem całego stanu rzeczy. Można powiedzieć, że od r. 1886

nic się nie zmieniło, że p. Redmont mógł wyrzec: stoimy teraz zupełnie na tem samem stanowisku, na którem stał Parnell, zajmujemy jego miejsce. Oto zresztą podajemy końcowy ustęp jego mowy z 30 marca 1908: »Reforma rządu w Irlandyi jest sprawą najbardziej żywotną nie tylko dla samej Irlandyi ale zarazem środkiem polepszenia bytu całej Brytanii i według opinii tego parlamentu (Izby gmin) rozwiązanie zadania może tylko nastąpić przez nadanie ludowi irlandzkiemu władzy prawodawczej oraz kontroli nad wszystkiemi sprawami czysto irlandzkiemi«.

Ten wniosek został przedłożony do głosowania Izbie gmin; postanowiono dodać doń jeszcze klauzulę: »Pod dozorem i władzą najwyższą parlamentu królewskiego«. Wtedy p. Redmont powstał i rzekł: uważam te słowa za zbyteczne, zawsześmy uznawali pierwszeństwo parlamentu królewskiego i zawsze byliśmy tego zdania, że niemożebnem jest wyrzec się jego zwierzchności ustanawiając prawodawstwo dla Irlandyi. Ustawa z roku 1886 była oparta na zachowaniu zwierzchnictwa parlamentu najwyższego.

Pierwsze słowa drugiego projektu Home Rule w r. 1893 były: »Władza prawodawcza będzie ustanowioną bez naruszenia lub zmniejszenia wyższości parlamentu królewskiego«. Położenie rzeczy co do istoty swej pozostało to samo, a sposób skorzystania z niego także nie uległ zmianie.

Zanim przystąpimy do krytycznej oceny rzeczywistych trudności, na jakie Home Rule napotyka, rozbierzmy pokrótce i odpowiedzmy na zarzuty stawiane mu obecnie przez stronnictwo związkowych.

A. Home Rule jest równoznaczne z Rome Rule. Co to znaczy? To, że Irlandya autonomiczna wpadnie pod władzę narodowców, księży, co sprowadzi za sobą ucisk mniejszości protestanckiej. Czy nie powiedział otwarcie leader związkowy p. Balfour, że ustawa o autonomii gmin w Irlandyi jest w każdem hrabstwie wyzyskaną dla celów partyjnych nawet często z poświęceniem prawdziwych korzyści większości.

Związkowy Long, były sekretarz generalny dla Irlandyi, potwierdził zapatrywanie swego szefa i dodał od siebie, że obecnie

fatalnem byłoby dla mniejszości t. j. protestantów rozszerzenie władzy większości katolickiej.

To prawda, że wszędzie, gdzie narodowcy są większością, wybierają przedstawicieli narodowych. Czyż nie jest to naturalne? Wszak związkowi czynią tak samo. Któżby ich za to ganił? Ale narodowcy nie wymagają od swoich kandydatów żadnego wyznania wiary religijnej, tak że wśród 81 deputowanych narodowców, którzy stanowili stronnictwo irlandzkie w parlamencie upadłym, było 9 protestantów. Proszę zauważyć, że większość wyborców jest katolicka. A iluż katolików znajdujemy wybranych przez związkowych Irlandyi czy to w parlamencie, czy to na radach hrabstw, czy to w obradach okręgowych? Ani jednego.

Wejdźmy w szczegóły, ponieważ zarzut jest poważny. W hrabstwie Armagh jest 68.000 protestantów, 56.000 katolików. Rada hrabstwa jest złożona z 22 protestantów i 8 katolików. Innemi słowy, protestanci, którzy stanowią 54·8% ludności, przedstawiają 73·3% w radzie, a katolicy tworzą 45·2% ludności, są w radzie w stosunku proporcyonalnym 26·7%. W różnych komisyach mianowanych przez radę, protestanci pozwalają sobie na takąż proporcyę, np. 10 przeciw 2 w komisyi finansów. Kiedy chodzi o urzędy wynagradzane, niesprawiedliwość jest jeszcze większa: z 50 urzędników tylko 3 jest katolików. W hrabstwie Tyrone katolicy są w większości: 82.000 przeciw 68.000 protestantów; ale okręgi były tak zręcznie podzielone, że związkowi posyłają do rady 16 ze swoich wtedy, gdy narodowcy mają tylko 13 przedstawicieli, z których jeden jest protestant. Ta rada daje protestantom w swoich komisyach przedstawicieli 2 przeciw 1 nacyonaliście i z całości 52 urzędników, 5 tylko jest katolikami.

W hrabstwie Autrim protestanci są w liczbie 196.000 przeciw 40.000 katolików, jest w radzie 26 protestantów a 3 katolików, z 65 urzędników 60 jest protestantów.

Toż samo w hrabstwach Bown i Kerry.

Wszędzie więc gdzie unioniści są większością w radzie, lwią część sobie zatrzymują w komisyach i prawie dzierżą monopol urzędów korzystnych. Zobaczmy teraz narodowców u dzieła. W hrabstwie Monaghan, także w Ulster, katolików jest 54.000

a protestantów 19.000. W radzie znajduje się 25 narodowców i 2 związkowych; w różnych komisyach liczymy 83 katolików i 36 protestantów; urzędników katolików jest 34, a protestantów obecnie przez tę radę w ilości 23 utrzymanych.

W hrabstwie Fermanagh 36.000 katolików a 29.000 protestantów posyłają do rady 10 katolików a 17 protestantów. Związkowi nadają sobie 55 miejsc w komisyach a zostawiają 22 swoim przeciwnikom; związkowcy zajmują 58 miejsc urzędniczych, a pozostawiają 17 dla katolików; płacą 5.071 funtów szterl. (około 129.000 franków protestantom a 639 f. szt. (około 19.000 fr.) katolikom. Opłata najwyższa udzielona jednemu z tych ostatnich stanowi 55 f. szt. (około 1400 fr.). W hrabstwie sąsiedniem Caran 79.000 katolików i 18.000 protestantów wybierają radę katolicką nacyonalistyczną jednego typu, jednak 26 urzędników jest protestantów a 30 katolików, jeden urzędnik protestant pobiera płacę 600 f. szt. (około 18.000 fr.), kiedy żaden inny nie ma więcej nad 300 f. szt.

Dlatego to zażądano publicznie od administracyi unionistycznych przytoczenia bodaj jednego przykładu płacy wyższej nad 5.000 franków (nad 200 f. szt.) nadanej przez nie katolikowi. Taż sama nieregularność istnieje w administracyi do gmin należącej: w Belfast katolicy stanowią trzecią część ludności, lecz 51.405 f. szt. płaconych rocznie na opłaty wspólne, 640 tylko dostają się katolikom. W Berry, gdzie katolicy stanowią większość, 6.663 f. szt. dawane są protestantom a 169 katolikom.

Możemy więc wnioskować, że Irlandya nacyonalistyczna dała dowód dużej tolerancyi dotąd względem unionistów i protestantów. Wszędzie, gdzie ci znajdują się w mniejszości nawet małej, przyznają im słuszny i nawet liczny udział w komisyach i w płacach; tymczasem gdzie unioniści panują używają swej władzy, aby ograniczyć i zmniejszyć znaczenie swoich przeciwników.

Zresztą z całą szczerością muszę przyznać, że protestanci oświeceni wprawdzie to uznają, niestety! nie wszędzie ich jest więcej i nie wszędzie ich słuchają.

B. Drugi zarzut przeciw Home Rule. Zbrodniczość już i tak silna w Irlandyi jeszcze bardziej wzrośnie. Można rzec, że ta śpiewka

jest rozpowszechniona w Anglii. Irlandczyk, według nich, stałby się zbrodniarzem, typem Lombrosa! Znajdują się antyirlandczycy, którzy gorliwość swą posunęli aż do wyszukiwania czy to z blizka czy z dalsza narodowości wszystkich skazanych, zamkniętych w angielskich więzieniach, i wynaleźli, że stosunkowo do swej liczby, katolicy t. j. Irlandczycy daleko korzystniej się w tym względzie przedstawiali od Anglików protestantów!

Statystyki czyż nie dowodziły wniosku w sposób widoczny? Badajmy więc statystyki także i zobaczmy wyniki.

W r. 1906 liczba zbrodni, podpadających karze, wynosiła 91.665 w Anglii i w Księstwie Wallii (ludności 34,547.000), a w Irlandyi było 9.465 (ludności 4,387.000). Gdyby liczba przestępstw w Irlandyi dosięgła proporcyi angielskiej, wzrosłaby do 11.640 zbrodni. Zresztą należy zwrócić uwagę na jeden punkt najważniejszy mianowicie na rodzaj przestępstw. Jego doniosłość wskaże nam lepiej od wszelkiego objaśnienia załączony tu rejestr wyciągnięty z dokumentów urzędowych.

Główne zbrodnie w 1906 roku:	Anglia i Ks. Wallii	Irlandya
Zabójstwa	155	19
Usiłowania morderstwa	110	11
Pobicia i zranienia z nienawiści	1.326	144
Kradzieże z włamaniem	10.589	762
Sprzeniewierzenia, proste kradzieże	9,750	587
Zbrodnie seksualne przeciw kobietom i dziewczętom	1.335	89
Występki przeciw naturze i usiłowania tychże	246	7
Spędzenie płodu	47	0

Trzy ostatnie cyfry dostarczają dowodu niezbitego wyższości moralnej Irlandczyka; tej anielskiej czystości obyczajów protestanci oddają hołd publiczny i przypisują bez wahania szczęśliwemu wpływowi katolickiego duchowieństwa.

Przejdźmy do szczegółów.

Jeżeli się wyrażać będziemy liczbami nie absolutnemi ale stosunkowemi tylko, to okaże się, że ilość zabójstw jest zupełnie ta sama w obydwu krajach. Z zabójstw popełnionych w Irlandyi, ani jedno nie należy do klasy morderstw tak nazwanych »agrarnych« t. j. będących w związku z posiadaniem ziemi lub jej

uprawą. Przynajmniej 4 z nich przypadają na szaleńców, wkrótce po dokonaniu zbrodni zamkniętych, 13 zaś jest dzieciobójstw.

Rzecz nadzwyczajna, że winowajcy, którzy tak rzadko wymykają się w Irlandyi, są tak trudni do znalezienia w Anglii. I tak, na 155 zabójstw w 1906 r. nie znaleziono śladu winnych w 71 razach. Według *News of the World* z 14 czerwca 1908 r. podczas kadencyi kończącej się w grudniu 1888 r. 1766 morderstw było wiadomych a w 1094 przypadkach winowajca został niewykryty. Od 1888 do 1906 r. włącznie 2.610 morderstw było wykrytych, przy 1472 winnych usiłowania policyi spełzły na niczem, a z 1138 oskarżonych jedną czwartą część uwolniono. Licząc, że ludność irlandzka stanowi ósmą część ludności Anglii wraz z Księstwem Wallii, łatwo będzie z powyższego wykazu wyrobić sobie pojęcie o względnej zbrodniczości obydwóch krajów.

Przedmowa statystyki urzędowej 1905 r. na str. 21 mówi: Zaprawdę nic tak dokładnie nie świadczy o skłonności do zbrodni u jakiegoś narodu, jak mniej lub bardziej częste pobicia i skaleczenia pochodzące ze złości. Zbadajmy to kryteryum. Gdyby ludność irlandzka miała tak wielką skłonność do tych przestępstw, jak naród angielski, to liczba ich wzrosłaby do 120 zamiast 67! Toż samo pokrzywdzenia własności cudzej z użyciem przemocy powinnyby w Irlandyi dosięgnąć sumy 1376 zamiast 783, a tych samych zbrodni bez gwałtu popełnionych byłoby 9247 zamiast 7.152.

Nakoniec znajdujemy, że w 1906 r. liczba zbrodni była w Anglii i Ks. Wallii 265 na 100.000 mieszkańców a w Irlandyi 212.

Chcąc być zupełnie dokładnymi winniśmy przyznać, że w jednym punkcie ilość przestępstw w Irlandyi jest większa. Mianowicie co do spustoszeń i poszkodowania cudzej własności znajdujemy 533 wypadków w Irlandyi (r. 1906) przeciw 517 wypadkom w Anglii. Naprzód zauważmy, że wyraz »szkody« i »krzywda« może oznaczać ciężkie przestępstwo, np. pożar albo też tylko wybicie szyb w szynku. Otóż spory i kłótnie są częstsze w Irlandyi, gdzie krew jest gorętsza i namiętności są silniejsze niż z drugiej strony kanału św. Jerzego. Jeżeli jednak z drugiej strony zbadamy warunki ekonomiczne obydwóch miejscowości,

będziemy przekonani, że zemsty powinny być częstsze w Irlandyi. Ileż to bowiem osób wygnanych ze swoich gruntów, ileż innych przywiedzionych do żebraniny i włóczęgi; iluż ludzi przekonanych, że landlord jest pospolitym złodziejem, iluż młodych ludzi przywiedzionych do bezczynności przez brak pracy! Cała ta armia nieszczęśliwych niezadowolonych znajduje sposob łatwy do zemsty, napadając na dobra, na zwierzęta, na lasy ciemiężyciela[1]. Zresztą wielu nie wie nawet, że czynią źle i krzywdzą dobro drugiego: rzeczywisty właściciel czyż jest prawdziwym panem swej ziemi i swego bydła? Czyż to wszystko nie było ukradzione rodzicom a może i pradziadom? Cóż w tem złego odebrać swoje dobro, jakież zło jest dozwolić krzywdzicielowi jak najmniej używać kradzieży uprawnionych? Tak myślą.

Również wiele mówiącem zjawiskiem jest to, że w czasach, w których nędza jest mniejsza, kiedy prawa agrarne są w czyn wprowadzone dla zadowolenia wieśniaków — ilość tych przestępstw się nie zmniejsza... Można więc podzielać w tem opinię posłów nacyonalistycznych, z których wielu powiedziało w parlamencie, że te występki przestałyby istnieć, gdyby kwestya agrarna otrzymała rozwiązanie stałe i sprawiedliwe. Ale nieszczęściem jeszcze tak nie jest.

C. Home Rule doprowadził do rozdziału, do rozkawałkowania królestwa złączonego.

Ten zarzut może jest właśnie tym, który najwięcej wywiera wrażenia na umysły głębiej myślące, jednakże dwa poprzednie bardziej są podnoszone przez ogół.

W rzeczy samej, ile już od 8 wieków, jak Anglia próbuje podbić sąsiednią wyspę, straciła na to czasu i trudu, a Irlandczyk jest tak samo wojowniczy, jak i niegdyś. On nienawidzi Anglii, jak i w pierwszych wiekach po zaborze, on zachował żywo w swem sercu obraz ojczyzny uśpionej, lecz nie martwej. Dziś jak i zawsze Irlandczyk myśli o Erynie[2] wolnym, o Erynie błogim, o Erynie jako panu swoich losów, władcy swoich zielonych pastwisk, swych

[1] Nie na osoby, jak tego dowodzi brak zabójstw »agrarnych«.

[2] W języku celtyckim wyraz *irin* oznacza kraj na zachodzie leżący, w tym wypadku Irlandyę.

rumieniejących się wzgórz, swoich dolin i swoich jezior. Poeci narodowi, bardowie miejscowi chwytają za arfę, śpiewy patryotyczne rozbrzmiewają po miastach i wsiach, wspomnienie bohaterów narodowych odżywa i dusza ludu się ożywia i pobudza się do nadziei.

Sprawa więc antybrytanizmu w Irlandyi jest pewna. Ale czy stąd wynikałoby, że taktyka angielska jest uzasadniona? Oni wprawdzie mówią: »Jeżeli dozwolimy na autonomię *disloyal Irish*, utworzymy na posterunkach naszych potęgę wrogą, zawsze gotową nam zgotować trudności i wejść w przymierze z naszymi nieprzyjaciółmi. Przypuśćcie, rzecz to możebna, wojnę morską z Niemcami; coby się stało gdyby Niemcy znaleźli pomoc i opiekę w Irlandyi; coby się przytrafiło, gdyby oni mogli swobodnie wylądowywać w jej portach i nam stamtąd zagrażać i wysyłać swe bataliony do Anglii?

Jest to, zdaje mi się, rzeczy widzieć nadto czarno i prędko bardzo za daleko się zapuszczać. Ale rozumie się, że takie rozumowanie ma wielki wpływ na masy ludności nieuświadomione i wrażliwe. Gdyby nawet Irlandczycy do dzisiejszego dnia byli wrogami niezrównanymi i nieprzejednanymi dla Anglii, czyżby z tego wynikało, że to usposobienie musi trwać nadal? Antypatya poniekąd rodowa jest przedewszystkiem skutkiem ucisku i tyranii.

Opozycya rasowa: Celty irlandzkie nie lubią wcale Saksończyków, angielskich Normanów, ale zauważmy, że Szkoci, Celtowie jak Irlandczycy wogóle żyli bardzo dobrze z Anglikami. Różnica więc plemienna nie jest dostateczną do wyjaśnienia usposobienia Irlandyi. Ale przeciwnie do Szkocyi, Irlandya została katolicką i była od wieków wystawiona na najprzykrzejsze obchodzenie się. Rywalizacye religijne są w Anglii na schyłku. Kilka małych grup, bardzo wichrzących, lecz nielicznych, prowadzi jeszcze walkę dawną przeciw katolicyzmowi, walkę oszczerstw i kłamstw, ale ogół angielski niewierzący lub anglikański porzuca wojnę; niewierzący — przez obojętność, anglikański — ponieważ w istocie przyjęli nasze przekonania a często nasze obrządki i ponieważ pod groźbą napływu wzrastającej niewiary i socyalizmu stają w nasze szeregi do walki. Zresztą każdy rozsądny

człowiek przyznaje, że Irlandya nie może stać się protestancką; niezmierne usiłowanie, wysiłek kilkusetletni nie udał się, według jednozgodnej opinii. Jest więc bardzo prawdopodobne, a można rzec, nawet pewne, że w dniu, w którym angielska tyrania przestanie dać się uczuwać w Irlandyi, i kiedy straszne jarzmo przestanie ranić głowę Erynu, wtedy nienawiść upadnie, by zrobić miejsce nie tylko jakiejś sympatyi, ale wprost wierności dla Anglii.

Dublin, w kwietniu 1910 r.

Ch. Schoonjans.

DR. MATIJA MURKO

I JEGO DOTYCHCZASOWA DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA.

(Dokończenie)

W innych wypadkach nie mógł jeszcze dr. Murko korzystać z wyników obcych badań, gdyż ukazały się one w druku albo równocześnie, albo dopiero po ogłoszeniu jego historyi piśmiennictwa. I tak niezbędne uzupełnienie do części prof. Murki o literaturze serbskiej stanowią liczne spostrzeżenia prof. Zabołotskiego w najnowszem dziele o wpływach piśmiennictwa rosyjskiego na serbskie [1]. Cenne zaś przyczynki do dziejów kulturalnego odrodzenia Chorwacyi i rozwoju jej nowszej historyografii znajdujemy w olbrzymiej monografii d-ra Zagorskiego, ogłoszonej świeżo w języku francuskim w Paryżu [2].

Kwestya wspólności dawnych literatur słowiańskich, jak i jednolitego ich traktowania znalazła wśród recenzentów i tej pracy d-ra Murki gorących zwolenników i upartych przeciwników. I wspomniany prof. Petrowskij, w istocie wytrawny znawca południowej Słowiańszczyzny, jej dziejów i piśmiennictwa, — występuje stanowczo przeciwko synchronistycznej metodzie

[1] П. А. Заболотскій: Очерки русскаго вліянія въ славанскихъ литературахъ новаго времени. I, 1 Русская струя въ литературѣ сербскаго возрожденія. (Варшава. Учебн. Округъ. 1908. Str. 480.)

[2] François Rački et la renaissance scientifique et politique de la Croatie (1828—1894.) par Vladimir Zagorsky. Paris, Hachette. 1909. VI+257.

w opracowywaniu przedmiotu prof. Murki, zbijając apodyktycznie wszelkie uzasadnienia autora i twierdząc, że na jego »взглядъ такіе доводы неубѣдительны« [1]. Zdaniem jego wpływ byzantynizmu i renesansu spowodował rozszczepienie się literatur południowo-słowiańskich, kolejny ich rozwój, upadek i odradzanie się; — z tego więc stanowiska wychodząc, żąda oddzielnego traktowania każdej z literatur z osobna, oddzielnie nawet serbskiej i chorwackiej. Przyjmuje przy tem porządek następujący: *a)* bułgarska, *b)* serbska, *c)* chorwacka, *d)* słowieńska.

Nie potrzeba dowodzić, o ile to zapatrywanie rosyjskiego uczonego jest jednostronne. Najwidoczniej przebija tu tendencya nadania wpływowi byzantynizmu najdonioślejszego znaczenia, przeważającego nad wpływem Zachodu. Że wpływ byzantynizmu na Bułgaryę był najwcześniejszy, rzecz prosta, gdyż Bułgarya była zawsze najbliższą Byzancyum; ale, by rozwój poszczególnych piśmiennictw postępował tylko w podanym przez Petrowskiego porządku, jak gdyby dzięki zbawczemu promieniowaniu byzantyjskiej kultury na Zachód, przeciwko temu przemawiają podstawowe zjawiska w dziejach tych piśmiennictw, same fakta i zabytki. (Por. tylko słowieńskie »złomki freisingeńskie« i całą literaturę głagolicką!) Zasada Petrowskiego oddzielnego traktowania piśmiennictw południowo słowiańskich ma uzasadnioną racyę jedynie po epoce średniowiecznej tych piśmiennictw, od końca XV. wieku, kiedy okoliczności polityczno-społeczne, różnice wyznaniowe i kulturalne, spotęgowanie się dążeń separatystycznych zaczęło coraz silniej oddziaływać i na twórczość piśmienniczą.

Tyle więc o części d-ra Murki w »Kultur der Gegenwart«. Tych kilka luźnych uwag dodać musiałem ze względu na blizką łączność tej pracy z *Geschichte d. ält. südslav. Lit.* i dopełniający jej stosunek do dzieła ostatniego. Jakkolwiek rozmaicie ją ją sądzono i daleko więcej, niżeli »Historyi« postawić jej można zarzutów, — przecież w ogólnej ocenie przyznać jej musimy bardzo wielką wartość i powtórzyć możemy śmiało za jednym z najostrzejszych jej sprawozdawców, prof. Petrowskim: »изъ очерковъ

[1] Loc. cit. Str. 196.

славянскихъ литературъ (sc. w dziele »Die Kultur der Gegenwart«,) найболѣе удаченъ принадложащій перу г. М. Мурка« [1].

Zamykając ten drugi dział prac d-ra Murki, pominąć nie możemy i opracowania jego *Słowieńców*, pomieszczonego pod znakiem *Jihoslovane* w encyklopedyi czeskiej J. Otty, czyli w t. zw. »Slovniku Naučným«, w którego składzie gradecki profesor był siłą wybitną i, jak zawsze, czynną.

W zakresie **porównawczych studyów literackich**, — na których, *notabene*, wyrosła lwia część obu jego historyi piśmiennictw południowo-słowiańskich, pracował prof. Murko głównie w dwu kierunkach: *a)* nad pochodzeniem i wędrówką fabuł średniowiecznych w powieści rosyjskiej i jej zawiązkami i *b)* nad stosunkiem literatur słowiańskich do niemieckiej i początkami ich romantyzmu.

Pierwszemu przedmiotowi poświęcił trzy większe rozprawy, które są częściowo owocem pobytu w Rosyi. Jedna — to *Die Geschichte von den sieben Weisen bei den Slaven* [2], opierająca się na rozległem badaniu porównawczem, a pełna samodzielnych spostrzeżeń krytycznych, które się od razu spotkały z uznaniem pierwszorzędnych specyalistów [3].

Śledzi tutaj autor wędrówkę najpopularniejszej po Biblii powieści średniowiecznej p. n. »Historia septem sapientium« w przekładach i na terytoryach słowiańskich. Zaczynając od bułgarskiego »Syntipasa« (z greckiego), który przełożono niebawem i na język serbski, szeroko roztrząsa liczne opracowania czeskie tej historyi, jak i związane z nią »Gesta Romanorum«, poczem przechodzi do

---

[1] Op. cit. Str. 195.

[2] *Sitzungsberichte d. kais. Akademie der Wissenschaften in Wien.* B. 122. (1890.) Str. 138.

Poszczególne rozdziały tej pracy, częścią rozszerzone, ogłosił autor w zagrzebskiem wydawnictwie Akademii Jugoslav. »Rad«. (Knj. C.) p. t. *Bugarski i srpski prijevod knjige o sedam mudraca,* tudzież w »Zeitschr. f. vergl. Literaturgeschichte«, (Neue Folge. B. IV.) p. t. *Beiträge zur Textgeschichte der Historia septem sapientium.* — O tem por. referat G. Polívki w *Atheneum* (czesk.) R. VIII. (1891.) Str. 278 i n.

[3] N. p. Gastona Parisa, por. Ottův Slovnik naučný. Díl XVIII. Str. 884.

opracowań polskich (str. 70—87.), które pod nazwą najrozmaitszych »Historyi o siedmiu mędrcach« krążyły i krążą do dnia dzisiejszego wśród warstw najniższych, ciesząc się wielką poczytnością. Najstarszą jej redakcyą miał być przekład bakałarza Uniwersytetu krakowskiego, Jana z Koszyczek, przerabiacza głośnych podówczas »Rozmów Salomona Mądrego z Marchołtem grubym a sprośnym«. (1521.)[1] Jego to przekładem i przeróbką był ogromnie popularny do dzisiaj zbiór powiastek p. t. »Historya piękna i śmieszna o Poncyanie, jako syna swego Dyoklecyana dał w naukę siedmiu mędrcom«. Powiastki te niestety »na śmierć« zaczytano, tak iż zaginęły wszystkie wydania z przed XVII. w.[2] Murko omawia szczegółowo wszystkie późniejsze wydania, aż do ostatniego, wydanego w Cieszynie. (1888.)

Rozprawa d-ra Murki ma doniosłe znaczenie dla badań porównawczych średniowiecznych powieści, dowodzi bowiem bardzo przekonywająco, że niektóre ze znanych rosyjskich powieści na terytoryum białoruskiem przełożone zostały z języka polskiego i z Białej dostały się do Moskiewskiej Rusi, uległszy przy tem licznym zmianom i poprawkom przepisywaczy.

Następne dwie odnoszą się do piśmiennictwa rosyjskiego: *Die russische Übersetzung des Apolonius von Tyrus und der Gesta Romanorum*,[3] tudzież praca habilitacyjna, *Die ersten Schritte des russischen Romans*[4]. Z tem łączy się krytyczne sprawozdanie Murki z pracy J. Polívki o Apoloniuszu »w polskiej, czeskiej i rosyjskiej literaturze«[5], o tej najstarszej powieści

---

[1] Nie uwzględnia natomiast jeszcze autor polskiego wydania »Powieści rzymskich«, które świeżo ukazały się w redakcyi d-ra Jana Bystronia w »Bibliotece pisarzów polskich« Akad. Umiej. w Krakowie. (T. 29.) 1894. Str. IX+222.

[2] Por. P. Chm.(ielowski) w XXXII. tomie »Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Ilustrowanej« (R. 1903. Str. 533.), który zresztą zna dobrze dotyczącą rozprawę prof. Murki i wprost na nią się powołuje.

[3] Archiv. f. slav. Phil. XIV. (1892.) Str. 405—421.

[4] Habilitationsvortrag. *Wiener Zeitung.* 1897. Nr. 6 i 7. i w przekładzie słowieńskim: *Ljubljanski Zvon.* 1897. St. 3 i 4.

[5] *Listy filolog.* XVI. (1889.) 353—8, 416—435. *Arch. f. sl. Ph.* XIII. (1891.) Str. 308—411.

czeskiej (z r. 1459.), która z Czech dostała się do Polski, a przez nią i do Rosyi. Wraca zaś do tego samego przedmiotu jeszcze raz z powodu świeżo ogłoszonej rozprawy prof. Polívki w tym samym przedmiocie [1], gdzie czeski slawista porównywa przekład »Apoloniusa« z rosyjskim tekstem »Gestorum«, z t. zw. tekstem Tichonrawowa (Лѣтоп. русск. литер. I. p. 6—33), nie uwzględniając rezultatów badań naszego uczonego. Murko więc po raz wtóry roztrząsa ten przedmiot, szczegółowo porównując ze sobą teksty i dowodząc zupełnie przekonywająco, iż rosyjski tekst w »Gesta Romanorum« ma za swe źródło tekst polski, podobnie jak ten jest przeróbką samoistnej, czeskiej powieści o Apoloniuszu z Tyru.

Inne drobne artykuły i rozprawki mniejszej doniosłości pomijam. Dodam tylko na tem miejscu cenny przyczynek, podający wiadomość o starych dokumentach chorwackich, odnalezionych w klasztorze kostanjevickim [2].

Bogaty i bardzo pouczający materyał przedstawiają liczne d-ra Murki sprawozdania i oceny krytyczne, pomieszczane po największej części w »Archiwum« Jagića, a odnoszące się przeważnie do działu porównawczej krytyki historyczno-literackiej. Gruntownie i wszechstronnie omówione tu pomniki językowe, źródła literacko-historyczne, zbiory pieśni ludowych, dzieła pierwszorzędnych slawistów, jak P. W. Władimirowa, J. Niedioszewa, E. Karskiego, E. Romanowa [3], M. Petrowskiego, F. Prusíka, G. Polivki [4],

---

[1] *Drobné příspěvky literárně-historické.* (Praha. 1891.) Arch. XIV. j. w.

[2] *Tri hrvaške listine iz Kostanjevskega samostana.* Izvjestija muzejskega društva za Kranjsko. III. (1893.)

[3] *Zur russischen Literaturgeschichte:* Władimirowa: Великое зерцало (Moskwa 1884.), Къ изслѣдованію о »В. З.« (Kazań 1885.), Докторъ Францискъ Скорина. (Petersburg 1888.) — *Arch. f. Slav. Ph.* B. XII. (1899.) Str. 221—268. J. Niedioszewa, Karskiego: j. w., Romanowa: Бѣлорусскій сборникъ. (Kijów 1886.) — Tamże Str. 526—571.

[4] Petrowskiego: Исторія о славномъ королѣ Врунцвикѣ. (Petersburg. 1888.), Prusíka: Historia o Bruncvíkovi. (»Krok«. R. IV. Z. 3—6.), — Archiv. f. slav. Ph. B. XIII. Str. 300—311.

I. A. Szliapkina, H. J. Arabażina [1], I. M. Sobiestiańskiego [2], A. Kołessy [3], i innych.

Z obchodzących nas sprawozdań godne uwagi są te szczególnie, które dotyczą polskiego piśmiennictwa, jak np. z dzieła J. K. Arabażina o Brodzińskim i jego literackiej działalności, studyów A. Kołessy i Sobieszczańskiego.

Ostatniego studyum historyczno-prawnicze omawia bardzo sumiennie, uwzględniając i głosy krytyki, jak D. J. Bagaleja [4], przyczem ważną przypisuje rolę i znaczenie w rozległych badaniach nad historyą starosłowiańskiego prawa polskim uczonym [5], jak Wawrz. Surowiecki, Winc. Majewski, Joach. Lelewel, Wacław Maciejowski, Ign. Rakowiecki, Stan. Kostka Potocki ii., podnosząc nawet działalność profesorską A. Mickiewicza i poetyckie fantazye J. Słowackiego (»Lilla Weneda«.)

Polskiego również piśmiennictwa dotyczy inny szkic Murki ze starej literatury rosyjskiej o Житю святаго Божія въ западнорусскомъ переводѣ конца XVII ст. [6], gdzie autor dowiódł błędności wprowadzonej przez Władimirowa chronologii, stwierdziwszy, że przekład pochodzi z XV. wieku i dostał się znowu drogą przez Czechy i Polskę na Ruś. Tu powołuje się Murko i na polskie »Historye męki pana naszego Jezusa Kristhusa« [7].

Co do rozpraw prof. Kołessy — jest w ocenie d-ra Murki kilka ważnych momentów do podkreślenia. Przedewszystkiem bardzo słuszne robi krytyk spostrzeżenie, że w całej poezyi B. Zale-

---

[1] Szliapkina: Св. Димитрій Ростовскій и его время. (Petersb. 1891.)— Archiv. B. xv. Str. 287—298. Arabażina: Казимиръ Бродзинскій и его литер. дѣятельность. (Kijów. 1891.) — Tamże. Str. 411—417.

[2] Sobiestiańskiego: Ученія о національныхъ особенностяхъ характера и юридическаго быта древныхъ Славянъ. (Charków. 1892.) — Archiv. B. xvi. Str. 254—268.

[3] Kołessy: Українскі народни письнї в поэзиях Богдана Залеского. (Lwów. 1892.) і Шевченко і Міцкевич. (Lwów. 1894.)—Archiv. B. xvii. Str. 270—278.

[4] Kiевск. Старина. R. 1892. Str. 59. nn.

[5] Por. w związku z tym przedmiotem szkic mój o S. S. Bobczewie. (*Świat słow.* Maj. 1910. i osobno.)

[6] Журн. Мин. Народн. Просвѣщ. 1887. Str. 250—267. i odb.

[7] U Wirzbięty. 1572. (Rec. Arch. f. sl. Ph. xii. Str. 560—71.)

skiego da się stale i konsekwentnie zauważyć szczególne upodobanie — »Vorliebe zur strophischen Gliederung und zum häufigeren und regelmässigen Gebrauch des Rheims«. (Str. 277.) Słusznie bierze w obronę język Zaleskiego przeciw zarzutom Kołessy o liczne ukrainizmy. Jest ich rzeczywiście spora liczba, ale nie są ukrainizmami wszystkie te wyrażenia, które za takie poczytuje ruski uczony [1]. Nierównie słuszniejszą jest obrona językowych »złożeń« Zaleskiego przed zarzutami Kołessy, przyczem powołuje się gradecki profesor na doskonałe wzory języka staropolskiego: Bielskiego, Stryjkowskiego i innych, kończąc obronę charakterystycznym, a przekonywającym argumentem:

> »Wie kann mann bei einer Sprache, die einem König den Beinamen *Krzywousty* geliefert hat, sogar solche Composita wie *złotousty, złotopióry, złotostrunny* u. s. w. absprechen?« (Str. 176).

W drugiem dziele prof. Kołessy o Mickiewiczu i Szewczence [2] uznaje sprawozdawca w większości wywody ruskiego historyka co do wpływów Mickiewicza na poezyę Szewczenki; słusznie jednak podnosi pominięte, czy też za lekko traktowane znaczenie historycznych poematów Mickiewicza dla twórczości Szewczenki, który przecież najlepsze i najbliższe wzory dla wybuchu swego patryotyzmu miał w »Grażynie« i »Wallenrodzie«. Zgodnie z prawdą historyczną podnosi dr. Murko rozmiłowanie autora »Hajdamaków« w pieśni Wajdeloty, powołując się na jego własny list do Zaleskiego, tudzież na świadectwo prof. Tretiaka [3]. — Znakomicie oświetla i komentuje recenzent w dalszym ciągu końcowe uwagi Kołessy, w których słusznie dopatruje się jakby pewnych usiłowań ze strony autora usprawiedliwienia się ze swej pracy wobec własnego społeczeństwa. Wielce znamienne to spostrzeżenie a bystre, jak na recenzenta nie-Polaka. Przesadne natomiast

---

[1] Z bronionych przez Murkę wyjątek stanowią niesłusznie przezeń podniesione, rzeczywiste ukrainizmy, jak *bodziak, bylinka, bezmodlec* (str. 274).

[2] Ш. і М. Про значинэ вливу Мицкевича в розвою поетичної творчости та в генезї поодиноких поем Шевченка. Порівнуюча студія. (Львів. 1894. Тов. им. Шевч. Str. XXVI+116.)

[3] Осип Третяк: Про вплив Мицкевича на поезию Шевченка. (Краків. 1892.) і »O wpływie Mickiewicza na poezyę Szewczenki« w *Sprawozd. z posiedzeń Akad. Umiej.* R. III. 1. (Kraków. 1893.) Str. 50—1.

wydają mi się sądy d-ra Murki o »wszechznaczeniu« i »wszechwartości« literatury niemieckiej dla badań nad słowiańskim romantyzmem, historyą, ludoznawstwem i t. d. (Str. 275—8.)

Z szczególnem uznaniem podnieść należy stanowisko i ton w sprawozdaniu d-ra Murki z pracy Arabażina o Brodzińskim, — stanowisko, jakiegoby się nie powstydził najgoręcej przywiązany do swego piśmiennictwa Polak. Mimo, że od wczesnych lat zajmował się Rosyą i jej literaturą, mimo że był i jest przyjacielem Rosyan, mimo, że bardzo pochlebny wydał sąd o gruntownej pracy Arabażina, nie popadł w jednostronność i odnalazł słabe strony książki, które natychmiast podniósł. Z całą godnością, dla nas niezmiernie ujmującą, stanął w obronie Brodzińskiego przed niesłusznym sądem rosyjskiego historyka.

Wprawdzie stoi na tem samem stanowisku, co i Arabażin, że daleko większy wywarł wpływ na swe społeczeństwo Brodziński, jako uczony, pedagog i tłumacz, aniżeli jako poeta, broni jednak gorliwie i bardzo skutecznie wartości jego poezyi i szczerości jego poetyckiego talentu, umiejąc trafnie odnaleźć właściwe przyczyny, dla których ani ten talent nie mógł bujniej rozkwitnąć, ani ta poezya nie mogła silniej działać (str. 414). Doskonale określa Murko znaczenie Brodzińskiego dla polskiego piśmiennictwa, stając po raz pierwszy w obronie Brodzińskiego, jako »etnografa«, podnosząc niedocenione przez Arabażina zasługi jego na tem polu. (Str. 415.)

Najjaskrawszy ustęp w sprawozdaniu d-ra Murki odnosi się do słowianofilstwa Brodzińskiego. Na urojone zarzuty rosyjskiego badacza, że poeta nie poniósł dla tej idei żadnej ofiary, (w owych czasach!?) że nie marzył o wspólnym języku dla Słowiańszczyzny i t. d., odpowiada Murko krótko, ale dobitnie, — jak tylko może odpowiedzieć Słowianin, znoszący sam od wieków jarzmo niewoli i umiejący zrozumieć stan duszy i pogląd na świat Polaka:

> »Sind denn diese Anschauungen nicht korrect und ganz natürlich? Ein Pole hatte am allerwenigstens Grund, sich mit Theorien einer slavischen Gemeinsprache zu beschäftigen, die trotz aller Declamationen bis heute noch

von keinem der schwächeren und weniger bedeutenden slavischen Völkern in die That umgesetz worden ist. Ueberhaupt ist der Terminus »Slavjanofil« nicht am Platz, denn derselbe ist im Laufe der Zeit mit Recht in schlechten Ruf gerathen«. (Str. 416.)

Niemniej jasne umie zająć stanowisko słowieński uczony, gdy chodzi o przyczyny małego postępu znajomości polskiego piśmiennictwa wśród Rosyan.

Stary »słowianofil« Pypin [1] nie umiał znaleźć istotnych przyczyn, — dr. Murko od razu uderza we właściwy ton, robiąc ostrą wymówkę rosyjskiemu rządowi i uniwersytetowi. Np.:

»Über Mickiewicz in der russischen Literatur nichts anderes existirt als Aufsätze in einer älteren, dazu nachträglich verbotenen Zeitschrift«. (Str. 417.)

Drugiemu przedmiotowi t. j. wzajemnemu oddziaływaniu na siebie niemieckiej i słowiańskiej poezyi romantycznej i tuż przedromantycznej poświęcił autor daleko więcej czasu i pracy, jako że był to od ławy uniwersyteckiej jego ulubiony i najdokładniej przetrawiony przedmiot. Dla poznania zasobu wiedzy d-ra Murki w tym kierunku, jak i całokształtu jego poglądów na stosunki i najważniejsze kwestye południowo-słowiańskie, szczególne ma znaczenie rozprawa p. t. *Die serbokroatische Volkspoesie in der deutschen Literatur* [2].

Jest to obszerna rozprawa krytyczna o bardzo interesujących studyach nad ludową poezyą serbską i jej oddźwiękami w twórczości Europy zachodniej, w szczególności o »morlackich« utworach w Herdera »Volksliedern«, o pierwszej pieśni serbochorwackiej, wprowadzonej przez Goethego do piśmiennictwa europejskiego, o wpływie zbiorów Vuka-Karadžića w Niemczech, a zwłaszcza na Goethego i Grimma, i o przekładach niemieckich:

---

[1] Вѣстникъ Эвропы. Окт. 1895. Str. 753. (recen. z Arabažina).

[2] Arch. f. slav. Phil. XXVIII. (1906.) Str. 351—385. — Z powodu prac d-ra Milana Ćurčina: *Das serbische Volkslied in der deutschen Literatur* (Leipzig. 1905.), *Peterostopni (srpski) trohej.* (Срп. књиж. Гласник. г. XV. Београд. 1905.) i Camilli Lucerny: *Die südslavische Ballade von Asan Agas Gattin und ihre Nachbildung von Goethe.* (Berlin. 1905.)

panny Talvj, Gerharda, Weselego, Goetzego, Frankla, Koppera i Vogla.

Stosunkowi Słowian i poezyi słowiańskiej do wybitnych poetów niemieckich i ich działalności poświęcił prof. Murko kilka cennych i bardzo ciekawych rozprawek. Przeważnie odnoszą się do najbliżej ze Słowianami związanego Goethego, jak *Goethes Beziehungen zu Böhmen* [1], *Goethe und die serbische Volkspoesie* [2], *Eine Jakob Grimm fälschlich zugeschriebene Rezension serbischer Volkslieder* [3].

Koroną historyczno-porównawczych badań prof. Murki w zakresie literatury jest na wielkie rozmiary obliczone dzieło p. t. *Deutsche Einflüsse auf die Anfänge der slavischen Romantik*, którego część pierwsza p. t. *Die böhmische Romantik* ukazała się w Gracu jeszcze w r. 1897 [4].

Jest to dzieło poważne, źródłowe i metodą naukową poparte, choć zbyt jednostronne. Zbiera ono i porządkuje obfite materyały, jakie wytrwały pracownik przez lata całe gromadził, aby na ich podstawie dojść do syntezy pierwiastków i dążeń epoki najciekawszej w dziejach piśmiennictw słowiańskich, epoki odrodzenia i romantyzmu, — aby na podstawie drobiazgowego, porównawczego studyum oddzielić w tej epoce wszystko to, co z serca i krwi Słowian wykwitło, z ewolucyi ich narodowo-politycznej i kulturalnej wyrosło, a co odezwało się tylko echem pokrewnych tonów obczyzny, było tylko naśladowaniem lub oddźwiękiem twórczości niemieckiej [5].

---

[1] »Politik«. (Prag. 1897. N. 20, 23, 26.) i w »Chronik des Wiener-Goethe-Vereins«. XI. (1897.) N. 9—10.

[2] Chr. d. W. G.—V. XII. (1898.) N. 10—12. i w »Zeit«. (XX. N. 256.) 26. August 1899.

[3] Ein Beitrag zur Geschichte der Aufnahme der serbischen Volkslieder in Deutschland. *Euphorion.* XI. (1904.) B. 1—2. Heft.

[4] Mit einem Anhang: Kollár in Jena und beim Wartburgfest. Von... Graz. (Verlagsbuchhandlung »Styria« 1897.)

[5] Bardzo obszerne i wyczerpujące oceny z tego dzieła znajdzie czytelnik w *Časopisie Musea Království Českého.* R. LXXI. (1897.) Str. 171—188. (Fr. Bílý.), w *Archiv f. slav. Phil.* XX. B. (1898.) Str. 417—427. pióra najbardziej powołanego, prof. lit. czesk. na uniwers. praskim d-ra Jaroslava

W wspomnianej pierwszej części swego dzieła przebiega Murko rozwój całego piśmiennictwa czeskiego w XIX. wieku, oświetlając je ze stanowiska zależności od bardzo silnej pod względem wpływów literatury niemieckiej i niemieckiego życia ideowego. Autor nie odrywa ani twórczości czeskiej, ani haseł romantyzmu niemieckiego od życia społeczno-politycznego, lecz rozpatruje je z całą dokładnością w ścisłym związku z głównymi prądami idei ówczesnego świata. Szeroko nakreślone tu postaci wszystkich najwybitniejszych działaczy epoki odrodzenia Czech, wszystkich »budzicieli narodu«, pierwszych romantyków-literatów, jak i polityków, jak Jungmann i Hanka, Čelakovský i Palacký, Šafařik i Kollár.

Pamiętać jednak należy, że jest to pierwsze większe dzieło prof. Murki, — że brak dokładnej znajomości całokształtu kultury czeskiej, charakteru i duszy tego narodu, co tak silnymi węzłami z światem germańskim związany, tak szybko i dzielnie od nich się wyzwala, — że brak tedy dokładnej znajomości całej ewolucyi narodowej myśli czeskiej jest powodem wielu ważnych błędów i przesądzeń w książce prof. Murki. Rozumiemy patryotyczne stanowisko Czechów, broniących się namiętnie przed sądami o wielkiej zależności ich literatury od piśmiennictwa niemieckiego, z drugiej jednak strony przyznać musimy, że zapędy gradeckiego profesora w wyławianiu, gdzie się tylko najdrobniejszy pozór znalazł, niemieckich »wpływów«, doprowadzają go bardzo często do przesadnych wniosków, krzywdę czynią swą naciągniętą skrupulatnością oryginalnemu, czeskiemu piśmiennictwu. Główną przyczyną, a psychologicznie zupełnie wytłumaczoną, tego częściowego zejścia na bezdroża była okoliczność, że autor ograniczył się do wpływów niemieckich, a zagłębiwszy się w nich, zapominał lub obniżał znaczenie wpływów innych, jak francuskiego, angielskiego, polskiego i rosyjskiego, które u niejednego z pisarzy czeskiego »romantyzmu« miał rzeczywiście nad niemieckim prze-

---

Vlčka, tamtejszego prof. germanistyki, E Krausa (tamże. XIX. B. (1897.) Str. 612—618.), tudzież I. Grunskiego w Извѣстіяхъ Имп. Акад. Н. II. St. 1108—1137, nadto prof. Zdziechowskiego, Skerlića, Rešetara i i.

wagę. Zwróciła na to uwagę powszechnie i jednomyślnie, tu i ówdzie bardzo ostro, w najsłabszą stronę ugodzona czeska krytyka. Z jej więc głosami bezwarunkowo należy się liczyć. Formalnej wiwisekcyi, choć pełnej taktu i opartej na dążeniu do prawdy, dokonał na książce Murki Fr. Bílý w wspomnianem sprawozdaniu, wyczerpującem sumiennie wszystkie najważniejsze braki książki, a dorzucili do tego i inni znawcy niejedno *verbum veritatis*.

Przecenienie w wielu punktach wpływu niemieckiego najjaskrawszy znajduje wyraz w zakończeniu książki Murki, gdzie autor powiada, że

> »das Hauptverdienst um die Wiedergeburt des böhmischen Volkes deutschen Einflüssen, speciel aber Romantik und ihrem Vorläufer Herder zu verdanken ist«.

Przeciwko takiemu określeniu wpływu niemieckiego zwracają się — i słusznie — główne zarzuty czeskich krytyków, boć jest ono faktycznie przesadą i nieprawdą historyczną. Wszakże odrodzenie Czech było czemś więcej, aniżeli tylko ruchem literackim, na który mógł, choćby najsilniej, oddziałać literacki kierunek romantyczny Niemiec.

Stąd też zupełnie zrozumiałem jest, że sądy przedstawicieli dwu przeciwnych niejako obozów: historyka literatury czeskiej, J. Vlčka i germanisty E. Krausa pod tym względem niemal zupełnie się pokrywają. Kraus stanowczo twierdzi, że »ein Verdienst um die Wiedererlebung der böhmischen Literatur können wir der deutschen Romantik nicht zuschreiben«, choć, na ogół biorąc, na książkę Murki wskazuje, jako na źródło poważnej wiedzy dla chcących poznać epokę odrodzenia Czechii[1].

Dla jaśniejszego oświetlenia przedmiotu posłuchajmy teraz głosu i *alterius partis*. Charakterystycznem jest, że właśnie Vlček, choć Czech i historyk literatury czeskiej, daleko pobłażliwszym jest od Krausa i innych sprawozdawców i — co więcej — poczytuje za zasługę słowieńskiemu profesorowi to, iż po raz pierwszy szczegółowo i wszechstronnie przedstawił obraz wpływów i po-

[1] Op. cit. Str. 615. i 618.

budek ze strony literatury niemieckiej, jakim uległo czeskie odrodzenie XIX. w. — ów »naturalny ciąg dalszy duchowo wyzwalającej się epoki Józefińskiej«. Z całą świadomością podnosi tę zasługę, piętnując ostro licznych, fałszywym patryotyzmem powodujących się krytyków czeskich, którzy z »oburzeniem« przyjęli dzieło prof. Murki.

> »Er hat damit — powiada Vlček — wieder ein beträchtliches Stück der berüchtigten chinesischen Mauer zu Gunsten der vergleichenden Literaturbetrachtung weggeräumt und zugleich für die neuböhmische Produktion der ersten Hälfte des XIX. Jahrh. ihren organischen Zusammenhang mit der westeuropäischen Literaturströmung gefunden. Seine Arbeit ist um so lobenswerther, da ihm die Unpopularität der vergleichenden literar-historischen Methode in Böhmen recht gut bekannt war« [1].

Na tem samem więc stanowisku, co Murko, stojąc, krytyk, choć sam gorliwy patryota czesko-słowacki, bierze w obronę autora przed pociskami szowinizmu czeskiego, jak niemniej słowiańskiego ze strony niektórych rosyjskich recenzentów [2].

Dalsza część tego dzieła obejmie niezawodnie romantyzm słowieński, chorwacki i serbski, do którego liczne materyały i przyczynki ogłaszał już autor w artykułach przygodnych. Zapewne poświęci Murko jeden z tomów stosunkowi polskiego romantyzmu do niemieckiego. Przedmiot ten ogromnie ciekawy, a bogaty w treść i materyał, dostarczy prof. Murce rozległego pola do pracy, ale zapewne i niemało trudności, mimo że już opracowany u nas w bardzo drobnych cząstkach. Autor dotychczas zajmował się polskiem piśmiennictwem mniej specyalnie, nie będzie się więc mógł w niem tak swobodnie obracać, jak w południowo-słowiańskiem lub czeskiem. Mimo tego pracę jego nad naszą literaturą powitamy z radością.

W uzupełnieniu tego dzieła nie zawadzi wspomnieć o bardzo rzeczowych i wiele nowego światła rzucających sprawozdaniach d-ra Murki z książki dwu czeskich historyków literatury: Jana

---

[1] Op. cit. 418, 420.

[2] Por. rec. Grunskiego w Извѣстіяхъ. (l. c.)—Niejedno natomiast byłoby do zarzucenia prof. Murce w opracowaniu słowackiej literatury i jej stosunku do niemieckiej twórczości.

Jakubca i Arne Nováka p. t. *Geschichte der čechischen Literatur*[1] w wydaniu Amelanga; oraz Jaroslava Vlčka: *První novočeská škola básnická*[2], d-ra Jana Máchala: *Ant. J. Puchmajer*[3] i d-ra J. Jakubca: *Antonin Marek*[4].

Rzecz o »pierwszej poetyckiej szkole czeskiej« dotyka bardzo ciekawego i dla nas przedmiotu. To pierwsze — jak je Murko nazywa — *rococo* w literaturze czeskiej obejmuje grupę poetów lirycznych (»anakreontyków«) z końca XVIII. w. Na czele jej stoi A. J. Puchmajer, zajmująca postać ze względu na swój stosunek do dworu Stanisława Augusta i wielu panów polskich, a zwłaszcza do wielu poetów z tej epoki, jak Kniaźnin, Karpiński, Ign. Krasicki i Józ. Szymanowski, których tłumaczy, przerabia i naśladuje. Dokoła niego krąży cała plejada innych, czeskich i słowackich śpiewaków, jak Vojtěch i Jan Nejedlowie, Bohuslav Tablic, Jurij Palkovič, Jos. Jungmann i inni, z których większość pozostaje pod znacznym wpływem twórczości polskiej[5]. Murko szczegółowej poddaje analizie metodę i owoce badań obu czeskich historyków-literatów, przyznając słusznie pierwszemu znaczną przewagę pod względem szerokiego horyzontu wiedzy i estetycznego smaku. (Str. 621.)

Niemniej ciekawą postacią z epoki odrodzenia Czech jest Antonin Marek, któremu prof. Jakubec poświęcił osobną monografię. Duchowny i poeta, mecenas literatury i wszelkiej pracy narodowej, zapalony śpiewak patryotycznych ód, elegii, hymnów i wierszy przygodnych, znamienny dla nas szczególnie przez swój »słowianofilizm«, tak dalece zacietrzewiony i fanatyczny, że mu nie pozwolił ani razu przeczytać Mickiewicza. (Murko. 626.) W ocenie słowieńskiego slawisty znajdujemy ważne

---

[1] Studien zur vergleichenden Literaturgeschichte. IX. 246 - 252.

[2] V Praze. 1896. Str. 96.

[3] Příspěvek k dějinám české literatury. (V Praze. 1895. Nakl. vlast.)

[4] Jeho život a působení i význam v literatuře české. (V Praze. 1896. Str. 244.) — Wszystkie rec. w Arch. f. slav. Phil. XIX. (1897.) B. str. 619—627.

[5] O tem, jak i o wpływach polskich na innych Słowian — por. referat mój ze Zjazdu literackiego im. Jul. Słowackiego we Lwowie (1909.) p. t. *Romantyzm polski wśród Słowian.* (Urywki drukowane w *Nowej Reformie* i *Książce.* 1910. — całość ukaże się w »Księdze pamiątkowej« zjazdu.)

uzupełnienia i poprawki do objaśnień językowych i rzeczowych d-ra Jakubca, zwłaszcza do zapożyczeń, nowotworów i całej filologicznej działalności A. Marka. Również do charakterystyki tej postaci, jako poety i pioniera odrodzenia dorzuca Murko kilka wyrazistych rysów.

Widzimy tedy, że wszystkie prace prof. Murki z tego zakresu studyum porównawczo-literackiego, dotyczące czy to czeskiej, czy południowo-słowiańskiej literatury, obracają się około jednej osi, około zagadnienia nad stosunkiem odrodzonych słowiańskich narodowości i piśmiennictw do prądów wolności i poezyi, co na przełomie w. XVIII. ku XIX. tak bujnie szły z Niemiec na resztę Europy.

Ostatni wreszcie dział, w jakim pracuje prof. Murko — to **ludoznawstwo** w najszerszem słowa znaczeniu, od ścisłych badań językowych nad właściwościami gwar i narzeczy począwszy, a skończywszy na najdalej idących hypotezach antropo- i socyologii.

Pomijając już opracowanie Murki działu z południowej Słowiańszczyzny [1] w wielkiej encyklopedyi czeskiej Otty, które i na studyach etnograficznych w znacznej mierze się opiera, podnieść musimy obszerne artykuły jego, poświęcone głośnej w swoim czasie, a bogatej w dorobek naukowy wystawie ludoznawczej w Pradze. Jeden — dla obcych i najbliższych... wrogów, by im oczy otworzyć na skarby piękna, tradycyi i ducha narodowo-plemiennego, przechowanego wśród słowiańskich ludów, — *Zur Geschichte und Charakteristik der Prager ethnographischen Ausstellung im J. 1895* [2].

Drugi — dla najbliższych, dla rodaków, aby ich nauczyć poszanowania i czci dla świętości gminu, aby im wskazać źródło bogactwa i piękna, zagrożonego przez zakusy wrogów, a nie-

---

[1] *Slovinci* (Jihoslované.) Ottův Slovník Naučný. D. XIII. — Zawiera krótki obraz rozwoju języka i piśmiennictwa Słowieńców.

[2] *Mittheilungen der anthropologischen Gesellschaft in Wien.* XXV. B.

dbalstwo samego ludu, — *Narodopisna razstava československa v Pragi l. 1895* [1].

Plastyczne zaś dopełnienie tych dwu rozpraw stanowi cięta krytyka fejletonów prof. A. Koczubińskiego [2] na temat etnograficznej mapy Słowian, która w swoim czasie wywołała wielkie poruszenie wśród slawistów i ludoznawców, — krytyka p. t. *Eine russische Stimme über die neueste etnographische Karte der Slaven.*

Z pośród całej masy mniejszych i większych rozpraw ludoznawczych, rozprószonych po czasopismach słowieńskich, chorwackich, czeskich i niemieckich, zwracam uwagę szczególnie na jedną, ogłoszoną niedawno p. t. *Zur Geschichte des volkstümlichen Hauses bei den Südslaven* [3]. Dowiódł w tej pracy niezmiernie ważnej i ciekawej dla folkloru sprawy, że i Bośnia i wschodnia Czarnogóra i cała Serbia i niektóre części zachodniej Bułgaryi posiadają ten sam typ chaty wiejskiej, jaki mają dzisiaj Słowieńcy i Niemcy w Alpach. Fakt ten jest nader ważnym czynnikiem dla badań pierwotnych dziejów Słowian, poszukiwań ich przedhistorycznych siedzib i dla hypotez o pierwotnej jednolitości i jedności wszystkich plemion południowo-słowiańskich.

Do poznania dość zawiłych dziejów życia religijnego na słowiańsko-chorwackiem Pomorzu adryatyckiem i w Dalmacyi, gdzie do dzisiaj jeszcze odzywają się echa zaciekłych w swoim czasie sporów kościelnych o głagolicę i liturgię słowiańską, posłużyć może bardzo dobrze popularny przegląd tej sprawy, p. t. *Die slavische Liturgie an der Adria* [4], tudzież doskonałe sprawozdanie z L. Niederlego »Slovanských starožitnosti«, p. n. *Slo-*

---

[1] *Letopis Matice Slovenske.* L. 1896. W »Ljubl. Zvonie« (1891.) ogłosił też szkic o działalności i zbiorach etnografa słowieńskiego, Ivana Navratila, który gromadził głównie w »Letopisie« słowieńskie materyały etnograficzne (t zw. »vraže«).

[2] Одесск. Вѣстникъ. R. 1890. N. 239 i n. — Murko: Arch. f. slav. Ph. XIII. B. Str. 616—620.

[3] Mitteil. d. Anthropol. Gesellschaft in Wien. XXXV u. XXXVI. B. — i osobno.

[4] Oesterreichische Rundschau. II. B. (1905.) 17 H.

vansko starinoslovlje[1]. Ogólnie zaś roztrząsa kwestyę wzajemnego stosunku do siebie Serbów i Chorwatów artykuł: *Kroaten und Serben*[2], gdzie w sposób nader przejrzysty zestawione najważniejsze problemy walki i współzawodnictwa serbochorwackiego, najistotniejsze czynniki kulturalno-narodowe obu części tego plemienia, ich pokrewieństwa i różnice.

Lwia część rozpraw prof. Murki z zakresu ludoznawstwa dotyczy poezyi ludowej słowiańskiej. Ponieważ jednak uczony traktuje ją głównie z punktu widzenia literatury historycznej i krytyki porównawczej, omówiliśmy najważniejsze z tych rozpraw już wyżej. Pamiętać tylko uależy, że w przeważnej części zaczerpnięte one z krynicy ludowej pieśni serbo-chorwackiej i wielkoruskiej (p. w.), dość obficie z czeskiej i polskiej (p. w.), stosunkowo najmniej z mało- i białoruskiej. Do tej ostatniej odnoszą się głównie wyczerpujące oceny zbiorów pieśni biało- i małoruskich, jak Zinajdy Radczenki Гомельскія народна пѣсни[3], E. Romanowa Бѣлорусскій сборникъ[4] i moskiewskiego wydawnictwa ludoznawczego Этнографическое обозрѣние[5].

Z najnowszych prac d-ra Murki z zakresu ludoznawstwa i pieśni gminnej, wymienić należy rozprawę *Die serbokroatische Volkspoesie in der deutschen Literatur*[6], *Die Volksepik der bosnischen Mohammedaner*[7], sprawozdanie z prac ludoznawczych d-ra Fr. S. Kraussa[8], tudzież *Zapadna epistola o nedelji v južnoslovanski književnosti*[9], która właściwie stanowi przyczynek do badań nad apokryficzną literaturą starosłowiańską.

---

[1] *Časopis za zgodovino*. L. III. Maribor.

[2] Oesterreichische Rundschau. IX. J. 4. H. (1906. 15. Dez.)

[3] (Бѣлорусскія и малорусскія.) Записаны въ Лятловицкой волости Гомельскаго уѣезда могилевской губерніи... (Спб. 1888). Arch. f. sl. Ph. XII. 540—9.

[4] T. I. Губерн. Могилев. Вып. 1. i 2 Пѣсни, пословици, загадки. (Kijów, 1886.) tamże. 549—557.

[5] Wyd. Mosk. Uniwersyt. R. 1889. — Tamże. Str. 557 i n.

[6] Arch. f. slov. Ph. XXVIII. S. 351—385.

[7] Zeitschrift des Vereins für Volkskunde. Berlin. 1909. 13—30.

[8] »Slavische Volksforschungen«. Hessische Blätter für Volkskunde. VIII. B. S. 52—59.

[9] Str. 706 i n. w *Zborniku u slavu Vatroslava Jagića*. (Jagić-Fest-

O pierwszej wspomniałem już wyżej ze względu na jej ważność na polu porównawczej krytyki literackiej. Tu uwzględnić muszę jej wartość dla studyów ludoznawczych, a w szczególności dla badań nad poezyę gminną słowiańską.

Cenne są uwagi krytyczne Murki tem, że wypływają, jak zwykle u niego, z bezstronnego stanowiska naukowego. Potępia w nich szowinistyczny punkt widzenia d-ra Ćurčina, gorliwego badacza w zakresie słowianoznawstwa, a przecież nie umiejącego trzymać się na wodzy w patryotycznych zapędach nawet tam gdzie chodzi jedynie o p r a w d ę, — w nauce.

»Ein Mann, — wyraża się o nim Murko, — der weiss, wie die deutsche Heldensage wanderte (ebenso die russische und französische), h a t f ü r ä h n l i c h e E r s c h e i n u n g e n a u f s ü d s l a v i s c h e n G e b i e t e k e i n V e r s t ä n d n i s und will sogar den Kraljević Marko zu einem e x c l u s i v e n s e r b i s c h e n Helden Stempeln«. (Str. 384—5.)

Z całą świadomością potępia autor tę, w manię już przechodzącą na Południu słowiańskiem zapalczywość w badaniach nad pochodzeniem i przynależnością ludowych pieśni, — zapalczywość, dzięki której odgrywają, niestety, rolę wszystkie pobudki, nie wyjmując politycznych, tylko nie – poczucie sprawiedliwości i bezstronnej prawdy.

Sprawozdanie to tylko, a przecie praca samodzielna i oryginalna. Zdradzając i tutaj ogromne oczytanie i swobodę, oddaje Murko sprawiedliwość lekceważonej lub wprost nieznanej Jugo-Słowianom zasłudze Polaków w badaniach nad folklorem Słowiańszczyzny południowej. Powołuje się na jedno z najbardziej wyczerpujących źródeł do tych badań: na rozprawy S t. C i s z e w s k i e g o w warszawskiej *Wiśle*, które dają najpełniejszą literaturę naszego przedmiotu [1].

Obecnie pracuje d-ra Murko nad niezmiernie ciekawym przedmiotem z zakresu słowiańskiego folkloru: mianowicie nad *obrzędami nadgrobnymi* i połączonemi z nimi ucztami, wywoły-

schrift.) V. J. k 6. VII. 1908. drugovi i učenici za spomen. (Berlin. Weidmannsche Buchhandlung. 1908. Str. 725.)

[1] Szczególnie: *Wisła*. T. VI. (Warsz. 1892.) 31 i i.

waniem duchów, stypami et c. w rodzaju naszych »dziadów«. Autor znalazł wiele pokrewnych rysów obyczajowych w tego rodzaju obrzędach u Bułgarów, Serbów i Chorwatów w Bośni, u Rosyan i Polaków, z czego spodziewa się wysnuć niejeden ważny wniosek dla historyi kultury słowiańskiej, jak i dla etymologii wielu wyrażeń. Traktując rzecz historycznie i porównawczo, zdradza trafną tendencyę przeciw formalistycznemu etymologizowaniu, które, rozpowszechniwszy się dzisiaj bezkarnie, doprowadza bardzo często do błędów i absurdów.

Toby był zatem przegląd najważniejszych prac słowieńskiego uczonego. Poza tem naliczyćby się dała znaczna liczba mniej lub więcej cennych sprawozdań krytycznych, recenzyi, przyczynków literacko-historycznych i artykułów przygodnych. Wiele światła rzucają zwłaszcza niektóre jego referaty z dzieł z zakresu słowianoznawstwa, robione zawsze z wielką sumiennością, a zdradzające erudycyę, bystrość i zmysł krytyczny. Drobne te szkice i sprawozdania rozrzucone są po całym szeregu czasopism, z których najbogatsze w artykuły Murki wymieniam: — niemieckie: *Archiv f. slavische Philologie* (od tomu XII do XXX), *Zeitschrift für österreichische Volkskunde* [1], *Allgemeines* (przedtem österreichisches) *Literaturblatt, Deutsche Literaturzeitung, Mittheilungen der Antropologischen Gesellschaft in Wien, Euphorion,* — z słowieńskich *Letopis Slovenske Matice, Ljubljanski Zvon, Časopis za zgodovino in narodopisje, Izvjestija muzejskego društva za Kranjsko,* — chorwacki *Rad Jugoslavenske Akademije,* — czeski *Časopis Historický* i inne.

Oto chwały godny dorobek naukowy słowieńskiego uczonego. Rozpoczął swe studya od filologii germańskiej, pod której tchnieniem wychowywało się jeszcze ówczesne słowieńskie pokolenie, niebawem jednak przerzuca się do studyów slawistycznych, jako bardziej odpowiadających jego narodowym i plemiennym aspi-

[1] I. i II. rocznik tego wydawnictwa zawiera nader cenny przegląd słowiańskiej ludoznawczej literatury za lata 1894—5., gdzie wymienione też i prace d-ra Murki.

racyom. Od pierwszej wziął metodę, sumienność i skrupulatność w badaniu, w drugie włożył całe zamiłowanie swej gorącej, a hartownej, słowieńskiej duszy, całą moc bystrego, słowieńskiego umysłu.

Dawne studya germanistyczne nie poszły na marne. Umiał je Murko korzystnie zużytkować, zastosowując swe przygotowanie do badań porównawczych nad epoką, w której nieustannie splatają się w życiu i literaturze pierwiastki słowiańskie z germańskimi.

Rwał się też początkowo do szerokich, dalekich horyzontów. Nie wystarczała mu twórczość rodzima, ani też najbliższych Słowian południowych. Puścił się w rozległe kraje północnej Słowiańszczyzny, zanurzył się w bogatej krynicy czeskiej, polskiej i rosyjskiej twórczości. A choć to było tylko chwilowe »zanurzenie«, — przy wytrwałej pracy i szczerym zapale, zapoznał się niebawem bardzo dokładnie z piśmiennictwem i północnych Słowian, czerpiąc odtąd obficie z tych studyów do nowych badań porównawczych, rozszerzając ogromnie horyzont swej wiedzy i zakres swych planów naukowych.

Kiedy powołano go na katedrę słowiańskiej filologii do Gracu, nowe obowiązki zawodowe, a przedewszystkiem obowiązki narodowe i plemienne nakazały mu ograniczyć się, ale skupić i pogłębić, by mógł jak najintenzywniej i jak najskuteczniej pracować dla młodych narodu pokoleń, co się garnąć poczęły tłumnie do tej ważnej, a jedynej placówki południowo-słowiańskiej nauki i piśmiennictwa, tonącej wśród morza niemiecko-madiarskiego.

Toteż odtąd w studyach swych specyalnych zwraca się głównie do literatury słowiańskiego Południa, dziejów jego kultury i twórczości, tak ludowej, jak i artystycznej. Odtąd wykłada stale dzieje piśmiennictw południowo-słowiańskich od w. IX—XIX, nie pomijając jednak, częścią przygodnie, częścią systematycznie, zaznajamiania słuchaczy z literaturami reszty Słowian, z dziejami filologii słowiańskiej, ludoznawstwa, poezyi gminnej, historyczno-porównawczą gramatyką języków słowiańskich, nie zaniedbując i praktycznych ćwiczeń, przy pomocy których zapoznaje młodzież z arcydziełami piśmiennictw słowiańskich, prócz południo-

wych, głównie z Kollárem, Mickiewiczem i Puszkinem. W ten sposób młodzież, poświęcająca się filologii słowiańskiej w Gradcu, ma sposobność przechodzić kurs jej niemal całkowity, bez koniecznego wyjazdu na dalsze uniwersytety. Niestety szykany i utrudnienia, jakich nie szczędzą słowiańskim studentom Niemcy gradeccy, a których nie mogą poskromić i najbardziej wpływowi Słowieńcy, są ciągle jeszcze przyczyną tłumnych secesyi słowiańskiej młodzieży z Gracu i słabej stosunkowo frekwencyi na wydziale filologii słowiańskiej.

Jako uczony, zdobył sobie dr. Murko sławę pracownika sumiennego i skrupulatnego w każdej, choćby najdrobniejszej sprawie. Przygotowanie źródłowe, metoda czysto naukowa, wykład jasny i przystępny, bystrość obserwacyi i kombinacyi, oczytanie rozległe, umiarkowanie i ostrożność w wyprowadzaniu wniosków i hypotez, gruntowność w analizie, bystry zmysł syntetyczny i umiejętność szczęśliwego odnajdywania nowych problemów i zagadnień naukowych — oto zalety i przymioty, jakie mu przyznają w mniejszym lub większym stopniu wszyscy jego krytycy i recenzenci, wszyscy niemal uczeni na polu słowiańskiej filologii.

Znaczenia d-ra Murki dla nauki polskiej dotknąłem powyżej już kilkakrotnie. Wprawdzie nie poświęcił dotychczas żadnego dzieła wyłącznie piśmiennictwu polskiemu, przecież niejednokrotnie zajmował się jego tworami i dorzucił niejeden cenny przyczynek ku zbadaniu zwłaszcza pierwocin naszej literatury, szczególnie średniowiecznych fabuł i legend, ich wędrówek, wpływu i pośrednictwa pomiędzy Zachodem a literaturą rosyjską. Zajmował się też żywo epoką naszego romantyzmu, czego owocem będzie prawdopodobnie dalszy ciąg dzieła o wpływach niemieckich na początki słowiańskiej poezyi romantycznej. Niemało wreszcie zasłużył się słowieński uczony długim szeregiem ocen krytycznych i sprawozdań, z pomocą których zaznajamiał szeroki ogół swego społeczeństwa i obcych z ważniejszymi płodami naszego piśmiennictwa i nauki.

Stąd też nic dziwnego, że ze strony polskich uczonych spotykał się prof. Murko z najpochlebniejszą krytyką. Jedni z nich, jak Nehring, Karłowicz, Gumplowicz, Chmielow-

ski, Brückner i i. w sprawozdaniach swych i ocenach darzyli go zawsze pełnem uznaniem, — inni, jak Zdziechowski, Rozwadowski, Leciejewski, Łoś, Nitsch, Krczek i w. i., a zwłaszcza uczeni czescy i rosyjscy, z którymi więcej miał sposobności wspólnie pracować, pozostają z nim zawsze w bardzo ścisłych stosunkach naukowych.

Młody wiek słowieńskiego profesora, energia, wytrwałość i zapał w pracy, charakter prawy i gorące umiłowanie sprawy ojczystej, każą wróżyć, że ten młody uczony słowieński, przyczyni się niejednem poważnem dziełem do wzbogacenia słowiańskiej nauki i piśmiennictwa, — na sławę i dla dobra swego niezbyt szczęśliwego, ale dzielnego narodu.

Devin — Ljubljana, 1909. — *Kraków,* 1910.

Tad. Stan. Grabowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Boska Komedya. *Dante Alighieri.* Przełożył Edward Porębowicz. Wydanie nowe, przerobione. Warszawa—Kraków. 1909. 8-ka, str. 715.

W rzędzie arcydzieł literatury powszechnej dominujące i przednie miejsce zajmuje »Boska Komedya« Dantego. Nieporównana wartość tego dzieła — zarówno ideowa jak i artystyczna — po wszystkie czasy tak dalece uderzała umysły ludzkie i w tak wielkie wprawiała je podziw, iż dla należytej oceny

»poematu świętego, co doń społem
Ziemia i niebo przykładały dłoni«
(»Raj« p. XXV. w. 1—2).

nie widziano innej właściwszej miary poza epitetem *La Divina Commedia* — »Boska Komedya«. Jest to bowiem »poemat nieogarnionej doniosłości, z treścią zawierającą cały świat zmysłów i ducha...; z celem moralnym zakreślonym tak szeroko, że się w nim znajdzie szczytny drogoskaz dla człowieka wszechwieków; z budową obmyślaną i przeprowadzoną tak misternie i skończenie, że stoi jak arcytyp konstrukcyi poetyckiej; ze sztuką wyrażania uczuć i uplastyczniania idei oderwanych tak elementarnie nową, silną i porywającą, że od niej liczy się nowożytna epoka stylu literackiego; synteza wieków średnich; synteza poety i jego myśli twórczej; symbol człowieczeństwa w jego historycznym, społecznym i indywidualnym postępie ku doskonałości« (Porębowicz, przedmowa str. 1). Że słowa powyższe nie są tylko wyrazem osobistych poglądów tłómacza »Boskiej Komedyi«, rozmiłowanego w niej aż do entuzyazmu, poglądów niezgodnych z przedmiotową

prawdą, wymownie świadczą o tem, prócz nader licznych odosobnionych prac poświęconych Dantemu i jego arcydziełu, powstałe na obu półkulach stowarzyszenia naukowe uprawiające i szerzące kult dantejski: we Włoszech — Societá Dantesca Italiana; Towarzystwo Dantejskie w Niemczech, którego organem *Dante-Jahr-Buch*; w Ameryce Północnej — Dante-Society.

Literaturze polskiej przyswojono w całości »Boską Komedyę« w drugiej połowie wieku minionego. W r. 1860 ukazało się tłómaczenie Jul. Korsaka (Warszawa), a w 10 lat później — Ant. Stanisławskiego (Poznań—Drezno 1870; Kraków 1887). Ale w dostojnej szacie słowa polskiego wystąpił »poemat święty« dopiero w przekładzie prof. Edwarda Porębowicza (1906, wydanie nowe przerobione 1909). Niebawem też przekład ten zdobył sobie powszechne i dobrze zasłużone uznanie. »...Boska Komedya«, Porębowicza — pisze prof. St. hr. Tarnowski — nie tylko znakomita wiernością i formą, ale w formie oryginału, w tercynach. Łatwo pojąć jak ta forma musiała utrudniać i ścisłość przekładu, i piękność polskiego wiersza: ale udała się«.[1] Sam wszakże tłómacz nie uważa owocu wieloletniej i sumiennej pracy za rzecz wszechstronnie i bezwzględnie doskonałą. »Dziś, kiedy dzieło lat kilkunastu leży ukończone, praca nad niem wydaje się tłómaczowi jakby jakaś walka mistyczna, jakieś borykanie się z przerażająco piękną a nieugiętą potęgą, — niby zapasy Jakóba z Aniołem. A radość, jaka być może, jest zwarzona przeświadczeniem, że wiele tam pozostało szańców niezdobytych i zwycięstw pozornych i klęsk niepowetowanych«. Takie wyznanie składa prof. Porębowicz w zakończeniu swej przedmowy na str. 26. W słowach tych tłómacz »Boskiej Komedyi« wystawił sobie chlubne świadectwo, wskazując na to wyniosłe stanowisko, z jakiego zapatrywał się na podjętą, a wreszcie dokonaną już pracę. Mimo wszystko uznanie dla najnowszego polskiego przekładu »poematu świętego« własne słowa prof. Porębowicza skłaniają mnie do zwrócenia uwagi jego na jeden z przewidywanych, »niezdobytych szańców« i do uczynienia paru pomniejszych sprostowań.

Pieśń XXIV Raju opowiada o egzaminowaniu Dantego z wiary przez św. Piotra Apostoła. Zamyka je Dante przepięknem wyznaniem dwóch podstawnych prawd chrześcijańskiej wiary: że jeden jest Pan Bóg, jedyny i odwieczny — *uno Iddio solo ed eterno* (w. 130—138) i że są trzy odwieczne Osoby Boskie — *trine persone eterne* (w. 139—144).

---

[1] Historya Literatury Polskiej. T. VI. Cz. II. Kraków. 1907, str. 105.

Obok tego wymienia *Alighieri rationes credendi* — podstawy swej wiary w dwie powyższe prawdy katolickiego *Credo*. Myśli wszakże Dantego zawartej w wiersz. 130—138 nie oddaje należycie omawiany tu polski przekład »Boskiej Komedyi«. Co więcej, tłómaczenie polskie stoi w oczywistej sprzeczności z oryginalnym, włoskim tekstem, tudzież w sprzeczności z dogmatyką katolicką wogóle i wierzeniami religijnemi prawowiernego katolika-Dantego w szczególności. Dante, jako Dante historycznie nam znany, niezłomnie i niezmiennie prawowierny syn katolickiego Kościoła żadną miarą nie mógł złożyć takiego wyznania, jakie w usta jego wkłada najnowszy polski przekład »poematu świętego«.

Przechodzę do wyjaśnienia i uzasadnienia uczynionego zarzutu.

Część pierwsza nadmienionego wyżej wyznania Dantego w przekładzie prof. Porębowicza tak brzmi:

Wierzę w jednego Boga, który żywie
Wiecznie i wzrusza świat, sam niewzruszony,
Budzący miłość, gdy tchnie miłościwie.

Ni przyrodzony, ni nadprzyrodzony
Dowód zniewala me wierzące chęci.
Ale ta prawda, którą był natchniony

Mojżesz, Psalmista i prorocy święci
I Ewangelia; Ty, druhowie twoi,
Pisarze, Ducha żarem owionęci«. (w. 130—138).

Z przytoczonych słów wynika, że autor »Boskiej Komedyi« wierzy w istnienie Pana Boga, odwiecznego i niezmiennego, Kierownika wszechświata, i że do uznania tej prawdy nie skłaniają go dowody filozoficzne, zdobyte przy umiejętnem użyciu przyrodzonych poznawczych sił umysłu ludzkiego, »jego wierzących chęci nie zniewala ni przyrodzony ni nadprzyrodzony (!) dowód«, lecz wiarę swą w istnienie Pana Boga opiera on na świadectwie natchnionych ksiąg Mojżesza, Dawida-psalmisty, proroków, Ewangelistów, Apostołów, — słowem na świadectwie i autorytecie ksiąg świętych St. i Now. Testamentu.

Czy na takie tłómaczenie pozwala tekst włoski? Czy wogóle z pod pióra Dantego mogło wyjść podobne wyznanie?

Zajrzyjmy najpierw do oryginału! Czytamy tam:

». . . Io credo in uno Iddio
Solo ed eterno, che tutto il ciel move,
Non moto, con amore e con disio;

Ed a tal creder non ho io pur prove
Fisice e metafisice, ma dálmi
Anco la veritá che quinci piove

Per Moisé, profeti et per psalmi,
Per l'Evangelio, e per voi che scriveste,
Poi che l'ardente Spirto vi fece almi« [1]. (130—138)

Chodzi tu głównie o wiersze 133, 134 i 135. Mamy tedy do przetłómaczenia następujący tekst włoski: *ed a tal creder no ho io pur prove fisice e metafisice, ma dálmi anco la veritá che quinci piove per Moise etc.* Dante używa tu spójników stopniujących: *non pur..., ma anco...*; nie tylko..., lecz także... Na wyrażonej przezeń myśli wyciskają one właściwe i ściśle określone znamię, a przeto w przekładzie na każdy obcy język spójniki te winny być koniecznie uwzględnione pod karą spaczenia myśli twórcy »Boskiej Komedyi«. W dosłownem tedy polskiem tłómaczeniu otrzymamy zdanie: a dla tej wiary mam ja dowody nie tylko fizyczne i metafizyczne, lecz daje mi je także prawda, która stąd płynie przez Mojżesza i t. d. Rzuca tu się od razu w oczy zasadnicza różnica myśli pomiędzy przekładem prof. Porębowicza a właściwem znaczeniem oryginalnego tekstu. Co innego bowiem znaczy powiedzieć: wierzę... a dla tej wiary mam nie tylko *(non pur)* dowody fizyczne i metafizyczne, lecz także *(ma anco)* stwierdza mą wiarę prawda płynąca z ksiąg pisarzy przez Ducha Św. natchnionych; a zgoła co innego wyrażają słowa: wierzę... ni przyrodzony ni nadprzyrodzony dowód zniewala me wierzące chęci, ale ta prawda, którą byli natchnieni pisarze biblijni... Nie można, rzecz prosta, domagać się od tłómacza niewolniczego, a choćby tylko dosłownego tłómaczenia oryginału, ale zawsze i wszędzie przysługuje prawo żądania dokładnego przekładu, któryby wiernie odtwarzał myśli autora. Zastąpienie spójników stopniujących: nie tylko..., lecz także... wyraże-

[1] Przytaczam tekst włoski według najbardziej krytycznych nowszych wydań Scartazzini'ego: (Dante Alighieri, *La Divina Commedia reveduta nel testo e commentata da G. A. Scart.*, 4 ediz. reveduta da G. Vandelli. Milano 1903) i Casini'ego: (*La Divina Commedia. Con il commento di T. Casini*, 5 ediz. In Firenze 1905). W obu wydaniach tekst przytoczonego urywku jednobrzmiący; różnica zachodzi jedynie w w. 138 w pisowni: *poi che* (Scartazzini), *poiche* (Casini).

niem: ni..., ni..., ale... przekracza właściwą miarę dozwolonej tłómaczowi swobody; wprowadza bowiem do dzieła, które przecież ukazać się miało tylko w nowej szacie słowa, zmianę istotną.

Nadmienić nadto wypada, że *prova metafisica* nie znaczy dowód nadprzyrodzony. Utożsamienie pojęć »metafizyczne« i »naprzyrodzone«, nieznane w dotychczasowem słownictwie filozoficznem, tem bardziej nie może mieć zastosowania tam, gdzie chodzi o oddanie myśli Dantego, powstałej na gruncie średniowiecznej filozoficznej myśli. Jakkolwiek do dziedziny zagadnień metafizycznych należą najwyższe zagadnienia bytu, z tem wszystkiem bada je i roztrząsa umysł ludzki przy użyciu wyłącznie własnych przyrodzonych sił poznawczych i dlatego wszystko to, co »metafizyczne«, nie należy do sfery nadprzyrodzoności. Właśnie dowód istnienia Pana Boga oparty na świadectwie Pisma św jest dowodem nadprzyrodzonym, gdyż i sam fakt istnienia ksiąg pod bezpośrednim wpływem Pana Boga pisanych należy do rzędu nadprzyrodzonych zjawisk. Wobec czego nie można przeciwstawiać dowodu nadprzyrodzonego dowodowi z Pisma św., jak to wyżej widzieliśmy: »...ni nadprzyrodzony dowód zniewala me wierzące chęci, ale ta prawda, która płynie przez Mojżesza i t. d. Słusznie natomiast Dante dowody fizyczne i metafizyczne *(prove fisice e metafisice)*, leżące poza sferą nadprzyrodzoności, wyodrębnia od dowodu nadprzyrodzonego, wspierającego się na fakcie Objawienia i na jednem z jego źródeł — Piśmie św.

Pozostaje jeszcze wykazać, że tłómaczenie polskie w w. 130 – 138 zawiera myśl niezgodną z nauką katolickiego Kościoła i nie może być przeto wyrazem poglądów prawowiernego katolika, że wreszcie myśl owa jest błędną, zarówno ze stanowiska filozofii scholastycznej jak i ze stanowiska filozofii idealnego realizmu wszech wieków.

Już św. Paweł w liście do Rzymian (I, 20. 21) zaznacza, że ludy pogańskie posiadały poznanie istnienia Najwyższej Istoty i doszły do stwierdzenia tej prawdy bez pomocy Objawienia przy wyłącznem użyciu przyrodzonych poznawczych sił umysłu ludzkiego. Tak zapatrywano się na poznanie prawdy o istnieniu Pana Boga w całem chrześcijaństwie katolickiem za czasów ś. Augustyna, Beocyusza, ś. Grzegorza W., ś. Tomasza z Akwinu i aż do czasów najnowszych. Na 3 posiedzeniu soboru Watykańskiego, 24 kwietnia 1870 r., wyniesiono prawdę tę do wartości dogmatu, orzekając: »...Kościół utrzymuje i naucza, że Pan Bóg, początek i ostateczny cel wszechrzeczy, może być poznany

z całą pewnością za pomocą przyrodzonego światła umysłu ludzkiego z rzeczy stworzonych« [1].

Lecz nie tylko Dante-prawowierny katolik, lecz i Dante-filozof, urabiający swe filozoficzne poglądy na podstawie filozofii średniowiecznej, a przedewszystkiem na dziełach jej koryfeusza, ś. Tomasza z Akwinu, nie mógł nie znać lub nie uznawać podanych przez Doktora Anielskiego (Sum. theol. I, qu. 2, art. 3) słynnych pięciu filozoficznych dowodów istnienia Pana Boga [2].

Zresztą pogląd powyższy na posiadaną przez człowieka zdolność pewnego poznania istnienia Najwyższej Istoty nie jest ani specyficznie średniowiecznym, ani też wyłącznie chrześcijańskim. Jeżeli rzucimy okiem po całym obszarze dziejów filozoficznej myśli, spostrzeżemy, że takież stanowisko w tej mierze zajmują przedstawiciele filozofii idealnego realizmu tak w odległej starożytności, jak i w czasach najnowszych. I tak, już Sokrates w rozmowie z Arystodemem rozwija fizykoteleologiczny dowód istnienia Pana Boga, istnienia »Tego, który stworzył ludzi od początku« — τοῦ ἐξ ἀρχῆς ποιοῦντος ἀνθρώπους, istnienia »mądrego jakiegoś Stwórcy i miłośnika żywych istot« — σοφοῦ τινος δημιουργοῦ καὶ φιλοζῴου, jak o tem czytamy w »Pamiętnikach« Xenofonta [3]. Ale pogląd ten, rozwijany i uzasadniony w zaraniu dziejów filozofii, bynajmniej nie utracił, z upływem czasu swej zasadności i żywotności; przeciwnie, wytrzymał wiekową próbę, wszechstronniej z biegiem wieków zarysowany spotężniał, wreszcie utrwalił się usprawiedliwiając swą treść krytycznie nawet wobec »czystego rozumu«. Przytoczę tu słowa Nestora współczesnej filozofii polskiej prof. d-ra Henryka Struvego, który (jak sam wyznaje) [4] »wygłaszał zasady krytycznej filozofii w duchu idealnego realizmu w wykładach uniwersy-

---

[1] »... Ecclesia tenet et docet, Deum, rerum omnium principium et finem, naturali humanae rationis lumine e rebus creatis certo cognosci posse«. Cap. 2 de revelat. Vid. Denzinger, Enchiridion symbolorum. 1908 ed. 10, 1785. »Si quis dixerit, Deum unum et verum, creatorem et Dominum nostrum, per ea, quae facta sunt, naturali rationis humanae lumine certo cognosci non posse: anathema sit. Canon 1 de revelatione; Denzinger, l. c. 1806.

[2] Cf. Eug. Rolfes, Die Gottesbeweise bei Thomas von Aquino und Aristoteles. Koeln, 1898. — Ueberwegs-Grundriss der Geschichte der Philosophie. II. Th. Berlin 1905, 308—309.

[3] Ἀπο μενημονεύματα Σωκράτους, I. IV, 5, 7.

[4] »Wstęp krytyczny do filozofii«. Warszawa 1903 str. 632

teckich i w pismach od r. 1863«. »Bezstronny krytyczny myśliciel — pisze Struve — wolny od wszelkich z góry powziętych uprzedzeń, dochodząc drogą naukowego badania do przekonania o istnieniu Boga, wyznać musi, że abstrakcyjna wiedza o nim nie jest zdolną zaspokoić należycie wrodzonej duchowi ludzkiemu tęsknoty do życiowego związku z rozumną zasadą wszechbytu...« [1]. A na innem miejscu: »Biorąc za punkt wyjścia krytycyzm Kanta, nowa filozofia przezwycięża jego jednostronny subjektywizm i wykazuje, że najwyższe idee rozumu: Bóg, wolna wola i nieśmiertelność duszy, nie tylko są postulatami podmiotowymi, — jak dowodził mędrzec królewiecki — lecz są zarazem objawami przedmiotowej rzeczywistości, wcielającej swój porządek i swe prawa w organizacyę naszego umysłu. To nie są żadne mrzonki wyobraźni, — to najprawdziwsza treść powszechnego porządku świata, to świadectwa boskiej myśli, działającej w nas i powołującej nas do siebie, do swej najwyższej doskonałości« [2].

Nie zamierzam na tem miejscu podejmować szerszego rozbioru filozoficznych dowodów istnienia Pana Boga. To, co tu dotąd powiedziano z okazyi polskiego przekładu w. 130—138 pieśni XXIV Raju, zmierza jedynie do wykazania: że tłómaczenie polskie tego ustępu »poematu świętego« stoi w sprzeczności z oryginalnym włoskim tekstem i wprowadza do Boskiej Komedyi bezpodstawnie myśl zasadniczo różną od myśli Dantego, że myśl przekładu polskiego niezgodną jest z nauką Kościoła katolickiego, z filozofią chrześcijańską i naogół z filozofią idealnego realizmu wszystkich czasów.

Niepodobna tu jeszcze nie podkreślić tej ścisłości myśli, z jaką wypowiada się Alighieri. Wyznając prawdę o istnieniu »Jedynego i Odwiecznego Boga«, powołuje się na dowody »fizyczne i metafizyczne«, tudzież na dowód z Objawienia (w. 130—138); gdy atoli w dalszym ciągu przechodzi do wyznania prawdy o Trójcy Św., zaznacza, że poznanie jej czerpie jedynie i wyłącznie z Objawienia:

»...w Trójcę świętą wierzę, co się troi,
Tak pozostając jedną w swoim składzie,
Że jej »są« i »jest« zarówno przystoi.

Prawdę o Trójcy tej przepastnym ładzie
Niby pieczęci nieomylne odbicie
Na myślach moich Ewangelia kładzie«. (w. 139—144).

[1] Tamże, str 515.

[2] »Znaczenie filozofii w życiu umysłowem narodu«. Warszawa 1902. str. 16.

Dante, filozof i teolog zarówno głęboki, rozumiał należycie, że umysł ludzki przy umiejętnem użyciu przyrodzonych poznawczych sił swoich zdolny jest wznieść się do stwierdzenia z całą pewnością istnienia Najwyższej Istoty. Ale to, że jedna w swej Naturze Istota owa troistą jest w Osobach, przechodząc zakres ludzkiego poznania uchyla się przed niem. Wiedział o tem twórca Boskiej Komedyi niemniej dobrze i dlatego oświadcza, że »prawdę o Trójcy na myślach jego kładzie Ewangelia«. Takiem jest zapatrywanie każdego katolika filozoficznie i teologicznie wykształconego na źródła poznania dwu wspomnianych prawd katolickiego *Credo* i takiem jedynie zapatrywaniem mógł Dante »wlubić się św. Piotrowi« (tamże, w. 154), stróżowi czystości i nieskazitelności wiary.

Pozostaje jeszcze powiedzieć słów parę o kilku dostrzeżonych mniejszych usterkach. W VII pieśni Raju, wykładając Dantemu tajemnicę Odkupienia, nadmienia Beatrycze o grzechu pierworodnym i o karze, jaka spotkała pierwszego człowieka:

»... własnowolnie był wygnany potem
Z raju, stawszy się Bogu nieposłuszny,
Który jest drogą prawdy i żywotem«. (w. 37—39).

Zamiast »Bóg..., który jest drogą prawdy i żywotem«, powiedzieć należy: »Bóg..., który jest drogą, prawdą i żywotem«. Jest tu bowiem widoczna tożsamość myśli i oczywista zależność użytego zwrotu od słów Chrystusa Pana podanych w czwartej Ewangelii: Ἐγο εἰμι ἡ ὁδὸς καὶ ἡ ἀλήθεια καὶ ἡ ζωή — Jam jest droga i prawda i żywot (ś. Jan, XIV. 6).

Nie można zgodzić się z autorem najnowszego przekładu Boskiej Komedyi na to, iżby widzenie ś. Pawła, opowiedziane w II liście do Koryntyan (XII. 1—4), było »wizyą apokryficzną« i analogiczną do wizyi apokaliptycznych w starochrześcijańskich apokryfach, do wizyi Dantego i t. p. (str. 15—16, str. 706). Może komuś wydawać się cały chrystyanizm jednym wielkim apokryfem, a wtedy zapewne i list ś. Pawła do Koryntyan i opisane tam widzenie jego uchodzić będą za apokryficzne. Kto wszakże uznaje listy ś. Pawła za »pisma przez Boga natchnione« (jak Dante), za cząstkę zbioru ksiąg św. Nowego Testamentu, ten żadną miarą przyjąć i uznać nie może paraleli pomiędzy listem natchnionego przez Pana Boga Apostoła z jednej, a apokryficzną księgą »Apokalipsy ś. Piotra«, »Żywotem ś. Antoniego« nie zawsze wolnym od legend, Boską Komedyą natchnionego katolickiego poety i t. p. z drugiej strony. Tu — *comparatio datur nulla.* Mistyczne widzenie ś. Pawła jest udzieloną mu przez Pana Boga nad-

przyrodzoną łaską, stwierdzoną autorytetem Pisma św., nie podlega przeto żadnej wątpliwości. Poznane w czasie tego widzenia tajemnice Nieba wzmocniły do niewzruszoności wiarę Apostoła narodów, ale że o nich »nie godziło się mówić« (XII. 4) i rozpowiadać, uniósł je ś. Paweł ze sobą do grobu. Ani tej pewności, ani tego znaczenia zgoła nie posiadają wizye średniowieczne, o których wspomina prof. Porębowicz, ani nawet wizya Dantego. Jeśli w II pieśni »Piekła« (w. 28—32) robi Alighieri wzmiankę o widzeniu św. Pawła, w czasie którego »skroś przewędrował zaziemskie smugi« (w. 29), i jednocześnie zastanawia się nad swoją wędrówką w zaziemskie krainy, czyni to jedynie dla stwierdzenia wielkiej, niewymiernej różnicy tych dwóch wędrówek, nie zaś — ich równo- lub przynajmniej blizkoznaczności; albowiem oba te widzenia w oczach Dantego i każdego katolika przedstawiają się nie tylko jako dwie nierówne a zresztą jednorodne wartości, lecz jako dwie wartości wprost różnorodne, a zatem — niewspółmierne.

W XIV pieśni »Raju« czytamy:

»..... pełen majestatu
Znak mi się jawił, złożony w te linie,
Co razem tworzą przekątnię kwadratu«. (100—102)

Mowa tu o znaku krzyża utworzonego z linii odpowiadających swym kształtem obu przekątniom kwadratu, które, jak wiadomo, przecinając się wzajemnie, połowią się, są do siebie prostopadłe, a przeto tworzą prawidłowy równoramienny krzyż. Należy tedy użyć liczby mnogiej »przekątnie«, nie zaś pojedyńczej »przekątnię«, gdyż nie jedna tylko, lecz dopiero obie razem wykreślone przekątnie kwadratu formą swą krzyż przypominają.

W komentarzu do II pieśni »Raju« pisze prof. Porębowicz: »Tajemnicę zlania się w Chrystusie natury boskiej i ludzkiej zrozumiemy dopiero po śmierci« (str. 653). Słowa »zlanie się natury boskiej i ludzkiej« co najmniej nieściśle oddają naukę katolicką o Wcieleniu; zastąpić je należy wyrażeniem: »tajemnicę z j e d n o c z e n i a się...«, jak to uczynił tłómacz w tekście (pieśń II w. 42 »Jak się j e d n o c z ą w Chryście dwie natury«). Nieswojsko też brzmi zwrot: »należą w (!) dziedzinę« (str. 3). W tekście: »Tu rośnie Róża (M. B.), w której słowo Boga ciałem się stało« (»Raj« p. XXIII w. 73 – 74) należałoby napisać dużą literą »Słowo Boga«, jako imię własne drugiej Osoby Boskiej.

Ks. Antoni Zawistowski.

Nauki katechizmowe. — Ks. Prymas Woronicz. — *Ks. dr. Jougan.*

Jak ubodzy jesteśmy jeszcze mimo długoletnich wysiłków w opracowania literackie naszych kaznodziejów, to jeden z dowodów, że taka z wielce typowych na ambonie postaci i sympatycznych Ks. Prymasa Woronicza dotąd czekała ręki swego autora. A choć praca ta nie wszystkich oczekiwania zdołała zaspokoić, choć nie jest jeszcze we wszystkich szczegółach ostatecznym wyrazem, należy w każdym razie do prac bardzo poważnych na tem polu, i kto wie czy jej miejsce prędko zdoła zastąpić inna, któraby zyskała powszechne uznanie krytyki.

Bądź co bądź autor jej znalazł się w niezmiernie utrudnionych warunkach. Literatura bowiem dotychczasowa o Woroniczu, otoczyła postać jego jakąś aureolą, której nóż krytyki bał się dotknąć i rzeczowo zbadać. Ten pasterz, anioł pociechy na gruzach ojczyzny i pieśniarz serdeczny stał się wśród nas drogocennym jakby klejnotem. Ale właśnie dlatego i wobec nas samych potrzebował tej oceny swojej wartości rzetelnej nie dlatego, byśmy go chcieli pozbawiać owego przedziwnego wpływu, ale by go właśnie usprawiedliwić.

Ks. Jougan daje nam w tym celu zrozumianą monografię kaznodziejską. Nie jest więc jej zadaniem ocenianie szczegółowe jego talentu i płodów poetyckich, ani akcyi politycznej i życia publicznego. Jednakże do sprawiedliwego wydania sądu o kaznodziei należało roztrząsnąć te wszystkie momenta, które musiały niezaprzeczenie wywierać wpływ na twórczość jego kaznodziejską. Stąd znajdujemy w monografii całokształt jego życia i stosunków, potrącamy także raz po raz o niwę jego poetycką. Woronicz znany w literaturze jako kaznodzieja patryotyczny, pełen natchnionego uniesienia i słodyczy poezyi, wrażliwszym był na wszystko, co dotykało jego ideałów, a pełnię jego duszy otwierało w płynącem uczuciem, wypowiadanem w pięknej formie krasomowczej i nierównie doborowej szacie językowej. Ta wrażliwość atoli sprawia u niego w mowach okolicznościowych ową przewagę uczucia, która niem tylko ocenia objawy społeczne i narodowe, niżej stawiając takiego mową od innych, którzy jak Skarga szerokim widnokręgiem i sądem wytrawnym obejmowali położenie kraju i tam otwierali sobie źródła silnych, wstrząsających uczuć. Stąd chociaż te mowy stanowiły dotąd główną zasługę Woronicza literacką, nie wszystkie jednak mogły stanąć na równej wyżynie jego sławy kaznodziejskiej. Zawsze jednak wszystkie bez wyjątku celowsze będą, jeżeli się je postawi nie w porównaniu z pokrewnymi kaznodziejami z innych

epok, ale w świetle swojej własnej epoki. I oto wyświetlenie tych mów przez ich rozbiór i ocenę nie tylko czysto literacką, ale zarazem ze stanowiska kaznodziejskiego jest znacznym postępem dla nas, a rzetelnym zyskiem dla samego Woronicza. Tutaj dopiero przesunęły się nam owe ustępy jego krasomowcze pełne natchnionej siły we właściwej swej piękności, a w nich odtworzyły nam się prawdziwe zalety wymowy Woronicza. Z natury takiego rozbioru stanąć musiały obok i pewne wadliwości: rzeczowe jak wspomnieliśmy z pewnego uczuciowego punktu zapatrywania inne zrodziła pewna hyżość w ich tworzeniu, zrozumiana wśród tak rozlicznych zajęć kapłana i męża stanu. Objawiły się zaś głównie w nierównomierności stylowej, czasem braku wykończenia formy.

Tak Woroniczowi powszechną sławę zjednał jego talent mowczy. Inne jeszcze atoli mniej znane i cenione w literaturze płody kaznodziejskie Woronicza pokazały nam w krytyce niepospolity jego talent ściśle homiletyczny. To te skromne mowy parafialne jakie wygłaszał w zawodzie swym kapłańskim, jako pleban wiejski. A bądź co bądź talent to bardzo wyjątkowo skojarzony z mówców tego charakteru co Woronicz, który musi znajdować w sobie mimo pracy nawet pewną trudność w zniżeniu się do pospolitej wymowy. U Woronicza nie znać bynajmniej w nich żadnego podobnego przymusu. Płyną naturalnie stylem prostym, ale zawsze poprawnym, naturalne jego zdolności poetyckie dają tu pewną szlachetną okrasę w obrazowaniu umiejętnem, uczucie, które później miało wznieść się wysoko nad granice ojczyste i wglądnąć w chwile życia politycznego, tu zatrzymało się wśród miłości ludzi i sielskiego życia, ogarniając pasterskiem okiem te ciche potrzeby, radząc im serdecznem upomnieniem. Jeżeli w tamtych mowach okolicznościowych, krytyka kaznodziejska musiała bezstronnie znaleźć niejedne błędy, to tutaj tylko żal nam pozostał, że Woroniczowi znowu brak czasu nie pozwolił zostawić nam kompletnego dzieła homilijnego, któreby było chlubą swej epoki, tak skromnie w kaznodziejstwie reprezentowanej.

To ogólny obraz, wrażenie jakie dała nam krytyka. Ks. dr. Jougan prowadzi nas do wytworzenia tego obrazu bardzo szczegółowym pod każdym względem rozbiorem utworów Woronicza. Wykorzystał tło historyczne, na którem nam mowy jego przedstawia i roztrząsa, zarówno pod względem formy jak treści, bardzo słusznie położył wielki nacisk na stronę psychologiczną odgrywającą tu twórczą rolę. Rzecz najpierw przedstawił drogą chronologiczną żywota jego, by zdo-

być ewolucyę talentu i podstawę historyczną, by w drugim tomie mógł się zająć wyłącznie tylko oceną kaznodziejską. W osobnych rozdziałach przedstawił nam: szczegółową bibliografię utworów homiletycznych Woronicza, dalej roztrząsania jego nauk parafialnych, kazań przygodnych, mów pogrzebowych. Pomiędzy rozdziałem o naukach parafialnych a kazaniach przygodnych, poświęca rozdział osobnemu przedstawieniu Woronicza jako krasomówcy, a zapoznawszy nas z treścią samą mów, specyalnie zwraca uwagę na ich przymioty krasomowcze. Dodatek do tego obrazu, będą stanowiły znowu te homilije, które wygłasza jako biskup, już w czasie wizyt pasterskich, już też w swoich siedzibach biskupich, jako też orędzia i listy Jego pasterskie, wliczane już dzisiaj także do pewnego rodzaju wymowy kościelnej.

Ks. J. Rejowicz.

Z piśmiennictw obcych.

Die osteuropäischen Literaturen und die slawischen Sprachen von *A. Bezzenberger, A. Brückner, V. von Jagić, J. Máchal, M. Murko, F. Riedl, E. Setälä, G. Suits, A. Thumb, A. Wesselowsky, E. Wolter.* 1908, Berlin und Leipzig. Druck und Verlag von B. G. Teubner. (Die Kultur der Gegenwart. Ihre Entwicklung und ihre Ziele. Herausgegeben von Paul Hinnenberg. Teil I, Abteilung IX).

Znana księgarska firma lipska Teubnera, podjęła niedawno wydawnictwo na wielkie rozmiary, p. t. *Die Kultur der Gegenwart*, mające w szeregu monografii i w pewnej ilości rozpraw syntetycznych dać całkowity obraz dzisiejszej kultury, przedstawić jej dzieje i wyciągnąć stąd pewne wnioski o kierunku, w jakim ta kultura dalej będzie i ma się rozwijać. Przedsięwzięcie ogromnie pociągające: wszak to prawdziwa rozkosz umysłowa móc tak wejrzeć w istotę naszej obecnej kultury, poznać jej przebieg dawny, snuć przypuszczenia o jej przyszłych kolejach. Jednakże pewne niedostatki już teraz dadzą się zauważyć. Rozmiary wydawnictwa są tak wielkie, że nawet człowiek, któryby zdołał, zawsze z jednakową korzyścią przestudyować całość, wątpię czy będzie miał poza masą szczegółów, więcej lub mniej zgrupowanych, obraz syntetyczny, czy zdoła istotnie objąć »całość«. W samem wydawnictwie zresztą jest pewna luźność, poszczególne dzieła istnieją więcej obok siebie, aniżeli razem z sobą

i pewna ilość rozpraw syntetyzujących tego nie usunie. Dla czytelnika nieniemieckiego znowu dzieło jest zbyt niemieckie – stąd np. ludy i sprawy słowiańskie w stosunku do rozmiarów całego wydawnictwa wyznaczone mają miejsce nieproporcyonalnie małe.

Ale oczywiście, niezależnie od tych zastrzeżeń, musimy wydawnictwu przyznać niezwykły interes, a w poszczególnych tomach niepospolitą wartość — autorami zresztą są najznakomitsi w danej nauce uczeni. Otóż chcemy tu zwrócić uwagę na tom, poświęcony językom i literaturom słowiańskim. W braku podobnego dzieła w naszej literaturze naukowej musimy udawać się do wydawnictw niemieckich. W tym razie zresztą język tylko jest niemiecki — autorami rozpraw, odnoszących się do świata słowiańskiego, są wyłącznie uczeni słowiańscy, a dodajmy od razu, że wybrano tu imiona, donośnie brzmiące.

Językom słowiańskim poświęca Jagić pierwszą część tomu. Rozprawa zaczęta świetnie, gdy mówi o epoce najstarszej, epoce wspólności Słowian, o ich wędrówkach i losach, aż do rozpadnięcia się pierwotnej jedności na grupy plemienne i językowe, zaczęta świetnie tak pod względem treści, jak i sposobu przedstawienia rzeczy, nie zawsze utrzymuje się na tej wysokości w ustępach, omawiających poszczególne języki; jak to zaraz w takiej rozprawie ogólnej znać, nad którymi działami autor specyalnie pracował; ustępy, mówiące o wspólności pierwotnej, o języku starocerkiewnym, o rosyjskim, należą do najlepszych, naodwrót jednym z najmniej zadawalających jest obraz języka polskiego, gdzie spotykamy niedokładności i po prostu błędy. Dziwne u najsławniejszego dzisiaj językoznawcy słowiańskiego.

Z prawdziwą przyjemnością czyta się historyę literatury rosyjskiej Wiesiołowskiego. Rzadko spotkać rzecz tak pouczającą a nie pedantyczną, równą, spokojną, a ożywioną przez autora wielkiem umiłowaniem przedmiotu, pozbawioną najzupełniej przesady, pozy, krzyku, a głęboko czującą, doskonale rozłożoną, akcentującą rzeczy ważne, dającą obrazy epoki i osobistości. Pomiędzy uczonymi rosyjskimi Wiesiołowski należał do najpiękniejszych postaci — i to tak znać w jego rozprawie! zwłaszcza Polak może z całem zaufaniem w jego szlachetność wziąć tę rzecz do ręki. Należy jednak pamiętać o jednej rzeczy: Wiesiołowski, idąc w tem zresztą tak za najznakomitszym krytykiem rosyjskim XIX wieku, Bielińskim, jak za całą lepszą częścią krytyki rosyjskiej, rozpatruje literaturę swego narodu przedewszystkiem z punktu widzenia polityczno-wolnościowego; widzi w piśmiennictwie swego narodu przed innemi właściwościami jego

rolę i współudział w dążeniach najlepszych tego narodu ludzi do swobody i wolności. Jest to zresztą stanowisko samej literatury, która właściwie rezygnuje z zagadnień wyłącznie literackich, aby się cała oddać w służbę owej idei. Otóż nie wdając się tu w krytykę tego stanowiska, zauważmy tylko, jak ono oddziałało na przedstawienie dziejów literatury rosyjskiej w rozprawie Wiesiołowskiego. Wyniknęły stąd pewne przymioty: jak np. ogromna zwartość i jednolitość, rozwój literatury tak rozważanej, rysuje się przed nami niezwykle logiczny, jasny, naturalny; z drugiej strony pewne cechy więcej już ujemne, naprzykład: ciemne strony piśmiennictwa usunięte są zbytnio w głąb, skoro autor uwydatnia przedewszystkiem te zjawiska, które wchodzą w zakres jego poglądu (jakże inaczej wyglądają wieki dawne u Wiesiołowskiego a u Brücknera!); rozwój właściwości i form czysto literackich nie jest przedstawiony tak dobrze, jak rozwój dążności; osobistości porozdzielane są i poumieszczane w różnych okresach, stąd rozwój indywiduów pisarskich mniej świetnie się uwydatnia (jest to zresztą ciągły kamień obrazy dla każdego historyka literatury); w uwielbieniu tej literatury autor nie dostrzega tych jej cech, które wpływały ujemnie na społeczeństwo, które mimo całej żądzy czynu czyn osłabiały. Ale przy tych wszystkich zastrzeżeniach: rozprawa jest wprost pierwszorzędna, a korzyść z jej przestudyowania (naturalnie obok innych ogromna).

Z pewnem zakłopotaniem przystępuje się do zdania sprawy z dziejów literatury polskiej Brücknera. Uczony pierwszorzędny, znający jak nikt szczegóły dawnej epoki piśmiennictwa polskiego, pracowity do podziwu, pisze żywo, z zacięciem, z temperamentem młodzieńczym, z uczuciem. Wyrazy i zdania wprost kłębią się czasem, nie mogąc nadążyć za bystrością i rozległością myśli. Stąd zalety dzieła: żywość, zajęcie, które budzi, brak chłodu w recepcyi dzieła. Z rozprawy, o której tu mowa, przypomnieć warto ustęp końcowy o znaczeniu literatury polskiej dla narodu, o roli, jaką spełniała i spełnia, dalej ustęp o Orzeszkowej, o Sienkiewiczu, o literaturze wieku XVII, ze wszystkich najżywiej napisane, najlepiej przez to wbijają się w pamięć. Ale są i błędy tych zalet. Znane one i z innych rzeczy Brücknera, a dadzą się streścić w zdaniu: temperament ponosi autora. I oto w obrazie literatury wieku XVII mamy scharakteryzowane wyłącznie ciemne strony i bardzo ciemnemi barwami, których nie łagodzi zdanie, że mimo to było w tej literaturze dużo zjawisk interesujących. Nie chodzi o to, aby przed obcymi pokazywać same

dobre strony tej epoki; metoda fałszywa pod każdym względem. Ale historyk, to nie prokurator i oskarżyciel, tylko sędzia, który i złe i dobre rzeczy na szali waży. Tu zaś przypomina się nam, że przecież Brückner pierwszy wśród polskich historyków literatury tak wysoko tę epokę postawił, że ją aż przecenił. Nie wiemy tedy, któremu poglądowi dzisiaj mamy wierzyć. Temperament połączony z indywidualnymi poglądami i odczuciem piękna, doprowadził autora do niemożliwego przecenienia »Pana Balcera w Brazylii«; tem się chyba tłumaczy zestawienie Świętochowskiego z Wolterem i Herzenem, i zdanie, że Świętochowskiego dramaty książkowe należą do najbardziej interesujących w literaturze światowej (tak na str. 166, *Die Lesedramen, die er schuf, gehören zu den interessantesten der Weltliteratur).* Rozkład dzieła w zasadzie jest wyborny; słusznie położony nacisk na wiek XIX. Ale poszczególne ustępy proporcyę dość łamią. A więc wiek XVI w porównaniu z następnym traktowany stanowczo za krótko. Epoka poprzednia właściwie pominięta zupełnie; stąd głucho np. o Długoszu. Z całej dawnej epoki przed romantyzmem autor wymienia jedynie trzy nazwiska: Kochanowskiego, Sarbiewskiego i Krasickiego; przy wieku XIX przygodnie wspomina jeszcze »Simonidesa«. W w. XIX dysproporcya razi bardzo. Fredro zbyty w kilku wierszach, gdy Świętochowski zajmuje pół strony. Takiż stosunek między Asnykiem a Konopnicką. Sienkiewicz zajmuje miejsca więcej aniżeli Krasiński lub Słowacki. Wiem dobrze, że w mniejszej ilości wierszy można więcej powiedzieć — ale tutaj tak nie jest. Czy to jest przypadek, czy też zamysł autora, aby tym sposobem zaakcentować większe lub mniejsze znaczenie danego pisarza dla kultury narodu, nie umiem rozstrzygnąć; w każdym razie jedno i drugie nie przyczynia się do pogłębienia wartości rozprawy. Mała przestrzeń, wyznaczona dziejom literatury polskiej, byłaby czynnikiem tłumaczącym wiele i łagodzącym. Ale sam ten fakt znowu należy podkreślić jako pewne *minus.* Literatura polska obejmuje stron 23; w tym samym tomie rosyjska ma ich 113, czeska 18, południowo-słowiańskie 52, węgierska 42, estońska 21, litewska 18 — łatwiej było prof. Brücknerowi stoczyć z wydawcą walkę o miejsce, aniżeli jakiemu uczonemu mniejszego znaczenia. Oczywiście trudność wtłoczenia produkcyi literackiej polskiej na tak małej przestrzeni, jeżeli się nie chciało popaść w fatalną zwięzłość encyklopedyi i nie dawać samego tylko repertoryum nazwisk, była ogromna; autor wyszedł z niej niejednokrotnie bardzo obronną ręką, ale niezawsze to się udało. Sąsiedztwo znakomitej rzeczy

Wiesiołowskiego także sytuacyę utrudnia. Wszystkie te okoliczności muszą w sądzie zaważyć silnie, ale ostateczne wrażenie jest mieszane, wielkie zalety mieszają się ze znacznymi defektami.

W historyi literatury czeskiej, Máchala rozkład materyału popada znowu w drugą krańcowość; literatura wieku XIX, zajmuje zaledwie czwartą część całej rozprawy. Do pewnego stopnia ten brak proporcyi da się usprawiedliwić: dawna literatura czeska ma przedstawicieli, których znaczenie przekracza granice Czech, i którzy przez to biorą niemały udział w rozwoju kultury wogóle; nadto ze wszystkich ludów słowiańskich jedynie Czesi rozwinęli w wiekach średnich literaturę bogatą i w pełnem tego słowa znaczeniu. Ale i tak rozkład pozostaje nierównomierny; na wiek XIX autorowi jakby zabrakło miejsca, wskutek tego ostatnie strony są przepełnione nazwiskami, nie mówiącemi nic zgoła czytelnikowi obcemu. Wskutek tego braku miejsca nie występują tak, jak się im stosownie do ich znaczenia w literaturze i kulturze czeskiej należy, Vrchlický, Zeyer, Němcová, podczas gdy np. ze starszych pisarzy Štitný, Chelčický, Komenský, przedstawieni są wcale dobrze (przy ostatnim jednak brak podkreślenia jego poezyi). W przedstawieniu rzeczy są czasem naiwne superlatywy, np. gdy powieści historyczne Jiráska figurują z predykatem: *grosartige Gemälde*. Wogóle jednak poza powyższymi usterkami znamiona epok literackich uchwycone są wcale dobrze.

Literatury ludów południowo-słowiańskich przedstawia Murko. Najlepszy dzisiaj znawca tych literatur, znający przytem bardzo dobrze inne piśmiennictwa słowiańskie, obeznany z literaturą powszechną, umie przedmiot swój, mający przeważnie charakter wyłącznie krajowy, bardzo często prowincyonalny, rozpatrywać pod kątem widzenia ogólnym i łączyć z ogólno-europejskimi prądami. Wyćwiczony w szkole niemieckiej, autor przejął pewne jej zalety, np. dokładność i ścisłość, i pod tym względem przewyższa wszystkie rozprawy, w omawianym tomie umieszczone, ale i pewne jej wady, jak np. zbytnią drobiazgowość, która lęka się opuścić nawet mało znaczące szczegóły, a w rezultacie doprowadza nieraz do zaciemnienia głównych linii obrazu. Uwydatniło się to dość silnie w części pierwszej, traktującej epoki dawniejsze (literatura w języku cerkiewno-słowiańskim), gdzie w mnóstwie szczegółów czytelnik nieraz traci z oczu całość. Tę samą rzecz autor przedstawił doskonale, w wydanej równocześnie *Geschichte der älteren südslavischen Literaturen* (Lipsk, 1908), gdzie wobec większych rozmiarów dzieła, szczegóły układają się harmonijniej, gdzie np. roz-

dział o apokryfach należy do najwięcej interesujących. Synchronistyczne traktowanie czterech literatur może być przedmiotem sporu, choć autor ma za sobą powody dość ważne; prędzej możnaby ten sposób traktowania przypuścić dla epoki starszej, w której różnice narodowe istotnie są minimalne, aniżeli dla nowszej, w której bądź co bądź poszczególne literatury są wyrazem ducha poszczególnych narodów, choćby nawet granice narodowości były tak niestałe i nikłe, jak między Kroatami a Serbami. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach jednak bezsporną jest wielka wartość naukowa rozprawy Murki (zauważmy, że jest to wogóle pierwsza historya tych literatur, odpowiadająca wyższej skali wymagań), którą podnosi jeszcze spokojny, objektywny sposób przedstawienia, wolny od przesady, a uwydatniający trafnie i słusznie wszystko, co na takie uwydatnienie zasługuje. Całość nie jest tak piękną, jak Wiesiołowskiego, żywą, jak Brücknera, ale jako rzecz naukowa nie potrzebuje się lękać porównania.

Tak przedstawiają się dzieje literatur słowiańskich w tym tomie *Kultur der Gegenwart.* Całość, w związku z tym tytułem ogólnym, daje dużo do myślenia, nasuwa wiele refleksyi o udziale ludów słowiańskich we wznoszeniu gmachu tej kultury, o tem, jaki udział przypisują im obcy, a jaki sobie Słowianie sami, pobudza do rozmyślań nad marzeniami o rzekomej jedności słowiańskiej, nad wspólnymi pierwiastkami duchowymi, które niewątpliwie w literaturze się objawiają. Ale nie czas i miejsce po temu. Zauważmy tylko, co do samego dzieła, że jest ono na dzisiaj najlepszem krótkiem kompendyum literatur słowiańskich, że pojawia się na czasie i może z wielu względów być pożyteczne. Wobec braku takiego podręcznika w języku polskim, musimy używać tego, dopóki nasza nauka na podobne wydawnictwo się nie zdobędzie. Niemile natomiast uderza niekompletność dzieła. Brak literatury łużyckiej, słowackiej, ruskiej. Jakiekolwiekby było zdanie o ich znaczeniu, to do całości obraz ich był koniecznie potrzebny; razi to zaś tem bardziej, że w tym samym tomie jest opracowaną np. literatura estońska, łotewska, litewska; chyba ruska literatura np. może się z tamtemi zmierzyć! Tak to płacą Rusinom ich niemieccy przyjaciele i obrońcy.

Z innych literatur, w tym tomie omówionych, Polaka interesują zwłaszcza dzieje literatury litewskiej. Niewiele jednak można się tu nauczyć. Sporadyczne bibliograficzne zjawiska epoki dawnej, przedstawione są dobrze, natomiast nowsza i najnowsza literatura, ta która nas z wielu względów blizko obchodzi, omówiona jest zupełnie nie-

dostatecznie, i nie daje żadnego obrazu ani informacyi; autor tłumaczy się, że nie miał materyałów biograficznych! Stanowisko autora (A. Bezzenberger, Niemiec, profesor w Królewcu, powaga na polu badań nad językiem litewskim) jest wobec żywiołu polskiego tendencyjnie nieprzyjazne.

St. Dobrzycki.

Opiś muzeja Stawropigijskawo Instituta wo Lwowie. *Swiencickij I. S* Lwiw. 1908. 8-ka, str. XI i 248.

Inwentaryzacya zabytków ruskich, przechowywanych w zbiorach rozmaitych instytucyi publicznych, zaczyna postępować coraz to szybszym krokiem od lat kilku ostatnich. Do najbardziej zasłużonych około tej, tyle ważnej sprawy, należy ponad wszelką wątpliwość młody uczony, o którym mieliśmy już sposobność mówić w *Przeglądzie.* W przeciągu lat paru ostatnich zaznajomił on nas z cerkiewno- i ruskosłowiańskimi rękopisami, przechowywanymi w bibliotece publicznej lwowskiego »Narodnego Domu«, następnie opisał innojęzykowe i nowsze karpacko-ruskie rękopisy tejże biblioteki, a w pokaźnym pierwszym tomie »Ukraińsko-ruskiego archiwum« dał dokładny przegląd rękopisów, ofiarowanych »Narodnemu Domowi« przez ks. kanonika Petruszewicza. Równocześnie wreszcie z omówionym już z tego miejsca »Katalogiem knig cerkowno-sławianskoi peczati«, znajdujących się w Muzeum cerkiewnem we Lwowie, otrzymaliśmy wymienioną w tytule pracę. Światła na zbiory ruskie dotychczas mało dostępne, rzuca ona sporo.

Niedługa przedmowa traktuje o losach i ludziach, dzięki którym zorganizowano muzeum, przyczem słusznie podkreślono zasługi ś. p. prof. Szaraniewicza, głównego inicyatora uporządkowania zbiorów. Z przedmowy również dowiadujemy się o podziale zbiorów na poszczególne grupy, przyczem nie omieszkano zaznaczyć, kto i w jakich celach korzystał dotąd z nagromadzonych zabytków. Co się tyczy samego podziału, to jest on następujący: I. rękopisy — sztuk 148; II. druki — 291; III. archiwum — oryginalnych dokumentów 871 i kopii 248; IV. obrazy, portrety, rysunki — sztuk 354; V. tkaniny — sztuk 103; VI. rzeźby, wyroby kamienne i metalowe — 97; VII. medale i monety — 103; VIII. wykopaliska archeologiczne — nrów 532.

Najważniejszym i najbardziej interesującym jest niewątpliwie dział pierwszy, mieszczący w sobie zabytki rękopiśmienne, które do niedawnego jeszcze czasu poniewierały się, przeważnie niezbadane,

niezużytkowane dla celów naukowych, ba, nawet nieopisane dokładnie. Z natury swojej rękopisy te są treści religijnej. Najliczniej reprezentowane są tutaj ewangelie, z tych jedna z wieku XV, psałterze, metryki cerkiewne i rejestry bractw. Wszystkie prawie rękopisy zostały opisane szczegółowo tak, że nawet nie opuszczono dopisków, uczynionych na nich w rodzaju, czyją własnością był rękopis, kiedy i od kogo zakupiony i t. p. W nielicznych tylko wypadkach brak wskazówek co do epoki, w jakiej powstały.

Lwia część rękopisów, znajdujących się w dziale archiwalnym,— to korespondencye, akty, hramoty, tyczące się przeważnie Bractwa Stauropigialnego. Dla przyszłego historyka tej instytucyi, która przez tak długi czas była jedyną niemal ostoją kultury na Rusi Czerwonej, zawarte tu są skarby nieocenione, jakkolwiek częściowo zostały już wyzyskane przez badaczy kultury i historyków dawniejszych i nowszych, Mamy tutaj długi szereg dokumentów, rzucających światło na rozwój bractw galicyjskich oraz wiele wcale dotychczas niewydanych aktów.

Również pomiędzy drukami przeważają rzeczy religijne. Najstarszym jest tutaj druk krakowski z wieku XV, »Triod ćwitna« (1494). Z pomiędzy rzadkości bibliograficznych lwowskich napotykamy »Apostoła« Fedorowa (1573), znaną z pracy specyalnej prof. Studzińskiego gramatykę »Adelfotes« (1596), wśród ogółu 100 druków lwowskich z okresu XVI—XVIII stulecia. Z pomiędzy innych wymienimy: jeden druk krzemieniecki z XVII wieku, dwa ostrogskie, a mianowicie: »Apokrizis« (1597) oraz t. zw. »Biblię Ostrogską« (1581) na ogół ośmiu, wileńskich dwanaście z XVII wieku i jeden rzymski z XVII w. Poczajowskich jest aż 17, ale wszystkie pochodzą z XVIII wieku. Przy książkach podano też ciekawe notatki, znajdujące się na marginesach. Staranność d-ra Świencickiego w tej mierze zasługuje na zupełne uznanie.

W dziale obrazów i portretów przeważają — malowidła na drzewie, których jest więcej niźli połowa ogólnej liczby numerów. Poza tem napotykamy tutaj: malowidła na płótnie, porcelanie, metalu i papierze. Zadziwiający jest tylko fakt, dlaczego zdjęć fotograficznych jest aż nadto znikoma liczba?

Dział V i VI zawiera z nielicznymi wyjątkami rzeczy ściśle cerkiewne.

Gabinet monet i medali natomiast, z wyjątkiem paru starożytnych pieczątek ołowianych, którym obszerną pracę poświęcił w swoim

czasie prof. Hruszewskij, nie przynosi niczego, co tyczyłoby się bezpośrednio rzeczy ruskich.

Dział ostatni — archeologiczny nie jest, niestety, ułożony w pewnym systematycznym porządku, naturalnie bynajmniej nie z winy p. d-ra Świencickiego. Nie zawiera też niczego godniejszego specyalnej uwagi. Wykopaliska, których głównym inicyatorem był ś. p. prof. Szaraniewicz, ograniczają się przedmiotami bardzo już spospolitowanymi i nieodłącznymi przy każdem niemal znalezisku przedhistorycznem.

Pracę p. d-ra Świencickiego zamyka spis alfabetyczny miejscowości, o których jest mowa w dziale archiwalnym.

Dotychczasowe skrzętne katalogi młodego uczonego zapowiadają siłę poważną, po której wiele spodziewać się należy przynajmniej pod względem inwentaryzacyi zbiorów ruskich. Z prac jego odniesie niezawodnie także sporo korzyści nauka polska, o ile bowiem chodzi o kolekcye ruskie, te nie są bez »poloniców« wprost do pomyślenia. Gdybyż tak za przykładem p. d-ra Świencickiego poszli pobratymcy jego na Ukrainie i zaczęli ogłaszać drukiem katalogi swoich kolekcyi (w samym Kijowie jest ich kilka i to wcale bogatych, o czem wiadomo mi z autopsyi), okazałoby się, ile to rzeczy, nie mających wprost ceny, kryje się dotąd przed okiem badaczy.

Dr. St. Zdziarski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Król powietrza. Powieść z najbliższej przyszłości. *L. Szczepański.* Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 231.

Wojna w przestworzu. Powieść z niedalekiej przyszłości. *H. Wells.* Przełożył z angielskiego S. Barszczewski. Warszawa—Kraków. G. Gebethner. 1910. Str. 331.

Błękitna flota. *E. G. Seeliger.* Kraków. G. Gebethner i Sp. Str. 365.

Wszystkie w nagłówku wymienione powieści, owoc wybujałej wyobraźni, odgrywają się w przyszłości, kiedy człowiek ujarzmił już zupełnie powietrze i w niem bezpieczniej prawie się poruszał, jak na ziemi. Niema co mówić! Powieści interesują, działają na nerwy i narzucają ostatecznie przekonanie, że choć nie ze wszystkiem, jednak wiele rzeczy w przyszłości tak się ułożyć może, jak to autorzy opisują. Wszystkie trzy powieści, acz w różnych czasach się odgrywają, w jednem przecież się schodzą: ujawniają i wybijają krwiożercze i zwierzęce instynkty brutalnej siły człowieka; to coby mogło być dobrodziejstwem, staje się klątwą. Najwyżej stoi jeszcze »Błękitna flota«, zawierająca przynajmniej jakąś myśl moralną i rzucająca w ostatecznej katastrofie komendanta »Błękitnej

floty« myśl, że przecież sprawiedliwości brutalnie i bezkarnie gwałcić nie wolno. Polskiego czytelnika zainteresuje »Król powietrza«, pisany przez Polaka dla Polaków o Polakach.

Ks. W. W.

Z dziejów pułku. Pułk dwunasty piechoty Księstwa Warszawskiego. *St. Ostrowski.* Warszawa — Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 167.

Dokona dobrego dzieła, kto te obrazki nie tylko poleci, lecz do ich czytania usilnie zachęci. Takie to piękne i tak prawdziwie nasze! Treścią tych obrazków sceny z walk i bitew za wolność, myślą przewodnią miłość kraju, lecz miłość w czynie, w zaparciu i ofierze z życia się przejawiająca. Przeznaczona ta książka, zdaje się, głównie dla młodzieży, zasmakuje w niej jednak i dojrzały, intelligentny czytelnik, gdyż operuje ona często środkami wysoce artystycznymi. Trudno np. bez wzruszenia i wielkiego nawet estetycznego zadowolenia czytać takie obrazki, jak »Święcone Dąbrowszczyków«, »Pod Toruniem«, »Dobosz Markucki«, »Ostatni z pułku« lub »Na Hibernach«. Ta ostatnia opowieść dosięga nawet tragizmu. Autorowi należy się szczera wdzięczność za jego pracę.

K. W. W.

Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości. *M. Rodziewiczówna.* Wydanie II. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 323.

Sąd swój o powieści Rodziewiczówny »Byli i będą«, wypowiedział już *Przegląd* w tomie 99. Był to sąd przeważnie dodatni i do niego nic nowego nie mamy do nadmienienia. Takich powieści, mimo niektórych słabych stron, więcej!

Ks. W. W.

Jaskółczym szlakiem. Powieść. *M. Rodziewiczówna.* Wydanie II. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 348.

Powieść z zaścianków, choć częściowo odgrywa się i na szerokim świecie, bo na fermie polskiej w Algierze. Stąd sporo typów pospolitych, z wszystkiemi wadami, jakie czasem życie stwarza. Nie brak jednak i świeższego powiewu, głębokich myśli i rzewnych scen. Drugie to jest wydanie, nie chodzi więc nam o obszerniejszy rozbiór; wystarczy zaznaczyć, że ten szmat życia, wyrwany gdzieś ze zapadłego kąta na Polesiu, tworzy w istocie lekturę miłą i pociągającą a także przemawiającą do duszy.

Ks. W. W.

Pierścień z ametystem. *A. France.* Tłumaczył J. Sten. Wybór pism. VII. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. 1910. Str. 343

Kto jest amatorem lektury lekkiej, pełnej sceptycyzmu i sarkazmu, drwiącej ze wszystkich, najpoważniejszych nawet rzeczy, upatrującej w ludziach tylko brud, choć po francusku pojęty i po francusku wyrażony, temu »Pierścień z ametystem« do smaku przypadnie. Każdy inny czytelnik szukać będzie w tej powieści odpowiedzi na pytanie: co właściwie skłoniło wydawców do przyswojenia tego utworu naszemu piśmiennictwu, i rozumnej odpowiedzi nie znajdzie, gdyż pojedyncze udatne, choć bardzo rzadkie ustępy, powieści nie ratują.

Ks. W. W.

Zbrodnia w zamku. *M. Leblanc.* Wilno. Nakł. »Kuryera Litewskiego«. 1910 Str. 127.

Jako miesięczny bezpłatny dodatek do »Kuryera Litewskiego« jest »Zbrodnia w zamku« dla niewybrednych

czytelników ciekawą lekturą. Dużo tajemniczości, senzacyi, działania na nerwy, dużo nieprawdopodobieństwa, pełno niedomówień, jak za najlepszych czasów »Bladej hrabiny« i towarzyszy. Prenumeratorów może przysporzy dziennikowi, w morzu literackiem jednak utonie zupełnie.

Ks. W. W.

Na Skalnem Podhalu. *K. Przerwa-Tetmajer.* V. Kraków—Warszawa. Gebethner i Wolff. 1910. Str. 94.

Autor skarży się w przedmowie, że »Na Skalnem Podhalu« znalazło, z wyjątkiem I tomu niesłychanie mało czytelników. Objaw ostatecznie zrozumiały, publiczność szersza nie lubi w powieści odgadywać zagadek chyba — po chwilowej modzie reakcya nastąpić musiała. Sprawozdawcy zdaje się, że i ostatni tom wielu czytelników nie znajdzie. Pisany dorywczo, z powodu pewnych wydawniczych zobowiązań, pisze przedmowa. W dwóch tylko ostatnich obrazkach znać Tetmajera talent. Ciągła niełaska, jaką autor okazuje w swych szkicach szlachcie i klerowi, ostatecznie już nudzi i jest niesmaczną.

Ks. W. W.

Wesołe opowiadania. *Dr. M. S.* Z rosyjskiego. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 92.

»Wesołe opowiadania« nie zawsze bardzo wesołe, czasami nawet trochę nudne, bo z pewnością niełatwo dopatrzeć się humorystyki w takich opowiadaniach jak »Wilk« lub »Rozbójnicy«. Sytuacyę ratują ostatnie trzy obrazki, z których »Kochliwy wujaszek« i »Fortepian« mogą oczywiście pobudzić do pewnej wesołości. Wybór wydaje nam się wogóle mniej udany, boć przecież literatura rosyjska posiada Lejkina i Miasnickiego, a w nich całą kopalnię trochę może nieokrzesanego lecz zdrowego i prawdziwego humoru.

Ks. W. W.

Genezis z Ducha. Modlitwa. J. Słowackiego (obraz duszy poety). *Karol Wróblewski.* Lwów. Księgarnia H. Altenberga.—Warszawa. E. Wende i Sp. 1909. Str. 50.

Sto lat upłynęło od chwili, w której przyszło na świat owe dziecko, które marzeniem sławy żyć poczęło — o tę sławę w modłach swych się dopominało. Dziś — świat mniej lub więcej uczony (z pewnymi oczywiście wyjątkami) przyszedł do przekonania, że ten, co tak po mistrzowsku słowem władać umiał — godzien istotnie wielkiej u potomnych sławy. Każde dzieło, każdy w tem dziele ton poddano obserwacyi w mnóstwie odczytów i rozpraw. Jedną z takich złożył do skarbnicy polskiego piśmiennictwa i pan Karol Wróblewski.

W. B.

Schwester Maria vom göttlichen Herzen Droste zu Vischering. Ordensfrau vom Guten Hirten. Von *Louis Chasle.* Z francuskiego przerobił P. Leo Sattler O. S. B. 8-ka, str. XVI i 352. Freiburg. Herder.

Najprzew. ks. metropolita lwowski, Andrzej Szeptycki, w liście do autora umieszczonym na wstępie powyższej biografii, zalicza tę książkę do najcenniejszych swojej biblioteki. Po przeczytaniu z uwagą całej książki odnosi czytelnik to samo przekonanie.

Siostra Marya od Boskiego Serca (urodzona 8 września 1863, zmarła 8 czerwca 1899) sowicie obdarzona przez Boga darami naturalnymi i nadprzyrodzonymi, była powołaną, dążyła i — o ile jej żywot i zdarzenia po śmierci wskazują — osiągnęła niezwykły stopień świętości. Nadto przyczyniła

się do rozszerzenia czci Boskiego Serca i do aktu poświęcenia całego rodu ludzkiego temuż Boskiemu Sercu, jak o tem świadczył Leon XIII. Lecz jej świętość nie była ujętą w formy nieprzystępne albo odrażające zwykłego śmiertelnika. Żywego usposobienia, czynna i ruchliwa, była ona w postępowaniu, jak sama o sobie pisze, do roku 16 życia raczej chłopcem niż panienką. Później wykształcona wszechstronnie i świadoma swego zadania oddała serce Bogu na ofiarę całopalenia i poświęciła się dla dobra bliźniego, łącząc tak doskonale postępy w świętości z życiem czynnem w warunkach nowoczesnych, że z równą gorliwością słuchała swego uczonego spowiednika, zwalczała siebie, trwała na modlitwie, zaprowadzała wspaniałe nabożeństwa, jak też z drugiej strony rządziła klasztorem »Dobrego Pasterza« w Porto, wyposażała ubogie t. zw. Magdalenki, troszczyła się o ubogich i opuszczonych, a nawet własnoręcznie szyła drobne odzienia dla niemowląt biednych rodzin. Całe jej życie, a szczególnie ostatnie trzy lata, podczas których raz czy dwa zdołała na łożu boleści o własuych siłach usiąść, a mimo to wyżej się wzbiła do świętości i więcej może dobrego zdziałała dla bliźnich, niż poprzednio, pouczają najwymowniej, jak można życie kontemplacyjne połączyć z życiem czynnem. Ten urok jaśniejący w żywocie czcigodnej służebnicy Bożej jest bardzo dobrze uwydatniony w niniejszej biografii, zwłaszcza że tłumacz, O. Sattler O. S. B., snuje cały jej życiorys na tle jej krótkiej autobiografii i jej licznych oryginalnych listów.

Dla wielkiego pożytku, jaki zapewne odniesie każdy z czytania tego umiejętnie opracowanego dzieła, zasługuje ono na polecenie.

M. H.

Das Leben der allerseligsten Jungfrau und Gottesgebärerin Maria, mit einem Anhange von Gebeten von *Fr. A. Schmid S. J.* Neu herausgegeben von P. R. Fischer S. J. 1909. Regensburg. Fr. Pustet. Str. 300.

Treść książeczki (str. 222) jest, jak czytamy w tytule, żywot Najśw. Panny, nie przedstawiony jednak na sposób biografii, ale w punktach do rozmyślania. Autor zebrał właściwie te medytacye z dziełek W. O. Łęczyckiego T. J., zestawił w całość i uzupełnił, gdzie było potrzeba, nie troszcząc się o oryginalność ani o głębokie wywody. Całe dziełko, dobrze uporządkowane i poprawione przez wydawcę, przy rozmyślaniu oddać może niejedną usługę. Obszerny dodatek (str. 223—300) zawiera zbiór modlitw do Matki Boskiej.

M. H.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ruch rekolekcyjny.

Od czasów wprowadzenia chrześcijaństwa nie zna historya chwili tak przełomowego znaczenia, jak epoka Odrodzenia. Do nowych prądów w dziedzinie nauki, sztuki, polityki i gospodarstwa społecznego dołączyły się wielkie wynalazki i odkrycia, by wspomnieć tylko o najważniejszych: sztuka drukarska, wynalezienie prochu, odkrycie Ameryki i obserwacye Kopernika. Nowe nastały czasy, noszące na sobie przedewszystkiem cechy indywidualizmu, subjektywizmu i naturalizmu, w opozycyi do charakteru wieków średnich. Nastąpił ten przewrót na nieszczęście wtedy, kiedy stosunki w kościele nie były najlepsze, kiedy wszędzie w nim widać było ślady upadku, i pomimo częstych nawoływań *ad reformationem in capite et in membris* czasy odrodzenia dla Kościoła jakoś nimi być nie chciały. Piąty sobór lateraneński minął prawie bez wpływu na polepszenie stosunków kościelnych, położenie stawało się coraz smutniejsze, a nowe prądy niemało przyczyniały się do pogorszenia sprawy, rozszerzając ducha swawoli, wolnomyślności i niemoralności, i podkopując powagę Kościoła.

Wobec tego mogło się po długich walkach wewnętrznych augustyaninowi Marcinowi Lutrowi zdawać, że przyczyni się do

tego odrodzenia Kościoła, jeżeli z nim sobie postąpi w duchu prądów ówczesnych. Wychodząc z własnych psychicznych i religijnych doświadczeń, usiłował Pismo św., Kościół, wiarę i odkupienie wytłumaczyć według własnych subjektywnych nastrojów i potrzeb. Sumienie staje się u niego autonomicznem, wiara subjektywną osobistą religią, ewangelia przynosi mu to, co sam z niej wyczytał, a odkupienie jest usprawiedliwieniem Chrystusa jemu przyczytanem. Tem samem istnienie Kościoła było przesądzone, a autonomiczny chrześcijanin rzeczą dokonaną. Wnet też świat współczesny dowiedział się o nowej ewangelii. W głośnym roku 1520 wyszły trzy wielkie pisma tego reformatora: »Do szlachty niemieckiej«, »O niewoli Babylońskiej« i »O wolności chrześcijanina«, w których z całą siłą swej popularnej mowy mniej więcej wszystkiemu zaprzeczył, co stanowi treść i znaczenie Kościoła.

Już w następnym roku 1521 w znanej bulli *Exurge Domine* i w drugiej *Docet Romanum*, odrzuciła Stolica św. zamierzony przez Lutra sposób odrodzenia Kościoła, sejm w Wormacyi tego samego roku przyniósł reformatorowi wyrok banicyjny, a z nim przymusowy pobyt na Wartburgu. W murach tego sławnego zamku, w którym jasna postać św. Elżbiety tak święte zostawiła wspomnienia, miał Luter czas i sposobność jeszcze raz zastanowić się nad dziełem swojem. Nie tracił też czasu, ale skutek był ten, że wszystko, co nie zgadzało się z jego poglądami, szczególnie współczesny mu Kościół katolicki uważał odtąd za dzieło szatana. Zjadliwe pisma, które powstały: O spowiedzi, o nadużyciu mszy św., o ślubach zakonnych i niemniej tłumaczenie Nowego Testamentu, świadczą wymownie, że autor ich zerwał zupełnie z wszelkiem kościelnem i tradycyonalnem chrześcijaństwem. Reszta jego życia będzie poświęcona praktycznemu przeprowadzeniu tego nowego biblijno-racyonalistycznego chrześcijaństwa. Dziś po czterech wiekach chwieje się jeszcze sąd historyi o tym człowieku i owszem obecne czasy bardziej są oddalone od zgody na tym punkcie niż jakakolwiek epoka poprzednia, o tem jednak nikt chyba wątpić nie może, że Luter Kościołowi nie przyniósł odro-

dzenia, lecz rozdział, i że odrodzenie Kościoła na innej drodze nastąpiło.

Około czasu, w którym Luter pożegnał Wartburg, w r. 1522, w Manrezie, małej hiszpańskiej mieścinie, widywano człowieka, który w tamtejszym szpitalu znalazł był schronienie. Wśród ciężkich walk wewnętrznych spodziewał się znaleźć światło i spokój w uczynkach pokutnych, w modlitwie i w częstej a szczerej spowiedzi. Wnet też Bóg dobrę jego chęci i usiłowania hojnemi wynagrodził oświeceniami. Z tych to wewnętrznych doświadczeń i Bożych natchnień powstała książeczka, należąca do najciekawszych w literaturze świata: »Książka rekolekcyi św. Ignacego«.

Odwieczny w historyi ludzkości, ciągle się powtarzający dramat duszy, przechodzącej przez złość i winę grzechową, przez żal i pokutę do usprawiedliwienia i uświęcenia, dramat, który Dante w nieśmiertelnym swym poemacie tak wzniośle wyraził, a który też w życiu Ignacego się odegrał, gdy z rycerza hiszpańskiego, uwikłanego w zmysłowe i próżne zabiegi świata przez pokutę, walki i modlitwy stał się wiernym i żarliwym uczniem Chrystusa, — dramat ten jest także treścią tej niepokaźnej książeczki, ale pojęty w świetle odwiecznych prawd i największego ideału religijnego, Jezusa Chrystusa. W jednem krótkiem zdaniu wyraża ten mistrz życia duchowego cel rozmyślań, uwag, wskazówek w owej książeczce zawartych: »człowiek ma się uwolnić od wszystkich nieporządnych skłonności, a to uczyniwszy szukać woli Bożej, by według niej urządzić życie i tak zbawić duszę swoją«. Oto jedynie prawdziwa mądrość chrześcijańska. Nauka starała się szczególnie w średniowiecznych mistykach wykryć źródła, z których św. Ignacy czerpał, ale prócz skąpych alluzyi mało znaleziono. W każdym razie psychologiczna konstrukcya i powiązanie całości ćwiczeń, w których od podstawy i pierwszej zasady życia religijnego prowadzi do najwyższej z cnót, miłości Bożej, jest wyłączną zasługą św. Ignacego pod wpływem Bożych natchnień, jest dziełem, w które włożył całą osobistość swoją i błogosławieństwo modlitw, pokuty i miłości swojej. Trzeba się tylko raz poddać potężnemu wrażeniu prostych rozmyślań i wska-

zówek jego, aby zrozumieć, że wnet rekolekcye musiały osiągnąć nadzwyczajne i uderzające skutki. Nie brakło też podejrzeń i napaści, tak, że papież Paweł III czuł się zmuszony powierzyć książeczkę rekolekcyi do zbadania trzem teologom. Wynik był ten, że w książce, traktującej o głębokich prawdach i o zawiłych zjawiskach psychicznych, a napisanej przez rycerza ledwie umiejącego pisać, a zgoła niezaznajomionego z teologią, wszyscy trzej sędziowie nic cenzury godnego nie znaleźli. 31 lipca 1548 r. oświadczył w osobnem brewe Paweł III, że książeczka rekolekcyi odznacza się pobożnością i świętością, pochwalił ją we wszystkich jej częściach i wiernym zalecił. W tym też roku wyszły rekolekcye pierwszy raz drukiem i to po łacinie. Oryginał napisany w języku hiszpańskim, przechował się do naszych czasów. Od tego czasu rekolekcye, choć wyłącznie prawie dla użytku członków Zakonu Towarzystwa Jezusowego, często jednak były drukowane. Wydania wszystkie wylicza Sommervogel: *Bibliothèque de la Compagnie de Jésus.* Nouv. éd. Bibliographie V, Bruxelles-Paris 1894, 59—74; X, 1900, 608—609. Nowe krytyczne wydanie przyniosą wkrótce *Monumenta Ignatiana.*

Dałaby się od czasów św. Ignacego o tej jednej książeczce bardzo interesującą historyę napisać i to w podwójnym kierunku, jedną o jej praktycznych skutkach religijnych, drugą o jej literackiem opracowaniu i ocenie. Można śmiało twierdzić, że rekolekcye w wielkiej mierze przyczyniły się do owego odrodzenia Kościoła, które około połowy XVI wieku się rozpoczyna, a którego Luter na fałszywej drodze szukał. Zawierają bowiem zarys i ducha zakonu, którego Ignacy stał się założycielem i zdaje się, że nie zostały bez wpływu na ówczesne sfery miarodajne rzymskie, w których nurtowała myśl reformy Kościoła. Do kółka bowiem, które się w Rzymie wytworzyło około św. Ignacego, należeli także członkowie rodziny Farnezów, z której Paweł III wstąpił na tron papieski. Ten zaś papież nie tylko zakon i rekolekcye św. Ignacego zatwierdził, ale także zwołał sobór trydencki. Zdaniem zaś wszystkich sobór ten i Zakon Tow. Jezusowego najwięcej przyczyniły się do odrodzenia Kościoła, nadzwy-

czajny wpływ, wywarły na życie kościelno-religijne wieków następnych.

Historya rekolekcyi dotychczas nie została napisana; powstanie jej będzie zapewne zasługą i uwieńczeniem dzieła, na które tu zwrócimy uwagę.

W r. 1878 O. Watrigant T. J., postanowiwszy poświęcić się badaniom nad historyą rekolekcyi, przekonał się wnet, że tej myśli przeprowadzić nie zdoła bez założenia rodzaju biblioteki rekolekcyjnej. Zabrał się więc do dzieła i już r. 1891 liczyła jego biblioteka 2000 tomów, dziś zawiera 6000 dzieł i dokumentów, odnoszących się do rekolekcyi, a znajduje się obecnie w Enghieu. O. Watrigant podzielił swoją bibliotekę na cztery części: 1) na dzieła i dokumenty odnoszące się co do tekstu rekolekcyi; 2) do teoryi rekolekcyi; 3) do praktyki rekolekcyjnej; 4) do historyi rekolekcyi. Dla zaznajomienia szerszych kół ze swoją pracą rozpoczął przed czterema laty publikacyę pod tytułem *Collection de la Bibliothèque des Exercices*, która 6 razy rocznie wychodzi zeszytami u Lethielleux w Paryżu. 24 zeszyty dotychczas publikowane są treści bibliograficznej, praktycznej i teoretycznej.

Jednakże i bez systematycznej historyi rekolekcyi możemy i dziś już twierdzić, że w ostatnich wiekach były one potężnym czynnikiem kościelnego i religijnego odrodzenia, a są nim i dzisiaj. Od lat 50 zeszłego wieku, na które przypada także rozrost wskrzeszonego na początku XIX wieku Towarzystwa Jezusowego, daje się spostrzedz ożywienie i spotęgowanie życia katolickiego, z którem idzie w parze coraz większy interes i szerszy ruch rekolekcyjny. Nie tylko liczba misyi i rekolekcyi ustawicznie wzrasta, ale i udział rozmaitych sfer społeczeństwa stał się w nich liczniejszy. Od sfer arystokracyi i wysokich urzędników aż do klas robotniczych, słyszy się dziś, szczególnie w czasie wielkiego postu, o zamkniętych rekolekcyach. Możnaby mówić o pewnem zdemokratyzowaniu rekolekcyi, w każdym razie są one wskutek kulturalnego postępu coraz bardziej dostępne sferom mniej uprzywilejowanym i stają się coraz więcej dobrem wspólnem klas wszystkich. Do tego przyczyniły się w ostatnich czasach t. zw. domy rekolekcyjne, które umożliwiły i robotnikowi w myśl św. Igna-

cego zdala od codziennych zajęć pod dyrekcyą doświadczonych kierowników kilka dni poświęcić wyłącznie interesom religilnym. Domy rekolekcyjne wprawdzie nie są wynalazkiem naszej doby, gdyż już w XVII i XVIII wieku z nimi się spotykamy nawet w Paraguayu, ale może dopiero w naszych czasach nerwowych i zmateryalizowanych dadzą się należycie ocenić te ciche oazy życia, uprzytamniające nam istnienie wyższego świata i wyższych interesów, te źródła odrodzenia myśli i życia katolickiego. Krajem domów rekolekcyjnych można dziś nazwać Belgię, gdzie także skutki tej zbawiennej instytucyi już są widoczne. Dla wysokiego kulturalnego znaczenia tego kraju nie od rzeczy będzie podać o tych domach bliższe szczegóły [1].

Od roku 1864, a w większej mierze od 1866 Kolegium w Tronchiennes gości w swoich murach corocznie rekolektantów różnych stanów, obecnie 12 razy w roku z udziałem wynoszącym około 700 uczestników. W r. 1885 urządził O. Watrigant T. J. we Francyi pierwszy raz rekolekcye zamknięte dla robotników. Próba udała się doskonale i wnet poszedł za jego przykładem w Belgii O. Juliusz Lechien T. J. z takim skutkiem, że już w roku 1891 przystąpiono do otwarcia domu rekolekcyjnego dla robotników w Fayt-lez-Manage. Odtąd dzieło rozpoczęte szybkim krokiem postępuje naprzód, a do roku 1904 stanęło w Belgii sześć domów rekolekcyjnych dla robotników. Według statystyki aż do roku 1907 rzecz tak się przedstawia:

Dom rekolekcyjny	rekolekcye	rekolektanci
Fayt (1891—1907)	602	23.721
Gand (1894—1907)	464	14.822
Arlon (1896—1907)	241	8.145
Lierre (1899—1907)	420	17.685
Xhovéncont (1901—1907)	283	10.485
Alken (1905—1907)	96	3.385
	2.106	78.243

[1] W całem sprawozdaniu uwzględniamy tylko statystyczne wiadomości o rekolekcyach odprawionych pod dyrekcyą Ojców Tow. Jez., choć nie tajno nam, że i inni na tem polu zbawienną i szeroką rozwijają działalność, przedewszystkiem OO. Misyonarze i Redemptoryści — ale brak nam bliższych informacyi o ich działaniu.

W roku 1907 liczono w domach rekolekcyjnych:

	Rekolekcyi	rekolektantów
Fayt	47	2.057
Gand	37	1.243
Arlon	34	1.408
Lierre	43	1.873
Xhorémont	41	1.673
Alken	43	1.586
	245	9.840

Aby dziełu zapewnić trwałą podstawę i większe skutki, ugrupowano rekolektantów, o ile możności według parafii, w ligi, których celem jest urządzić roczne rokolekcye w odpowiednich domach, rozszerzyć praktykę rokolekcyjną i rozwijać akcyę katolicką w myśl rekolekcyi. Już dziś stanowią ligi po wielu parafiach jądro katolickich robotników, na które kler parafialny w swojej pracy społecznej spuścić się może i większy udział w sakramentach pokazuje zbawienny wpływ rekolekcyi na życie katolickie robotników.

Od r. 1892 posiada Belgia także domy rekolekcyjne dla robotnic, tak że każda prowincya belgijska przynajmniej jeden dom ma do dyspozycyi, brabancka ma cztery, Hainaut dwa i także zachodnio-flandryjska dwa. Leon XIII 8 lutego 1900 i Pius X 8 grudnia 1904 pochwalili to dzieło i wyrazili mu swoje najwyższe uznanie. U dobrze myślących nie będzie też z pewnością wątpliwości, że tego rodzaju rekolekcye są w stanie przyczynić się choć w części do rozwiązania kwestyi społecznej, będącej zarazem nie tylko kwestyą chleba ale i nieba.

Za przykładem Belgii poszły już i inne kraje. Niemcy mają domy rekolekcyjne w Monasterze, Trewirze, Paderbornie, Wrocławiu i Viersen. W ostatnim odbyło się

r. 1906 rekolekcyi . . . . . 26 z liczbą uczestn. 1.097
r. 1907 (do 25 czerwca) rekolekcyi . 14 » » 595

Domy rekolekcyjne istnieją także w Lainzu pod Wiedniem i w Feldkirch.

W ostatnich latach powstały także na polskiej ziemi dwa domy rekolekcyjne, choć nie wyłącznie dla robotników przeznaczone: w Czechowicach koło Dziedzic na Śląsku austryackim,

i we Lwowie przy ulicy Dunin-Borkowskich. Pomimo większych kulturalnych i materyalnych trudności, z któremi te domy walczą, dziś już twierdzić można, że stanęły na pewnym gruncie, jak pouczają następujące statystyczne daty:

Czechowice	1908	rekolekcyi	26	rekolektantów	000
»	1909	»	28	»	763
Lwów	1908—09	»	53	»	000
»	1909—10	»	40	»	000

Od 1 lipca do Nowego Roku.

Rekolektanci pochodzili z różnych klas: kler, intelligencya, nauczyciele, akademicy, gimnazyaliści, rzemieślnicy, rolnicy, robotnicy brali w nich udział, a liczba uczestników chwiała się między 10—70. W liczbie rekolekcyi domu lwowskiego znajduje się spora liczba rekolekcyi osób pojedynczych, równocześnie odprawionych.

Istnieje także dom rekolekcyjny dla niewiast w Czechowicach pod kierunkiem Sióstr Felicyanek, którego statystyka podaje

na rok	1908	rekolekcyi	19	rekolektantek	?
»	1909	»	15	»	1.183

Także liczba rekolekcyi udzielanych po innych miejscowościach rośnie z każdym rokiem. Tak statystyka na r. 1908 głównie dla Galicyi i Śląska wykazuje nad 400 seryi rekolekcyi, na rok zaś 1909 liczbę jeszcze większą z udziałem osób klas wszystkich.

Dokąd ten wzrastający ruch rekolekcyjny zmierza dziś trudno powiedzieć, zawsze zaś misyą jego zostanie i zostać powinno ożywienie myśli i życia katolickiego, bez ubocznych a zwłaszcza partyjnych celów. W tem siła rekolekcyi i w tem ich ogólne znaczenie, że życie przedstawiają w świetle prawd ogólnych i wiecznych, tak dogmatycznych jak moralnych, równie doniosłych dla członka arystokracyi jak dla robotnika. Byłoby to także pewnem wypaczeniem rekolekcyi, gdyby miały stracić znaczenie potężnego źródła reformy i odrodzenia katolickiego a przybrać charakter jedynie przygotowania do spowiedzi wielkanocnej, albo co gorsza środka przymusowego i aktu pokutniczego, któremu się katolik dla pewnej mody albo nawet pod presyą poddaje. Na razie wzrastający ruch rekolekcyjny uważać można za znak, że rekolekcye

odpowiadają głęboko odczutym potrzebom naszego czasu i zdradzają większe uświadomienie katolickie w szerszych kołach.

Jak w zeszłych wiekach tak i w naszej dobie od zwolenników i przeciwników różne słychać rady o rekolekcyach, ale nie brak dzisiaj także uznania i zrozumienia dla nich w obozie przeciwnym. Profesor protestancki dr. Karol Holl pisze o nich w r. 1905 w pracy swojej o ćwiczeniach duchownych Ignacego z Loyoli, że »tym, którzy je odprawiali i jeszcze odprawiają dają siły moralne, których przedtem nie mieli«, i że są »arcydziełem mądrej pedagogii«. Nawet Jezuitom bardzo nieprzychylny protestant Jan Huber przyznaje, że Ignacy w rekolekcyach pokazał, że jest głębokim znawcą serca ludzkiego« i »jasno patrzącym pedagogiem ascezy chrześcijańskiej«.

Kölnische Volkszeitung i jej jubileusz 50-letni

Jubileusz tej największej niemieckiej gazety katolickiej jest zdarzeniem, którego prasa katolicka i innych krajów, w szczególności także prasa polska milczeniem pominąć nie może. Nieocenione przysługi, które *Kölnische Volkszeitung* oddała katolicyzmowi przez 50 lat swego istnienia na wszystkich polach życia publicznego, znaczenie, które sobie wywalczyła rozumną taktyką, stałością swych zasad, szerokością swych widnokręgów, znakomitością swych kierowników i współpracowników zjednały jej ogólne uznanie i szacunek nawet w obozach przeciwnych, jak tego dowodem są głosy prasy wszystkich odcieni z powodu 50-letniego jubileuszu. Zawdzięcza *Kölnische Volkszeitung* powstanie swoje 1 kwietnia 1860 r., wytrwałości, z którą przeszła burzliwe i niebezpieczne lata dzieciństwa swego jako *Kölnische Blätter* (aż do Nowego Roku 1869, odtąd *Köln. Volksz.*), cały katolicki program swój mężowi rzadkiej prawości, nieugiętych katolickich zasad i żelaznej woli: Józefowi Bachemowi. W ciężkich politycznych i kościelno-politycznych położeniach przed rokiem 1870, kiedy w Niemczech jeszcze nie było silnie zeszeregowanej partyi katolickiej, w teologicznych sporach, które poprzedzały sobór watykański, potrafił Józef Bachem, wierny swym zasadom, wyrażonym w pierwszym numerze, że gazeta trzymać się będzie »odwiecznych zasad i praw sprawie-

dliwości«, wybrnąć z niejednego krytycznego położenia przy pomocy swego krewnego Juliusza Bachema i d-ra Herm. Cardaunsta od roku 1869.

W burzliwych czasach walki kulturnej w Niemczech *Köln. Volksz.* wśród wielkich ofiar, walk i napaści była dla katolików cennym doradcą, nieustraszonym wodzem i nieugiętym obrońcą, a tylko prawości nadreńskich ówczesnych władz sądowych zawdzięcza, że ocalała w tej zaciętej walce. Cardaunst, długoletni zasłużony jej kierownik, przedstawia szeroko zasługi swojej jubileuszowej pracy. Po skończonej walce kulturnej mogła *Köln. Volksz.* zwrócić się ku nowym zadaniom, na czele których występują zadania społeczne. Stanowisko, jakie w nich zajęła *Köln. Volksz.* nie zostało bez opozycyi nawet w obozie katolickim, ale w jubileuszowych wspomnieniach głosy wszystkich stronnictw przyznają, że stanowisko jej jeżeli nie jedynie prawdziwie, to przynajmniej wystrzegło się wszelkiej partyjnej i kastowej ciasnoty i przez to szerokie także w akatolickich kołach zyskało uznanie. To, co katolicy niemieccy dziś znaczą w parlamencie niemieckiem, w polityce wewnętrznej, ich stanowisko w państwie i żywy udział w życiu kulturalnem, to wszystko w lwiej części zawdzięczają energicznej akcyi *Köln. Volksz.*, która już to dzielną inicyatywą rozpoczynała, już to silnem poparciem wspomagała każdą sprawę obchodzącą ogół katolicki.

W tygodniowym dodatku naukowym i gospodarczym zabierali głos sławni uczeni i fachowcy niemieccy a wszędzie przebijał się duch zdrowego patryotyzmu na gruncie katolickim. Znane jest także stanowisko *Köln. Volksz.* w kwestyi polskiej. Od początku stanęła na gruncie sprawiedliwości i katolicyzmu i oświadczyła się z wszelką otwartością przeciw niesłusznym i niesprawiedliwym krokom rządu pruskiego, za co zasłużyła sobie od hakatystów na przezwisko: Gazeta Bachemska. Także we wspaniałym numerze jubileuszowym, do którego przyczynili się uczeni katolicy niemieccy świetnemi pracami (między innymi książę Maksymilian saski o kwestyi Kościoła wschodniego, Ehrle S. J. o znaczeniu naukowem watykańskich archiwów i biblioteki, dr. Marcin Spahn, v. Hertling, Karol i Julian Bachem, Wasmann S. J. i inni,

znajduje się artykuł o kwestyi polskiej w Prusiech pióra Hermana Kausena. Ze stanowiska zdrowej polityki, sprawiedliwości i religii potępia postępowanie pruskiego rządu w sprawie polskiej i zaznacza tem samem opozycyjne stanowisko katolickiego centrum w parlamencie niemieckim.

Historya *Kölnische Volkszeitung* jest historyą katolicyzmu i katolickiej akcyi w Niemczech z ostatnich 50 lat, jest zaś także dowodem, że katolicy o wspólnych siłach nawet w najtrudniejszych warunkach i w mniejszości przy jasnym i szerokim programie potrafią sobie zdobyć imponujące stanowisko, jest dowodem, że gazeta katolicka świadoma celów i zasad swoich, oryentująca się w różnorodnych prądach czasu, licząca się z wszystkimi wymogami obecnej chwili, wierna swemu programowi, potrafi sobie wywalczyć znaczenie światowe i śmiało stanąć obok największych światowych dzienników innych obozów, choćby żydowskich. Jeżeli owo: *Germania docet* kiedykolwiek miało chwalebne znaczenie, to *Köln. Volksz.* może sobie do tej chwały rościć 50-letniem istnieniem i działalnością swoją uzasadnione prawo. Przeszłość tej wpływowej gazety katolickiej daje nam także uzasadnioną rękojmię i nadzieję, że przy swoim światłym programie katolickim wytrwa także wśród dzisiejszych prądów niebezpiecznych w samem łonie Kościoła katolickiego, że i nadal stanie zawsze nieustraszenie na polu walki o wielkie ideały katolicyzmu i że na wszystkich polach życia publicznego w kraju i poza krajem znajdzie zawsze jeżeli nie uznanie, to przynajmniej poważanie swych »odwiecznych zasad i praw sprawiedliwości«.

Ks. A. Starker.

Krakowska Rada Opiekuńcza.

Mamy przed sobą sprawozdanie stowarzyszenia »rady opiekuńczej« w Krakowie z działalności za rok 1909, z którego okazuje się, iż stowarzyszenie to, dążąc do osiągnięcia zamierzonego celu, napotyka na wielkie trudności z powodu braku potrzebnych środków materyalnych.

Ponieważ jedną z głównych przeszkód do rozwoju tej pożyte-

cznej instytucyi stanowi ta okoliczność, iż wiadomości o jej istnieniu i działaniu nie są tak rozpowszechnione, jak na to zasługuje, przeto postanowiliśmy naszkicować w ogólnym zarysie jej cel i zadanie oraz wyniki dotychczasowej działalności.

Zastraszające objawy zepsucia pośród młodzieży i zwiększające się z każdym rokiem zastępy młodocianych przestępców odbiły się doniosłem echem w naszem społeczeństwie. Grożące stąd niebezpieczeństwo wystąpiło ze szczególną grozą przedewszystkiem w Krakowie. Prasa przynosiła codziennie nowe wiadomości o demoralizacyi, szerzącej się wśród młodego pokolenia w sferach ubogiej ludności, zwracając uwagę społeczeństwa, że o ratunku trzeba pomyśleć jak najprędzej, bo każdy dzień przynosi nowe szczerby w szeregach dzieci i wyrostków. Nawoływanie nie pozostało bez skutku; znalazło ono oddźwięk w szlachetnych sercach, a idea ratunku nieszczęśliwych dzieci zaczęła torować sobie drogę do urzeczywistnienia. Pod wpływem tej idei w dniu 11 kwietnia 1905 zebrało się w sali krakowskiej Rady powiatowej grono osób dobrej woli, przejętych potrzebą podjęcia akcyi ratunkowej na tem polu, aby drogą wzajemnej wymiany myśli obmyśleć środki zapobiegania szerzeniu się złego i przygotować podstawę do zbożnego dzieła. Pod przewodnictwem Ks. Biskupa Anatola Nowaka przeprowadzono ożywioną naradę, której wynikiem było postanowienie zawiązania stowarzyszenia »rady opiekuńczej« na wzór podobnych stowarzyszeń istniejących w Wiedniu. Wkrótce ułożono statut a po uzyskaniu zatwierdzenia tegoż przez c. k. Namiestnictwo przystąpiono do ukonstytuowania stowarzyszenia i wprowadzenia go w życie.

Główne postanowienia statutu (§§ 2 i 3), określające cel stowarzyszenia i środki działania są następujące:

Stowarzyszenie ma na celu staranie się o dobro sierót i dzieci opuszczonych, zaniedbanych lub katowanych przez swych rodziców, jak również o poprawę małoletnich przestępców.

Do osiągnięcia tego celu stowarzyszenie dąży zapomocą następujących środków:

1) przez wyszukiwanie odpowiednich osób do sprawowania opieki;

2) przez troskliwe czuwanie nad pupilami;

3) przez ustanawianie Rad opiekuńczych;

4) przez umieszczanie sierót oraz dzieci opuszczonych, zaniedbanych lub katowanych przez rodziców u odpowiednich rodzin, lub w stosownych zakładach wychowawczych;

5) przez umieszczanie małoletnich przestępców w odpowiednich zakładach poprawczych;

6) przez zakładanie, utrzymywanie i wspieranie ochron i odpowiednich zakładów wychowawczych oraz przez wykonywanie nadzoru nad nimi;

7) przez udzielanie bezpłatnej pomocy prawnej: przy przeprowadzaniu roszczeń o alimentacyę, celem ułatwienia ubogim sierotom, dzieciom opuszczonym i zaniedbanym, lub na zaniedbanie narażonym, uzyskania przyjęcia na utrzymanie i wychowanie kosztem lub przy pomocy krajowego funduszu sierocego i w innych ważnych wypadkach;

8) przez wspieranie dzieci w celu umożliwienia im nabycia wiadomości potrzebnych do przyszłego zawodu i w innych potrzebach;

9) przez odnoszenie się do władz rządowych i autonomicznych, jak również do ciał ustawodawczych i zakładów publicznych w sprawach, odnoszących się do opieki nad małoletnimi lub mających na celu poprawę małoletnich przestępców.

Zakres działania stowarzyszenia rozciąga się na miasta Kraków i Podgórze i na gminy podmiejskie.

Środki potrzebne na spełnienie swego zadania czerpie stowarzyszenie z wkładek członków, z dobrowolnych ofiar, z subwencyi i z dochodów, pochodzących z urządzanych przedstawień, festynów i t. p.

Wysokość wkładki członka zwyczajnego wynosi przynajmniej dwie korony rocznie, członka wspierającego jednę koronę miesięcznie, a członką stałego kwotę sto koron jednorazowo.

Zaraz w pierwszym roku przystąpiło do stowarzyszenia 540 członków. Ilość ta w ciągu lat następnych tylko bardzo nieznacznie się powiększyła. Organa stowarzyszenia stanowią zarząd i dwie rady opiekuńcze: krakowska i podgórska. Za pomocą tych organów stowarzyszenie spełnia swe zadanie, w miarę środków, jakie ma do dyspozycyi. Środki te niestety są niedostateczne i nie odpowiadają potrzebie.

Do rozwoju stowarzyszenia i rozszerzenia jego działalności wiele dopomogła subwencya rządowa w sumie 15.000 koron, którą stowarzyszenie otrzymało w roku 1908, w czasie kiedy ministrem skarbu był Eksc. Korytowski. Lecz gdy zapas, pochodzący z tego źródła się wyczerpał, nastały krytyczne chwile i odtąd stowarzyszenie zmuszone jest ograniczać i ścieśniać swą działalność.

Czynności, należące do zakresu działania rady opiekuńczej, tak krakowskiej jak również podgórskiej, podzielone są pomiędzy pięć sekcyi w sposób następujący:

Zadaniem sekcyi pierwszej i drugiej jest współdziałanie ze sądami opiekuńczymi w wykonywaniu czynności, należących do zakresu działania władzy opiekuńczej a w szczególności: badanie stosunków osobistych pupilów, zbieranie odpowiednich informacyi w tym celu i dostarczanie ich sędziom opiekuńczym, wykonywanie nadzoru opiekuńczego za pomocą ustanowionych w tym celu inspektorów z pośród radców opiekuńczych w przydzielonych im okręgach terytoryalnych. Zakres działania sekcyi pierwszej rozciąga się na miasto Kraków w dawnym obszarze a do sekcyi drugiej należą dzielnice, które powstały z gmin wiejskich, wcielonych obecnie do rozszerzonego Krakowa.

Sekcya trzecia (koło pań) zajmuje się opieką pozaszkolną nad dziećmi uczęszczającemi do szkół ludowych, pozbawionemi opieki domowej, w godzinach wolnych od nauki szkolnej. W tym celu zakłada i utrzymuje ochronki popołudniowe i pracownie, w których przeszło 200 dziewcząt najuboższej klasy znajdują zatrudnienie, uzupełniające naukę w kierunkach praktycznych, jak również godzinę rozrywki i skromny posiłek. Działalność tę sekcya zamierza rozszerzyć również odnośnie do chłopców w szkołach ludowych.

Sekcya czwarta umieszcza ubogie sieroty i opuszczone dzieci w zakładach wychowawczych na koszt stowarzyszenia i opiekuje się niemi. Chłopców umieszcza się przeważnie w zakładzie w Pawlikowicach lub w zakładzie X. Siemaszki w Krakowie, a dziewczęta w zakładach Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu, na Kazimierzu i w Łobzowie. Od początku istnienia stowarzyszenia umieszczono przeszło 300 sierot lub opuszczonych dzieci w różnych zakładach wychowawczych lub u osób prywatnych. Z pośród tychże z końcem roku 1909 pozostawało w zakładach tylko 162 dzieci. Inne opuściły zakłady a przyczyny tego były rozmaite: pewną część wychowanków oddano do terminu na naukę rzemiosł, do kupców lub do innych praktycznych zawodów. Znaczny zastęp wyrostków, którzy już poprzednio zakosztowali swobody życia, nie dał się nagiąć do karności, lecz wyrwał się na wolność, aby się oddać przemysłowi, do jakiego życie bezczynne na bruku miejskim daje sposobność, prowadzącemu najkrótszą drogą za kraty więzienne. Niektórzy zostali wydaleni z zakładu, aby złym przykładem nie szerzyli zarazy wśród młodszych. Wreszcie w ostatnim roku pewną część wypuszczono z opieki z powodu braku funduszów potrzebnych na opłaty za ich utrzymanie. Koszta utrzymania sierot w zakładach w tej ilości, jaka obecnie znajduje się pod opieką rady

opiekuńczej wynoszą przeszło 1.300 kor. miesięcznie czyli 16.000 kor. rocznie.

Zadaniem sekcyi piątej jest opieka nad dziećmi nieślubnemi. Musimy przyznać, iż sekcya ta ma bardzo ważne zadanie do spełnienia, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że dzieci nieślubne to najnieszczęśliwsze istoty na świecie. Od urodzenia skazane na wzgardę, pozbawione ciepła rodzinnego, po większej części nie mające środków do życia, tułające się wśród obcych, wychowywane w najgorszych warunkach, stanowią najpodatniejszy materyał na przestępców i zbrodniarzy. A jest ich zastęp nie mały. W niektórych gminach wiejskich z okolicy Krakowa istnieją całe środowiska, w których wychowują się te istoty w nędzy i niechlujstwie przez kobiety, oddające się zawodowo temu procederowi za małą opłatą a często bezpłatnie. W trzech gminach należących do parafii Zabierzowskiej powiatu Niepołomskiego znajduje się przeszło 500 dzieci nieślubnych, pochodzących z Krakowa, na wychowaniu tamtejszych włościanek. Ale ile ich jest w innych gminach i w samym Krakowie, tego nawet w przybliżeniu oznaczyć nie podobna. Opieka nad temi nieszczęśliwemi istotami stanowi piekącą potrzebę i jeden z najważniejszych obowiązków społeczeństwa. Oczywiście iż sekcya piąta rady opiekuńczej zaledwie tylko w drobnej części może podołać temu zadaniu wobec szczupłych środków, jakie stowarzyszenie to ma do dyspozycyi.

Z biegiem czasu w miarę rozwoju stowarzyszenia wydatki na potrzeby tegoż wzmagają się z każdym rokiem. Natomiast dochody nie tylko nie wzrastają w tym samym stosunku, lecz przeciwnie kurczą się i zmniejszają. W roku 1909 w porównaniu z rokiem poprzednim nastąpiło zmniejszenie się dochodów o 55%, podczas gdy wydatki powiększyły się o 78%. Wskutek tego bilans za rok 1909 wykazuje znaczny niedobór.

Zestawienie wyników obrotu kasowego w roku 1909 w porównaniu z wynikami z lat poprzednich przedstawia się następnie:

Rok	Suma przychodu	Suma rozchodu	Nadwyżka przychodu	Nadwyżka rozchodu (Niedobór)
1906	6.776 K.	4.687 K.	2.089 K.	— K.
1907	15.073 »	11.863 »	3.210 »	— »
1908	30.289 »	17.481 »	12.808 »	— »
1909	16.569 »	23.419 »	— »	6.850 »

Oczywiście iż taki wynik obrotu kasowego i stanu finansów nie może zapewnić stowarzyszeniu rozwoju w tej mierze, jak tego wymaga potrzeba.

A jak wielkie są rozmiary tej potrzeby, może nam dać wyobrażenie ten tylko jeden szczegół zaczerpnięty ze sprawozdania za rok 1909, iż pomimo, że stowarzyszenie rady opiekuńczej w tym roku utrzymywało przeszło 160 sierot i opuszczonych dzieci w różnych zakładach, około 300 wniosków o umieszczenie sierot w zakładach, przedstawionych przez sąd opiekuńczy lub przez członków rady opiekuńczej, nie mogło być uwzględnionych z powodu braku funduszów.

W ogólności brak środków materyalnych a po części również brak ludzi chętnych do pracy utrudniają bardzo działalność rady opiekuńczej i nie dozwalają rozwinąć się tej instytucyi na szerszą skalę.

Należy jednak mieć nadzieję, że społeczeństwo nasze, poznawszy bliżej działalność stowarzyszenia rady opiekuńczej i jej dążności oceni należycie jego pożyteczność i wydatniej jak dotąd popierać będzie jego usiłowania.

Społeczna działalność Polskiego Związku katolickich uczniów rękodzielniczych w Krakowie za rok 1909.

Polski Związek katolickich uczniów rękodzielniczych, którego głównem zadaniem jest kształcenie i popieranie młodocianych rękodzielników i robotników pod względem religijnym, oświatowym, materyalnym, zawodowym i uczciwej rozrywki, wydał niedawno sprawozdanie z działalności za rok 1909 [1]. Całą działalnością zarządu kieruje ks. Mieczysław Kuznowicz T. J.

Pod względem religijnym Związek działa przez częste wspólne przystępowanie członków do spowiedzi i komunii św., rekolekcye i wykłady i nauki treści moralno-religijnej. W ostatnich czasach powstało w Związku »Towarzystwo Najśw. Sakramentu«, w którem członkowie się zobowiązują w drugą niedzielę każdego miesiąca przystąpić wspólnie do Komunii św. i brać udział w spólnej adoracyi Najśw. Sakramentu. Pierwszy to wypadek w naszym polskim kraju, gdzie młodzież rękodzielnicza, pragnąc ugruntować w sobie życie chrze-

[1] Można dostać sprawozdanie z r. 1909. w księgarni Gebethnera i Sp. Kraków. Rynek Główny.

ścijańskie i uchronić się od zepsutego świata, zrzesza się, by wspólnemi siłami opierając się o Chrysusa utajonego w Najśw. Sakramencie, iść coraz wyżej w udoskonalenie swego rozumu, woli i serca i by krzepiąc się »Chlebem Anielskim« żywota i mocy iść do walki życiowej o ideały, prawdę i cnotę.

Pod względem oświatowym jak lat poprzednich tak i w tym roku ubiegłym Związek energicznie walczył w sprawie przełamania zastarzałych uprzedzeń co się tyczy posyłania uczniów do szkoły wieczornej. Przy pomocy pp. Akademików odbywały się odczyty wieczorne i pogadanki oświatowe w czytelni Związkowej we wszystkie niedziele i święta. Odczytów odbyło się 39. — Biblioteka Związku dostarczała uczniom książek do czytania tak z literatury Polskiej, jak zagranicznej. Dzięki staraniom p. Anieli Cieszyńskiej liczba książek w tym roku znacznie się powiększyła. W tym roku rozwijała się Czytelnia pomyślniej, niż w minionym, co należy przypisać dogodniejszej zmianie lokalu. W maju 1909 r. została przeniesiona z małego lokalu przy ul. Zwierzynieckiej do domu przy ul. Szczepańskiej N. 11. Położenie w centrum miasta i obszerniejszy lokal ofiarowany przez wielką dobrodziejkę Związku. W. P. Włodzimirę Szołayską zmieniły stan rzeczy na lepsze. Udzielano też kursów języka angielskiego i niemieckiego.

Pod względem materyalnym: Sekretaryat Związku pod kierownictwem p. Kaspra Binczyckiego okazał się intytucyą potrzebną dla terminatorów. Między inemi sprawami sekretaryat zajmował się umieszczaniem chłopców w praktyce 39. Pośredniczono w umowie 24, poradę lekarską otrzymało 52, porady prawnej udzielono 12, spraw sądowych 9, przed wyzyskiem i złem obchodzeniem Związek wziął w obronę 112, pożyczek na małe spłaty dano 45. Związek kilkadziesiąt dał zapomóg na mieszkanie, jedzenie, podróże, wpisy, wyzwoliny i t. p., korespondencyi w sprawach Związku i członków przeprowadzono 214, zaproszeń, druków rozesłano 800, odwiedzin chorych po szpitalach i domach 112; zajęto się też dwoma terminatorami wypuszczonymi z więzienia, dając im pomoc moralną i materyalną i zajęcie poza Krakowem i t. d. Jednem słowem sekretaryat Związku był wielce czynnym w ciągu ubiegłego roku. — W pralni Związkowej wyprano ogółem kilka tysięcy sztuk po nizkich cenach.

Szwalnia i cerownia Związkowa pod przewodnictwem p. Adeli Dziewickiej, również okazała się wielce pożyteczną dla terminatorów. Panie krakowskie na szycie i cerowanie zbierają się na dwie godziny

co środę u W. P. Włodzimiry Szołayskiej. Panie w szwalni przeszło 700 sztuk bielizny uszyły, wycerowały i rozdały biedniejszym terminatorom. Nie na tem się kończy jeszcze działalność Pań. Święcone, wspólna wigilia, opłatek, przyjścia, wycieczki i t. p. Wszystkie te uroczystości urządzają panie ze szwalni. — Wieczorem między godziną 7—10 w czytelni Związku jest otwarta herbaciarnia w niedziele i święta. Przez rok wydano 3448 szklanek herbaty. — W. r. 1908. zawiązało się Kółko Abstynentów celem powstrzymania członków od wszelkich alkoholów, by przez to podnieść w stanie rękodzielniczym, a zwłaszcza wśród młodzieży wstrzemięźliwość od gorących napojów. Ostatnimi czasy ruch abstynencki wielce się ożywił. — W Kasie oszczędności za rok ubiegły terminatorzy złożyli 2154 K. 40 h., wybrano z kasy 954 K. 40 h. — W grudniu powstała »Pomoc Koleżańska« w celu niesienia pomocy materyalnej będącym w potrzebie kolegom. Groszowe składki zbierają się za pomocą puszek na zebraniach.

Pod względem zabawowym. Zebrań niedzielnych i świątecznych odbyło się 66, ćwiczeń gimnastycznych 26, popisów gimnastycznych 2, zabaw w parku d-ra Jordana 20, wyścigi piesze i festyn ku uczczeniu zasług d-ra Jordana, wycieczek całodziennych w okolice Krakowa do Skały Kmity, Kalwaryi, Mogiły — 3. Jednym z ważnych czynników życia towarzyskiego w Związku był bezwątpienia klub sportowy. Sama drużyna footballistów »Polonia« odbyła 40 treningów i 10 matche'ów. Prócz drużyn footballistów klub sportowy wielce popierały drużyny parkowe. Kółko muzyczne i śpiewackie brało udział niemal we wszystkich obchodach, uroczystościach i wycieczkach, urządzonych przez Związek. Kółko amatorskie pomimo wielu trudności z powodu braku własnej sceny wystawiło kilka kawałków scenicznych.

Liczba członków zwyczajnych przeszło 210, członków założycieli przeszło 40. Są to osobistości, które większymi datkami złożyły obecny fundusz na budowę domu. Członków wspierających jest przeszło 50 osób składających się z pań, panów, akademików, czeladników, gimnazyalistów i t. p. przychodzą one z pomocą Związkowi nie tyle z pieniądzmi, jak raczej dają swą pracę, serce i miłość.

Stan finansowy w Związku: dochód w r. 1908 wynosił 5.411 K. 35 h., rozchód 5.379 K. 94 h. Fundusz na budowę domu 18.220 K. 23 h.

Jak widać ze sprawozdania działalność Związku ogarnia całość natury ludzkiej młodocianego rękodzielnika, jego więc rozum, wolę, serce, ciało; wchodzi z pomocą i pracą we wszystkie niemal dziedziny

życia młodzieży pracującej, jak religijne, umysłowe, zawodowe, materyalne, narodowe. Związek zdaje sobie sprawę z wszelką świadomością ze wszystkich braków, zaniedbań i potrzeb młodzieńczych, stanowych, społecznych tejże młodzieży. Rozumią też czynniki rządzące z całem przeświadczeniem, że działalność Związku ma jeszcze dużo do zrobienia, by pracę tę postawić na wyżynie odpowiadającej potrzebom, warunkom, czasom obecnym i przyszłym.

Z okazyi komety Halleya.

Przed stu przeszło laty wielki Laplace pisał w swem *l'Exposition du système du monde* ks. 4. r. 4., że podobno w r. 1456, gdy się pokazała kometa Halleya, papież ówczesny Kalikst III nakazał modlitwy, aby »zakląć« kometę i uczynić ją nieszkodliwą. Zdanie to opuszczono dopiero w ostatniem wydaniu jego dzieł [1].

Naturalnie, że za Laplacem mnóstwo większych i mniejszych »powag« powtarzało tę wiadomość, która rosła pod piórem uczonych astronomów, nierozumiejących również jak i sam Laplace, że astronom może pobłądzić, gdy się zapuści w kwestye historyczne. Do rozszerzenia tej bajki przyczyniła się najwięcej poczytna bardzo swego czasu i tłumaczona na wszystkie niemal języki *Astronomie populaire,* z pierwszych początków XIX stulecia.

Autor jej, Arrago, twierdził, że papież e k s k o m u n i k o w a ł kometę. Niedługo potem Littrow (r. 1834) ogłosił [2], że wynalazł już nawet oryginalny dokument łaciński Kaliksta III, w którym tenże papież opisuje nieszczęścia sprowadzone przez kometę i wyklina ją. Wiceadmirał Smyth (1844) [3] twierdzi, że papież czynił jakieś egzorcyzmy nad kometą. Dalsze bajki wzrastają ze zwykłą im szybkością. I to nie tylko ma być faktem, że papież miał rzucić nawet *anathema* na nieszczęśliwego kometę [4], ale Babinet, członek Instytutu francuskiego »zbadał« nawet, że papież uczynił to za pośrednictwem Braci Mniejszych, którzy z krzyżem w ręku, otoczeni niezliczonym tłumem, głosili tę ekskomunikę. Inni dowodzili, że już to przez dzwonienie

[1] Essay 4-e éd. *Théorie anal. d. Prob.* 3-e éd.: Oeuvres VII. Paris 1886. Introd.

[2] *Wunder des Himmels* Berlin 1897. str. 525.

[3] *Cycle of celestial Objects.* 1884, 231.

[4] R. Grant w *History of physical astronomy* 1852, 304 str.

na Anioł Pański nakazywał papież odstraszyć tę kometę (Flammarion [1]), już to nawet przez specyalną inwokacyę w litanii: »Od Turka i od komety, wybaw nas Panie« (A. D. White). Echo tych bajek odbiło się i w znanym podręczniku astronomii Newcomb-Holdena [2].

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą modlić się do P. Boga o odwrócenie wojny, choroby, nieszczęścia, skądkolwiekbądź ono grozi, choćby nawet od komety. Ale wydawać bullę przeciwko komecie i rzucać nań ekskomunikę (t. j. wykluczać go z Kościoła) jakby był istotą żyjącą i rozumną, jest to rzeczą co najmniej śmieszną.

W taki to właśnie sposób chciano ośmieszyć papieża Kaliksta III i sposób postępowania Kościoła. Naturalnie, że wśród ogólnej radości, iż można znowu przypiąć papiestwu jakiś epitet, nie tylko powtarzano tę bajkę i nie starano się zbadać czy jest ona prawdziwą, ale nawet nie zważano na głosy poważne takich jak np. Faye (1858), Delsaulx (1859), de Smedt (1877), Clement (1882), Kneller (1904), którzy zwracali uwagę, że »bulla o komecie« wraz z wszystkiemi podobnemi opowiadaniami, to bezpodstawna [3] plotka i kłamstwo. Dopiero w ostatnich latach badania Gerarda (1907) [4] i Thiriona (1909) [5] znalazły jakiś oddźwięk w Anglii i Belgii, aczkolwiek niezupełny, bo oto, najnowsze nawet pisma, jak *Popular astronomy*, z roku 1907 (artykuły F. Henkla) powtórzyło te same bajki o odstraszaniu komety (na rozkaz Papieża Kaliksta III-go) zapomocą dzwonienia na »Anioł Pański« i Litanii i t. p. A tamtego roku jeszcze (1909) powtórzył tęż bajkę *Scientific American* (zesz. październikowy) »myląc« się przytem w tak nieznacznym szczególe, jak że kometa Halleya miała się pokazać nad oblęganym przez Turków Konstantynopolem, a więc tylko w trzy lata wcześniej, niż w rzeczywistości. Za uczonem pismem amerykańskiem powtórzyła tę samą bajkę i turyńska *Rivista di astronomia* (1909 zeszyt lipcowy).

W ten sposób kompromitowano się prawie we wszystkich krajach — z wyjątkiem Portugalii — owemi bajkami o rzekomej bulli papieskiej Kaliksta III-go przeciwko komecie, a nikomu na myśl nie przyszło zaglądnąć do regestów papieskiej kancelaryi. Pierwszy uczynił to dopiero ks. Stein, Jezuita, pracujący w papieskiem obserwato-

---

[1] *Les merveilles célestes.* 1865, 264, 5.
[2] *Popular Astronomy* 1879.
[3] Pastor: *Geschichte der Päpste.* I. 3—4. 700. Anm
[4] *The Month* 1907 zeszyt lutowy.
[5] *Rev. d. quest. scientif.* 1909, październik.

ryum astronomicznem w Rzymie. Wyniki swych poszukiwań umieścił w rozprawie p. t. *Calixte III et la Comète de Halley (Specola Astronomica Vaticana* II. 1909). Oto rezulaty jego badań.

Regesta z czasów przeszło trzechletniego panowania Kaliksta III obejmują sto tomów. Aczkolwiek możliwem jest, że niektórych tomów brakuje, lecz właśnie z tych czasów w jakich pokazał się kometa i o jakie nam chodzi, t. j. z r. 1456, są wszystkie akta. O. Stein, z pomocą sekretarza i tajnego pisarza archiwum watykańskiego, Ranuzzi przeszukał wszystkie te akty, odnoszące się do r. 1456 — niestety niczego nie mógł znaleźć, ani śladu o jakiejś bulli papieskiej, rzucającej klątwę na kometę, czy coś podobnego.

Ale sumiennemu badaczowi nie wystarczał rezultat czysto negatywny. Postanowił dotrzeć do źródła bajki.

Wiadomo bowiem, że d. 29. VI. 1456 wydał Kalikst III bullę »krzyżową«, w której wzywał wiernych do modlitwy o zwycięstwo chrześcijan nad Turkami. Może więc w tej bulli zawierałyby się jakie »zamawiania« na kometę. W tym celu ks. Stein bada dokładnie sam tekst bulli z jej regestem jaki się znajduje w archiwum watykańskiem [1] — i widzi, że w całej bulli niema ani słowa o komecie. Jest tylko wzmianka, że z powodu nadchodzącej wojny z Turkami, do jakiej poruszył papież całą niemal Europę, nakazuje Ojciec św. kazania, procesye, naturalnie że i przy procesyach dzwony, i zwykłe w takich wypadkach modły: o komecie, ani słowa [2]. Dopiero 6 sierpnia doszła do Rzymu wiadomość o zdobyciu Belgradu (zdobyto go 22 lipca) zaczem papież wydaje także w rocznicę tego zwycięstwa bullę, w której omawia to zwycięstwo, ale o komecie znowu nie wspomina.

Lecz możebnem jest, powie ktoś, że oprócz tej bulli zwanej »krzyżową«, wydał papież jeszcze drugą bullę, przeciwko komecie?

Owszem — zastanówmy się i nad tem.

Dyrektor obserwatoryum astronomicznego w Medyolanie, profesor Coloria zadał sobie pracę, by na podstawie badań Toscanellego astronoma z w. XV oznaczyć dokładniej bieg komety Halleya w r. 1456. Toscaneli zauważył kometę po raz pierwszy d. 1. czerwca: 8 tegoż miesiąca stanął kometa w *perihelium,* ukazując się najdokładniej, w całym swym blasku; w połowie czerwca przeszedł on na półkulę

---

[1] Callixti III. Secret. lib. IV., an. I, II, tom. XXII, fol. CCXXV 5—CCXVIII.

[2] Na »Anioł Pański« dzwoniono już od r. 1318. Fleury: *Hist. eccles.* Avignon 1777, XIII. 283.

wschodnią i pozostawał ponad horyzontem przez 16 godzin, tak że można było go widzieć gołem okiem i przed wschodem, i po zachodzie słońca. Ostatnią obserwacyę robił Toscanelli d. 8 lipca, poczem kometa już nie był widzialnym dla oka ludzkiego.

A więc bulla »o komecie« mogła być wydaną tylko w tym właśnie czasie, kiedy widok komety napełniał grozą umysły ludzkie t. j. gdzieś między połową czerwca, a pierwszemi dniami lipca. Była to albo zupełnie inna bulla, albo też może tylko zmienione wydanie bulli »krzyżowej«. Ale w takim razie dlaczego tej bulli niema w regestach, gdzie są przecież wciągane wszystkie akta papieskiej kancelaryi? Może »zapomniano« wciągnąć tę bullę! Ale w takim razie powinien się jej ślad przechować w kronikach, u współczesnych pisarzy. Kto poznał chociaż nieco średniowiecze, ten wie, że kometa i głos papieski zażegnywający nieszczęście tej komety nie mógł w owych czasach przejść bez głębokiego wrażenia.

Zaglądnijmy więc do kronik współczesnych. Antonin, arcybiskup z Florencyi, zostawił trzy księgi kronik; opisuje tam dokładnie bullę »krzyżową«, wojnę; o bulli przeciwko komecie, ani wzmianki; Eneasz Sylwiusz wspomina o komecie — ale o bulli nic nie słyszał. Z pośród włoskich kronik zbadał ks. Stein kroniki miast Raimo, Piacenzy, Forli, Annały M. Palmera, Dyaryusz Ferrary i w. i. Ale w żadnej ani wzmianki o jakiemś wystąpieniu papieża przeciwko komecie. Nie tylko Włochy — cała Europa nic nie wiedziała o jakiejkolwiek bulli czy piśmie papieskiem przeciwko komecie, jak się przekonać można przeglądając współczesne kroniki, jak n. p. Ebendorffera, Długosza, Bonfiniego, Baliolanusa, Doeringa, augsburskie Annales i inne, które także kontrolował ks. Stein.

Skąd więc ta bajka?

W latach 1421—1481 żył we Włoszech humanista, Bartholomeo de Sacchi Platina. W swej historyi papieży (Wenecya 1479), mówi on o komecie Halleya w r. 1456, i pisze [1], że *ad avertendam Dei iram* papież nakazał owe modły i procesye i kazania, o jakich wyżej. Ale ta *Dei ira* to wcale nie kometa wedle tegoż Platiny, lecz Turek; a dzwony mają napominać wiernych, »by modlitwą, wspomagać żołnierzy, co na polu walki biją się z Turkami«. Mimo to pierwszy Calvisius (r. 1605) tłómaczy Platiny *iram Dei* jako nieszczęście grożące

[1] Reprodukcya oryginalnego tekstu umieszczona w rozprawie ks. Steina.

od komety, nie już od jednej, ale od dwóch komet [1], i w tym celu twierdzi że kometa Halleya widziana o wschodzie, jest zupełnie inną od tejże komety widzianej o zachodzie słońca. Po nim Spondanus (1641) (kontynuator Baroniusa) i Lubieniecki (1666), który [2] wprost wskazuje na źródło swej wiedzy *Calvisius ex Platina*.

Naturalnie, że bajka nie zatrzymała się na siedemnastoleciu: i oświecony wiek osiemnasty, a nawet i dziewiętnasty przyjął ją milcząco, jak zwykle nie wdając się w krytykę źródeł, gdy się walczy przeciwko Kościołowi.

Tak się przedstawia historya jednej z tysiącznych bajek i oszczerstw rzucanych na Kościół: wystarczy ją raz stworzyć, by była przez całe wieki na ślepo powtarzaną, nawet przez ludzi skądinąd naukowych. *Ks. K. Konopka.*

Konkurs Towarzystwa im. „Piotra Skargi".

Otrzymujemy następującą odezwę, na którą pragnęlibyśmy szczególniejszą zwrócić uwagę:

Walki polityczne w Galicyi, od dziesiątków lat trwające i coraz silniej roznamiętniające ogół, przyczyniły się głównie do pominięcia i zaniedbania smutnych stosunków ekonomicznych i społecznych naszego życia, których uzdrowienie pociągnęłoby za sobą niewątpliwie obok wzrostu oświaty i zamożności, wzmożenie świadomości i siły narodowej.

Praca u podstaw tak pojęta jest kluczem wszelkiego powodzenia i odrodzenia narodów, warunkiem ich zdrowia, zadatkiem ich potęgi, siły i niezależności najobfitszem i nigdy niewysychającem źródłem. Pragnąc pobudzić do tej systematycznej pracy w naszym kraju, stworzyć dla niego pewne i naukowe podstawy, a tem samem od gorszących i jałowych walk partyjnych odwrócić uwagę kraj miłującego ogółu, koło krakowskie Towarzystwa imienia Piotra Skargi postanowiło zachęcić szeroki zastęp naszej inteligencyi w miastach i po wsiach zamieszkałej, zarówno duchownej, jak świeckiej, do konkretnego zbadania ujemnych objawów społecznych, trapiących Galicyę.

Są nimi obok innych, mniej narzucających się w oczy lub osobnemu badaniu zastrzeżonych, w dziedzinie gospodarczej w pierwszym

[1] *Opus chronologicum.* Lipsk 1605.

[2] *Theatrum cometicum.* Amsterdam 1666—8.

rzędzie *a)* pieniactwo, *b)* pijaństwo, *c)* werbunek wychodźców, *d)* handel dziewczętami, *e)* lichwa i *f)* handel pośredniczący.

a) Pieniactwu mogłoby przeciwdziałać zaprowadzenie po gminach sądów polubownych dla spraw o drobne sumy pieniężne, o naruszenie w posiadaniu, o obrazę czci i t. d. Obok wielkiego ulżenia sądom osiągnęłoby się przez to ogromną oszczędność pieniędzy i czasu naszego ludu. Gdyby w Galicyi procentowo prowadzono tylko tyle sporów, ile w innych krajach koronnych monarchii, oszczędzonoby rocznie dziesiątki milionów. Zebranie w tej mierze w każdym sądzie, w każdej wsi i mieście szeregu konkretnych i jaskrawych faktów bezpożytecznego procesowania się i strat w ten sposób poniesionych przez jednostki, opis działalności ogromnie licznego zastępu pokątnych pisarzy, naganiaczy i t. p., ich oszustw i podstępów, wykazałoby luki dotychczasowej opieki prawnej, uzmysłowiło doniosłość strat poniesionych i znakomicie przyczyniłoby się do polepszenia sądownictwa, tępienia istniejących nadużyć i większego rozpowszechnienia instytucyi sądów polubownych.

b) Dla położenia tamy rozpajania naszego ludu jest obecnie najwłaściwsza chwila. Z dniem 1 stycznia 1911 r. gaśnie prawo propinacyi w Galicyi. 700 gmin oświadczyło się w kraju naszym przeciw udzielaniu wszelkich koncesyi szynkarskich w ich obrębie. W innych należałoby dążyć wszelkiemi siłami do uzyskania tych koncesyi wyłącznie przez jednostki zupełnie nieposzlakowane lub instytucye tego rodzaju, jak np. Kółka rolnicze, do pomieszczenia karczem w domach ludowych, mieszczących zarazem czytelnie i sklepiki, wreszcie do bezwarunkowego zamykania szynków w niedzielę i święta. Chodzi o to, aby w tej mierze zebrać jak najwięcej konkretnych faktów z danej wsi, miasta lub powiatu, mogących uzasadnić powyższe żądania.

c) O ile w obecnych stosunkach nie jesteśmy w możności dania utrzymania w ojczyźnie ogromnemu zastępowi ludzi, opuszczających corocznie nasz kraj koronny, o tyle jednak nie możemy pozwolić na znaczne pomnożenie tego zastępu przez agitacyę niesumiennych agentów emigracyjnych, posługujących się tak często wyzyskiem i oszustwem. Dokładna znajomość ich praktyk, zarobków, sposobów obchodzenia ustawy ze strony agentów, stanu zdrowotnego i moralnego powracających wychodźców, losów i kolei, jakie w podróży i zagranicą przechodzili, zaczerpnięta z relacyi zebranych w danej wsi, miasteczku lub powiecie całym, posunęłaby naprzód naszą wiedzę o tym przedmiocie i stworzyłaby konkretne podstawy do żądania reform ustawo-

dawczych, jak niemniej do stworzenia nowych lub poprawienia działalności istniejących już organizacyi społecznych.

d) Handel dziewczętami, to najstraszniejsza plama naszej cywilizacyi, to zawstydzająca luka w naszem ustawodawstwie karno-sądowem. Dziewczęta nasze uwożone pod pozorem korzystnej służby lub zamążpójścia zagranicę i tam w najhaniebniejszą sprzedawane niewolę, zapełniające domy publiczne w innych częściach świata, jednają nam opinię najniemoralniejszego narodu, podczas gdy jesteśmy tylko najnieszczęśliwszym i najbardziej władzy pozbawionym. Rozmiary tej klęski tak samo, jak działalności agentów emigracyjnych są przerażająco wielkie. Ustalić je przez dokładne zbadanie licznych wypadków, które się ciągle w naszym kraju zdarzają i idą ku największemu wstydowi naszemu zbyt rychło w zapomnienie, osiągnąć przez to obfitą podstawę do żądania należnej opieki prawa, mogącej bodaj w części ograniczyć rozwielmożnione zło, oto chlubne zadania, które spełnić mamy obowiązek.

e) Rozszerzenie ustawy o lichwie, ograniczonej w Austryi do interesów pożyczkowych, na wszystkie interesa kredytowe jest od dawna postulatem sprawiedliwości. Jeżeli obecnie lichwa przy pożyczkach, zwłaszcza w zachodniej Galicyi zdarza się rzadziej i uprawianą bywa teraz głównie w miastach w pewnego rodzaju towarzystwach zaliczkowych, stojących poza Związkiem towarzystw zarobkowych i gospodarczych, to jednak wszędzie tam, gdzie niema kas Raiffaisena, Powiatowych Kas Oszczędności lub Towarzystw zaliczkowych, dostosowujących się do potrzeb kredytu rolniczego, i u nas istnieje dotąd. Cóż dopiero dzieje się w szerokiej dziedzinie innych interesów, np. przy wszelkiego rodzaju kupnach, przy handlu ziemią, przy umawianiu się o robociznę i t. d.? Niejednokrotnie i tu panuje lichwiarski wyzysk. Pragniemy znać fakty tego wyzysku, zdarzające się w różnych okolicach kraju, celem utworzenia sobie w ten sposób całkowitego obrazu stosunków i uzyskania argumentów dla zmian ustawodawczych.

f) Handel pośredniczący w wielu bardzo wypadkach nie wyświadcza społeczeństwu produktywnych usług, a natomiast wciska się niepotrzebnie między producenta a konsumenta, podrażając ceny towarów. Dążeniem naszem powinno być pokrycie całego kraju równomiernie rozdzieloną siecią związków współdzielczych (kooperatyw), w szczególności w dziedzinie spożywczej, a tem samem skierowanie osób, oddających się dotąd w nadmiernej liczbie temu handlowi, do innych produktywnych zajęć. W tym celu musimy pragnąć dokładnego

poznania sposobów, jakimi dotąd odbywa się z jednej strony sprzedaż, z drugiej kupno produktów spożywczych: bydła, zboża, drobiu, nabiału, jaj i t. d., dalej inwentarza martwego, nasion, maszyn, jakie są ceny przy każdej z tych transakcyi, jakie praktykowane podejścia i wprowadzania w błąd, jakie zyski przy eksporcie tych towarów zagranicę.

Pragnąc otrząsnąć społeczeństwo z karygodnej obojętności dla tych wszystkich spraw pierwszorzędnej doniosłości naszego narodowego życia, a tem samem przyczynić się do rozpoczęcia nowej ery w pracy narodowej Galicyi, rozpisujemy tedy konkurs na opisy bądź wsi lub miast, bądź całych powiatów galicyjskich wedle wyboru autorów i możności ogarnięcia przedmiotu, opisy ograniczone do przedstawionych tu ujemnych objawów społecznych. Źródeł do nich dostarczyć mogą akta sądów, starostw, rad powiatowych, magistratów, kancelaryi gminnych, informacye ustne urzędników wszelkiego rodzaju, wreszcie bezpośrednie zetknięcie z ludnością wyzyskiwaną. Naturalnie duchowieństwo, najbliżej ocierające się o wszelką nędzę, w pierwszym rzędzie winno być zawsze proszone o wskazówki; obywatele ziemscy i nauczyciele potrafią również w wielu kierunkach wzbogacić nasze wiadomości. Pożądanem jest jeden i ten sam szczegół zbadać w oświetleniu różnych osób. Ponieważ pragniemy poznać tylko prawdę, kładziemy nacisk na podanie nam jedynie sprawdzonych i niewątpliwych faktów. Autorów nie krępujemy ani rozmiarami rozpraw ani wyborem przestrzeni lub okolicy opisać się mającej w obrębie ziem polskich do monarchii austryackiej należących. Prosimy również o przesyłanie nawet rzeczy mniej pod względem stylu obrobionych, byle zawierających sumienne zestawienie materyałów.

Sąd konkursowy stanowić będą: dr. Franciszek Bujak, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Włodzimierz Czerkawski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Leopold Caro, adwokat krajowy.

Nagród wyznaczono na razie trzy: jedną w wysokości 100 K., drugą i trzecią po 50 K. Ponadto prace najlepsze mogą być ogłoszone drukiem.

Do prac oznaczonych godłem wybranem przez autorów, dołączyć należy w zamkniętych kopertach, tem samem godłem oznaczonych, imię, nazwisko i dokładny adres autorów. Konkurs upływa z dniem 1 stycznia 1911 r. Prace nadsyłać należy pod adresem: Prezes Koła Krakowskiego Towarzystwa imienia Piotra Skargi, Kraków, Radziwiłłowska 10. *Koło Krakowskie Tow. im. Piotra Skargi.*

Druk ukończono 14 maja 1910.

GRUNWALD W POEZYI POLSKIEJ.

SZKIC LITERACKI.

Grunwald!

Ileż wzniosłych i rzewnych uczuć wywołuje wyraz ten w duszy każdego z nas — uczucie radości na samo wspomnienie tak wielkiej niegdyś potęgi państwa polskiego, nierozłączne od uczucia dumy narodowej z odniesienia tak wielkiego zwycięstwa, jednego z największych w dziejach Polski. Budzi jednak zarazem uczucie żalu, że zwycięstwa tego nie potrafiono wyzyskać należycie — a w ślad za tem rodzi się uczucie smutku, że ta przeszłość tak wielka i droga minęła!...

Pięćsetna rocznica gloryi grunwaldzkiej — to wielkie *memento* dla myśli polskiej w życiu naszem porozbiorowem — to rachunek sumienia dla ducha narodu, jakim był lat temu pięćset, a jakim jest dzisiaj. Stąd poznanie wypadku tego dziejowego jest obowiązkiem wszystkich — roztrząsanie go zaś z rozmaitych punktów widzenia w wysokim stopniu konieczne i pożądane.

Poprzednie pokolenia miały zawsze w pamięci wielkie zwycięstwo, historya i poezya polska przekazywały je też raz po raz potomności. Jak wiele innych wiekopomnych zdarzeń przeszłości naszej, tak i bitwa pod Grunwaldem wywołała szereg najrozmaitszych utworów poetycznych; duma narodowa czuła potrzebę upamiętnienia w pieśni i zachowania trwałego wielkiego wypadku dziejowego.

W rocznicę wiekopomnego zwycięstwa, może być pokrze-

pieniem dla serca i ducha rozpatrzenie szczegółowe utworów poetycznych o Grunwaldzie, powstałych w przeciągu pięciu wieków: iluż to autorów składało w ten sposób w dani hołd pamięci przodków, z jak różnych punktów widzenia osądzano ten wypadek dziejowy, ile jednak, mimo różnicy czasów, wspólnych myśli i poglądów w tych głosach poezyi polskiej, przechodzących jakby z pokolenia w pokolenie.

Niech i ta praca będzie skromnym liściem w wieńcu składanym dziś przez wszystkich na ołtarzu ojczyzny!

I.

Wiersze łacińskie o bitwie grunwaldzkiej z w. XV. — Pieśni ludowe polskie. — »Pieśń o pruskiej porażce z r. 1510«. — Jana z Wiślicy: »Bellum Pruthenum« 1516. - Jan Kochanowski. — Macieja Stryjkowskiego: »O sławnej wojnie i szczęśliwej bitwie Jagiełłowej i Witoldowej z Krzyżaki Pruskiemi i Książęty Niemieckiej Rzesze«.

Pierwszym wierszem, który powstał na wiadomość o zwycięstwie grunwaldzkiem, był poemat łaciński, ułożony przez profesorów akademii krakowskiej, jak nas o tem poucza Radymiński w pierwszej swej centuryi, donosząc o tem pod r. 1411: inter manuscripta descriptiones factae a Musis Heliconis academici *triumphi Regii de Cruciferis relati*, hoc anno vulgatae fuisse reperiuntur. Tak wszechnica krakowska pragnęła potomności przekazać pamięć wielkiego zwycięstwa [1]. W ślad za tym wierszem, niestety niezachowanym do naszych czasów, pojawiły się liczne wiersze okolicznościowe, jużto w języku łacińskim, jużto w języku polskim pisane [2]. Zaledwo o kilku z nich możemy podać wiadomość, i to niedokładną, gdyż zachowały się po większej części w ułamkach, przeważna ich część zaginęła bez śladu. O kilku z nich przechowały się wiadomości w starodawnych rocznikach

[1] M. Wiszniewski: »Historya literatury polskiej«. III, 512.

[2] H. Zeissberg: *Die polnische Geschichtschreibung des Mittelalters*. 1873. S. 183 twierdzi, że istnieje z tych czasów około 50 wierszy o bitwie grunwaldzkiej; twierdzenia swego jednak nie uzasadnia, podaje wiadomość tylko o kilku wierszach. O wierszach z w. XV i XVI pisał H. Osuchowski: »Niektóre opowieści i wiersze o Grunwaldzie z XV i XVI w.« Sprawozdanie gimnazyum w Tarnopolu 1905, nie uwzględnia jednak należycie chronologii utworów.

polskich; tak np. w roczniku miechowskim znajduje się początek wiersza łacińskiego o zwycięstwie grunwaldzkiem:

Anno milleno quandringentesimo deno
Augusto sub mense cruciferi strati sub ense
Regis Poloniae, post missarum solemnitatem
Die sanctorum divisionis apostolorum [1].

Nieco dłuższy urywek innego wiersza przytacza dopełnienie szamotulskie t. zw. rocznika Trzaski:

Illustris princeps Wladislaus rex Polonorum
atque Lituanorum dominus princepsque Wytoldus
intrantes terram fecerunt maximam guerram,
annis millenis quandringentis quoque denis,
luce sanctorum ter quatuor apostolorum,
in Iulii mense quorum perimitur ense,
prava, perversa crucifera gens maledicta [2].

W tym też czasie znany był także pierwszy, jak się zdaje, polski wiersz o boju grunwaldzkim, w wspomnianym bowiem roczniku znajduje się zaraz po przytoczonych powyżej wierszach łacińskich następująca uwaga: »item subsequentia metra idiomatis Polonici possunt similiter recitari«, wierszy jednak polskich rocznikarz nie podał, opuściwszy je według ówczesnego zwyczaju.

Z dwóch innych wierszy łacińskich zachowało się po jednym wierszu i to dzięki temu tylko, że chciano w nich przekazać datę zwycięstwa: jeden wiersz podaje Mikołaj z Błonia, znany kaznodzieja i kanonista polski z pierwszej połowy XV w. [3]:

VLrICh beLLa faCIt PoLonIs Ipse MagIster [4],

drugi cytuje proboszcz śląski, Piotr Weinknecht: annus incarnationis Dominicae huius belli habetur in hoc versu:

stat eCCe PoLonIa rVIt aLtI MagIster ab ILLa [5].

---

[1] *Monumenta Hist. Poloniae.* II, 894.

[2] *Scriptores Rerum Prussicarum.* III, 725. *Mon. Hist. Pol.* II, 868.

[3] Por. o nim: Ulanowski B.: »Mikołaj z Błonia, kanonista polski z pierwszej połowy XV w.« Kraków 1888.

[4] *Scriptores Rerum Prussicarum.* III, 440. Litery wielkie, czytane jako cyfry rzymskie, dają liczbę 1410. Wiersz ten należy tak czytać, a nie jak go powszechnie podają błędnie: Ulricus fecit bella Prutenis ipse magister.

[5] Stenzel: *Scriptores rerum Silesiacarum.* I, 256. *Scriptores Rerum Prussicarum.* III, 432.

W roczniku świętokrzyskim pod r. 1410, zachowało się 26 wierszy o zwycięstwie grunwaldzkiem, w bardzo nieudolnej formie zewnętrznej, wierszach trzynastozgłoskowych. Nieznany autor zaznaczywszy datę bitwy, głosi, jak to:

ense Polonorum cecidit gens Teutunicorum,
quam manu forti Dei stravit robur Vladislai,
Regis Polonorum, pateant sibi portae polorum.

Szczegółowo wymienia dalej liczbę poległych, w całem zaś zdarzeniu widzi karę Bożą za złamanie wierności przez Krzyżaków:

dum fide fracta non servaverunt sua pacta
incolae terrarum Prutenorum, sed amarum
potum sensissent, si pacem non inissent,
et foedera non ficta. sunt haec verissime dicta [1].

Podobnież łaciński wiersz o bitwie pod Grunwaldem zachował się w t. zw. rękopisie Jana Odelfa, zawierającym kronikę Wincentego Kadłubka, zaczynający się od słów:

Anno milleno quadragesimo duodeno
sub mensis Iulii die quindecima [2].

Z XV wieku pochodzi też wiersz łaciński, zachowany w rękopisie kazań Mikołaja z Błonia p. t.: »ista metra sunt de lite Prutenorum et Polonorum conscripta in castro Cracoviae [3] ad memoriam illius litis« [4]. Po dokładnem zaznaczeniu czasu bitwy, opowiada autor (jest nim prawdopodobnie sam Mikołaj z Błonia) o wysłaniu posłów krzyżackich do Jagiełły z dwoma mieczami — i o przyjęciu ich przez króla. Poczem król zachęca wojsko do męstwa. Samą walkę opisuje wiersz pokrótce (w. 30 nn.) [5], wspo-

[1] *Monumenta Poloniae.* III, 85.

[2] *Monumenta Poloniae.* II, 211, por. A. Bielowski: »Wstęp krytyczny do dziejów Polski«. Lwów 1850. S. 144.

[3] Napisu owego niema już od dawna na zamku krakowskim. Porów. Wiszniewski: »Hist. lit. polskiej«. III, 365 n. *Athenaeum* J. I. Kraszewskiego. Wilno 1845. II, 179—183. Voigt: *Geschichte Preussens.* VII, 99.

[4] Wiersz przytoczony najpoprawniej w *Scriptores rerum Prussicarum.* III, 1866, str. 441 n.

[5] Congressis igitur turbis luctantibus illis
ecce! repentinam dat gens totamque ruinam
crucifigulorum pariter curruumque suorum
seqquaterdenis vexillis superatis eorum.

minając o licznych stratach, jakie ponieśli Krzyżacy. Zwycięstwo przypisuje autor łaskawości Bożej, korzy się też w końcowych wierszach przed Jego potęgą:

Ergo surgamus, laudes Domino referamus:
Te Deum laudamus, teque Dominum confitemur,
Gloria, laus et honor tibi sit, rex Christe redemtor.

Ma ten wiersz pewne cechy wspólne z przytoczonymi powyżej urywkami wierszy łacińskich, do których należy przedewszystkiem jednakowa niemal w nich charakterystyka Krzyżaków, jako plemienia przewrotnego i fałszywego *(gens prava, perversa, maledicta);* nie brak nawet nazwy pogardliwej *crucifiguli.* Upadek mistrza wielkiego, jako też zakonu całego, przypisuje Mikołaj z Błonia niezmiernej ich pysze i dumie, którą ukarał Bóg:

sic homo, qui tumuit, primus ad ima ruit,
sic homo, qui tumuit, cum sua turba ruit.

Kara Boża nastąpiła też za złamanie układów, zawartych z narodem polskim (por. wiersz w roczniku świętokrzyskim i Mikołaja z Błonia)[1]. Oprócz tych dwóch motywów wspólnych przebija z owych wierszy także niezwykłe umiarkowanie w wyrażeniu radości z powodu tak wielkiego zwycięstwa: przebija z nich wprawdzie uczucie zadowolenia, jako też zrozumienie ważności chwili, nigdzie jednak w tych wierszach niema naigrawania. Zwycięstwa użyczył Bóg, Jemu też przedewszystkiem należy złożyć dziękczynienie.

Wspólność tych rysów upoważnia nas do przypuszczenia, że wymienione powyżej pieśni są wiernem odbiciem zapatrywań ludowych na zwycięstwo grunwaldzkie; w ten sposób śpiewał lud o boju grunwaldzkim, a ślady tych pieśni przeszły nawet do wierszy łacińskich. Prymitywna budowa, barbarzyńskie wprost rytmy i rymy, niewyszukana frazeologia, zawikłana konstrukcya zdań, czynią powyższe przypuszczenie tem prawdopodobniejszem. Ma się wrażenie, że autor kronik lub przepisywacz rękopisu, żywcem starał się przekładać wiersze polskie na łacińskie, i w tej

[1] Spernens omnino treugam foedera pacis.

właśnie nieudolności zewnętrznej mamy dowód pochodzenia tych wierszy. Znaczenia literackiego zupełnie nie mają; najlepszym jeszcze jest wiersz Mikołaja z Błonia, który usiłuje przynajmniej wniknąć nieco w szczegóły; w kilku miejscach nawet zdobywa się na patos, niezręcznie go jednak wyraża.

Oprócz wspomnianej poprzednio pieśni polskiej istniały jeszcze inne, o których jednak dzisiaj bardzo tylko niedokładne mamy wiadomości [1]. Dwa wiersze z jednej takiej pieśni zachowały się w rękopisie ksiąg hetmańskich Sarnickiego, przechowywanym dzisiaj w Bibliotece Jagiellońskiej [2]:

Witołd idzie po ulicy,
Za nim niesą dwie szablicy.

Prawdopodobnie treść tej pieśni stanowiła opowieść o dwóch mieczach, przysłanych królowi przez mistrza krzyżackiego. O pieśniach osnutych na tle tego epizodu wspomina Kromer (duos gladios strictos et cruentos, quemadmodum carmen vulgare de proelio hoc compositum, quod in hanc usque diem exstat, habet) [3], tak samo czyni o pieśni takiej wzmiankę Bielski [4]; czy były to pieśni zupełnie odmienne od pieśni wspomnianej przez Sarnickiego, trudno rozstrzygnąć z całą stanowczością.

O innej pieśni polskiej znajdujemy wzmiankę w dziełku biskupa Protaszewicza: »Wtóre wotum między stanami, radami (a) ich miłością X. Walerianem wileńskim r. 1516«, w którem czytamy: przyszłoby nam już podobno na to, żeby już ten sławny a jedyny klejnot, miecz od podniesienia sławnego W. X. Litewskiego musiał się oddać do inszych ręku, trzeci ku onym dwiema (mieczom), co u siebie za wieczne znaki zwycięstwa nad ziemią

---

[1] S. Windakiewicz: »Pieśni i dumy rycerskie XVI w.« Pamiętnik literacki. 1904. 349.

[2] Sygn. 171, CCI, 35.

[3] *De origine et rebus gestis Polonorum,* libri XXX. Basileae. 1554. (Liber XII) s. 401. Sarnicki (*Triumphus,* 1581) pisze: »mos decantandi laudes virorum illustrium adhibitus, quod testantur cantilenae illae de Wladislao Jagellonide, qui ad Varnam periit«, »de Witoldo et bello Prutenico«. Trudno rozstrzygnąć czy tu mowa o innej pieśni o Witoldzie, czy o tej samej, z której przytoczył dwa podane powyżej wiersze.

[4] Kronika polska. W Krakowie. 1597, s. 296.

pruską panowie Polacy mają, posłane swego czasu od Niemców, jeden Jagiełłowy, a drugi Witoldowy, na pomoc zwycięstwa, kiedy ono śpiewano:

Hey Polanie, z Bogiem na nie,
Już nam Litwy nie dostanie« [1].

Zachowała się natomiast w całości »Pieśń o pruskiej porażce, która się stała za króla Władysława Jagiełły roku 1510 napisana«, ogłoszona po raz pierwszy w r. 1843 z rękopisu przez Leona Rzyszczewskiego [2]. Krótki ten poemacik skreślony wierszami ośmiozgłoskowymi jest dość dokładnym opisem bitwy, opartym na Długoszu i Kromerze. Nieznany autor uwzględnia jednak

---

[1] Maciejowski: »Piśmiennictwo polskie«. II, 411. Windakiewicz l. l. 349.

[2] *Biblioteka warszawska.* 1843. III, 370 nn., potem nieraz przedrukowana. Co do czasu napisania tej pieśni wystąpił S. Windakiewicz z przypuszczeniem, że w rękopisie odczytano fałszywie datę 1510 zamiast 1570; ze względu zaś na to, że pisana jest w ortografii Górnickiego i że Kochanowski (El. III, 13) wspomina o poemacie o Grunwaldzie napisanym przez Górnickiego, utrzymuje, że wiersz ten jest pióra Łukasza Górnickiego (l. l. 349 n.). Zdanie to podziela także A. Brückner (*Biblioteka warszawska* 1893. IV, 442. *Kwartalnik historyczny.* 1900, 74 n.) Dowody przytoczone przez Windakiewicza nie są jednak takiej wagi, by przypuszczenie jego można przyjąć bez wahania. Szczegół podany w tytule pieśni mówi o jej napisaniu a nie o spisaniu, stąd pieśń napisana w r. 1510 mogła być później ogłoszona w ortografii Górnickiego. Wiadomość Kochanowskiego jest tak lakoniczna, że nie upoważnia nas niczem do tak śmiałego przypuszczenia; oto słowa Kochanowskiego:

Laude neque sua Gornicium fraudavero; nam hic
Orphaea fingit carmina digna lyra,
Germanosque canit magno certamine victos,
Committens lyricis Martia bella modis.

Sposób wyrażenia Kochanowskiego wskazywałby na utwór liryczny, tymczasem »Pieśń o porażce pruskiej«, jak to sam Windakiewicz zaznacza, ma charakter wybitnie epiczny. Do tego za mało wiemy o poezyach Górnickiego, abyśmy mogli czynić wnioski o treści domniemanych jego utworów; wykonanie pieśni »mało poetyczne«, według słów samego Windakiewicza, sprzeciwiałoby się przypisaniu jej tak wytwornemu styliście, jakim był Górnicki. Wkońcu słusznie już zauważył Chmielowski, że naiwność opowiadania, religijność nastroju, brak wszelkiej okrasy klasycznej wykluczają to przypuszczenie (»Hist. literatury polskiej« I, 128, uw. 1). Tak samo Nehring (*Kwartalnik historyczny*, 1894, 672) nie uważa przypuszczenia Windakiewicza za pewne.

przedewszystkiem epizody poprzedzające bitwę, samo spotkanie zbywa krótciej, nie uwzględniając stanowczych momentów starcia obu wojsk. Zaczyna się pieśń określeniem dnia bitwy:

We wtorków dzień apostolski
Rzekł marszałek: Królu polski,
Wielki tu jest lud nad nami,
Trzeba, by był Pan Bóg z nami.

Król w modlitwie wzywa Boga na świadectwo, że zawsze uchodził, by nikomu nie szkodził; wojnę podjął wskutek pychy krzyżackiej:

Ty wiesz, Panie, moją radę,
Żem wolał pokój niż zwadę,
Pokój choć z mym ulżywienim,
Niż wojnę z dobrym sumnienim.
. . . . . .
Chorągiew tę już rozciągam,
W łaskę twą z wojskiem dociągam;
Kto ma prawo między nami,
Pomóż mu swemi rękami.

Szczegółowo opisuje autor poselstwo posłów krzyżackich z dwoma mieczami, które król przyjmuje z pokorą, dając im odpowiedź skorą, »która za proroctwo stała, bo im się pycha znać dała«. Krzyżacy sami czują się zwyciężonymi, skoro ofiarowali mu broń:

Ale gdyście krwie nie syci,
Da Pan Bóg, że w niej będziecie zmyci.
Pan Bóg długo zwykł folgować,
Kogo chce wiecznie zepsować,
Aby cięższą znał odmianę,
Gdy nieszczęścia zada ranę.

Wrzawę wojenną opisuje wiersz ze znaczną plastyką:

Trzask, wrzask, krzyk, płacz był niemały,
Uszy z dala to słyszały.
By się beł miał las wszystek złomić,
Nie mógłby ich tak ogromić.

Nie wdając się w dokładny opis bitwy, wspomina autor tylko o utracie chorągwi przez Wrocimowskiego i o natarciu na króla rycerza zbrojnego, którego dobił Oleśnicki. Przyczynę zwycięstwa Polaków przypisuje ich pokorze, która u Boga miała miejsce, przeciwnie hardość i pycha Krzyżaków poniosły karę:

Tak-ci Pan Bóg hardość traci,
A pokorę hojnie płaci;
Sprawiedliwość w bitwie może.
Daj tak zawżdy wygrać, Boże.

Wymienione pieśni polskie stanowią w rozwoju pieśni ludowych o Grunwaldzie pewien postęp, jakkolwiek nieznaczny, widoczny w tem, że fantazya ludowa zaczyna z biegiem czasu pierwotne jądro pieśni, stosunkowo szczupłe, zwolna rozszerzać. Treść nowych pieśni wypełniają epizody, poprzednio ledwo że zaznaczane, lub zupełnie pomijane; obecnie na pierwszy plan wysuwa się motyw przysłania obu mieczów, tak charakterystyczny dla zaznaczenia dumy krzyżackiej z jednej, a pokory Jagiełły z drugiej strony. Drugim motywem, zupełnie nowym, jest epizod o niebezpieczeństwie, w jakiem znajdował się król wskutek natarcia nań rycerza krzyżackiego. Oba szczegóły stają się odtąd ulubionym motywem poezyi późniejszej, która przekazuje je stale potomności.

Odtąd też zaczyna się w poezyi ludowej różniczkowanie osób: poprzednie pieśni znały tylko dwa walczące ze sobą narody, Polaków i Krzyżaków, wzmianki o królu, Witoldzie lub wielkim mistrzu, były zawsze ogólnikowe. Teraz nie tylko już król i Witold wysuwają się na pierwszy plan; obok nich zna już »Pieśń o pruskiej porażce« także marszałka, Oleśnickiego, Maszkowskiego, chorążego krakowskiego, Wrocimowskiego. Tak zwolna rozszerza się zakres pieśni grunwaldzkiej; daleko jej wprawdzie do kompozycyi ściśle poetycznej, znać jednak widoczny postęp, przedewszystkiem w »Pieśni o pruskiej porażce«. Nie przeceniając wcale jej znaczenia, musimy przecież uwydatnić wielką jej prostotę i naiwność opowiadania, najlepszy dowód jej powstania ludowego; niemałą jej zaletą znaczna żywość w opowiadaniu, podniosłość kilku ustępów, wkońcu nastrój religijny, nadający jej znamienną cechę. Przy czytaniu wiersza odnosi się wrażenie, jak gdyby przemawiał do nas w ten sposób jakiś śpiewak ludowy, wyrażający w niej głęboką swą radość z pruskiej porażki.

W kilka lat po »Pieśni o pruskiej porażce« wychodzi długi poemat epiczny w języku łacińskim Jana z Wiślicy, jednego z pierwszch naszych poetów polsko-łacińskich, p. t. *Bellum Pruthenum* (wydany w Krakowie 1516 r.)[1]. Dla powstania poematu charakterystyczne są słowa poety, który w przedmowie do Pawła z Krosna wspomina o wrażeniu, jakie na nim już w młodych latach wywarła bitwa grunwaldzka. Jakkolwiek czuje dobrze, że przedmiot obrany przez niego przechodzi jego siły, ogłasza jednak poemat, pragnąc w ten sposób przekazać pamięć zwycięstwa tego potomnym, jako też zostawić dla młodzieży godny naśladowania wzór męstwa przodków. Składa się utwór Jana z Wiślicy z trzech ksiąg, luźnie tylko z sobą powiązanych, główną też wadą tego poematu jest brak kompozycyi, na 1057 bowiem wierszy, zaledwo 415 poświęconych jest opisowi bitwy grunwaldzkiej (ks. II, ww. 97—511).

Rozpoczyna się opis bitwy określeniem pory, w której ją stoczono[2]:

Dzień był ciepły, lipcowy, właśnie kiedy w polach
Zbożorodnej Cerery dojrzewają plony,
A rolnicy i żeńcy do pracy się śpieszą.
W takim czasie Mars srogi powstał w pruskiej ziemi,
A waśniąc między sobą Polaków z Prusaki,
Obu ludom z zapałem rwącym się do broni
Wydał hasło i straszne zapowiedział dzieje.
Zawrzały w sercach gniewy — a z piekieł otchłani
Śmierć blada, przelatując powietrzem i ziemią,
Wskazywała krwawego węża, znak śmiertelny
Wielu mężom, mającym zejść w grobowe cienie.

Bój rozpoczynają Tatarzy, po nich występują Rusini, Litwini i Żmudzini: walkę zaciętą opisuje poeta niezwykle żywo:

Wzmaga się rzeź mordercza — pada mąż po mężu —
I wszędy krew z zabitych potokami płynie.

---

[1] Por. wydanie w *Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae Latinorum usque ad Ioannem Cochanovium.* Volumen II, ed. B. Kruczkiewicz. Cracoviae 1887, nadto rozprawę S. Witkowskiego: »Jan z Wiślicy, jego życie i pisma«. *Przewodnik naukowy i literacki.* 1891, s. 178 nn.

[2] Wyjątki przytaczam w tłumaczeniu polskiem Karola Mecherzyńskiego, pomieszczonego w rozprawie jego p. t.: »Jana z Wiślicy Wojna pruska«. Rozprawy Wydziału filolog. Akademii Umiej. VIII, 274—295.

Tych strzały, innych ostre kaleczą dziryty,
A dusze ślą w Tartaru śmiertelne podziemia.
Z dział wyrzucone głazy, wśród chmury pocisków,
(Strach patrzeć!) zaciemniają powietrze i ziemię.
Ryczy Mars natężonem z całej siły gardłem,
Na podobieństwo grzmotu, gdy w górnych obłokach
Albo po gałęzistych rozlega się lasach.

Mimo męstwa Litwinów szala zwycięstwa chylić się zaczyna na stronę Krzyżaków, pod których naporem wojska Witolda zaczynają się cofać. Witold śpieszy do Jagiełły, przysłuchującego się Mszy św. i wyrzuca mu, że traci czas bezczynnie na modłach; król jednak postanawia wysłuchać nabożeństwa do końca, a potem dopiero wyprawić polskie chorągwie do boju. W gorących słowach prosi Boga, by zlitował się nad narodem polskim i dozwolił pokonać nieprzyjaciół. Wśród tego zjawia się na srebrzystym obłoku św. Stanisław, odzywając się do Jagiełły łagodnym głosem:

Już twe Ojciec Wszechmocny wysłuchał błagania
I przyjął litościwie łzy twoje pobożne;
Dziś będziesz pocieszony — duch wstąpi w twe roty;
A ten, co teraz płoszy wojska bratniej Litwy
Nieprzyjaciel, pod twoim orężem upadnie.
Wydarte z rąk krzyżackich przemocą sztandary
U stropów mej świątyni pozawieszasz z chwałą,
A obraz mój tarczami wodzów, bohaterów
I bisiorami królów potężnych ozdobisz.
Nuż więc, śpiesz się do dzieła — oddal próżne troski
I zasępione łzami wypogódź oblicze —
Zbieraj chorągwie twoje, szykuj do rozprawy:
Ja sam je prowadzę i z troskliwą pieczą
Towarzyszyć ci będę na wojnie i wszędzie.

Król, pokrzepiony na duchu, zagrzewa wojsko krótką przemową do męstwa, poczem każe wytrąbić hasło do bitwy. Dalszy jej przebieg zbywa poeta ogólnikowo, nie przytaczając znanych nam skądinąd szczegółów historycznych. Zastępy polskie natarły tak dzielnie, że wśród Krzyżaków powstało zamieszanie, z czego skorzystał Witold, uderzając na lewo skrzydło wroga, gdzie znajdował się sam wielki mistrz. W tem miejscu wzywa poeta boginie sławne, aońskie dziewice, by opowiedziały światu, jak to polskie rycerstwo starło potęgę Krzyżaków:

Jaki tryumf zwycięzców, jaka klęska wrogów,
Ile wodzów i ludów znieśli w tym pogromie!
Śpiewajcie ich zaszczyty — niech je głośna sława
Po mórz najodleglejszych obnosi przestrzeniach
I wszystkim ziemi krajom na podziw ogłasza!

Zapowiedzi tej jednak poeta nie spełnia — poprzestając tylko na kilku ogólnych obrazach rzezi Krzyżaków, z których najsilniejszym jest porównanie ich z jeleniami, nadaremnie starającymi się ujść pogoni psów:

Jak na lesistych puszczy moloskiej pagórkach
Jeleń, spłoszony liczną psów myśliwskich łają,
Przez wyniosłe kurhanki, zarośla i ciernie
Leci, unosząc życie przed zabójczym grotem,
Tak Niemcy kwapili się ujść ostatniej klęski,
Ale losy przeciwne stanęły im w drodze.

Po opisaniu zgonu wielkiego mistrza i rzezi wojsk krzyżackich kończy poeta pieśń pochwałą Jagiełły, stawiając go wyżej od bohaterów i wodzów greckich, rzymskich, perskich, partyjskich i arabskich.

Zasługują jeszcze na wyróżnienie te wiersze, w których poeta określa znaczenie boju grunwaldzkiego:

O! nienawistny rodzie, gdzież teraz twa wielkość,
Twoja sierdzista pycha i płoche przechwałki?
Czem owe miecze krwawe, którymi w podarku
Śmiałeś wielkiego króla urągać potędze?
Czem ślubowana wierność Konradowi księciu,
Coć świętemi umowy lenne nadał ziemie,
W zamian za przyrzeczoną pomoc i usługę?
Otóż godna zdradziectwa twojego zapłata:
Odjętoć przywłaszczone mitry i dziedzictwa;
Zdeptali dumne karki Prusaków Polacy;
Dzierżą i wiecznie dzierżyć będą w swoich ręku
Dawne swe zamki, grody, ludy, ziemie, porty.

Z podanej treści wynika, że opis Jana z Wiślicy nie przedstawia żadnej rozmaitości, gdyż autor nie uwzględnił w nim szczegółów istotnie charakterystycznych, znanych nam skądinąd. W przedmowie zapewnia wprawdzie, że starał się osnuć opis swój na podstawie kronik, zapisków i tradycyi, w istocie jednak nie uwzględnił w nim literatury za jego czasów istniejącej, ani hi-

storycznej, ani poetycznej, wskutek czego blady opis bitwy nie robi należytego wrażenia. Wspomniana powyżej »Pieśń o porażce pruskiej« zawiera daleko dokładniejszy obraz bitwy mimo skromnych ram poemaciku. Jak zresztą Jan z Wiślicy korzystał niekrytycznie ze swych źródeł, świadczy epizod o przysłaniu królowi mieczów krzyżackich, o czem wspomina wbrew prawdzie historycznej jeszcze przed wybuchem wojny. Pominąwszy też kilka szczegółów historycznych, sprawia przedstawienie Jana z Wiślicy wrażenie konwencyonalnego opisu bitwy, który w przeważnej części czerpał poeta z wzorów klasycznych, uzupełniając resztę własną fantazyą.

W ten sposób pierwsza próba stworzenia poematu epicznego na tle bitwy grunwaldzkiej nie powiodła się.

Z późniejszych poetów wieku złotego żaden nie obrał za treść swego utworu boju grunwaldzkiego, nawet ten, któryby z pewnością potrafił przedmiot ten przedstawić godnie: Jan Kochanowski. Znaczenie zwycięstwa nie uszło jednak jego uwagi, stąd też wspomina o niem dwukrotnie, ale tylko ubocznie, raz w »Proporcu« (1569):

Po nim Jagiełło Litwę jednoczy z Polaki,
A potem o pokoju rokuje z Krzyżaki,
Próżno podobno; bo patrz, jako wsi gorają,
A zamków między sobą przedsię dobywają.
Widać, że było dalej dwie wojszcze ogromne
Strzelbę na się składając i kopije łomne;
Stąd Krzyżacy, a z nimi Niemcy i Czechowie,
Stąd Polacy i Litwa, Ruś i Tatarowie;
W bok wojska król dwa miecze od Niemców przyjmuje,
Z drugiej strony Tatary Witułt już hamuje,
Ale ci przedsię serca drugim nie skazili,
Bo Polacy na głowę Niemcy porazili.

Krótszą jeszcze wzmiankę zawiera »Fragment bitwy z Amuratem u Warny«, w którym sławiąc bogobojnego Jagiełłę pisze, że

harde Krzyżaki tak starł jednym bojem,
Że je niemal zwalczone podał dzieciom swoim.

Rolę poetów bierze na siebie historyk, Maciej Stryjkowski, który pozostawił w swej Kronice wierszowany opis bitwy w języku polskim: »O sławnej wojnie i szczęśliwej bitwie Jagiełłowej

i Witoldowej z Krzyżaki Pruskiemi i książęty Niemieckiej rzesze roku 1410« [1]. Zaczyna go następującym czterowierszem:

Zbroję i mężów dzielność wysławiam sarmackich
I potłumioną hardość wielkich sił krzyżackich;
Hardość, które Bóg niszczy, a pokorę lubi,
Cichych na stolce wsadza, pysznych z carstwy gubi.

Podaje następnie pokrótce przyczynę wojny i przygotowania do niej. Szczegółowiej opisuje wyprawę od chwili przeprawy wojska polskiego przez Wisłę pod Czerwieńskiem. Na równinie nad rzeką Wukrą, po uszykowaniu wojska, król Jagiełło wziąwszy chorągiew koronną, wzdychając od płaczu, rozwinął ją i złożył »oświadczenie przed Bogiem«:

Ach, wszechmocny Boże,
Przed którym zła, dobra rzecz skryta być nie może,
Który sam myśli ludzkich w skrytościach doznawasz,
Dobrym dobrą odpłatę, złym zaś źle oddawasz,
Ty sam znasz serce moje, wiesz jego skrytości,
Wiesz, żem nie myślił wojny tej wznieść z uporności
A zwłaszcza z chrześcijany jakimi takimi,
Którzy mię pobudzili krzywdami wielkimi.
Ty wiesz radę myśl i chęć moją do pokoju,
Żem uchodził krwawego ze wszystkich sił boju,
Uchodziłem, lecz ludu bronić muszę twego,
Dokąd mi sił i gardła będzie stawać mego.
. . . . . .
Racz ich sam ze mną bronić, bo już w imię twoje
Rozwijam tę chorągiew z orłem, Panie, swoje.
Ty sprawiedliwą stronę rozsądź, kto przyczynę
Dał wojnie: Racz mu tej krwie dać rozlania winę.

Armia polska ciągnie dalej pod Działków, gdzie przyjmują wszyscy Sakrament Pański, wkońcu przybywa pod Grunwald, którego położenie opisuje Stryjkowski w ten sposób:

Było pole szerokie, dąbrowami wokoło
Opasane, pagórki zielone wokòło
Stały, krzywymi w środku rowy rozdworzone,
Na tym obozy polskie były położone.

[1] »Która przedtem nigdy światła nie widziała, Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi«. Królewiec 1582. Księgi piętnaste, s. 521—532.

Zaś przeciw role stały, które przedtem były
Gęstym lasem i krzewim wkoło się okryły,
A nizina zielona na pięć mil patrzała,
Gdzie kiedyś żyzne bydłu pastwiska dawała.

Szczegółowo przedstawia dalej uszykowanie wojk polskich i krzyżackich, przyczem wspomina liczbę chorągwi po obu stronach:

Czelniejszych wystawiwszy i zbrojnych na czoło,
Boga Rodzica wszyscy krzyknęli wesoło.

poczem król zachęca wojsko do męstwa. Opowiada dalej o znanem hardem poselstwie posłów krzyżackich z dwoma mieczami, poczem następuje dokładny opis samej bitwy, przyczem autor prosi panny z Helikonu, by wiodły wiersz jego:

Wspomnicie, którą która przemagała strona,
Którzy rycerze mężnie dzielność pokazali.

Po opisaniu natarcia Litwy, kreśli wrzawę wojenną:

Grzmot straszny, właśnie jak gdy Sodoma gorzała,
Gdzie dom dom, a wieżą wieżę lecąc rozbijała,
Albo gdy się trojański mur od Greków kruszył
Albo mocne Kartago, gdy Scipio burzył.

Nieco humorystycznie przedstawia cofnięcie się Litwinów pod naporem krzyżackim, broniąc ich, że musieli biedni wytchnąć, gdy się spracowali. Przechylili szalę zwycięstwa na stronę polską znów dzielni Smoleńszczanie, Sieradzanie zaś odbili zabraną przez Krzyżaków chorągiew królewską. Wkońcu występuje do boju sam mistrz — ze strony polskiej wiedzie hufce król, na którego napada rycerz Dypold Kikieryc, wszystek od głowy do nóg we zbroję ubrany:

Już blizko króla przyszedł i drzewo nań złożył.
Król też mierzył, by mu sztych on sztychem odłożył.
Lecz Zbigniew Oleśnicki uprzedził go drzewem,
Iż spadł z konia aż flaki z niego wyszły z trzewem.
A gdy mu hełm odkryto, sam go król uderzył
Mówiąc: od tego umrzesz, na któregoś mierzył.

Zaczyna się ogólny popłoch wśród szyków krzyżackich —

A nasi biją, sieką co im się nawinie,
Właśnie jak kiedy w powódź z góry rzeka płynie
Nie oprze się jej ogród ni zbuczniała kłoda,
Ni młyn, ni dom: bo wszystko rwie szalona woda.

A Niemcy jak gdy w puszczy jelenie i łanie
Hucznej trąby głos słyszą y łowców wołanie,
Chwytając ów dźwięk w uszy — brnie gdzie może ktory
Ten w las, ten w błotne łozy, byle umknął skory.
Mistrza Ulryka prosty drab oszczepem przeszył,
Który ano mieczami hardzie króla cieszył.
. . . . . .
Mistrz się wala — złupiony trup oziębły leży
A krew wrząca strumieniem z ciepłą duszą bieży
I dusza, która wiele dusz na on świat posłała,
Hardością swą sama też ich śladem leciała.

Kończy się opis wyliczeniem strat Krzyżaków; w obozie nieprzyjacielskim znaleźli Polacy przygotowane powrozy i łańcuchy, którymi teraz skrępowano Krzyżaków: tak Bóg zawżdy hardość karze. Po bitwie

Gońcowie się rozeszli do Polski z weselem
Powiedając zwycięstwo nad nieprzyjacielem.
W wszystkich kościołach, w wszystkich włościach radość wstała,
Z nabożeństwa aż ziemia i z powietrzem drżała.
W wszystkich kościołach wszędzie Te Deum śpiewano,
A chwałę Bogu w Polsce, w Litwie powtarzano.

Jagiełło zezwala na prośby poselstwa krzyżackiego na pogrzeb w. mistrza i znaczniejszych panów niemieckich. Król zawżdy do zgody gotowy zapewniał Krzyżaków, że i teraz radby był żywot darował tym, których Mars krwawy zmordował:

Tak tem sławnem zwycięstwem ozdobić Polaki
I Litwę Bóg sam raczył, iż zbili Krzyżaki,
Zbili i książęta ich i obozy twarde
Pobrali i hetmany powiązali harde.

Jeżeli porównamy ten opis Stryjkowskiego z utworem Jana z Wiślicy, musimy przyznać mu większą wartość. Przedewszystkiem opis Stryjkowskiego podaje szczegóły istotne, zaczerpnięte z przedstawienia bitwy u Długosza, nie jest zaś tak nieokreślonym, jakim go podał Jan z Wiślicy. Może nawet opis ten przeładował niepotrzebnie epizodami mniejszej wagi, mimo to stworzył rzecz żywą, przemawiającą do umysłu czytelnika. Rodzaj to staroszlacheckiej gawędy, zaprawionej i humorem niezbyt wybrednym i rubasznemi porównaniami, na ogół przypominający

sposób opowiadania Reja prostotą i naiwnością. Poezyi naturalnie nadaremnobyśmy szukali u imcipana Macieja.

Tak się przedstawia tradycya bitwy grunwaldzkiej w poezyi polskiej wieku XV i XVI. Nie wydał okres ten wprawdzie epopei narodowej na tle Grunwaldu, utrzymywał jednak żywo pamięć zwycięstwa w licznych pieśniach ludowych, świadczących najlepiej, jak żywo naród polski odczuwał znaczenie wielkiej potrzeby.

II.

Sebastyan Krzysztof Zakrzewski. — Albert Ines. — Wespazyan Kochowski — Ignacy Krasicki. — Ks. Jan Paweł Woronicz. — Julian Ursyn Niemcewicz.

Z biegiem czasu motyw bitwy grunwaldzkiej stawał się dla poezyi późniejszej mniej aktualny. Czasy wojen tureckich, kozackich, szwedzkich odwracały uwagę od minionej epoki, z którą zrywano łączność, zatracając ją zwolna coraz więcej. Mimo to z wieku XVII i XVIII można przytoczyć kilka szczegółów jako świadectwo, że i w późniejszych latach pamięć o bitwie grunwaldzkiej przechowywała się w naszej poezyi. Tak niejaki Marcin Zięba, znany rybałt, miał wyśpiewywać po Podgórzu w latach 1619—1640 pieśń o bitwie grunwaldzkiej; bliższych jednak szczegółów ani o autorze ani o treści tej pieśni nie znamy[1]. W tym samym mniej więcej czasie wspomina o Grunwaldzie Sebastyan Krzysztof Zakrzewski w poemacie: »Pruskich wojen rewolucya, która się stała r. p. 1626«. (Kraków. R. p. 1627), jak to Jagiełło

... o swe krzywdy i o brata swego
Kiedy obesłał zuchwalca pruskiego,
Hardzie królewskie posły odprawiono,
A wkrótce wojną siła postąpiono.
Będziesz syt wojny, Ulryku nieboże,
Sto i czterdzieści tysiąc nie pomoże,
Mniejszą swych liczbę Jagiełło szykuje —
Słuszność na wojnach, nie liczba wojuje.
Już Bóg napisał, gdzie czyja wygrana,
Nic to, choć dobrze twoja szykowana,

[1] Wójcicki: »Stare gawędy« III, 289; »Facecye polskie«, nr. 19; por. także S. Windakiewicz l. l. 359.

Niechaj doczeka zegar cierpliwości,
Mądrego króla wnet uznasz dzielności.
A te dwa miecze od ciebie przysłane
Będą potomnym czasom wspominane,
Że pokaraniem były twej hardości
A legą w skarbie polskim dla wieczności.
Skoro się pierwsza potrzeba stoczyła,
Litwa swe skrzydła zaraz osłabiła,
Miał Dypold i czas i miejsce po temu
Drzewce ku boku złożyć królewskiemu.
Ale tak szczęście ostatnie stanęło:
Pięćdziesiąt tysiąc Krzyżaków ubeło,
Zginął i Ulryk, a król miłosierny
Dopuścił pogrześć swoim trup niezmierny.

Więcej charakterystycznym jest epigramat poety Alberta Inesa (1620 † 1658) p. t.: »Prawa Krupy z Krzyżakami« [1]:

Nasz Jagiełło zbił Krzyżaki
I ten Krupa chce być taki;
Darmo suszysz mózg, nieboże:
Krupa Jagłą być nie może.

Epigramat ten tak się przyjął w społeczeństwie, że jeszcze dzisiaj cytują go jako przysłowie. Trudno jednak określić, czy epigramat ten w tej formie po raz pierwszy zjawia się u Inesa.

Z innych poetów XVII wieku jeszcze tylko Wespazyan Kochowski wspomina ubocznie o Grunwaldzie w »Muzie słowiańskiej« (Lyr. IV, 20):

Jagiełło w źródle zbawiennem omyty,
Słynie dziełami sławy znakomitej,
U Grunwaldu złych Krzyżaków ciężką
Zgromiwszy klęską.

Potem znów zupełnie nie napotykamy śladów zajmowania się bitwą grunwaldzką, dopiero Krasicki w »Prawdziwej powieści o kamienicy narożnej« ledwie że napomyka o Grunwaldzie w § V w słowach: »zaczepili go (t. j. Jagiełłę) byli przychodnie (t. j. Krzy-

[1] *Alberti Ines Acroamatum epigrammaticorum Latino-Polonorum centuriae septem castis verecundisque salibus in gratiam studiosae iuventutis intertextae.* Cracoviae 1653. Jest to epigramat 97. księgi VII. Por. S. Rzepiński: »Kilka słów o życiu i pismach Alberta Inesa...« W Wadowicach 1895. S. 10.

żacy), co się pod pozorem odpustu, a więc nabożeństwa, tak dalece w gospodarstwo miejsc nabożnych wmieszali, że się już trzeba było bać, żeby się było na co gorszego nie zaniosło. Powiodło mu się, że temu zaradził, a z czasem wyszło na dobre dla jego następców«. Wzmianka ta tak sucha i krótka nie wywiera najmniejszego wrażenia.

Z planem napisania Jagellonidy, wielkiej epopei bohaterskiej, nosił się Jan Paweł Woronicz, jak o tem przekonać się można z własnoręcznego jego rękopisu, przechowanego w Bibliotece Ossolińskich pod l. 1334, zatytułowanego: »Pierwszy rys poematu epicznego p. t. Jagellonida w 24 pieśniach«. Zamiaru swego Woronicz jednak nie wykonał, pozostawił tylko plan, obejmujący dzieje od r. 1386 do potwierdzenia Unii Korony z Litwą 1433 roku, 20 stycznia. Wojnę z Krzyżakami miały obejmować pieśni XI—XVII. Przygotowania opisywała p. XI i XII. Sama bitwa obejmowała pieśń XIII i XIV, których plan tak się przedstawia[1]: »Pieśń XIII. Popis wojska z obu stron. Wymienienie wodzów, chorągwi, narodów rozmaitych, rynsztunków, ziem i powiatów i t. d. Ustanowienie charakteru bohaterów na scenę wychodzących i co tylko w tym rodzaju umieszczonem być może. Pieśń XIV. Modlitwa króla. Dumne poselstwo Ulryka z dwoma mieczami. Odpowiedź królewska. Mowa do wojska. Zaczęcie krwawej bitwy. Rozmaite w niej obroty i wypadki wojenne. Szczególniejsze przykłady osobistego męstwa. Niebezpieczeństwo króla. Odwaga Oleśnickiego. Wahanie się rozmaite wygranej. Kilka oddzielnych potyczek. Polacy zaczynają brać górę. Burza niesłychana z wichrem, z gromami, od duchów piekielnych wzburzona, lasy i góry wywracająca. Trzęsienie ziemi, z wylewem przybyłych jezior, przestrasza wojska. Litwa ucieka, Smoleńszczanie placu dotrzymują[2]. Różne wypadki tego zamieszania. Pokazanie się w obłokach św. Stanisława. Zapał nowy do bitwy. Przełamanie Niemców. Zabicie Ulryka. Rzeź okropna przy jego ciele«. Zamierzonego planu Woronicz nie przyoblekł jednak w szatę poetyczną; w in-

[1] Biegeleisen H. »Nieznana epopeja Jana Pawła Woronicza pod tytułem Jagellonida«. *Kłosy*. 1883. 1, 206—207, 220, 230—231 i 252.

[2] Szczegół ten powinien rozpoczynać opis bitwy.

nym utworze, w »Świątyni Sybilli«, poświęcił tylko kilka wierszy wielkiej bitwie w II pieśni:

Gdzież są te tannenberskie Krzyżaków sztandary
Nadgrobki ich zdławionej dumy i złej wiary?
I te miecze Ulryka? które ten mnich hardy
Tobie i Witoldowi przysłał na znak wzgardy,
Nie bacząc, jak owej pychy gardłem miał przypłacić
I pięćdziesiąt tysięcy Niemców w bitwie stracić.

Szczegółowiej od Woronicza uwzględnił bitwę pod Grunwaldem Julian Ursyn Niemcewicz w »Śpiewach historycznych«, w śpiewie X, zatytułowanym: »Władysław Jagiełło. Bitwa pod Grunwaldem z Krzyżaki«, ale mimo trzynastu zwrotek w szczegóły nie wchodzi. Najobszerniej opisuje znane przysłanie dwóch mieczy przez Krzyżaków i odpowiedź Jagiełły, samą zaś bitwę uwzględnia krótko, wspomina dokładniej jedynie o napadzie Dypolda na Jagiełłę. Kończy się śpiew Niemcewicza opisem wrażenia, jakie wywarł na Jagielle widok zwłok wielkiego mistrza:

Król patrząc na tak ciężką losów zmianę
Zapłakał rzewnie: »Zgon — rzekł — tego męża
Zagładza pamięć na krzywdy zadane,
Winien czcić męstwo ten, który zwycięża;
Niech ten, co walczył i mężnie i długo,
Ostatnią będzie uczczony posługą!

Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone
W tryumfie nieście; niech w państwa stolicy
W świętym przybytku będą zawieszone,
Niech na ich widok zadrżą hołdownicy!
Zczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
Lecz nic nie zgładzi dnia tego pamiątki.

(Dok. nast.)

Dr. Wiktor Hahn.

NOWY TYP SZKÓŁ ŻEŃSKICH [1].

Zmniejszył się z biegiem lat zakres domowych prac kobiecych; nie zmniejszyło się bynajmniej ich znaczenie. Może nawet wzmogło się wobec panującego obecnie ducha, który Niemcy trafnie określają słowami: *familienflüchtig*. Od dzielności kobiety zależy, aby w warunkach dzisiejszych rodzina istniała i rozwijała się.

Mówi się często, że mężczyzna utrzymuje byt rodziny, że on jedynie produkuje, podczas gdy żona jest tylko konsumentem. Gdyby to znaczyć miało, że kobieta ani na polu ekonomicznem, ani w zakresie domowo-gospodarczym żadnych nie stwarza wartości, to należałoby energicznie zaprzeczyć.

Już L. v. Stein [2] zaznaczył wyraźnie, że to, co dana rodzina na utrzymanie swego domu przeznacza, podzielonem być musi na 6 części: pierwsza, to czynsz mieszkaniowy; druga — ubranie, opał, światło, służba; trzecia — wydatki nieprzewidziane; czwarta — oszczędności jako fundusz rezerwowy; i aż dotąd żona wraz z mężem obliczać musi. Inaczej ma się rzecz z dwoma ostatniemi pozycyami: są one wyłączną własnością żony, i on — choćby pragnął — nie może za nią podążyć. Jest zatem panią $^1/_3$ całego gospodarczego życia, a współrządzi połową pozostałej reszty.

Mówi Stein: »Mogę wprawdzie oznaczyć, ile jej dam, ale na pewno nie potrafię — ile z powrotem otrzymam«.

---

[1] Referat polski na zjeździe kobiet katolickich w Wiedniu.

[2] *Die Frau a. d. Gebiete d. Nationalökonomie.* 1876.

Zbytecznem byłoby zwracać uwagę na socyalne znaczenie kobiecej działalności: rodziny spokój i zadowolenie to podstawa zadowolenia i spokoju w społeczeństwie. Tak samo praca domowa kobiety zapewnia ogółowi zdrowie: jej staraniem musi być hygiena, dbałość o pożywienie i warunki mieszkaniowe dodatnie męża, dzieci i domowników.

O ile kobieta zadanie swoje spełnia, wnosi w życie tysiące drobnych radości, bez których życie byłoby bardzo trudnem; dom przez nią staje się przystanią, a jej wpływ na formy życia nigdy dostatecznie ocenionym być nie może.

Jak stać się tem wszystkiem? gdzie nauczyć się umiejętności gospodarowania? trafnego używania czasu i pieniędzy?

Nauka gospodarstwa domowego jest bez wątpienia najmłodszą w planie dla szkół żeńskich. Może zadziwi niejednego, że wogóle nauka taka istnieje. A przecież w rzeczywistości, gospodarstwo domowe, gałąź pracy najściślej związana z zadaniami matki i żony, dotąd traktowana obojętnie, jeżeli nie pogardliwie, opiera się o konieczną potrzebę bardzo obszernych wiadomości z różnych dziedzin wiedzy, które bezpośrednio lub względnie z gospodarstwem są związane.

Żyjemy w momencie przejściowym, w chwili, gdy organizuje się zwrot do zajęć praktycznych. Od kilkunastu lat można zauważyć w społeczeństwach zachodnio-europejskich ruch, wynikający z przekonania, że konieczne są naukowe podstawy kobiece, która zadanie swe spełnić pragnie, i że nie wystarcza dziś opierać się jedynie do doświadczeniu prababek. Każdy rok, każdy czasokres przynosi szeregi zmian równie ważnych pod względem ekonomicznym jak i technicznym, — a gospodarstwo musi dążyć do zużytkowania wszystkiego, co może być racyonalnem, potrzebnem i celowem. Naszym córkom, jako przyszłym paniom domu, również i zawodowym gospodyniom nie może dziś zbywać na fachowem przygotowaniu.

Jaką drogą je zdobyć? co prędsze i gruntowniejsze daje rezultaty — np. kursa pojedyncze, czy rodzaj nauki szkolnej? co jest ważniejsze: teoretyczne wiadomości czy praktyka — to są pytania, na jakie odpowiedzieć potrafi przyszłość jedynie.

Tylko Belgia i Anglia[1] posiadają dziś stały plan dla swoich szkół; inne kraje nie wyszły dotąd poza ramy doświadczeń i prób, z których żadna nie została uznana dotąd za decydującą.

Nie może być inaczej z dwóch przyczyn: pierwsza to stosunkowo krótki czas, poświęcony pracy tej nad szukaniem drogi; druga jest metodyczna: przy zakładaniu nowej szkoły pomagamy sobie zwykle planem czy programem szkoły już istniejącej i w pewien szablon usiłujemy wtłoczyć często zupełnie inne domowe, praktyczne, ekonomiczne warunki innego społeczeństwa. Trzeba przedewszystkiem uwzględniać stronę indywidualną — nie tylko już krajów, ale wprost miejscowości — powiem więcej: różne stany chcą różnie być traktowane.

Drogę do reformy i polepszenia otwiera Belgia. Jest tam dotąd 283 szkół gospodarczo-domowych, nieustannie zakładają się nowe, a w ogólnem wykształceniu tamtejszych kobiet daje się zauważyć tendencya do uwzględnienia jak najszerszego praktycznego kierunku.

Rozporządzenie ministerstwa z r. 1889 zaznacza, że nauka gospodarstwa to nie tylko pewien zasób wiadomości praktycznych, ale także przygotowanie kobiety do spełnienia zadań matki i gospodyni domu.

Z teoryi najważniejszemi są: hygiena, pielęgnowanie dzieci, środki domowe lecznicze, pomoc w nagłych wypadkach, pranie, gotowanie, zużytkowanie odpadków, prócz tego dla gospodyń wiejskich: gospodarstwo mleczne, chów drobiu, warzywnictwo i ogrodnictwo.

Jak wysoko ceni się tam to wykształcenie kobiety — dowodzą słowa pewnego dostojnika do hr. Diessbach: że na tej drodze oczekiwanem jest rozwiązanie wielu problemów społecznych: 300 szkół, 18.000 wykształconych kobiet rocznie, dadzą w 10 latach 180.000 pań domu, matek, nauczycielek — i wtedy istota domu *(home)*, gospodarstwa muszą wyglądać inaczej. A H Godefroy twierdzi słusznie, że »mąż dobrej gospodyni najlepiej czuje

[1] W części historycznej korzystam z referatu p. E. Czermakowej o »Szkołach gospodarstwa domowego« (w Polskim Związku Niewiast katolickich).

się w domu«. We własnej piersi nosimy gwiazdy naszego losu — i naprawdę rzadkie są wypadki nędzy niezasłużonej.

Jeżeli każdą umiejętność nabyć można, a do każdej roli w życiu trzeba mieć przygotowanie, dlaczego tę jednę jedyną zostawiać próbom dyletanckim? Ogólnikowy typ szkoły gospodarczej belgijskiej jest następujący: nauka trwa 2 lata; zima poświęcona jest teoryi, lato praktyce; poprzednie ukończenie szkoły ludowej konieczne; wykłady odpowiadają poziomowi umysłowemu robotnic i sfery rzemieślniczej. Prócz tego istnieją szkoły specyalne wiejskie, i kursa dla pojedynczych działów.

Za przykładem Belgii idzie Francya. Tak najważniejszą okazała się kwestya sił nauczycielskich i dlatego najpierw powstały zakłady przygotowujące fachowców. Francya szuka w Belgii pomocy. Poprzednio już cytowana hr. Diessbach robi początek: uczy się z dużym nakładem czasu, pracy i pieniędzy, zwiedza, praktykuje w Belgii i Szwajcaryi, aż wreszcie pierwszym rezultatem jej starań jest kurs gospodarstwa domowego w Paryżu 1902 r. Odtąd liczba kursów i szkół rośnie — i w r. 1904 urządza Francya wystawę gospodarczą, w której współdziała cały szereg szkół. Pani Diessbach nie tylko uczyć pragnie: pragnie wziąć w opiekę duszę kobiety, urabiać ją — a przez nią kształtować wnętrze domu. Nieporządek, hałas, krzyk dzieci, złe pożywienie są nierzadko przyczyną, że mąż-robotnik z domu ucieka i w grubem użyciu szuka zapomnienia.

Czy nie dałoby się to samo powiedzieć o sferze średniej...

Ze zrozumienia, że lubi się to tylko, co się dobrze umie, a umie się — czego się gruntownie nauczyło, wypłynął żywy ruch w Szwajcaryi, w kwestyi nas obchodzącej. Jakkolwiek często mówi się o wrodzonych gospodarskich zdolnościach kobiety, tak często również bywają złudzeniem.

Cztery typy szkół ma Szwajcarya: dla gospodyń, kucharek, służących — i nauczycielek. I tutaj zaczęto od kształcenia sił fachowych: p. Mouret, nauczycielka, osoba bardzo zdolna i wykształcona, zdobyła najpierw zawodowe przygotowanie, studyowała różne typy szkół w Londynie, Paryżu, Frankfurcie — i rozpo-

częła gruntowną reformę. Plan obmyślany jest szczęśliwie i bardzo gruntownie: rozkłada się bowiem na 4 lata.

1) Hygiena mieszkań, powietrze, światło, opał, ubranie, pranie.

2) Środki spożywcze, woda, towarzystwo, środki czyszczenia.

3) Pielęgniarstwo chorych, fizyczne wychowanie dzieci, pomoc w nagłych wypadkach, hygiena szkolna, ogrodnictwo.

4) i 5) poświęcone są wyłącznie nauce gotowania.

Centralnym punktem dla wychowania gosp. dziewcząt szwajcarskich jest Fryburg: czas nauki kończy się egzaminem, a ukwalifikowane nauczycielki znajdują posadę przy nowych szkołach lub kursach czasowych.

W Anglii jest nauka gospodarstwa domowego obowiązkowym przedmiotem już dla 11-letnich dziewczynek. Może dlatego właśnie, że dotąd uczono za wiele w zakresie przedmiotów innych, widoczną jest dziś tendencya do posyłania córek rodzin nawet najzamożniejszych do szkół gospodarstwa.

Dania ma w Kopenhadze szkołę wzorową, liczącą zawsze pełną liczbę uczennic w wieku od 18—40 lat, od lat sześciu jest elementarna nauka gospodarstwa w szkole ludowej obowiązkową; seminarya nauczycielskie uwzględniają od dawna potrzebę znajomości gospodarstwa w swym planie. To też dziś np. na polu mleczarstwa Dania jest pierwszą w Europie.

W Szwecyi daną kwestyą zajmuje się Towarzystwo imienia Fryderyki Bremer, zakładając szkoły żeńskie z następującym programem: 1) wzmódz zasób wiadomości kobiety; 2) podnieść jej stanowisko w domu; 3) umożliwić lepsze wychowanie dzieci przez podniesienie poziomu matki; 4) stłumić dążność do emigrowania wskazaniem środków zarobkowych.

Na jedynie racyonalnem stanowisku stoi szkoła dla nauczycieli w Higre: opiera bowiem naukę gospodarstwa o wiedzę przyrodniczą.

Chętnie poświęciłabym dłuższy ustęp mego referatu książce dr. Liese: *Über das hauswirtschaftliche Bildungswesen in Deutschland.* Ze względu na rozmiary referatu nie jest to możliwem, mogę ją tylko uwadze wszystkich kobiet polecić, ograniczając się do wskazówek najkonieczniejszych.

Około połowy XIX wieku zaczyna się ruch w Niemczech. W r. 1849 pani von Diergardt zwraca uwagę na ważność kształcenia córek ze sfer pracujących; w r. 1854 organizuje pastor Fliedner pierwszą taką szkołę w Berlinie; zaś główna zasługa przypada stowarzyszeniom kobiecym, które zasadniczo zajęły się wykształceniem dziewcząt wiejskich; równie wydatną, choć przeznaczoną dla miejskiej intelligencyi, była działalność *Letteverein.* Tak zwany *Lettehaus* daje dotąd gościnę najlepszej szkole gospodarskiej w Niemczech. W podobnym kierunku zasłużyły się później usilne starania różnych kobiecych związków zawodowych i zarobkowych, szczególniej w Kassel, Wrocławiu, Bam, Hamburgu i Bremie.

Nie pozostały w tyle i władze: współudział powiatów, organizacyi rolniczych i rejencyi gospodarczych jest nader żywy. Także i katolickie związki są czynne, zwłaszcza klasztory żeńskie i różne stowarzyszenia »opieki nad dziewczętami«.

Ile szkół obecnie w Niemczech jest czynnych nie da się z góry dokładnie określić, gdyż brak statystycznych danych i terminologia dotąd jest nieustalona lub zgoła błędnie stosowana. Według wykazów urzędowych było w Prusiech w r. 1901 zakładów 603, w których pobierało naukę 23.313 młodych dziewcząt, kształcąc się zawodowo, kupiecko, przemysłowo lub gospodarczo.

Taki sam wykaz urzędowy z r. 1905 podaje w jednym tylko okręgu düsseldorfskim 11.000 dziewcząt obowiązanych do nauki szkolnej; 10.000 już od nauki wolnych, które naukę gosp. pobierały. Jak bardzo wzrósł interes dla tej sprawy, wskazują dwa ostatnie kongresy gospodarcze, a zwłaszcza pierwszy międzynarodowy kongres dla nauki gosp. domowego w Fryburgu (1908). Nadeszło nań 744 zgłoszeń ze wszystkich krajów; obecni byli ministrowie dla handlu Prus i Belgii; minister dla robót publicznych z Austryi, rady szkolne angielska, francuska, rosyjska przysłały swoich reprezentantów; wygłoszono 72 referatów z Belgii, Danii, Niemiec, Francyi, Anglii, Holandyi, Włoch, Japonii, Norwegii, Luxemburga, Austryi, Szwecyi i Szwajcaryi.

Leży przede mną plan organizacyjny dla szkół gotowania i gosp. dom. austr. ministeryum dla robót publicznych. Plan ten obejmuje następujące działy:

1) Kurs gosp. domowego.

2) Szkoła gotowania i prowadzenia domu.

3) Kursa specyalne i wieczorne.

Dosłowne brzmienie programu jest:

»Kurs gosp. dom. ma na celu dać uczennicom wiadomości konieczne do prowadzenia najskromniejszego domu«. Dalej:

»Szkoła gotowania i prowadzenia domu ma zapewnić uczennicom wiadomości potrzebne do sporządzenia dostatniego posiłku *(preiswürdige Kost)* — i do prowadzenia wielkiego domu lub gospody«.

»Również ma się postarać o ich wykształcenie ogólne«.

»Kursa specyalne i wieczorowe mają za zadanie kobietom i paniom zarobkującym ułatwić nabycie dalszego wykształcenia w specyalnym kierunku«.

To wszystko brzmi bardzo ładnie; nie przedstawia jednak żadnych trudności do wykazania błędów, o ileby ta teorya stała się praktyką. Błędów, któreby dobrą rzecz w zarodku spaczyć mogły.

Pozostaję przy cytowaniu:

»Aby być przyjętym na kurs gosp. dom., trzeba wykazać się świadectwem ukończonych lat 14«.

»Aby być przyjętym do szkoły gotowania, trzeba wykazać się świadectwem ukończonych lat 16«.

Ponieważ nauka na kursie gosp. trwa 3 miesiące, pozostaje nieszczęsnej uczennicy całych 21 miesięcy zupełnej bezczynności, skoro do szkoły gotowania wstąpić jej od razu nie wolno. I musimy przyznać, że przynajmniej ten punkt programu przy zielonym stole czysto, teoretycznie ułożony został.

Paragraf 10 mówi o siłach nauczycielskich:

»Do kierowania nauką będą powołane siły fachowe, które wykażą się zdanym egzaminem na nauczycieli w szkole gotowania i gospodarczej«.

Bardzo dobrze; tylko gdzie owe siły nauczycielskie miały zdobyć wiedzę swoją i patenta? czy nie byłoby najpotrzebniejszem zaprowadzić naukę gospodarstwa wiejskiego w seminaryach nauczycielskich?

Ta byłaby wtedy niezbędna dla nauczycieli ludowych wiej-

skich, podczas gdy nauczyciele miejscy obznajamialiby się z nauką prowadzenia gospodarstwa miejskiego.

Pozornie niekorzystny podział między obydwoma typami nauczycieli czy nauczycielek, wcale nie byłby szkodliwy: ich wykształcenie m u s i odpowiadać warunkom, wśród których żyć mają; oni m u s z ą umieć żyć na wsi, zyskać zaufanie ludu, a potrafią zdziałać to jedynie wtedy, gdy zbliżą się do realnych potrzeb swego otoczenia.

Czyżby Austrya nie posiadała żadnej szkoły wzorowej dla nauki gospod. domowego? Owszem, na Morawach w Nowym Tyczynie *(Neu Titschein)*. Istnieje ona od r. 1887; urządzona jest na 12 uczennic, rozporządza 5 siłami nauczycielskiemi, nauka trwa 1 rok. Wszystkie prace wykonują uczennice same, pozostając przy każdym dziale 6 tygodni; równocześnie uczą się religii, korespondencyi, rachunków. Na zakończenie składają egzamin, który dowodzi, że pracowano sumiennie. Tylko szkoła ta jest dość kosztowna: opłata wynosi 480 K., — dalej jest zbytkownie urządzona (posadzki, marmurowe umywalnie, dwa razy dziennie mięso), co np. dla galicyjskiego wieśniaka byłoby zbyteczne. Prawda, że skala życia chłopa morawskiego jest inną i wyższą.

Zauważyłam już na początku, że najczęstszym błędem jest kierowanie się planem obcym, nie uwzględnianie stosunków lokalnych. Stosunki te nie są czemś dowolnem, ani samodzielnem: wynikają z ekonomicznego położenia danego kraju, są ich skutkiem, więc od niego zależą.

Dlatego chciałabym podkreślić, że to, co teraz powiem, wzięte jest z naszych stosunków, im odpowiada i dla nich jedynie jest miarodajne. Cały szereg szkół, które u nas założono w ostatnich czasach, chciał wyżej wymienionego błędu uniknąć; stąd plan, o którym mówić będę, odpowiada naszym potrzebom i jako taki musi być rozumiany.

Żeby zacytować słowa poety — »kto nas chce rozumieć — kraj nasz poznać musi«.

Mamy w Galicyi trojaki typ szkół gospodarczych:

1) Szkołę, mającą na celu zapoznanie z gospodarstwem dziewcząt z lepszych domów (Kuźnice).

2) Szkołę, uczącą dziewczęta wiejskie w teoryi i praktyce, przez to podnoszącą poziom kobiety i umożliwiającą jej wpływ na mężów i synów (Mielec).

3) Szkołę, której celem jest zawodowe wykształcenie kobiety, aby gospodarstwo w jednym obranym kierunku podnieść była zdolna i przez to oddziałała na ekonomiczny rozwój kraju. (Albigowa).

Pierwszy i trzeci typ kształci gospodynie domu, jak i gospodynie zawodowe; drugi przeznaczony jest wyłącznie dla wieśniaczek i — może najpotrzebniejszy. Dziewczęta nie wychodzą tam ze sfery codziennych obowiązków, poziom nauki do tej sfery jest przystosowany, porządek dnia możliwie najprostszy, do dnia wieśniaka najpodobniejszy. Co nie jest bez wagi — dziewczęta około 3-ciej po południu do domu wracają, i nie tylko, że czas mają praktycznie zużytkować, czego się nauczyły w szkole, ale nie mają czasu od stosunków, czy warunków domowych odwyknąć, ani przyzwyczaić się do t. zw. lepszego życia. Pozostają w swojem środowisku. Gdy jeszcze dodamy, że codzienne przestawanie z nauczycielkami, wpływ moralny i religijne praktyki są regułą, to uzupełnimy obraz szkoły, którejby każda wieś nasza potrzebowała. Innym byłby wtedy wygląd tej wsi. Byłby także jak obraz.

Doświadczenia, które poczyniono, prowadzą do pozytywnych życzeń i planów. Zarząd szkoły w Albigowej (pow. łańcucki) występuje z następującym programem:

Trzy typy powinny odpowiadać trojakiemu celowi:

1) Szkoła dla chłopek, z kursem jednorocznym, jak już istniejąca.

2) Wyższa szkoła gospodarcza dla sfer intelligentnych, równocześnie szkoła dla nauczycielek, z kursem jednorocznym, egzaminem, patentem — lecz dopiero po dłuższej praktyce.

3) Szkoła gospodarstwa miejskiego, równocześnie szkoła sług, pomyślana jako warsztat, któryby przyjmował różne obstalunki, w zakres gospodarstwa wchodzące. A zatem aby miał pralnię, prasowalnię, kuchnię, piekarnię, pokoje do wynajęcia i t. d. Wykłady z teoryi konieczne; organizowanie kursów z działów pojendyczych, kursów popularnych, pożądane.

Wszystko, co dotąd na tem polu zrobiono, zawdzięczamy inicyatywie prywatnej. Tę szkołę założyła wielka polska pani, tamtą stworzyła we własnym dworze właścicielka ziemska, inną jeszcze zaprojektował rozumny kapłan. A kiedy zwracamy się o pomoc materyalną do Sejmu, czy Wydziału Krajowego, to u nas — jak wszędzie zresztą — otrzymujemy wiele odpowiedzi, i najlepszym dążeniom przeciwstawia się trudności budżetowe. A jednak kwestya jest zbyt ważna, aby można jej pozwolić spoczywać: jest kraju przyszłością, rozwojem, dobrobytem.

Trzeba zawsze żądać na nowo, bo tylko pukającemu otworzonem będzie.

Najważniejsze, to przygotowanie sił nauczycielskich; że są potrzebne dowodzi szereg szkół, powstających w ostatnich czasach — i niema obawy, aby wykwalifikowane nauczycielki posady nie znalazły.

Że rząd dążenia w kierunku praktycznego wykształcenia się w opiekę wziąć powinien — to jasne — i leży w jego interesie. Poszczególne organa rządowe najlepiej wiedzieć będą, jak to uczynić należy. Ministeryum rolnictwa i handlu, w porozumieniu z ministeryum oświaty rozstrzygną decydująco, jakie szkoły byłyby najwięcej pożądane, aby stosunki handlowe normalnym szły torem.

Pod »normalny« rozumiem: gospodyni domu na wsi czy w mieście, musi wiedzieć, jakiego towaru żądać może i co otrzymać powinna, bo ona jest konsumentem właściwym. Tylko, że do tego musi otrzymać odpowiednie wykształcenie.

Wydziały krajowe mają inny zakres działania: mają żądać tego, co jest celowem dla podniesienia kraju, miejscowości, co umożliwia jego dobrobyt, mają czuwać nad spełnianiem przez szkołę jej zadania. Jak często jeszcze zdarza się u nas stracony koszt i trud!

Ideowo pokrewną szkole gospodarstwa wydaje mi się każda instytucya naukowa: każda ma rozszerzać wiedzę i możność swego kraju. Więc sądzę, że nie będzie wymaganiem zbyt śmiałem, jeżeli powiemy, że szkoła taka powinna znaleźć oparcie w profesorach, zbiorach, zakładach uniwersyteckich.

Praktycznie wyobrażam to sobie tak: kurs gospod. może liczyć na pomoc w wykładach profesorów, szkoła znajdowałaby uzupełnienie w zakładach uniwersyteckich, a uczennice jej miałyby prawo korzystania z wykładów uniwersyteckich i uczestniczenia w niektórych ćwiczeniach

»Uzdolnienie kobiet wrodzone idzie w kierunku praktycznym« — mówi Stuart Mill. Przekonanie o konieczności kształcenia się praktycznie, szerzy się dziś powszechnie. Świat kobiecy musi spostrzedz się, że studya uniwersyteckie są dostępne tylko dla małej garstki, szkodliwe jednak dla niezdolnych i nieprzygotowanych. Więcej: te niezdolne i nieprzygotowane stają się szkodliwe dla kraju i dla nauki samej, bo obniżają jej poziom. Istnieje przecież i co innego poza stanem nauczycielskim — istnieje gospodarstwo, którego gałąź każda może być źródłem zarobku.

Warunki ekonomiczne coraz trudniejsze, zmuszają często kobietę do spędzenia całego dnia poza domem. Jeżeli nauka gospodarstwa potrzebna jest tym, które domowi swemu cały czas poświęcić mogą, to o ileż więcej potrzebuje jej żona i matka, która tylko godziny lub kwadranse ofiarować może domowi!

Tej więc pracownicy należy zadanie ułatwić: należy nauczyć ją, jak dzień rozłożyć, drobiazgów przykrych uniknąć, pieniądz zużyć najlepiej, szkodę naprawić lub jej zapobiedz, co wszystko najczęściej podstawę ma w nieświadomości.

»Nikt rozsądny zasadniczo kobiety wyłączać nie będzie z żadnego z zawodów, ale nikt też nie będzie jej popychał w kierunku pracy, który jest jej przeciwnym«.

Słowa te zaczerpnęłam z bardzo rozumnej książki p. C. Theimer[1], znakomitej znawczyni stosunków ekonomicznych Austryi. Niech mi wolno będzie zrobić z nich trawestacyę:

»Nikt rozsądny nie zechce dziś popychać kobiety w kierunku pracy, który jest jej przeciwny, ale nikt też nie będzie jej usuwał od zawodu, dla którego się właściwie urodziła«.

M. Ruszczyńska.

[1] *Frauenarbeit in Österreich.* Wien 1909

WAŻNE ODKRYCIE

NA POLU STAROCHRZEŚCIJAŃSKIEJ LITERATURY.

Zdając sprawę z nauki i ze zwyczajów pierwszych chrześcijan, tak pisze do cesarza Trajana Pliniusz młodszy [1], naówczas prokonsul Bitynii: »Affirmabant (Christiani)... quod essent soliti stato die ante lucem convenire carmenque Christo quasi Deo dicere«...

Że chrystyanizm nieomal zrodził się z pieśnią na ustach, na to mamy jeszcze wiele innych świadectw. Cytowany przez Euzebiusza [2], nieznany zresztą autor z początku trzeciego wieku, w »starodawnych psalmach i pieśniach braci« upatruje niezbity dowód na bóstwo Chrystusowe. O pieśniach chrześcijańskich kilkakrotnie wspominają Justyn, Tertulian, Origenes [3], owszem, już św. Paweł powiada, nie myśląc przytem o psalmach starego zakonu, ale o nowych pieśniach natchnionych: »Gdy się scho-

[1] L. 10. ep. 96 (al. 97).

[2] Hist. eccl. l. 5. 28, 2. ψαλμοὶ δὲ ὅσοι καὶ ᾠδαὶ ἀδελφῶν ἀπ' ἀρχῆς ὑπὸ πιστῶν γραφεῖσαι τὸν Λόγον τοῦ Θεοῦ τὸν Χριστὸν ὑμνοῦσι θεολογοῦντες. Por. także Euz. l. 7. 24, 30. Migne ser. gr. t. 20, col. 512 sq. 693, 713.

[3] Justyn Apol. I. n. 13. Migne ser. gr. t. 6, col. 345.

Tertulian, Apologet. cp. 39. »Ut quisque de scripturis sanctis vel de proprio ingenio potest, provocatur in medium Deo canere«. Migne ser. lat. t. 1, col. 540.

Por. też col. 1301, 1417 i t. 2. col. 701.

Origenes. Contra Celsum l. 8 cp. 67. Migne ser. gr. t. 11, col. 1617.

dzicie, bracia, każdy z was ma psalm... ku zbudowaniu; bądźcie napełnieni Duchem świętym, rozmawiając sobie w psalmiech i pieśniach i śpiewaniach duchownych [1].

Rozbrzmiewały więc pieśnią pobożną najpierw te ciasne mieszkania prywatne, w których zbierała się *domestica ecclesia*, potem podziemne kaplice cmentarne, później wreszcie kościoły i bazyliki chrześcijańskie; pieśni duchownej można się domyśleć w otwartych ustach niejednej z »orantów«, zdobiących ściany katakumb.

Ale jak wyglądały te pieśni pierwotne?

Z czwartego wieku i następnych dochowało się ich więcej; z samych początków chrześcijaństwa nie doszło do nas prawie nic. Pomijając już najpierwotniejsze, w samychże ewangeliach zachowane: *Magnificat, Nunc dimittis, Benedictus*, z ód św. Hipolita i Athenogenesa nie znamy żadnej; jedną próbkę hymnu, zapewne własnej kompozycyi, podaje Klemens Aleksandryjski na końcu swego »Pedagoga«, kilka okazów zawierają Konstytucye apostolskie i najstarsze liturgie — i na tem, aż do tej chwili, poprzestać musiała ciekawość badaczy.

Tymczasem najniespodzianiej, nie dziwnem, ale po prostu kapryśnem zrządzeniem losu, wychodzi świeżo na jaw... co?... Czy zbiór pieśni starochrześcijańskich? Nie. I treść i historya odkrytego zabytku przemawiają za tem, że zbiór ód, o którym pisać chcemy, nigdy może nie służył do publicznego użytku w kościele.

Ten dziwny i niesłychanie ciekawy zabytek, który pod nazwą »ód Salomona« wydobyła z zapomnienia ręka angielskiego badacza [2], jest raczej zbiorem poezyi religijnych, które dla siebie i dla prywatnego użytku wiernych wyśpiewał pobożny pieśniarz w zamierzchłej przeszłości chrześcijańskiej. Te poezye jednak są tak piękne i wzniosłe, a przytem tak ciekawe dla poznania ducha

[1] I. Kor. 14, 15. 26. Ef. 5, 19. Kolos. 3, 16. W kazaniu o końcu świata, wkłada Pseudo-Hipolit w usta sędziego Chrystusa te charakterystyczne słowa: τὸ στόμα ὑμῶν πρὸς δοξολογίαν καὶ αἶνον καὶ ψαλμοὺς καὶ ᾠδὰς πνευματικὰς ἡτοίμασα... Migne ser. gr. t. 10 col. 948.

[2] I. Rendel Harris: *The odes and psalms of Solomon, now first published from the syriac version.* Cambridge. 1909.

i dogmatycznych pojęć starego Kościoła, że ich odkrycie, zdaniem takiego Harnack'a, donioślejszem jest dla literatury starochrześcijańskiej, niż znalezienie słynnej Διδαχὴ τῶν δώδεκα ἀποστόλων.

Ale nie uprzedzajmy wątku pracy. Przedewszystkiem trzeba nam podać opis odkrycia i utorować sobie drogę do jego oceny przez dosyć żmudną, krytyczną kontrowersyę.

Temu lat kilka, gdzieś w okolicach rzeki Tygrys [1], znalazł angielski badacz Rendel Harris syryjski rękopis, prawdopodobnie z XVI wieku pochodzący. Starannie pisany zeszyt liczył 56 kartek, z początku jednak i z końca kilku kartek brakło; tytułu i zakończenia ani spisu rzeczy nie było. Rozglądając się w treści zeszytu, poznał niebawem szczęśliwy znalazca, że druga część manuskryptu, począwszy od str. 32, zawiera, prawie w całości (1, — 17, 37), znany apokryf Starego Testamentu, z pierwszego wieku przed Chrystusem pochodzące, t. zw. »Psalmy Salomona« [2].

Rzecz ta, jako znana poprzednio, nie przedstawiała większego interesu. Za to cała uwaga uczonego skupiła się na części pierwszej, zawierającej podobnież psalmy czy pieśni. Pierwszej i drugiej pieśni brakło zupełnie, z trzeciej brakło początku; potem, bez żadnej ważniejszej luki, biegły liczby porządkowe pojedynczych utworów aż do 42 i w dalszym ciągu, tą samą numeracyą obejmowały wspomniane psalmy Salomona, tak, że psalm pierwszy oznaczony jest w rękopisie liczbą 43.

Z psalmami Salomona połączone i jedną numeracyą objęte jakieś pieśni? Ale cóż to może znaczyć? Wszakże psalmów nigdy nie było więcej niż 18; większej liczby nie podaje żaden cytat, żaden rękopis!

Niedługo jednak trwało zakłopotanie. Niebawem przypomniał sobie Harris, że w literaturze starochrześcijańskiej znajdują się

[1] Dokładniejszych szczegółów nie zwykli podawać szczęśliwi znalazcy, by sobie zapewnić swobodę do dalszych poszukiwań.

[2] Dla czytelników mniej obeznanych z biblią dodajemy wyjaśnienie, że obok kanonicznych ksiąg Pisma św. kursowało w starożytności chrześcijańskiej całe mnóstwo ksiąg t. zw. apokryficznych, spisanych przed Chrystusem lub po Chrystusie, które podszywały się pod imiona natchnionych pisarzy Starego lub Nowego Testamentu. Do takich apokryfów należą wspomniane psalmy Salomona w liczbie 18.

wzmianki, co prawda bardzo skąpe i nieliczne, o innych jeszcze podobnych utworach poetycznych, kursujących pod nazwiskiem najmędrszego z królów Izraela. Przypomniał sobie, że kilku starych autorów wspomina lub cytuje t. zw. ody Salomona.

Skonfrontować te wzmianki i cytaty z nowo-odkrytym rękopisem, było dziełem jednej chwili; wynikiem dochodzeń było stanowcze twierdzenie: Świeżo odnaleziony zabytek jest istotnie tym samym, który starożytność znała pod nazwą ód Salomona.

Dowody na to twierdzenie, choć nieliczne, są jednak wprost niezbite.

I tak w swoich *Institutiones divinae*, wśród innych dowodów na dziewicze poczęcie Chrystusa Pana, przytacza Laktancyusz następujący tekst: »Solomon in ode undevicesima ita dicit: Infirmatus [1] est uterus Virginis et accepit fetum et gravata est et facta est in multa miseratione mater virgo. Item propheta Esaias...« [2]. Już zaś w syryjskim manuskrypcie znajdują się te słowa rzeczywiście w dziewiętnastej odzie, z waryantami tak drobnymi, że trzeba je położyć jedynie na karb przekładu.

Ale posiadamy jeszcze inny cytat, daleko szerszy i o cały wiek dawniejszy.

Wydana po raz pierwszy w r. 1851, z trzeciego wieku pochodząca gnostycka księga Πίστις Σοφία [3], przytacza prawie w całości i pod tem nazwiskiem pięć ód Salomona, (5, 1—9; 1, 6, 7—17; 25, 1—11; 22, 1—12), które znów prócz drobniutkich różnic zgadzają się najzupełniej z naszym rękopisem.

Następny dowód przenosi nas aż w wiek dziewiąty.

---

[1] Co odpowiada słowu *infirmatus* — to i w syryjskiem jest niejasne. Być może, że Ducha św., bo o Nim tu mowa, przedstawia sobie autor, jakby obejmującego łono dziewicze duchowem swem tchnieniem. Flemming tłumaczy: *Er umarmte.* Kto wie czy zamiast *infirmatus* nie było w oryginale łacińskim *informatus*, co daje sens dużo lepszy.

[2] L. 4, cp. 12, v. 3. Corp. Vindob. t. 19, str. 310.

[3] Same ody już dawniej byli wydali Woide w r. 1799, Münter w r. 1812. Całą Πίστις Σοφία wraz z temi 5 odami wydali jednak z tego samego koptyjskiego rękopisu dopiero Schwartze i Petermann w r. 1851 w Berlinie. Ponieważ, jak powiedzieliśmy, w syryjskim manuskrypcie brak ody 1, 2, i początku trzeciej, zgodność z Π. Σ. da się skontrolować tylko na odach 5, 6, 22, 25, ale to zupełnie wystarcza.

Na końcu swego kompendyum chronografii, podaje Nicefor patryarcha t. zw. stychometryę, czyli dokładny wykaz ilości wierszy, kanonicznych i wątpliwych oraz apokryficznych ksiąg Pisma św. Między wątpliwemi (ἀντιλεγόμενα — nie między apokryfami) wymienia psalmy i ody Ψαλμοὺς καὶ ᾠδὰς Salomona [1]. I przekonać się można niezbicie, że on miał w ręku właśnie nasze ody, świeżo odkryte. Rozmiary bowiem ód i psalmów podaje na 2.100 wierszy. Ponieważ psalmy Salomona liczą wierszy 950, pozostaje na ody 1.150. Stosunek więc wielkości ód do psalmów przedstawia się wedle Nicefora jako 23 : 19. Otóż w syryjskim manuskrypcie rozmiary obu utworów, mierzone według liczby kartek, stoją do siebie w stosunku jak 34 : 27 1/3. Już zaś stosunki 23 : 19 i 34 : 27 1/3 są tak zbliżone, że bez wątpienia to samo dzieło miał w ręku Nicefor, co nasz Syryjczyk.

Czwarte wreszcie i ostatnie świadectwo to prosta wzmianka naszych ód w wieku szóstym. Pseudo-atanazyańska *Synopsis scripturae sacrae* [2], wymienia je między ἀντιλεγόμενα, obok psalmów Salomonowych.

Zestawiwszy za Harris'em wszystkie te świadectwa — *Welch eine kapriciöse Überlieferungsgeschichte!* — powiada Harnack [3].

Dla znawców przedstawiają istotnie te ody Salomona dziwną i zdumiewającą zagadkę.

Księga, która jeszcze w IX wieku przez takiego badacza, jak Nicefor, zaliczoną jest, nie do apokryficznych, ale do wątpliwych części Pisma św., księga tak stara, że w trzecim i czwartym wieku uważaną jest wprost za Pismo św. [4], księga

---

[1] Migne, ser. gr. t. 100, col. 1057.

[2] Migne ser. gr. t. 28, col. 431.

[3] *Ein jüdisch-christliches Psalmbuch aus dem ersten Jahrhundert* Leipzig. 1910. Str. 7.

Ilekroć bez innego dodatku cytować będziemy Harnacka, będziemy mieć na oku tę świeżo wydaną pracę, pracę staranną, ale, zdaniem naszem, z gruntu chybioną.

[4] Laktancyusz najwyraźniej jest przekonany, że istotnie *Solomon dicit* słowa wyjęte z 19-tej ody. Co do Πίστις Σοφία mówi np. Bardenhewer: *Gesch. d. altchr. Lit.* t. 1, str. 328: »Im ersten und zweiten Buche werden fünf »salomonische« Oden citiert, welche in den Augen des Verfassers dieselbe Dignität besitzen, wie die davidischen Psalmen«.

tak rozpowszechniona, że istniała w syryjskim, koptyjskim, a zapewne łacińskim i greckim przekładzie, księga — dodajmy — tak niepospolicie głęboka i piękna, a tak zapomniana, że przez osiem wieków zostawiła po sobie ślad dwóch cytatów i dwóch drobniutkich wzmianek, księga wreszcie tak dziwnie wypływająca świeżo na widownię z niezbitymi dowodami autentyczności — to już nie jedna zagadka, ale jakiś węzeł gordyjski niewytłumaczalnych, irytujących zagadnień [1].

A jakże się przedstawia wewnętrzna strona zabytku?

Dokładniejszą analizę pozostawiając drugiej części niniejszej pracy, na razie rzucamy tylko ogólny obraz.

Różnych rozmiarów, od dwóch do dwudziestu dziewięciu wierszy liczące pieśni, są bez wyjątku religijnej i to bardzo podniosłej treści. Charakterem ich jest potężne natchnienie poetyckie, tryskające szeregiem śmiałych obrazów i ślicznie dobranych porównań; ich nastrój — to uczucie tryumfu i wesela, które na końcu każdej ody rozbrzmiewa radosnem *Alleluja*. Za wątkiem myśli iść nie zawsze łatwo. Po części włożyć to trzeba na karb syryjskiego przekładu, który i nam nie wszędzie jest jasny i nie zdaje się zawsze dobrze oddawać oryginału, po części przypisać to należy śmiałym, czasem dziwacznym skokom natchnionej myśli i głęboko mistycznym zwrotom autora, który, jak Dawid w psal-

[1] Żeby sobie lepiej zdać sprawę z zagadkowości milczenia literatury starochrześcijańskiej o »odach Salomona«, warto sobie przypomnieć, z jaką szybkością rozpowszechniały się w pierwszych wiekach, nie tylko kanoniczne księgi, ale i inne pisma chrześcijańskie. I tak np. pierwszy list św. Klemensa, pisany z Rzymu do Koryntu, znany jest jeszcze w ciągu drugiego wieku Polikarpowi w Smyrnie, Ireneuszowi w Lyonie, Klemensowi w Aleksandryi. »Pasterz« Hermasa, również w drugim wieku czytany jest w Lyonie, Kartaginie, Aleksandryi. Διδαχή znana jest w całem chrześcijaństwie. Dzieła Melitona z Sardes znają niebawem w Efezie, Aleksandryi, Kartaginie i Rzymie. Por. Harnack: *Mission und Ausbreitung des Christentums* wyd. 1-e, str. 271 i nn., gdzie inne jeszcze przykłady podaje. W tem świetle musi zadziwiać głuche milczenie Ojców o »odach Salomona«. Bo nota bene nie da się utrzymać przypuszczenie, że starzy pisarze sprowadzają »ody« pod jeden mianownik z »psalmami« tego samego nazwiska. Jak na złość bowiem raz po raz mówią, że psalmów jest tylko 18, gdy z odami byłoby ich 60. Tak np. w jednym z najstarszych rękopisów Pisma św. t. zw. *Codex Alexandrinus*, zytamy wyraźnie w spisie rzeczy ψαλμοὶ Σολομῶντος ιή t. j. 18.

mach, już to sam przemawia, już to kładzie swe słowa w usta Boga lub Chrystusa.

Ale kim jest ten zagadkowy pieśniarz?

Z tem pytaniem musimy wejść na teren trudnej i dosyć drobiazgowej kontrowersyi.

Że niema żadnej mowy o Salomonie, na to przytoczyćby można tysiąc dowodów. Owszem, wydaje się prawdopodobnem — hipotezę moją w tej mierze przedstawię poniżej — że tytuł ten dostał się naszemu zbiorowi pieśni czystym przypadkiem czy nieporozumieniem.

Jeżeli zaś autorstwo Salomona *a limine* odrzucić trzeba, w braku wszelkich kryteryów wskazujących na określoną osobę, zagadnienie staje przed nami w tej formie: jakiej religii jest autor — żyd, chrześcijanin czy gnostyk?[1].

Z ostatnią alternatywą prędko rozprawić się możemy.

Tak Harris, jak Harnack stwierdzają zgodnie, że niema w naszych odach gnostyckich pierwiastków. Nie powinien narzucać podejrzeń fakt, że cytuje je Πίστις Σοφία, bo cytuje je zupełnie tak samo i alegoryzuje je tak samo jak np. psalmy Dawidowe. Zresztą wystarczy zestawić nasze ody z hymnami gnostyków, które przechowały się do naszych czasów[2], a przekonamy się o olbrzymiej różnicy. Tu dźwięczą struny kryształowo czystych pojęć i uczuć religijnych, tam, pod szatą szumnych frazesów,

---

[1] Innych ewentualności przypuścić nie można. O pogańskiem pochodzeniu ód Salomona niema mowy, bo podstawą ich jest najczystszy monoteizm. Wśród herezyi starochrześcijańskich, li tylko rozgałęzione drzewo gnostycyzmu wchodzić może w rachubę. Insynuacye Harnacka o pokrewieństwie między autorem ód a herezyami Terapeutów, Hypsistarian, Messalianów i t. p. nie mają żadnej podstawy.

[2] Z licznych hymnów gnostyckich przechowali nam kilka próbek Origenes i autor Φιλοσοφουμένων. Dla uwydatnienia kontrastu z odami Salomona podajemy tutaj hymn Naassenów w łacińskim przekładzie: »Erat lex generatrix universi prima Mens, secunda autem erat primo parientis fusum Chaos; tertia anima accepit efficacem legem, propterea cervariam formam induta fatiscit, mortis laborem vincens. Nunc imperio potens intuetur lumen, nunc in miseriam deiecta flet, nunc fletur, gaudet; Nunc flet, iudicatur, nunc iudicatur, moritur; nunc fit inexpedibilis misera malo, Labirynthum ingressa est errabunda. At Iesus dixit: Respice Pater; Exquisitio malorum in terram

kłębią się mętne twory fantastycznej mitologii pojęć i nieskończone genealogie eonów, przed któremi ostrzegał już św. Paweł[1]. Jeżeli w »odach Salomona« jest γνῶσις, to tylko ta czysta i jasna, którą w siódmej księdze Stromatów szeroko opisuje Klemens Aleksandryjski, γνῶσις oparta na wierze i wzbijająca się kontemplacyą w sfery mistyki chrześcijańskiej.

Jeżeli jednak jest zgoda na to, że autor »ód Salomona« nie jest gnostykiem, wobec pytania: żyd czy chrześcijanin, już w tej chwili dzielą się uczeni na dwa obozy[2].

Harris jest zdania, że autor jest chrześcijaninem z najwcześniejszej doby palestyńskiego Kościoła, nie wyklucza wszakże możliwości, by jedna lub druga oda była żydowskiego pochodzenia; Harnack uważa za rzecz pewną to, co wyraził w samym tytule swej pracy: »Ody Salomona« są dziełem żyda, interpolowanem chrześcijańską ręką.

Że berlińskiemu uczonemu wiele zależy na tej tezie, rzecz łatwo zrozumiała. Jeśli »ody Salomona« są dziełem chrześcijanina, nieomal że w gruzy się rozsypują ulubione teorye jego o rozwoju pojęć dogmatycznych w pierwotnym Kościele. Harnack więc musi wobec nowo odkrytego zabytku, albo zaprzeczyć chrześcijańskiemu jego pochodzeniu, albo zbliżyć się znacznie do katolickich poglądów.

Rzecz jest doniosła, przypatrzmy się więc dokładniej na jakiej podstawie uznał za stosowne obrać nie drugą, lecz pierwszą drogę.

Za żydowskiem pochodzeniem »ód Salomona« przytacza

---

a tuo flatu vagatur, tentat fugere amarum Chaos et nescit quomodo pertransibit. Quapropter mitte me Pater, sigilla ferens descendam, saecula cuncta transgrediar, mysteria omnia aperiam, formasque deorum demonstrabo et arcana viae sanctae, scientiam appellans tradam«. Migne ser. gr. t. 16 col. 3160.

Por. też hymn Ophitów u Orig. contra Cels. l. 6 n. 31. Migne ser. gr. t. 11, col. 1342.

[1] Kolos. 2, 18 1. Tym. 1, 4. 4, 7. 2. Tym. 2, 23. Tyt 3, 9.

[2] Ponieważ rzecz jest całkiem świeża, do tej chwili nie spotkałem się z innemi pracami prócz Harrisa i Harnacka; niewątpliwie jednak ma Harnack racyę mówiąc: »Über das Problem, welches dieser neue Fund bietet — jüdisch oder christlich — wird man noch lange streiten«.

Harnack właściwie tylko dwa argumenty. Pierwszy opiera się na ich ogólnym charakterze, t. j. na zupełnym braku pierwiastków specyficznie chrześcijańskich.

»W tych dziwnych pieśniach«, powiada nasz uczony, »panuje zupełna obojętność dla konkretnych, historycznych form, pojęć, obrzędów chrystyanizmu. Ich autor potrafi ciągle mówić o źródłach wody żywej, a nie robi nigdy alluzyi do chrztu; wspomina o mleku i miodzie duchownym, a znać, że nigdy nie staje mu na myśli eucharystya; obraca się cały w abstrakcyjnych pojęciach życia, światła, prawdy, miłości, pokoju, łaski i t. d., a niema ani słowa o imieniu Jezus, o ewangelii, o Kościele, o sakramentach, o grzechu, o odkupieniu, o pokucie, słowem o tem wszystkiem, czego pełne są ówczesne pisma chrześcijańskie. Prawda — dodaje Harnack — że próżnobyśmy szukali i specyficznie żydowskich pierwiastków, ale ten wygórowany spirytualizm wyzwolony z konkretnych form religijnych zrozumialszym jest, *ist um einen Grad erträglicher*, w hypotezie żydowskiego pochodzenia« [1].

Sprowadźmy najpierw ten argument do rzeczywistych i objektywnych granic.

Że niema w naszych odach wzmianki o eucharystyi, chrzcie, Kościele — to prawda. Że w ogólności w nich zbywa na pierwiastkach konkretnego chrystyanizmu — to twierdzenie oparte na ciężkim tym metodycznym błędzie, że wszystko, co chrześcijańskie, uważa się z góry za interpolacyę lub późniejszy dodatek.

Uważa się z góry, bo, jak przekonamy się niżej, uważa się bez dostatecznych powodów, li tylko dla podtrzymania raz obranej tezy. Racye, które Harnack przytacza za interpolacyą, zbadamy w swojem miejscu; przystępując do »ód Salomona« bez uprzedzeń i badając je tak, jak nam przechowane zostały, skonstatować musimy, że znajduje się w nich cały szereg specyficznie chrześcijańskich pojęć.

I tak, wspominają nasze ody o Trójcy św., o Ojcu, Synu i Duchu św., mówią na wielu miejscach o Chrystusie Synu Bożym, zrodzonym z Dziewicy, Bogu i człowieku zarazem; opowiadają

[1] Tak mniej więcej l. c. str. 74, 75, 100 i passim.

Jego mękę z wyraźną alluzyą do krzyża, Jego zstąpienie do piekieł i zwycięstwo nad śmiercią; przez wszystkie ody formalnie dźwięczy hymn tryumfalny na dzieło odkupienia i jego owoce: zbliżenie do Boga, pokój i łaskę.

I tak, żeby zacytować kilka ustępów, które Harnack z góry do interpolacyi zaliczył — tajemnicę Trójcy św. i dziewiczego poczęcia Pana Jezusa, zawiera ciekawa ale nieco dziwaczna oda 19:

»Podano mi puhar mleka i wypiłem zeń słodycz dobroci Pańskiej. Syn jest tym puharem mleka, które płynie z piersi Ojca, Duch św. wycisnął je z pełnych piersi ojcowskich, bo nie godziło się, by ono płynęło na darmo. Duch św. otwarł swe łono, zmieszał i podał światu mleko piersi Ojca, a świat o tem nie wiedział; ci jednak co napój ten przyjęli, zajęli prawą stronę. Duch skłonił się nad żywotem dziewicy i poczęła i porodziła i w wielkiem miłosierdziu stała się matką dziewica. Poczęła i porodziła syna bez bólu, porodziła go za własną wolą, jak gdyby była mężem (własną swą wolą rodzącym), porodziła bez niczyjej pomocy, nie przez nieostrożność, ale dlatego, że Duch był jej pomocnikiem. Porodziła go jawnie i odzierżyła go w wielkiej sile i umiłowała go w odkupieniu i pielęgnowała go z miłością i okazała go w wielkości. Alleluja« [1].

Bóstwo i człowieczeństwo Chrystusowe, na kilku miejscach wyrażone jest całkiem jasno.

36, 3. »Duch mnie zrodził przed obliczem Pańskiem i chociaż byłem człowiekiem, nazwany jestem światłością i Synem Bożym«.

41, 12—17. »Zbawiciel, który ożywia i nie odrzuca dusz naszych, mąż, co był poniżony i wywyższony został dla swej sprawiedliwości, Syn Najwyższego się ukazał, w pełności (chwały) Ojca i światłość weszła ze Słowa, które było w Ojcu od wieków. (Bo) jeden jest prawdziwie Chrystus i znany (już) był przed założeniem świata, (jako Ten) co w prawdzie swego imienia zbawia dusze na wieki. Niech mu więc zabrzmi nowa pieśń miłości od tych, co go miłują. Alleluja«.

[1] W powyższym i wszystkich następnych cytatach trzymamy się przeważnie wzorowego tłumaczenia, którego dla dziełka Harnacka dokonał dyr. Flemming, nie wdając się w drobne filologiczne kontrowersye.

7, 2—8. »Pan mojem weselem i ku Niemu biegnę, oto piękna droga moja, która mnie prowadzi do Pana. On sam dał mi się poznać w swojej prostocie, a bez zazdrości; dobroć Jego sprawiła, że umniejszyła się Jego wielkość. On stał się jak ja bym Go mógł przyjąć, On przyrównany jest do mnie bym mógł w Niego się przyoblec i patrząc nań nie zadrżałem, bo On zmiłowaniem mojem. Stał się mojej natury, bym Go zdołał pojąć, przyjął moją postać, bym się nie odwracał od Niego«.

Mękę Chrystusową, wśród wielu innych miejsc podobnych, opowiada np. oda 31, 7—11:

»Mnie, którym nigdy nie dopuścił się żadnej winy, uznano winnym i jak zdobycz rozdzielono sobie (moje mienie) choć im nic nie byłem dłużny. A ja cierpiałem w milczeniu i spokoju, jakby mnie żadna nie spotykała krzywda, i stałem niewzruszony jak nieugięta skała, co nie cofa się gdy chłostają ją fale. I gorycz ich zniosłem w pokorze, by zbawić mój lud i posiąść go w dziedzictwo i spełnić obietnice odkupienia, które dałem był praojcom i ich nasieniu. Alleluja«.

Nie możemy wreszcie nie zacytować ślicznego opisu zstąpienia Chrystusa do otchłani:

42, 13—26. »Nie zostałem wzgardzony, chociaż sądzono, żem uległ pod wzgardą i nie upadłem, chociaż przypisywano mi upadek. Piekło mnie ujrzało i było mi miłosierne; śmierć pozwoliła mi wrócić i nie tylko mnie, ale wielu wraz ze mną. Stałem się dla śmierci octem i goryczą, zeszedłem z nią aż do głębi piekieł... I zebrałem żywych pośród umarłych, i mówiłem z nimi żywemi wargami, by słowo moje nie było daremne. I przybiegli do mnie ci, co byli pomarli i zawołali mówiąc: »Zmiłuj się nad nami Synu Boży i uczyń z nami wedle łaskawości Twojej i wywiedź nas z więzów ciemności, i otwórz nam drzwi, abyśmy wyjść mogli, bo widzimy, że śmierć nasza do Ciebie nie ma przystępu. Wybaw nas ze Sobą, boś Ty zbawicielem naszym«. A ja wysłuchałem ich głosu i wypisałem imię moje na ich głowach, bo wolnymi są ludźmi i do mnie należą. Alleluja«.

Jest więc co najmniej gruba przesada albo gruby błąd me-

todyczny w twierdzeniu, że niema w naszych odach specyficznie chrześcijańskich pojęć i wierzeń.

Przypuśćmy jednak, że jest ich mniej, niżby spodziewać się można! Czy prof. Harnack nie widzi, że ten pewien brak konkretnych form religijnych, związany jest najściślej z rodzajem literackim przez autora użytym i z całym nastrojem jego umysłu i serca? Przecież ten autor nie dogmatyzuje, nie poucza, nie opowiada, ale śpiewa, śpiewa nie jakieś fakta czy teorye, ale uczucia miłości i wdzięczności ku Bogu, któremi wzbiera własne jego serce [1]. Ten autor ponadto to najwyraźniej głęboki mistyk, dziwnie zbliżony duchem, co niejednokrotnie zauważa sam Harnack — do św. Jana Ewangelisty. A czy nie jest rzeczą powszechnie znaną, że w duszy wszystkich mistyków, począwszy od wielkiego ucznia miłości, do Tauler'a i Ruysbrock'a, od Makarego Egipskiego do autora listu *ad fratres de monte Dei* — Bóg

[1] Jako próbkę tego »śpiewania« religijnego przytaczamy w całości prześliczną odę 11-tą: »Rozcięte serce moje i wyszły na jaw jego kwiaty, dobroć w niem zakwitła i wydało owoce Panu. Bo Najwyższy przeciął mnie (mieczem) Ducha swojego świętego aż do głębi (do nerek) (pociągnął) mnie ku Sobie i napełnił mnie swą miłością. I cięcie Jego stało się mi zbawieniem i zacząłem biegnąć drogą Jego pokoju, drogą prawdy. Od początku do końca dostała mi się w udziale znajomość Jego, stanąłem na opoce prawdy, na której mnie postawił i wezbrała na moje wargi mówiąca woda ze źródeł Pańskich... I piłem i upoiłem się żywą, nieśmiertelną wodą, lecz w upojeniu nie odeszła mnie świadomość, ale porzuciłem próżność i zwróciłem się do Najwyższego, do mego Boga. I zbogaciłem się z Jego łaski i opuściłem marność rozrzuconą po ziemi, wyzułem się z niej i odtrąciłem ją od siebie. A Pan przyoblekł mnie nową szatą swoją i posiadł mnie w swej światłości, dał mi z wysoka niezmącony pokój i stałem się jak ziemia kwitnąca i w plonach swoich pełna wesela. I Pan oświecił me oczy, jak słońce, co błyszczy nad obliczem ziemi; twarz moja pokryła się rosą, rozweseliło się tchnienie moje słodką wonnością Pana. I zawiódł mnie do raju swego, tam, gdzie skarby rozkoszy Pańskich. I oddałem Mu pokłon dla wielmożności Jego i rzekłem: »Błogosławieni, o Panie, których posadziłeś w ziemi Twojej i którym dałeś miejsce w Twym raju; rosną oni, jak drzewa Twoje i dźwigają się od ciemności ku światłu. Wszyscy oni jak pracownicy dobrzy pełnią dobre uczynki i od złego odwracają się ku Twej dobroci, złożywszy gorycz odkąd posadzeni są w Twym ogrodzie. I wszystko stało się jakby cząstką Ciebie i wieczną pamiątką wiernych spraw Twoich. Bo w raju Twoim wiele jest miejsca i niema tam nic niepożytecznego«. Ja wszystko napełniam owocem. Chwała Ci Boże, wieczna rozkoszy raju. Alleluja«.

i rzeczy Boże zwykły się przyoblekać w abstrakcyjne pojęcia światła, życia, prawdy, pokoju, miłości?

Powiada dalej berliński uczony: »Diese Indifferenz gegenüber dem geschichtlichen, öffentlichen und vulgären Ausdruck beider Religionen, ist um einen Grad erträglicher und verständlicher, unter der Voraussetzung des jüdischen Charakters unserer Oden«.

Pytam się skąd to twierdzenie? Niech nam prof. Harnack pokaże podobny nastrój w żydowskich dziełach ówczesnych! Przecież znaną jest w wielkiej mierze bogata apokryficzna literatura, którą około czasów Chrystusa Pana zrodził judaizm, a gdzież jej podobieństwo do »ód Salomona«? Pomijając zupełną odmienność ducha — wrócimy do niej nieco niżej — wszystkie te dzieła pełne są specyficznie żydowskich myśli o świętem mieście i Syonie, o pamiątkach i nadziejach wybranego narodu, o przyjściu i królestwie Messyasza — gdy w naszych odach tego wszystkiego ani śladu![1] Zestawiając »ody Salomona« z żydowską i z najstarszą chrześcijańską literaturą, choćby nawet nie było innych argumentów, powiedziećby trzeba coś wręcz przeciwnego, że sam wygórowany ich spirytualizm i mistycyzm wskazuje na chrześcijańskie, nie żydowskie pochodzenie.

Tak więc pierwszy argument Harnack'a uważamy za całkiem chybiony.

Nie jest silniejszy i drugi.

---

[1] Harnack odwołuje się w tym punkcie do Bousseta: *Die Religion des Judentums im neutestamentlichen Zeitalter*, ed. 2-a. 1906, str. 63 i nn. Jednakowoż twierdzenia Bousseta, po części dużo mniej daleko sięgają niż zdania Harnacka, po części są konstrukcyami zbudowanemi na fałszywych założeniach chronologicznych i według błędnych metodycznie zasad. Daleko lepiej Hoennicke: *Das Judenchristentum im ersten und zweiten Jahrhundert.* Berlin 1908, str. 76 i n. Przyznając u Żydów z czasów Chrystusowych, pewne rozszerzenie pojęć religijnych w uniwersalistycznym i spirytualistycznym kierunku, dodaje jednak ten autor: »Trotzdem finden wir nirgends, dass schlechthin auf die Prärogative des Judentums verzichtet wird... Die partikularistischen Schranken, die nationalen Formen sind durch die universalistischen Gedanken nicht beseitigt... Das Messiasbild ist doch nicht rein geistig aufgefasst« i t. d.

W odach 4, 1—4 i 6, 7, mają się znajdować rzekomo wyrażenia, które »z wszelką pewnością« wskazują na żydowską religię autora. Wyrażenia te, zdaniem Harnack'a, mają udowadniać, że »świątynia«, i to »Jerozolimska«, jest dla autora centralnym punktem czci prawdziwego Boga, miejscem κατ' ἐξοχήν świętem i uprzywilejowanem.

Dla lepszego poglądu na ten argument przytaczamy tu w całości obie wspomniane pieśni.

4, »Nikt zmienić nie zdoła świętego miejsca Twego mój Boże i nikt nie potrafi przenieść go gdzieindziej, bo brak mu na to siły. Albowiem zanim stworzyłeś (jakiekolwiek) miejsca, oznaczyłeś święte mieszkanie Twoje i nie przyjdzie godzina, by starsze miejsce ustąpić miało młodszym. Serce Twe Panie oddałeś wiernym Twoim; nie przestaniesz nigdy działać i nigdy nie pozostaniesz bez owocu, bo jedna godzina wiary w Ciebie lepszą jest, niż wszystkie dni i godziny. Któż bowiem przyoblekł się w Twą dobroć i trwał w złych uczynkach? Bo znaną jest pieczęć Twoja i nie jest obcą stworzeniom Twoim; tą pieczęcią naznaczone są hufce anielskie i przyoblekłeś nią najwyższych archaniołów. Darowałeś nam obcowanie ze Sobą, nie jakobyś Ty nas potrzebował, ale dlatego, że my potrzebujemy Ciebie. Wypuść na nas krople rosy Twojej i otwórz nam obfite zdroje Twoje, mlekiem i miodem płynące. Bo Ty znając koniec wszech rzeczy nie żałujesz nigdy tego coś obiecał; co dałeś, to dałeś z łaski i nie odbierzesz tego napowrót. Bo wszystko było Ci jawne jako Bogu, Ty wszystko stworzyłeś i wszystko przeznaczyłeś od początku. Alleluja«.

6, »Jak kiedy ręka przesuwa się po cytrze i ze strun pieśń wypływa, tak kiedy w członkach moich przemawia Duch Pański, ja zaczynam śpiewać przez Jego miłość, bo miłość niszczy wszystko co obce i sprawia, że wszystko należy do Pana. Bo tak było od początku i tak będzie do końca, że nic nigdy nie sprzeciwi się Panu i nic nie podniesie się przeciw Niemu. Pan pomnożył znajomość Swoją i stara się by wszyscy poznali to, co darował nam z dobroci Swojej i dał nam pieśń pochwalną na imię Swoje. Dusze nasze wielbią Jego Ducha świętego, bo trysnął strumień i stru-

mień stał się wielką i szeroką rzeką, która zalała wszystko i wszystko uniosła ku świątyni. I rzeki tej nie zdołały zatrzymać przeszkody ludzkie ni sztuki tych, co tamują wodę, bo rozlała się po całej powierzchni ziemi i napełniła wszystko; pili z niej wszyscy spragnieni po ziemi całej, ugasili i uspokoili nią pragnienie, bo napój ten dany jest od Najwyższego. A więc błogosławieni słudzy tego napoju, którym powierzona została ta woda; oni ochłodzili wyschłe wargi i umocnili osłabłe wole i ginące dusze wyrwali śmierci i sprostowali upadłe członki i dali moc słabości a światło oczom. Bo każdy ich poznał w Panu i dostąpili zbawienia przez żywą wiekuistą wodę. Alleluja«.

Oto dwie pieśni, w których prof. Harnack dopatruje się alluzyi do świątyni Jerozolimskiej (!) i nie tylko do świątyni Jerozolimskiej, ale do rywalizacyi między Jeruzalem, Leontopolis i Garizim. »Hier erkennt man dass der Tempel noch steht, dass er für den Verfasser das Heiligtum ist, welches Gott vor der Schöpfung der Welt geschaffen hat und dass er kein anderes Heiligtum ihm überzuordnen gestattet. Also ist er ein Jude...«. Na tej samej podstawie oznacza się datę utworu. »Unsere Ode ist mithin vor d. J. 70 n. Chr. gedichtet« [1].

Cóż powiedzieć o tym dziwnym argumencie?

Przedewszystkiem jedna metodyczna uwaga. Przypuśćmy *per absurdum*, choć uważam to za zupełnie wykluczone, przypuśćmy, że t e d w i e ody zdradzają żydowskie pochodzenie! Czy wolno ten argument rozciągać do w s z y s t k i c h? Czy nie trzeba powiedzieć za Harris'em: »Całość jest wyraźnie chrześcijańska, w całość tę jednak wciągnięto m o ż e kilka ód żydowskich?«

Czy do rozszerzenia argumentu z dwóch ód na wszystkie, uprawnia jednolitość stylu, języka, ducha? Jednolitość ta w wielkiej mierze istnieje, stwierdza ją niejednokrotnie sam Harnack, a mimo to nie waha się przyjąć w całości żydowskiej kilku pieśni czysto chrześcijańskich! Czemuż na odwrót nie chce przypuścić, że te tylko ody są dziełem żyda, w których znajdują się rzekomo żydowskie pierwiastki?

---

[1] L. c. str. 76 i 29.

Pomijając jednak ten błąd metodyczny, musimy stwierdzić z całym naciskiem, że nic nas nie uprawnia do tego, by wzmianki o »świętem mieszkaniu Bożem« i o »świątyni«, interpretować w znaczeniu świątyni jerozolimskiej.

Cóż bowiem mówi oda czwarta? Że jest jakieś niezmienne, przed stworzeniem świata obrane, święte miejsce czy mieszkanie Boże, które nie może być przeniesione gdzieindziej i nie może ustąpić nowemu mieszkaniu. Pytam się na jakiej podstawie wnioskować, że to mówi żyd i że myśli przytem o Jerozolimskiej świątyni? Choćbyśmy z góry wiedzieli, że żyd przemawia, i tak nie moglibyśmy rozumnie dopatrzeć się alluzyi do Syońskiego sanctuarium, a cóż dopiero jeśli jest *in quaestione*, czy słowa te wyszły z pod pióra żyda! Świątynia Jerozolimska jest wprawdzie w oczach żydów »mieszkaniem« Bożem, »miejscem pobytu Boga« i t. d., ale bynajmniej nie wyłącznem. Wprost niezliczona ilość tekstów ze wszystkich ksiąg Starego Testamentu udowadnia, że wyobraźnia religijna wybranego narodu wystawiała sobie jakiś święty, nieruchomy, od wieków założony i po wszystkie wieki trwający przybytek Boży w niebie, jakby pałac czy świątynię, w której Bóg ma osobiste swoje mieszkanie, w której próśb wysłuchuje i rządzi światem, z której wychodzi niekiedy i do której powraca[1]. Cóż więc prostszego, nawet w ustach żyda, by odę czwartą rozumieć o tem właśnie odwiecznem, nieruchomem mieszkaniu Bożem, którego nikt nie zdoła zastąpić nowym przybytkiem?

Nie chcę jednak zatrzymywać się dłużej na tej możliwości,

---

[1] Z całego mnóstwa miejsc przytaczamy kilka. 2. Par. 6, 21—39. »Firmum, firmissimum, sublime habitaculum Dei in caelo«. Deut. 26, 15. »Respice de sanctuario tuo et de excelso caelorum habitaculo«. 3. Reg. 8. 30—49. »Firmamentum habitaculi, firmamentum solii Dei in caelo, locus habitaculi, locus habitationis in caelo« etc. Sap. 9, 8. »Tabernaculum sanctum praeparatum ab initio«. Ps. 10, 5. »Dominus in templo sancto suo, Dominus in caelo sedes eius«. Ps. 101, 20. »Excelsum sanctum Domini in caelis«. Iz. 57, 15. »Dominus in excelso et sancto habitans«. Por. Iz. 6, 1 sq. Ps. 21, 4. Mich. 1, 2 i t. d. i t. d. Poglądy te na niebo jako na mieszkanie Boże trwają po części i w Nowym Testamencie. Por. *Dictionnaire de la Bible.* Vigouroux, t. II. pod słowem *Ciel* 2.

bo nie sądzę by ona odpowiadała myśli poety. Chcąc dotrzeć do tego, co zdaje mi się leżeć na dnie pierwszych zwrotek ody czwartej, trzeba nam sięgnąć nieco głębiej.

Od pierwszej chwili, gdy dopiero zrodzone chrześcijaństwo przeciwstawiło się starej synagodze, nie przestaje ten nowy, ten młody lud Boży z najpełniejszą samowiedzą twierdzić i głosić, że z nimi rozpoczyna się dopiero właściwe królestwo Boże, że do nich odnoszą się wszystkie proroctwa, że cały Stary Zakon był cieniem, przedsionkiem, przygotowaniem nowego przymierza, że teraz nastaje *immobile regnum*, do którego w planach swoich odnosił Bóg całą poprzednią historyę ludzkości[1]. A nowe to i odwieczne zarazem, bo od wieków w myśli Bożej poczęte królestwo, zgodnie przedstawiają natchnieni pisarze pod symbolem duchowego domu czy żywej świątyni, którą Bóg wznosi sobie z dusz ludzkich, by była mieszkaniem Jego na wieki[2]. Otóż w tym całym kontekscie myśli pojawia się nie raz jeden w najdawniejszej literaturze chrześcijańskiej twierdzenie, że żywe to mieszkanie Boże, którem jest Kościół, starszem jest od wszystkiego i pierworodnem wśród wszystkich dzieł Bożych.

Tę myśl narzuca już niejednokrotnie Piśmo św., czasem z alluzyą do pierworodztwa, które Ezaw, symbolizujący synagogę, sprzedał Jakóbowi, pierwowzorowi Kościoła. Tak np. w liście do Żydów 12, 23, nazywa apostoł Kościół »miastem Boga żyjącego

---

[1] Z mnóstwa tekstów, którymi możnaby poprzeć powyższe zdanie, cytujemy kilka. Act. 2, 16 i nn. 3, 24. 25. 4, 11. 10, 43. Rzym. 9, 6 i nn. Gal. 3, 15. i nn. 4, Tu należy cały list do Żydów. 1. Petr. 1, 10. nn. i t. d.

[2] »Ad quem accedentes lapidem vivum (Christum) et ipsi tanquam lapides vivi superaedificamini, domus spiritualis«... 1. Petr. 2, 4 i nn. »Christus tamquam filius in domo sua, quae domus sumus nos«. Hebr. 3, 6. »Nescitis quia templum Dei estis et Spiritus Dei habitat in vobis?« 1. Cor. 3, 16. »Superaedificati super fundamentum apostolorum et prophetarum ipso summo angulari lapide Christo Iesu, in quo omnis aedificatio constructa crescit in templum sanctum in Domino, in quo et vos coaedificamini in habitaculum Dei«. Ef. 2, 20—22. Por. 1. Cor. 6, 19. 2. Cor. 6, 16. 1 Tim. 3. 15. 1. Petr. 4, 17 i t. d. Przedewszystkiem w Objawieniu św. Jana opisane jest szeroko, ukończone już, żywe miasto Boże, w którem Bóg mieszka z ludem swoim na wieki. 21, 22, Por. też potężnie odmalowany ten sam obraz u św. Ignacego, Eph. 9, 1. i w »Pasterzu« Hermasa. Vis. 3, Sim. 9.

i *ecclesiam primitivorum*. Św. Jakób nazywa wiernych *initium creaturae*, 1, 18. Por. Rzym. 8, 23. Kolos. 1, 15 i nn. Rzym. 9, 6 i nn. Gal. 4, 21 i nn. i t. d. Ale daleko jaśniej rozwijają tę myśl pierwsi Ojcowie. I tak w prześlicznym *Pasterzu* swoim szeroko opowiada Hermas widzenie Kościoła jako olbrzymiej wieży, co wznosi się ku niebu na dom Boży z żywych kamieni ludzkich. Niebawem ukazuje mu się ten sam Kościół pod obrazem sędziwej matrony. Pyta anioła, dlaczego Kościół się zjawia w tak starej postaci. *Quare anus est?* Brzmi odpowiedź: *Quoniam omnium prima condita est, propter hoc anus est et propter ipsam mundus creatus est.* Vis. II. 4, 1. Por. Vis I. 1, 6. 3, 4. Podobnie w prastarej homilii, która zwykła nosić nazwę drugiego listu św. Klemensa do Koryntyan, czytamy słowa: »Jeśli spełnimy wolę Ojca naszego Boga, zaliczeni będziemy do pierwszego, duchownego Kościoła, który stworzony jest przed słońcem i księżycem. — Bo Kościół, jak mówi Pismo św. i apostołowie, nie począł się dopiero w tym czasie, ale jest od początku...« 14, 1. 2. Taką samą myśl narzuca autor ślicznego listu do Diogneta 8, 7—11 i nieco później Klem. Al. Protrept. VIII. (Migne ser. gr. t. 8. col. 193.) a w tak zwanym liście św. Barnaby szeroko rozprawia autor o wyższości duchowej świątyni chrześcijan, do której odnoszą się dawne obietnice Boże, nad materyalną świątynią Jerozolimską, w której żydzi pokładali nadzieję[1].

---

[1] »Adhuc autem et de templo dicam vobis, quomodo errantes miseri (Iudaei) non in Deum suum qui creavit ipsos spem habuerunt sed in aedem, quasi esset domus Dei. Nam fere instar gentium illum in templo venerati sunt. Sed quomodo Dominus loquatur templumque irritum faciat discite: ...»*Dicit Dominus: Caelum mihi thronus est, terra autem scabellum pedum meorum. Quam mihi domum aedificabitis aut quis locus requietis meae?* Cognovistis quod vana est spes illorum. ... Nam et ab hostibus destructum est templum. ... Quaeramus autem an exstet adhuc templum Dei. ... Invenio quod templum existit... et magnifice aedificatur. Quomodo? Discite. Accepta remissione peccatorum... facti sumus novi, iterum ab integro creati, ideo in nobis, in domicilio nostro vere Deus habitat... sicque introducit nos in templum, quod destrui non potest. ... Hoc est templum spirituale Domino constructum«. 16, Por. 4, 11. 6, 15. 13, 14. etc.

Nota bene, w literaturze żydowskiej ówczesnej nie znajduję myśli, że świątynia jerozolimska starsza jest od wszystkiego i że wszystko dla niej

Bez wątpienia więc istniała i szeroko rozpowszechniona była w najstarszem chrześcijaństwie myśl, że to duchowe mieszkanie Boże, jakiem jest Kościół Chrystusów, starszem jest i godniejszem nad wszystkie świątynie, że więc zmienionem nigdy być nie może. Wiadomo nam z drugiej strony, wymownem świadectwem jest tu list św. Pawła do Żydów, że do zmiany Kościoła, t. j. do powrotu na łono synagogi, pod skrzydła starej Jerozolimskiej świątyni, silnie kuszone były serca wiernych przedewszystkiem w Palestynie[1]. Autor listu do Żydów stara się wszelkiemi siłami odstraszyć ich od tej apostazyi i w tym celu przeprowadzając porównanie starego i nowego zakonu udowadnia, że pierwszy był *regnum mobile et transferendum*, drugi *regnum immobile et aeternum*. Zobaczmy czy autor czwartej ody Salomona, mówiąc o niemożliwości przeniesienia odwiecznego Bożego przybytku, nie myśli przypadkiem o czemś podobnem jak autor listu do Żydów, a więc o wyższości nowej, duchowej świątyni chrześcijańskiej nad dawną Jerozolimską.

Interpretacya, którą proponujemy, jest wręcz przeciwną tej, którą dał Harnack, musimy więc rozejrzeć się za silnymi dowodami.

Przedewszystkiem skonstatujmy, że autorowi »ód Salomona« bynajmniej nie jest obcy ten kompleks pojęć, z którego wyrasta w chrześcijańskiej literaturze obraz żywej świątyni duchowej, słu-

---

stworzone, tylko myśl inną, że cały świat jest dla sprawiedliwych. Por. Apoc. Bar. 14, 17. — 15, 7. ed Kautzsch t. 2, str. 417 i n.

[1] W r. 62 i n. gdy po śmierci Festusa jeszcze nie był osiadł w Jerozolimie następca jego w namiestnictwie rzymskiem Albinus, wzięła górę w mieście świętem bardzo silna reakcya żydowska. Synedrium z arcykapłanem Ananem na czele, popierane przez Heroda Agryppę II, równocześnie prześladowało chrześcijan i wznawiało z niebywałym przepychem żydowski kult w świątyni. Nic więc dziwnego, że serca nawróconych Żydów, porównując prosty kult chrześcijański z wspaniałością judaizmu, chwiały się we wierze i skłaniały napowrót do synagogi. Stąd owe usilne napomnienia autora listu do Żydów: »Videte, ne in aliquo sit cor malum discedendi a Deo vivo; non deseramus collectionem nostram; in disciplina perseverate; etc. 3, 12. 10, 25. 12, 7., stąd prześlicznie rozwinięte twierdzenie, że kult chrześcijański, choć czysto duchowny, wyższy jest i godniejszy i starszy niż kult synagogi. Por. Bruders: *Die Verfassung der Kirche*... 1904, str. 37. 194.

żącej za mieszkanie Bogu. W odach 3, 1. i 17, 14 znajdujemy myśl, że wierni tworzą organizm, w którym oni są członkami a Chrystus głową. Ody 10, 1. 13, 2. 20, 7. 33, 10 wspominają o przyoblekaniu się w Boga i Chrystusa. Oda 22, 11 wprost mówi, że człowiek jest mieszkaniem Bożem, a 32, 1. że Bóg mieszkający w sercach daje im światło i wieczną, niewzruszoną siłę. Oda 22, 11—12 opowiada, że skała Boża stała się podwaliną nowego królestwa, które jest mieszkaniem świętych. A przeciwnie, jeśli na razie pominiemy zakwestyonowane ody 4 i 6, nie doszukamy się nigdzie wzmianki o jakiemś innem mieszkaniu Bożem, czy to w sensie materyalnej świątyni, czy w sensie niebieskiego przybytku.

Przejdźmy jednak do samej ody czwartej.

Przeważna jej część jest najniewątpliwiej chrześcijańska. I »pieczęć«, którą Bóg przyobleka wiernych a nawet aniołów i »społeczność«, którą Bóg wiernym dał ze Sobą i zdroje łaski przyobiecane od wieków i cena wiary tak bardzo dobitnie opisana — to wszystko są pojęcia, które jedynie na chrześcijańskim gruncie dadzą się zrozumieć. Bo, nie mówiąc już o specyficznie chrześcijańskiem pojęciu »pieczęci«, która człowieka wewnętrznie czyni dobrym, gdzież w żydowskich poglądach religijnych tak wyrobiona idea wiary w Boga[1]; ta idea, co

[1] Idea wiary jako takiej, nie, wierności, nie wiary w jakąś poszczególną obietnicę Bożą jest niemal wyłącznie chrześcijańska. Ma zupełną racyę Kirn pisząc: »Im AT tritt der Glaube nur selten als das religiöse Grundverhalten hervor, auf welchem die Gemeinschaft zwischen Gott und seinem Volke beruht«. *Real. Enc. f. prot. Theol.* wyd. 3-e, t. 6, str. 675. Por. Scheeben: *Dogm. Buch.* 6, n. 686. Zadałem sobie pracę skonferowania według Wulgaty wszystkich tekstów Starego Testamentu, gdzie mowa o wierze. Otóż tych miejsc nie tylko, że jest niezmiernie mało w porównaniu do Nowego Testamentu, ale prawie nigdzie nie występuje wiara w tem pełnem, ogólnem, zasadniczem znaczeniu, które nasza oda wyraźnie przyjmuje. W zbliżonem znaczeniu występuje *fides* tylko: Tob. 2, 18. Sap. 1, 2. Eccli. 32, 27 i nn. Hab. 2, 4. *Credere* występuje około 30 razy w sensie do chrześcijańskiego zbliżonym, ale jeszcze nie identycznym. Że tak jest, rzecz do zrozumienia łatwa, bo w Starym Zakonie nie było jeszcze ani ściśle określonego depozytu wiary, ani stałego *magisterium fidei,* ani religii tak głęboko wewnętrznej i duchowej jak w chrystyanizmie. Stąd u św. Pawła np.

po prostu przesiąka Nowy Testament i nadaje mu właściwy charakter? Gdzie wzmianka o tej cudownej κοινωνία, społeczności, towarzystwie z Bogiem, które tak akcentują natchnieni pisarze chrześcijaństwa?[1] Zresztą, co jest dowodem zupełnie przekonywującym, oda nasza uważa przepowiednie i obietnice błogosławieństw Bożych za już spełnione (por. w. 5, 8, 9, 12), a więc nie jest żydowską, bo od żydowskiej poezyi całego okresu, z którego mogłyby te ody pochodzić, nieodłączną jest nuta oczekiwania i nadziei[2].

Ale jeżeli cała oda jest wyraźnie i niewątpliwie chrześcijańska, jeżeli i pierwsze jej cztery wiersze mogą mieć bardzo dobre i z całością związane, a dobrze znane współczesnym, chrześcijańskie znaczenie — jakiem prawem, bez żadnych danych po temu, bez żadnego rozumnego związku z kontekstem, upatrywać w początku ody żydowskie pierwiastki? Że w interpretacyi Harnack'a, niema i być nie może rozumnego związku — o tem każdy się może przekonać, analizując przekład, wyżej przez nas podany. W interpretacyi naszej natomiast otrzymujemy piękną i harmonijnie złączoną całość: Poeta cieszy się, że Bóg wśród swoich wiernych ugruntował mieszkanie swoje na wieki, że im

---

iustitia ex fide, oznacza usprawiedliwienie wnętrzne w specyficznie chrześcijańskiem znaczeniu Podobnież wyraz *fidelis sine addito* oznacza zawsze »wiernego« w sensie chrześcijańskim. Por. *Dict. de la Bible* t. 2, p. 2234.

[1] O potędze i specyficznie chrześcijańskiem znaczeniu τῆς κοινωνίας por. ks. Maryana Morawskiego »Świętych obcowanie«. Dział 1. Poddział 2, str. 48 i nn. Z tekstów Pisma św. tu należących por. Act. 2, 42. 1. Cor. 1, 9. 2. Cor. 13, 13. Philip. 1, 5. 2, 1. Gal. 2, 9. 1. Petr. 5, 1. Philem. 6. a przedewszystkiem I. Io. 1, 3. 6. 7. Do tych wyrażeń Janowych najpodobniejsza jest myśl ody naszej.

[2] Z epoki bezpośrednio przed i bezpośrednio po Chrystusie niemało posiadamy pomników żydowskiej literatury, a we wszystkich (poza dziełami ścisłych helenistów) głośno dźwięczy struna messyańskiego oczekiwania O psalmach Salomona, reprezentujących kierunek faryzajskiej pobożności mówi Kautzsch l. c. str. 129: »Unsere Lieder durchweht eine hochgespannte messianische Erwartung«. O literaturze Apokaliptyków (Sybilla, Księga Henocha, Wniebowzięcie Mojżesza, 4. Ezdr. Apokal. Baruch. Testam. 12. Patr. Życie Adama i Ewy i t. d.) mówi Hoennicke l. c. str. 42: »Den Kernpunkt der apokaliptischen Richtung macht die Gewissheit von der unmittelbaren Nähe der messianischen Zukunft aus« ... Por. Schürer l. c. str. 153, 200, 219, 227 i t. d.

dał społeczność ze Sobą przez łaskę i prosi Boga, by zdroje tej łaski obficie rozlał na nich, tak, jak to od początku był postanowił.

Potwierdza zaś nasze tłumaczenie analiza ody szóstej.

Tu jest jeszcze jaśniejszem, że mowa o przepowiedniach messyańskich już spełnionych. Nowe i doskonałe poznanie Boga rozlewa się po ziemi całej i jak potężna rzeka zrywająca wszystkie zapory, wszystkim niesie napój duchowny, dający pokój światło i siłę. A ta rzeką Boża (por. ps. 45, 5), porywa i unosi wszystko ku »świątyni«. Choćbyśmy sobie w najżywszych barwach przedstawili siłę propagandy religijnej żydowskiej [1], jest rzeczą pewną, że nie można jej przyrównać do zdroju wód żywych rozlewających się po całym świecie, łamiących zapory, roznoszących pokój, życie i nową pieśń uwielbienia dla Boga. Na takie akcenty siły i tryumfu i taką terminologię zdobyć się nie mogła, tylko myśl chrześcijańska [2]. A więc i owa »świątynia«, ku której unosi wszystko rzeka Boża, nie może być świątynią Jerozolimską, tylko tą duchowną świątynią chrześcijańską, o której mówią tak często natchnieni i kościelni pisarze pierwszych dwóch wieków. Dodajmy do tego, że propaganda żydowska, jakakolwiek ona była,

---

[1] Ciekawe szczegóły o propagandzie religijnej żydowskiej podaje przedewszystkiem, gruntowny jak zawsze, Schürer: *Geschichte des jüdischen Volkes im Zeitalter Jesu Christi,* wyd. 3-e, t. III, str. 102—135.

[2] Piękny zbiór zdań starych pisarzy, świadczący o elementarnej sile ekspansyi w pierwotnem chrześcijaństwie, podaje Harnack: *Die Mission und Ausbreitung des Christentums*... wyd. 1-e, str. 366 i nn. Obrazu rzeki rozlewającej się na wsze strony używa w tej mierze np. Klem. Al. Strom. VI, 18. Migne ser. gr. t. 9, col. 400. Zwracamy uwagę, że błogosławieństwa duchowne messyańskich czasów przedstawia przedewszystkiem Izajasz prorok pod symbolem rzeki. Por. 33, 21. 41, 18. 42, 15. 43, 19. 44, 3. 59, 19 i t. d. Zapewne w zastosowaniu do tej przepowiedni mówi Pan Jezus u św. Jana 7, 37 i nn. o »rzekach wody żywej« symbolizując przez to Ducha św. Obrazu rzeki w tem samem lub podobnem znaczeniu używa często autor ód naszych. Por. 11, 6. 7. 12, 2. 26, 14. 30, 1 i nn. 35, 1. 36, 6 i n. 38, 18. 39, 1 i n. 41, 11. 42, 3. Rzecz ciekawa, że Duch św. nazywa się u niego »żywą, mówiącą wodą«. 11, 6. To wyrażenie znaliśmy już ze św. Ignacego Rom. 7, 2. ale dotychczas nie było innego podobnego przykładu. W każdym razie myśl o »wodzie żywej«, która rozlewając się wszędzie, chłodzi, krzepi, ożywia, umacnia — jest wybitnie chrześcijańską i nieomal Janową.

zdaniem samego Harnack'a [1], bynajmniej nie skupiała prozelitów około starej świątyni Jerozolimskiej, ale zadawalniała się przeważnie zaszczepieniem wśród pogan czysto duchowej czci prawdziwego Boga. Prozelici, w sensie ścisłym t. zw. »prozelici bramy« גֵּרֵי הַשַּׁעַר rzeczywiście związani ze świątynią, należeli zawsze do nielicznych wyjątków [2].

I na tem kończymy krytykę argumentów Harnack'a za żydowskiem pochodzeniem »ód Salomona«. Argumenta to dziwnie słabe, a powinny były być silne, bo sam Harnack nawet po wyrzuceniu rzekomych interpolacyi, przyznaje: »Die Oden enthalten auch in ihrer Urgestalt so Vieles, was wir als christliche Frömmigkeit in Anspruch zu nehmen gewohnt sind, dass trotz der Evidenz (!), mit der sich christliche Interpolationen ausscheiden lassen, doch immer wieder der Argwohn sich einstellt, ob nicht doch die Mehrzahl ganz wesentlich christlich ist« [3].

Że nasze ody są rzeczywiście chrześcijańskie i że jest bezpodstawna teorya interpolacyi, to wykażemy w następnym artykule, w którym przyjdzie nam też omówić doniosłość tej nowej zdobyczy dla katolickich poglądów na pierwotne chrześcijaństwo.

(C. d. n.)

Ks. Jan Rostworowski.

---

[1] Por. *Die Mission u. Ausbreitung* ... wyd. 1-e, str. 7 i nn.

[2] Por. w tej mierze oprócz wspomnianego dzieła Schürera l. c. jeszcze Batiffola *L'église naissante et le catholicisme.* 1909, str. 12 i nn.

[3] L. c. str. 98.

Z PRZYSZŁEGO TOMIKU POEZYI.

Niewolnicy.

Hen... hen... słońce nad ziemią świta obiecaną
Hen wschodzi! — Oni wiecznie w niewoli zostaną.

Słup ognia ich do drogi woła ciemną nocą
I obłok we dnie niesie oczy ich za sobą,
I laska cudotwórcza woła na nich mocą —
Oni swe głowy smutne nakryli żałobą,
Cudu się ujrzeć boją, krzyku duszy własnej
I drogi wyzwolonej z cieśni, wielkiej, jasnej.

Przy taczce więc niewolnik jak żył, tak i skona,
Wożąc kamień na głuchy pałac Faraona.
Nad obcą ziemią przed nim, obce zorze gasną,
Obce bogi, pieśń obca i tłum obcych ludzi. —
Własnością mając tylko łzy, a niemoc własną
I uśmiech gorzki, z którym dusza się w nich budzi,
Wiecznie tak błądzić będą nad brzegami Nila,
Czując, jak myśl ogromna głowę im pochyla.

A tam... tam świeci ku nim Ziemia Obiecana.
Winnica czeka ręką zasadzona Pana,
Ponad wód ociekaniem bogata oliwa,
Purpura pierworodztwa wybranego ludu,

I Majestatu Jego świątynia straszliwa
I Pan czeka, by przez nich uczynić moc cudu.
Dawno czeka i woła Ziemią Obiecaną,
Pan cierpliwy... w niewoli oni pozostaną.

Każdy z nich drogę ku niej nosił w głębi ducha,
Każdy pieśni rodzinnej w snach powrotnych słucha.
Ukochać jej nie śmieją, bo ich iść przymusza,
A w nich lenistwem starem odrętwiała dusza.

O Dobry.

O Dobry, dający
Na Twe bojem ze śmiercią zmęczone żołnierze
Wieczory ukojenia łaskawe i świeże...
O Dobry, idący
Sam ku rycerzom Twoim. Sam ściągnąwszy dłonie,
Pancerze im ciążące zdejmujesz na chwilę
I hełm im podejmujesz, by po bitwy męce
Otrzeć im skroń, co w pocie jest, we krwi i w pyle.
O Dobry, pojący
Puharem mocy słodkiej w te zachody świeże,
Po dniu upalnym, długim, omdlałe żołnierze.
O Dobry, krzepiący
Puharem zaprawionym sosn żywiczną wonią,
Z lipowego kwiatu miodowym zapachem,
Za którym pieśni złote pszczół z oddali gonią
Z dzieciństwa im znajome, pod ojczystym dachem.
O Dobry, cieszący
Przed nocą trwóg samotnych w te zachody świeże
Trwogą przyszłą zdrętwiałe już, biedne rycerze.
O Dobry, dający,
Że na nie z drzew rozchwianych sto uśmiechów leci:
Te same migotliwe, szybkie, zwiewne błyski,
Po które kiedyś, dawno, jeszcze jako dzieci
Rączyny wyciągały łakome z kołyski.

O Dobry, wiodący
Przez dnie upalne bojów, przez wieczory świeże,
Wierny, wierzące Tobie Wiernemu żołnierze.
O Dobry, idący
Pierwszy przez kraj spustoszon i spalon pożogą,
Znacząc drogę Twym wiernym stopami krwawemi,
Jednemu Tobie znaną prowadzący drogą
Do Twojej Ojcowizny: Obiecanej Ziemi.

Krystyna Saryusz Zaleska.

Z POSTĘPÓW AWIATYKI I AERONAUTYKI.

(Dokończenie)

Zasada aeroplanu nie różni się istotnie, jakeśmy wyżej wspomnieli, od lotu ptaków żaglujących z tym jedynie wyjątkiem, że siła muszkularna ptaka zastąpiona jest siłą mechaniczną motoru, obracającego śrubę powietrzną. Pierwowzór odnaleźć można w znanym od tak dawna, przez dzieci z taką uciechą do zabawy używanym latawcu. Latawiec pod wpływem wiatru czy to rzeczywistego czy sztucznie wzbudzonego skutkiem biegu dziecka [1], podnosi się w górę i utrzymuje się na wysokości, jak długo siła prądu nie ustaje i dostateczną moc posiada. W aeroplanie siłę sznurka, ciągnionego ręką dziecka zastępuje siła śruby powietrznej, a opór powietrza, powstały skutkiem ruchu postępowego zużywa się częścią do utrzymania przyrządu w górze, częścią do podnoszenia go w coraz wyższe regiony atmosfery zależnie od kąta, jaki powierzchnie nośne z kierunkiem wiatru tworzą. Gdy motor ustanie, aeroplan spuści się pod wpływem szybkości nabytej lub wiatru wiejącego z przodu pod łagodnym kątem ku ziemi, tem łagodniejszym, im szybszy był ruch nabyty, lub im silniejszy prąd powietrza. Skutkiem siły wiatru może nawet pod-

[1] Mówimy o wietrze nie w znaczeniu zwykle używanem, ale o prądzie powietrza, w tym razie względnym, bo względem ziemi może być powietrze w najzupełniejszym spokoju. Wiatr to analogiczny do tego, jaki się uczuć daje np. przy szybkiej jeździe samochodem, choćby w najcichszy wieczór letni.

nieść się wyżej, niż był w chwili ustania motoru, zawsze jednak tylko mając wiatr z przodu, lub mogąc przynajmniej część jego siły w tym kierunku zużytkować na mocy prawa rozkładania sił. Widzimy więc, że utrzymanie się aeroplanu w powietrzu musi być połączone z ruchem postępowym względem otaczającego powietrza, nie koniecznie jednak względem ziemi, jak to dostrzedz się da też u ptaków, utrzymujących się prawie nieruchomo dłuższy czas na jednem miejscu, zawsze jednak przodem do wiatru zwrócone. Oczywiście gdy aeroplan porusza się z wiatrem, szybkość jego własna dodaje się do szybkości wiatru, tem prędzej zatem mknąć może ponad powierzchnię ziemi.

Lecz to dopiero rozwiązanie[1] jednego zagadnienia awiatyki. Drugie o wiele trudniejsze, w którem o wszystkiem decydowała przedewszystkiem praktyka, to kwestya utrzymania równowagi[2]. Wiemy z własnego doświadczenia, a badania dokładniejsze coraz więcej to potwierdzają[3], że wiatr choćby najlżejszy nigdy nie dmie ze stałą siłą, lecz zawsze podmuchami, często zmienia swój kierunek, raz z tej, raz z tamtej strony przychodzi. Im wiatr silniejszy, tem mniej jednostajny, tem łatwiej daje się odczuć jego kapryśna natura nawet bez szczególniejszej uwagi. Co dla ludzi chodzących na ziemi małą czyni różnicę, lub nawet uchodzi ich uwadze, to awiatorowi bujającemu po przestworzach wielce daje się we znaki. Utrzymanie równowagi aeroplanu było zagadnieniem trudnem, nad którem długo suszyli sobie głowę pionierzy awiatyki. Przyznać trzeba, o czem jeszcze później wspo-

---

[1] W najogólniejszych zarysach, w teoryę dokładniejszą nie zapuszczamy się, odsyłając czytelników pragnących bliższych szczegółów do bogatej literatury, w części przytoczonej. Z dzieł polskich przytoczyć tu wypada jeszcze świeżo wyszłą broszurę Schnuetzera p. t. »Teorya i konstrukcya aeroplanów«, Lwów, 1910, która w sposób w znacznej części przystępny dla niefachowych rozwija teoryę lotu i przyrządów do latania.

[2] Jednak i tu grała teorya ważną rolę. Głowne momenty równowagi i sposoby do jej uzyskania, podaje już Pénaud *(L'aéronaute, janvier 1872)*. Wrightowie znali tę jego rozprawę.

[3] Pr. dzieło Langley'a: *The internal work of the wind*, Washington, 1893; także ze starszych, Helmholtz: *Über atmosphärische Bewegungen*, 1888; z nowszych, Hann: *Lehrbuch der Meteorologie*. Leipzig, 1905.

mnimy, że sama zasada aeroplanu wielce utrudnia zadanie. Ta trudność była przyczyną nieudania się wielu prób, zresztą wcale dobrze obmyślanych, zwłaszcza gdy używano przyrządów niesterowanych ręką ludzką. Słusznie zauważa Ferber w wyżej wzmiankowanem dziełku [1], że czasem wystarczyłby lekki ruch steru lub małe przesunięcie środka ciężkości do zapobieżenia złemu wynikowi próby, przygotowanej z wielkim nakładem kosztów, pomysłów i pracy [2]. Zamiast zapuszczać się w roztrząsanie dróg [3], po których iść musieli często omal że po omacku awiatorzy, by dojść do dzisiejszych wyników, podamy opis i główny zarys budowy aeroplanu, cieszącego się niemałą sławą i wielkiem powodzeniem, mianowicie aeroplanu braci Wrightów.

Należy do typu t. zw. biplanów [4], którego to typu używał w późniejszych swych próbach już Lilienthal, a po nim Chanute [5]. Dwie powierzchnie, jedna nad drugą, o szkielecie z drzewa, na którym silnie naciągnięte żaglowe płótno, zastępują skrzydła ptaka. Rozpiętość ich wynosi 12.5 m, szerokość 2 m., odległość od siebie 1.8 m. Nadto dwa stery, składające się również z podwójnych płaszczyzn, umieszczone jedno z przodu poziome do utrzymania równowagi podłużnej, oraz do zmiany kąta zacze pienia [6], drugi z tyłu pionowy do utrzymania równowagi poziomej oraz do zwrotów w prawo lub lewo. Do utrzymania równowagi

---

[1] *L'aviation,* str. 28.

[2] Tak np. model Tatin'a próbowany w r. 1896 w Carqueizanne, który po locie około 150 m. wpadł do morza.

[3] Że takie próby niejedno życie kosztowały, rzecz to smutna, ale nie uwłacza jeszcze samej zasadzie. W większej części aeronauci sami byli sobie winni katastrof, które na się ściągnęli, puszczając się bez dostatecznej wprawy na niebezpieczne od razu wzloty. Tak częste dziś wypadki to tylko potwierdzają Ci, co jak Wrightowie np., powoli tylko i z roztropnością szli naprzód, potrafili się uchronić od większych niebezpieczeństw.

[4] Biplan: *Zweidecker,* według Jarkowskiego płaskolot dwunośny.

[5] Ten stosował potem i więcej powierzchni nośnych.

[6] Według francuskiego terminu technicznego *angle d'attaque,* t. j. kąt, pod jakim zwrócone są do kierunku wiatru powierzchnie nośne. Mówiliśmy wyżej, że ich położenie decyduje o rozłożeniu siły wiatru na podtrzymującą przyrząd, czyli przeciwdziałającą sile ciężkości, i podnoszącą go. Schnuetzer używa terminu: kąt wpadania.

bocznej służy nadto, co jest własnym pomysłem konstruktorów i przez nich zastrzeżony, jeszcze skrzywienie [1] górnej powierzchni nośnej, co również zastąpić może ster w wykonywaniu zwrotów. Gdy zmienimy bowiem kąt zaczepienia dwu połów płaszczyzny nośnej, prąd powietrza więcej działa na tę część, której kąt zaczepienia większy i podnosi ją do góry, skręcając równocześnie w tę stronę przyrząd cały. Tak więc można przeciwdziałać kaprysom atmosfery, a przy zakrętach sile odśrodkowej, która na aeroplanie więcej jeszcze odczuć się daje niż na samochodzie.

W środku między powierzchniami nośnemi znajduje się miejsce dla awiatora i ewentualnie jego towarzysza, motor pomysłu i konstrukcyi wynalazców obracający dwie śruby powietrzne dwuramienne, kręcące się w przeciwnych kierunkach dla zneutralizowania reakcyi, a umieszczone z tyłu, i inne przyrządy potrzebne. Całość waży bez pasażerów 370 kg, powierzchnie nośne mają 50 m. kwadratowych, motor zaś o sile 30 koni parowych waży 80 kg, czyli 2.8 kg na konia [2].

Wiadomo, że aeroplan wznieść się może w powietrze dopiero przy dość znacznej minimalnej prędkości, potrzebuje więc rozpędu. Do wywołania go wymyślili Wrightowie przyrząd o tyle praktyczny, że nie potrzebuje wielkiej przestrzeni rozpędowej, ale za to musi być na każdem nowem miejscu dopiero ustawionym. Umieścili przyrząd cały na saneczkach ślizgających się po drewnianych szynach, ciężar 700 kg podniesiony na odpowiedniem rusztowaniu do wysokości 8 m. spadając ciągnie aeroplan ze znacznem przyspieszeniem i potrafi mu nadać szybkość dostateczną

---

[1] Po francusku: *gauchissement.*

[2] Sterowce osiągnęły dotychczas najwyższą szybkość 15 m. na sekundę, czyli 54 km. na godzinę (tak np. Zeppelin III). Jest to oczywiście już wielka zdobycz, bo na wysokości 500 m. np. mają wiatry przeciętną prędkość 36 km. na godzinę, więc balon będzie prawie zawsze panem sytuacyi. Awiatorzy zaś już dziś szybkość tę przekroczyli, a śmielsi obiecują sobie w niedalekiej przyszłości zbliżyć się do teoretycznie maksymalnych szybkości o wiele znaczniejszych (według Ferbera wyż. pod. książ. str. 246 możnaby dojść w dzisiejszych warunkach do 360 km. na godzinę, co oczywiście już z praktycznych względów nawet w przybliżeniu osiągnąć się nie da, jak o tem jeszcze niżej).

do wzlotu. Wtedy automatycznie lina się odczepia i przyrząd powoli wznosi się w górę[1]. Saneczki te z silnego a elastycznego drzewa *(Pinus nigra)*, służą również do zmniejszenia siły zderzenia przy lądowaniu.

Inni, a sposób ten dziś prawie powszechnie wszedł w użycie, umieszczają przyrządy swe na kółkach i rozpędzają się siłą własnego motoru, co oczywiście ma znów tę niedogodność, że potrzebują do tego znacznej równej przestrzeni; nadto koła w powietrzu żadnej usługi już nie oddają i są tylko niepotrzebnym balastem. Zresztą w zasadzie aeroplany innych typów niewiele się różnią od dopiero opisanego, tylko szczegóły wykonania, mechanizmu lub sterowania są różne. Tak np. Blériot używał do swej sławnej przeprawy przez Kanał i używa do dziś dnia monoplanu[2], mającego więc tylko jedną powierzchnię nośną, a zamiast steru z przodu, jak również inni, np. Fahrmann, używa steru, umieszczonego z tyłu w odległości około 5 m. od samego przyrządu. Ogon taki okazał się zarówno praktyczny do ustalania samodzielnie równowagi podłużnej. Monoplan Blériota lub podobne dziś coraz więcej wchodzą w użycie. Posiadają bowiem między innemi i tę dogodność, że są ekonomiczniejsze nie tylko z powodu mniejszych kosztów wykonania, ale także dlatego, że z mniejszym nakładem pracy mogą osiągnąć większą szybkość niż biplany.

W inne szczegóły i różnice wdawać się nie będziemy. Podamy tylko kilka sławniejszych rekordów osiągniętych w ostatnich czasach.

Pierwsi, którzy aeroplanem uzbrojonym w motor benzynowy odbyli prawdziwy wzlot, byli bracia Wrightowie, którzy już w r. 1903 utrzymali się w powietrzu 59 sekund ze średnią prędkością 16 km. na godzinę. Wówczas jednak nie dawano im jeszcze

---

[1] Ferber w przytaczanej książce w części matematycznej *(les calculs)* podaje wnioski następujące: w aeroplanie bez motoru najlepszy kąt zaczepienia jest połowa kąta spadku (str. 168), a dla aeroplanu z motorem, kąt dający najmniejszą płaszczyznę oporu będzie ten sam, co dla aeroplanu bez motoru (str. 166). Np. gdy rozłożymy płaszczyznę podtrzymującą na równoległą do wiatru i prostopadłą, ta ostatnia przedstawia opór przeciw wiatrowi.

[2] Monoplan, *Eindecker*, płaskolot jednonośny (Jarkowski).

wiary, a próby ich odbywały się po kryjomu. W r. 1906 udało się znanemu już aeronaucie Dumontowi wznieść się nieco ponad ziemię i zdobyć premię Archdeakona. Potem idą sukcesy jeden po drugim. Ferber, Vorsin, Delagrange, Fahrman, Blériot, Latham i inni odbywają coraz udatniejsze próby prawdziwego lotu w latach od 1906 do 1908 i dają doświadczalny dowód tym, co jeszcze o sukcesach awiatyki wątpili, że lot dynamiczny jest możliwy. Później coraz liczniejsze sukcesy zdobywają ci awiatorzy i inni, zachęceni ich przykładem. Już w r. 1908 odbył Fahrman pierwszą podróż z miasta do miasta, mianowicie 30 października przejechał przestrzeń z Châlons do Rheims, a następnego dnia odbył Blériot drogę z Artenay do Toury i nazad. Były to podróże odbywane przez samych tylko kierowników. Ale już w następnym roku bierze Blériot jednego pasażera ze sobą, w kilka dni później nawet dwu i odbywa zupełnie udany wzlot. Wreszcie w tymże roku 1909 odważyli się ci pionierzy awiatyki nawet na podróż ponad morzem. Próbował Latham 19 lipca przepłynąć Kanał La Manche z Calais do Dower. Co się jemu tego dnia nie udało (musiał się spuścić w morze bez znaczniejszych uszkodzeń przyrządu), tego dokazał wnet po nim Blériot i przeleciał swym monoplanem aż pod zamek Dower, gdzie odbierał gratulacye licznie zbierającej się publiczności i ciekawych. Czas tryumfu święciła awiatyka w dniach 22 do 29 sierpnia z. r. w Rheims, kiedy to przeszło dwadzieścia aeroplanów różnych systemów i wszyscy sławni awiatorzy osobiście lub przez swych zastępców i uczniów zdobywali oklaski publiczności, liczącej się na setki tysięcy. Coraz dłużej bez przerwy bujali po powietrzu, z godziny przedłużył się czas lotu wnet na dwie godziny, a Fahrman osiągnął rekord 3 godzin i 4 minut, w których odbył 180 km. drogi, bujając w najrozmaitszych kierunkach ponad obszernem polem ćwiczeń. Wreszcie niedawno temu osiągnięto i w Anglii większy rekord. Po nieudanej próbie Anglika White'a, przebył awiator francuski Paulhan drogę z Londynu do Manchester (184 mil ang. czyli 296 km.) w okrągło 4 godzinach (nie licząc przerwy nocnej) i otrzymał 10.000 funtów szterl. nagrody Daily Mail.

Że osiągnięte zdobycze nie były i nie będą ostatnim kro-

kiem, nie potrzebujemy wspominać. Nie mamy jednak zamiaru wyliczać wszystkich rekordów, bojąc się niemi znużyć czytelników. Wypada chyba tylko jeszcze wspomnieć, co się u nas na tem polu dzieje, choć to wszystko z gazet i czasopism zapewne każdemu wiadome.

Wspominaliśmy już zasłużonego w teoretycznych badaniach na tem polu rodaka, Stefana Drzewieckiego, mieszkającego w Paryżu. We Lwowie zajmuje się gorliwie awiatyką inżynier Libański i za jego inicyatywą zawiązał się klub »Awiata« dla popierania nauk i prób w tym kierunku, którego działalność mieliśmy niedawno sposobność poznać choćby z gazet. Ich to inicyatywie zawdzięczamy wzloty Granda.

W Krakowie początkowo bracia Schindlerowie zajmowali się wykonaniem monoplanu własnego pomysłu, obecnie przenieśli się do Wiednia, skąd mają brać udział w konkursie budapeszteńskim. Pierwsi zaś doprowadzili do skutku swe usiłowania pp. Rozum i Becheny w Krakowie, bo już wykończyli swój monoplan systemu Blériota, mający jednak niektóre ulepszenia własnego pomysłu [1], a wykonany co do wszystkich części składowych przez firmy krajowe.

Prócz aeroplanów możliwe są oczywiście jeszcze inne typy przyrządów do dynamicznego latania. Wypada choćby wspomnieć o t. zw. helikopterach, t. j. przyrządach używających śruby powietrznej tak do wznoszenia się w górę jak i do poruszania się w dowolnych kierunkach. Jako pierwowzór możnaby znów podać zabawkę dziecinną, rozpowszechnioną już od przeszło pół wieku [2], znane dobrze motyle wznoszące się w górę przy obracaniu się lekkich skrzydeł zapomocą przyrządu zegarowego lub naciągniętej gumy. I tej zasady próbowano [3], dotychczas jednak nie wydała pomyśl-

[1] Jak np. saneczki zamiast tylnego koła, mające zmniejszyć przestrzeń potrzebną do rozpędu, inne rozmieszczenie motoru i siedzenia i t. p. Oczywiście próby dopiero pokażą, o ile praktyczny jest ich przyrząd.

[2] Około 1849 r. przez Philipps'a, Séguin'a, Babineta. Już w 1784 r. podali Launoy i Bienvenu Akademii paryskiej model takiego przyrządu poruszanego zapomocą sprężyny z fiszbinu.

[3] By choćby kilka nazwisk zacytować, wspomnimy o próbach braci Dufaux 1905 r., Bréguet i Richet 1907, Cornu w tymże roku we Francyi, inż. Schulke w Niemczech i t. d.

niejszych rezultatów [1], a posiada zawsze tę wielką niedogodność, że gdy motor odmówi posłuszeństwa, nic nie powstrzyma przyrządu od gwałtownego upadku.

Dalecy jesteśmy od tego, byśmy mieli za przykładem pionierów dzisiejszej awiatyki, którzy ze zrozumiałą zresztą zupełnie dumą po udanych wysiłkach uważają aeroplan w jego dzisiejszej formie za jedynie korzystny przyrząd, mający przed sobą przyszłość [2]. Jeśliśmy się bliżej tylko tym typem zajmowali, to dlatego jedynie, że on dotychczas ponad inne się wybił. Owszem nie przesądzając przyszłości zaznaczyć należy, że aeroplan ma wiele istotnych niedogodności, które prawdopodobnie tylko przez skombinowanie różnych typów dadzą się usunąć. I tak nie potrafi się wznieść z miejsca w górę, lecz potrzebuje, często bardzo niedogodnego, rozpędu, posiada równowagę bądź co bądź niestałą i dlatego przedstawia wielkie trudności w sterowaniu. Słusznie zauważa Nimführ [3], że człowiek stworzony do chodzenia po ziemi zbyt mało ma rozwinięty zmysł równowagi, by mógł się jedynie na swej zręczności i wprawie opierać do utrzymania jej w trójwymiarowej przestrzeni. Czuł to dobrze Chanute, gdy w swych próbach dążył do wynalezienia sposobu do utrzymywania automatycznej równowagi. Sądzimy raczej, że przyszłość należeć będzie do takiego przyrządu, który, wzniósłszy się z miejsca, może za pomocą śruby powietrznej, w górze roztworzy skrzydła i opierając się po części na zasadzie dzisiejszych aeroplanów, latać będzie po przestworzach z nieomal automatyczną i stałą równowagą [4]. Lecz awiatyka to zbyt nowa dziedzina, by można się spodziewać tak szybkiego wydoskonalenia. Zapewne wynalazcy dzisiejszych przyrządów oszołomieni swymi sukcesami zbyt mało jeszcze myślą o mozołach, jakie ich lub ich naśladowców czekają. Ale pewnie

[1] Rzecz zdaje się do przewidzenia nawet z punktu widzenia teoretycznego, jak wykazać usiłował Renard, mówiąc o słabej wydatności śruby powietrznej podtrzymującej. Pr. *Compte rendu de l'Académie de sciences* 23, nov. 1903, 7. déc. 1903.

[2] Tak Ferber w wyżej wzmiankowanem dziele, str. 8.

[3] *Die Luftschiffahrt.* Lipsk, wyd. II, 1910, str. 144.

[4] Że rzecz nie jest niemożliwa do osiągnięcia, wykazują choćby próby Cornu i Bréguet'a.

w niedługim czasie wezmą się do gruntownych dalszych badań. Niesłusznie podaje się szybki rozwój statków parowych lub samochodów za przykład, by stąd wnioskować o dalszych losach awiatyki. Tam zasady statków np. znane już były od wieków, chodziło tylko o jeden moment: zastąpienie siły ludzkiej lub wiatru siłą maszyny parowej. Tu zaś mamy do czynienia z nową zupełnie dziedziną, w której niejednej jeszcze próby, niejednego zawodu, wspólnej akcyi wielu umysłów i całych pokoleń może potrzeba będzie, by dojść do zupełnego opanowania atmosfery.

Wspomnieliśmy wyżej, że przyszłość jednak należeć będzie najprawdopodobniej do przyrządów cięższych od powietrza, nie do balonów. Winniśmy jeszcze czytelnikom na zakończenie uzasadnienie i uzupełnienie tej myśli. Mówiliśmy już, że balony przedstawiają się jako przyrządy o wiele droższe w wykonaniu niż aeroplany lub podobne im typy [1]. Dotychczas wprawdzie przewyższają sterowce tak znacznie swym ogromem pomysły Wrightów lub Voisinów, że potrafią wziąć na swój pokład, że tak rozszerzymy terminologię okrętową, do kilkunastu ludzi nawet, jak np. balon Zeppelina. Pod względem wydatności jednak nie dadzą się porównać z dynamicznymi przyrządami. Nie licząc już ilości wielkiej gazu, która mimo tak wydoskonalone już dziś sposoby produkcyi znacznych wymaga kosztów, potrzebują stosunkowo silniejszych o wiele motorów. W balonie Zeppelina np. przypada na jednego pasażera siła około 20 koni parowych, a osiągnął w spokojnej atmosferze największą szybkość 54 km. na godzinę, podczas gdy aeroplan Wrightów np. z motorem o sile 25 koni może wziąć dwie lub trzy osoby na pokład i prześcignąć balon Zeppelina. Mówiliśmy już, że spodziewają się śmielsi awiatorzy osiągnąć szybkości znacznie większe [2], 100 i 150 km. na godzinę i nie można im odmówić szans zbliżenia się do tego pragnienia,

---

[1] Koszta takiego Zeppelina liczą się na milion do dwu milionów marek, podczas gdy np. krakowscy wynalazcy obliczają koszta swego przyrządu na okrągło 12.000 koron.

[2] Dziś osiągnięto już szybkość 75 km. na godzinę. Dla większych prędkości oczywiście sprawa nie będzie tak łatwą, gdyż do podwojenia szybkości aeroplanu w równych zresztą warunkach nie wystarczy motor dwa

o którem w dzisiejszych warunkach przynajmniej nawet marzyć nie mogą aeronauci. Kto wie nawet czy przy wydoskonaleniu awiatyki nie dojdą technicy do tego, że pokaźną ilość podróżnych, choćby tylu, ilu hr. Zeppelin dziś ze sobą bierze, potrafią przyjąć na uczestników swych powietrznych podróży, czy przy dalszych udoskonaleniach nie będzie dawał awiator o wiele większych gwarancyi bezpieczeństwa swym gościom niż balon, u którego niebezpieczeństwo pożaru np. nigdy zupełnie usuniętem nie będzie [1]. A zresztą aeroplan, choćby wiozący tylko trzech lub czterech podróżnych, mknący z szaloną szybkością najkrótszą, bo prostą drogą i bez żadnych przeszkód przez ocean atmosfery, wyrobi się zapewne na wygodny środek do nadzwyczaj szybkich komunikacyi, przewyższający wszystkie dotychczasowe. Zostawi balonowi cele wojskowe, które ten zawsze miał w pierwszym rzędzie na oku, lub podróże w znacznej wysokości, do których bezsprzecznie balon jest zdatniejszy.

Ale nie przesądzajmy przyszłości. Faktem jest, że dziś już myślą poważnie o powietrznej komunikacyi balonowej między Berlinem a Düsseldorfem, która podobno już tego roku ma dojść do skutku, podczas gdy aeroplan, jako młodsze dziecko pomysłowości ludzkiej, jest dotychczas tylko przedmiotem sportu i popisów niewielkiej liczby zapaleńców. Szybki rozwój tej dziedziny techniki jednak każe się spodziewać, że nie tak daleka przyszłość zachowuje sobie jeszcze większe tryumfy awiatyki.

Ks. Józef Sawicki.

---

razy silniejszy przy tej samej wadze, opór bowiem proporcyonalny jest do trzeciej potęgi prędkości (tak Renard, Pénault, Ferber). Ferber podaje (str. 246) jako maksymalną t e o r e t y c z n ą szybkość w warunkach zresztą nie tak trudnych do osiągnięcia (wydatność śruby 0.8, kąt zaczepienia 0.05, ciężar motoru 3 kg na konia parowego, ale suponując, że motor zajmuje połowę całego ciężaru) 360 km. na godzinę. Oczywiście nie tylko, że w praktyce ta szybkość nie dałaby się całkowicie osiągnąć, nadto warunki praktyczne takiego aeroplanu byłyby bardzo niedogodne.

[1] Przypominamy sterowiec francuski *Pax*, który spłonął w powietrzu nad Paryżem r. 1902, powodując oczywiście śmierć swych pasażerów, a zeszłego roku sterowiec *République*, u którego skrzydło śruby oderwane przebiło powłokę, runął z wysokości 200 m. i spowodował natychmiastową śmierć swych czterech pasażerów.

NEOSLAWIZM.

(Dokończenie)

Neoslawizm jest, można powiedzieć, uzachodnieniem i ucywilizowaniem dawnego kierunku panslawistycznego. Cały rozwój polityczny i wzrost potęgi rosyjskiej opierał się w wysokim stopniu na idei panslawistycznej, oddanej w służbę państwowości rosyjskiej, podobnie jak prawosławie. Rosya występowała w panslawizmie jako reprezentant i opiekun mniejszych ludów słowiańskich w przeciwstawieniu do innych narodów europejskich; Rosya, jako jedyne potężne państwo słowiańskie, miała innych Słowian bronić przed naporem tak Niemców jak i Turków, miała zabezpieczyć im prawa bytu i rozwoju. W zamian za to drobniejsze narody słowiańskie poddawały się niejako protektoratowi i rządom — bezpośrednim czy pośrednim — rosyjskim, uznawały w Rosyi formalnie pierwszego pomiędzy równymi, w istocie rzeczy pana i przewodnika.

Taka koncepcya była nader dogodna dla rządu rosyjskiego, a Słowianie bałkańscy, a częściowo i austro-węgierscy, przyjmowali ją nieraz pod naciskiem chwilowych trudności, jakkolwiek niewątpliwie z poważnemi zastrzeżeniami. Rosyi takie stawianie kwestyi słowiańskiej uzasadniało lub upozorowywało mieszanie się w wewnętrzne sprawy Turcyi, nawet w oczach reszty Europy, w drugiej zaś linii robiło z Rosyi groźnego nie tylko orężem, ale i ideowymi wpływami przeciwnika dla monarchii Habsburgów. Panslawizm pozwalał na zdobywanie coraz to nowych

prowincyi i uprawnień na Bałkanie i w Azyi Mniejszej, a zarazem służył bardzo skutecznie zabezpieczeniu się od sąsiada, na Wschodzie najgroźniejszego, bo najwięcej zainteresowanego.

Pewien przełom w pochodzie i wyzyskaniu dla państwowości rosyjskiej panslawizmu, stanowi utworzenie księstwa bułgarskiego po ostatniej wojnie rosyjsko-tureckiej. Walki w latach 1877—1878 były połączone z tak wielkiemi dla Rosyi ofiarami, tak bardzo zachwiały jej stanowiskiem w Europie, że gdy wreszcie udało się jej wojnę zwycięsko zakończyć, zapragnęła korzystać w całej pełni ze swego zwycięstwa. Bułgarya, która zawdzięczała Rosyi swój byt polityczny, miała być w rzeczywistości jej prowincyą, wyposażoną wprawdzie w pewną autonomię, ale w gruncie rzeczy pozbawioną prawa samoistnego decydowania o swych losach.

Bułgarya okazała wbrew wszystkim przewidywaniom tyle zmysłu politycznego i organizacyjnego, że rządy rosyjskie skończyły się tam bardzo prędko. W siedem lat po traktacie berlińskim, przychodzi do przyłączenia Rumelii i pobicia Serbii; misya Kaulbarsa, który potem wsławił się swą nieudolnością na polach mukdeńskich, nie udaje się; Bułgarya zdobywa rzeczywistą niezawisłość. Aleksander III, dotknięty do żywego tem niepowodzeniem swej polityki, wprowadza zasadę boczenia się: Rosya wycofuje się na pozór z kwestyi bałkańskich, tamtejsze ludy pozostawia własnemu losowi. Nowy ten system osłabia w wysokim stopniu ruch panslawistyczny, który był jednym ze środków polityki państwowej. Skoro na pewien czas zmieniła się jej oryentacya, panslawizm staje się zbędny, a nawet niewygodny; pod nakazem więc rządu przycichnął, pozornie zginął.

Niemal równocześnie jednak powstają w innych państwach europejskich prądy podobne, choć o istocie bardzo różnej — kierunki rasowe i imperyalistyczne. Ciężar zbrojnego pokoju, przygniatający Europę od r. 1870, ugrupowanie państw kontynentalnych w dwa wielkie systemy trójprzymierza i sojuszu francusko-rosyjskiego, coraz wybitniejsze stanowisko Stanów Zjednoczonych w polityce wszechświatowej — a przy tem wszystkiem nader potężne wzmożenie się aspiracyi narodowych i tendencya ekspansyi poszczególnych państw, natrafiająca u innych na poważne prze-

szkody — wywołują i w Europie zachodniej kierunki, które podkreślają pokrewieństwo rasy, jako łącznik społeczeństw rozdzielonych historyą i granicami politycznemi. Najpierw występuje we Francyi ideą związku rasy łacińskiej, która ma oderwać Włochy od Berlina i Wiednia; potem Niemcy, odurzeni swem nagłem wysunięciem się na czoło kontynentu, zaczynają propagować tendencye pangermańskie, wreszcie i w Anglii pojawia się potężny prąd, zmierzający do silniejszego zjednoczenia kraju macierzystego z koloniami i ścisłej przyjaźni z północną Ameryką, znany pod nazwą imperyalizmu.

Nie sądzę, ażeby dla oceny polityki rasowej miało znaczniejszą doniosłość rozstrzygnięcie pytania, czy przynależność do tej samej rasy stanowi dostateczną podstawę dla wytworzenia solidarności w życiu publicznem. Mojem zdaniem nie można tu dać odpowiedzi, któraby wszędzie i zawsze dała się zastosować, gdyż należy odróżnić solidarność z kimś od solidarności przeciw komuś, przy której każdy węzeł łączący pewne grupy do walki może się okazać wystarczający. Ważniejszem natomiast jest inne zagadnienie, mianowicie rozstrzygnięcie pytania, kiedy i dla kogo podkreślenie rasowego pokrewieństwa może być korzystne. Zdaje mi się, że może to zajść tylko w dwóch wypadkach. Najpierw gdy społeczeństwo sądzi, że posiada nadmiar sił. Dążąc więc do ekspansyi, przypomina pokrewnym, drobniejszym szczepom swe powinowactwo z nimi, ażeby na tej podstawie wysunąć się na ich czoło, uzyskać stanowisko protektora, czy opiekuna. Jeżeli to wezwanie będzie przyjęte, t. zn. jeżeli jakiś słabszy naród, zagrożony przez silniejszego nieprzyjaciela, dojrzy w tem dla siebie pożądaną pomoc, natenczas ujrzymy pierwszy rodzaj polityki rasowej. W gruncie rzeczy będą to tylko jej pozory, bo społeczeństwo silniejsze prowadzi właściwie politykę własną, narodową czy państwową, nadając jej tylko zewnętrzną formę akcyi rasowej. Z drugiej znowu strony naród słabszy, może w dwojakiem znaleźć się położeniu. Albo straciwszy nadzieję utrzymania swego samoistnego bytu z góry liczy się z ewentualnością zlania się z potężnym swym protektorem, albo pragnie tylko użyć jego pomocy do swoich własnych celów. W pierwszym razie rasa ma tu zna-

czenie tylko pewnego złagodzenia nieszczęśliwego losu, t. zn. mamy tu do czynienia z pogodzeniem się z narodową polityką silniejszego, a wybiera się pomiędzy nimi tylko sympatyczniejszego, bliższego. W drugim niema także solidarności rasowej, tylko wyzyskanie tej myśli dla innych celów. Dlatego podnosi się jednolitość pochodzenia, ażeby uzyskać pomoc; akcentuje się tę solidarność tak długo, dopóki grozi niebezpieczeństwo z innej strony. Skoro zaś ono zmniejszy się lub zniknie, zapomina się o tej łączności z pokrewnym narodem, bo zbytnie jej akcentowanie może doprowadzić do tego, że przejdzie się mimowoli w ewentualność omówioną poprzednio, t. zn. w zgodę na zlanie się z owym potężnym opiekunem.

Ta pierwsza forma polityki rasowej pokrywała się właśnie z panslawizmem. Zupełnie inaczej przedstawia się polityka rasowa na zachodzie. Geneza jej jest niewątpliwie podobna, bo rozchodzi się również o wzmocnienie stanowiska spokrewnionych rasą narodów na arenie międzynarodowej. Lecz podczas gdy w panslawizmie jedni są protektorami, drudzy protegowanymi, jedni kierują a inni mają być posłuszni, idea rasowości europejska opiera się na zasadzie równouprawnienia. Narody romańskie, germańskie, czy anglosaksońskie, mają się zbliżyć do siebie i porozumiewać, ażeby o ile możności występować razem we wszystkich sprawach o doniosłości, wychodzącej poza granice jednego państwa. O jakiejś przewadze jednego państwa w stosunku do innych, o hegemonii w obrębie takiej grupy rasowej niema tu mowy; zupełna równość ma w połączeniu ze wspólnością historyi, kultury i rasy wytworzyć jedność działania.

Kierunek ten liczy się przedewszystkiem z równością, która dzisiaj stanowi niezaprzeczenie najważniejszą podstawę naszej publicznej organizacyi. O tyle stoi on znacznie wyżej od programu panslawistycznego, opartego o hegemonię Rosyi. Niepodobna jednak nie dostrzedz, że i w Europie zachodniej hasła rasowe dążą i prowadzą w gruncie rzeczy do zapewnienia państwu najsilniejszemu przewagi nad innymi spowinowaconymi ludami, jakkolwiek to dominujące stanowisko nie jest w nich wynikiem żadnych

specyalnych uprawnień. W unii łacińskiej, pomimo zupełnej równości formalnej, Francya zajmie z pewnością przodującą rolę i pokieruje Belgią, Hiszpanią a nawet Włochami, bo tekst jakiegoś układu nie może przecież nigdy przełamać realnych stosunków. To też polityka rasowa i tutaj okaże się dla narodu najsilniejszego z danej grupy zawsze korzystną, bo na każdem polu wzmocni jego stanowisko, natomiast dla państw słabszych taki związek tylko w pewnych szczególnych wypadkach okaże się użytecznym. Wielkie państwo, które należy do związku rasowego, reprezentuje w gruncie rzeczy całą grupę i stąd wszędzie liczą się nie tylko z jego własnemi siłami, lecz także i z faktem, że za niem idą także i mniejsi. A ponieważ interesy takiego państwa są nader różnorodne, ponieważ pragnie ono we wszystkich sprawach i na wszystkich punktach świata swój wpływ zaznaczyć, przeto wprowadza drobniejsze narody w położenie nieraz trudne, naraża je na niebezpieczeństwo z powodu wypadków, dla nich samych nieraz zupełnie obojętnych. Słowem powstają siłą rzeczy stosunki, w których zachodnio-europejska teza polityki rasowej, jakkolwiek zasadniczo zupełnie odmienna od panslawizmu, w skutkach swych jest dla silniejszych równie dogodna, dla słabszych równie uciążliwa i niebezpieczna.

Neoslawizm, nadając panslawizmowi cechy zachodnio-europejskie, miał kulturalnie i ekonomicznie jednoczyć wszystkie ludy słowiańskie na zasadzie sprawiedliwości i równouprawnienia w życiu publicznem. Wskutek brutalnie antypolskiej polityki rządu rosyjskiego, która i w społeczeństwie rosyjskiem znajduje poparcie, neoslawizm stracił na razie wszelkie znaczenie dla polityki praktycznej. Pozostało zawsze jednak do rozstrzygnięcia pytanie, czy kierunek ten miał kiedykolwiek warunki powodzenia i czy może liczyć na zdobycie naszej opinii publicznej w przyszłości.

Chcąc na to odpowiedzieć, musimy przedewszystkiem pamiętać, że o t. zw. solidarności słowiańskiej decyduje i będzie decydował wzajemny stosunek dwóch narodów: Polaków i Rosyan. Jest to naturalnym wynikiem rozwoju dziejowego, jakoteż warunków terytoryalnych, kulturalnych i politycznych Słowiań-

szczyzny. Narody słowiańskie południowe — tak w Austro-Węgrzech jak i na Bałkanie — z jednej strony muszą ciągle bronić się wobec naporu niemieckiego, włoskiego i węgierskiego, z drugiej zaś najśmielsze ich marzenia nie wychodzą poza ciasne stosunkowo granice. Wprawdzie i pomiędzy nimi występują różne kwestye sporne, o które namiętne toczy się walki, ale ostatecznie są to sprawy albo drugorzędne, jak antagonizm serbsko-bułgarski z powodu pewnych okręgów macedońskich, albo natury lokalnej, jak walka serbsko-kroacka. Ideały polityczne południowo-słowiańskie, w kształcie wielkiej Serbii, wielkiej Bułgaryi czy trójkrólestwa kroackiego, przedstawiają się pomimo swych nazw, jako dążenia w gruncie rzeczy skromne, których urzeczywistnienie miałoby niewątpliwie wielką doniosłość dla samych interesowanych, ale niewieleby oddziałało na stosunki ogólno-europejskie lub też ogólno-słowiańskie. W każdym razie niema pola, o które Słowiańszczyzna południowa mogłaby walczyć z północną, niema zarazem obawy, ażeby narody południowo-słowiańskie mogły kiedykolwiek zdążać do hegemonii w świecie słowiańskim. Idea słowiańska — panslawizmu czy neoslawizmu — może być dla nich jednym ze środków obrony wobec innych; poparcie Rosyi, użyczone w wyższym stopniu jednemu z tych narodów niż innym, może mu zapewnić nad nimi pewną przewagę — lecz na tem kończy się wszystko. Wobec rywalizacyi tylu mocarstw, niema przynajmniej na długo obawy, ażeby Rosya mogła te kraje opanować, a dla niej samej rola szlachetnego a potężnego opiekuna jest również pozbawiona jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, gdyż różnica sił jest tak olbrzymia, że tam nie wyrośnie nigdy żaden poważniejszy konkurent. Akcentowanie więc wspólności rasowej zapewnia obu stronom pewne polityczne korzyści, stąd też popularność idei słowiańskiej w południowej Słowiańszczyźnie jest zupełnie naturalna. Zarazem każde silniejsze państwo, które na południowym wschodzie Europy zechce odgrywać pewną rolę, będzie szukało jakiegokolwiek powodu, ażeby wystąpić w charakterze protektora tamtejszych ludów. Dowodem tego przyjaźń francusko-grecka, czarnogórsko-włoska, a nawet, jak dawniej, raz austryacko-serbska, raz austro-bułgarska, obecnie

znowu austro-rumuńska. Przystąpienie przeto ludów południowych do idei neoslawizmu nie może jej zapewnić żadnej siły wewnętrznej, bo jest wynikiem chwilowych interesów, którym w danej chwili neoslawizm najlepiej odpowiada. W razie zmiany stosunków, jego miejsce zastąpi przyjaźń austryacka, turecka, angielska lub jakakolwiek inna, byleby tylko chwilowo korzystniejsza.

W drugim rzędzie przychodzą Czesi, obecnie główni propagatorowie idei neosłowiańskiej. Pomimo imponującego rozwoju narodu czeskiego w ostatnich kilkudziesięciu latach, należy stwierdzić, że najpierw stanowią oni naród liczebnie stosunkowo niewielki, a powtóre że walka z Niemcami stanowi dla nich najważniejszy problemat życia publicznego. Walka ta, która toczy się od dziesięciu wieków, wywoła dwa skutki, dla naszej kwestyi nader doniosłe: terytoryalne skupienie się narodu czeskiego na małej przestrzeni i przeświadczenie o konieczności sojuszników, którzyby wsparli siły czeskie. Czesi, jako najbardziej wysunięty na zachód większy szczep słowiański, musieli przez cały ciąg swoich dziejów zmagać się z naporem niemieckim. Stosunek sił był zawsze dla nich nader niekorzystny, to też niegdyś nie mogąc utrzymać swej niezależności, stali się częścią cesarstwa niemieckiego, obecnie nie licząc razem dziesięciu milionów, stoją wobec siedem razy większej ludności niemieckiej. Jasną wobec tego jest rzeczą, że Czesi nie mogli nigdy myśleć o jakiejkolwiek znaczniejszej ekspansyi terytoryalnej, że jedynie zwarty, koncentryczny odpór mógł ich ochronić przed wynarodowieniem. W istocie, obszar zamieszkiwany przez naród czeski nie dochodzi do 100.000 klm², jest więc znacznie mniejszy od samego Królestwa Polskiego, a ilość Czechów, mieszkających poza swemi etnograficznemi granicami jest stosunkowo nieznaczna, bo niepodobna było myśleć o posuwaniu się na północ i zachód, wobec przeważającej potęgi niemieckiej, a od południa i wschodu, t. zn. od krajów słowiańskich, również oddzielał Czechów szeroki pas osad niemieckich. I dzisiaj jeszcze, gdy dla Czechów stosunki ułożyły się znacznie korzystniej, ekspansya ich jest względnie niewielka, występując tylko na niewielkich obszarach pogranicza: na Śląsku i w Austryi Niższej. Stąd też Czesi dla innych Słowian, przynajmniej na razie, nie są nie-

bezpieczni. Walcząc jedynie z nami o mały kawałek Śląska, z konieczności wszystkie swe siły zwracają przeciw Niemcom.

Różnica sił czesko-niemieckich wytworzyła zarazem dla Czechów położenie podobne do stosunków południowo-słowiańskich, t. zn. konieczność szukania pomocy u innych narodów. Z natury rzeczy zwrócono się przedewszystkiem do tych, w których można się było dopatrzeć pewnej wspólności interesów, a więc do innych Słowian. Niewątpliwie stosunek Czechów do poszczególnych ludów słowiańskich nie jest jednakowy, bo oczywista, że kieruje nim przedewszystkiem własny, nader konsekwentnie i wytrwale chroniony interes narodowy. Czesi, jakkolwiek muszą się ciągle opierać nawale niemieckiej, poczynili — może właśnie dzięki tej bezustannej grozie — ogromne postępy na wszystkich polach; są dziś, od Niemców słabsi liczebnie, lecz dorównują im siłami wewnętrznemi. Stąd też chodzi im nie tyle o pomoc dla utrzymania swego bytu, ile o wzmocnienie się liczebne, o częściowe przynajmniej usunięcie tej ilościowej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy nimi a Niemcami. Stojąc kulturalnie i ekonomicznie znacznie wyżej od wielkiej ilości innych Słowian, pragną w obrębie monarchii austryackiej przeciwstawić Niemcom Słowian pod swem kierownictwem. Podkreślają przeto wspólność słowiańską, wiedząc doskonale, że w niej nie zniknie ich narodowość, lecz prowadząc innych, tylko się wzmocni. Takim w gruncie rzeczy jest stosunek Czechów do południowych Słowian w Austryi. Opiera się on na przeświadczeniu, że siłą rzeczy przyjdzie do ideowej hegemonii czeskiej nad tymi ludami, przedstawia się jak gdyby kulturalna i ekonomiczna ekspansya.

Inaczej już należy oceniać sympatye czesko-rosyjskie. Czesi, naród w całym swym rozwoju, bycie i działaniu kulturalny i zachodnio-europejski, nie może obawiać się wpływu rosyjskiego, o ile nie zaznaczyłby się on siłą fizyczną, t. zn. w dziedzinie politycznej. Dlatego też panslawizm, neoslawizm i wogóle tak powszechne w Czechach kokietowanie z Rosyą, służy z jednej strony za groźbę dla Niemców, z drugiej zaś ma dostarczać szerszej podstawy dla polityki słowiańskiej w obrębie austryackiej monarchii. Mimo wszystkie frazesy i komplimenty tak Rosya jak

i Czechy, zdają sobie doskonale sprawę, że wzajemna ich przyjaźń powstała tylko dlatego, iż Rosya może nią szachować Niemców, a Czesi przyciągnąć innych Słowian. Zresztą nie może ona wydać żadnego innego rezultatu.

Polityka słowiańska jest przeto u Czechów zupełnie zrozumiała. Jednakże jakkolwiek posiada ona etykietę wszechsłowiańskości, jest w gruncie rzeczy zamkniętą w terytoryalnych granicach monarchii habsburskiej, wskutek czego udział Czechów w neoslawizmie nie może mu nadać żadnego poważniejszego znaczenia międzynarodowego. Walka czesko-niemiecka, która od pół wieku zaciężyła na wewnętrznej polityce Przedlitawii, nabrała w naszych oczach nadmiernego znaczenia, właśnie dlatego, że w wielu kierunkach bezpośrednio nas dotyka. Patrząc na nią jednak ze stanowiska przedmiotowego, musimy przyznać, że jest to wewnętrzna sprawa jednego państwa, tak, że poza jego granicami, nie widać już jej wpływu. Czesi mogą żądać zmiany obecnego ustroju Austro-Węgier, walczyć o stworzenie królestwa czeskiego, a nawet dążyć do zajęcia w monarchii dominującej pozycyi, ale nie mogą zmierzać do zmiany granic państwowych w stosunku do zagranicy. W razie istotnej walki międzynarodowej, stanowisko ich jest określone z góry własnym ich interesem; o tem ażeby poszli z innymi Słowianami przeciw Austro-Węgrom nie może być mowy. Nie mając więc z innemi państwami słowiańskiemi spraw spornych, Czesi nie osłabiliby ich stanowiska, choćby w ruchu słowiańskim nie wzięli udziału; nie mogąc idei wszechsłowiańskiej do ostatecznych doprowadzić konsekwencyi, nie wzmacniają jej realnie, choć ją przyjęli: rola ich w neoslawizmie, pozornie pierwszorzędna, w istocie rzeczy jest pozbawiona większego znaczenia.

Zupełnie inaczej przedstawia się stosunek Polaków do neoslawizmu. Rzeczywiste przystąpienie do tego kierunku naszego narodu nadałoby mu istotnie pierwszorzędną doniosłość, a Rosyę, jako przodujące państwo słowiańskie, wzmocniłoby niepomiernie. Walka polsko-rosyjska, trwająca od wieków, jest właściwie sporem o hegemonię w Słowiańszczyźnie, przynajmniej północno-wschodniej. Pomimo utraty niepodległości, walka ta wre dalej

i siłą rzeczy osłabia siły rosyjskie. Rosya, zająwszy w ciągu XVIII wieku naszą dawniejszą pozycyę, rozpoczęła od razu politykę antypolską, w nadziei, że wobec wielkiej przewagi swych sił, potrafi w krótkim czasie zgnieść wszelkie uprawnione dążenia narodu polskiego, potrafi zdobycz polityczną uzupełnić zarazem podbiciem ideowem, t. zn. wyplenić myśl o tem, ażeby Polacy kiedykolwiek mogli być czemś innem, jak tylko milionami poddanych rosyjskich. Polityka łączenia przez łagodzenie antagonizmów a podkreślanie interesów wspólnych, polityka prowadząca do kojarzenia przez zapewnienie podbitym i zabranym odpowiednich warunków narodowego i społecznego rozwoju, była i jest Rosyi zupełnie nieznana. Postawiono zasadę zgniecenia Polaków i prowadzi się ją konsekwentnie od pierwszego rozbioru na wszystkich polach, jakkolwiek raz wyraźnie gnębiących, czasami łagodniejszych do tego używa się środków. Z pewnością polityka ta, o ile nie jest wynikiem egoistycznych interesów biurokracyi, opiera się na przekonaniu, że wielki naród, który swobodnie będzie się rozwijał, prędzej czy później zapragnie niepodległości. Bez względu na to, czy ten pogląd jest słuszny i czy miał on znaczenie ze względu na postulaty bieżącej polityki, która przecież liczy się zawsze z potrzebami stosunkowo niezbyt długiego okresu, należy stwierdzić, że system, który miał odwrócić to niebezpieczeństwo, wydał rezultaty wręcz przeciwne. Polacy uciemiężani na każdym kroku, tem prędzej zrywali się do walki o niepodległość, bo odzyskanie własnego państwa stawało się dla nich nieodzowną potrzebą życia narodowego. Ustępstwa dla Polaków groziły może tendencyami separatystycznemi w dalszej przyszłości, lecz ucisk z konieczności prowadził do powstań i rewolucyi.

Walki tylokrotnie podejmowane przez naród polski, kończyły się zawsze nieszczęśliwie, lecz zwycięstwo i idące w ślad za niem większe jeszcze prześladowania, nie wzmacniały bynajmniej Rosyi. Pogłębiała się tylko wzajemna nienawiść, stosunek obu narodów stawał się coraz gorszy. To też kwestya polska musiała się odbić na stosunku Rosyi do Słowiańszczyzny i na międzynarodowem stanowisku caratu. Śmieszną wprost było rzeczą de-

klamować o solidarności i miłości słowiańskiej, gdy równocześnie nie cofało się przed żadnym uciskiem wielkiego narodu słowiańskiego, jedynego, wobec którego tę solidarność i miłość można było zamanifestować praktycznie. Położenie Polaków, wskazując namacalnie innym, jaki byłby ich los, gdyby spełniły się marzenia Rosyi co do Konstantynopola, musiało otrzeźwiająco wpływać na te narody, które jeszcze nie dostały się pod panowanie potężnego protektora. A obok tego na ogromnych przestrzeniach, które niegdyś stanowiły Rzeczpospolitą, Europa widziała rozsiadły naród, gnębiony lecz nie zgnieciony, a Rosyi wrogi. Musiało to osłabiać jej polityczne stanowisko.

Wreszcie sprawa polska nie przestała być i nadal jednem z ważniejszych zagadnień polityki międzynarodowej. Rozebrano państwo polskie, wykreślono je z politycznej karty Europy, ale nie zdołano zniszczyć tych wszystkich polityczno-społecznych zjawisk, które były wynikiem dziesięciowiekowego wpływu Rzeczypospolitej, nie zdołano przedewszystkiem uchylić doniosłych skutków dla stosunków międzynarodowych samych rozbiorów. Polska utraciła swą niepodległość, ale wielki, przeszło dwudziestomilionowy naród polski pozostał i nie tylko nie uronił niczego ze swej żywotności, lecz ją tylko umocnił i rozwinął we wszystkich kierunkach. To też sprawa polska musiała się stać poważnym problematem dla wszystkich trzech państw porozbiorowych, a tem samem dla całej Europy. Wybitne stanowisko polityczne Polaków w Austro-Węgrzech i eksterminacyjna polityka Prus i Rosyi wychodzą swą doniosłością daleko poza ramy ważnej choćby sprawy domowej. Polacy stanowią mimo podziałów zwartą jednolitą całość, która z konieczności wchodzi w stosunki z państwami, stanowiącymi swą ludnością pół Europy — i właśnie dlatego żadne z tych mocarstw nie może załatwić kwestyi ogólno-polskiej w obrębie swej polityki wewnętrznej.

W każdym jednak razie sprawa polska przedstawia się zupełnie inaczej pod zaborem rosyjskim, aniżeli w Niemczech lub Przedlitawii. Stosunek liczebny, gospodarczy i kulturalny dzielnic polskich do Prus jest dla nas o tyle niekorzystny, że mamy do czynienia z narodem i nastrojem prawno-publicznym od nas prze-

ważnie znacznie silniejszym. Z jednej strony przedstawia to dla polityki wynarodowienia pozornie szanse powodzenia, z drugiej zaś wyklucza z góry po stronie polskiej wszelkie aspiracye rozszerzenia wpływu żywiołu polskiego poza jego właściwe etnograficzne i historyczne granice. Prusy w najlepszym dla nich razie, gdyby Polacy w ich zaborze wyginęli zupełnie, nie zyskałyby wiele, na odwrót zaś mogłyby pozostać i nadal potężnem państwem, choćby utraciły wszystkie dzielnice polskie. Tak częste akcentowanie tam niebezpieczeństwa polskiego jest śmieszną i niezręczną wymówką, mającą usprawiedliwić niegodną nowożytnej cywilizacyi politykę hakatystyczną — niczem więcej. Galicya dla Austryi i jej mocarstwowego stanowiska nie jest również niezbędna, zresztą od blizko pół wieku udało się tu kwestyę polską wprowadzić na takie tory, że w polityce bieżącej nie ma żadnego poważniejszego antagonizmu między interesem ogólno-państwowym a rozwojem i dążeniami tej części narodu polskiego, która dostała się pod panowanie dynastyi Habsburgów.

Natomiast państwo rosyjskie było przed rozbiorami w gruncie rzeczy mocarstwem azyatyckiem, które tylko w pewnych specyalnych warunkach mogło oddziaływać na losy Europy. Europejskie stanowisko uzyskała Rosya dopiero przez zagarnięcie najznaczniejszej części Rzeczypospolitej, pewność przeto posiadania dzielnic polskich jest dla Rosyi kwestyą politycznego bytu. Z drugiej znowu strony pod jej panowanie dostała się największa część Polski i cały niemal obszar, na którym od wieków odbywała się ekspansywna praca cywilizacyjna Polaków. Na ogromne przestrzenie Litwy i prowincyi ruskich skierowywały się od trzech stuleci wszystkie prawie wysiłki tak indywidualnej jak i zbiorowej naszej działalności. Być może, że wskutek tego ułatwiliśmy wrogom zwycięstwo, zaniedbawszy pracy nad rozwojem rdzenia Polski, lecz w każdym razie pokojowa, kulturalna i gospodarcza kolonizacya południa i wschodu, tak wielkim uwieńczona rezultatem, pozostanie zawsze świetną kartą naszych dziejów, niezbitym dowodem wyjątkowej energii i żywotności narodu. Bez ucisku i gwałtu, nie gnębiąc ani wynaradawiając, Polacy umieli na Litwie i Rusi tak poważne zająć stanowisko, a ich kultura i umysłowość tak głębokie

zapuściła tam korzenie, że stuletnie przeszło wysiłki zaborczego rządu, nie cofające się przed żadnym, choćby najbrutalniejszym środkiem, nie zdołały zniszczyć tego rezultatu.

Dzięki tym stosunkom, polityka rosyjska w kwestyi polskiej posiada, można powiedzieć, dwie strony, wewnętrzną i zewnętrzną. Wewnętrzna jest polityką gwałtu i eksterminacyi, zewnętrznej odpowiadałby najlepiej kierunek neoslawistyczny, o ileby zyskał zwolenników między Polakami, a nie towarzyszyły mu żadne ulgi na rzecz naszą w zakresie wewnętrznym. Po prostu stanowisko Rosyi w stosunku do nas, da się zamknąć w następujących tezach. Przedewszystkiem Polaków należy gnębić jak najbardziej, ażeby ich o ile możności wytępić czy wynarodowić i w ten sposób pozbyć się raz na zawsze obaw o dawne dzielnice polskie. Ponieważ jednak ostateczny rezultat tej polityki jest bardzo wątpliwy, a co najmniej bardzo odległy, byłoby pożądanem, ażeby za granicą panowało przeświadczenie, że Polacy pogodzili się ze swym losem i całą swą przyszłość widzą w państwowości rosyjskiej, jako jedynej sile, która może ich obronić przed germanizacyą.

Zasady te stosuje się w Rosyi od długich lat z wielką konsekwencyą. Jeżeli hakatystyczna polityka pruska oburza nas więcej od ucisku rosyjskiego, to tłumaczy się to przedewszystkiem tem, że na Prusach, jako państwie cywilizowanem i praworządnem, cięży etycznie większa wina, gdy nas wyzuwa z najważniejszych praw ogólno-ludzkich, aniżeli na Rosyi, której daleko jeszcze do kultury i etyki europejskiej. Mimo to należy stwierdzić, że hakatyzm właściwie kształci swe pomysły na polityce rządu rosyjskiego. Komisya kolonizacyjna i ustawa wywłaszczająca są tylko korelatem konfiskat i zakazu nabywania ziemi w krajach zabranych; wykluczenia języka polskiego ze zgromadzeń w stolicy Wielkopolski, naśladownictwem zakazu mówienia po polsku w miejscach publicznych, który tak długo istniał w Wilnie; szykany administracyjne i szkolne w Księstwie, słabą kopią nadużyć, których dopuszcza się u nas biurokracya rosyjska. Być może, że politykę wynaradawiania inspirowały Prusy, lecz Rosya jest tym krajem, który pierwszy wypróbowuje każdy nowy jej środek. Przytem w Rosyi nie ma dla nas zupełnie jakichkolwiek pod-

staw prawnych. Każdy przepis, każdą ustawę, skoro tylko wydaje się, że mogłaby Polakom przynieść jakąkolwiek korzyść, zmienia się dowolnie, »wyjaśnia« w sposób dla nas najszkodliwszy, albo co najczęstsze, po prostu pomija zupełnie, a stosuje się do nas normy inne, choćby prawnie nie istniejące, ale gnębiące. A ponieważ mimo wszystko żywioł rosyjski nie bardzo liczy na to, ażeby o własnych siłach mógł nas ostatecznie złamać, więc w dodatku popiera się na naszej ziemi wszelkiemi siłami Niemców i zalewa się Królestwo wrogimi polskości żydami.

Za to, ażeby osiągnąć cel polityki zewnętrznej, prasa rosyjska podnosi od czasu do czasu głos w obronie Wielkopolski, zmagającej się z naporem germanizmu. Podnosi ten głos w imię słowiańskiego braterstwa, lecz trudno o większą perfidyę, gdy się uwzględni, że rząd rosyjski utrudnia nam równocześnie walkę z tym nieprzyjacielem, zakazując naprzykład bojkotu niemieckich towarów i wzmacnia na naszych kresach siłę żywiołu niemieckiego, protegując go na każdym kroku przeciwko polskości.

Ta dwulicowość rosyjska, ta dążność do zajęcia stanowiska opiekuna polskości, przy stosowaniu i nadal systemu bewzględnego jej tępienia, nie mogła jednak, mimo wszystko, wprowadzić w błąd Europy. Walka polsko-rosyjska była i jest powszechnie znana; za granicą nikt nie wierzył, ażeby Polacy rzeczywiście pogodzili się ze swym największym wrogiem. To też i cały panslawizm opierał się na bardzo kruchych podstawach. Skoro tylko Rosya podkreślała swą rolę orędowniczki Słowiańszczyzny, zwracano uwagę na kwestyę polską; gdy jako bezinteresowny przyjaciel zbliżała się zbytnio do któregokolwiek ludu słowiańskiego, ten, przestrzeżony naszym losem, stawał w pozycyi odpornej.

Neoslawizm, o ile przyjęliby go Polacy, zmieniłby ten stan rzeczy w duchu pragnień rosyjskich. Jego ideowa podstawa, że głównem zadaniem Słowiańszczyzny jest obrona przed niebezpieczeństwem niemieckiem, podczas gdy wszystkie inne sprawy mają tylko drugorzędne, wewnętrzne znaczenie, odbierała kwestyi polskiej jej właściwą doniosłość, równając ją z zagadnieniem czeskiem lub kroackiem. Odtąd Słowiańszczyzna występowałaby na zewnątrz zwarcie i jednolicie; dla innych ludów nie byłoby w niej żadnego

rozłamu. A szłaby z konieczności pod przewodnictwem Rosyi, jako jedynego potężnego słowiańskiego państwa, mimo zasadniczego uznania równouprawnienia wszystkich narodów słowiańskich. Rosya osiągnęłaby przeto cel, o który zabiega już od wieku: otrzymałaby mandat zastępowania interesów wszystkich Słowian w koncercie europejskim.

Zwolennicy, nieliczni zresztą, idei neosłowiańskiej u nas, widząc jak ogromne korzyści zapewnia ona Rosyi, spodziewali się, że jeżeli już nie biurokracya, to w każdym razie społeczeństwo rosyjskie potrafi ocenić rozmiar ofiary polskiej na rzecz interesów ogólno-słowiańskich i zajmie wobec naszych potrzeb życzliwe stanowisko. W nadziei przeto, że solidarność słowiańska dopomoże nam do uzyskania znośniejszych warunków bytu pod zaborem rosyjskim, stanęli ci fantaści polityczni na gruncie neosławiańskim bez żadnych zastrzeżeń.

Stało się inaczej. Po krótkiej chwili wzajemnych komplementów i obietnic, polityka antypolska rozpoczęła się ponownie ze zdwojoną siłą. Wiara w społeczeństwo rosyjskie zawiodła najzupełniej, bo z bardzo nielicznymi, ściśle indywidualnymi wyjątkami, Rosyanie okazali dowodnie, że rząd ich odznacza się nienawiścią do wszystkiego co polskie, właśnie dlatego, że nienawiść ta jest zakorzeniona w duszy rosyjskiej.

Zawód ten mógł być bardzo przykry dla tych naszych polityków, którzy mimo tylu dowodów, łudzili się co do wartości społeczeństwa rosyjskiego, lecz z naszego narodowego stanowiska jest raczej korzystny. Wszystkie próby wytworzenia jakiegoś *modus vivendi* między Polską a Rosyą opierały się na ustępstwach, które my mieliśmy poczynić. Czy był to kierunek ugodowy, czy jeszcze niebezpieczniejszy w swych następstwach neoslawizm, zawsze Polacy mieli najpierw z czegoś zrezygnować, ażeby w zamian uzyskać od Rosyi koncesye na innem, stanowczo mniej doniosłem polu. I co gorsza, propagowało się ofiary z naszej strony już z góry, a ulgi wyczekiwano dopiero jako następstw tego pojednawczego stanowiska, tej bolesnej redukcyi naszego narodowego programu.

Neoslawizm zaszedł na tej drodze dalej, niż dawniejsze

próby, bo z jednej strony chciał wywołać w społeczeństwie nastrój mu obcy — pewnego podporządkowania poczucia narodowego pod ogólniejszą ideę wspólności rasowej — a powtóre po raz pierwszy stanowczo i wyraźnie żądał koncentracyi naszych wysiłków jedynie na zachodnich kresach Słowiańszczyzny, rezygnując z rezultatów wiekowych prac na Wschodzie i Południu. Tam nasza rola miała być skończona, jedynym postulatem było zapewnienie pewnych kulturalnych praw dla mieszkających tam Polaków, jako materyalnie, cywilizacyjnie i społecznie poważnej, mniejszości — nic więcej.

To też obecne bankructwo neoslawizmu u nas jest wypadkiem bardzo szczęśliwym, bo chroni społeczeństwo polskie przed chaosem myśli, który mógłby się szerzyć, gdyby wyniesione z praskiego zjazdu illuzye trwały przez czas dłuższy. O ile bowiem neoslawizm, odpowiednio zużytkowany, mógłby być nader użytecznym dla Rosyi, o tyle musiałby nam przynieść bardzo poważne szkody, nawet gdybyśmy uzyskali pewne drobne ulgi pod jego naciskiem.

Przedewszystkiem należy stwierdzić, że wskutek całego naszego dziejowego rozwoju, poczucie jedności słowiańskiej nie stanowiło i nie stanowi u nas żadnego czynnika politycznego Czuliśmy się zawsze zbyt wielkim narodem, ażeby szukać jakościowego czy ilościowego wzmocnienia w wytworzeniu jakiejś większej jeszcze od pojęcia narodowego syntezy. Ponieważ obecnie nie możemy myśleć o hegemonii nad innymi narodami słowiańskimi, jak np. Rosya, przeto podkreślanie naszej słowiańskości wytworzyłoby pewną dwoistość, która musiałaby wpłynąć osłabiająco na siłę poczucia narodowego. Dla potężnego politycznie narodu, akcentowanie wspólności pochodzenia z innymi, jest środkiem do ich opanowania, dla narodu mniejszego lecz niepodległego czynnikiem obrony, lecz dla narodu pozbawionego samodzielnego bytu właśnie przez swych pobratymców, ukrytem przyznaniem, że polepszenia swego bytu może szukać tylko w życzliwości swych zwycięzców, której spodziewa się właśnie z tytułu rasowego pokrewieństwa. Nie potrzebuję chyba dodawać, jak fatalnie takie stanowisko musi oddziałać na poczucie godności narodowej, nie-

wątpliwie jeden z głównych czynników patryotyzmu, jak krępująco wpływa na myśl o ekspanzyi narodowej, bez której trudno myśleć o energii i postępie. Z chwilą, gdy idziemy w imię słowiańskości, rezygnujemy już z góry z możności rozwoju narodowego w tych kierunkach, w których mogłoby dojść do starcia z żywiołem rosyjskim, poprzestajemy na tem, co mamy. A jak w życiu prywatnem tak i publicznem, pozostanie na miejscu jest równoznaczne z cofaniem się i upadkiem.

Rozszerzenie się u nas idei solidarności słowiańskiej byłoby zarazem ostatecznem porzuceniem dziejowej naszej roli na wschodzie Europy. Polska była tym wielkim, samodzielnym łącznikiem między cywilizacyą zachodnią a Wschodem, który złączony z Zachodem swym ustrojem i kulturą, ze Wschodem pochodzeniem, niósł tam poglądy i zdobycze ducha zachodnio-europejskie. Czechy, opanowane przez Niemców, nie mogły przez długie wieki współdziałać w tej pracy, cały więc ciężar spoczywał na nas. Walka z Rosyą o panowanie nad krajami litewskimi i ruskimi, była w gruncie rzeczy walką dwóch cywilizacyi, azyatyckiej i europejskiej. Politycznie ulegliśmy, lecz kulturalny nasz wpływ jest tam i dziś jeszcze bardzo silny; wszystkie wrogie wysiłki zaborczego rządu nie mogły go wyplenić. Koncentracya na Zachód, jak tego domaga się neoslawizm, poświęciłaby te owoce kultury polskiej na Wschodzie, nieodnawiana ustąpiłaby prędzej czy później miejsca wpływom rosyjskim. Cośmy zdobyli pokojową pracą, stracilibyśmy nie wskutek gwałtownego wypleniania przez wroga, lecz samochcąc przez dobrowolne ustąpienie z tego pola; zamknęlibyśmy się w t. zw. etnograficznych granicach, czego dotąd żaden ucisk wymusić nie zdołał. W ten sposób stalibyśmy się licznym może, ale w istotocie rzeczy małym narodem, któryby rzeczywiście nie miał odpowiednich warunków do samoistnego bytu.

Właśnie dlatego jest to dowodem zdrowego sądu naszego społeczeństwa o kwestyach natury ogólnej, że idea solidarności słowiańskiej nie odgrywała i nie odgrywa dziś jeszcze w naszem życiu publicznem żadnej poważniejszej roli. Neoslawizm, który pojawił się w chwili wielkiej depresyi, wywołanej niesłychanem prześladowaniem polskości w Prusiech i w Rosyi, mógł być groźny,

sprowadzając społeczeństwo na fałszywe tory; na szczęście brutalna polityka rosyjska i iście azyatycka nielojalność rosyjskich neoslawistów, którzy chcieli tę krótką chwilę oszołomienia wyzyskać, dla tem większego osłabienia naszych sił narodowych, uzdrowiły w bardzo krótkim czasie naszą myśl polityczną. Dziś już, prócz kilku fantastów i poetów, niema w naszem społeczeństwie nikogo, ktoby — pracując dla narodu — widział w idei solidarności słowiańskiej coś więcej, jak środek dlă wzmożenia sił Rosyi, a osłabienia odporności polskiej. I z chwilą, gdy do tego przekonania doszli nawet nasi twórcy tego kierunku, idea neosłowiańska straciła wszelką żywotność. Bo nie można mówić o polityce czy solidarności słowiańskiej, gdy nie biorą w niej udziału Polacy — i to jest może najwyraźniejszym dowodem wielkiego ich znaczenia w Słowiańszczyźnie. Zjednoczenie choćby wszystkich Słowian bez Polaków nie wytwarza jeszcze solidarności słowiańskiej. Jest to tylko zwracanie się mniejszych ludów ku Rosyi nic więcej — dopiero udział Polaków nadałby takiemu zjednoczeniu charakter ogólno-słowiański — a szczęściem dla nas i dla Europy tego udziału niema i nie będzie.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

KURS INSTRUKCYJNY O SZTUCE KOŚCIELNEJ.

Wiek jeden już minął, jak z Wiednia wychodziły jeden po drugim dekrety, normujące służbę bożą i nabożeństwa w kościele, określające, jakie sprzęty i naczynia mają być do niej używane. »Zakrystyan« i jego pomocnicy dobrze gospodarowali po skarbcach i zakrystyach skasowanych klasztorów, a nawet i po składach parafialnych. Po ich gospodarce na miejsce starych, drogocennych sprzętów kościelnych, na miejsce srebrnych lichtarzy, złotych i srebrnych kielichów i monstrancyi, weszły do kościołów naczynia i sprzęty drewniane, a dla uczczenia Boga w Eucharystyi sprawiono monstracye cynowe, które do dziś dnia można oglądać w niejednej zakrystyi.

Nie dziw, że sztuka kościelna ucierpiała, kiedy i religia sama mdlała i omal nie upadła w uściskach czułej opieki państwowej.

Czasy się zmieniły. Z tego samego Wiednia od ministerstwa wyznań i oświaty wychodzi dziś inicyatywa w przeciwnym kierunku, wychodzi głos do duchowieństwa, podają mu rękę pomocną do umiejętnego utrzymania sztuki w kościele.

Już w r. 1908 i 1909 odbyły się w Wiedniu dla duchowieństwa kursy instrukcyjne o sztuce kościelnej i widocznie okazały się pożyteczne i pożądane, kiedy w roku bieżącym pomnożono ich liczbę i rozciągnięto ich działalność na inne miasta. Nie tylko Wiedniowi przypadł zaszczyt urządzania tych kursów, ale wskutek pomnożenia ich liczby, także Trydent, Ołomuniec i Kraków podobne kursy urządza. Nasze duchowieństwo odczuwało potrzebę takich kursów. W życiu swojem styka się kapłan bardzo często z przedmiotami sztuki. Ma w swoim zarządzie kościoły, w których znajduje się mnóstwo przedmiotów, służących bądźto do ozdoby świątyni, bądź do nabożeństw i celów litur-

gicznych. Wśród tych przedmiotów znajdują się jedne, których wartość artystyczna lub historyczna jest, jeśli nie ogromna, to przynajmniej bardzo poważna, inne zaś przedstawiają się jako zwykłe, tandetne fabrykaty dzisiejszego dnia, bez żadnego znaczenia. Ale wartość historyczna lub artystyczna nie jest zarazem normą do oceny wartości praktycznej danych przedmiotów. Stąd zdarzać się może i zdarza się często, że n. p. ornat bardzo cenny dla swej starożytności jest tak zniszczony, że w nabożeństwie użyć go nie można, a znowu zwykły olejodruk, wyraźnie przedstawiający pewnego świętego lub jakąś scenę z dziejów świętych, większe wzbudzi nabożeństwo u wiernych, aniżeli ledwo dostrzegalne rysy na poczerniałym obrazie starego, słynnego malarza lub święta scena na obrazie, od którego w wielu punktach poodpadały płatki nałożonej farby. Ta kolizya, wynikająca z dwóch odmiennych wartości tego samego przedmiotu, często była przyczyną, że kapłan mając przed oczyma stronę praktyczną, nieraz był wystawiony na niebezpieczeństwo zatraty cennego przedmiotu sztuki, a nawet niejednokrotnie, niestety zbyt późno, spostrzeżono niepowetowane zmarnowanie cennych bardzo, starych zabytków. Błędy więc niejednokrotnie popełniono, poświęcając względom praktycznym i utylitarnym o wiele donioślejszą wartość artystyczną lub historyczną albo naukową niejednego zabytku. Atoli świadomość tych błędów, która wywoływała żal niewczesny po stracie, wzbudzała też większą czujność, tak u tych, którzy błędy popełnili, jak i reszty duchowieństwa, do którego świadomość owa się dostała, wzbudzała, razem z ogólnie wzmożonem zainteresowaniem się sztuką, także chęć i pragnienie zbliżenia się do tych, którzy zawodowo zajmują się sztuką, którzy mogliby duchowieństwu dać pewne wskazówki, poinformować, jak sobie nieraz trzeba postąpić, by przy trosce o względy natury liturgicznej nie gubić, nie zmniejszać, owszem, zachować całą wartość zabytkową swych starych sprzętów i aparatów kościelnych.

To też kursy z inicyatywy rządu urządzone, znalazły się zupełnie na miejscu.

Jak potrzeba takich kursów instrukcyjnych była rzeczywista i aktualna, świadczy o tem liczny udział duchowieństwa, jaki wzięło w kursach urządzonych w Krakowie od 18 do 22 kwietnia.

Przeciętnie można liczyć 70 do 80 kapłanów, którzy i przed i po południu uczęszczali na wykłady, ale były wykłady, w których liczba uczestników z pewnością przechodziła setkę, a sala wykładowa w Muzeum Narodowem okazywała się za szczupła dla tak licznego

grona słuchaczów. Wykłady odbywały się od godź. 9-ej rano do 1-ej po południu, potem znowu, wliczając do wykładów i gremialne zwiedzanie kościołów, od 3-ej do 7-mej wieczorem.

Mimo, że w ten sposób cały czas był zajęty wykładami i zmęczenie dawało się spostrzegać, jednakowoż nawet na uciążliwe i męczące zwiedzanie kościołów i muzeów tak licznie zgromadzali się uczestnicy kursów, że okazała się potrzeba zwrócić się do uczestników zamieszkałych stale w Krakowie, żeby mogąc zwiedzać takowe w innym dowolnym czasie, pozostali w domu i nie utrudniali zbyt liczną obecnością zwiedzania tym, którzy po to umyślnie z oddalonych okolic do Krakowa przybyli. Mimo to musiano jeszcze wszystkich zwiedzających podzielić na grupy, by zbytnia liczba nie była przeszkodą w obrotach i korzystaniu z wyjaśnień podczas zwiedzania udzielanych.

Kurs rozpoczął się wieczorem w poniedziałek 18 kwietnia b. r. wykładem p. Maryana Sokołowskiego: »O stosunku Kościoła do sztuki«. Sędziwy uczony a niestrudzony badacz na polu sztuki polskiej rozwijał myśl, jak ludzkość w poczuciu swej zależności od Boga, zawsze temu Bogu składa hołd nie tylko w postaci swych modłów, ale też dając wyraz swym uczuciom stara się ofiarować mu, co ma najlepszego, czem się chlubi: wyroby i wytwory swej pracy i sztuki. Biorąc rzecz historycznie, Kościół katolicki był nie tylko dla sztuki opiekunem, ale wprost pod jego matczynemi skrzydłami mogła się ona dopiero rozwinąć w całej pełni.

Dostarczał on nie tylko pomocy materyalnej, nie tylko robił wiele zamówień i dawał możność ciągłego kształcenia się artystom, ale też wysokie stawiał zadania w trudnych do opracowania tematach, zaczerpniętych z historyi świętej.

Z tem łączy się i znaczenie liturgii dla sztuki. Liturgia stała się wzorem i modelem niejako, do którego w swoich kreacyach zwraca się ona, by ją wyzyskać i w odpowiedni sposób odtworzyć.

Wszystkie sztuki oddając się w służbę Kościołowi, zyskują na tem ogromnie, rozwijają się i doskonalą. Architektura, malarstwo we wszystkich swych formach, bronzownictwo, złotnictwo, tkactwo i hafciarstwo, dochodzą do wielkiej doskonałości pod opieką Kościoła. Kościół zaś otrzymuje świątynie, w których skupiły się wszystkie największe skarby pracy ducha ludzkiego, najwspanialsze dzieła sztuki i przemysłu ze wszystkich epok swego istnienia. Wskutek tego stały się świątynie nie tylko domem modlitwy, ale i skarbcem, muzeami, w których są nagromadzone owoce kultury wieków. I dlatego też

trzeba kościoły chronić od zaniedbania, utrzymywać w dobrym stanie, a gdy czas je nadpsuje, starać się o stosowną naprawę, nie w tem znaczeniu, żeby wszystko sprowadzać do jedności stylowej i odzierać ze wszystkiego, co w kościołach nagromadziły wieki, ale należy zostawić je nietknięte, jako świadki pobożności pradziadów naszych.

Nie niszcząc niczego, niczego ile możności nie usuwając, tylko z pietyzmem zachowując kościół w stanie, jaki wytworzyły i przekazały nam wieki, zachowujemy w nim i uwydatniamy tę wspaniałą cechę powszechności Kościoła katolickiego, który obejmuje nie tylko wszystkie kraje, ale i ogarnia i łączy wszystkie czasy w jednej wierze i w jednym kulcie Boga.

Myśl o konserwacyi zabytków, którą profesor Sokołowski podniósł, rozwinął dalej dr Tomkowicz i dr Kopera, przedstawiając zarazem stronę praktyczną, jak je konserwować. Dr Kopera w dwóch odczytach dał pogląd na rozwój stylów i ich istotę. Illustrując wykład obrazami świetlnymi, ułatwiał sobie pracę, a zarazem zrozumienie wykładu. Okiem uchwycone zasadnicze cechy każdego stylu nie wymagały już szerokich omówień i opisywań. Po przeglądzie stylów zwrócił uwagę na to, że każdy ze stylów ma jakieś dodatnie strony, i niepodobna mówić o bezwzględnej doskonałości jakiegoś stylu. Może komuś podobać się jeden sposób budowania więcej od drugiego; rzeczywiście różne wieki miały różne upodobania, tak jak i dzisiejsi ludzie mają różne gusty. Jednak rozmiłowanie się w jednym stylu nie może uprawniać nikogo do niszczenia zabytków historycznych z epoki, której gusty nie zgadzają się z naszymi. Stąd przy odnawianiu kościołów nie należy ich wyglądu sprowadzać do schematu swego ulubionego stylu. Tak się niestety działo z niepowetowaną stratą dla sztuki, która w gwałtownych przeróbkach, niby restauracyjnych, straciła mnóstwo cennych szczegółów, gmachy kościelne odarte zostały ze swej świątecznej ozdoby, a nawet ich charakter uległ fatalnej przemianie. Ale i dziś byłoby znów błędem, przy podjętych pracach restauracyjnych, niszczyć dodatki wieków późniejszych, usuwać barokowe ołtarze, przybudówki, do których się już oko przyzwyczaiło, a które niejednokrotnie tworzą bardzo uroczą i malowniczą całość.

Osobny wykład poświęcił p. Kopera naszym kościółkom drewnianym. Choć nie tak trwałe, jak murowane, przetrwać mogą wieki. — U nas nie znajdujemy kościołów drewnianych, któreby wykraczały poza wiek XV, ale Skandynawia posiada o wiele starsze, mimo wichrów grożących im rozdarciem. Jednakowoż kościoły drewniane w Polsce nie

są zależne w swem powstaniu od wzorów skandynawskich — dowodzi tego zupełnie odmienny sposób wiązania belek i zupełnie odmienna struktura.

Omówiwszy ich malowniczość, na którą prócz wieży i uroczych sobot (poddaszy biegnących wzdłuż ścian kościoła) składają się jeszcze stare drzewa, dęby, lipy rosnące na cmentarzach obok kościołów i ocieniające kościół, konstatował ze smutkiem fakt, że znikają one coraz bardziej z pośród naszych siół. Czasem pożar — ale najczęściej człowiek sam je niszczy, a niekiedy niszczyć musi, bo okazuje się konieczność większego kościoła, a brak miejsca odpowiedniego na nowy, zmusza do zburzenia starego. Może go też zniszczyć sama restauracya, nieodpowiednio przedsięwzięta. Pobicie blachą lub pokrycie eternitem odbiera mu zupełnie poważny charakter kościelny — a czyni tanio połataną budę na przechowanie rupieci.

Uwagi, jak sobie postąpić w różnych wypadkach przy restauracyi lub ewentualnem burzeniu kościoła drewnianego, jak porobić wymiary i zdjęcia fotograficzne kościoła, przeznaczonego na zburzenie, jak porozumieć się w każdej podobnej sprawie z pp. konserwatorami, jak pokrywać drewniane kościoły i t. p. inne praktyczne wskazówki i spostrzeżenia dopełniły wykładu.

Inny wykład p. Kopery obejmował znowu praktyczne uwagi tyczące się konserwacyi starych obrazów. Przestrzedz przedewszystkiem należy przed powoływaniem do odnawiania obrazów, malarzy-amatorów. Restauracyi nie można powierzać nawet artystom; należy ją oddać znawcy, fachowcowi, który nie tylko umie malować, ale przedewszystkiem zna sztukę restauracyi.

Stosownie do rodzajów malowideł, innej techniki restauratorskiej wymagają obrazy freskowe na ścianie malowane, innej zaś cechowe (malowane na desce pokrytej warstwą kredową), a innej wreszcie obrazy olejne. Nie trzeba też lekceważyć pasteli, sztychów, rysunków, jeżeliby się gdzieś takowe znajdowały. I one zasługują na opiekę. Trudności są także w wysyłaniu obrazu do restauracyi — bo obraz źle opakowany, w podróży ulega zupełnemu zniszczeniu. Należy zawsze obraz przyśrubować do paki, w której się mieści. Te i tym podobne uwagi o przesyłce pasteli, obrazu cechowego, od którego odpadają cząsteczki z malowidłem, o stosownem rozwieszaniu obrazów w świetle, o ochronie przeciw wilgoci, o oszkleniu obrazów, o wyrównaniu pofałdowanych, o oczyszczaniu z kurzu, o unikaniu zmywania ich, z pewnością się przyczynią do ocalenia niejednego wartościowego obrazu

Konserwacyą zabytków kościelnych zajmował się także konserwator krakowski, dr Tomkowicz. Po określeniu pojęcia zabytku, dał pogląd na rozwój zapatrywań w kwestyi konserwacyi i uzasadniał dlaczego winniśmy szanować zabytki przeszłości. Prócz naukowego, kulturalnego, pedagogicznego i narodowego znaczenia mają zabytki kościelne i to, im tylko właściwe znaczenie, że przyczyniają się do wzmocnienia i spotęgowania uczuć religijnych, siłą żywej tradycyi, której są bezpośrednim wyrazem.

Niestety konserwacya napotyka na przeszkody, ma swoich nieprzyjaciół. Główniejszymi to pewne wady i ułomności ze strony rządców kościoła — dyletantyzm w rzeczach sztuki, ambicya stawiania nowych kościołów lub gruntownego przebudowywania starych i jakiś romantyczny pogląd na styl gotycki, jakoby on jeden najlepiej odpowiadał duchowi kościoła i nastrojowi religijnemu. Ze strony budowniczych, że bierze się do restauracyi budowniczych i majstrów niedouczonych, albo spekulantów, podejmujących się tanim kosztem wystawić kościół, którym chodzi głównie o to, by przy budowie jak najwięcej zarobić. Wprost narzucają się oni proboszczom ze swojemi usługami, wystawiając już gotowe plany, byle oni tylko mogli budować.

Zaradzić może złemu gruntowniejsze obznajomienie się duchowieństwa ze sztuką w konkretnych jej przejawach na gruncie naszym. Teoretyczne wykłady o sztuce ogólno-ludzkiej, jakie miały w niektórych seminaryach miejsce, więcej przynoszą szkody, aniżeli pożytku. Kapłan patrzący się z wysokości arcydzieł Rafaelowskich, Murillowskich na obrazy stare, które ma w swoim kościele, w przekonaniu że nie dorównywują one utworom geniuszów, pogardza nimi, pomiata, zaniedbuje lub niszczy, by na ich miejsce mógł sobie sprowadzić kopie fabryczne Wniebowziętej lub Sykstyńskiej. W ten sposób traci się cenne oryginały, które za bezcen przechodzą w ręce włóczących się handlarzy, węszących za śladami starożytnych utworów sztuki — a kościół przyozdabia się tandetą olejodruków i fabrycznych posążków. Tu nie wystarczy znać i cenić wyżyny sztuki, trzeba znać, cenić i kochać sztukę, jaka się nam dostała w spadku — utwory bez wątpienia wartości mniejszej aniżeli słynne Sykstyny, ale zawsze cenne i godne szacunku i przechowania. Od dyecezyalnych muzeów, które się poczynają tworzyć i rozwijać, należy się spodziewać znacznego polepszenia warunków, pod względem znajomości sztuki takiej, jaka u nas istnieje.

P. Tomkowicz w wykładzie swoim chciał być praktycznym, chciał jak najwięcej przynieść korzyści realnej sprawie konserwacyi zabytków.

Stąd takie mnóstwo rad, wskazówek, ostrzeżeń odnoszących się do utrzymania kościoła w jak najlepszym stanie. Była tam mowa o murach, tynku, dachówkach, o wilgoci na ścianach, o wieżach i kopułach, o dzwonnicach i dzwonach pękniętych (jest sposób ich naprawy; fabryka Zieleniewskiego ma specyalistę do naprawy dzwonów), o nagrobkach i malowaniach ściennych, o drzwiach i oknach, szybach i witrażach, o posadzce i ławkach, ambonie i ołtarzach, marmurach i bronzach, chrzcielnicach i kropielnicach — wszystko aż do lasek brackich, żelazka do opłatków i starego parasola baldachinowego, jaki gdzieniegdzie po kościołach spotkać można, wszystko było godne jakiejś wzmianki, uwagi, spostrzeżenia, rady, bo każdy z tych sprzętów może posiadać wartość i powinien być przedmiotem umiejętnej konserwacyi. Nie tak dla pozytywnej konserwacyi, jak raczej aby rzeczy wartościowe uchronić przed zgubą, postawił 5 przykazań konserwatorskich:

1. Zabytki już przez swój wiek sędziwy zasługują na poszanowanie — i dlatego nie żałować wydatków na ich ocalenie.
2. Wystrzegać się budowniczych i artystów mało wykształconych, spekulantów i dyletantów. Materyału przy restauracyi używać najlepszego.
3. Nie płacić nigdy zabytkami kościelnymi przedsiębiorcom za robotę.
4. Nie zważać nigdy na mieszaninę stylów, wytworzoną wśród wieków i żadną miarą niczego z kościoła nie wyrzucać pod pozorem, że nie zgadza się z jego stylem.
5. Nie polegać na swym smaku estetycznym, ani na swem zdaniu, o ile chodzi o konserwacyę zabytków, lecz zawsze zasięgać rady fachowych znawców konserwatorów. Zachodzą wypadki, że zdania ich się różnią, nawet się mogą mylić. W każdym razie niebezpieczeństwo zbłądzenia jest mniejsze, gdy się ich wezwie do narady, aniżeli gdyby sąd jednego rozstrzygał o wszystkiem.

Uprzedzenia wprawdzie do konserwatorów istniały, może i istnieją jeszcze, jednakowoż coraz to więcej nikną wobec bezinteresowności ich i szczerej troski, by sprawie zachowania jakiegoś zabytku pomódz, nawet przez uzyskanie jakiegoś wsparcia ze strony rządu lub innej instytucyi. Troska ta niejednokrotnie pomyślnym uwieńczona została rezultatem. Dowodów p. Tomkowicz przytoczył wiele.

Cały wykład p. Tomkowicza tem bardziej był interesujący, że prelegent mnóstwo szczegółów czerpał ze swej praktyki konserwator-

skiej, że każda rada, wskazówka, opierała się na już zrobionem doświadczeniu — i każde twierdzenie było poparte przytoczonymi konkretnymi faktami. Wskutek tego prelekcya nabrała ciepła i życia i z pewnością wzbudzi życie na polu konserwacyi zabytków.

Ks. prałat Bąba zajmował się specyalnym działem wchodzącym w zakres sztuki kościelnej, mianowicie tkaninami i haftami, o ile one służą do wyrobu i ozdoby szat liturgicznych. Wykład jego obznajamiał z różnymi rodzajami tkanin, zarówno ze względu na technikę ich wyrobu, jak i ich historyczne pochodzenie. Na podstawie wyjaśnienia techniki różnych splotów, wykazał charakter atłasów, adamaszków, brokatów, różnych rodzajów aksamitu i altembasu, zaś pogląd na dzieje przemysłu tkackiego dał możność wskazania na charakter ornamentów i różnice zachodzące między tkaninami perskiemi, indyjskiemi, bizantyjskiemi, arabskiemi, włoskiemi i francuskiemi. Tendencya ozdabiania tkanin doprowadziła do wynalezienia haftów, które są malowaniem zapomocą igły i nitki: *acupictura*. Z krain wschodnich: Chin, Indyi, Persyi, dostały się do Rzymu jako *opera barbarica* i mimo swej ogromnej ceny, mimo zakazów rządowych, znalazły wielkie rozpowszechnienie. W czasach chrześcijańskich hafciarstwo się rozwija. — Epoka romańska operuje głównie ściegiem kładzionym i rozwija w szatach liturgicznych niesłychany przepych. Epoka gotycyzmu wyrabia *(opera plana)* hafty ściegiem płaskim — malując całe sceny z dziejów świętych na szatach kościelnych *(opera anglica)* i wytwarza owe niezmiernie urocze cieniowanie złotych wyszywań *(paramenta burgundica)*. Wiek XVI oznacza powolny upadek sztuki hafciarskiej, zaczynają się pojawiać aplikacye — naszywanie oddzielnych ozdób haft przestaje być malowaniem, ale zato ma pretensyę zostać płaskorzeźbą, i wpada na coraz to dziwniejsze pomysły naszywania na tkaninę najrozmaitszych przedmiotów: szkła, włosów ludzkich, pierza i t. d. Kapy i ornaty ze skarbca katedry i z pracowni restauratorskiej p. Pydynkowskiej, która także do wykładu dostarczyła haftów będących w toku roboty, dla obznajomienia się z ich techniką, przydały jeszcze większego zainteresowania się wykładem i tak zajmującym i pożytecznym.

Z wykładem o muzyce kościelnej wystąpił ks. Rudolf Nowowiejski, którego chóralne produkcye w katedrze łacińskiej lwowskiej znalazły wielkie uznanie. Mówił o muzyce kościelnej, o jej istotnym charakterze i o przepisach kościelnych, zmierzających do uwydatnienia jej wzniosłego ducha. Muzyka kościelna ma być kościelną nie tylko

dlatego, że w kościele bywa wykonywaną, ale że podnosi duszę do Boga, pomnaża siłę modlitwy według zdania: *Qui cantat, bis orat.*

Cały wykład był jednym apelem, pobudką dla braci kapłanów, by podawszy sobie dłonie, wspólnemi siłami dążyli do wprowadzenia prawdziwie kościelnej muzyki i śpiewu do swych świątyń, tak jak to przepisuje *Motu proprio* z r. 1903. Mimo trudności wielkich, przy dobrej woli, skupieniu i wspólnem wytężeniu sił można będzie tego dokonać. Środkiem do celu musi być: 1) stworzenie nauki muzyki kościelnej w seminaryach tak duchownych, jak i nauczycielskich, jak również w szkołach ludowych; 2) stowarzyszenia śpiewackie cecyliańskie po parafiach dla popierania śpiewu gregoryańskiego, ludowego i polifonicznego oraz gry na organach. One byłyby i dla organistów pomocą i mogłyby wspierać wydawnictwa muzyczne. Koncerty dawane przez te stowarzyszenia w większych miastach, w ogniskach stowarzyszeń cecyliańskich, szerzyłyby znajomość i poszanowanie dla śpiewu kościelnego. Także wiele korzyści spodziewaćby się należało od konferencyi organistów z pobliskich parafii zebranych.

Muzyka wchodząca do świątyni musi się w świątyni zachować odpowiednio. — Precz z teatralną muzyką w kościele! Melodya, harmonia muzyki kościelnej winna być spokojna i czysta, więcej diatoniczna jak chromatyczna, zrozumiała łatwo dla wszystkich, nie powinna występować samodzielnie, lecz zawsze jako pomocnica śpiewu, któremu towarzyszy, który podtrzymuje, a nie usuwa. Co innego muzyka religijna, nie biorąca udziału w liturgii, ta jest o wiele swobodniejszą w swej kompozycyi i wykonaniu — ale z chwilą, gdy muzyka ma wziąć udział w liturgii, musi się zupełnie podporządkować pod zadanie, jakie jej stawia natura i charakter spełnianych obrzędów świętych i przepisy Kościoła.

Zwłaszcza Msza św. śpiewana, będąc przedstawieniem i prawdziwem odtworzeniem najświętszego dramatu spełnionego na Kalwaryi, wymaga, żeby chór, łącząc się jak najściślej z akcyą dramatyczną, ani na chwilę nie wychodził z jej ram, przez jakieś, choćby bardzo nabożne pieśni. On musi odśpiewać w całości to, i jedynie to, co we mszy św. Kościół do odśpiewania chórowi pozostawia, t. j. *Introit, Kyrie, Gloria, Graduale, Tractus, Credo, Offertorium, Sanctus, Benedictus, Agnus Dei, Postcommunio* — wyrażając uczucia każdej chwili mszy św. odpowiednie.

Czcigodny prelegent mówił z całem przejęciem, jak na to zasługuje rzecz tak doniosła, jak śpiew i muzyka, która ogromnie

ważne przy najświętszych obrzędach zajmuje miejsce. Czuć było z jego słów, z akcentu, z energicznych haseł, które do swej prelekcyi wplatał, że wszystkie siły wytęży, by upadłą sprawę muzyki i śpiewu kościelnego dźwignąć, podnieść — by muzykę przyprowadzić do stanu i stanowiska, na jakie zasługuje i jakie jej Kościół przeznacza, a szuka tylko dłoni pomocnej, kooperatywy współbraci kapłanów, którzy dotychczas zbyt biernie się zachowywali wobec podjętych w tym kierunku usiłowań.

Oni podadzą mu dłoń do tej sprawy świętej a sprawa wtedy potoczy się wartko, trudności znikną, a w kościołach rozbrzmi muzyka jasna, święta — muzyka z niebios [1].

Oby jak najprędzej!

Jeśli ks. Nowowiejskiemu chodziło o praktyczną stronę muzyki kościelnej, to p. Jachimecki usiłował, według stanu badań dzisiejszych, dać obraz historyczny muzyki kościelnej w Polsce. Nasza muzyka nie stała tak wysoko, żeby przodowała, nadawała ton całej sztuce muzycznej, myśmy szli za innymi narodami i pod tym względem. To też nazwiska naszych kompozytorów, muzyków musiały popaść w zapomnienie i tylko żmudna praca po bibliotekach, archiwach i zbiorach może je wydobyć na widownię. Poszukiwania takie, choć jeszcze skąpymi, ale przecież mogą się poszczycić ładnymi rezultatami. Prelegent przedsta-

[1] Może jedno zastrzeżenie. *Paulatim summa petuntur.* Trzeba powoli iść, a stale do wysokiego celu. Skoki gwałtowne mogłyby sprawie Bożej zaszkodzić. Zasada, jaką czcigodny prelegent akcentował: albo msza śpiewana ze śpiewem czysto liturgicznym, bez przymieszki pieśni ludowej (którą można śpiewać przede mszą lub po mszy), albo zupełnie znieść mszę śpiewaną — prawnie zupełnie słuszna i należy do jej urzeczywistnienia dążyć. Atoli nie należy jej przeprowadzać drogą negatywną, nie należy znosić mszy śpiewanej, co byłoby z niechybnem zgorszeniem ludu i umniejszeniem chwały Bożej — ale pozytywnie, nie znosząc mszy śpiewanych, jak się dotychczas praktykuje ze śpiewem ludowym, wyrabiać warunki takie, żeby można zupełnie uczynić zadość przepisom Kościoła i wprowadzić msze śpiewane ze śpiewem liturgicznym. Dopiero gdy warunki będą tak przygotowane, że wykonanie ustawy będzie moralnie możliwe t. j. gdy z łatwością da się wprowadzić w życie, wtedy należy ustawy literalnie zachować.

Reforma, którą zaraz należy wprowadzić w życie, to nie wpuszczać do kościoła melodyi, dla których stosownem miejscem jest sala do tańców — usunąć wszystkie śpiewy i muzyki o teatralnym charakterze. Następnie zająć się tworzeniem warunków umożliwiających zachowanie dekretu w całej jego rozciągłości. Gwałtowna zmiana w kierunku negatywnym bez równoczesnej możliwości wystawienia czegoś pozytywnego miałaby złe następstwa i z pewnością nie leży w zamiarach prawodawcy kościelnego.

wia rezultaty tych poszukiwań. Przechodząc wiek po wieku od XIV począwszy, przesuwał przed oczyma słuchaczy cały szereg muzyków polskich, którzy bądźto w kraju, bądź za granicami Polski w swoim czasie byli głośni, a zajmowali się muzyką kościelną, wskazał jakim ulegali wpływom, jaką rozwinęli działalność.

Wiek XVI, złoty dla całej kultury, był złotym i dla muzyki polskiej. W nim żyje najwięcej kompozytorów polskich. XVII wiek może się poszczycić, prócz innych, Zieleńskim Mikołajem, organistą arcybiskupim z Gniezna, którego działalność oznacza szczyt świetności muzyki z czasów wolnej Polski.

Dopiero za Sasów upada ta sztuka i nie podnosi się aż w wieku XIX-tym. Wiek ten jednak przeważnie uprawia muzykę świecką, choć ani Moniuszko ani Noskowski o muzyce kościelnej nie zapominali. Spodziewać się należy, że wiek nasz przywróci muzyce kościelnej dawną świetność. Oby jak najprędzej.

Nie sztuką bezpośrednio, ale i dla sztuki, zwłaszcza dla jej historyi, niezmiernie ważną sprawą zajął się p. dr Stanisław Krzyżanowski, mianowicie znaczeniem archiwów i bibliotek kościelnych. Wskazując na zasługi Kościoła w przechowaniu i przekazaniu nam zabytków myśli starożytnej, podniósł, że największą zasługę ma w tem dziele Rzym i papieże, przez tworzenie zbiorów, archiwów i bibliotek. Omówił rozwój tych instytucyi, z początku razem złączonych, następnie oddzielonych od siebie i wskazywał na znaczenie ich obecne, zwłaszcza na znaczenie archiwum papieskiego od czasu, jak otwarte dla wszystkich badaczy przez Leona XIII. stało się terenem eksploatacyjnym dla całych ekspedycyi naukowych rozmaitych narodowości, między któremi znajduje się i polska, przygotowująca wydawnictwa Akad. Umiej. do dziejów Polski. Również wskazywał na doniosłość bibliotek tak klasztornych (zwłaszcza starych benedyktyńskich) jak katedralnych i kapitulnych, – na ważność archiwów konsystorskich, klasztornych, parafialnych, choćby one były tylko księgami metrykalnemi. Nawet z tych ksiąg i administracya i nauka wielce korzystać może i rzeczywiście korzysta.

W miejsce prof. Mycielskiego, który miał dać pogląd na historyę malarstwa w Polsce, wykład przyjął p. Szydłowski, a wskazując na doniosłość współpracownictwa duchowieństwa w opiece nad zabytkami, z tradycyi historycznej wynikającą, swoją prelekcyą zakończył cały cykl wykładów kursowych.

Poza godzinami wykładów, członkowie kursu zwiedzali w czasie popołudniowym ważniejsze zabytki sztuki kościelnej w Krakowie: ko-

ścioły krakowskie, krużganki OO. Dominikanów, Franciszkanów i Augustyanów, oraz muzea, Narodowe, XX. Czartoryskich i Czapskich. Przy zwiedzaniu był zawsze obecnym jeden lub dwóch znawców-przewodników, którzy swemi wyjaśnieniami rzeczowemi i historycznemi ułatwiali zrozumienie i ocenę zabytków.

Uwagi, które w toku wyjaśniania się nasuwały, omówienia i interesowanie się szczegółami nieraz drobnymi, wprowadzały praktycznie w świat zabytków, wskazywały, jak żaden szczegół nie powinien ujść oka troskliwego o przechowanie zabytków konserwatora. Pietyzm okazywany starym malowidłom, prymitywnym, zniszczonym, które się wydobywa żmudną pracą z pod warstwy wapna na murach, po to, by je ostrożnie odczyścić i zostawić tak, jak istniały dawniej, choćby w drobnych ułamkach, (w kościele św. Krzyża, krużganki franciszkańskie i augustyańskie), opieka, jaką się w muzeum otacza stare, stoczone przez robaki, cechowe obrazy, stare rzeźby lub choćby ich ułamki, skrzętność w zbieraniu kawałków starych tkanin, haftów i przeróżnych drobiazgów, to wszystko widziane z blizka, wśród pracy, zrozumiane z objaśnień, odczute z żywego słowa tych, którzy w te zabytki duszę swą wkładają, odniosło i musiało odnieść pożądany skutek, zwiększyć cześć i poszanowanie zabytków przez dawne pokolenia nam przekazanych. Zapewne niejeden uczestnik kursu, wróciwszy do domu, już innem okiem spoglądać będzie na swój kościół stary i na przedmioty, które się w nim znajdują, choć one nie mają wystawowej błyskotliwości wpadającej w oko. Może i z ciekawością rozglądnie się po swej zakrystyi, po kątach i strychach kościelnych, w dzwonnicy i składach, czy tam nie znajduje się przypadkiem coś, co przez nieświadomość, jako zbyteczny grat wyrzucone, może jednak budzić zainteresowanie z jakichkolwiek względów. W ten sposób jeszcze niejedno da się ocalić, co byłoby przepadło bezpowrotnie.

Zamiłowanie zabytków sztuki sprawi, że nawiążą się ściślejsze stosunki między duchowieństwem a tymi, co zawodowo oddają się sztuce, jej badaniu i konserwacyi. Stosunki takie są pożądane tak w interesie sztuki, jak nauki, jak też i kościołów, aby te zachowały i nadal swój poważny charakter domów Bożych.

Kurs tegoroczny był jakby pierwszym węzłem w szerszym zakresie, nawiązującym te stosunki, a serdeczny ton, który panował podczas wspólnej kolacyi prelegentów i słuchaczów, był dowodem, że podobne kursy w przyszłości te węzły jeszcze bardziej zacieśnią i wzmocnią.

Ks. Ludwik Rudnicki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki. *Wł. St. Reymont.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1910.

Wreszcie ręka artysty dotknęła się tematu, który potęgą swoich motywów wprost narzuca się twórczości. Jak tytuł wskazuje, są to tylko wrażenia i notatki, jakby materyał przygotowawczy, ale i w tych luźnych notatkach znać orle szpony. Zanim Chełmszczyzna będzie oderwaną, chce autor poznać dokładnie tę ziemię i jej ludzi, chce się jakby z nimi pożegnać, chce na pograniczu przyszłej Chełmszczyzny i dotychczasowej zbudować pomnik na wieczną rzeczy pamiątkę. Raz jest we dworze, drugi raz w wiejskiej chacie, kiedyindziej toczy się rozmowa z woźnicą, to znowu zwiedza autor stolicę Chełmszczyzny. Przed czytelnikiem staje, w pięknych opisach, kraj płaski, równy jak stół, przestronny, po którym oczy lecą niby ptaki w cały ogromny świat. Dokoła łany zbóż a nad nimi kołyszą się drzewa, bielą ściany domów i błyskają kopuły cerkiewek. A co najbardziej nadaje wyraz tej męczeńskiej ziemi, to pochylone sosny z obrazkami, to na każdym kroku stojące figury i kaplice, gdzie Marye w niebieskich szatach i złotych koronach wyciągają miłosierne ręce, gdzie Chrystus usiadł w cierniowej koronie lub zawisł na przydrożnych krzyżach, biało pobielonych i przystrojonych w powiędłe wieńce, w kwiaty i wstęgi.

Na tem tle, jakby w kalejdoskopie, przesuwają się w ślicznych obrazkach losy tej ziemi, opowiadane ustami jej mieszkańców. Spokojnie i bez skarg, zwolna i prawie mimowoli jęli się ci ludzie wypowiadać przed przybyszem ze wszystkich swoich trosk, ze zwykłych,

codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi; z kar płaconych za wszystko: za ochrzczenie dziecka, za pogrzeby odprawiane nocą ukradkiem, za śluby i spowiedzi, za samo wejście do kościołów; z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisyach i więzieniach; z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości; z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Z tego ogólnego ponurego tonu wyrywają się prześliczne, bohaterskie epizody. W jednej z wiosek mrą unici na ospę, ale ksiądz katolicki nie ma do nich dostępu; pilnują strażnicy. Jedyna we wsi prawna katoliczka, żona kowala, udaje chorą i wzywa do siebie nocą księdza, by ułatwić spowiedź umierającym, znoszonym do jej pomieszkania. Rozumie dobrze, że zarazić się może jej czworo dzieci, ale, choć ciężko, to trzeba ponieść i tę ofiarę, bo »nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych«. W parę dni potem umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej. Przyjęła ten cios z uniesieniem szczęścia i zaraz po pogrzebie powiedziała do dziedziczki: »Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatraty!«

Jakżeż pięknym znowu jest epizod, opisujący nabożeństwo wśród lasów, gdzie do misyonarzy, przebranych w świeckie ubrania, zbiega się ukradkiem tysiące unitów. Jeden tu szczegół liturgiczny sprawia wrażenie niedokładności, opis księdza wstępującego po stopniach ołtarza z monstrancyą i kielichem w ręku.

Pewne epizody męczeńskie są tego rodzaju, że na chwilę mogą przygnębić. Epizod Koniuszewskich, którzy po szeregu udręczeń, podpalają sami własną chatę i giną w płomieniach, epizod rzeczywisty, opisany jest z taką precyzyą, z takiem plastycznem wysunięciem naprzód udręczeń a z pominięciem innych pośrednich momentów, że mogłaby w kimś powstać myśl pesymistyczna. Poszło to także z pewnej krótkości tych notatek.

W toku opowiadania widzi się po drodze także typy dzisiejszych unitów, między którymi są i tacy, co odeszli już daleko od wzoru swoich ojców. Duch jednak na ogół silny, ze spokojem, choć nie bez obaw, czekający na nowy cios, jakim będzie odłączenie Chełmszczyzny.

Bohaterskie Podlasie otworzyło przed Reymontem nowy świat. Ze wzruszenia, jakie przegląda z opisów, wnosić można, że podziałało nań głęboko i że trwalsze w duszy wyryło ślady.

Ks. J. Pawelski.

Z dziedziny psychologii.

Ks. Stanisław Kobyłecki T. J.: »Postulaty psychologii doświadczalnej«. — Tenże: »Metafizyka w psychologii«. — Tenże: *Über die Wahrnehmbarkeit plötzlicher Druckveränderungen.* — Otto Menderer: *Raumtäuschungen des Tastsinns bei anormaler Lage der tastenden Organe.*

W sprawozdaniach moich dotychczasowych z nowszej literatury psychologicznej polskiej, omawiałem przeważnie prace zwolenników tak zwanego empiryo-krytycznego kierunku. W sprawozdaniu obecnem przejdę na inne pole i postaram się o krytyczne rozpatrzenie wartości prac, których autorowie odmienne zajmują stanowiska. Tu w pierwszej linii należy wymienić ks. Stanisława Kobyłeckiego, wytrwałego i pełnego zapału na niwie psychologii u nas pracownika. Z trzech jego znanych mi prac omówię na końcu pracę eksperymentalną, wykonaną w instytucie psychologicznym Wundta w Lipsku, a ogłoszoną następnie w I-szym tomie wychodzących pod redakcyą Wundta *Psychologische Studien,* przedewszystkiem zaś zajmę się pracami poświęconemi rozbiorowi zasadniczych zagadnień psychologii. Pierwsza z nich, wydana w Krakowie w r. 1906 p. t.: »Postulaty psychologii doświadczalnej«, należy niewątpliwie do najpoważniejszych studyów z zakresu psychologii, jakie się u nas pojawiły i zasługuje w całej pełni na szersze uwzględnienie. Już sam spis rozdziałów może każdego pouczyć, jak doniosłemi są zagadnienia przez autora poruszone. Po krótkim wstępie rozpatruje on: 1) Stosunek psychologii do doświadczenia. 2) Przedmiot psychologii. 3) Eksperyment w psychologii. 4) Emancypacyę psychologii od filozofii, wreszcie 5) Parallelizm psychofizyczny. Niema więc w tym spisie chyba ani jednego naprawdę doniosłego i podstawowego z zakresu psychologii pytania, któregoby był nasz autor nie poruszył. Zamiast rozprawiać o jakichś mniemanych w psychologii kryzysach, zabrał się śmiało do odpowiedzi na owe pytania, a uczynił to ze sprawnością właściwą dobremu fachowcowi, który o nauce nie peroruje, ale sam w niej pracuje. Rozważmy więc jak te odpowiedzi wypadły.

»Bywają psychologowie — pisze autor we wstępie — którzy głoszą, że pewne zasady wynikające z ich ogólnych filozoficznych założeń i poglądów na świat, obowiązują wszystkich innych psychologów. Narzuca się drugim własne swe zapatrywania, powagę jawnej czy ukrytej metafizyki: twierdzi się stanowczo, że taka a taka zasada, zasada dajmy na to parallelizmu, tak i tak sformułowana i rozumiana, stano-

wić musi warunek konieczny i podstawowy wszelkiej możliwej psychologii; normą, według której krytykuje się innych psychologów, bywa jakiś naczelny postulat własnej metafizyki«. — Jak widzimy to autor nasz oświadcza się zaraz na wstępie przeciw wprowadzaniu spekulacyi metafizycznych pod jakąkolwiekbądź postacią do psychologii i pragnie zająć stanowisko jak najskromniejsze, bo zgoła empiryczne. Oczywiście, że ja z mojej strony mogę zajęciu takiego stanowiska tylko przyklasnąć. Psychologia stanie się nauką w prawdziwem tego słowa znaczeniu tylko wówczas, jeżeli pozbędzie się wszelkich metafizyk, wszelkich założeń, a idąc za głosem doświadczenia, zajmie stanowisko ściśle empiryczne. Psychologia musi naprawdę stać się nauką bez założeń z góry przyjmowanych, bez względu na to skądby te założenia pochodziły. Dlatego też zdając sprawę z prac psychologicznych profesora Heinricha, musiałem wystąpić przeciw jego zapatrywaniu, jakoby psychologia nie mogła opierać się sama na sobie. Ks. Kobyłecki błędu tego nie popełnia i z tego to właśnie powodu sąd jego o sprawach, psychologii dotyczących, pozostaje zawsze wolny od uprzedzeń. W wielu poglądach nie godzę się z ks. Kobyłeckim — jak to zresztą wykażę w dalszym ciągu — ale to muszę mu przyznać, że badań psychologicznych i psychologii nie naciąga do żadnych celów ubocznych. Pierwszy ustęp swoich »Postulatów« poświęca autor rozpatrzeniu stosunku psychologii do doświadczenia wogóle. Rozpoczyna od stwierdzenia, że wyrazu »doświadczenie« używa się w naszej polskiej mowie w trojakiem znaczeniu. Doświadczenie oznacza eksperyment, oznacza obserwacyę, a wreszcie oznacza także doświadczenie życiowe, czyli to, co Niemcy nazywają *Erlebnis*. Jest to istotnie z wielką dla nas szkodą, że wiele wyrazów w nauce używanych, nie posiada ściśle określonego znaczenia. Wieloznaczność wyrazu »doświadczenie«, dałaby się jednakże doskonale usunąć, gdybyśmy się chcieli w naszem naukowem piśmiennictwie zgodzić na posługiwanie się tym wyrazem, jako ogólniejszym, obejmującym zarówno eksperyment jak i obserwacyę, zaś to, co Niemiec nazywa *Erlebnis* a co prof. Heinrich, a z nim razem wielu innych młodszych pisarzy tak nieszczęśliwie przezwali »przeżyciem«, gdybyśmy się zgodzili oznaczać wyrazem »doznanie«. Wyraz to przecież czysto polski, a zawierający tę samą właśnie treść, co niemieckie *Erlebnis*, czego o dziwacznem i zgoła inne znaczenie posiadającem »przeżyciu« powiedzieć nie można. W wszelkiem doświadczeniu upatruje autor jedną wspólną cechę, a mianowicie, że jest ono »konstatowaniem faktycznego stanu poznawanego zjawiska czy poznawanej rzeczy« (str. 4). W do-

świadczeniu stwierdzamy to, co narzuca się nam swoją objektywnością, swoją rzeczywistością. Doświadczenie więc możnaby określić jako »poznanie stwierdzające faktyczny stan przedmiotu poznawanego«. Z takiego to wychodząc zapatrywania przedstawia się autor jako zwolennik zasady opisu w przeciwieństwie do zasady pojmującej naukowe badania jako objaśnianie czyli tłumaczenie przyczynowe zjawisk. — Nie mam zamiaru wdawać się na tem miejscu w rozbiór powyższego, spornego zagadnienia, gdyż toby mnie zaprowadziło za daleko. Nadmienię więc tylko krótko, że ks. K. ma zupełną słuszność, określając cały ten spór jako spieranie się nie tyle o rzecz, jak o wyrazy. Jeżeli bowiem zgodzimy się, że opis dopuszcza hipotezy, że pozwala na ujmowanie zjawisk w uproszczone obrazy myśli, że nie przekraczamy opisu jeżeli dowodzimy, iż zjawiska odbywają się tak, jak gdyby polegały na takich to a takich przebiegach dla zmysłów wprawdzie nie przystępnych, ale jednak dla myśli badawczej doskonale się nadających, to w takim wypadku opis i wyjaśnienie przykrywają się całkowicie. Niema się więc o co spierać! Dodam jednak na tem miejscu jedną skromną uwagę, że w takich warunkach ów opis będzie bezwarunkowo czemś więcej, aniżeli tylko stwierdzaniem faktycznego stanu poznawanego zjawiska. — Cóż może bowiem mieć wspólnego z faktycznym stanem zjawiska hipoteza? Jak można konstatowaniem, albo opisywaniem nazywać dowodzenie, że zjawiska odbywają się tak, jak gdyby polegały na jakichś dla zmysłów nieprzystępnych przebiegach. Fakt, że nauki posługują się hipotezami, że istotnie sprowadzają zjawiska do jakichś dla zmysłów nieprzystępnych przebiegów dowodzi, że nauka jest czemś więcej, jak tylko opisywaniem lub konstatowaniem faktycznego stanu rzeczy. Pozwolę też sobie wyrazić na tem miejscu zapatrywanie, że nauka nie jest ani opisywaniem, ani objaśnianiem zjawiska, nauka jest po prostu ujęciem zjawiska w pewien obraz myśli, umożliwiający jej dostosowanie się w sposób możliwie najdoskonalszy do występującej w zjawisku kierunkowości. Konstatowanie i opisywanie zjawiska, to tylko pierwszy, najniższy stopień naukowości, to tylko pierwszy krok, prowadzący naukę ku jej właściwym celom i zadaniom, t. j. do wykształcenia jakby jakiejś doskonalszej, ideowej rzeczywistości, zdolnej do ujęcia w swoje ramy różnorodnej szczegółowości zjawisk. Niewątpliwie, potrzebną jest zgodność nauki z doświadczeniem, ale to jeszcze nie wszystko. Dołączanie czegokolwiek do doświadczenia nie jest dopuszczalne, robienie dowolnych założeń jest bardzo niebezpieczne, ale z drugiej strony ograniczanie się do samych stwierdzeń jest również

niewystarczającem. Już sam fakt, że uczony badacz usiłuje przedstawić zjawiska tak, jak gdyby polegały one na jakichś przebiegach prostszych i bardziej prawidłowych dowodzi, że badacz jak gdyby poszukiwał jakiejś doskonalszej rzeczywistości, która nie jest mu jednak daną w doznaniach bezpośrednich, ona daną jest, ale tylko w idei, w myśli. To jednak jest słusznem, że rzetelna nauka nie powinna nigdy dostosowywać zjawiska do idei, ale zawsze ideę, teoryę do zjawiska. Ks. Kobyłecki w poglądach na zadania nauki zatrzymuje się, zdaniem mojem, wpół drogi. To też także jego pogląd na zadania psychologii wydaje mi się trochę za ciasny. O ile psychologia miałaby pozostać nauką tylko opisową, to zgoda na stanowisko naszego autora. Mniemam jednakże, że aspiracye psychologii sięgają dalej.

Ustęp drugi »Postulatów psychologii doświadczalnej« poświęca autor przedmiotowi psychologii. — Wszystko, co autor w ustępie tym wypowiada jest bardzo jasne i bardzo rozumne, mojem też zdaniem, zajmuje autor w sprawie przedmiotu psychologii stanowisko jedynie możliwe. Przedmiot każdej nauki — pisze on — zależy do pewnego stopnia od umowy, »umowa ta jednak nie może być zupełnie dowolną«. Za punkt wyjścia należy przyjąć zawsze fakt konkretny, nie zaś wynik analizy myślowej. Dla psychologii naukowej więc, za punkt wyjścia może służyć tylko fakt, że doświadczamy, że odczuwamy własne stany, że doznajemy wzruszeń, że jesteśmy tego lub owego świadomi. Życie nasze psychiczne składa się z szeregu takich faktów czy aktów i to właśnie jest dla psychologii jej rzeczywistość. Przeciwko jakiejkolwiek metafizycznej interpretacyi tych zjawisk, aktów, czy stanów autor nasz stanowczo się zastrzega. Zdaje sobie wprawdzie sprawę z trudności wynikających z przyjmowania nieświadomych zjawisk psychicznych, obchodzi jednak samo zagadnienie z daleka i oględnie, czego mu zresztą wcale nawet za złe brać nie można, jeżeli się zważy, że autor usiłuje pozostać na stanowisku ściśle doświadczalnem. Zjawiska psychiczne są aktami, akt trwa, potem ustaje, można więc potem mówić i myśleć o nim jako o fakcie, który był, ale nie da się pomyśleć tak, jak gdyby powracał ten sam co był. Jest to sformułowanie jedynie trafne, z takiego też stanowiska patrząc na przedmiot psychologii, odpada zupełnie trudność, z którą wielu psychologów nie umiejących jasno myśleć, rady sobie dać nie może, t. j. jakoby w psychologii podmiot i przedmiot badań był ten sam i jakoby z tego właśnie względu psychologia tak zwana introspekcyjna nie była możliwą. Otóż ks. Kobyłecki wykazuje w spo-

sób przekonywujący, że w doświadczeniach psychologicznych podmiot i przedmiot nigdy nie jest ten sam. Akt badania w tej chwili wykonywany i akt psychiczny badany to nie to samo, to sprawy całkiem inne. Psycholog obserwuje i bada nie swoje własne w tej chwili dokonywujące się badanie, ale bada akty psychiczne, już dokonane a zapomocą rozmaitego rodzaju środków metodologicznych przez badacza niejako przytrzymane. Gdzież tu więc jest tożsamość podmiotu i przedmiotu badania. Jest rzeczą wielce ciekawą, że przeciwnicy psychologii introspekcyjnej zwalczając ją argumentem tożsamości badającego podmiotu i badanego przedmiotu, wprowadzają tylnemi drzwiami do swoich dowodzeń to, czego największymi są przeciwnikami, to jest jakiś stały podmiot duchowy, czyli innemi słowy metafizykę. Z takiego też stanowiska patrząc na rzeczy, nazywa ks. Kobyłecki, bardzo słusznie, psychologię szkoły Avenariusa i Macha, psychologią filozoficzną nie zaś doświadczalną. Psychologowie ci dowodzą, że niedopuszczalnem jest nawet założenie, jakoby inni ludzie doświadczali aktów świadomości wówczas, gdy u nich dostrzegamy takie objawy, które u nas byłyby objawami świadomości. Ci psychologowie bez świadomości głoszą, że przez takie wypieranie faktu świadomości z psychologii można jedynie pozostać na gruncie naukowym. Jest to jednak największe z bałamuctw, a przytem konstrukcya tak sztuczna, że sami empiryokrytycy są zmuszeni ciągle jej się sprzeniewierzać. Niemniej jasnym i znakomicie opracowanym jest ustęp trzeci »Postulatów« ks. Kobyłeckiego poświęcony eksperymentowi w psychologii. Ustęp ten zalecam każdemu, kto się bliżej psychologią doświadczalną zająć pragnie, niechaj go uważnie przeczyta i sumiennie rozważy a uchroni się od wielu bałamuctw.

Wywody autora dotyczące eksperymentu psychologicznego są prawie całkiem zgodne z moimi na ten przedmiot poglądami tak, jak je w dawniejszych rozwinąłem artykułach. Nie będę więc tutaj ponownie nad tym przedmiotem się rozwodził, wspomnę tylko krótko, że autor dowodzi podobnie jak i ja to uczyniłem, iż doświadczenia psychologiczne różnią się od doświadczeń przyrodniczych w tem, że role eksperymentatora i obserwatora z reguły nie przypadają na jedną i tę samą osobę. W eksperymencie psychologicznym właściwym obserwatorem jest kto inny, eksperymentator zaś przygotowuje, urządza i wykonywa doświadczenia. A dalej na str. 29: »Obserwacya własna obserwatora, własna jego introspekcya jest istotnym czynnikiem eksperymentu psychologicznego. Że tak jest, o tem łatwo można się przekonać jeżeli tylko przystępuje się do doświadczeń bez uprzedzeń empi-

ryokrytycznych; wypowiedzenia obserwatora wskazują na akty świadomości, jakich on bezpośrednio doznaje. Wypowiedzenia te możemy dlatego tylko zrozumieć, że wskazują one na akty znane nam znowu z naszego własnego bezpośredniego doświadczenia życiowego«. Stanowisko swoje formułuje ostatecznie autor krótko i jasno w dwóch wnioskach na str. 31:

1) »Dopiero eksperyment czyni możliwem ściśle naukowe obserwowanie własnych aktów psychicznych«.

2) »Obserwacya własna jest istotnym warunkiem ścisłego eksperymentu psychologicznego«.

Dalszych uwag ks. Kobyłeckiego dotyczących eksperymentu psychologicznego nie będę tutaj streszczał, odsyłam czytelnika do rozprawy samej i zalecam mu ją najgoręcej, nie mógłbym mu bowiem wskazać lepszego wstępu i trafniejszej w sprawie psychologicznego eksperymentu oryentacyi.

O ile jednak z wywodami zawartemi w trzecim ustępie pracy ks. Kobyłeckiego wyrażam prawie zupełną zgodność, to nie mogę tego samego powiedzieć o poglądach rozwiniętych w ustępie czwartym, zatytułowanym »Emancypacya psychologii od filozofii«. Tu zachodzą między nami bardzo daleko sięgające różnice. Autor »Postulatów« nazywa (str. 48) psychologię doświadczalną jedną z nauk przyrodniczych i zakłada protest przeciw traktowaniu i uważaniu psychologii doświadczalnej jako części filozofii. Na taki pogląd ja bezwarunkowo ze względów zasadniczych zgodzić się nie mogę. Autor sam przecież przyznał na str. 13, że »umowa co do nazywania lub zaliczania jakiejś nauki do tej lub owej grupy n i e m o ż e b y ć c a ł k i e m d o w o l n ą«. Jeżeli to jest prawdą, to w takim razie nie należy i co do psychologii kierować się wyłącznie dowolnością.

Co może rozstrzygać o przynależności tej lub owej nauki do pewnej jakiejś grupy? Oczywiście nic innego, jeno charakter tych konkretnych faktów, którymi się ta nauka zajmuje. Otóż wszystkie fakty, mogące być przedmiotem badań naukowych, dadzą się podzielić, bez wkładania w nie jakichkolwiek apriorycznych konstrukcyi i bez naciągań jakichkolwiek, na fakty czuciowo-wrażeniowe, stanowiące to, co nazywamy przyrodą, dalej na fakty stanowiące świat ludzkiego społecznego życia i ludzkiej kultury, wreszcie na fakty, których w ślad za autorem możemy nazwać stanami, albo aktami psychicznymi, — czyli, mówiąc innemi słowy, bezpośrednio mamy do czynienia w świadomości naszej z treściami odnoszonemi do naszego przyrodniczego

otoczenia, dalej z treściami odnoszonemi do życia społecznego, wreszcie z naszymi własnymi stanami. Przyjmując taki, możliwie najprostszy, podział, nie możemy przecież stanów psychicznych odnosić do otoczenia, czyli świata przyrodniczego, a więc i psychologii nie można wobec tego nazywać nauką przyrodniczą. Czem jest duch, czem jest przyroda to może być nam na razie zupełnie obojętne, mogę nawet na bok usuwać pytanie, czy wogóle istnieje jakiś duch, lub przyroda. To jednak jest dla mnie oczywistem, że są mi dane jakieś treści odnoszone do przyrodniczego lub społecznego otoczenia i całkiem od nich odmienne stany odnoszone do samego siebie. Skoro to jest oczywiste, to jakiem prawem możemy naukę o stanach czyli aktach psychicznych uważać za naukę przyrodniczą? Wszak autor sam wystąpił przeciw empiryokrytykom usiłującym badać psychikę ludzką jako przedmiot otoczenia. Jeżeli przebiegi i przedmioty otoczenia należą do zakresu badań przyrodniczych, to w takim wypadku stan psychiczny do ich zakresu należeć nie może, bo on do otoczenia nie należy. Nie należy on również do świata kultury, będącego wprawdzie owocem zbiorowych działań psychik ludzkich, ale posiadającym własną, swoistą, od poszczególnych psychik niezależną, rzeczywistość. Nie pozostaje przeto nic innego jeno zaliczyć naukę o stanach i aktach psychicznych do osobnej grupy, grupą zaś taką może być tylko grupa nauk filozoficznych.

Dlaczego? — Dla bardzo prostej przyczyny.

Filozofia jest już dzisiaj powszechnie uznawaną za naukę o naukach. Jest pracą badawczą, zmierzającą do krytycznego pogłębienia i syntetycznego ujęcia całości wiedzy ludzkiej, jest oryentacyą na jej olbrzymim obszarze. Jeżeli więc filozofia ma być nauką o naukach, to musi z natury rzeczy zająć się także zbadaniem czynności naukowego myślenia, bez którego nie byłoby nauki. Naukowe myślenie zaś jest przedewszystkiem stanem, jest aktem psychicznym, pojętem więc może być tylko i zrozumianem na tle życia psychicznego wogóle. Psychologia zatem i to właśnie psychologia doświadczalna (innej bowiem psychologii prócz doświadczalnej ja wcale nie uznaję), należy z natury rzeczy do grupy nauk filozoficznych. Boć przecież wszelka oryentacya filozoficzna, jeżeli ma naprawdę sięgnąć do gruntu, jeżeli ma budować na opoce a nie na piasku, to musi rozpoczynać od oryentacyi w stanach czyli w aktach psychicznych. Myli się autor, dowodząc, że »dzisiaj już nikt prawie nie zalicza psychologii do nauk filozoficznych«. Tak nie jest. Ja pierwszy zaliczam psychologię do nauk filozoficznych,

wraz ze mną czyni to bardzo wielu innych psychologów i filozofów. Między innymi np. także taki poważny myśliciel i psycholog jak Meinong wyraża się w następujący sposób:

»My wszyscy (Meinong i jego uczniowie), byliśmy zawsze tego zdania, że eksperyment psychologiczny nie jest nigdy sam dla siebie celem, lecz, że powinien on służyć teoryi psychologicznej do spełniania jej zadań. Teorya zaś psychologiczna stanowi zasadniczy pierwiastek składowy i jest istotną częścią — ale jednak tylko częścią — w obrębie grupy nauk ściśle z sobą spokrewnionych, a złączonych razem pod nazwą filozofii«. Oto pogląd jednego z bardzo poważnych niemieckich myślicieli; w tym rodzaju poglądów mógłbym znacznie więcej jeszcze przytoczyć. Nie należy więc być tak apodyktycznym w wyrażaniu swoich zapatrywań i lekceważyć wszelkie zdania przeciwne. Pozwolę też ja sobie na odwrót wyrazić przekonanie, że im bardziej dogmatyzm przyrodniczy traci grunt pod nogami, tem więcej psychologia zbliża się napowrót do filozofii, od której właściwie ona nigdy naprawdę się nie oderwała. Dowodem na to najlepszym fakt, że wszędzie na całym świecie wykłady psychologii złączone są z katedrami filozofii, gdziekolwiek zaś istnieją przy jakichś uniwersytetach, czy innych wyższych szkołach osobne katedry psychologii, to ich piastuni miewają także wykłady z zakresu innych działów filozofii. Okazuje się i w tym wypadku że, jak to zwykle bywa: »szarą jest teorya wszelka, wiecznie zielonem złote życia drzewo«. Choćby zwolennicy zaliczania psychologii do grupy nauk przyrodniczych zachowywali się jeszcze bardziej hałaśliwie niż obecnie, to nic im to nie pomoże. Życie naukowe, praktyka i badawcze życie realne przejdzie nad ich głosami do porządku dziennego, stanie się to zaś dla tej prostej przyczyny, że żadna moc teoretyczna nie zdoła rozdzielić tego co praktycznie musi być zawsze z sobą związane.

Niedawny stosunek psychologii do filozofii robi zaiste wrażenie stosunku córki do matki, która nad tą córeczką swoją zbyt długo surową rozciągała opiekę. Wreszcie córka się zbuntowała i powiada do matki: »Nie mogę już dłużej znosić twojej opieki, ona stała się dla mnie nieznośną, chcę użyć swobody i niezależności, wynoszę się więc z twojego domu i nie chcę więcej słyszeć o tobie«. A matka powiada jej na to: »Córeczko kochana, idźże sobie idź, ja cię wcale dłużej przytrzymywać u siebie nie myślę, bądź wolną i niezależną«. Córka więc zaczyna się wynosić, zbiera się, pakuje manatki, zapowiada ciągle swoje wydalenie się, ale idzie jej to jakoś niesporo, co chwila wraca,

co chwila przypomina sobie, że ma jeszcze z matką coś do załatwienia, w sprawy matczyne ciągle się miesza. Matka woła: »No, idźże już!« a córka powtarza: »Już idę, już więcej nigdy nie wrócę«, ale wraca i jakoś całkiem się usunąć jej niesporo. Wreszcie przychodzi chwila, że zaczynają obie z matką się godzić, przekonawszy się, że się bez siebie wzajemnie obejść nie mogą. Zgoda przychodzi do skutku na tej podstawie, że córka uzyskuje pełną niezależność, ona sama własnemi kieruje pracami, matce zaś pozostaje tylko rola przyjaciółki, w zamian córka wnosi dorobek swój do wspólnego skarbu i pracami swojemi nie tylko utrwala fundamenty matczynnego domu, ale też także na całej budowie wyciska piętno swojej twórczości. Tak mnie się przedstawia stosunek psychologii do filozofii. Ks. Kobyłecki zachęca córkę aby poszła na mieszkanie stałe do swoich starszych sióstr przyrodniczych, ja twierdzę, że córka już do matki na dobre wraca, albo niewątpliwie wróci, gdyż one obie bez siebie bezwarunkowo żyć i pracować nie mogą. Filozofia bez psychologii nie ma gruntu, a psychologia bez filozofii nie ma końca i celu. — Ks. Kobyłecki wyróżnia (na str. 47 »Postulatów«) psychologię doświadczalną od psychologii pospolitej i od psychologii filozoficznej. Odpowiadając na to, ja stwierdzam, że psychologia pospolita nie jest wcale nauką, zaś jakaś obok psychologii doświadczalnej druga jeszcze osobna psychologia filozoficzna nie utrzyma się i utrzymać się nie może. Byłby to bowiem »ni pies ni wydra«. Doświadczalna psychologia jest nauką filozoficzną, jeżeli zaś filozof jakiś z wyników badań psychologicznych w połączeniu z krytyczno-poznawczemi i przyrodniczemi wynikami wysnuwa jakieś wnioski metafizyczne, to mu to czynić wolno, mogą takie rozumowania i wnioski posiadać nawet wielką wartość, tylko niechaj ten, co to czyni, pamięta, że on nie uprawia psychologii, lecz metafizykę.

Zapewne, jeżeli ktoś — tak jak to czyni nasz autor — za sympatyczniejszy dla siebie uzna sposób oznaczania wyrazem p r z y r o d a zarówno zjawisk bezpośrednio zmysłami dostrzegalnych, jak i aktów świadomości, to taki, biorąc wyraz p r z y r o d a w znaczeniu szerszem, będzie mógł zaliczyć psychologię do nauk przyrodniczych. Ja jednak odpowiadam na to: łaskawy autorze »Postulatów«, nie każda sympatya lub antypatya jednako uchodzą. Wszak sam przyznałeś, że co do podziału nauk umowa nie może być całkiem dowolną, tak samo też i sympatya nie może być w sprawach naukowych zupełnie dowolną. Jeżeli nasze czuciowo-wrażeniowe treści, to znaczy to, co bezpośrednio zmysłami dostrzegalne, stanowi p r z y r o d ę, to stan świadomości nie

może być zaliczany w znaczeniu poznawczem bez względu na jakąkolwiek metafizykę do przyrody, to nie uchodzi; czemu się logika w myśleniu naukowem sprzeciwia, na to sympatya nic nie poradzi.

Zgadzam się najzupełniej na zdanie ks. Kobyłeckiego, że »psychologię należy czemprędzej zautonomizować, uwolnić od autokratycznych rządów filozofii«. Odpowiadam tylko na jego wezwanie, że to, czego on żąda, już się stało; filozofii, rozumnie po dzisiejszemu uprawianej, nie przychodzi teraz wcale do głowy narzucać cokolwiek psychologii, nie ma więc powodu szturmować z takim zapałem do otwartych drzwi. Raczej byłoby lepiej zwrócić swoje napomnienia w kierunku nauk przyrodniczych, one to bowiem przywłaszczają sobie teraz rolę kuratorów nad psychologią, narzucając jej z góry pewne dogmaty w postaci n. p. zasady zachowania energii, lub wyników badań nad mózgiem. Przecież p. Heinrich niedawno napisał, że psychologia nigdy nie może stać się nauką samoistną, dawniej zależała od metafizyki, teraz musi zależeć od fizyki, czy fizyologii. W tym kierunku więc wypada przeprowadzić wyzwolenie psychologii od autokratycznych rządów. Walki z wiatrakami filozoficznymi godziłoby się zaniechać, a rozprawić się z przeciwnikiem, którego uroszczenia mogłyby istotnie żywotność nauki psychologii podkopać.

Ustęp piąty postulatów poświęca ks. Kobyłecki rozpatrzeniu zagadnienia parallelizmu psychofizycznego. Tu, po chwilowym sporze, muszę stwierdzić znowu zupełną zgodność naszych zapatrywań. Bardzo mądrze i trafnie pisze on na str. 60: »Jeżeli kto z psychologów stawia na czele swej psychologii jako postulat zasadę parallelizmu psychofizycznego, to: albo ją rozumie li tylko jako znaczenie, że pewna jakaś odpowiedność zachodzi między zmianami psychicznemi, a materyalnemi, — wtedy zostaje na gruncie doświadczenia; albo z góry w niej wyraża taki, a nie inny sposób owej odpowiedności — wtedy robi założenie dowolne i aprioryczne, bo jeszcze nie skonstatowane doświadczeniem, które dopiero ma się rozpocząć«. Jest to rzeczą całkiem zrozumiałą, że parallelizm metafizyczny autora naszego nic nie obchodzi, natomiast znakomicie rozprawia się z tymi psychologami, którzy z jednej strony zaznaczają swoje doświadczalne stanowisko, wyraźnie głoszą, że psychologia nie jest nauką filozoficzną, a z drugiej strony wprowadzają jednak do psychologii własną metafizykę. Za przykłady służą mu Wundt i wcześniejszy od tego ostatniego Fechner ze swojem obrazowem przedstawianiem zjawisk fizycznych i psychicznych,

jako dwu stron łuku, to jest strony jego zewnętrznej i wewnętrznej. »Powiadają paralleliści — pisze ks. Kobyłecki — że wzajemne działanie świata psychicznego i fizycznego jest niemożliwe. Radbym wiedzieć co rozumieją przez działanie, przez przyczynę, przez przyczynowy związek. Radbym wiedzieć, co ich uprawnia do stawiania takich zasad metafizycznych, jaką jest n. p. zasada, że skutek jest tego samego rodzaju, co przyczyna«. Oto trafny zarzut skierowany w stronę parallelistów typu Wundtowskiego, stanowczy jednak cios dostają oni na str. 67, gdzie autor pisze: »Tak Wundt, jak inni paralleliści w psychologii wykazują sami zależność władz psychicznych od fizycznych, nazywając zjawiska psychiczne funkcyami zjawisk fizycznych. Bardzobym rad był się dowiedzieć, co ponad funkcyonalną zależność stwierdza się w naukowem doświadczeniu właściwem fizyce, chemii, fizyologii i t. p. takiego, coby uprawniało do uważania funkcyonalnych związków materyalnych za przyczynowe. Sądzę, że konsekwentnie należałoby, albo funkcyonalne związki psychofizyczne nazwać również przyczynowymi, albo i innych przyrodniczych związków funkcyonalnych tak nie nazywać: jedno z dwojga«. Otóż tu trafił ks. Kobyłecki w samo sedno rzeczy. Wszyscy rozprawiający o niemożliwości lub niezrozumiałości oddziaływania zmian w organizmie na stany psychiczne i na odwrót, zapominają o tem, że co do metafizycznej natury swojej jest tak samo niezrozumiałem i niepojętem działanie jednej cząstki materyalnej na drugą, n. p. udzielenie ruchu przez jedną kulę bilardową drugiej, nie jest ani na jotę zrozumialsze od działania stanu chcenia na ruch ręki. Jeżeli więc pomimo niezrozumiałości dla nas istoty zjawiska przecież przeniesienie ruchu z jednej kuli na drugą dokonywa się, a więc jest możliwe, to tak samo możliwe jest działanie stanu psychicznego na zmiany fizyologiczne i na odwrót. Kto tego nie chce czy nie może zrozumieć, z tym trudno w dalsze wdawać się rozprawy.

Innego rodzaju jest parallelizm empiryo-krytyczny; zasadza się on na przyjęciu równoległości między zmianami fizyologicznemi badanemi na innych, a własnemi odczuciami. Błędność takiego stanowiska wykazuje jasno ks. Kobyłecki. Do jakiego stopnia są empiryokrytycy w psychologii metafizykami, to dowodzą tego ich założenia, na które zwraca nasz autor uwagę, a mianowicie: 1) że tylko szereg fizyczny jest niezależny, a psychiczny zależny; 2) że niema przyczynowości psychicznej. Co takie założenia mogą mieć wspólnego z doświadczeniem, to trudno zaiste pojąć. Niemniej błędnem jest wywodzenie psy-

chofizycznego parallelizmu z zasady zachowania energii. I ten błąd mamy w postulatach doskonale wykazany, właściwe zaś znaczenie parallelizmu sprowadzone do pewnej jakiejś odpowiedniości faktycznie nam danej między zjawiskami psychicznemi a fizycznemi.

Kończąc moje i tak już zbyt długie uwagi o postulatach ks. Kobyłeckiego, pozwalam sobie nadmienić, że uważam jego pracę, z wyjątkiem rozdziału czwartego, na który się nie godzę, za najlepszy wstęp do psychologii, jaki wogóle w naszej literaturze polskiej posiadamy, zalecam ją też do przeczytania każdemu, kto pragnie przygotować się do dalszych studyów w zakresie psychologii.

Drugą pracą ks. Kobyłeckiego, o której tutaj wspomnieć mi wypada, jest odczyt z r. 1906 p. t.: »Metafizyka w psychologii«. Powtarzają się w nim te same myśli co i w »Postulatach«, te same też także powracają nieporozumienia, co do stosunku psychologii do filozofii. Pragnie autor i tu znowu uwalniać niepotrzebnie psychologię z więzów, których ona już dawno się pozbyła t. j. z więzów spekulacyi i metafizyki. — Dzisiaj jeżeli kto uprawia metafizykę w psychologii, to tylko przyrodnicy i empiryokrytycy, co zresztą autor nasz sam spostrzega i potwierdza, do nich to stosują się następujące jego słowa na str. 11: »Zamiast doświadczalnie stwierdzać rzeczywisty, faktyczny stan zjawisk, czy rzeczy badanych, psycholog, który uległ pokusie nie czekania na głos przyrody, snuje sam z siebie *a priori*« i t. d. A więc jeżeli grożą psychologii dzisiejszej jakie trudności lub niebezpieczeństwa to nie ze strony starej metafizyki, ale ze strony nowej, ze strony przyrodniczej i empiryokrytycznej, to znaczy, ze strony największych przeciwników dawnej metafizycznej spekulacyi. Autor nasz zresztą sam to przyznaje.

Ks. Kobyłecki nie jest jednak pozytywistą, uznaje on potrzebę metafizyki, ale metafizyki doświadczalnej. »Na taką metafizykę — pisze — zgoda nawet w psychologii, byle w należytem jej miejscu, nie przed, ale po doświadczalnych badaniach«. Do tych słów ja dodam od siebie tylko tę jedną skromną uwagę, że nawet taka doświadczalna metafizyka do psychologii nie należy, a psychologia właściwa nic wspólnego z nią mieć nie powinna. Psychologia jest psychologią, a jakie wnioski wyciągnie z jej badań metafizyka i w jaki sposób owe badania wyzyska, to psychologię nic nie obchodzi. Uznajmyż raz przecie także w naukach jakiś rozumny podział pracy, tudzież jakieś wzajemne kompetencye i ograniczenia.

Trzecia praca tego samego autora, jest pracą eksperymentalną,

wyszła po niemiecku w roku 1905, a dotyczy dostrzegalności nagłych zmian ucisku przy zmyśle dotyku [1]. Doświadczenia odnośne robił autor w instytucie Wundta w Lipsku.

Jest to praca zarówno pod względem pomysłu, jak i dokładności w przeprowadzaniu eksperymentów wzorowa. W szczegóły, przedstawienie i opisywanie badań nie będę się tu wdawał, nie wieleby bowiem czytelnik z tego skorzystał. Wspomnę tylko krótko o wynikach badań, do jakich ks. Kobyłecki dochodzi, posiadają one bowiem wartość krytyczno-poznawczą i mogą przyczynić się do rozjaśnienia zagadnień dotyczących początków poczucia przedmiotowości.

Na pytanie, do czego odnosi się właściwie nasz sąd, czy do wrażenia zmiany w jakiejś dotykowej podniecie, czy do ujęcia tego wrażenia zmiany, czy też do zmiany w przedmiocie t. j. w podniecie samej, odpowiedziały badania eksperymentalne, że czucia i wrażenia stają się przedmiotem sądu, dotyczącego dokonanej zmiany dopiero na podstawie refleksyi, bezpośrednio zaś, czyli wprost wydajemy sądy o zmianach przedmiotowych. Pomimo, że ocena przychodzi dopiero po doznanych czuciach i wrażeniach to przecież nie te ostatnie bywają pierwej ujmowane. My oceniamy w pierwszej linii przedmiotowe zmiany, w podnietach według bezpośrednich doznań, nie zaś samo nasze ujęcie. Przy zmianach zaś pozbawionych wyraźnej kierunkowości, ma się rzecz nieco inaczej. Dowodzi to, do jakiego stopnia jest poczucie przedmiotowości rzeczy pierwotne i bezpośrednie.

Drugą pracą eksperymentalną z zakresem psychologii dotyku jest praca pana Ottona Menderera, urodzonego w Woli Bobrowskiej w Galicyi, do szkół uczęszczał w Tarnowie i w Rzeszowie. Praca ta p. t. »O złudzeniach przestrzennych zmysłu dotyku przy anormalnem położeniu dotykowego narządu« [2], opracowaną została tak samo jak i praca ks. Kobyłeckiego, na podstawie eksperymentów, wykonywanych w instytucie Wundta w Lipsku.

Obracały się one głównie około znanego powszechnie złudzenia, powstającego, skoro między skrzyżowane dwa palce, a mianowicie między drugi i trzeci, włożymy gałkę, wówczas uczujemy zamiast

---

[1] *Über die Wahrnembarkeit plötzlicher Druckveränderungen.* Leipzig, W. Engelman, 1905. Odbitka z Wundta: *Psychologische Studien.* Tom I, Zeszyt 3 i 4.

[2] *Raumtäuschungen des Tastsinns bei anormaler Lage der tastenden Organe.* Leipzig, W. Engelman 1908. Wundta: *Psychologische Studien,* tom IV. zeszyt 1 i 2.

jednej, dwie gałki. Pierwsza część pracy podaje historyę zagadnienia znanego już Arystotelesowi, druga opisuje wszystkie doświadczenia, wykonywane z wielkim nakładem trudu i pracy. Jak jednakże powstawanie owego złudzenia sobie tłumaczyć, do czego właściwie je sprowadzać, odpowiedzi na te pytania w pracy p. Menderera nie znalazłem. Jest to praca wyłącznie opisowa, ustalająca różne stopnie i rodzaje złudzenia, ale zresztą pozostawiająca zagadnienie bez należytego rozjaśnienia. Wyniki, nie wiem właściwie w jakim kierunku dałyby się zużytkować.

Prof. Dr. M. Straszewski.

Z piśmiennictw obcych.

Ukrajińsko-ruśkij Archiw, wydaje istoryczno-filosoficzna sekcija Naukowoho Towarystwa imeny Szewczenka. Tom IV. Materijały do istoriji hałyćko-ruśkoho szkilnyctwa XVIII i XIX ww., wydani pid redakcijeju Stefana Tomasziwśkoho. Lwów. 1909. 8-ka, str. VII, 1 nlb., 200.

Ostatnie dziesięciolecie rozbudziło wśród Małorusinów żywe zajęcie się poznaniem rozwoju życia narodowego w granicach monarchii austro-węgierskiej. Zwrot to bardzo pocieszający, gdyż doszło już było do tego, że wypadki historyczne oraz ich ewolucya z przed lat kilkuset było znacznie lepiej znane od tego, co stało się zaledwie przed laty kilkudziesięciu. Wzmożenie się silne świadomości narodowej wśród Małorusinów austryackich zmusiło w ostatnich czasach badaczy do zajęcia się wyśledzeniem przyczyn istotnych obecnego polityczno-kulturalnego i społeczno-ekonomicznego stanu rzeczy.

Do niedawnych czasów niemal jedynym, który badania swoje posuwał w wymienionym kierunku, był dr. Iwan Franko. One to dodały bodźca poważnej liczbie młodych uczonych, którzy rozpoczęli pracę zbieraniem materyałów surowych z tej dziedziny. Z kolei, choć rzadko, ukazywały się też opracowania naukowe.

W miarę zaś ukazywania się materyału i wzrostu prac z tego zakresu okazało się, że poglądy dotychczasowe na powstanie i rozwój odrodzenia narodowego Rusi galicyjskiej oraz na zasadnicze przyczyny obecnego stanu rzeczy muszą uledz radykalnej zmianie. To, co zwykło się było poczytywać za wypadek pierwszorzędnego znaczenia, schodzi obecnie do znaczenia zwyczajnego epizodu albo momentu drugo-

rzędnego. To, co zazwyczaj nazywano przyczyną, zeszło do roli jednego z objawów małoważnych sił działających. Doszło do tego, że wszystkie daty »epokowe« trzeba było bezwarunkowo przesuwać wstecz i t. d. Słowem, zmiany gruntowne.

Naturalnie, nie we wszystkich kierunkach życia narodowego zdobyto jednakowe rezultaty. Najwięcej poszczęściło się historykom literatury. Mniej wyjaśnione pozostało życie polityczno-kulturalne. Najmniej społeczno-ekonomiczne. Tymczasem obydwie te strony życia małoruskiego muszą być zasadniczo zbadane. Bez tego bowiem historya odrodzenia narodowego będzie pozbawiona trwałych podstaw, sam rozwój stanie się nie wszędzie zrozumiałym, zmiany wreszcie nie znajdą dostatecznego uzasadnienia, ażeby można było budować pewniki.

Do najbardziej zaniedbanych dziedzin naukowych należy historya szkolnictwa ludowego we wschodniej Galicyi.

W epoce przyłączenia Galicyi do Austryi masy ludu małoruskiego pogrążone były w ciemnocie, gdyż cerkiew nie miała nie tylko odpowiednich funduszów na cele oświatowe, ale nadto brak jej było dostatecznego zrozumienia ważności sprawy, skoro warstwy intelligentne wraz z duchowieństwem obrządku gr.-kat. zadowalały się same bardzo marną oświatą. Zmiana w takim stanie rzeczy zaczęła dokonywać się dopiero pod naciskiem rządu.

Tow. im. Szewczenki wydało jeszcze w r. 1902 szereg przyczynków do historyi szkolnictwa p. t. *Materijały do kulturnoji istoriji Hałyćkoji Rusy XVIII i XIX w.,* jako tom piąty *Zbirnyka istoryczno-filozoficznoji sekciji,* w którym mieściły się materyały i rozprawy pp. d-ra Franki, I. Lewickiego i J. Kmita. Następnie też sekcya otrzymała kilkanaście nowych przyczynków z tejże dziedziny. I jakkolwiek one, na równi z wymienionymi co dopiero, nie miały charakteru jednolitego, lecz raczej przypadkowy, postanowiono nie zwlekać z ich ogłoszeniem. Ażeby zaś nadać im pewną cechę systematyczności, poświęcono omawiany tom przedewszystkiem ludowemu szkolnictwu wiejskiemu z pierwszej połowy XIX wieku. Jedynie pierwsza praca o oświacie wśród duchowieństwa w drugiej połowie XVIII stulecia jest tutaj o tyle tylko na miejscu, ile że przyczynia się do zrozumienia kultury duchowej tych ludzi, którzy prym wiedli w dziele oświatowem.

Przeważną część omawianego tomu wypełniają materyały, wyjęte przez p. J. Kmita z aktów szkoły ludowej w Żółtańcach. Najważniejszym ich momentem są energiczne zabiegi niektórych księży

około zakładania szkół i opieki nad niemi, oraz walka z obojętnością reszty duchowieństwa. Niemniej ciekawą jest w tych dokumentach próba naśladownictwa języka rosyjskiego, z drugiej zaś strony próba używania w szkole mowy ludowej, jaką widzimy w metodyce I. Ławriwskiego, która jednakowoż roi się formalnie od polonizmów. Dwie prace redaktora wydawnictwa, traktujące o stanie szkół parafialnych w dziekanatach kozłowskim i brzeżańskim, malują nader smutny obraz stosunków w tej połaci kraju. Co krok spotykamy się z opieszałością kleru unickiego, biedą i ciemnotą włościan, z opozycyą wreszcie dominiów, obowiązanych do pewnych prestacyi na rzecz szkolnictwa lub słyszymy nieustanne, powtarzające się z roku na rok skargi wizytatorów niemal jednobrzmiące na brak oświaty, a raczej na jej upadek. A wszakże i dzisiaj jeszcze liczba analfabetów wśród ludności małoruskiej dosięga wysokości 80%.

Ostatnia praca p. I. Krewećkiego przynosi kilka uwag ogólnych o lichym stanie szkolnictwa w Galicyi wschodniej, który należało zawdzięczać władzy centralnej, oraz kilka przyczynków do historyi unarodowienia szkół ludowych w ostatnich latach piątego dziesięciolecia XIX wieku.

Po tej ogólnej charakterystyce rozpraw, zawartych w *Ukraińsko-ruskim Archiwie,* przejdźmy do szczegółów, zwłaszcza, że wiele materyału tutaj ogłoszonego stanowi ważny przyczynek do szkolnictwa polskiego.

Materyał ten zwłaszcza zawarty jest w pracy d-ra H. Świeneickiego p. t. »Oświata szkolna kandydatów duchownych w latach 1756—1788« (str. 1—9). Pierwszym warunkiem, jaki stawiano kandydatom do stanu duchownego było, przedłożenie świadectwa z nabytego wykształcenia. A że świadectwa te zostawały w aktach konsystoryalnych, przeto dochowało się ich 74 z lat 1756—1788. Dowiadujemy się z nich, że młodzież *ritus graeci* uczęszczała do szkół OO. Jezuitów w Samborze, Stanisławowie, Barze, Kamieńcu Podolskim, Winnicy i we Lwowie przedewszystkiem. Drudzy z kolei najwięcej wychowanków dali stanowi duchownemu z pomiędzy swoich uczniów OO. Bazylianie: z Krzemieńca, Włodzimierza, Szarogrodu, Hoszowa, Buczacza, Drohobycza, Lubara, Humania, Winnicy i Ostrogu. Najmniej dały szkoły pijarskie w Złoczowie, oraz bernardyńskie w Zbarażu. Jeden z alumnów uczęszczał nawet na Wszechnicę Jagiellońską!...

W szkołach wymienionych pobierało naukę: gramatyki łacińskiej 2, składni 2, poetyki i retoryki 39, filozofii 20, logiki, metafi-

zyki, matematyki, fizyki 7. Jeden tylko uczył się na dyaka u OO. Bazylianów, jeden zaś uczęszczał na wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego! Przeciętnie przykładali się oni do nauk *mediocriter satis diligenter*, lub też wykazywali *sufficientem scienciarum fructum*. Zdarzali się i tacy, którzy prosili już po upływie kilku miesięcy o wydanie świadectwa, pragnąc zmienić sposób życia. Inni dopiero po upływie lat kilku od rozstania się z zakładem szkolnym, zgłaszali się po zaświadczenia. Z niektórych świadectw dowiadujemy się, że ten lub ów dochodził do klasy VI aż w ośmiu latach, albo do »filozofii« aż w dziesięciu.

Większość szkół wydawała świadectwa, pisane na ćwiartce zwyczajnego papieru. Jedynie lwowska szkoła OO. Jezuitów od r. 1766, pijarska w Złoczowie od r. 1781 oraz bazyliańskie w Szarogrodzie od r. 1772 i w Buczaczu od r. 1778 posługiwały się blankietami drukowanymi. Świadectwa w języku polskim wydawali OO. Jezuici w Kamieńcu Podolskim oraz OO. Bazylianie w Lubarze i Ostrogu. Sporządzano je na podstawie katalogów klasowych, z których jeden, pochodzący z byłego kollegium OO. Jezuitów w Tarnopolu, przechowuje biblioteka »Narodnego Domu« we Lwowie.

Druga z kolei praca p. Jerzego K m i t a p. t. »Wiejska szkoła ludowa w Galicyi w latach 1810—1824«, jest studyum wcale obszernem (str. 10—101) i obfitującem w materyały po raz pierwszy ogłoszone tutaj, a wszystkie pisane w języku polskim. Materyały, wyjęte z *Protocollum ordinationum scholasticarum parochiae Żoltanecensis*, wprowadzają nas poniekąd do samego wnętrza szkoły, dając możność poznania wzorów, na jakich ona kształtowała się. Dowiadujemy się stąd, jak wielka ilość dzieci korzystała z nauki, oraz obojętności ludu dla oświaty. Najciekawszymi dokumentami, jakie tutaj przedrukowano, są: okólnik konsystorza w sprawie pomocników do uczenia dzieci w bardzo oddalonych od szkół miejscowościach, z r. 1810 (w języku polskim), okólnik dziekanatu z r. 1816 o dyakach-nauczycielach (polski), takiż okólnik w sprawie zakładania szkół i zbierania funduszów na nie (polski), okólnik dziekanatu o szkole dla sług cerkiewnych w Żółtańcach (polski), wezwanie o podawanie wyciągów ze sprawozdania szkoły parafialnej (polski), instrukcya, jak należy robić podania o założenie szkoły do dominiów (polski), upomnienie dziekanatu, udzielone niektórym parochom za powierzanie katechizacyi dzieci sługom cerkiewnym (polskie), nagany dla duchowieństwa gr.-kat. z powodu smutnych wyników, jakie dała wizytacya szkół, reguły »dobrego pisania«, instrukcya

dla pomocnika szkoły. Dokumentów tych jest ogółem pięćdziesiąt. Kilka z nich zaledwie w języku ruskim.

Pan Stefan Tomaszewskij dał w przyczynku swoim p. t. »Stan szkół parafialnych w dziekanacie kozłowskim dyecezyi lwowskiej w latach 1819—1827« (str. 102—110) materyał wyłącznie polski, zawierający się w wyjątkach: relacye wizytacyi parafialnych, oraz protokoły z wizytacyi szkół.

»Podręcznik metodyki Iwana Ławriwśkiego« z r. 1837 przedrukowuje p. J. Kmit (str. 111—150) z oryginalnego rękopisu, aprobowanego przez ówczesną cenzurę, który jednak ujrzał światło dzienne dopiero teraz.

Drugi zbiór materyałów p. St. Tomaszewskiego podaje »Stan szkół parafialnych w dziekanacie brzeżańskim dyecezyi lwowskiej w latach 1843—1849« na podstawie relacyi dziekańskich do starostwa, pisanych naturalnie w języku niemieckim, chociaż i tutaj nie brak całkowitych ustępów polskich (str. 151—174).

Tom omawiany kończą »Materyały do historyi ukraińskiego szkolnictwa ludowego w Galicyi w latach 1830—1850«, wydane przez p. I. Krewećkiego (str. 175—191). Są to akty urzędowe, a zatem wyłącznie niemieckie, podające parę rysów do charakterystyki szkół ludowych w dyecezyi lwowskiej, lub do starań około zorganizowania nauki języka małoruskiego w szkołach pospolitych. Najciekawsze są konkursy na napisanie podręczników szkolnych.

Materyał to tedy, jak widzieliśmy, surowy. Oby go jednak przybywało jak najobficiej!...

Dr. St. Zdziarski.

Zapyski naukowoho Towarystwa imeny Szewczenka. Tom LXXXVIII. Lwów, 1909. 8-ka, str. 243.

»Poloników« w tym tomie sporo, jak zazwyczaj.

Pan Bohdan Buczyńskij kontynuuje swoje »Studya z historyi unii cerkiewnej«, zajmując się obecnie metropolitą Grzegorzem. (Str. 5—22). Również napotykamy tu dalszy ciąg obszernej rozprawy p. Wasyla Herasymczuka na tle czasów Wyhowskiego p. t. »Bunt Puszkara«. (Str. 23—50). Pan Michał Woźniak dał dokończenie szeregu notatek i drobnych przyczynków oraz materyałów surowych p. n. »Ukraińskie przedstawienia dramatyczne w Galicyi w pierwszej połowie XIX stulecia«. (Str. 51—93). Jest to rzecz, przynosząca sporą garść faktów do dziejów także teatru polskiego, w an-

neksach zaś parę nieznanych utworów polskich, a mianowicie: z papierów Stefana Petruszewicza »Uroczystość obrzynu albo zrazek sielanki« (r. 1802) i eklogę moskiewską (nb. po polsku) p. n. »Wasyl, Kiryło i Fedko«.

»Przyczynkami do historyi 1848 r.« obdarzył nas dr. Iwan Franko. (Str. 94—117). Opierają się one na wyciągach z archiwum rodzinnego Fedorowiczów z Okna, przeważnie zaś na urywkach z dziennika posła do Rady Państwa, Jana Fedorowicza, któremu przypadła wybitniejsza rola wśród ciemnej, nieumiejącej po niemiecku delegacyi chłopstwa ruskiego z Galicyi. Wypadki lwowskie oświetlają tutaj listy niejakiego Hićkiewicza, bardzo szczegółowe i dokładne. Na szczególną wreszcie uwagę zasługuje list pewnego sługi cerkiewnego do posła Fedorowicza, tak wielce pojęciami zbliża się do podobnych listów, jakich tysiące ze wsi otrzymywali posłowie do I i II Dumy państwowej lat temu kilka. Bo i u nas w Galicyi chłopstwo marzyło o jednem tylko, o wywłaszczeniu przymusowem właścicieli ziemskich i otrzymaniu ich gruntów, jeżeli nie za darmo zupełnie, to w najgorszym razie za psie pieniądze.

Pan Michał Zubryćkij daje »Przyczynki do historyi duchowieństwa ruskiego w Galicyi od 1820—1853 roku«. (Str. 118—150). Materyały zaczerpnął z aktów dziekanatu żukotyńskiego (dyecezyi przemyskiej). Przynoszą one garść ciekawych faktów z zakresu życia duchowieństwa gr.-kat. Okazuje się bowiem, że księża występowali często w odzieży cywilnej, tak, że konsystorz musiał im aż przypominać obowiązek noszenia sutanny! Dochodziło wreszcie do tego, że władze przełożone ubolewały, iż kandydaci stanu duchownego unickiego nie umieją czytać ani pisać po rusku, ani też nie znają śpiewu ani obrzędów cerkiewnych, skutkiem czego nie nadawali się do przyjęcia w poczet alumnów. Zdarzały się nawet takie nieprawdopodobne wypadki, że klerycy po ukończeniu seminaryum nie tylko nie umieli czytać po rusku, ale nawet odmawiać »Ojcze nasz« w tym języku! Nawet kazania w cerkwiach wygłaszano nie rzadko w języku polskim! I co najbardziej charakterystyczne? Oto sam konsystorz przemyski wydawał swoje kurrendy w językach: łacińskim, niemieckim, ba, nawet polskim, bo widocznie kanonicy nie umieli dostatecznie po małorusku! O napisanie podręczników teologicznych w języku małoruskim także nie starano się. W dobie ruchów rewolucyjnych polskich zarówno rząd centralny, jak niemniej konsystorz, starali się, ażeby duchowieństwo ruskie trzymało się jak najdalej idei przewrotowych,

co więcej, ażeby wzięło czynny udział w walce z rewolucyą. Tymczasem wezwania te nie odnosiły skutku, gdyż, jak o tem można przekonać się z kilku przytoczonych tutaj wyroków sądowych, niejeden z księży gr.-katol. ciężko odpokutował sympatyzowanie z ruchem wolnościowym. Ba, niektórzy księża uniccy odprawiali już wówczas nabożeństwa żałobne za Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, co było niemal równoznacznem ze zdradą stanu! Wszak podług kodeksu karnego już ten, który tylko pochwala zdradę stanu, staje się winien tejże zbrodni! Jakże inny był kler grecko-katolicki wówczas?... nasuwa się samo przez się porównanie ze stanem dzisiejszym... Okazuje się też fakt arcyciekawy, że żydostwo zrobiło na jednego z księży doniesienie do konsystorza, za to, że gromił on rozpustę przez dzierżawców-żydów szerzoną, którzy »na pańszczyźnie kobiety młode sprowadzali do siebie na cielesne uczynki«... Ogółem praca ta przynosi czterdzieści dokumentów.

W dziale »Miscelaneów« p. Włodzimierz Hnatiuk ogłosił kilka pieśni ze śpiewnika Jana Grjadelewicza (str. 151—157), pochodzących z XVII—XVIII wieku, niewątpliwie kopii z innych rękopiśmiennych zbiorków. Pan Tytus Rewakowicz podaje krótką notatkę o »Powinnościach pańszczyźnianych na Werchowinie« (nazwa ludowa przestrzeni, położonej pomiędzy rzekami Oporem a Orawą (dopływem Opora). Wreszcie p. M. Woźniak ogłasza przyczynki »Do historyi wydania zbioru Nomysa ‚Ukrajinski prykazki, prysłiwja i take insze'«. Są to ustępy, wyrzucone przez cenzurę (str. 159—180).

W »Kronice naukowej« p. Jan Krewećkij omówił kilka nowych prac z zakresu bibliografii druków ukraińsko-białoruskich. W dziale recenzyjnym wreszcie napotykamy między innemi oceny prac: Zachorowskiego, Sobieskiego i prof. Porębowicza, t. j. znacznie mniej, niźli zazwyczaj praktykuje się w tem ruchliwem wydawnictwie.

w. i.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Głosy na czasie. 7. Niech stanie. *Dennert* przełożył ks. J. Cieplucha. 1907. 18. Ewolucya czy trwałość gatunków. *Ks. Aleks. Mohl* 1909. 19. Kobieta w życiu zarobkowem. *P. Adamek.* 1909. 20. U źródeł bytu. Cel ludzkości. *Ks. dr. Mausbach.* 1909. Poznań. Nakładem drukarni św. Wojciecha.

Gorąco możemy polecić niniejsze wydawnictwo dziełek doborowych, roztrząsających kwestye tak żywo dziś obrabiane, dotyczących bądźto metafizyki, bądźto ewolucyi lub też kwestyi społecznej. Każde słowo tam ma swoją wartość a aktualność tematu czyni je niezbędnemi dla przewodników zebrań czy odczytów.

Towarzystwo imienia Piotra Skargi. Lwów 1909. Księgarnia F. Westa. Brody.

Nr. 1. »Piotr Skarga«. Jest to zarys monografii sławnego kaznodziei z uwzględnieniem tła i stosunków narodowych.

Nr. 2. »Grunwald«. Autor, p. K. Lubecki, w niniejszej broszurze daje nam rzut oka na sprawę krzyżacką, począwszy od powstania Zakonu aż do dni dzisiejszych. Oba dziełka mają tę dodatnią stronę, iż mając być popularnemi, są bardzo przystępnie napisane.

Odczyty i broszury popularne dla Towarzystw polskich. Nr. XXII—XXXIV. Poznań 1907—1909. Nakładem drukarni i księgarni św. Wojciecha.

22. »Dlaczego i jak powinniśmy walczyć z alkoholem«. Jan Chrzanowski, 23—24. »Hygiena pracy«. L. Górski, 25. »Papiestwo i kultura«. Dr. Kamieński, 26—27. »O uprawnieniu własności prywatnej«. A. Ziemski, 28—29. »Napoleon, człowiek czynu« (z Emersona) M. Zielewiczówna, 33—31. »Katolicyzm a protestantyzm wobec dóbr doczesnych«. Dr. Jatsch, 32. »Towarzystwa młodzieży i ich zadania«, tłum. ks. R., 33. »Dom królestwem kobiety«, tłum. St. Białoszyńska, 34. Kilka słów o gruźlicy«.

Są to rzeczy godne polecenia, zaznajamiające lud z wieloma rzeczami, które się wiedzieć powinny. jak np. z zadaniami z życia społecznego lub niektóremi kwestyami wiary, a wreszcie z chorobami, np. 23, 24, 34 gdzie można wiele znaleźć wskazówek i zdrowych rad.

Przewodnik po okolicach Krakowa z 2 mapami. *Dr. Kl. Bąkowski.* Spółka Wyd. w Krakowie. 1909.

Przewodnik po Sandomierzu z dokładnym planem. *Ks. Józef Rokoszny.* Sandomierz.

Przewodnik po Poznaniu i W. Ks. Poznańskiem z mapą, planem i rycinami. *K. Kościński.* Poznań 1909.

Przewodniki te mają charakter nie tylko topograficzny, lecz zaznajamiają także korzystających z nich czytelników z historyą i przeszłością odnośnego miasta, więc spełniają i cel patryotyczny.

Przewodnik po Muzeum im. XX. Lubomirskich we Lwowie z 12 illustr. Str. 121. Lwów 1909.

Rzeczy spisane są według 4 sal, następnie Zbrojownia, Pokój Kossaka, Galerya obrazów, Gabinet monet i medali polskich.

XIV Rocznik wydawnictwa Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie. Kraków 1908.

Rocznik ten obejmuje Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie za rok 1907.

Czterdzieści lat prześladowania Unii na Podlasiu. Kraków 1909.

Autor przechodzi po kolei smutne wypadki od uwięzienia i wygnania biskupów Felińskiego i Rzewuskiego, zamykania klasztorów polskich i znoszenia zakonów, zmieniania kościołów na cerkwie prawosławne, wyrzucania księży z probostw a wreszcie kończy na gwałtach, bezprawiach i katowaniach nieszczęśliwych ofiar, które nie dały się złamać lecz wytrwały..

Młodzież polska w uniwersytecie kijowskim przed r. 1863. *M. Dubiecki.* Kijów 1909.

Jest to, rzec można, niejako sprawozdanie szkolnictwa w ogólności w ziemi wołyńskiej od czasów Komisyi edukacyjnej z szerszem uwzględnieniem stosunków panujących na uniwersytecie. Dłużej zastanawia się autor nad rokiem 1794 i nad Tadeuszem Czackim i jego działalnością. Stosunki znośne panowały do r. 1861, dzięki zapobiegliwości takich mężów, jak Czacki i jemu podobnych. Mikołaj I jednem pociągnięciem pióra zniszczył pracę tylu lat i tylu pokoleń, rozwój szkolnictwa został przecięty. Wśród takich stosunków powstaje w r. 1833 uniwersytet kijowski, posprowadzano profesorów, pozwolono im wykładać w każdym języku byle nie po polsku. Następnie autor wspomina o stowarzyszeniach, profesorach i młodzieży, która mury tego uniwersytetu opuściła.

Zamek w Brzeżanach z planem z roku 1755. *Dr. M. Maciszewski.* Tarnopol 1908. Str. 64.

Ruiny zamku brzeżańskiego powstrzymującego tylekroć za czasów rzeczypospolitej najazdy obce, doczekały się obecnie naukowego i historycznego opracowania. Osobne ustępy poświęcone są twierdzy i warowni, pałacowi i kaplicy zamkowej. Rzecz oparta jest na źródłach pisanych a zwłaszcza inwentarzu zamku.

Wielki apostoł bł. Jakób Strepa, arcybiskup lwowski. Napisał *ks. biskup Wł. Bandurski.* Lwów 1909. Str. 123.

Pisząc monografię Jakóba Strzemię dostojny autor kierował się tem przekonaniem, że w zakres historyi narodu nie wchodzą tylko dzieje królów i wojowników, lecz i takich, którzy i na innem polu, na polu wiary wsławili swe imię i stali się pożytecznymi narodowi. Do takich należał bł. Jakób Strepa, apostoł Rusi, powiernik Jadwigi i Jagiełły, pełen cnót i wiary. Pan Bóg też cudownie nagrodził wiernego sługę dając mu za życia moc nadzwyczajną i łaskę a po śmierci chroniąc ciało od zepsucia. W r. 1790 papież Pius VI wydał dekret beatyfikacyjny, zaś w niedalekiej przyszłości ma się odbyć kanonizacya.

Żywot św. Antoniego z Padwy. Przez *ks. Euzebiusza Statecznego.* Bytom 1909. Spółka Wyd. Str. 212.

Święty ten żył i działał z początkiem XIII w. Poświęcił się stanowi duchownemu, wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych. Długi czas spędził we Francyi i we Włoszech, gdzie zasłynął nie tylko jako kaznodzieja, ale jako człowiek święty. Autor opiera się na źródłach historycznych, przedewszystkiem na pismach św. Antoniego i listach św. Franciszka, wreszcie na szeregu ówczesnych pisarzy, jak Bartł. z Trydentu, Rolandinusa, św. Bonawentury, Tomasza d'Eccleston, Bellovacensis, Salinobene, J. Rogand, Raimondina, przeważnie z XIII wieku.

Wojna r. 1809 *Michał Sokolnicki.* Nakład T. S. L. Kraków 1910. Str. 35 z mapą.

Pan M. Sokolnicki znany z odkryć

historycznych dotyczących XIX w., zwłaszcza ery Napoleońskiej, poświęcił niniejszą broszurkę dla szerszych warstw społeczeństwa. Wypadek, o którym wspomina, oparty jest na źródłowych badaniach i ma tę zaletę, że fakt znany już skądinąd, przedstawia w sposób popularny i przystępny. Broszurka opatrzona jest kilkoma illustracyami.

St. B.

Kiedy się urodził Juliusz Słowacki? Kilka uwag historyczno-prawnych o dacie urodzin poety. *Leopold Méyet.* (Nadbitka z *Przeglądu historycznego.* T. VI, z. 3). Warszawa.

Spory o datę urodzin wielkich ludzi są stare, jak świat. Znany jest chyba aż nadto dokładnie spór w sprawie przyjścia na świat Mickiewicza lub Heinego. Obydwa one zostały zakończone rychło.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z datą urodzin Słowackiego, przedewszystkiem dlatego, że na tę sprawę zwracano dotychczas mało uwagi. Powaga Małeckiego nie nastręczała sposobności do podejrzeń, zwłaszcza, że wszystkie wiadomości o dniu tym czerpano dotychczas bez żadnej krytyki i sprawdzania z korespondencyi poety, gdyż metryka urodzin jego była nieznana, jak też jakikolwiek inny akt autentyczny.

Nawet komitet jubileuszowy lwowski postanowił był pierwotnie obchodzić rocznicę 23 sierpnia n. st. i dopiero później, z innych względów, odłożył uroczystość do jesieni, zamilczając dyskretnie w odezwach swoich szczegółową datę przyjściu na świat poety. Jedynie prof. Tretiak w dziele swojem o Słowackim podał dzień 23 sierpnia st. st., jako dzień urodzin Juliusza, przed nim zaś p. Méyet w przedmowie do swojego wydania »Listów J. Słowackiego« po raz pierwszy uzasadnił tę datę. Obecnie, gdy do tej kwestyi przybyło trochę argumentów i dowodów, które winny rozproszyć wszelką w tej sprawie wątpliwość, zasłużony biograf Słowackiego poświęcił jej osobną, mozolnie i pracowicie ułożoną rozprawę.

Chodziło tedy jedynie o rozstrzygnięcie, jak należy rozumieć daty, podane w korespondencyi Słowackiego oraz — podług jakiego kalendarza — starego stylu czy nowego liczono daty w obrębie ziem ruskolitewskich? Co się tedy tyczy sprawy ostatniej, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na Wołyniu jeszcze od r. 1797 obowiązywał kalendarz juliański. Najważniejszym zaś dokumentem jest metryka chrztu poety, przytoczona tutaj przez p. Méyeta w całości w brzmieniu autentycznem. Wynika stąd bezspornie, że Słowacki urodził się 4-go września. Poetę ochrzczono tylko »z wody«. Ostatni tedy rozdział pracy p. Méyeta zajmuje się uroczystą ceremonią chrztu św., dopełnioną wówczas, gdy poeta liczył już 17 lat życia.

N. T.

Aus dem Musikleben der Gegenwart. Beiträge zur zeitgenössischen Kunstkritik von *Leopold Schmidt.* Mit einem Geleitwort von Rich. Strauss. Berlin 1909. A. Hofmann & Comp. 8-ka, XVI+367 str.

Znany berliński krytyk muzyczny uznał za stosowne wydać szereg swych mniejszych i większych artykułów jako książkę. Przedmowę napisał... Ryszard Strauss. Nie jest nam zupełnie jasnem, dlaczego p. Schmidt wydał te anemiczne w treści i stylu ekspektoracye, w których nie brak wprawdzie trafnych spostrzeżeń; są one jednak rzadkością, niełatwą do znalezienia wśród pustyni cia-

snych poglądów, prawd, których żaden mędrzec nie potrzebował wynaleźć i — kontrowersyi. Najbardziej nas dziwi, że tak wielki artysta jak R. Strauss uznał za stosowne napisać przedmowę do książki krytyka, którego opinia nie jest nigdy rozstrzygającą ani też nie wpływa na żadnego muzyka. Przymierze tego rodzaju jest w pierwszym rzędzie komicznem. Jak wspomniałem — nie brak trafnych spostrzeżeń, ale wartość książki jest na ogół niewielka.

Dr. A. Ch.

Kwasoryt (akwaforta). Z podręczników francuskich zestawił *Józef Ruffer*. Kraków 1909. Nakładem R. Aleksandrowicza.

Książeczka to niewielka, ale też tem więcej cenna, nie tylko z powodu swojej zwięzłości, zwłaszcza, jeżeli zważy się, że dotychczas nie posiadaliśmy w naszej literaturze podręcznika z tego zakresu. Wydanie wymienionej książeczki należy powitać z zadowoleniem prawdziwem, zwłaszcza ze względu na samouków i artystów początkujących, którzy dotychczas byli zmuszeni posługiwać się podręcznikami niemieckimi bądź francuskimi lub też obywać się bez nich z powodu nieznajomości tych języków.

Pan Ruffer, który od poezyi przerzucił się do rzeźby, podołał zadaniu wyśmienicie, łącząc w swoim podręczniku dwie nieocenione zalety, podnoszące wartość jego pracy, a mianowicie treściwą zwięzłość i jasność wykładu, przyczem nie poskąpił drobiazgowych wskazówek, niezbędnych zarówno dla początkujących, jak niemniej dla tych, którzy postąpili już w technice kwasorytniczej. Szkoda tylko, że opisowi narzędzi nie towarzyszą illustracye z wyobrażeniem przyborów, gdyż, jak wiadomo, najlepszy, najściślejszy opis nie jest w stanie dać tak dokładnego wyobrażenia czytelnikowi, jak illustracya.

Książeczka została ozdobiona piękną akwafortą Józefa Pankiewicza. Strona zewnętrzna podręcznika jest bez zarzutu. *N. B.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Hiszpania a stuletnia rocznica urodzin Jakóba Balmesa.

Rewolucyjny duch Francyi ogarnął na początku XIX w. także Hiszpanię. Partya rewolucyjna widziała odtąd zbawienie ojczyzny w sekularyzacyi dóbr kościelnych, w wypędzeniu zakonników i zakonnic, zniesieniu klasztorów i konfiskacie ich majątku, w wolnomyślnej konstytucyi na wzór francuskiej. To też pierwsza połowa XIX wieku znaczyła się dla Kościoła hiszpańskiego srogimi ciosami i wielkiemi stratami. Słabe panowanie Ferdynanda VII, nieszczęsne rządy Maryi Krystyny, swawola i okrucieństwa uzurpatora Baldemera Espartera są smutnemi kartami w historyi Kościoła hiszpańskiego. Dopiero gdy się Narvaëzowi udało wyprzeć Espartera z kraju, przywrócić rządy Izabelli II, córki Maryi Krystyny, która uzyskała też uznanie Rzymu, nastały dla Kościoła lepsze czasy i konkordat zawarty 5 września 1851 r. stał się podstawą nowego życia kościelnego w Hiszpanii.

Na te burzliwe czasy przypada życie Jakóba Balmesa, największej chluby Hiszpanii w XIX wieku. Urodzony w katalońskiem mieście biskupiem Vich u stóp Pireneów 28 sierpnia 1810 r., tu też otrzymał gimnazyalne wykształcenie i pilnie korzystał z biblioteki biskupiej. Podczas studyów uniwersyteckich w Cer-

verze przedewszystkiem oddawał się badaniu świętego Tomasza z Akwinu, lecz nie omieszkał także zaznajomić się gruntownie z filozofią nowoczesną i nowszymi językami. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, przyjął ofiarowaną sobie katedrę matematyki w Vich, która mu dała sposobność do podjęcia studyów poza ściśle filozoficznem polem.

Pierwsze dzieła, które mu zjednały wielki rozgłos w Hiszpanii, tyczą się ówczesnych stosunków hiszpańskich: »Socyalne, polityczne i ekonomiczne uwagi o dobrach duchowieństwa«, dzieło napisane w obronie dóbr kościelnych, i drugie: »Rozważania nad stanem Hiszpanii«, oświadczające się przeciw Esparterowi na rzecz Karlistów.

Ale nie na polu ekonomicznem i politycznem leży znaczenie Balmesa. Dzieło Guizota o cywilizacyi europejskiéj, które w protestantyzmie widzi źródło postępu, obok usiłowań Anglików, by Hiszpanię pozyskać dla reformacyi, nadały studyom i pracy jego inny kierunek. W roku 1842 wyszło dzieło: »Protestantyzm i katolicyzm w stosunku do cywilizacyi europejskiej«, które postawiło Balmesa od razu obok znanych apologetów katolicyzmu, Chateaubrianda, Bonalda, de Maistre'a i innych. Przedstawia się ono jako uzupełnienie znanych prac: Bossueta, *l'histoire des variations* i symboliki Möhlera. Podczas gdy Bossuet w niezmienności nauki katolickiej upatruje jej wyższość nad chwiejnością nauki protestanckiej, Möhler zaś fałsz protestantyzmu wykazuje oddaleniem się jego od istotnych prawd chrześcijańskich, Balmes odpowiednio do ducha czasu uwzględnił stosunki socyalne i mógł jako wynik swoich sumiennych i gruntownych badań postawić twierdzenie: Kościół, częścią wprost, częścią przez notoryczny wpływ swój usunął niewolnictwo, sprostował pojęcia o godności człowieka, uszlachetnił kobietę, zaprowadził publiczną dobroczynność, stworzył wolność polityczną i cywilną. Protestantyzm do tych zasadniczych podstaw prawdziwej cywilizacyi nie dodał niczego, owszem spaczył je i grozi im zagładą. Zbawienie społeczeństwa i jego postęp jest zatem wyłącznie dziełem religii katolickiej. Przed reformacyą istniały w cywilizacyi europejskiej już wszystkie kierunki późniejszego rozwoju, protestantyzm rozwój

ten powstrzymał i sprowadził na nowożytne społeczeństwo wiele złego.

Dzieło to rozniosło imię Balmes'a po całej Europie, a Hiszpania na głos swego wielkiego apologety zamknęła przed reformacyą swoje granice.

Protestantyzm jednak nie był wówczas jedynym wrogiem Kościoła, wkradała się doń także i fałszywa filozofia. Przy gruntownej znajomości starszej i nowszej filozofii był Balmes jakby powołanym na to, aby w tej sprawie zabrać głos. Uczynił to w dziele: *Filosofia fundamental.* W zamiarach jego nie leżało wskazywać na nowe kierunki, lecz zbadać podstawowe zagadnienia filozoficzne, aby zapobiedz niebezpieczeństwom płynącym z nauki opartej na fałszywych założeniach. Prawda, że następni myśliciele katoliccy jak T. Pesch, Mercier i inni, nie godzą się na wszystkie poglądy Balmes'a, niemniej jednak zasługą jego pozostanie, że on jeden pierwszy zaprotestował w imię nauki i prawdy przeciw roszczeniom oświaty, która domagała się od katolickiej teologii ustępstw na rzecz nowszych systemów filozoficznych i który katolickim szkołom znowu energicznie zwrócił uwagę na naukę św. Tomasza.

Te i inne dzieła Balmesa, jak jego logika *Il criterio*, obok jego intenzywnej działalności dziennikarskiej, pokazały światu czem Balmes był i w większej jeszcze mierze czem się stać mógł dla wiedzy katolickiej, gdyby złośliwa choroba piersiowa nie była podkopała tego cennego życia. Gdy mu się nie udało doprowadzić do skutku małżeństwa najstarszego syna Carlosa z młodą królową Izabellą II, małżeństwa, które uważał za pewną rękojmię uspokojenia i dźwignięcia kraju, usunął się do miejsca swego rodzinnego Vich, gdzie pomimo starań i zabiegów lekarzy życie zakończył 9 lipca 1848 r.

Wnet wyszły w Hiszpanii i Francyi biografie tego znakomitego uczonego, które wraz z dziełami jego także na inne języki przetłumaczone zostały. Jeden z jego biografów powiada: »Balmes był nauczycielem całego narodu hiszpańskiego; wskazał religii, polityce i filozofii w Hiszpanii nowe tory i niezliczonych sprowadził na dobrą drogę. Jemu zawdzięczamy, że ostatnia re-

wolucya francuska nie znalazła przystępu do Hiszpanii, on umożliwił przeprowadzenie konkordatu z Rzymem, on też sprawił, że Hiszpania wróciła znowu do starych katolickich tradycyi«. To też zaraz po jego śmierci postanowiono »obrońcę wiary katolickiej, chrześcijańskiego filozofa, pobożnego i znakomitego pisarza, księdza Jakóba Balmesa«, uczcić pomnikiem przez naród wzniesionym, a ówczesny nuncyusz madrycki Brunelli, zaszczycił go mianem: nowoczesnego Ojca Kościoła.

Kiedy w ostatnich czasach Hiszpania znów została zaniepokojona agitacyą wolnomularską, jak to dobitnie wykazała sprawa Ferrera, katolicy hiszpańscy przypomnieli sobie, że rok 1910 jest 100-letnią rocznicą urodzin Balmesa. Postanowiono skorzystać z tej sposobności i w taki sposób uczcić pamięć wielkiego męża, aby Kościół odniósł z tej uroczystości rzeczywiste pożytki. Najodpowiedniejszym do tego celu wydał się międzynarodowy kongres apologetyczny, który w dniach 7—10 września bieżącego roku ma mieć miejsce w Vich, rodzinnem miejscu głośnego apologety. Program tego kongresu obejmuje całe szerokie pole apologetyki katolickiej w tematach następujących: 1) historya chrześcijańskiej apologetyki w czterech częściach: od czasów apostolskich do soboru nicejskiego, u Ojców Kościoła, w scholastyce, od soboru trydenckiego do XIX wieku; 2) działalność apologetyczna Balmesa; 3) apologetyka w stosunku do wynalazków i naukowego postępu; 4) apologetyka i studyum biblijne; 5) archeologia jako nauka pomocnicza apologetyki; 6) apologia katolicyzmu w pracy socyalnej; 7) Kościół i oświata ludowa.

Będzie więc uwzględniona nie tylko apologetyka pióra i słowa, lecz także czynu. Przy nadzwyczajnem znaczeniu i niezwykłym rozwoju apologetyki w XIX wieku, myśl międzynarodowego kongresu apologetycznego trzeba uważać za bardzo szczęśliwą i niezawodnie płodną w owoce.

Apologetyka XIX wieku odznacza się wobec apologetyki dawnych wieków wszechstronnością, odpowiadającą niebywałemu rozwojowi wszystkich gałęzi umysłowej pracy. Racyonalizm t. zw. epoki oświecenia, radykalizm encyklopedystów, teorye deistów, krytycyzm Kanta, program rewolucyi francuskiej nastręczyły

katolickiej i wogóle chrześcijańskiej apologetyce nowych zadań, których liczbę powiększył jeszcze wiek XIX. Nowsze systemy filozoficzne pozytywizmu, idealizmu, materyalizmu, ewolucyonizmu i inne, które się zlewają we wszechwładnym monizmie; hegemonia nauk historycznych i naturalnych; wielkie polityczne i kościelno-polityczne zmiany, które w latach 70-tych doszły do szczytu; potężny ruch socyalny, niebywały postęp na polu gospodarczem, handlowem i przemysłowem, zwłaszcza w ostatnich latach dziesiątych ubiegłego wieku, krótko mówiąc, potężny postęp kulturalny XIX w., przesiąknięty duchem antychrześcijańskim i antyreligijnym, otworzył dla apologetyki niezmierne pole pracy i popisu. Nie brak też w ciągu całego wieku wielkich apologetów, przejętych wielkością swego zadania. Wspaniałe ich szeregi rozpoczynają we Francyi Chateaubriand, de Maistre, de Bonald, Lamennais, w Niemczech Görres, Möhler, w Hiszpanii Balmes, we Włoszech Cappellari, Perrone T. J. Między filozofami-apologetami słyną: Gratry, Laforest, Wiseman, Newman, Hettinger, Morawski T. J., Schanz, Weiss — między apologetami-historykami de Broglie, Döllinger, Bougaud, Hergenrötter, Duchesne, Battifol — Maupied, Moigno i inni starają się pogodzić dogmat z nową wiedzą — niezliczona ilość czasopism apologetycznych liczy najlepsze siły jako współpracowników — światowej sławy zażywają apologetyczne konferencye w Notre-Dame w Paryżu, gdzie tacy jak Ravignan T. J., Lacordaire, Felix T. J., Monsabré, d'Hulst przemawiają, a w ich ślady idą niezliczeni kaznodzieje i mowcy na całym świecie. Obok zaś tej apologetyki słowa i pióra może jeszcze dobitniej działa apologetyka czynu, udowadniająca na wszystkich polach politycznego, kulturalnego i socyalnego życia, że stary Kościół zawsze młody w sile i prawdzie.

W ostatnich czasach znać wyraźny zwrot apologetyki od kwestyi naukowych ku kwestyom moralnym. Skrajny nihilizm moralny i etyka antychrześcijańska, owe smutne skutki wiedzy, która chce zastąpić wiarę, coraz więcej zmuszają do tego apologetów; znane są pod tym względem prace Balfoura, Brunetière'a, Blondel'a, Laberthonnière'a, choć nie zawsze szczęśliwe. Zanosi

się na to, że w przyszłości etyka będzie głównem polem działania dla apologetów pióra, słowa i czynu.

Jest zatem nadzieja, że przy wielkiem znaczeniu apologetyki w naszych czasach, internacyalny kongres apologetyczny w Vich ogólny znajdzie interes i wielką liczbę uczestników. Nikt chyba też nie wątpi, że intenzywniejsza praca apologetyczna w Polsce bardzo jest potrzebna. Kwestya wychodźtwa, ruch antyalkoholiczny, szerząca się między młodzieżą niemoralność, pornografia, szersze zastosowanie apologetyki w prasie przeciw niechrześcijańskiej oświacie, współudział na polu socyalnem i kulturalnem domagają się u nas energiczniejszej pracy apologetycznej. Przyznać trzeba, że pod wieloma względami w Polsce praca ta daleko stoi poza działalnością krajów innych, choć nie brak chwalebnych w tym względzie usiłowań, czego im zaś zwyczajnie brak, to systematyczności i silnej organizacyi. Nie będzie dlatego od rzeczy i na tem miejscu przypomnieć, że na rok 1912 przypada trzechsetletnia rocznica śmierci największego apologety polskiego, Piotra Skargi, z której skorzystaćby można, aby zjednoczyć wszystkich katolików polskich dobrej woli do wspólnej pracy apologetycznej, a co jeszcze potrzebniejsze, aby zgodzić się na wspólny program intenzywnej akcyi katolickiej w większym stylu. Czasu jeszcze dość, aby obmyśleć zwołanie wiecu na wzór tegorocznego wiecu na cześć Balmesa, by Skarga dla akcyi katolickiej tem się stał w Polsce, czem, da Bóg, stanie się Balmes dla katolickiej Hiszpanii.

Episkopat francuski i Sillon

Na list z wyrazami współczucia dla episkopatu francuskiego wysłany przez biskupów hiszpańskich, odpowiedział niedawno kardynał Luçon, arcybiskup z Reims, że walka religijna, która obecnie toczy się we Francyi, powoli przeniesie się i na inne katolickie narody, że więc Kościół francuski, walcząc w pierwszych szeregach za sprawę ogólną, od wszystkich spodziewa się pomocy i poparcia.

Temi słowami zaznaczone ogólno-kościelne znaczenie obecnej walki religijnej we Francyi każe zwrócić także uwagę na akcyę katolicką ludzi świeckich, która w różny sposób stara się przy-

czynić do rozwiązania problemu. W niej wybijają się dziś dwa stronnictwa polityczne: *Action française* i *Sillon*. Podczas gdy zwolennicy pierwszego są monarchistami, zwolennicy drugiego są republikanami z przekonania. *Action française* nie jest stronnictwem ściśle katolickiem, nie żąda nawet, aby jej członkowie byli ludźmi wierzącymi, ale sądząc ze swego stanowiska, że stare tradycye monarchiczne utrzymać się dadzą jedynie na podstawie religijnych tradycyi katolicyzmu, wogóle jest przychylnie usposobione dla Kościoła. Wobec tego nie dziw, że partya ta nie cieszy się uznaniem ze strony episkopatu francuskiego, który raczej stoi po stronie partyi *Action libérale populaire*, obojętnej na formę rządu, ale zato dbałej o wolność religijną. Neutralność polityczna tego stronnictwa odstręczyła wielu, choć popierają je dzienniki *Croix* i *Univers*.

Republikańskie usposobienie szerszych warstw Francyi przyczyniło się do tego, że w ostatnich czasach między katolikami coraz większą sympatyę zdobywała sobie partya *Sillon*, na której czele stoi młody Marc Sangnier. Oprócz republikanizmu mają ci młodzi działacze w programie swoim także polepszenie bytu materyalnego przez wolne przekształcenie społeczeństwa; nie zamierzają zniesienia prywatnej własności, ale pomnożenia wspólnej pracy i wspólnej własności. Pod względem religijnym chcą być zależni od papieża i biskupów i jest ich przekonaniem, że demokracya nie może być urzeczywistnioną bez cnót chrześcijańskich, których dlatego słowem i przykładem uczą. W kwestyach politycznych i socyalnych nie łączących się z dogmatem albo moralnością katolicką, chcą przy wszelkiem uszanowaniu dla hierarchii zachować swą niezależność. Z początku zdawało się, że *Sillon* będzie katolickiem stowarzyszeniem dla religijnej i moralnej propagandy wśród społeczeństwa, dziś niema wątpliwości, że jest partyą polityczną, której członkowie są katolikami. Dążność do pewnej niezależności od hierarchii i stanowcze odrzucenie projektu połączenia się z *Action libérale populaire* od początku zniechęciły do *Sillonu* pewną część episkopatu francuskiego (tak Delamaire, sufragan kambrejski i kardynał Luçon, arcybiskup z Rheims), inni, choć się z *Sillonem* nie solidaryzowali, jednak

sądzili, że zapał i poświęcenie młodych obrońców katolicyzmu zasługuje na uznanie i poparcie. Francuskie i obce gazety katolickie zwracały jednak coraz częściej uwagę na podejrzane objawy i poglądy, pojawiające się w obozie *Sillonu*, tak że publiczne i niejako oficyalne oświadczenie się episkopatu francuskiego wobec akcyi *Sillonu* było coraz bardziej pożądanem. Arcybiskup Mignot z Albi, który na czele niektórych innych biskupów nie taił się z sympatyą swoją dla *Sillonu*, przyspieszył sprawę tem, że zwrócił się do kardynała Andrieu z Bordeaux z propozycyą, aby raczył być rzecznikiem *Sillonu* u Stolicy Apostolskiej. Kardynał Andrieu nie zgodził się na to głównie dla racyi następujących. Najprzód sądzi, że *Sillon* w akcyi ludowej chce Kościołowi tylko przyznać prawo kontroli, to zaś sprzeciwia się oświadczeniom Stolicy św. Zwraca uwagę na rozporządzenie Kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych wydane już za Leona XIII, opiewające: »Przy wszystkich przedsięwzięciach dotyczących akcyi chrześcijańskiej wśród ludu, potrzeba aby reguły i statuta stowarzyszenia były potwierdzone przez biskupa. Bez tego potwierdzenia żadne przedsięwzięcie tego rodzaju nie może uchodzić za katolickie i zasługujące na zaufanie kleru i ludzi świeckich«. Następnie zarzuca kardynał Sillonistom, że dzieł swoich przed publikacyą nie przedkładają władzom duchownym, choć często się tyczą religii, moralności i prawa natury. Nareszcie cytuje z pism Sillonistów niektóre zdania, które uważa za modernistyczne.

Pomimo że kardynał Andrieu z powyższych powodów nie przyjął protektoratu *Sillonu* wobec Stolicy św., oświadcza jednak na końcu, że głęboką cześć czuje dla tej młodzieży, tak pełnej zapału i poświęcenia dla sprawy katolickiej, dodając, że wysiłki jej przyniosłyby lepsze owoce w innej, zgodniejszej z duchem Kościoła organizacyi.

Na przedstawienia kardynała Andrieu odpowiada w dwóch listach arcybiskup Mignot, oświadczając, że nie chce wprawdzie być apologetą *Sillonu*, ale że pragnie, by pod względem religijnym nie podejrzywano usiłowań Sillonistów i nie przeszkadzano im w drodze do coraz większego wyjaśnienia wiary. W pierwszym liście przedstawia msgr. Mignot tendencye i usposobienie *Sillonu*.

Jest on tylko związkiem przyjacielskim, który dąży do republiki demokratycznej w duchu chrześcijańskim, przeto jako taki nie sprzeciwia się zasadom kościelnym, gdyż nie o reformę Kościoła lecz państwa mu chodzi. Jako polityczne stronnictwo nie podlega kierownictwu hierarchii, zwłaszcza że *Sillon* żadnego statutu nie posiada. Zresztą z adresu, podanego niedawno episkopatowi francuskiemu przez *Sillon*, pokazuje się, że są dobrymi katolikami i w duchu Kościoła chcą pracować. Oświadczyli tamże, że nie tylko w duchownych rzeczach Kościołowi podlegać pragną, ale w sporach kompetencyi między Kościołem i państwem Kościołowi prawo decyzyi przyznają. W polityce odrzucają wszystko, co z prawami religii i sprawiedliwości się nie zgadza, i w pracy socyalnej uważają za swój obowiązek trzymać się linii wytycznych, nakreślonych przez Kościół.

Z naciskiem oświadczają także, że nie tylko kontroli Kościoła, ale także jego kierownictwu się poddają w tych granicach, na które ona rozciągać się może i proszą duchowieństwo, aby się zajęło ich moralnem i religijnem wydoskonaleniem.

Wobec tego adresu *Sillonu* niejeden sobie powie: *Herz, was willst du noch mehr?* — a niejeden kraj katolicki, a może i Polska pozazdrości Francyi tak energicznej partyi przekonanych katolików! Całość w istocie robi wrażenie, że *Sillon* posiada wszystkie dane do wybitnej i korzystnej akcyi katolickiej i że względem niego z różnych osobistych i partyjnych przyczyn dopuszczono się nierzadkiej w takich wypadkach niekonsekwencyi, że wybryki i nieostrożności jednostek kładziono na karb całości.

W drugim liście nie było trudno arcybiskupowi Mignot odpowiedzieć na pojedyncze zarzuty, uczynione Sillonistom przez kardynała Andrieu. Że dla urzeczywistnienia swego politycznego programu *Sillon* usiłuje także rozszerzyć swą propagandę wśród sfer innowierczych i niewierzących, łącząc ich w t. zw. *le plus grand Sillon*, nikt im za złe brać nie może i do tego mają prawo. Z pism zaś wydawanych przez Sillonistów większa część nie podlega cenzurze kościelnej, gdyż konstytucya *Officiorum et munerum* domaga się jej tylko dla pism traktujących głównie o religii i moralności. Napiętnowane zaś zdania z pism Silloni-

stów łatwo i bez modernizmu wytłumaczyć się dadzą w sensie katolickim.

Pomimo tej świetnej obrony *Sillonu* ze strony arcybiskupa Mignota, episkopat francuski i nadal sceptycznie się na niego zapatruje; kto ma słuszność — przyszłość pokaże. Jest to jednak smutny fakt, że w obozie katolików francuskich, nawet wobec klęsk Kościoła, do zgody dojść nie może; fakt, który znowu tak niekorzystnie wpłynął na ostatnie wybory do Izby deputowanych. Nieszczęściem francuskiego katolicyzmu jest przeważający wzgląd polityczny. Jak w Austryi przeważający wzgląd narodowościowy przeszkadza każdej większej spójni między katolikami całej monarchii, bo każdy najprzód jest Niemcem, Polakiem, Węgrem, Słowieńcem, Czechem i t. d., a potem dopiero z dopuszczenia Bożego katolikiem, choćby chodziło o chwilową tylko zgodę, np. dla urządzenia wiecu katolickiego — tak we Francyi każdy katolik najprzód jest monarchistą albo republikaninem a potem dopiero katolikiem, choćby chodziło o chwilową tylko zgodę w tak ważnej sprawie jak wybory w obecnem położeniu. To też François Veuillot w *Univers* zapatruje się na położenie po wyborach bardzo czarno i nie spodziewa się nawet po wyborach roku 1914 żadnej poprawy stosunków. I słusznie, bo jeżeli dotychczasowe prześladowanie Kościoła nie zdołało zjednoczyć katolików francuskich, to na przyszłość mało zostaje nadziei, chyba, jak Veuillot powiada, że straszna katastrofa wstrząśnie całą Francyą. Nie bez przyczyny także daje *Köln. Volkszeitung* mądrą przestrogę *Univers*'owi, aby zaprzestał względem katolików politycznie, socyalnie i po literacku najczynniejszych próżnych podejrzeń i tropienia wszędzie modernizmu. Sprawa *Sillonu* jeszcze nie jest wyjaśniona, ale mamy nadzieję, że nierozważna opozycya nie sparaliżuje akcyi tak energicznej i rozumne uwzględnienie prawa i wolności usunie pozostałe jeszcze nieporozumienia.

W sprawie cerkwi ruskiej w Galicyi

Miał kiedyś Urban VIII powiedzieć: »Moi Rusini, mam nadzieję, że za waszem pośrednictwem wróci kiedyś cały Wschód do unii katolickiej«. Nadzieja Urbana VIII do dziś dnia się nie spełniła, ale nie jedynie z winy

Rusinów. Owszem, takie postacie jak św. Jozafat i Welamin Rutski, obok bohaterstwa religijnego tego narodu, którego niejednokrotnie dał imponujące dowody, są raczej rękojmią, że w korzystniejszych warunkach byłby może choć w części spełnił nadzieje w nim pokładane. Stało się inaczej. Rozpadła się Polska i z nią znikło także dzieło unii Brzeskiej w częściach przez Rosyę zabranych, tylko pod opiekuńczemi skrzydłami katolickiej Austryi utrzymała się mała część Rusinów przy unii w Galicyi i na Bukowinie. W państwie rosyjskiem wobec ukazu tolerancyjnego Mikołaja II, mnożyły się między Rusinami nawrócenia do unii i była nadzieja, że powoli cała dawna Cerkiew ruska wróci do katolicyzmu. Jedni sądzili, że najkorzystniej będzie, jeżeli przejdą od razu na łacinizm, inni przeciwnie uważali to za wielki błąd wobec schizmatyckiej Rosyi, która w tem byłaby widziała nowy dowód, że powrót do katolicyzmu równa się zniweczeniu obrządku. Dziś te nadzieje i obawy należą już do przeszłości, bo Rosya zajęła znowu swoje dawne stanowisko wobec Cerkwi ruskiej.

Inaczej się dzieje w Galicyi i pod niejednym względem wręcz przeciwnie. Silnie w XIX wieku rozbudzony ruch narodowy między Rusinami, spotęgowany do radykalizmu przez antagonizm do Polaków, nie został bez wpływu także na Cerkiew ruską. Konkordat starał się wprawdzie ułożyć stosunki i ułagodzić różnicę między obrządkami. Stolica św. niejednokrotnie zajęła się sprawami Cerkwi ruskiej w Galicyi, ale ostatnie czasy i wypadki są raczej świadectwem, że stosunki nie tylko się nie polepszyły, lecz pogorszyły i to w łonie samejże Cerkwi ruskiej.

O hegemonię walczą tutaj dwie partye, które na nieszczęście dzielą tak pod względem narodowościowym jak i religijnym nie tylko naród ruski, ale i kapłanów Cerkwi ruskiej. Partya russko-narodowa czyli Starorusinów widzi zbawienie narodowe w zespoleniu się Rusinów z narodem rosyjskim, co, jak zarzucają Ukraińcy, pociąga za sobą więcej pokojowe stanowisko wobec schizmy; partya Ukraińców, przesiąknięta narodowym radykalizmem, religię więcej usuwa na drugi plan i szerzy przez to przynajmniej pewną obojętność religijną. Jest to charakterystyka, opierająca się nie tylko na faktach czasów ostatnich, ale także na dwóch memo-

ryałach, które obie partye podały, jako wzajemne oskarżenie ks. metropolicie Szeptyckiemu przed dwoma miesiącami, pod niejednym względem bardzo ciekawe choć rzucające bardzo smutne światło na stosunki w łonie Cerkwi ruskiej w Galicyi. List episkopatu ruskiego, który tym szkodom stara się zaradzić, wrażenia tego nie tylko nie łagodzi, lecz raczej potęguje.

Starorusini w memoryale swoim, który podpisało 25 księży tej partyi, między nimi czterech kanoników gremialnych, kanclerz konsystorza metropolitalnego, dwóch profesorów uniwersytetu, odpiera najprzód zarzut uczyniony im przez Ukraińców, jakoby skłaniali się do prawosławia, oświadczając, że agitacya na rzecz prawosławia wychodzi od ludzi świeckich i radykałów ruskich. Uzasadniają to faktem, że emigranci ruscy w Ameryce, otrzymawszy tam księży z partyi ukraińskiej, niezadowoleni z nich, tłumnie przechodzą na prawosławie. Z powodu tego żąda memoryał, aby do seminaryów ruskich przyjęto zawsze dostateczną ilość partyi narodowej, mianowicie (staroruskiej) 36% według procentu głosów, które kandydaci ich stronnictwa otrzymali przy ostatnich wyborach — zaiste, cenny szczegół dla historyi Cerkwi ruskiej! Wkońcu między innemi żądaniami proszą ks. metropolitę, aby wezwał kierowników seminaryum lwowskiego do wychowania młodego kleru w duchu Chrystusowym — także bardzo charakterystyczne dla seminaryum lwowskiego żądanie!

Ukraińcy w swoim memoryale, na którym podpisało się 43 księży, między innymi trzech kanoników gremialnych, przełożeni seminaryum duchownego, odpierają zarzut, jak gdyby ich partya szerzyła niewiarę tem, że sam ks. metropolita otacza młodzież seminaryjną swoją szczególniejszą opieką i że działalność młodszych kapłanów daje niezbite dowody, że zdolni są utrzymać naród w świętej wierze. Zarazem zarzuca Starorusinom, że ich partya należy do instytucyi, które jawnie szerzą agitacyę za schizmą i że żaden głos z ich obozu przeciw niej do tego czasu się nie podnosił.

Faktem więc jest smutne i ubolewania godne rozdwojenie między duchowieństwem Cerkwi ruskiej w Galicyi, tem smutniejszym, że — słusznie czy niesłusznie — pobudza poważnione partye

do tak ciężkich zarzutów wzajemnych, w których przecież coś prawdy być musi. Faktem jest, że narodowościowe sprawy szkodliwy wpływ wywierają na samą Cerkiew ruską, wpływ wciskający się w mury samychże seminaryów ruskich. Gdyby więcej w tem wszystkiem prawdy nie było, już samo rozdwojenie duchowieństwa wystarczałoby, żeby Cerkwi rokować jak najsmutniejszą przyszłość. Ale list pasterski episkopatu ruskiego do kleru i ludu ruskiego, zdaje się trochę więcej mówić. Zaznacza on z całą otwartością szeroką i zgubną agitacyę schizmatycką w Galicyi i co więcej jeszcze zastanawia, konstatuje, że na trzy tysiące cerkwi ruskich bodaj czy jedna jest poświęcona pamięci św. Jozafata, męczennika Unii — że obraz jego po cerkwiach jest rzadkością i że imię jego sławniejsze jest u Czechów, Polaków, Francuzów aniżeli u Rusinów. Wspomina także odstępstwo wielu Rusinów w Ameryce, odkrywa słabe strony w chrześcijańskiem wychowaniu wiernych, czego przyczynę upatrują biskupi ruscy tak w zupełnej nieznajomości wiary, jako też w duchu schizmatyckim, przed którym duszpasterz ich bronić nie umiał. *Sapienti pauca!...*

Episkopat ruski chce tej agitacyi schizmatyckiej przeciwdziałać rozszerzeniem kultu św. Jozafata, literaturą religijną, pouczającą lud o wierze i pilną czujnością nad wychodźcami do Ameryki. Czy wobec smutnego rozłamu w samymże klerze ruskim te środki będą wystarczające, przyszłość pokaże, ale z góry można powiedzieć, że pierwszym i najważniejszym krokiem do sanacyi stosunków w Cerkwi ruskiej w Galicyi jest zgoda w duchowieństwie, któraby przynajmniej wykluczyła wszelkie antagonizmy religijne i cerkiewne, nie mogące pozostać bez zgubnego wpływu na sam lud ruski, i tak już, jak episkopat podnosi, zbałamucony.

Ks. A. Starker.

Eliza Orzeszkowa.

Spełniło się przeczucie wielkiej naszej współpracowniczki, gdy w miesiącu styczniu przesyłając naszej Redakcyi egzemplarz swej powieści »Gloria victis«, w dedykacyi napisała, że to ostatnia jej książka. Z głębokiem wzruszeniem przychodzi nam zapisać, że Orzeszkowa już nie żyje.

O znaczeniu Orzeszkowej, o rodzaju jej twórczości, pisał *Przegląd Powszechny* kilka razy. Nieporuszoną natomiast a dla nas szczególniejszej wagi sprawą jest stosunek Orzeszkowej do katolicyzmu. Pomijając korespondencyę Orzeszkowej do nas, mamy do tej kwestyi wiązankę szczegółów, jakie po śmierci wielkiej autorki przyniosły pisma codzienne.

Z korespondencyi naszej wspomnijmy tylko tyle, że zaznaczała w niej Orzeszkowa z pewnym naciskiem kilkakrotnie, iż w młodości odebrała wychowanie katolickie, szczególnie w czasie pobytu swego w pensyonacie klasztornym. Wiadomo, że następnie stosunek ten do katolicyzmu stał się dalszym. Działo się to w epoce pozytywizmu, którego Orzeszkowa była u nas wybitną przedstawicielką. Im goręcej jednak od drugich tej doktrynie była oddaną, tem prędzej od innych odczuła w niej pustkę i nicość. Nie mógł zaspokoić dążeń i pragnień tak wybitnego umysłu kierunek tak wyłączny i tak ciasny, jakim był pozytywizm. Hasła postępu, kultury i coraz wyższego rozwoju swego społeczeństwa, jakiemi pozytywizm się pozorował, pozostały jej na zawsze, jako drogowskazy, tylko pojęcie postępu i rozwoju doskonaliło się coraz bardziej, zbliżało się powoli do tych ideałów, jakie ozłacały młodość autorki. Bardzo wyraźnie dała w dziełach wyraz swojej wierze w Boga, nigdy jednak nie zaznaczyła swego stosunku do nauki Chrystusa.

Z tego względu, nie są bez znaczenia komentarze, jakie po śmierci przybyły. I tak w *Dzienniku Powszechnym* (nr. 141 b. r.) ogłasza z przed lat kilku korespondencyę swoją z Orzeszkową ks. Brykczyński, którą poprzedza następującą uwagą:

»W *Tygodniku Illustrowanym* nr. 23 ukazał się artykuł Kazimierza Tetmajera o Orzeszkowej, w którym między innemi czytamy:

»W jednem różni się bardzo Orzeszkowa od Sienkiewicza i Prusa. Sienkiewicz wierzy w Boga tak, jak mu to »Kościół, matka nasza, nakazuje«. Prus wierzy w Pana Boga, ale jest mędrzec i sceptyk. A Orzeszkowa wierzy w cel«.

Słowa te bardzo mnie zmartwiły i zdziwiły, a poczytując je za niesprawiedliwe i ubliżające osobie, którą za jedną z najlepszych i najszlachetniejszych autorek naszych uważam — boć dawno już Bakon powiedział, że dużo nauki prowadzi do Boga, a mało nauki od Niego oddala — napisałem do autorki »Nad Niemnem« z zapytaniem, czy przeciwko tym słowom nie zaprotestuje.

W odpowiedzi otrzymałem list, który po zgonie szanownej autorki mam już prawo a nawet obowiązek ogłosić, nie dodając żadnych komentarzy, bo te byłyby zbyteczne, gdyż on sam jest najlepszą charakterystyką religijną Orzeszkowej.

Ks. A. Brykczyński.

Szanowny Księże Proboszczu!

Tylko okoliczności wyjątkowe, wśród których obecnie się znajduję, sprowadzić mogły opóźnienie tej odpowiedzi mojej na wysoce cenny mi list od ks. Proboszcza otrzymany. Proszę o przebaczenie za zwłokę, mnóstwem przeszkód niepodobnych do usunięcia spowodowaną.

Żałuję niezmiernie, że życzenia w liście Szanownego Ks. Proboszcza wyrażonego spełnić mi niepodobna. Do zwierzeń publicznych, do zajmowania szerokiego ogółu tem, co tylko osoby mojej dotyczy, do bezpośredniego otwierania przed tym ogółem głębin duszy mojej, nigdy skłonności nie miałam, a raczej, miałam zawsze do tego pewną, trudną do pokonania odrazę. Oprócz tego publiczne wyznanie wiary mojej religijnej w kilku słowach zawrzećby się nie mogło. Gdybym czynić je przedsiębrała, pragnęłabym, co więcej byłabym powinna mówić długo, aby samo dno myśli i uczuć swoich wyjaśnić. A moment życia, który przebywam, pełen jest roztargnień, wzruszeń, które skupieniu myśli na przedmiocie, tak nieskończenie ważnym, przeszkadzają. Oprócz tego jeszcze i ponad tem, czasy burzliwe są, kłótliwe, sporami i rozterkami nabrzmiałe.

Lękałabym się stworzyć przyczynę, albo pretekst do sporów i rozterek nowych, do skrzesania nowej iskry z płomienia, który za najzgubniejszy i najgrzeszniejszy poczytuję, a którym jest pomiędzy innemi ludzka nienawiść. Że zaś każde publiczne i subjektywne przemówienie moje w sprawach zasadniczych d z i ś miałoby to następstwo, prawdopodobnem jest, jeżeli nie zupełnie pewnem. I oto dlaczego za łaskawe zwrócenie się do mnie Szanownego Księdza Proboszcza szczerze wdzięczna, zmuszona jestem głośne przemówienie o tem, co najdroższą część duszy mojej stanowi, odłożyć do czasu dla mnie i dla

ogółu sposobniejszego. A może nawet do zwierzeń osobistych nie przywykła i w tym kierunku ich zaniecham, sąd o tem, w co i jak wierzę, co i jak kocham, ku czemu i jak dążę, pozostawiając w pierwszej i najwyższej instancyi Bogu, a w drugiej i pomniejszej czytelnikom pism moich, dość uważnym i pojętnym, aby w tem zwierciedle składniki duszy mojej dostrzedz potrafili.

Ale nic wcale nie przeszkadza mi w prywatnej z Szanownym Ks. Proboszczem rozmowie wypowiedzieć, że p. Kazimierz Tetmajer w bardzo zresztą łaskawych sądach o mnie popełnił omyłkę, na której i mój wzrok zatrzymał się z przykrością.

Ateistką nie jestem. Od ateizmu oddziela mnie silna i głęboka wiara w Boga, Stwórcę i Ojca, którego lichym swoim rozumem człowieczym nie pojmuję, ale sercem czuję, przed którym dusza moja ściele się w miłości najgorętszej, jaką uczuwać zdolnam, do którego wołam i modlę się w dniach utrapień i w chwilach radości, którego woli i prawom z całej mocy mojej posłuszną być pragnę. Myślę, że prawa te, prawa Boskie, zawierają się w kodeksach religijnych, z których najwyższym jest nauka Chrystusa. Tę z całej duszy wielbię i niczego tyle nie pragnę, jak według jej świętego promienia bieg nici życia mojego prowadzić.

Te są główne punkta religijnej wiary mojej, a dlaczego dotykać jej ze stron wszystkich i obszernie dziś przynajmniej niepodobna, już wspomniałam.

O przyjęcie zaś tych słów kilku, jako dowodu mego głębokiego szacunku i wielkiej za okazaną mi życzliwość wdzięczności, proszę serdecznie i szczerze.

El. Orzeszkowa.

Pewna trwożliwość autorki w wyznaniu swych przekonań religijnych, w powyższym liście widoczna, trwała wprawdzie i dalej, ale zwolna zmniejszała się. Do tego peryodu odnosi się notatka p. E. Żmijewskiej w *Słowie* (nr. 228 b. r.), opowiadająca, jak Orzeszkowa zwierzyła się przed kilku laty z pragnieniem stanowczem, by na resztę życia osiąść w Warszawie, w klasztorze Sakramentek, w tym samym klasztorze, w którym spędziła młodość.

Inne szczegóły pomińmy. Nad wszystkie wymowniejszy moment stanowią przedostatnie chwile życia. Zwróciła się wtedy do ks. Miłkowskiego w Wilnie, z prośbą o ostatnią duchową posługę; półtrzecia miesiąca przed śmiercią odbyła spowiedź i przyjęła ostatnie święte

Sakramenta. Stwierdza to ks. Miłkowski w mowie pogrzebowej. Po spowiedzi wyrzekła do spowiednika następujące zdanie: »Jam nigdy nie zatraciła ideału Chrystusowego, a żem nie weszła wcześniej do Kościoła, na gruzy męczenników, to wielka moja wina. Gdybym pożyła rok, dwa, naprawiłabym tę winę«.

Tyle w tej kwestyi.

Odeszła z tej ziemi wielka dusza. Był to duch, stojący na straży narodu, którego baczności nie umknie najmniejszy ślad życia, najmniejsze drgnienie, poruszające ogół. Chata, dworek czy pałac, bank, pensyonat, poddasze czy pracownia uczonego, myśl wyrastająca z łona społeczeństwa czy przyniesiona z zewnątrz — na wszystkiem tem spoczywało oko autorki długo, z tem współczuciem, na jakie stać tylko głębokie serce i szczerze troskający się o dobro kraju umysł obywatela. Pod względem idei, pominąwszy pewien peryod życia, każdy utwór Orzeszkowej był zwiastunem dobra i cnoty. Najulubieńszą jej myślą było to przeciwieństwo, jakie istnieje między prawdziwą a fałszywą cywilizacyą, między sybarytyzmem dnia dzisiejszego a prawdziwą wartością życia. Wewnątrz nas, w etycznej szlachetności naszych czynów, najwyższa wartość spoczywa. Ojczyzna i Bóg, miłość i obowiązek. Oto jej hasła. A wszystko przejaśnione silnym odblaskiem wielkiego talentu i wielkiego serca. Pamięć takich dzieł i takich twórców nie ginie.

Ks. J. Pawelski.

Christliche Kunst.

Monachium, 16 kwietnia 1910.

Warunkiem sztuki musi być przewaga subjektywizmu nad objektywizmem — to właśnie, co różni sztukę od wiedzy.

Człowiek, którego umysł pracowicie i uparcie rozmyślając, idzie od faktu ku wnioskowi najczęściej nieprzewidzianemu, którego wyobraźnia nigdy nie zmienia ani wynaturza wyników bezpośredniego spostrzegania rzeczy — musi być filozofem albo uczonym. Przeciwnie, człowiek, którego wyobraźnia, wrażliwość, jednem słowem — osobowość, są tak żywe, tak pobudliwe, że samodzielnie przetwarzają rzeczy, barwią je własnemi kolorami i naiwnie przesadzają w kierunku swych zamiłowań, — może być tylko artystą. Prawda bowiem artystyczna, będąc z konieczności podmiotową, zmienia się nieskończenie.

W sztuce prawda rzeczy — jest prawdą naszych własnych wrażeń, jest rzeczywistością taką, jaką widzimy i pojmujemy na zasadzie naszego temperamentu, naszych zamiłowań, naszej duszy, naszych wierzeń, naszych organów, wreszcie — naszego specyalnego, nieświadomego działania umysłowego.

To też te działania umysłowe, właściwie niewiadomość tego działania u artysty, zrodziły wiarę tak ogólną u starożytnych Greków i Rzymian, wiarę w bezpośrednie mieszanie się do artyzmu — samych bogów, wiarę w ich zajęcie się specyalne i kierownictwo od poczęcia, aż do narodzin dzieł sztuki.

Apollon, Muzy, Dionyzos — oni to dawali wybrańcom swym natchnienia, oni to podpowiadali i dyktowali im ich arcydzieła.

My zaś, analizujący wszystko, odrzuciwszy tych sympatycznych bogów, uważamy ten stan moralny, stale przez nas zwany natchnieniem, to podniecenie mózgowe tak szczególnego rodzaju, bez którego niemasz artysty w pełnem znaczeniu słowa, my chłodni i zimni, uważamy to, za rodzaj halucynacyi pół-jasnowidzącej. Ona to, według dzisiejszych pojęć, poszukuje w głębi pamięci, w głębi duszy naszej różne wspomnienia, ona to nadaje marzeniom wyobraźni pozór rzeczywistości zewnętrznej, ona to wzrusza artystę, rozmarza, rozidealizowuje, rozentuzyazmowuje, ona to, ta halucynacya jasnowidząca, wlewa cały swój wysiłek, całą swą potęgę z porywem i ciepłem rozszalałej fantazyi i — rodzi dzieła sztuki...

Józef L. Raab swoją kompozycyą »Św. Cecylia« odrywa nas od prozy życia, od ziemi *où plus de pleurs sont versés que de joies exprimées* i przenosi nas, przy akompaniamencie anielskiej muzyki, w światy nieziemskich rozkoszy.

Święta Cecylia, w kwiecie młodości i piękności, natchniona wieszczem muzycznym, pieści klawisze jakichś organków. Wspaniały anioł jedną ręką prowadzi rękę świętej po klawiaturze, drugą, jakby sam maëstro Perosi, dyryguje orkiestrą, złożoną z aniołów, wtórującą świętej. Z należnym szacunkiem oddalenia dla świętej solistki, niebiescy muzycy wznoszą się na chmurkach, bacząc pilnie na każdy gest anioła dyrygującego.

To musi być chyba *Agnus Dei* Mozarta, na cześć i sławę Chrystusa!... bo czyż jest coś piękniejszego, coś więcej kojącego serce i umysł, coś więcej napawającego miłością i wdzięcznością ku Bogu, jak to *Agnus Dei* i to — grane przez takich muzyków!...

Już nie mówię o Świętej! Jej muzyka nie podlega krytyce, ale

choćby ten aniołek ze skrzypcami, jaki on natchniony, jaki odczuwający muzykę... jak on się pieści violinem swych skrzypiec, z jaką finezyą i elegancyą ruchu ręki prowadzi on smyczek po strunach, wydobywając boską melodyę!... A ten przy wiolonczeli? Jak on się boi, by świętej Cecylii źle nie zawtórować, jaką masę musi mieć pasaży, bemolów i krzyżyków, kiedy się biedak tak poci przy swej basetli!...

A jak to wszystko zrobione, jak malowane, jakie subtelności wykonania, na które patrząc, nie chce się oczom wierzyć!... Tu się pojmuje całą poezyę w materyi, w kolorach, w światło-cieniach, bo tu jest cała ich symfonia!...

Możnaby podziwiać złotą lamę, jak dzieło sztuki i marzyć sentymentalnie o nieporównanych efektach światła...

A te jedwabie, a te aksamity i na nich połyski, głaszczące oko! Wszystko to takie jakieś, jak gdyby było malowane nie farbami, lecz przejrzystymi, drogimi kamieniami, jak żeby w atłasach i aksamitach tych było gdzieś na dnie ukryte to światełko, które z wewnątrz rubinom i szafirom zdaje się nadawać cały ich blask, cały ich ogień!...

W tej kompozycyi, w całym tym obrazie podziwia się we szystkiem »une poesie flottante et vaporeuse, qui pénètre à la fois dans nos esprits, dans nos coeurs, dans nos sens et qui embaume notre âme à toutes les essences de l'Islam«.... jak mówi Alfred de Musset.

. . . . . .

Przechodzę do kompozycyi Maryana Strzembosza.

Rozszalała fantazya przedstawia nam charakterystyczne rozmarzenie się artysty pod wpływem religijnym.

Tytuł: »Wielkopiątkowe widzenie« *(Charfreitag Vision).*

Wnętrze pracowni ubogiego artysty... Czuć wszędzie i we wszystkiem, że mieszkaniec tego Parnasu, jak przystało na kapłana sztuki, »pour guider sa vie-compte plus sur les étoiles, que sur les boussoles... et les étoiles se cachent«!...

Na sztalugach pod ścianą duże, rozpięte płótno, prawie skończony obraz: »Bachanalia Nerona na wyspie Capri«.

Wszystko na co rozpusta Cezara i bogactwo Rzymu mogło się zdobyć, błyszczy w pełnym słońca złocie... Nimfy, Fauny i Najady, znęcone przepychem uczty i dźwiękiem lutni, wyłoniły się z morza, otaczającego tę cudną krainę, uświetniając szał pół-boga rzymskiego...

Artysta, wszedłszy do pracowni zmęczony, usiadł przed swem dziełem. Nie patrzy nań jednak... razi go. Wsparł głowę na ręku

i puszcza wodze fantazyi i wrażeniom, odczutym przy grobie Chrystusowym...

Widzi, na przedmieściu Jeruzalem, rosnące w ogrodzie dwa cedry libańskie... Jeden z nich wspaniały, niebotyczny... drugi mały, karłowaty.

Ten pierwszy, jako olbrzymie drzewo, pójdzie na dumny maszt okrętu, wiozącego złoto i bogactwa wschodu do stolicy świata — do Rzymu... dla Cezara!... Może, jako cenne drzewo — na tron, na łożnicę dla tego pół-boga, władcy wszechludów!...

To drugie, to nędzne, karłowate, na cóż się może zdać?... Ha, chyba na szubienicę, na krzyż dla tego króla Judei!... Dlań, dla tego Chrystusa — dobrem i to będzie!...

Dumne maszty, potrzaskane burzami — gniją na dnie morskiem!...

Tron, nawałnica barbaryi północnej zmiażdżyła w proch i wiatry rozwiały go na wszystkie krańce świata!...

Krzyż pozostał, jak był, lecz pełen chwały i błyszczy na cesarskich i królewskich koronach, bo

...Przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, Boskiego męczeństwa...

. . . . . .

Na obraz swój prawie skończony — »Bachanalia Nerona na wyspie Capri« — artysta widzi, jak przez środek jego, opuszcza się mgliste płótno z namalowanym krzyżem i — Chrystusem na nim...

Dwa światy, dwie idee, dwa dogmy życiowe...

. . . . . .

Na tem kończę o tym obrazie. *Tout ce que j'ai de meilleur à faire.*

Że Fritz Kunz umie rysować, że ma sympatyczną bardzo paletę i w swoich kompozycyach nieraz bardzo jest świetnym, tośmy wiedzieli i to — oczekiwałem zobaczyć w jego obrazie »Powrót św. Franciszka z Monte Alverno« *(Rückkehr des hl. Franziskus vom Monte Alverno).*

Z przykrością muszę jednak zaznaczyć, że poezya i jego twórczość opuściły go na chwilę w tej kompozycyi.

Na tle pagórkowatego pejzażu św. Franciszek, bardzo zdrowo i różowo wyglądający, jedzie na mule, widocznie upartym, prowadzonym, właściwie ciągnionym trenzlami przez braciszka klasztornego. O kilka kroków z boku stoją dwie kobiety i jakiś mężczyzna, obojętnie nań patrząc. To wszystko...

Czy to jest powrót czy wyjazd do Monte Alverno? — musimy

się zdać na tytuł, pejzaż nam bowiem nic nie mówi o tem, może za ramami, od strony plec Świętego, wznosi się topografia miejscowości...

Potem, dla czego ten Święty tak zdrowo, różowo wygląda?... Prawda — górskie powietrze... lecz chybaś, panie Kunz, nie czytał żywotu tego Świętego przed malowaniem, nie przejąłeś się duchem jego nauki i przykładu, jaki swem życiem dawał?? — Toż, przecież, jego główną zasadą — ubóstwo i nędza... Toż dusza jego tak była złączona z Chrystusem, że to połączenie odbiło się na wynędzniałem jego ciele... nosił rany Chrystusa na rękach, nogach i u boku, z których krew się sączyła... Prawda, pod koniec życia, lecz chyba, zaskarbiając sobie tę łaskę, nie dogadzał ciału?...

Jużbym prędzej tego braciszka posadził na muła i głowę aureolą świętego otoczył, bo przynajmniej choć trochę mógłby ascetę udawać, a z czarnej brody — również by go dobrze za św. Franciszka wziąć można.

Wyobrażam też sobie, że jeśli nikt już nie wyszedł z klasztoru na spotkanie założyciela i przeora swego, to w każdym razie lud Assyżu za dobrze Go znał, zanadto Go świętym za życia czcił, by po dłuższej jego niebytności w mieście, choć te trzy osoby — głów nie uchyliły.

Też do tego upartego muła jakoś nie mam sympatyi. Jeśli już Święty musiał jechać na mule, nie na osiołku (widocznie w klasztorze zwrócono uwagę na tęgość jeźdźca), to w chwili jego malowania, mógłby był model długo-uchy nie być tak upartym, by aż biedny braciszek ciągnąć go trenzlami musiał i by każdy patrzący pomyślał: *Ces mulets n'ont pas volé leur réputation, sont entêtés comme des proverbes.*

Ogromnie wynagradza za to wszystko pejzaż. Odczuty szalenie, pełen *stimmung*'u, oświecony słońcem wspaniale i każdy czuje, że Cézanne i inni impressyoniści do Fr. Kunza przodków artystycznych należeć muszą.

Ten obraz wolałbym, by pozostał był w pracowni artysty i uważać go muszę, że Fr. Kunz chciał nim tylko w *Christliche Kunst* — *faire passer sa carte.*

Maryan Strzembosz.

Przegląd muzyczny.

»Anhelli« Ludomira Różyckiego. — Nowe kompozycye ks. dra Antoniego Chlondowskiego. — Ochrona dawnych zabytków muzyki.

Jedną z najbardziej charakterystycznych i dodatnich cech młodszych muzyków polskich (ś. p. M. Karłowicz, H. Opieński, K. Szymanowski, G. Fitelberg, L. Różycki i L. Rogowski), jest szczególna płodność na polu symfonicznej muzyki. Dawniejsi i starsi kompozytorowie krępowali bądź co bądź swobodny lot twórczości niedogodnymi warunkami lokalnych organizacyi, wskutek czego powstała nadmierna produkcya na polu pieśni i muzyki fortepianowej, jakkolwiek i w tym kierunku nie chciano zdradzać wyższych ambicyi, zaniedbując n. p. muzykę kameralną. Niedawno zdawaliśmy sprawę z poematu symfonicznego Ludomira R ó ż y c k i e g o p. t. »Bolesław Śmiały«. Przed kilku tygodniami pojawiła się w druku partytura »Anhellego« (według Słowackiego). Nowe dzieło symfoniczne prof. Różyckiego jest zawsze ważnym wypadkiem w naszej muzyce. »Anhelli« nie jest illustracyą poematu Słowackiego, lecz raczej wyrażeniem mistycznego i egzotycznego pierwiastku, właściwego temu poematowi, na którem to tle rozwija kompozytor baśń trzech głównych postaci i tych scen, które szczególnie są podatne dla muzycznej inspiracyi (np. wzywanie duchów do powstania z grobów). Obok tego uczucie nieukojonej tęsknoty za ojczyzną stało się drugim czynnikiem w formowaniu muzycznej treści »Anhellego«. Wartość tego dzieła leży głównie w silnej inwencyi i świetnej instrumentacyi, oraz interesującej harmonizacyi i rytmice. Mniej interesuje nas opracowanie tej kompozycyi co do polifonii, nie przekraczającej granic prostoty w prowadzeniu głosów i co do formy, dość wolnej, rzec można impresyonistycznej. Także tematyczne przeróbki nie posunął kompozytor do niezwykłego wirtuozowstwa i zdumiewającej pomysłowości. Prawdopodobnie nie był to zamiar kompozytora; w każdym razie silniejsze wrażenie osiągnąłby przy pomocy bardziej skondensowanej formy. W każdym razie muzyce polskiej przybyło nowe wartościowe dzieło. I jeśli jakąś pretensyę mieć możemy, to tylko jedną: aby nam znakomity kompozytor dał s y m f o n i ę.

W przeszłym *Przeglądzie muzycznym* zdaliśmy sprawę z dwóch kompozycyi ks. dra A. C h l o n d o w s k i e g o. Obecnie przybyło ich cztery: inwokacya *Sancte Joseph* (na solo, chór i organy), *Tantum ergo Sacramentum* (na 3 głosy i organy), *Oremus pro Pontifice* (na

chór męski), wydane przez »Katolicką księgarnię w Lublanie« i *Te Deum* na 3 głosy męskie i organy (Düsseldorf 1910, nakł. L. Schwanna). Pierwsze trzy utwory są na wskróś liryczne, opracowane łatwo, melodyjne, wdzięczne, śpiewne, może nawet za śpiewne; brzmią bardzo dobrze, dzięki dobrej znajomości wokalizmu. Bardziej kościelnym w charakterze jest *Te Deum*, któremu oczywiście dostarczyły tematycznego materyału melodye gregoryańskie, harmonizowane na ogół bardzo trafnie. Jest to, zdaniem mojem, pewna wskazówka dla kompozytora; nic bowiem nie wpływa na stylowość kompozycyi religijno-kościelnych tak bardzo korzystnie, jak zagłębienie się w niezmierzone skarby chorału gregoryańskiego. To zbliża nowoczesnego muzyka do dostojnej klasycznej muzyki złotego okresu (1550—1650). Oczywiście samo naśladownictwo byłoby mimo chwalebnych tendencyi rzeczą bezproduktywną, ale zbyt wielkie odstąpienie od środków używanych przez ówczesnych mistrzów, pociągnęłoby za sobą utratę związku ze stylowością, która w muzyce kościelnej jest bardziej konieczną niż w innej. W *Te Deum* ks. dra Chlondowskiego widzimy stanowczo dążenie do stylu; są tam fragmenty polifoniczne, które budzą nadzieję, że jeśli kompozytor na tej drodze będzie dalej postępował, to z wszelką pewnością osiągnie swój ideał. Nie potrzebuję dodawać, iż studya nad dziełami klasyków muzyki kościelnej przyczynią się do tego znakomicie. Nie jest rzeczą przymusową ograniczyć się do XVI stulecia; owszem, ze względu na charakter dzisiejszej muzyki, pełnej harmonicznej rozmaitości i postępu w tym kierunku — że Kościół nigdy nie był wrogiem postępu, to zaznacza wyraźnie Ojciec św. w swej encyklice *Motu proprio* — należy szczególną uwagę zwrócić na dzieła następców Palestriny z XVII wieku (Ingegneri, Allegri, Cifra, Benevoli, Valentini, następnie A. Scarlatti, Durante, Pitoni, Gabrieli, Monteverdi, Donati, Lotti, Caldara — zwłaszcza kilku ostatnich; dzisiejszą ogólną tendencyę ku absolutnej chromatyce można pogodzić z muzyką kościelną obrawszy sobie za wzór kompozycye genialnego Jak. Gallusa z XVI w.). Mamy nadzieję, że dalsze utwory ks. dra Chlondowskiego udowodnią nam nie tylko samą staranną poprawność ale i kunsztowny charakter faktury technicznej.

Do niedawna zwracano u nas dość niewielką uwagę na zabytki muzyczne, tak niewielką, że nie omyliłby się wcale ten, kto kategorycznie oświadczyłby, iż nie zajmowano się nimi wcale. Niewątpliwie konserwacya tych zabytków wymaga pewnej organizacyi i planu oraz współdziałania grupy ludzi uświadomionych i energicznych, powiem

nawet — zapalonych. Nie chcąc poddać się zupełnemu pessymizmowi, żywimy nadzieję, iż czy wcześniej czy później musi rozpocząć się pozytywnu praca w tym kierunku. Jednakże zwlekać z pierwszymi krokami, zdążającymi ku temu celowi, nie można. Wiadomo bowiem, że największym wrogiem w tej dziedzinie kulturalnej pracy jest kunktatorstwo; również wszelka obojętność zniweczyć może i najszlachetniejsze chęci najsilniejszej konserwatorskiej organizacyi. Dlatego wcześniej, a nawet od razu należy przedsięwziąć kroki z osobistej inicyatywy wypływające i — ratować przed zaginięciem zabytki muzyczne z dawnych wieków, a więc druki i manuskrypty muzyczne. W miastach większych nie brak organów zabezpieczających je przed zniszczeniem. Inaczej rzecz się ma na prowincyi. Kto przypadkiem zwiedzał kościoły i dwory w małych miasteczkach i we wsiach, ten napotkał niejeden od wieków leżący bezużytecznie mszał, kancyonał, graduał, kantyczki, psałterze i t. p. Jako rzecz bezużyteczna błąka się cenny zabytek często w miejscach najmniej odpowiednich dla swej wartości historycznej. Często również znika nagle bez śladu lub niszczeje szybko z powodu, że nie jest zdolny do obudzenia interesu u osób, od których nikt zresztą nie wymaga aby się zajmowały muzyką lub jej dziejami. Sądzę, iż przemówię do przekonań każdego, kto ma dla naszej przeszłości cześć a dla nauki poważanie, jeśli otwarcie wyznam, że jedynym ratunkiem dla ocalenia tych zabytków jest składanie jej w bibliotekach publicznych i oddawanie ich w ten sposób na użytek nauki. Im prędzej to nastąpi, tem większa zasługa ofiarodawcy. Nie należy się krępować stanem zewnętrznym starego druku lub rękopisu — co więcej, nieraz jedna karta pergaminowa lub papierowa może posiadać niezwykłą wartość, którą ocenić może tylko historyk muzyki, względnie paleograf. Biblioteka Jagiellońska, Akademii Umiejętności, Ossolineum, a nawet wielkie archiwa miejskie (Lwowa i Krakowa) z pewnością powitają taki dar z należnem uznaniem i uczynią go dostępnym nauce. Jeśli czynniki naukowe otaczają opieką zabytki architektury, rzeźby, malarstwa, literatury i t. d. pieczołowitą opieką, to w istocie byłoby dowodem społecznej niedojrzałości, gdyby zabytki muzyki, i tak niezbyt mnogie, miały być wyłączone z niej. Stan taki jest obcy krajom zachodnim, w których duchowieństwo bierze czynny i bardzo intenzywny udział w tego rodzaju kulturalnej pracy, idąc w pomoc tym, którzy chcą wydobyć z pyłu niewdzięcznego zapomnienia piękne czyny przodków na polu muzyki.

Raz jeszcze z całym naciskiem zaznaczamy: pośpiech w działalności, o której mówimy, jest niezbędny.

Z kwestyą tą łączy się jeszcze druga, pokrewna, gdyż również dotycząca muzyki — tym razem instrumentów muzycznych. Jest zwyczaj, iż przy sprawieniu nowych organów w kościołach, stare bywają rozbierane i w jakikolwiek sposób niszczone. W ten sposób przepadają bardzo interesujące i cenne zabytki budownictwa instrumentów, będące same przez się drogocennymi przedmiotami sztuki stosowanej. Dotyczy to zazwyczaj pozytywów, portatywów i małych organków, zbudowanych czasem przez głośnych organmistrzów swojskich i obcych. Instrument zbudowany przez krakowskiego mistrza Homla (XVII w.), lub jego uczniów, posiada wartość nieokreśloną. Muzea (np. Muzeum Narodowe w Krakowie lub Muzeum Przemysłowe we Lwowie) z chęcią gromadzą instrumenty muzyczne dawnych wieków; a jednak między nimi nie znajdziemy małych organów, dawniej używanych. Należy zatem zwrócić i na to uwagę i nieużyteczny instrument »staroświecki« oddawać do zbiorów publicznych. Wiadomo, iż takich instrumentów ginie najwięcej »na prowincyi«. Nie wątpimy, że interwencya Grona konserwatorów przyczyni się do ratowania zabytków budownictwa instrumentów z dawnych epok.

Dr Adolf Chybiński.

Związki antypornograficzne.

Zaczyna się u nas organizować akcya przeciw pornografii. W takiej chwili nie zawadzi rozglądnąć się w pracy poprzedników i przypatrzyć się istniejącym już wzorom. Przedewszystkiem narzucają się tu uwadze związki katolików niemieckich, rosnące wciąż w liczbę i w pomyślne wyniki. Właśnie, kilka miesięcy temu, miał odczyt o tej sprawie znany przedstawiciel niemieckiego Centrum, poseł Roeren. Odczyt ten nasunął nam kilka następujących myśli.

Najdonioślejszą praktycznie sprawą w walce z pornografią jest ta, by zakładać ogniska, do których każdy interesowany mógłby się w każdej chwili zwrócić. Niech to z początku będzie wydział, złożony choćby tylko z pięciu członków, obradujących wspólnie raz na miesiąc lub nawet raz na dwa miesiące nad materyałem, jaki w sprawie pornografii przez ten czas się zebrał. Jeżeli doda się jeszcze do tych zajęć

jedno roczne ogólne zgromadzenie, zdające sprawę z całorocznej działalności, to wyliczyło się już wszystko, co taki wydział miałby na razie do czynienia. Cała istota rzeczy polega w tem, że istnieje w danem miejscu czujna straż obywatelska, która na wszystko w tym kierunku baczną zwraca uwagę.

Istnienie takiej straży wpływa na dwa fronty. Najpierw na społeczeństwo, a przynajmniej na jednostki w społeczeństwie, przez to, że budzi zdrową opinię i ożywczą reakcyę. A to w tej kwestyi znaczy dużo. Płynie to i z natury rzeczy i stwierdzone jest doświadczeniem, że, jeżeli który występek nie znosi wytykania palcem i wydobywania go na światło dzienne, to przedewszystkiem rozpusta. Publiczne objawy seksualizmu dlatego tak się rozwielmożniły, że brakło w społeczeństwie czujności i odwagi, gdy zło zaczynało się zakorzeniać. Gdzie zło już zakorzenione, tam, oczywiście, jak przy każdem zakorzenieniu jest praca trudniejsza, ale znowu powtórzyć należy to, co powiedziało się wyżej, że łatwiej usunąć ze światła dziennego ten występek, niż którykolwiek inny. Potrzeba tylko odwagi obywatelskiej. Odwaga ta pociąga za sobą, prócz budzenia zdrowej opinii, jeszcze to ważne następstwo, że powiększa szeregi ludzi, czynnie walczących z pornografią. Niejeden przechodzący obok prowokujących wystaw sklepowych czuł się dotkniętym, ale wiedząc, że jest sam jeden, nie mając punktu oparcia w żadnym związku, głosu nie zabierał. Wielu znowu, i to bardzo wielu, jest takich, których dopiero świadomość o istnieniu podobnego związku reflektuje o istnieniu i niebezpieczeństwie pornografii. Doświadczenia w Niemczech poczynione stwierdzają, że związki antypornograficzne z początku z kilku tylko składające się członków, bardzo rychło tą drogą powiększały się. I to jest dalszy etap takiego związku.

Z drugiej strony istnienie takich związków wpływa decydująco na władze. Jak długo społeczeństwo spokojnie przechodzi obok pornografii i tak się zachowuje, jakby w niej nie widziało nic zdrożnego, tak długo i władze publiczne skłonne są trzymać się biernie. Zmienia się położenie, gdy ze strony społeczeństwa zaczyna się reakcya. Władze bezpieczeństwa publicznego doskonale rozumieją, że, jeżeli poco są, to przedewszystkiem po to, by stały na straży moralnego poczucia społeczeństwa. Głos jednostki, żądający energicznie usunięcia skandalu z widoku publicznego, może już zaważyć dużo na szali, cóż dopiero protest związku całego. Gdy do tego przyłączy się ogólniejsza akcya — i to jest dalszy etap w rozwoju podobnych związków — jak wpły-

wanie na prasę, jak zwoływanie publicznych zgromadzeń w tym celu, jak systematyczny bojkot przedsiębiorstw szerzących pornografię, jak wytaczanie procesów podobnym przedsiębiorstwom, to łatwo zrozumieć, że zwycięstwo dobrej sprawy nie każe długo na siebie czekać.

Na zakończenie uważamy za stosowne przytoczyć ustawy podobnego stowarzyszenia w Kolonii, które dla swej krótkości i prostoty szczególnie nadają się, aby je można ogólnie zalecić. Statut ten brzmi jak następuje:

§ 1. Kolońskie męskie Stowarzyszenie dla zwalczania publicznej niemoralności wzięło sobie za zadanie, przedewszystkiem dla ochrony dojrzewającej młodzieży, podług sił zwalczać każdą obudzającą zgorszenie, a coraz śmielej występującą nieobyczajność, jaka się głównie pojawia w publicznych widowiskach, w wystawianiu i sprzedaży nieskromnych obrazków i druków.

§ 2. Dla popierania swojego celu Stowarzyszenie winno szczególnie za pośrednictwem prasy, już też przez staranie się o ściganie sądowne lub przez wszelkiego rodzaju ostrzeżenia działać odpowiednio do celu wyłuszczonego w § 1.

§ 3. Członkiem Stowarzyszenia zostaje się przez zgłoszenie się u przewodniczącego. Przewodniczący może jednak odmówić przyjęcia do Stowarzyszenia.

§ 4. Każdy członek płaci rocznie co najmniej dwie marki.

§ 5. Organami Stowarzyszenia jest prezes oraz walne zgromadzenie. Zarząd składa się z 20 do 30 członków, wybranych przez walne zgromadzenie. Zarząd reprezentuje Stowarzyszenie we wszystkich jego sprawach. Do prowadzenia interesów i do kierowania Stowarzyszeniem wydaje zarząd przepisy we formie rozporządzeń służbowych.

§ 6. Członkowie sprzeciwiający się celowi i dążnościom Stowarzyszenia, mogą być, po uprzedniem napomnieniu przez przewodniczącego, na tegoż wniosek przez zarząd ze Stowarzyszenia wykluczeni.

Oto cały statut. Doskonały wzór, jeżeli nie do zupełnego powtórzenia, to przynajmniej do przystosowania do naszych warunków.

Ks. J. Pawelski.

Druk ukończono 10 czerwca 1910.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Intermedya ucieszne. *Bolesławicz.* »Biblioteka teatrów włościańskich« nr. 7. Lwów 1910. Str. 77.

Przez krzyż i mękę. Dramat. *J. Rozmuski.* Lwów. J. Maniszewski. 1910. Str. 101.

Co to jest antysemityzm? *J. Mrówka.* Warszawa 1910. Str. 40.

Z dziejów pułku. *St. Ostrowski.* Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1910. Str. 167.

Na Skalnem Podhalu. V. *K. Przerwa-Tetmajer.* Kraków—Warszawa. Gebethner i Wolff. 1910. Str. 94.

Szkoła czystości życia. Według dzieła E. Reichenbach-Pieczyńskiej. *J. Surzycka-Chałubińska.* Warszawa. 1909. Str. 205.

Biblioteka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej. Słowacki: »Mindowe«. — Tenże: »Złota czaszka«. — Orzeszkowa: »Daleko«. »Karyery«. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp.

Jaskółczym szlakiem. Powieść. *M. Rodziewiczówna.* Wydanie II. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 348.

Wigilia. *Fr. X. Pusłowski.* Kraków. W. L. Anczyc i Spółka. 1910. Str. 39.

Mojżesz. Poemat. *K. Kosiński.* Kraków. G. Gebethner i Spółka 1910. Str. 29.

Carmen saeculare. Dożynki. Poezya i muzyka. *Fr. X. Pusłowski* i *H. K. Rostworowski.* Kraków 1910. Str. 19, 4.

Dictionnaire Apologétique de la Foi Catholique. *A. D'Arlès.* IV. édit. Fascicule I—III. Agnosticisme—Die. Paris. G. Beauchesne et Cie. 1909 i 1910. Str. 960.

Histoire de la Compagnie de Jésus en France. *P. H. Fouqueray.* T. I. Les origines et les premières luttes. 1528—1575. Paris. Picard et Fils. 1910. Str. XXV, 673.

Der Bau der rumänisch-unierten Kirche in Bukarest. *R. Netzhammer.* Einsiedeln. Benziger et Cie. 1910. Str. 19.

Katalog Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków 1910. Str. VIII, 252.

Dokąd nam iść wypada? *Wojciech hr. Dzieduszycki.* Lwów—Brody. F. West. 1910. Str. 589.

Katalog dzieł wydanych nakładem Tow. Wyd. we Lwowie od r. 1877—1910. Lwów. Str. 96.

La Vieille Morale à l'école. *J. Tisssier.* Paris. P. Téqui. 1910. Str. XLIV, 416.

L'Art, la Religion et la Renaissance. *J. C. Broussolle.* Paris. P. Téqui. 1910. Str. XIII, 491.

Die kirchlichen Zustände in Deutschland vor dem Dreissigjährigen Kriege. *J. Schmidlin.* II T. Baern. B. Herder. Freiburg i. Br. 1910. Str. 166.

Praelectiones dogmaticae. *Ch. Pesch S. J.* T. VIII. De virtutibus. Ed. III. B. Herder. Friburgi. 1910. Str. X, 344.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Das Leben unseres Herrn Jesu Christi. *M. Meschler S. J.* T. I. Str. XXI, 653. T. II. Str. IX, 584. Wyd. VII, B. Herder. Freiburg im Br. 1910.

Clericus devotus. Orationes, meditationes et lectiones sacrae. B. Herder. Friburgi. Str. XII, 488.

Starożytności słowiańskie. *Dr. L. Niederle.* Tom I, Zeszyt II. Z czeskiego przełożył i wydał K. Chamiec. Warszawa 1910. Skład u E. Wendego. Str. 239—608.

Historya Kościoła w streszczeniach. *Ks. B. Pawłowski.* Warszawa. K. Trepte. 1910. Str. 240.

Zagadnienie wartości w filozofii. *Fl. Znaniecki.* Wydawnictwo »Przegl. Filozoficznego«. Warszawa 1910. Str. 115.

Obrazki z 1863 r. *S. Okulicz.* Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1910. Str. 218.

56 Generalversammlung der Katholiken Deutschlands in Breslau. Breslau. 1909. Str. 690.

Bibl. Uniw. Lud. i Młodz. Szkolnej: Zesz. 134. J. Słowacki: »Marya Stuart«. — Zesz. 138. E. Orzeszkowa: »Panna Róża«. — Zesz. 139. M. Rodziewiczówna: »Rupiecie«. — 144. Z. Krasiński: »Liryki«. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910.

Bibl. Młodzieży Szkolnej: Zesz. 118. Ouida: »Listek wśród burzy«. — Zesz. 119. Z. Morawska: »Fatalna pomyłka«. — Zesz. 120 i 121. Fridtjof Nansen: »Wyprawa do bieguna północnego«. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910.

Gawędy duszy. *J. A. Teslar.* Kraków. 1910. Str. 52.

Rewolucya i inne nowele. *Knut Hamsun.* Wilno. K uryer litewski 1910. Str. 123.

Byli i będą. Powieść. *M. Rodziewiczówna.* Wyd. II. Warszawa—Kraków. 1910. Str. 323.

Mistrz Kłębek. Powieść. *H. Piątkowski.* Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 433.

Stefan Marcel. Fantazya dramatyczna. *M. Rey.* Wyd. II Illustrował. P. Stachiewicz. Lwów. 1910. Str. 225.

Kwestya alkoholizmu. Badania socyologiczno-statystyczne. *Dr. Matti Helenius.* Tłum. J. Kostrzewski i Wł. Marcinkowski. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha. 1910. Str. 358.

Trudowe po bułgarska i sławianska istoria. *M. S. Drinow.* Tom I. Zofja. 1909. Str. 688.

Lubraniec. Monografia z 6 illustr. *Ks. St. Muznerowski.* Włocławek. 1910. Str. 160.

La Resurréction de Jésus. *E. Mangenot.* Bibliothèque apologétique. 9. Paris. G. Beauchesne et Cie. 1910. Str. 404.

Historya włościan w Polsce. Czasy najdawniejsze do początków XIII wieku. Wolna ludność wieśniacza. *A. Marylski Łuszczewski.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1910. Str. 214. III

ANKIETA W SPRAWIE PORNOGRAFII.

Był już czas, czas ostatni, do zaczęcia społecznej samoobrony przed zalewem zepsucia.

Nie pierwsi stwierdzamy, że doszło ono do niebywałych w historyi rozmiarów. Zwrócono słusznie uwagę, że bywały dawniej zgorszenia wielkie w literaturze i życiu, jak we Włoszech, za czasów Borgiów i Aretinów, we Francyi, za czasów Rejentów, Ludwików XV, Diderotów i Holbachów — nigdy jednak, nie było zepsucie tak rozszerzone, jak dzisiaj, ani tak pewne siebie i tryumfujące. Filozofia dzisiejsza stawia nieskrępowane niczem prawo indywidualności, jako najwyższe prawo życia a życie samo wyciąga wszystkie płynące z tego prawa wnioski.

Z miazmatów tego życia wytwarza się zaraźliwa atmosfera zepsucia w całym szeregu urządzeń i produkcyj, atmosfera działająca wprost zabójczo na każdego niedoświadczonego. Znanem jest powszechnie, ile na sumieniu ma pod tym względem dzisiejsza literatura. A cóż powiedzieć o tych niższych i stąd dla każdego przystępnych środkach, jak zeszytowe wydawnictwa, kinematografy, teatrzyki, kabarety, pisma humorystyczne, fotografie i widokówki. Wierzyć wprost się nie chce, jak olbrzymim jest rozwój i wzrost tych środków zepsucia. Siedliskiem tej produkcyi był od dawna Paryż. Dziś Paryż poszedł prawie w cień wobec tego, co w tym względzie dostarcza Wiedeń, Budapeszt, taki Berlin, Lipsk lub Monachium. W jednej miejscowości południowych Niemiec, przy rewizyi przypadkowej u jednego kupca, zna-

leziono trzysta tysięcy lubieżnych fotografii. Koszta anonsowania tego rodzaju fotografii w prasie niemieckiej wynosiły w jednym roku przeszło milion koron. Co najgorsza, że istnieje międzynarodowa organizacya tego rodzaju produkcyi, która dostarcza adresów i ułatwia zamówienia.

Nie mnożymy przykładów, bo są to rzeczy zbyt powszechnie znane. Znanem jest równie i to, że nadmiar ten demoralizacyi i jej środków wywołuje w ostatnich czasach raz po raz reakcyę i samoobronę społeczną, czasem nawet tam, gdzieby się tego najmniej spodziewać było można. Kilka tygodni temu, znaczna ilość dam kabaretowych Paryża oświadczyła się za gruntowną reformą w dziedzinie kabaretowych produkcyi. Niech będzie dowcip, wesołość, pomysłowość, lecz precz z pornografią. Redakcya *Matin*'a, niedowierzając tej wiadomości, wysłała jednego ze swych współpracowników na wywiad, który tę wiadomość w zupełności potwierdził.

Takich przykładów reakcyi, mniej lub więcej uderzających, na mniejsze lub na szersze zakrojonych rozmiary, było w ostatnich latach dość wiele. Znaną jest w tej mierze zorganizowana akcya katolików niemieckich. Znaną jest również rzeczą, że podobna zorganizowana samoobrona wychodziła także od kół, nic wspólnego z katolicyzmem nie mających.

Wyraźmy od razu uznanie, że najbardziej systematycznie wzięto się do tej walki z pornografią u nas. Wiadomo z dzienników, że w stolicyi Galicyi zwołano już w tej sprawie kilka zgromadzeń, że przygotowano już odpowiednie wnioski do ciał ustawodawczych, że zwrócono się skutecznie do opieki władzy publicznej. Cała ta akcya jest w pełnym toku. Żeby jednak przyciągnąć jak najwięcej chętnych współpracowników do niej, żeby wogóle poruszyć opinię publiczną, trzeba było zwrócić w tym kierunku uwagę ogółu. I tu bardzo szczęśliwy pomysł urządzenia w tej kwestyi ankiety.

Mamy przed sobą sporą, w wykwintnej formie wydaną publikacyę, mieszczącą w sobie plon tej ankiety, Zabiera w niej głos równo sto osób; wiele z nich zajmuje pierwsze stanowiska w dzie-

dzinie społecznej czy umysłowej. Geneza tej publikacyi, podług przedmowy, była następująca:

W Sodalicyi Maryańskiej panów we Lwowie wypowiedziano odczyt »O pornografii i jej wpływie na nasze społeczeństwo«. Rzecz wywołała pośród obszernego grona nader ożywioną rozprawę, zaczem zrodziło się postanowienie nie zasypiania już tej sprawy. Bez tworzenia przeto jakichkolwiek organizacyi uczyniono krok jeden i drugi — wciągnięto do akcyi i młodzież uniwersytecką, kupiącą się w Sodalicyi akademickiej.

Młodzi ci bojownicy, z właściwym wiekowi swojemu zapałem, rzucili niezwłocznie hasło walki celowej na dłuższą obliczonej metę. Pierwszym zaś objawem ich działalności — odezwa zapraszająca pisarzy i wybitnych obywateli naszych do wzięcia udziału w specyalnej Ankiecie, która mogłaby stać się wytyczną wszelkich dalszych w tej mierze ruchów i czynów. Odezwa ta brzmiała następująco:

»Jakby wielką falą rozlało się zepsucie nad społeczeństwem naszem i coraz szersze zatacza kręgi. Tysiącami szczelin wkrada się powiew sromoty do wszystkich niemal dziedzin życia, dybiąc przedewszystkiem na młodzież, jako materyał najmniej wobec pokus oporny.

Pornografia wyprawia za dni naszych istne orgie, wyprawia zaś je — smutno to powiedzieć — bezkarnie! Ku jej poparciu, a szkodzie narodowej: sztuka, handel i przemysł podały sobie zgodnie ręce, nawet literatura i prasa zdają się aż nazbyt często zapominać o potędze, jaką jest słowo drukowane, o potędze iście obosiecznej, równie wiele dobrego jak złego zdziałać zdolnej, jeżeli nie uszanuje zdrowia moralnego.

W tych stosunkach, dziwić się prawie trudno, że upadek obyczajów wyciska coraz jaskrawsze piętno na bytowaniu naszem. Podcięte już jest drzewo przyszłości u pnia samego, wyrodnieją młode pokolenia! Na czemże zbudujemy, czem wywalczymy oną przyszłość, jeśli do boju o nią wyruszą — a może nawet wyruszyć nie zechcą lub już nie zdołają? — rzesze przedwcześnie wyczerpane, organizmy skarlałe, umysły i serca wypaczone?!

Jeżeli zaś komu, to nam, których cała otucha w przyszłości,

nie wolno kapitulować przed tym groźnym wrogiem. Jeżeli kto, to polska młodzież, spadkobierczyni tradycyi Filaretów, pielęgnować winna ideały wzniosłe i czyste, zamiast rzucać się w pył, błoto i kałuże.

Jako odłam tej młodzieży, świadomi naszych obowiązków z jednej, a grożących nam dziś niebiezpieczeństw z drugiej strony, dobrze widząc ponadto, co wokoło nas się dzieje, jak coraz bardziej na zatratę idzie wszelki zdrowy, coraz zaś bujniej krzewi się zatruty posiew — chcemy przywołać rówieśników naszych do opamiętania, chcemy także społeczeństwu całemu otworzyć oczy na grozę dzisiejszego rozluźnienia moralności.

Walka z pornografią, tak powszechnie rozbujałą, tak upowszechnioną — rozumiemy to — niełatwa. Lecz czyż dlatego wogóle nie podejmować walki? Poczucie wewnętrzne mówi nam, że każdy krok ku wytępieniu zła zdążający, jest dziełem dobrem; przeto czynimy go śmiało i odważnie, ufni, że nie zabraknie nam poparcia u prawych obywateli kraju, u dobrze myślących Polaków.

W tym celu zarządzamy Ankietę, pragnąc zebrać w niej opinie i wszechstronne zapatrywania na sprawę tę ludzi, których sąd umie ogół nasz cenić wysoko, i którzy zechcieliby pospołu z nami przyczynić się do odbicia ciosu, godzącego wprost w duszę Narodu!«

Powyższą odezwę rozesłano w 1.000 egzemplarzy kierując ją do publicystów i działaczy wszystkich bez wyjątku stronnictw i obozów w Polsce.

Odpowiedzi, jak już wzmiankowaliśmy, nadesłano sto.

Mamy więc przed sobą poważną bardzo publikacyę, która wyszła z najczystszych intencyi, która ma przed sobą zadanie doniosłe i do urzeczywistnienia tego zadania sama niepoślednio przyczynić się może. Najprostszy zatem obowiązek zwrócić na nią powszechniejszą uwagę.

I.

Przedewszystkiem, uprzątnijmy z drogi jeden szkopuł. Jest jeden brak w tej publikacyi, który przeszkadza nam do wyra-

żenia pełnego uznania. Bądźmy szczerzy i powiedzmy odrazu, co leży nam na sercu.

Oto, tego rodzaju wydawnictwo domagało się nieodzownie posłowia od wydawców, posłowia, któreby różnorodne opinie ujęło w pewną klasyfikacyę, a zarazem — i o to nam głównie chodzi — wydało sąd o nich. Nic łatwiejszego, jak w tej kwestyi o niejasne pojęcia. Zapewne, każdy z uczestników tej ankiety, już tem samem, że zabiera w niej głos, będzie występował przeciw pornografii, lecz, jakżeż łatwo, wobec nieustalonych granic tego pojęcia, zwalczać tak pornografię, że zamiast walki, będzie apologia. Przyznajemy również chętnie, że udział sfer literackich w tego rodzaju ankiecie był bardzo pożądany, jest jednak rzeczą notoryczną, że w sferach literackich, panuje właśnie wielki w tej kwestyi chaos pojęć. I to się odbiło na tem wydawnictwie.

Jeden ze szczerszych uczestników ankiety stawia sobie od razu pytanie: co to jest pornografia? I odpowiada: »Ja tego wyrazu nie rozumiem. A raczej boję się go. Są wyrazy, jakby stworzone dla obmowy ludzkiej. Ileż one szkody wyrządzają dziełom i twórcom?!«

Inny uczestnik pisze podobnie, ale już z pewnym dodatkiem: »Nie wiem, co to jest pornografia? Wiem tylko, co jest utworem sztuki, a co partactwem; co literaturą, a co nędznem wypracowaniem; co szczerością, a co udaniem«. A że, podług panującej opinii, wielka i szczera sztuka i literatura rządzą się własnemi prawami, wyższemi nad względy etyczne i społeczne, więc kwestya pornografii w tej dziedzinie staje się już przesądzoną.

Z tem przekonaniem, jaśniej lub mniej jasno wyrażonem, spotkać się można w kilku odpowiedziach tej ankiety. Najwyraźniej mówi to w swej aforyzmowej odpowiedzi Sienkiewicz. Dla dokładności, przytoczmy ją:

»Opis lub obraz nagości skąpanej w słońcu i powietrzu nie jest pornografią.. Natomiast jest nią podpatrywanie nagości przez dziurkę od klucza.

»Nie jest również pornografią obraz całkiem nagiej nimfy. Jest nią widok nawpół rozebranej kobiety.

»Człowiek utalentowany, jeśli handluje swoim talentem i upa-

dla go, może być pornografem. Dzieło talentu nie może być pornograficznem.

»Nagość artystyczna jest plamą barwną. Nagość pornograficzna plamą etyczną«.

Trudno do tego rodzaju aforyzmów przykładać ścisłą miarę rozumowania; żaden wogóle aforyzm tej miary nie znosi. W tych zwłaszcza aforyzmach czuć pewien pośpiech, pewne niedociągnięcie linii. Takie naprzykład wyrażenie: »człowiek utalentowany, jeśli handluje swoim talentem i upadla go« już wyprzedza ideę, o której uzasadnienie chodzi. Aforyzm pierwszy i drugi mówią w drugiej swojej części tylko o jednym z rodzajów wywoływania efektów pornograficznych, o intrygowaniu przez tajemniczość — co wcale nie uzasadnia pierwszej części aforyzmów. Aforyzm ostatni mówi tylko o subjektywnym stanie artystów, o dobrej wierze artysty, malującego nagość i o złej woli pornografa. Ale prócz artysty i dzieła sztuki, wchodzi tu w kwestyę czytelnik czy widz, dla którego właśnie plama barwna może stać się powodem plamy etycznej.

Powiedzieliśmy już wyżej, że trudno do tego rodzaju aforyzmów przykładać ostateczną miarę prawdy i dlatego nie zatrzymujemy się nad nimi dłużej. Ważniejszą w tej sprawie jest sama istota poglądu, którego aforyzmy powyższe są niedokładnym wyrazem. Istotą tego poglądu jest helenizm artystyczny, tradycyjny wpływ klasycznej epoki sztuki greckiej, epoki, w której sztuka miała być najwyższym wyrazem życia i cieszyć się pełną niezależnością.

Wszczynać dyskusyę na ten temat, nie może być zadaniem tego miejsca. Kwestya jest zbyt obszerną i zbyt zawiłą, żeby mimochodem załatwić się z nią można. »Sztuka dla sztuki«, »sztuka a moralność«, »sztuka a społeczeństwo« są to zagadnienia, z których każde ma za sobą bibliotekę całą.

Można jednak wskazać na myśli pewne, które w toku swoim do innych wniosków prowadzą. Tem bardziej zaś wskazanie takie jest w tem miejscu uzasadnione, że niektóre z tych myśli są w innych odpowiedziach tej ankiety poruszone.

Kwestya nagości w sztuce nie da się załatwić ani absolutną afirmacyą, jak to czyni Sienkiewicz, ani absolutną negacyą. Jest

zbyt skomplikowana, ażeby jednem słowem usunąć się dała. Naczelna zasada w tej sprawie, dziś coraz bardziej poza kołami helenistów uznawana, jest ta, że sztuka, jako jedna z funkcyi społecznych, jakimi są, religia, moralność, nauka, wchodzi z temiż funkcyami w jakiś określony stosunek. Nie jest od nich niezależną i nie może się sama bezwzględnie rządzić. Funkcye te są społecznemi siłami ludzkości i dlatego ład i porządek wymaga, ażeby między niemi panował pewien stan równowagi; wszelkie naruszenie tej równowagi sprowadza szkody a nieraz i klęski społeczne. Dla naszej sprawy ważną jest zależność sztuki od moralności. To jedno.

Z drugiej strony, nagość sama przez się, nie jest niemoralnością. Ktoś w tej ankiecie słusznie pisze, że pod tym względem pojęcia są różne w różnych krajach i klimatach. Mieszkańców pod równikiem wcale nie razi strój, nie o wiele odmienny od ko styumu adamowego; inaczej objawia się wstydliwość w Hiszpanii inaczej u mieszkańców północy. Temu stanowi natury odpowiada też stanowisko sztuki. W epokach, w których wrażliwość ogółu pod tym względem jest mniejsza, może być większą swoboda w sztuce — i na odwrót. Wszystko to są pojęcia względne, uwarunkowane szeregiem okoliczności i czynników. Nie sam artysta decyduje tu ale i warunki społeczne, wśród których żyje. Stąd, naprzykład, przenoszenie pojęć heleńskich w tej mierze w świat dzisiejszy jest anachronizmem; inny był stan społeczny wówczas, inny dziś, dziś żyjemy w świecie chrześcijańskim. Zapomina się przytem, że swoboda helenizmu przejawiała się w rzeźbie, a więc w sztuce, w której i zimna sztywność materyału i nieruchomość zmniejszają znacznie pobudliwość. Z tego też względu, niewielkie ma znaczenie powoływanie się na wielkich mistrzów sztuki, przekraczających w tej mierze granicę. Słusznie pisze w tej ankiecie dr. Thullie: »Czyż dlatego, że ktoś jest mistrzem, musi być moralnym człowiekiem; czy każdy geniusz ma już patent moralności? Czy wszystko, czego dokazał Napoleon, nazwalibyśmy moralnem dlatego, że nosił znamię geniuszu na czole? Któż zaryzykuje takie twierdzenie? A dlaczegóżby dzieło Rubensa czy Makarta nie mogło być niemoralne?«

Ten sam autor w dalszym ciągu odpiera bardzo wymownie inny zarzut, z powyższym pokrewny: »Ależ pendzel mistrza przedstawia nagość w ten sposób, że podziwiamy tylko piękno, a nie gorszymy się nagością — zarzucą niektórzy. — Jeżeliby piękno odejmować miało możność zgorszenia, to przecież piękniejszem niż ciało malowane jest ciało ludzkie żywe?! A jednak, gdyby kto twierdził, że ciało to jest tak pięknem, że spoglądający na nie, myślą tylko o samem pięknie, a nie o czem innem i wyszedłby nagi na ulicę... spotkałby się pewnikiem z policyą«.

Nie można zatem zapoznawać związku sztuki z całością życia ludzkiego i wszystkich jego warunków. Z drugiej strony wytyczać teoretycznie jakieś bezwzględne granice, ważne dla wszystkich czasów, jest czystem niepodobieństwem, bo wytycza je życie samo, względnie do wartości, przyjętych w danej epoce. Ale zawsze jakieś granice istnieją, których sztuce przekroczyć nie wolno, bez naruszenia równowagi społecznej, bez obrazy moralności i bez zapoznania własnego celu.

Tę granicę powinien odczuwać sam artysta, jeśli jest artystą szczerym. Szczery artysta — pisze w tej ankiecie p. Krechowiecki — »przedstawi życie wiernie z tą repliką, jaką ono daje, w tej ostatecznej równowadze, jaką ono w całości swej przedstawia, nie przejaskrawiając efektów, nie poświęcając nic z prawdy, dla rozgłosu lub poczytności. Z prawdy, powtarzam; chociaż bowiem grzech, występek, zbrodnia, sprosność, to także prawda życiowa, lecz przedstawiona bez repliki jednostronnie, w zamiarze pociągnięcia pożądliwych oczu, obudzenia zmysłowych myśli, staje się tylko w części prawdą, a przeto tendencyjną ułudą, fałszerstwem takiem, jakiem byłoby najczystsze wino, do któregoby dla smaku, mocy czy barwy, dodano szkodliwego narkotyku«.

A poniżej podaje ten sam autor jeszcze jedno zdanie o szczerym artyście, które wprost do naszej odnosi się rzeczy: »Silny w prawdzie, poda ją w tak misternym kształcie, aby nie była nigdy i dla nikogo zachętą do złego, rozmyślnem pokuszeniem lub zarzewiem żądzy. Znaleźć odpowiednią do tego formę, to niewątpliwie trud niemały, lecz godny prawdziwego artysty«.

Na zakończenie tego wywodu zróbmy jeszcze jedną szczerszą

uwagę. Pogląd taki, jak wyraził go Sienkiewicz, należy do poglądów panujących, a więc takich, które nieraz mimowoli przyjmuje się na wiarę, bez wglądania w jego wartość. Ale w pewnych chwilach życia zapomina się o tem. Czy nie była taką chwilą zapomnienia ta, gdy Sienkiewicz pozwalał na skrócone wydanie »Quo vadis«, w którem opuszczono jaskrawe sceny orgii rzymskich. I jeszcze drugi fakt. Przed kilku laty urządziło jedno z pism warszawskich ankietę o moralności teatru. Zabrał w niej głos i Sienkiewicz i nazwał słusznie dramat »nagiej sztuki« porubstwem. Obruszyło to twórców »nagiej duszy«, choć kiedyindziej wielokrotnie ogłaszali światu niezależność sztuki od względów społecznych i obyczajów. W chwili takiego obruszenia, stali się nagle szczerymi i puścili w kurs aforyzm: »Przybyszewski uprawia porubstwo, a Sienkiewicz ruję«. Nie solidaryzujemy się bynajmniej z impertynencyą względem wielkiego pisarza popełnioną, chcemy tylko zaznaczyć, że w chwilach szczerości sami augurowie nie wierzą w swoje dogmaty.

A jeżeli kiedy, powyżej wyłuszczone względy społeczne obowiązują sztukę, to dziś, w czasach przeczulonej wrażliwości ogółu. Dziś granice swobody sztuki ścieśniły się pod tym względem bardzo. Cokolwiek myśli sobie artysta, gdy maluje plamę barwną, czy to robi dla handlu, czy w szczerości tworzenia, to jego rzecz — przeciętny dzisiejszy widz czy czytelnik w te subtelności nie wchodzi; plama barwna miewa dla niego często inne niż artystyczne znaczenie.

Słowa te będą zapewne głosem wołającego na puszczy, ale głosić je trzeba, mimo chwilowej niepopularności. Walka z pornografią jest jednem z najnieodzowniejszych zadań chwili obecnej, jeśli społeczeństwo nie ma zginąć — a w tej walce najważniejszym momentem jest ograniczenie zbytniej swobody w sztuce i literaturze. Z grubemi, mieszczańskiemi formami środków zepsucia uporać się przyjdzie łatwiej, bo złość w nich widoczniejsza. Sztuka zaś i literatura są tak idealnemi hasłami, że fałdem swego uroku i pornografię zakryją. Wystarczy zaś najmniejsze uprawnienie dla pornografii w najidealniejszej nawet dziedzinie, by bezkarnie po wszystkich polach hulała.

Wielka szkoda, że wydawcy tej ankiety nie dając od siebie posłowia, ten wzgląd przeoczyli.

II.

Po uczynieniu tego zastrzeżenia należy się twórcom i wydawcom tej ankiety serdeczne uznanie. Dopomogli do dobrego dzieła, wywiesili sztandar i zainicyowali akcyę. Spowodowali swą inicyatywą dużo myśli dobrych, uwag trafnych i spostrzeżeń niezwykłych. Zdarzają się i w tej ankiecie odpowiedzi mało mówiące, traktujące sprawę dość lekko, trafiają się także oryginalne pomysły, jak, naprzykład, gdy profesor rysunków, jako jedyny środek przeciw pornografii, poleca naukę rysunków, lub, gdy jakiś wielbiciel Mickiewicza za taki środek podaje lekturę wykładów paryskich poety. Ale za to nie odpowiadają już wydawcy.

Natomiast ile innych przepięknych myśli.

Naprzykład, jak donośnym jest odzew Orzeszkowej:

«Cel i zadanie organizacyi, — pisze czcigodna autorka z Grodna — mającej za hasło ‚Precz z pornografią' poczytuję za nieskończenie poważne i ważne, do najwyższego stopnia sympatyczne.

«Pornografia, bądź w literaturze, bądź w sztuce, bądź w mowie ludzkiej objawiająca się i rozszerzająca, wydaje mi się podobną do tych plamek barwy ciemnej i mętnej, które u roślin trujących płatki kwiatu usiewają. Po tych plamkach od pierwszego rzutu oka poznać można koronę, w szał śmiertelny wprawiającego bielunia.

«Plamy pornograficzne, rozsiane po literaturze, sztuce, mowie, obyczaju społeczeństwa, objawiają znajdującą się w niem truciznę zepsucia obyczajowego, są jego bezpośrednim skutkiem ale zarazem sprzymierzeńcem i pobudzicielem.

«Przeciw zepsuciu obyczajowemu, u samego korzenia podgryzającemu siłę fizyczną i duchową narodu, walczyć należy z całej mocy w dziedzinie wychowania, piśmiennictwa, propagandy wszelkich przeciwnoległych uczuć, zasad, przyzwyczajeń. W walce tej, jak hufiec w armii, jak rozdział w dziele, zawarte jest zwalczanie pornografii.

«Całą mocą przekonania przyklaskuję powstaniu hufca, całą siłą serca łączę się z twórcami rozdziału dzieła świętego.

«W walce tej i pracy waszej udział żywszy wziąć pragnę i mam nadzieję, że go w przyszłości odrzucić nie zechcecie. Dziś tych kilka słów tylko przynoszę i prośbę, abyście po upływie czasu pewnego, o rozwoju i wynikach usiłowań waszych raczyli przysłać mi wiadomość.

«I jeszcze — dla szlachetnych serc waszych pełne szacunku pozdrowienie, a dla energii, ku wielkiemu celowi zwróconej gorące: szczęść Boże!»

Takich głosów jest w tej ankiecie dużo. Jak pełnymi ognia i przekonania są głosy ks. arcybiskupa Bilczewskiego, hr. St. Tarnowskiego, Choińskiego, Krechowieckiego, Kazimierza Morawskiego i wielu innych.

Środków walki przeciw pornografii podanych jest dosyć; wszystkie zjednoczyćby trzeba. I usuwanie pornografii — i wyrabianie w młodzieży hartu i zdrowia fizycznego przez gimnastykę i sporty — i rozwijanie uczucia prawdziwego piękna i szlachetności — i działanie obyczajowe i religijne na jednostkę a zwłaszcza na rodzinę i na temże tle wychowanie w rodzinie i w szkole, dążące do wyrobienia czystości serca i zdrowego poglądu na życie.

Bardzo umiejętnie, z należną przezornością i z docieraniem do gruntu rzeczy, pisze w tej sprawie p. Cecylia Plater-Zyberkówna. Warto jeden, drugi, ustęp przytoczyć:

«— Co czynić? — pytają — i czy oddziaływać przeciw temu rzecz możliwa?

A jednak reagować potrzeba!

— Wykupić gorszące książki, cokolwiekby to kosztowało — wołają najgorliwsi...

Ależ, równałoby się to wypiciu wody ze stawu!... a chociażbyś tego dokonał, nowe wnetby napłynęły cuchnące strumienie.

— Gorąco poruszyć prasę!

To znów najlepsza dla książek reklama...

— Bojkotować księgarnie i czytelnie, propagujące złe książki.

Ależ takie postępowanie zjednałoby im sympatyę tłumów!

— Zabronić młodym czytania!

Nowy bodziec zaciekawienia. Jakże bowiem powiedzieć chłopcu: ‚Nie czytaj tego lub owego' — co czytają jego koledzy?

. . . . . .

Nie!

Tu nie poradzisz bojkotem, prześladowaniem, zakazem lub nakazem, zło rozjątrzy się tylko. Tu inna strategia potrzebna, bardziej na psychologii oparta... I czyby nią nie była strategia, zalecona przez Apostoła narodów, tak dawna, a zawsze nowa i zawsze najskuteczniejsza: ‚zło dobrem zwyciężać'?

Prześladowaniem ścinasz tylko liście chwastu, a tu przecież idzie o jego korzenie!

. . . . . .

Niewątpliwie, że źródłem pornografii jest zepsute serce ludzkie, albowiem, jak mówi Chrystus: ‚Z serca wychodzą złe myśli, mężobójstwa, cudzołóstwa, porubstwa, kradzieże, fałszywe świadectwa, bluźnierstwa'. (Mat. 15—19).

Z serca wszelkie zło bierze początek. Z brudnego serca brud przelewać się musi. ‚Z pełności serca usta mówią', — powiedział jeszcze Chrystus.

Próżnem więc byłoby usiłowanie usunięcia skutków zła, nie wysuszywszy wprzód jego źródła, a ku temu jedyna droga, to: lepsze i głębsze uświadomienie społeczeństwa w sprawie moralności i na tej podstawie wykształcenie obyczaju moralnego. Ku temu zaś zdążać należy, oddziaływując na społeczeństwo przez szkołę i rodzinę. Tu każda jednostka wezwana jest do współzawodnictwa. Społeczeństwo umoralnione, moralnych zażąda książek, moralne też tylko będzie drukować, a odrzuci brudne.

Ale droga to daleka, powiedzą, tu zaś potrzeba rady natychmiastowej, aby przyszłość gorszą nie była od teraźniejszości.

Drugim więc sposobem oddziaływania, bliższym już i każdemu dostępniejszym, jest: wykształcenie opinii, któraby pornografię, we wszystkich jej przejawach, piętnowała stanowczo

Opinia — to potęga, która w naszym leży ręku. Podaż zależy zawsze od popytu; niech zmniejszy się popyt, dzięki wyrobionej opinii, niech dzieła brudne doznają lekceważenia, wzgardy, zmniejszy się na nie i podaż.

Dzieje się dziś, że niektórzy belletryści, choć bynajmniej ku drastycznemu pisaniu nie usposobieni, silą się przecież na nie... dla dogodzenia publiczności. Zdają się oni być zdania, że ich powieści, bez pieprznej przyprawy, bez kilku mocno erotycznych ustępów, nie znalazłyby wśród szerszej publiczności miru, nie zdołałyby jej ‚zaciekawić'. O ileby w tej mierze zmienił się sąd publiczności, — piszący, niewątpliwie, zmieniliby natychmiast swoją manierę pisania.

Innym sposobem, a dotąd jeszcze nie wyzyskanym, byłaby próba zaszturmowania wprost do sumień autorów książek brudnych! Zdarza się bowiem, że autorowie ci, wydawszy jakie sprośne dzieło, później, w chwili bodaj przelotnego upamiętania, żałują tego, co uczynili, są to bowiem ludzie w większości raczej słabi, aniżeli źli i przewrotni. Otoż, gdyby osoby, sprawie dobra poświęcone, umiały chwilę tę wypatrzeć i taktownie wyzyskać, oddałyby tem niezmierną przysługę społeczeństwu, i zatamowałyby zło niejedno, w samem jego źródle! Dzieje się doprawdy, że my, pod sztandarem Chrystusa pracujący, zbyt łatwo zniechęcamy się do ludzi i opuszczamy ich zupełnie, jak gdyby z nimi wszystko już było stracone, — wówczas, gdy taktownem i pełnem miłości postępowaniem moglibyśmy jeszcze ich zjednać, a w każdym razie powstrzymać od niejednego błędnego kroku. W tem tak łatwem zrażaniu się okazujemy, jak mało jeszcze, pracując dla Chrystusa, rozumiemy ducha Chrystusowego!

Czwartym sposobem zwalczania pornografii, w ścisłym związku z poprzednimi będącym, to nacisk położony na prawodawstwo, aby objął ją ostrą cenzurą.

Wiemy, że w krajach, cieszących się prawdziwą cywilizacyą, baczna kontrola państwa czuwa ustawicznie nad zdrowotnością szkół, mieszkań, szpitali, ulic; że na rynkach bada jakość wiktuałów spożywczych, a najbardziej mięsa; że specyalne komisye sanitarne delegowane bywają do najdrobniejszych nawet osad,

miejskich i wiejskich, zwłaszcza w czasie zaraźliwych chorób, — wiemy także, iż dla zdrowotności publicznej ohyda prostytucyi ujętą została prawem reglementacyi, w celu zaradzenia szerzeniu się chorób wenerycznych. Wiemy również, iż w pewnych muzeach europejskich rezerwowane są specyalne sale dla obrazów i rzeźb nieprzyzwoitej treści, do których udziela się wstępu jedynie z imiennie wydanem pozwoleniem. W tych wszystkich obostrzeniach widzę wspaniały dowód wysokiej kultury cywilizowanych tych miast i krajów, — pytam wszakże: czy podobne obostrzenia... nie powinnyby rozszerzyć się jeszcze dalej, i dosięgnąć swoją kontrolą tych czynników, które najszkodliwiej na moralność powszechną oddziaływują, t. j. pornografii we wszystkich jej przejawach? Sądzę, że wymagałaby tego sama sprawiedliwość, oraz wzgląd na najistotniejsze dobro społeczne. Tego jednak dokonać może tylko wykształcona opinia publiczna i silny nacisk jednostek, mających w społeczeństwie wpływy na postawionych u steru.

I nie byłoby to tak trudne do przeprowadzenia, jakby się to zrazu zdawało. Wszakże prawa i przepisy tworzą zwykli ludzie. Gdyby więc większość w społeczeństwie miała głębokie przeświadczenie o wszechstronnej szkodliwości brudnej lektury, indywidualnej i społecznej, tak ze stanowiska hygieny ciała, jak ducha, — wówczas potrafiłaby wpłynąć na prawodawstwo i wyjednać takie prawa, które powściągnęłyby pornografię w jej potwornym rozlewie.

Za najdzielniejszy wszakże czynnik w tej sprawie poczytuję samą młodzież... dobrem uświadomieniem ku temu przygotowaną!

Uświadomienie, o którem dzisiaj mówi się tak wiele, — byłoby tu zdaniem mojem na miejscu, tu bowiem od gruntownie wykształconego poglądu zależałoby wszystko. Uświadomienie to powinno przedewszystkiem zbudować w młodzieńcu wzniosły ideał, ideał godności człowieka, wartości życia, oraz tego, czem jest młodzież, czem być powinna i czego od niej domaga się społeczeństwo. Uświadomienie wykształcić w niej ma subtelne sumienie, indywidualne i społeczne, nauczyć ją samą w sobie

i w bliźnim szanować godność ludzką. W tem świetle zrozumiałaby młodzież, jakie są jej prawa, a jakie obowiązki.

Gdybyśmy nadto otoczyli młodzież naszą w ogniskach rodzinnych atmosferą czystą: pracy, poświęcenia i przykładu, życia bez skazy; gdybyśmy wykształcili jej ducha na tem, co prawdziwe i piękne; gdybyśmy wprzęgli ją rychło w zbożną robotę dla bliźnich, i zainteresowali działalnością społeczną, — wtedy tak uformowana młodzież odepchnęłaby niewątpliwie pornografię ze wstrętem, podobnie jak kulturalny człowiek odpycha wszystko to, co niechlujne!»

Dodajmy jednak wkońcu, że najpilniejszą rzeczą jest tworzenie związków antypornograficznych, któreby te zadania, w miarę sił i możności, na barki swoje wzięły. Musi być organ w społeczeństwie stworzony, któryby za ten udział pracy wziął na siebie odpowiedzialność. Inaczej, wszystko łatwo rozpłynie się w słowach. Tak zaczynają obecnie robić katolicy niemieccy.

Przed tymi, co stanęli już w szeregu na tym posterunku, otwiera się peryod pracy ciężkiej. Na razie mogłoby się zdawać, że nadzieja powodzenia jest mała — tak jednak nie jest. Z głębin przywalonego brudem świata raz po razu słyszeć się daje westchnienie za powrotem wolności, jaką czystość daje.

Ks. J. Pawelski.

NAD TRUMNĄ LUEGERA.

I.

Kiedy dojeżdżałem raz do Wiednia, na jednej z małych stacyjek ujrzałem przez okno rosłego, pięknego mężczyznę, który stojąc w drzwiach dworca, wyróżniał się od całego a licznego swego otoczenia.

Mimowoli zmuszała ciekawość postawić sobie pytanie: kto to taki. »Toż to ów sławny Lueger«, odpowiedziano mi. Było to właśnie po zamianowaniu jego burmistrzem Wiednia. Przypatrzyłem się wtedy tej postaci uważnie. Jeszcze dziś pamiętam wyraz jego spojrzenia. Było w tem spojrzeniu coś dziwnie przenikliwego, ale zarazem wzrok ten zdawał się na wszystkie strony niby błyskawice ciskać, taki ruchliwy, taki narzucający wszystkim swoje błyski.

Ależ to wzrok trybuna ludu, pomyślałem, co z góry nawykł patrzeć i ślizgać się po przesuwającej się fali masy. Czy zechce się teraz i czy zmoże zamknąć w pracy jednostajnej, i rozstrzelającą się wciąż źrenicę skupić w wewnętrzne ognisko? Czy trybuna zastąpi teraz pracownik, co wdzieje na się powszednią szatę i zamiast w tłumu duszę, będzie się wpatrywał i wnikał w koła, kółka i sprężyny tej olbrzymiej machiny, jaką jest zarząd stolicy?

Jeszcze raz spojrzałem na Luegera; jeszcze raz zatrzymałem me oko na jego źrenicy i odwróciłem się z wątpieniem. Chyba że to nie podobna, a w każdym razie dodałem sobie, tu i w tem będzie tkwić probierz zarówno człowieka, jak i jego dzieła. Lecz nie tylko ja, ale i przyjaciele i nieprzyjaciele, patrząc w przyszłość

zwycięzcy Wiednia, jedni patrzyli z obawą, drudzy z nieutajoną radością.

Przecież ten, który nicował dzieła swoich poprzedników, którego miażdżąca krytyka zmiotła z powierzchni królestwo liberalizmu, ten sam stawał przy tym samym warsztacie, w którym znać było ciepłe ich tchnienie i wyzywał przeciw sobie całą falangę potężnych wrogów odchodzących z szyderczem wołaniem: a teraz pokaż, co umiesz. Przypominam sobie teraz żywo, jak wtedy nawet w kołach katolików powtarzano: burmistrzowstwo Luegera, to koniec partyi chrześcijańsko-socyalnej. Ci ludzie stoją tylko negacyą i krytyką, dopiero w pozytywnej pracy pokaże się, jak im brak programu i jaka to zbieranina nieokiełznana, niezdolna do żadnej pracy.

I o dziwo! Kilka lat wystarczyło, ażeby Lueger, pracując pod krzyżowym ogniem zaciekłej krytyki i spisku swych wrogów zmusił ich najpierw do milczenia, a potem do podziwu. Mówię wyraźnie do podziwu, bo czytając nekrologi o Luegerze, napisane przez tych, co jeszcze niedawno przepowiadali mu zgubę, widzę z nich, jak musiał on wycisnąć ze wszystkich tajemny i tłumiony, ale tem wymowniejszy podziw dla dzieła, które stworzył. Trybun ustąpił miejsca genialnemu organizatorowi.

Nie zawieść oczekiwania przyjaciół, a zawieść nadzieję wrogów było już rzeczą olbrzyma. Ale prześcignąć nadzieje wszystkich, a z ust wrogów wydobyć nieledwo że zachwyt, to już było dziełem geniuszu, a to tem bardziej, że on nie zastał gotowych kadrów i przygotowanych ludzi, że partya tych duchów, świeżo zrekrutowanych pod jego chorągwią, nie miała czasu na nowicyat, na żadne wstępne próby. Od razu niedoświadczona musiała pod wodzą jego zdobywać się na popisy przed przyjaciółmi, nieprzyjaciółmi, ba, poniekąd przed światem całym. I siłą właśnie twórczej pracy Lueger organizator przewyższył jeszcze Luegera trybuna.

I właśnie stamtąd, gdzie mu przepowiadano grób i upadek, on wyprowadził przyszłość swej partyi, swój tryumf a ich życie.

* * *

I przypatrzmy się choćby tylko Luegerowi przy tym właśnie warsztacie pozytywnej pracy, gdy jako burmistrz miasta zarówno nieskazitelną prawością, miłością, jak i genialnym zmysłem organizacyjnym, niespożytą inicyatywą i osobliwym talentem poznawania ludzi i dobierania ich, dźwiga stolicę, a potem ją uwielmożni.

Wiedeń za czasów ery liberalnej słyszał tylko szumne hasła braterstwa, kultury, postępu, które tylko pokrywały egoizm liberalnej, kapitalistycznej polityki, pokrywały nędzę, wyzyskiwanej przez wielki kapitał ludności, a jednego nie mogły pokryć, t. j. zastąpić braków w rozwoju stolicy kraju.

Sama nawet liberalna berlińska *Gegenwart* pisze o tej epoce: »Ażeby Luegera ocenić jak należy, musimy się cofnąć aż do roku 1870 przeszłego stulecia, do ówczesnego politycznego i socyalnego rozwoju Austryi«. Mówiąc o liberalnej partyi, mówi organ berliński: »Tak to pod wpływem potężnej prasy, która jednak zupełnie inne cele miała na oku niż dobro ludu, wmawiała w lud, że zbawienie jego leży w kościelno-politycznych walkach. Przy tem jednak były niezaspokojone najważniejsze wymagania stanu przemysłowego jak i klas pracujących; i zwolna cała liberalna partya stawała się czysto kapitalistyczną partyą, całe ustawodawstwo miało kapitalistyczny pokost«. O ówczesnym Wiedniu zaś taki sąd wydało jedno z pism szwajcarskich *Bündner-Tageblatt.* »Liberalny zarząd miasta dał wprawdzie Wiedniowi przez piękne budowy na Ringstrasse błyszczącą szminkę, z którą to miasto występowało chełpliwie w roku wystawowym przed Europą. Wewnątrz jednak wszystko było zbutwiałe. Finanse były w najopłakańszym stanie. U końca zaś 1880 roku, metropola Austryi była podobną pod względem komunikacyi, oświetlenia, budowy dróg, kanalizacyi, hygieny, instytucyi miłosiernych, stosunków bezpieczeństwa i t. p. bardziej do stolicy chińskiej, niżeli europejskiej«. Znany zaś duński pisarz w swym »Dzienniku z podróży« pisze o Wiedniu z epoki liberalnej: »Wiedeń chory na uwiąd starczy, leży na łożu niemocy nieruchomie. Różne są znaki tej choroby: krach na giełdzie, bankructwa, próżno stojące mieszkania, brak pracy i nieproduktywne miłosierdzie«. Ale za to ten sam

pisarz mówi o erze Luegera: »Wiedeń pokazał swoją siłę żywotną... Zamało powiedzieć, że to miasto się ocknęło, zbudziło się do nowego życia«. Na końcu zaś wnioskuje: »Skoro się wszystko we wszystkiem bierze na uwagę, to miasto to ma dziś więcej siły żywotnej niż dawniej. Tym, który ocucił Wiedeń, zbudził do życia i tchnął życie takie pełne, był Lueger, który na czele swej młodej partyi objął rządy miasta zaledwie przed laty niewielu«.

Dość się przyjrzeć dziś Wiedniowi, dość przejść się po jego ulicach, dość widzieć komunikacyę, patrzeć na oświetlenie, na dźwigające się ulice, na parki i ogrody, dość to, co dziś jest, zestawić z tem, co było, ażeby już być podbitym wielkością dokonanego dzieła. A przecież to wszystko, to tylko część dzieła, bo trzebaby wniknąć w organizacye miłosierdzia, przemysłowe i handlowe, w inwestycye na innych polach, by sobie zdać sprawę z ogromu twórczej pracy dawnego trybuna i agitatora, a obecnie w całem tego słowa znaczeniu, pana Wiednia. Ogrom trudności, bywał pokryty jak na ustach Luegera uśmiechem i właściwym mu dowcipem, tak na ulicach miasta, jakby skoczną swobodą i lekkością.

W tej mierze symbolizowała ducha dzieł Luegera fontanna przy placu Szwarcenberga, w pewne dnie tygodnia oświecona prądem elektrycznym. Niktby nie myślał, patrząc na wzbijający się lekko, wesoło, a kąpiący się w różnych barwach wodotrysk, że pod basenem jego pracuje olbrzymi a ciężki aparat maszyneryi, które przygotowują ten efekt uroczy. Możnaby do tego basenu przyrównać pracę Luegera około podniesienia Wiednia. Na zewnątrz błysk świateł, lekka komunikacya, gmachy i ogrody, lecz, by to wszystko na wierzch wydobyć, jakiejże to potrzeba było maszyneryi, jakiej podziemnej ciężkiej pracy, z jakiemi trudnościami było do walczenia. Wspomnę tu tylko dla illustracyi sprawę gazowni. Wybory do Rady Miejskiej odbyły się pod hasłem, iż gazownia ma być prowadzona w zarządzie własnym. Tymczasem angielskie towarzystwo, które dotąd zaopatrywało Wiedeń w gaz, używało wszelkich środków, by do tego nie dopuścić. Jeden Żyd próbował nawet przekupić Luegera. Tymczasem kontrakt z Anglikami już w trzech latach się kończy. W trzech latach stworzyć

nowy olbrzymi zakład, w trzech latach poukładać paręset kilometrów rur podziemnych, było to dzieło tak ryzykowne, że najśmielsi technicy potrząsali głowami. Lueger na to wszystko miał jedną odpowiedź, iż do trzech lat nie będzie już ani jednego Anglika w gazowni wiedeńskiej. Mniejsza jednak o trudności techniczne. Na przeprowadzenie tego śmiałego i ryzykownego dzieła potrzeba było 60 milionowej pożyczki. Tymczasem potężna rotszyldowska grupa próbuje zabić Luegera i antysemityzm. I nie tylko sama odmawia pożyczki, ale wszędzie wysyła swych agentów i ci prawie uniemożliwiają Luegerowi otrzymanie pieniędzy. Gdzie się zwróci, wszędzie odmowa. Wtedy to bezsenne noce i troski ubieliły jego włos. Stąd to wyniósł, jak on mawiał, zaród swej choroby. Ale wkońcu po szamotaniu się na śmierć i życie, Lueger zwyciężył i mógł z tryumfem zawołać przy jednej z debat na radzie gminnej: *Ich spreche es offen aus, ich habe diese mächtide Gruppe (Rotschild) auf ihrem eigenen Gebiete besiegt.* Wartoby śledzić go i w innych kierunkach jego prac i podejmowanych dzieł. Ale na ramy krótkiego szkicu to za dużo. Korci mnie jeden mały przytoczyć epizod, który nam daje zajrzeć do duszy burmistrza Wiednia w chwilach, gdy się rozstrzygały wielkie inwestycye.

Było to 1902 r. dn. 27 grudnia, kiedy Lueger zyskał pod bardzo korzystnymi warunkami pożyczkę na 285 mil. koron. Jeden z jego przyjaciół przyleciał do burmistrza tuż po zawarciu umowy, już około północy, ażeby mu pogratulować. »Ja«, odpowiedział Lueger z wielką powagą, mam to silne przeświadczenie, iżem dla mego ojczystego miasta zawarł układ bardzo korzystny i przez to stworzyłem możność dla dalszego rozwoju Wiednia, lecz proszę mi żadnych gratulacyi nie składać. Skoro idzie o tak kolosalne sumy i tak olbrzymie projekty, to wtedy odpowiedzialność tego, który je nosi i o nich rozstrzyga, jest nazbyt wielka, ażebym sobie mógł pozwolić tego gratulować«.

Nieprzyjaciele mieli jeszcze jedną ostatnią nadzieję, skoro go nie mogli zniszczyć odmową kredytu, zaczęli mu pochlebiać, ażeby go tak wpędzić w inwestycye, by te, jeśli już nie dopro-

wadzą do bankructwa, to przynajmniej odbić się będą musiały na kieszeni ludności.

Ale to wszystko zawiodło. Lueger łączył polot śmiały, z wytrawnością rachmistrza. Wiedeń się podnosił, a tysiącom przybyło zarobku i nowych warunków do życia. Dodatkowo dotknę jeszcze jego pietyzmu dla miasta.

Zajeżdżam od lat wielu w Wiedniu na Rennweg do OO. Zmartwychwstańców. I oto miałem sposobność krok po kroku śledzić krok rozwoju i charakter rozwoju tej części miasta. Mówię wprawdzie o jednej części. Jest ona niezawodnie typem całości. Jak z pod ziemi dobywały się tu wspaniałe gmachy, równocześnie posuwającej się naprzód masie kamiennej nakreślane były granice aż dotąd, a dalej nie. Wciąż równy nacisk położony na przestrzenie wolne, na ogrody i ogródki, fontanny i pomniki.

Lueger równocześnie podniósł i odrodził Wiedeń, ale i utrafił zarazem we właściwy charakter stolicy.

Wiedeń stoi pośrodku między Berlinem a Paryżem. Daleki od zimnej sztywności i koszarowego charakteru Berlina, nie dorównywa też wykwintnej piękności Paryża. Ale jak Berlin pobija swym wdziękiem, tak bodaj czy nie wyrównywa swych różnic z Paryżem swą dobroduszną ciepłotą wiedeńską. Lueger kochał Wiedeń duszą Wiedeńczyka i, rozszerzając go umiał równocześnie nie tylko jego wdzięk zachować, ale jeszcze go pogłębić. Tyle od razu każdy widział na oko.

Te ogrody i ogródki, te fontanny, te place wolne wydobywały się nie tyle ze serca estety, ile raczej miłośnika miasta, który delikatnie odczuł, w czem tkwi wdzięk stolicy i umiał wśród największego rozpędu budujących się i wznoszących kamieni raptem odtworzyć czarujące oazy kwiecia i zieleni.

Lecz nie braknie tam też śladów jego przekonań religijnych i odwagi w ich publicznem wyznaniu.

Byłem właśnie w Wiedniu w dniu jego pogrzebu, gdzie w tym czasie dawałem rekollekcye w polskim kościółku. Mój towarzysz obwożący mię po moście nowozbudowanym a nazwanym »Marienbrücke« pokazał mi na środku mostu dużą a piękną statuę Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus.

»Jakie to silne wyznanie wiary«, powiedział, »człowieka, który się nie ogląda na nic i na nikogo i w dzisiejszym Wiedniu taką oto statuę wiąże z nazwiskiem i wyglądem nowego mostu«.

Istotnie. Jeżeli instytucye i gmachy wyrastające z pod ziemi świadczyły o sile twórczej umysłu i serca Luegera, jeżeli ogrody mówiły o jego pietyźmie, to ta statua była jednym ze znaków, które świadczyły o jego cywilnej odwadze, którą umiał zawsze narzucić swoje wierzenia.

* * *

Drugi raz natknąłem się na Luegera podczas wiecu katolickiego w Wiedniu. Miał on wówczas jako burmistrz Wiednia przemowę powitalną. Łapałem chciwie każde jego słowo, choć dla burzy zrywających się oklasków z trudnością utrzymałem wątek przemówienia. Wysłuchawszy w pierwszej chwili, zdawało mi się, że nic ciekawego. Poglądy dość ogólne i ani myśli całkiem nowej, ani pogłębienia większego.

A jednak w tem słowie coś było, co elektryzowało masy. I znowu zadałem sobie pytanie, w czem tkwi ta jakaś tajemnicza siła wpływu jego słowa. Zapewne należało coś odnieść do samej postaci zwycięskiego wodza i jego trofeów. Ale przecie zanim przemawiał jeszcze jako burmistrz, słowo jego już ujarzmiało. Jeszcze kiedy był nieznanym i prawie początkującym adwokacikiem w Wiedniu, już to jego słowo torowało mu drogę do duszy ludu.

Cóż w tem słowie takiego było. Przedewszystkiem tylko Wiedeńczyk z krwi i kości mógł tak mówić, jak on mówił. Nie tylko dyalekt wiedeński, ale zapach i smak duszy Wiedeńczyka i tamtejszego ludu, wszystkie jej części składowe, wszystkie formy w słowie tem odzywały się i dźwięczały.

Więc ta mieszanina dowcipu i jakiejś dobrotliwości, to znowu jędrności i siły, to znowu sarkazmu gryzącego, dla obcego zakrawa na pstrokaciznę, dla Wiedeńczyka była gwarą najmilszą, była najwierniejszym tłumaczem jego duchowego jestestwa.

I w tem był Lueger niedościgniony. Wielu go naśladowało. Naśladownictwo przeniosło się i na ambonę. Ale w tej chwili po-

znać było, że, co dla Luegera było naturą, tam sztuką, co u niego wytryskiem naturalnego dowcipu, to tam obmyślanym i dlatego nie trafiającym konceptem.

Ale ten dar jeszcze nie tłumaczył wszystkiego.

W słowie był jeszcze inny i wyższy dar wydobywania na wierzch tego, co w uczuciach mas albo drzemało albo się uświadomić nie dało.

I nikt, jak on, nie umiał odczuć i słowem swem wydobyć na wierzch, choćby najbardziej ukryte i niedostrzegalne tętna duszy ludu.

I tem się tłumaczy, że umiał on pierwszy przewidzieć nadciągającą burzę czy błysk słońca, kiedy w jego całem otoczeniu nikomu się o tem ani nie śniło. Przypominam sobie, jak raz jako burmistrz uprzedził długo toczące się narady socyalistów w strejku kolejowym i przyniósł gotowe uzyskane korzyści na wielkie zgromadzenie ludowe, o których uzyskanie napróżno się trudzili socyaliści.

Ich bin wieder fünf Minuten früher gekommen — rzekł z właściwym sobie uśmiechem i dobrotliwą ironią, skierowaną w stronę zaskoczonych i zdumionych socyalistów. I oto on umiał zawsze pięć minut wcześniej przyjść, dlatego że tak na wskróś znał swój lud i tak całem swem czuciem i sercem o ten lud zawisnął.

Ile razy umiał pięć minut wcześniej przyjść trudno wyliczyć.

Ale niepodobna przemilczeć, jak dla dobra Wiednia i dobra Austryi stanął pięć minut wcześniej do walki z korupcyą i liberalizmem uciskającym lud. Korupcyę postawił pod pręgierz świata, żydowstwo zaś nie jako rasę, ale jako klasę wyzyskującą drobny przemysł, zrzucił z panowania. Wtedy głos jego wziął w siebie jęki wszystkich uciśnionych i wezbrał taką potęgą, że zatryumfował i zwyciężył przeciwko całej zwartej i niepokonanej falandze. Jak on umiał wcześnie zasłyszeć, co się w masach gotowało, skoro jako nieznany, ubogi adwokat, śmiał wypowiedzieć walkę partyi rządzącej, z której objęć się wyrwał, umiał wyrzec się jej faworów i względów, umiał się porwać do tak nierównych zapasów i wkońcu umiał zwyciężyć. Te pięć minut wcześniej za-

ważyły na losach chrześcijańskiej Austryi. Gdyby był przyszedł później, jużby było zapóźno. Jużby klika rządząca umiała się sprzymierzyć z socyalizmem, umiałaby od atentatów nim się zasłonić, umiałaby uczucia niezadowolenia, które wycisnęła sama, rzucić przeciw chrześcijaństwu i Kościołowi.

Lueger przyszedł pięć minut wcześniej i chrześcijańską ideę zatknął na sztandarze Wiednia.

Wracając dalej do charakterystyki jego słowa, powiem, że rozkołysane ono było falą szemrzących mas. Ale z szeptów tych umiał on złożyć harmonię zdrową. Były zapewne i tu usterki u niego, dawał się tu i tam unosić za daleko, fawor ludu wycisnął niejeden koncept i ton niedość poważny, ale to były usterki nie ważące na szali. Jego szowinistyczne rozpędy późniejsze już były wynikiem raczej politycznej licytacyi. W głównych rysach jednak umiał on nawiązać między swem słowem a sercem ludu korespondencyę, która szła do pokładów duszy ludu zdrowych i z nich czerpała dla siebie natchnienie. On się opierał o wiarę ludu, miłość ładu społecznego i ojczyzny i te drogowskazy broniły go przeciw niemu samemu. Kochanek i ulubieniec mas, karmiony wciąż ich miłością, raz po raz był narażony na pokusę, by się dać unosić im ślepo, by pochlebiać skłonnościom złym. Nawet gdy się tu i tam w drobniejszych szczegółach zapominał, to nigdy z głównej i prostej drogi nie zboczył.

Ale umiał nie tylko słuchać, umiał zarówno myśl i ideę masom narzucać. Każde jego przemówienie, ba, każde zdanie, ba, każdy zwrot niby przypadkiem uniesiony i rzucony i ubrany dowcipnem wyrażeniem, chwytający za serce bonomią, był jednak pod tymi niewinnymi pozorami strategicznym manewrem, jakimś świetnie skierowanym atakiem. W każdem słowie Luegera znać było świadomego swego celu, niesłychanie bystrego i zręcznego wodza.

Powiedziałem był powyżej, że myśli jego nie uderzały niczem nadzwyczajnem, ale tu znowu była tajemnica jego wpływu. Miał on niewiele programów politycznych i społecznych w swym repertuarze, były one nawet bardzo ogólne. Najlepiej o tem świadczy jego polityczny testament. Tam, gdzieby inny napisał całe

arkusze, on go pomieszcza w kilkudziesięciu wierszach, poprzestając na najgrubszych konturach swego politycznego programu.

Ale w tem właśnie jest cały on; on się nigdy nie oddalił od perisfery duchowych idei mas. Słowo jego, gdyby się stało głębszem albo subtelniejszem, przechodziłoby na własność wybrańszych, intellektualnej elity, ale stanowczo oddalałoby się tem samem od przeciętnej miary pojmowania i czucia milionów. Co więcej wysnuwałby on je wtedy coraz bardziej z własnej duszy, a coraz mniej czerpałby soków dla tego słowa z nastroju ludowego i znowu powiem w tych konturach ogólnych jego idei tkwiła tajemnica jego zjednoczenia się z psychą ludu i tem samem jego wpływu nań.

* * *

II.

Cała działalność Luegera nasuwa jednak myśli, które wybiegają poza Wiedeń. Z niej dają się ukuć wnioski, które wchodzą już w poglądy na akcyę i taktykę chrystyanizmu i Kościoła w naszych czasach.

Podniosę tu dwa zwłaszcza momenty. Pierwsze: to obalenie przesądu, jakoby katolik musiał pozostawać w tyle za dzisiejszym postępem i rozwojem ekonomicznym i przemysłowym, gdyż jego religia skierowuje go zbyt ku niebu, a zakazuje myśleć o ziemi. »Lueger jest nam dowodem«, powiedział prezydent kantonu fryburskiego w Szwajcaryi, »jak dużo może dziś katolik zdziałać«.

Nie chcę się powtarzać. Mówiłem obszernie przedtem o dziele Luegera w dziedzinie przemysłu, techniki, w rozwoju socyalnym, administracyjnym i t. d. Tutaj chodzi mi o wnioski. Wniosek jest prosty. Lueger pokazał na eksperymencie światowej stolicy, że pogląd chrześcijański i zasady katolickie nie tylko nie przeszkadzają rozwojowi królestwa ziemi, ale raczej pomagają. Właśnie wiara, która rozpina błękitny, pogodny, a tak szeroki namiot niebios nad głowami naszemi, szczególniej sprzyja wszystkim śmiałym a czystym obrotom na ziemi. Co spekulacya czyni przez interes, to chrześcijanin przez bezinteresowną miłość. Widzimy w Luegerze nieomal natchnienie i polot poety w wydobywaniu

na wierzch dzieł, choć tak prozaicznych, a jednak takiego polotu woli i natchnienia ducha wymagających, jak dzieła komunikacyi, oświetlenia, mostów i t. d. Zapewne dar i talent tkwi w człowieku bez względu na jego przekonania, ale atmosfera wiary darząc zaufaniem w Bogu i szerokim swoim horyzontem w wiekuistości sprzyja tem samem swobodzie, lekkości, wszelakim szlachetnym porywom a tak wszelaki naturalny talent pośrednio podpiera i rozwija.

A nadto zdumiewającem jest zaprawdę, jak Lueger olbrzymią falę pieniężną, toczącą się milionami, wciąż przez swe ręce przesuwa, przez ręce ogromnej administracyi, a ta nigdzie niczem nie zatamowana, posuwała się naprzód, budząc wszędzie ruch i życie. I tutaj sprzyja nawet ruchowi pieniężnemu pierwiastek chrześcijański. Warunkiem by go posiadać, jest mieć czyste ręce. Za mało powiedzieć, iż Lueger sam był czysty. On dokazał jeszcze większej sztuki, bo wśród największej ekspanzyi pieniężnej, wśród ludzi świeżo zrekrutowanych, on nie dopuścił nadużycia w innych, on wyniósł tak wysoko honor chrześcijańskiego stronnictwa i to wśród argusowych oczu najzacieklejszych nieprzyjaciół.

Przypadkiem z dniem śmierci Luegera zeszła się wieść o Panamie francuskiej masoneryi. Jakie zestawienie! Ta właśnie kulturą chełpiąca się Francya umiała się zdobyć na zniszczenie dzieł kultury, na obrabowanie milionów złożonych na klasztory. Ale nawet te miliony nie zdołało państwo zatrzymać sobie. Olbrzymia i skandaliczna defraudacya jednostek pokryła hańbą republikę, a oczy otworzyła światu na to, że bez kultury serca i duszy, jaką daje chrystyanizm, a jaka właśnie widniała i w osobie i w ludziach Luegera, pieniądz stać się może nie już martwym i nieużytym, ale stemplem cynizmu, rozpasania i hańby na czole narodowości, tyle razy się zwącej przodowniczką kultury, kiedy znowu ten sam pieniądz w czystych rękach ubogiego adwokata, który wśród milionów nie wzbogacił siebie, poszedł w tak żywotną pracę, iż olśnił i zdumiał Europę.

Ale powracam do tematu. Ten wielki eksperyment dokonanego na Wiedniu rozwoju kulturalnego, dokonanego przez chrześcijanina i wierzącego katolika jest, powtarzam raz jeszcze, stwier-

dzeniem, jak bardzo chrześcijański pierwiastek sprzyja rozwojowi kultury. Jest zarazem dla katolików z tej strony atakowanych argumentem wziętym z życia i doświadczenia, zarazem zaś bodźcem i zachętą.

* * *

Druga kwestya, z której nauki czerpiemy, dotyczy organizacyi Luegera.

Dzieło jego ma jeszcze daleko ogólniejsze znaczenie. Rozwiązał on w praktyce problem, który w tej czy owej formie powtarzał się czy powtarza w różnych katolickich krajach. Problem ten dzieli katolików na dwa obozy. Jedni i drudzy chcą wspólnego celu: usunięcia przeszkód królestwa Bożego, wyswobodzenia Kościoła z pod ucisku i znowu utrwalenia królestwa Chrystusowego na ziemi i królowania zasad Chrystusowych.

Jednomyślni co do celu różnią się między sobą w zapatrywaniach na taktykę. Jedni z nich twierdzą, iż trzeba zrekrutować najpierw katolików wierzących i praktykujących, a potem dopiero wziąć się do pracy i walki społecznej.

Nie szukać więc żadnych sojuszów przedtem, odrzucać połowicznych i czekać, aż ziarno samych wybranych zejdzie.

Drudzy wychodzą z wręcz innej zasady. Oni powiadają: Potrzeba nam niezawodnie sztabu zdecydowanych katolików. Ale w walce o najświętsze ideały możemy się zasilić całą masą tych, do których można odezwać się słowy Chrystusa: »Nie jesteście dalecy od królestwa Bożego«.

Ci drudzy czują się pobudzeni do walki o hasła wodza o tyle, o ile one są wyrazem społecznego ładu. I tu są ich punkta styczne z walczącym obozem katolików. Odrzucić ich od udziału w pracy i walce, to znaczy skazać siebie na przegraną wobec przepotężnego wroga, mającego przeciw sobie zbyt małą garstkę.

Każda z tych dwóch taktyk ma coś za sobą i ma coś przeciw sobie. Zdecydowany zastęp katolików, zredukowany do zbyt małej garstki, skazany jest na przegraną, a znowu zbyt luźne zastępy ludzi słabej wiary mogłyby w programy wnieść coś, co rozluźnia chrześcijańską zasadę. Otóż problem ten mógł być roz-

wiązany tylko przez praktykę. Lueger uchwycił go odrazu z praktycznej strony.

Połączyć jedno i drugie. I zastępy gorliwych i tych, co byli niedaleko królestwa Bożego przeciw wspólnemu wrogowi, jakim był liberalizm i socyalizm.

A dopiero wtedy, kiedy się złamie wroga, przyjdzie czas na silniejsze krystalizowanie zasad. Teraz, mawiał Lueger, »trzeba zniszczyć wspólnego wroga, jakim jest liberalizm. Między sobą wzajemnie możemy już później walczyć«. Tę samą zasadę ks. Lichtenstein określił w toaście ku czci Ojca św. przy bankiecie Leonowym w słowach: »Musimy w duchu chrześcijańskiej miłości unikać wszystkiego, co nas dzieli, a w miłości szukać wszystkiego, co nas jednoczy«.

Nie bez ciężkich walk, nie bez przejść bardzo krytycznych przeprowadzał Lueger swoją dewizę. W łonie samych katolików liczył on z tego powodu swoich wrogów. Pamiętam jeszcze żywo z tego czasu kampanie dziennikarskie, gdzie najpotężniejsi ludzie wytaczali ciężkie działa przeciw Luegerowi. Grały one mnóstwem argumentów, jak jakie mitraliezy. Zdawało się, że sprawa Luegera zupełnie stracona i trzeba było genialnego oka Leona XIII, który orlem wejrzeniem objął przyszłość chrześcijańskiej Austryi. W najkrytyczniejszej chwili wdał się w spór i rozstrzygnął go na rzecz Luegera i partyi chrześcijańsko-społecznej.

Potrzeba tu jednak z uznaniem podnieść, że i zastępy konserwatywnych katolików umiały z wyrzeczeniem się poddać się słowom Ojca chrześcijaństwa i odtąd nie przeszkadzają rozwojowi dzieła. Walka na głównych polach zażegnana sroży się jeszcze po kątach, ale ostatecznie kończy się zbrataniem dwóch obozów w jedno. Dawna partya katolicka łączy się z partyą chrześcijańsko-społeczną.

Oto i rozwiązanie trudnego problemu.

Chrześcijańsko-socyalni, acz nie są w polityce partyą konfessyjną, to jednak właśnie z katolicyzmu czerpią główne żywotne soki dla siebie.

»Bądźcie spokojni, mówił uczony Dominikanin Togenburg, zostawcie lud, dopuśćcie mu, niech się raz stanie chrześcijańskim;

chrześcijanie w Austryi są katolikami, dlatego ci ludzie jednocześnie będą i katolikami«.

Uczucia i przekonania katolickie wyciskały się w polityce na czyste złoto chrześcijańskich i socyalnych haseł i prac. Katolicyzm sam wchodzi w organiczne pojęcie państwowe. Dotknięcie się wierzeń katolickich, praktyk daje klucz do duszy ludu. Jednem słowem chrześcijańsko-socyalni, którzyby próbowali odciąć się od religii katolickiej, trzymaliby w ręku jakiś fantom, jakiś znak bez życia. Im więc żywotniej pojmują swoje hasło chrześcijańsko-socyalne w życiu i organizacyi, tem ściślej, tem bezpośredniej oprzeć się muszą i o sam Kościół. Na odwrót katolicy mają dla siebie rozwiązaną kwestyę apostolstwa. Gdyby był Lueger nie zaczął od walki negatywnej z uciskiem żydowskim, wtedy, jak to już powyżej powiedziałem, lud zostałby przez pracę wrogą Kościołowi, przez organizacye socyalistyczne odwrócony od Kościoła; echo kaznodziei byłoby dla mas echem wołającego na puszczy, idea Kościoła zostałaby tymczasem ludowi zohydzoną.

Na odwrót jakkolwiek działalność socyalna nie była wprost i bezpośrednio działalnością religijną, to jednak w skutkach swoich najlepsze przysługi oddała Kościołowi.

Powiedziano o Luegerze, że on w Wiedniu ludzi spędzał do kościołów.

Zapewne Lueger nie głosił ani kazań, ani nie urządzał misyi. Ale jednak w dwojaki sposób można napływ w kościołach zwiększyć. Albo bezpośrednio przez działanie apostolskie, albo też pośrednio przez podniesienie chwały chrześcijańskiego imienia, przez podniesienie sztandaru chrześcijańskich haseł.

Otóż Lueger tą pośrednią drogą prowadził lud Boży do świątyń Pańskich.

Nie tak dawne to jeszcze czasy, kiedy z gościnnych pokoi znakomitego socyalnego myśliciela br. Vogelsanda w Wiedniu późnym wieczorem wychodziła gromadka ludzi. Było tam paru księży, znany był książę Lichtenstein, był i Lueger. Wtedy to Lueger mawiał do swych duchownych towarzyszy. Rozdzielmy się: wy idźcie prawą stroną ulicy, a my, świeccy, pójdziemy lewą. Bo gdyby nas Schäps (redaktor *Tagblattu*) tu zobaczył, to nie

mamy w Wiedniu co robić. Był to żart, ale na poły taktyczna ostrożność, do której nawet najśmielsi uciekać się musieli. Tak bardzo bowiem imię chrześcijańskie było poniżone i steroryzowane.

Jakaż olbrzymia dziś przemiana.

Otóż niezawodnie takie wyzwolenie imienia chrześcijańskiego z pod ucisku, takie postawienie go na świeczniku w stolicy i krajach, szkole, instytucyach humanitarnych, organizacyach politycznych rozwiązuje usta całym zastępom Nikodemów ku chwale Bożej. Inaczej stroniliby oni od kościołów, nie przez zasadę, ale przez obawę.

Inni także, którzy oddaleni byli od Chrystusa, zaczęli ku Niemu skłaniać swe serca, pociągnięci nie wprost, ale pośrednio. Czują oni, iż potrzeba ratować społeczeństwo; szukali zasady. A tu właśnie pokazuje im ją Lueger w chrześcijańskiej nauce. Z początku posługują się nią jako środkiem do celu, ale potem przejrzą, że tylko Boska nauka może tak skutecznie leczyć i goić rany duszy, jak i społeczeństw.

Tak to encyklika Leona XIII o działalności socyalnej, jako też i o demokracyi chrześcijańskiej miała swoją prześliczną illustracyę w długim tym procesie urabiania się chrześcijańsko-socyalnej partyi w jej wszystkich epizodach, trudnościach, oczyszczeniach i przemianach.

Teorya znalazła tu potwierdzenie przez życie.

* * *

Niepodobna zamknąć rozrachunku z życiem i dziełem Luegera, by nie rzucić ostatniego spojrzenia w przyszłość, co się stanie z jego partyą i dziełem jego. Czy dziś pozbawione tak potężnej indywidualności, jakby wyzute z duszy swej ostać się samo potrafi?

Organizacye nawet duchowe, jak np. zakony często przechodziły po śmierci swych założycieli gwałtowne wstrząśnienia, dłużej lub krócej trwające przesilenia, którym towarzyszyły rozłamy.

Bardzo to zresztą naturalne. I nie dziwiłbym się wcale, gdyby i partya chrześcijańsko-socyalna w Austryi po śmierci Luegera taką kryzis przechodzić miała. Jest to przecież zwyczajne,

że, skoro ubędzie takiego wodza, wtedy wydobywają się na wierzch trudności tłumione jego powagą, jego słowem, jego mistrzowską ręką. Nieraz to, co było dla niego zabawką, stać się może dla jego następców szkopułem olbrzymim. Zwyczajnie też w takich razach jest, że antagonizmy osobiste, czy też wypływające komplikacye ze stosunku i związku, żelazną ręką trzymane na wodzy, gdy ręki zabraknie, wydobywają się na wierzch i zdają się dziełu zagrażać.

Nie tyle tu o to idzie, by pytać, czy taka kryzis będzie, ile raczej o to, czy ją partya przetrwa. Nie można sobie czynić illuzyi, że w tak olbrzymiem środowisku ludzi, poglądów, interesów, że wobec tak przemyślnych i przebiegłych wrogów dzieło Luegera na ciężkie będzie narażone próby. Podniosę tu głównie trzy momenty: Po pierwsze sama rozbieżność interesów miasta i wsi reprezentowanych w tej partyi jeszcze za życia Luegera może prowadzić do pewnych ścierań się. Jednym z drobnych epizodów już podczas ostatniej choroby Luegera była np. walka w sejmie dolno-austryackim wśród partyi, gdy chodziło o kwestyę nauczycielek. Ale ostatecznie to jest trudność najmniejsza, która do poważniejszych konfliktów nie doprowadzi.

Druga trudność będzie wypływać z sojuszu politycznego, zawartego przez Luegera z Niemcami liberalnymi. Lueger nadewszystko starał się o to, by Niemców wolnomyślnych nie zdać na łaskę i niełaskę *Neue Freie Presse* i utrzymać się z nimi w jednym politycznym sojuszu. Były stąd niezawodnie dla jednych i drugich korzyści. Nie pomogły miotania się i pociski *Neue Freie Presse*. Sojusz się zawiązał i trwa. Już jednak za życia Luegera powstawały trudności zlicytowania wzajemnego pewnych haseł.

Z natury szowinistyczny odłam liberalnych Niemców dążył do hegemonii nad Słowiańszczyzną z upośledzeniem jej praw.

Otóż za życia Luegera jeszcze groziło to, że korzyści z sojuszu dla partyi staną się wątpliwe, a za to szkody pewne, że Niemcom liberalnym zawsze będzie chrześcijański pierwiastek partyi solą w oku, której nie strawią; to natomiast pewien szowinizm narodowy, wynikający z potrzeby dostrojenia się chrześcijańsko-socyalnych do reszty Niemiec, odosobni partyę od słowiańskich

ludów, pozbawi jej ekspanzywności, a może przeciw niej obudzi tych, którzy byli jej sojusznikami.

Lueger jednak dzięki olbrzymiemu autorytetowi, jaki posiadał u wszystkich, dzięki zaufaniu, jakiem się cieszył u Niemców liberalnych, dzięki taktyce zręcznej i politycznej, umiał się utrzymać pośrodku, jakkolwiek czasem swojem niepotrzebnem akcentowaniem niemieckości Wiednia, drażnił Słowian. Jego następcy już na tej środkowej granicy nie zdołają się tak łatwo utrzymać. Będą ich niezawodnie ciągnąć ku lewicy ku ekskluzywnemu szowinizmowi; biada gdyby tej pokusie ulegli. Wtedy bowiem będą mieli przeciw sobie te żywioły chrześcijańsko-socyalne krajów austryackich, które swym przykładem pobudzili do życia i z którymi ich łączy tak ścisłe duchowe pokrewieństwo. Zasklepiliby się wówczas w sobie i zwolna poczęliby się oddalać od czucia z szerokiemi warstwami ludu. Ale już z oświadczenia złożonego przez Gessmanna w ostatnim świątecznym numerze *Reichspost* widać zapowiedź, że się raczej przerzucą ku kierunkowi zdrowemu. Gessmann w tem oświadczeniu wyraźnie podnosi, iż uważa za posłannictwo partyi, »by się stała partyą wielko-austryacką i państwową, partyą, około której mają się zszeregować wszystkie elementa monarchii, które są tylko wierno-poddańcze«.

Jeśli te wytyczne partyi przyświecać będą, to wówczas chrześc.-socyalni nawet znajdą się w lepszem położeniu jak Lueger, bo nie będąc jak on krępowani zobowiązaniami, mogą jeszcze na szerszej podstawie niż on partyę swą postawić.

Trzecia pokusa to szczucia wrogów. Jakkolwiek partya dawna katolicka z chrześc.-socyalną się połączyły, to pomimo tego wygrywać będą nieprzyjaciele i już wygrywać zaczynają szczując bardziej gorących we wierze przeciw obojętniejszym i *vice-versa*. Widmo klerykalizmu będzie pożądanym taktycznie środkiem używanym przez wrogów. Tak np. ledwo Lueger zamknął oczy, a już przedstawiały liberalne dzienniki, że ukryta walka o następstwo po Luegerze odbywa się nie pod znakiem, który z nich tęższy, ile raczej, który z nich mniej klerykalny i mniej kompromisowy kandydat. Jest to wprawdzie symptom drobny, ale bardzo znaczący, bo już dziś widać, że z tej strony będą się starali sidła

na partyę zakładać. Zapewne, gdyby nie wiem jakie ustępstwa z religijnych zasad uczyniono, by się liberałom przypodobać, nigdy się ich nie przejedna. A pomimo, że sami dobrze wiedzą, że partya, jako partya, nie jest partyą konfessyjną, to pomimo to o klerykalizmie tej partyi wciąż będą prawić i wciąż usiłować, by tą marką wbić klin między Niemców liberalnych, a chrześcijańsko-socyalnych. Równocześnie będą szczuć i ryć w samej partyi, w jej wnętrzu i najniewygodniejszych ludzi starać się usuwać pod pretekstem, że mieszają religię do polityki.

To też dzisiaj chrześcijańsko-socyalni muszą szczególnie zrozumieć, co tak dobrze rozumiał Lueger, t. j., iż katolicyzm w Austryi, jak to już wyżej powiedziałem, należy do części składowej państwowej organizacyi, w przeciwieństwie do Prus, u których tym pierwiastkiem jest protestantyzm, że następnie wszystko to, co wzmacnia katolicyzm w masach, wzmacnia tem samem i zasila pośrednio samą partyę. Ale i tutaj oświadczenie publiczne Gessmanna, o którem wspomniałem, już dziś przynosi zapewnienie, że tradycye Luegera nie będą doznawać przerwy ani osłabienia. W tejże samej odezwie podnosi Gessmann chrześcijański pierwiastek odważnie i mężnie. »My jesteśmy przedewszystkiem«, woła, »partyą chrześcijańską, która nie tylko stoi na zasadach na wskróś chrześcijańskiego poglądu, ale także usiłuje program swój w politycznym, socyalnym i gospodarczym kierunku urzeczywistnić praktycznie na zasadach chrystyanizmu«.

Uważam takie publiczne oświadczenie jednego z głównych przewódców za wyraz i dowód oryentacyi w naczelnym sztabie. Wszystko to, co w tych trzech punktach przytoczyłem, należy niezawodnie do szkopułów, z którymi teraz partya będzie musiała walczyć. Ze wszystkiego jednak wnosić można, iż je zwycięży powoli.

Widzę zresztą przy tem w partyi ludzi dzielnych i wyrobionych we wszystkich kierunkach, w jakich życie partyjne ma się rozwijać. Znakomity mowca i organizator ks. Lichtenstein, spadkobierca po Luegerze, niestrudzony agitator Gessmann, jak obecny minister a przyszły burmistrz Weisskirchner, jak wreszcie dzielne jednostki w zarządzie miasta. Lueger umiał przy tem ludzi

nie tylko dobierać, ale też ich do wielkich zadań wychowywać. Przy tem wszystkie te trudności, o których powyżej wspomniałem, już poniekąd przerabiały się w łonie partyi, przebywały pierwsze swe ogniowe próby za życia swego wodza, zbyt więc są już ludzie zskonsolidowani, by się nie mieli ostać nowym pokusom.

Ale co nadewszystko jest zapowiedzią, że dzieło Luegera się ostoi, a nawet dalej rozwinie, to gotowość do poświęceń w imię solidarności. Ledwo chcą nieprzyjaciele wbić klin między dwóch kandydatów konkurujących o burmistrzowstwo, już jeden z nich oświadcza, że kandydować nie myśli, a głosy swe oddaje swojemu koledze, a on to właśnie był, który miał wszelkie szanse i nadzieje. Widzimy podobne wyrzeczenie się w weteranie partyi, pierwszym współtowarzyszu partyi, Gessmannie. Ten dawno przedtem usunął się z wygodnych foteli ministeryalnych najprawdopodobniej dlatego, by przewidując niedługi koniec Luegera, poświęcić się organizacyi stronnictwa. Wobec ataków niewczesnych umie milczeć i również siebie w niczem nie wysuwać. Te i inne oznaki dowodzą, że tak w kwestyach zasadniczych jak i osobistych, choć będą wstrząśnienia, będą starcia, będą może mniejsze rozłamy, ale w całej swej zawartości chrześcijańska partya się ostoi, a przez nią przyszłość chrześcijańskiej Austryi.

Arcybiskup Teodorowicz.

TOWARZYSTWO PIOTRA SKARGI.

Jeżeli kiedyś po latach następcy nasi oglądać będą na polskiej ziemi dokonaną budowlę chrześcijańsko-społecznego ideału, niech nie zapomną o tych, co zaczynali kłaść fundamenty. Nie zrozumieją już i nie potrafią ocenić, ile krwawego trudu w tę przygotowawczą pracę włożono, ile bezowocnych wysiłków, ile razy zrywała się nadzieja wbrew wszelkiej nadziei. Nie w jednem miejscu i nie po raz jeden opadały ręce, aby po dłuższej lub krótszej przerwie, na znak nowej pobudki, napowrót imać się pracy.

Aż po ostatnie czasy, panowała obecnie taka dłuższa przerwa. Nie chcemy powiedzieć, że na całej linii panował zastój. Wiemy wszyscy doskonale, jak bogatym plonem szczyci się organizacya chrześcijańsko-społeczna w Księstwie Poznańskiem, jak wytrwałą i owocną jest praca poszczególnych grup w Królestwie i w Galicyi. Ale wszyscy też widzimy, ile wysiłków w obu tych dzielnicach poszło na marne, widzimy zwłaszcza obecnie, jak wszyscy oczekują znaku nadziei, skuteczniejszego od dotychczasowych.

W Galicyi takim chwilowym grobem nadziei było pierwsze powszechne głosowanie. Za wielkie nadzieje powiązano z obiecującem powodzeniem politycznem, ażeby idąca zamiast zwycięstwa klęska nie miała zmrozić na długo wszelkie porywy.

Tę kilkoletnią ciszę przerwały w ostatnich czasach wieści o pomyślnym rozwoju kilku dawniejszych i o powstaniu kilku nowych ognisk katolickiej pracy, między innemi o powstającem

we Lwowie Towarzystwie Piotra Skargi. Po pierwszej wieści nadbiegać zaczęły dalsze o ruchach Towarzystwa, o jego powodzeniach i czynach, nawet o rzetelnych zasługach. Niektóre z tych czynów zelektryzowały całą opinię społeczeństwa polskiego.

Ważność sprawy nakazała, ażeby na miejscu przypatrzeć się uważnie powstającej tej nowej organizacyi i spostrzeżenia zestawić w *Przeglądzie Powszechnym*.

I.

Niespełna przed rokiem kilkunastu ludzi, zajętych już od dawna w akcyi katolickiej, zrzeszyło się pod kierunkiem syna marszałka, hr. S. H. Badeniego, w nowe, chrześcijańsko-społeczne stowarzyszenie. Stowarzyszenie przybrało nazwę Towarzystwa Piotra Skargi.

Wkrótce był ułożony i zatwierdzony statut Towarzystwa, określający formę organizacyi, jej cele i środki. Należałoby może w tem miejscu podać pewne partye statutu i w ten sposób bezpośrednio wprowadzić myśl przewodnią Związku. Idźmy jednak raczej biegiem rzeczy, jakim rozwijało się Towarzystwo — a wzmiankę i dyskusyę o statucie zostawmy na sam koniec rozprawy.

Zrzeszywszy się, wydano odezwę do społeczeństwa. Odezwa przedstawia wymownie grożące niebezpieczeństwa chwili obecnej, zagrożony katolicyzm i zagrożoną polskość: »Mówicie nam — czytamy w odezwie — Kościół to opoka a Polska to wielka rzecz — i sądzić, że wiara i polskość żadnej znikąd nie doznają szkody... Narzucono nam walkę, przeto walczyć musimy. Stajemy do niej zjednoczeni w Towarzystwie Piotra Skargi, kaznodziei-proroka i reformatora. Wielkie jego imię wielkie bez wątpienia wkłada na nas obowiązki. Czując to w zupełności, ażeby sprostać zadaniu, zwracamy się niniejszem do wszystkich jednako z nami myślących«.

Odezwa nie pozostała bez skutku. Czy wielkie imię Skargi, czy dostojność ideału chrześcijańsko-społecznego, czy inne jeszcze przyczyny były powodem, dość, że na znak tej pobudki powstał

w kraju ruch niezwykły. Samo lwowskie Towarzystwo Piotra Skargi liczy dziś, po upływie jednego dopiero roku, koło dziewięćset członków a po wsiach i miastach Galicyi powstało 27 kół. We Lwowie istnieje pięć kół, w Krakowie jedno, prócz tego istnieją Koła w Łańcucie, Nowym Sączu, Stanisławowie, Busku, po wsiach, jak w Prusach, Czyżkach, Batorówce, Siemianówce, Sokolnikach, Sichowie i t. d. Zgłoszeń o założenie nowych Kół leży w tej chwili w sekretaryacie kilkanaście a w toku przygotowawczym są organizacye w Samborze, Przemyślu, Stryju, Buczaczu, Czortkowie i Brodach.

Towarzystwo jest więc w pełnym rozwoju i wre w nim praca organizacyjna.

Niemniej ożywioną była działalność na zewnątrz.

Akcyą na szersze zakrojoną rozmiary była walka wypowiedziana pornografii. Wspominaliśmy już o tem w jednym z poprzednich zeszytów, jak umiejętnie zapoczątkowaną była ta akcya. Ułożono kwestyonaryusz, uprzytomniający jak wielkie niebezpieczeństwo tkwi w pornografii i rozesłano go do tysiąca osób, zajmujących wybitne stanowiska w różnych działach pracy publicznej. Odpowiedzi na ten kwestyonaryusz nadesłane, zebrane razem, stworzyły poważną publikacyę. Publikacya ta, mimo pewnych niedomagań, spełniła wielkie zadanie; czytano ją, dyskutowano o niej, pisano o niej w prasie. Zbudziła ona opinię publiczną, otworzyła oczy na grożące niebezpieczeństwo a tem samem była hasłem do skutecznej walki z pornografią. Poszły też za nią dalsze kroki. Towarzystwo Piotra Skargi zwołuje wiec obywatelski do ratusza lwowskiego. Za tym wiecem mają pójść wiece po innych miastach. Rezolucye wiecu lwowskiego stają się punktem wyjścia do interpelacyi sejmowej posła Marszałkowicza, który zebrawszy kilkadziesiąt podpisów posłów wszystkich obozów, zapytuje rząd, co myśli czynić dla obrony społeczeństwa przed zalewem pornografii.

Interpelacya nie pozostała bez skutku. W myśl jej wchodzi namiestnik i przez szereg rozporządzeń, skierowanych do dyrekcyi policyi i do starostw, przykłada skutecznie rękę do usunięcia brudu. Gazeta lwowska, w tym czasie, roiła się w swojej części

urzędowej od wyliczania konfiskat. W ten sposób oczyszczono wystawy sklepów i szuflady handlarzy w całym kraju z rażących nieprzyzwoitości. Pomyślnym również skutkiem skończyły się zabiegi o przyzwoitość księgarni na dworcu kolejowym we Lwowie, nie bez rezultatu też pozostała akcya o przyzwoitość lwowskiego teatru. Walnem natomiast zwycięstwem szczyci się walka przeciw kabaretom, zainicyowana przez młodzież szkół wyższych Lwowa.

Znaną jest powszechnie odezwa tej młodzieży przeciw kabaretom, skierowana do całego społeczeństwa polskiego. Z polotem młodzieńczego zapału i szlachetnego idealizmu zredagowana, nie zamyka się stosunkami Lwowa, ale zwraca się do całego kraju. Warto przypomnieć tu z niej kilka ustępów, które pozostaną wyjątkowym dokumentem do obecnych naszych społecznych stosunków. Oto początek:

»Zawołano: »idźmy z postępem!« i... wprowadzono kabaret!

»Na świecie dokonywują się wielkie przewroty w dziedzinie myśli i urządzeń społecznych, wiedzy, techniki i sztuki, a my dostrzegliśmy, a my przyjęliśmy stamtąd: kabaret, jak gdyby to był właśnie ów najwyższy wykwit cywilizacyi, mający rozbitkom przynieść ocalenie.

»A więc mimo wszystko, pomimo tylu ofiar poniesionych przez naród, pomimo ciężkich prób jego i doświadczeń, pomimo wieszczych nawoływań i przestróg naszych Promienistych, pozostaliśmy »narodów papugą«, naśladującą bezkrytycznie to, co najłatwiej wpada jej do ucha, co dogadza pokutującemu w niej zwierzęciu.

»Skąd wziął się kabaret? Dziecię zbyt swobodnej zazwyczaj szansony, łobuzowskie wyprawiającej harce na paryskim bruku, jest on kwiatem tego bagna, w które ścieka wyuzdanie całej Europy. Tam z dawien dawna podkasywać się lubiała lekkomyślna muza, jedna ze sprawczyń Sedanu, a że wszelka lekkomyślność, wszelkie zepsucie zaraz znajdują naśladowców, przeto zwolna odgłosy jej sięgnęły daleko poza to miasto miast i poza Francyę. Ordynarny Berlin, korzący się przed pikelhaubą, a równocześnie produkujący Eulenburgów, stworzył pod tym możnym wpływem

Über- i *Unter-brettle.* W ślad za nim poszedł i płochy Wiedeń, stąd zaś zaraza dostała się i do nas, pierwszy punkt oparcia znalazłszy w Krakowie.

»Ów Syon polskości, ów relikwiarz narodowy, Kraków-Ateny nasze, dziwne w ostatnich czasach przedstawia widowisko. U stóp Wawelu Piastów wylęgło się pokolenie nowe pisarzy i artystów, którzy straciwszy z oczu wielkie powołanie, doniosłą służbę dla narodu i współobywateli, sądzą, iż niczego bardziej nie potrzeba społeczeństwu, nie potrzeba piśmiennictwu i sztuce, jak zerwania pęt etyki, ba, nawet mniemaćby można zdrowego rozsądku. Pod tchnieniem dekadentyzmu stępiał instynkt samozachowawczy, jakiś obłędny szał porwał chore umysły i pędzi je jak bezwolne roje ciem ku płomiom zagłady!...

»Wiadomo, aż za dobrze wiadomo, co kabaret uczynił z stolicy naszej, Warszawy! Splugawił on cały jej żywot, prawej literaturze odjął czytelników, sztuce opiekę publiczności, teatrowi widzów, sparaliżował pożądany tam tyle ruch towarzyski, podważył nawet najpewniejszą dotąd ostoję, rodzinę. I to jest owa kultura kabaretu...

»Ale zanim zło rozpanoszyć się wśród nas zdoła, chcemy, musimy stawić mu tamy i wypowiedzieć walkę groźnemu intruzowi, tak obcemu we wszystkiem duszy polskiej.

»Bez gestu Hamleta, moralizującego grzeszną matkę swoją, zwracamy się jednak do wszystkich ludzi dobrej woli, do starszych w społeczeństwie, mających moc po temu i do młodych, co ideałom filareckim: »Ojczyzna, nauka, cnota« powinni otwierać na ścieżaj swoje dusze: nie dozwólmy kabaretom i kabareciarstwu zagnieżdżać się u nas, wytępmy chwast ten w zarodku, aby nie dokonał i tutaj spustoszenia podobnego jak gdzieindziej.

»Brońmy serc przed zbeszczeszczeniem, brońmy spokoju i czci jednostek, biczowanych ku dzikiej uciesze rozwydrzonych tłumów, brońmy umysłów przed odjęciem im chęci do oddania się pracy *pro publico bono!*

»My młodzi ku innym obróceni gwiazdom! My nie wyrzekliśmy się wierzeń i nadziei w jasną, lepszą przyszłość narodu i nie abdykowaliśmy z tych haseł, które nieodłączne są od duszy

Polaka. Naszem największem ukochaniem: Polska, wszakże nie Polska zwyrodniałych trefnisiów, przeciągających się niewolniczo w błocie — lecz Polska... czysta! Rozkiełzanie zmysłów, użycie i swawola bez hamulca, śmiech i szyderstwo z wszystkiego i wszystkich, brud, brud powszechny — oto najwierniejsi sprzymierzeńcy ciemiężycieli narodów i ich grabarzy. Stąd niesława i śmierć!«

Odezwę podpisało przeszło 250 słuchaczy szkół wyższych Lwowa, słuchaczy należących do różnych stronnictw politycznych, nawet do różnych wyznań. Kilkudziesięciu tylko z nich należy do Towarzystwa Piotra Skargi; od nich wyszła inicyatywa, redakcya odezwy i agitacya między kolegami. Oni też podjęli się rozszerzania tej odezwy, nie tylko drogą korespondencyi ale i przez bezpośrednie doręczanie, przy wejściu do publicznych lokali, do kościołów, po tramwajach. Wszystko to było przeprowadzone z wielką brawurą i ze sporą dozą obywatelskiej odwagi.

Wyniki tej akcyi nie kazały długo na siebie czekać. Mający powstać we Lwowie kabaret, mimo silnej reklamy i apologii swoich zwolenników nie doszedł do skutku. Dużo jednak większem zwycięstwem było przyjęcie, jakie spotkała odezwa w społeczeństwie. Cała opinia, tak w prasie jak i w rozmowach towarzyskich, przyjęła ją prawie jednozgodnym chórem uwielbienia. Uczyniły to nawet dzienniki, swoją drogą nie bez pewnego ambarasu, które kilka dni przedtem polecały kabaret.

Tkwi w tem moment pierwszorzędnej doniosłości. Młodzież, która w obecnych warunkach najbardziej narażoną jest na pokusę zepsucia, staje się rzecznikiem zdrowia społecznego. Gdy powołane czynniki drzemią albo nawet przyczyniają się do moralnego rozkładu, pada hasło samoobrony stamtąd, skądby go najmniej oczekiwać można. W ostatnich latach widziało się niejednokrotnie młodzież różnych krajów, występującą z pewną inicyatywą na widownię. Były to jednak zazwyczaj, jak na uniwersytetach austryackich lub po ulicach Rzymu, awantury, inscenizowane i kierowane przez ukrytą rękę tego lub owego stronnictwa politycznego. Prawdziwym wyjątkiem społecznym jest samodzielny a tak górny i szlachetny czyn młodzieży lwowskiej.

Towarzystwo, które w tym zamiarze organizuje młodzież i w tym duchu ją kształci, zdobywa sobie wielką zasługę społeczną. I gdyby nic więcej, jak tę organizacyę młodzieży, miało za sobą Towarzystwo Piotra Skargi, to jak na rok istnienia, miałoby za sobą bardzo chlubną przeszłość.

II.

Tymczasem liczne, bardzo liczne, są czyny i owoce działalności tego nowego Towarzystwa. Tak liczne i tak w różnych zakresach, że stać nas tylko na ogólnikowe ich wyliczenie.

I tak, podjęło się Towarzystwo wydawnictwa aktualnych broszur. O publikacyi antypornograficznej już wspominaliśmy. Prócz tego wydano już trzy broszury. Pierwsza z nich »Piotr Skarga« kreśli portret patrona Towarzystwa, w świetle naszych stosunków narodowych. Druga »Czerwone prawdy« jest próbą polemiki z hasłami i czynnością destrukcyjną partyi kosmopolitycznej, atakującej podstawy wiary i ideały narodowe. Trzecia, z okazyi zbliżającego się jubileuszu, poświęcona jest Grunwaldowi. Prócz tego, w przygotowaniu jest kilka innych rzeczy, jak broszura »Nowy rozbiór Polski«, jak wydawnictwo kalendarzowe. Doniosłym jest zamiar Towarzystwa, by, stosownie do wymogów chwili, wydawać tak zwane kartki ulotne, któreby się rozrzucało bezpłatnie w setkach tysięcy egzemplarzy po całym kraju. Również doniosłą jest akcya, będąca obecnie w pełnym toku, o założenie tygodnika, pojętego bardzo poważnie i bardzo szeroko. Tu także należy wspomnieć o mądrej inicyatywie Koła krakowskiego, które zajęło się ułożeniem rozumowanego katalogu książek, nadających się do polecenia już to bibliotekom kół miejscowych Piotra Skargi, już to wogóle czytelniom, liczącym się ze zdrowiem społecznem.

Wiedząc z doświadczenia, jak trudno, szczególniej w warstwach niższych rozpowszechnić wydawnictwa »niesenzacyjne« i mając głównie na celu propagandę zdrowej strawy duchowej, podjęło Towarzystwo nie tylko same wydawnictwo, lecz urządziło także we Lwowie w lokalu głównego Zarządu, oraz w innych

kołach miejscowych dozwolony kolportaż swych dziełek oraz wszelkich innych wydawnictw polskich o wybitnych celach narodowych lub katolickich. Dość pokaźną cyfrę dziełek oddano kramarzom i kościelnym do rozsprzedaży a Koło Pań w Krakowie oddało wiele dzieł katolickich i narodowych Kółkom rolniczym w komis, wiele zaś pań po wioskach urządza własne kramy. Prócz tego uzyskano bardzo silne poparcie u rad szkolnych miejscowych, które zaopatrują biblioteki nauczycielskie w dziełka Skargowskie. W ten sposób rozsprzedano już przeszło 30.000 egzemplarzy. Główny ich skład objęła ruchliwa firma Feliksa Westa w Brodach.

Nadmienić tu jeszcze wypada, że Towarzystwo postanowiło wprowadzić w życie już w niedalekiej przyszłości — naszem zdaniem — szczęśliwy pomysł wzmocnienia kolportażu za pomocą wozów wysyłanych z odpustu na odpust, od sioła do sioła lub mniejszych prowincyonalnych miasteczek. W ten sposób rozeszło się już między ludem — w samym powiecie łańcuckim — dzięki staraniom tamtejszego Koła miejscowego — kilkanaście tysięcy rozmaitych broszur. Również Koło łańcuckie założyło osobną księgarnię w jednym ze sklepów katolickich z broszurami i książkami treści społecznej, filozoficznej i apologetycznej. W księgarni tej w czasie kilku miesięcy sprzedano 314 dzieł za kwotę 378 k. 62 hal.

Nie przepomniało także Towarzystwo sprawy bibliotek.

Ponieważ tworzenie bibliotek stałych we wszystkich kołach miejscowych, nie rozporządzających odpowiednimi funduszami, szczególniej po wioskach i podmiejskich przysiółkach byłoby na razie wprost niewykonalne i trudno wymagać od naszego biednego ludu, by większe kwoty łożył na zakupno znaczniejszej ilości, choćby najtańszych dziełek, wprowadził główny Zarząd w celu chwilowego zaradzenia zapotrzebowaniu książek tak zwane »biblioteki ruchome«, zastępujące miejsce stałej książnicy«.

W odpowiednio ku temu celowi urządzonych kufrach wysyła się pewną ilość książek i broszur, starannie i odpowiednio do poziomu wykształcenia i potrzeb kulturalno-ekonomicznych dobranych, do danej miejscowości. Po pewnym przeciągu czasu

przewozi się ten kufer dalej do innego sioła, na jego zaś miejsce przybywa drugi z nowemi książkami o typie wyższym i t. d. Kufrów takich puszczono w ruch kilkanaście i wywołano zainteresowanie się wśród czytających nadzwyczajne.

Ubolewać tylko należy, że dla braku funduszów nie może Towarzystwo pochlubić się przynajmniej setką takich wędrownych książnic, zwłaszcza, że koszt urządzenia jednego kufra nie jest zbyt wielki, wynosi bowiem przeciętnie 150 k.

Mimowoli nasuwa się pytanie: Czyżby całe nasze społeczeństwo katolickie nie znalazło pośród siebie stu fundatorów!?

Zaznaczyć wreszcie wypada, że Towarzystwo założyło t. zw. fundusz groszowy bibliotek ruchomych, na który składają się dary i opłaty za wypożyczenie książek z biblioteki sodalicyjnej po 2 h. od książki. Prócz tego postanowiono zakładać w miarę możności stałe książnice po miejskich kołach Skargowskich. Mają to być biblioteki publiczne, zaopatrzone w doborowe książki i broszury oraz czasopisma, aby w ten sposób oderwać nie tylko najbiedniejszą ludność miejską lecz i średnie warstwy intelligentne od nieodpowiedniej lektury.

Zajęło się także Koło Pań w Krakowie biblioteką więzienną. Przeglądnięto dokładnie wszystkie tam znajdujące się książki, wyeliminowano nieodpowiednie i uzupełniono braki tak w kierunku etyczno-religijnym, jak i ekonomiczno-społecznym. Wkrótce otoczy Towarzystwo Skargowskie ciągłą opieką wszystkie biblioteki wydziedziczonych!

A teraz kilka słów o domach ludowych. Wobec tego, że do dnia dzisiejszego nie mamy zorganizowanego środowiska życia katolicko-polskiego, poczyniło w ostatnich miesiącach Towarzystwo starania o utworzenie na razie w kilku miejscowościach, zwłaszcza po wsiach »domów ludowych« imienia Piotra Skargi. Celem takiego domu byłoby przedewszystkiem przetopienie w jednolitą, spoistą całość zbyt często rozbieżnej dotąd działalności dworu, szkoły, księdza i ludu.

Dom ludowy winien się składać z kilku ubikacyi, o ile możności z sobą niepołączonych, a umieściłby w nim można katolicki sklepik, kasę Raiffeisena, ochronkę dla dzieci, ambulatoryum,

Koło Piotra Skargi z sekretaryatem i biurem ludowem, oraz obszerniejszą salką czytelnianą, gdzieby się mogły odbywać przedstawienia amatorskie i t. d. W większych wioskach wskazanemby było założenie w domu ludowym gospody chrześcijańskiej.

Prócz tego powinnyby koła Towarzystwa oświaty ludowej i szkoły ludowej — tam gdzie one istnieją — znaleźć pomieszczenie w sali czytelnianej.

A teraz zarys życia intellektualnego w takim domu!

Skoro tylko nastaną wieczory zimowe, schodzą się, zachęceni przez zarząd koła Piotra Skargi i pod jego nadzorem włościanie, by przeczytać wspólnie czy to czasopisma bieżące, czy też dziełka z biblioteki ruchomej. Od czasu do czasu odbywają się odczyty ze swobodną pogadanką na temat aktualny. Godziwa zabawa, gry towarzyskie, jak np. fortunka, domino, winny obok oświaty znaleźć aprobatę zarządu. Przy grach o ile ma się styczność z pieniądzmi — należałoby wygraną obracać na potrzeby gospodarcze członków koła. Chóry włościańskie, przedstawienia amatorskie, obrazy świetlne wraz z czytelnią, wypełnią w zupełności długie wieczory zimowe i odciągną ludność od karczmy, będącej obecnie siedliskiem wszelkiej deprawacyi fizycznej i moralnej. Samo przez się rozumie się, że z nadejściem wiosny i lata, skoro zaczną się roboty w polu, zebrania wieczorne w czytelni nie będą się cieszyły tak licznym udziałem członków jak w zimie. Dlatego nie należy je zbyt często urządzać w lecie; w każdym jednak razie powinno być w niedziele, w dnie świąteczne i uroczyste w czytelni gwarno i rojno.

Czytelnia domu ludowego winna być stałem ogniskiem ruchu umysłowego i społecznego. Zarząd koła miejscowego powinien korzystać z pogodnych dni świątecznych, urządzać zabawy na wolnem powietrzu, wycieczki, przechadzki po drożynach polnych, połączone z pouczającymi wykładami z dziedziny gospodarskiej. Wskazanemby było również wprowadzenie ćwiczeń gimnastycznych oraz kręgieln własnych.

W ten mniej więcej sposób zogniskowane życie po domach ludowych rozwijać się będzie zwolna, lecz statecznie i wydać może plon niemały. Lud w ten sposób prowadzony i zorganizo-

wany, mając wpojone ono wielkie hasło: »Bóg i Ojczyzna«, odeprzeć zawsze zdoła wszelkie zakusy wrogie katolicyzmowi i polskości!

Wspomnieć jeszcze należy, że w prowadzeniu domów ludowych po miastach i miasteczkach muszą być odpowiednie zmiany, lecz nie wielkie.

By uniknąć ewentualnego pytania, z jakich funduszów mają powstać domy ludowe, Towarzystwo żywi przekonanie, że wyłącznie siłami miejscowemi. Każdy dwór posiada we wsi jakiś nieużytek — niech go odstąpi Towarzystwu i przyczyni się do budowy materyałem budowlanym, a włościanie mogą w wolniejszym czasie zwieźć je i zaciągnąć pożyczkę zaraz po położeniu fundamentów. Dobrowolne składki pomogą, tylko trochę dobrych chęci i zrozumienia należytego sprawy. Wkładki miesięczne do koła wystarczą zupełnie na pokrycie administracyjnych wydatków.

Tam, gdzie dworów niema, muszą sami włościanie pomyśleć o gruncie pod dom, a główny zarząd Towarzystwa będzie musiał w takim razie przedewszystkiem takim kołom iść z pomocą. Pomoc ta jednak będzie całkiem naturalnie zawisłą od poparcia społeczeństwa!

Pomijamy już cały szereg zebrań i odczytów stale urządzanych przez Towarzystwo po całym kraju, jakoteż liczny poczet innych pomniejszych prac i zamiarów Towarzystwa Nie można jednak przepomnieć takiej instytucyi, jak szkoła prelegentów i agitatorów. Szkołę taką założono w łonie koła lwowskiego; główny kontyngent szkoły stanowi młodzież akademicka. Członkowie zbierają się regularnie co tygodnia na naukę, prowadzoną w formie seminaryum, podczas którego ćwiczą się naprzemian w wymowie i przedkładają swoje referaty do krytycznej oceny. Od czasu do czasu odbywają się dla prelegentów specyalne wykłady z dziedziny społecznej lub o tematach religijnych i narodowych. Oczywiście, że taka szkoła może mieć wielką doniosłość w przyszłem działaniu Towarzystwa na szerokie masy. Pewien rezultat tej szkoły okazał się przed kilka miesiącami, kiedy Towarzystwo Skargi, urządzało we Lwowie obchód grunwaldzki. Równocześnie

w dwunastu szkołach miejskich wygłosili akademicy Towarzystwa odczyty.

Ci sami akademicy pracują w innej szkole, założonej przez Towarzystwo Skargi, w szkole dla analfabetów. Już kilkudziesięciu uczniów i uczennic zawdzięcza tej szkole umiejętność czytania i pisania. Obecnie wniesiono prośbę do Rady szkolnej o subwencyę dla tej szkoły.

Doniosłą także instytucyą jest biuro ludowe, udzielające bezpłatnie objaśnień i porad we wszystkich sprawach życiowych i administracyjno-prawnych. Biura takie, założone początkowo w sekretaryacie głównego zarządu a potem i w zamiejscowych kołach miejskich, w krótkim stosunkowo czasie załatwiły kilkadziesiąt spraw.

Kończąc na tem przegląd działalności jednorocznej Towarzystwa, odbieramy instynktownie wrażenie jakiegoś nowego społeczeństwa w społeczeństwie, które ustaliwszy się w szeregu placówek a szereg nowych placówek przygotowując, z dniem każdym rośnie w siłę i we wzrost działalności. Własne wydawnictwa Towarzystwa, własne księgarnie, biblioteki, szkoły, domy ludowe, kursy oświatowe, różnego rodzaju biura, te i tym podobne instytucye dźwigają z podstaw gmach *civitatis Dei.*

III.

Mówiąc z ludźmi, pracującymi we lwowskiem Towarzystwie Skargi, rozglądając się po dziełach Towarzystwa, odnieśliśmy dodatnie wrażenie, jakiejś instynktownej, pierwotnej siły, która podobnie jak siła przyrody wyładowuje się na wszystkie strony z pewną zapamiętałością, graniczącą może nawet z zapominaniem na własną celowość. Mieliśmy ciągle przed oczyma cel Towarzystwa, który w statucie opiewa krótko: «celem stowarzyszenia jest krzewienie i popieranie polskiego katolickiego piśmiennictwa w kraju» — a raz po razu spotykaliśmy się w tem, co już Towarzystwo zrobiło jak i w tem, co robić zamierza z pewnem wykraczaniem poza granice tego celu. Takie, naprzykład biura ludowe nie dadzą się chyba pod cel statutu podciągnąć. Pewne światło, jak cel ten poj-

mowali założyciele Towarzystwa, rzucają środki, jakie statut podaje. Dla dokładności, jak też i dla informacyi ogółu, przytoczymy je. Środki te są:

a) urządzanie zebrań stowarzyszenia we Lwowie, w Krakowie lub w innych miejscowościach kraju dla członków stowarzyszenia;

b) urządzanie odczytów i konferencyi o sprawach stowarzyszenia oraz odpowiednich publicznych, popularnych naukowych wykładów;

c) urządzanie kursów katolicko-społecznych;

d) wydawanie, popieranie i rozszerzanie katolickich pism czasowych, broszur i pism ulotnych, książek i odpowiedniej korespondencyi za pomocą krajowego biura korespondencyjnego katolickiego;

e) zakładanie i popieranie czytelni, w porozumieniu z już istniejącymi podobnymi stowarzyszeniami katolickimi, albo niezawiśle od nich;

f) prowadzenie drukarń i księgarń po uzyskaniu zezwolenia potrzebnego;

g) zakładanie biur inseratowych;

h) zaopatrzenie katolickich pisarzy na wypadek starości lub choroby;

i) zakładanie księgozbiorów;

k) porozumiewanie się z pokrewnymi stowarzyszeniami w państwie;

l) wyjednywanie u władz i instytucyi publicznych pomocy dla polskiego katolickiego piśmiennictwa.

A więc i rubryka środków nie usuwa naszej wątpliwości.

Nie przywiązujemy jednak do tej uwagi większej wartości. Nie przeczymy, że wydawałoby się nam korzystnem, gdyby członkowie Towarzystwa na przyszłem walnem zebraniu, przeglądając dotychczasowy obfity plon działalności, zwrócili uwagę i na ten moment i rozszerzyli odpowiednio ramy statutu. Byłaby to tylko kwestya formalności prawnej. Jedno jednak jest niezbędne. Oto, gdy Towarzystwo z działalności ściśle oświatowej przechodzi na szersze pole działalności oświatowo-społecznej i to w różnych

zakresach, konieczną jest rzeczą, ażeby każdy zakres powierzany był szczególnej i odrębnej sekcyi. Specyalizacya pracy i specyalizacya organizacyi jest dzisiaj nieodzownym warunkiem udania się pracy. Oczywiście, poszczególnemi temi sekcyami kierowałby dzisiejszy naczelny zarząd Towarzystwa.

Myśl tę o sekcyach, samodzielnie zorganizowanych, tem śmielej poruszamy, że wprowadziło ją już w życie Koło krakowskie Piotra Skargi. Rozpada się ono na pięć sekcyi: sekcya prasowa, anty-pornograficzna, biblioteczna, sekcya propagandy Towarzystwa Skargi i sekcya gospodarcza. Każda z tych sekcyi rządzi się własnym statutem. Swoją drogą, powstaje stąd nowa kwestya co do ewolucyi statutu ogólnego, kwestya dokładnego określenia autonomii poszczególnych kół i sekcyi.

Dodajmy na zakończenie, że ta potrzeba ewolucyi statutu świadczy najlepiej o ewolucyi sił Towarzystwa.

Czy Towarzystwo Piotra Skargi będzie tą ostateczną formacyą, która wprowadzi w naszym kraju panowanie idei chrześciańsko-społecznej, czy będzie tylko formacyą pośrednią, pytanie to dla ludzi dobrej woli nie przedstawia znaczenia. Byle ta ziemia obiecana raz kiedyś była zdobytą. A że Towarzystwo w tym kierunku idzie, że ożywia je silny duch, że droga jego znaczy się zwycięstwami i że niejedno jeszcze zwycięstwo będzie na jego drodze, to wyższe jest nad wszelką wątpliwość.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Nad trumną Luegera. Przez *ks. Arcybiskupa Teodorowicza*	1*—19*
Zwyrodnienie młodzieży i środki zaradcze. Rzecz przedstawiona na podstawie spostrzeżeń i doświadczeń radcy opiekuńczego	1
Z powodu dzieła księdza Chotkowskiego. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	9
Dr. Matija Murko i jego dotychczasowa działalność naukowa. (Dok.) Przez *Tad. Stan. Grabowskiego*	26 206
Ostatnie dziesięciolecie archeologii chrześcijańskiej. (Dok.) Przez *ks. Karola Felisia T. J.*	41
Darwin i jego dzieło. (Dok.) Przez *ks. Fryderyka Klimkego T. J.*	51
»Civitas Dei« w epoce Karola Wielkiego. Wielkie gospodarstwa rolne i handel. (C. d.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	62
Towarzystwo Piotra Skargi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1
Prof. Tadeuszowi Wojciechowskiemu:	
Od Redakcyi »Przeglądu Powszechnego«	129
Dr. Antoni Prochaska	131
Dr. Adam Miodoński	135
Trzechsetny jubileusz Bonifratrów w Krakowie. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	144
Z postępów awiatyki i aeronautyki. Przez *ks. Józefa Sawickiego T. J.*	159 314
Neoslawizm. Przez *prof. Włodzimierza Czerkawskiego*	172 324
Zjazd kobiet katolickich we Wiedniu. Przez *Maryę Ruszczyńską*	181
Walka o Home Rule. Przez *Ch. Schoonjansa T. J.*	194
Dwa wzgórza Polski. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1

Str.

GRUNWALD W POEZYI POLSKIEJ. Szkic literacki. Przez *d-ra Wiktora Hahna* 257
NOWY TYP SZKÓŁ ŻEŃSKICH. Przez *M. Ruszczyńską* . 277
WAŻNE ODKRYCIE NA POLU STAROCHRZEŚCIJAŃSKIEJ LITERATURY. Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 288
Z PRZYSZŁEGO TOMIKU POEZYI: Niewolnicy. O Dobry. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską* 311
KURS INSTRUKCYJNY O SZTUCE KOŚCIELNEJ. Przez *ks. Ludwika Rudnickiego T. J.* 342

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z POWODU UWAG D-RA W. KĘTRZYŃSKIEGO O AUTORZE I TEKSCIE NAJDAWNIEJSZEJ KRONIKI POLSKIEJ. *(Dr. Adam Miodoński)* . 75
UNIA. Powieść litewska. Józef Weyssenhoff *(Paweł Popiel)* 81
BOSKA KOMEDYA. Dante Alighieri. Przełożył E. Porębowicz. Wydanie nowe, przerobione. *(Ks. Antoni Zawistowski)* 228
NAUKI KATECHIZMOWE. KS. PRYMAS WORONICZ. Ks. dr. Jougan. *(Ks. J. Rejowicz T. J.)* 237
Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ. Wrażenia i notatki. Wł. St. Reymont. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 354
Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII. Ks. S. Kobyłecki T. J.: »Postulaty psychologii doświadczalnej«. — Tenże: »Metafizyka w psychologii«.— Tenże: »Über die Wahrnehmbarkeit plötzlicher Druckveränderungen«. — Otto Menderer: »Raumtäuschungen des Tastsinns bei anormaler Lage des tastenden Organe«. *(Prof. dr. M. Straszewski)* 356

Z piśmiennictw obcych.

LA LUMIÈRE INVISIBLE. Robert-Hugh Benson. *(Marya Harsdorf)* . . 87
SCHRIFTEN DER ZENTRALSTELLE FÜR WOHNUNGSREFORM IN OESTERREICH. *(Dr. Zygmunt Gargas)* 92
DIE OSTEUROPÄISCHEN LITERATUREN UND DIE SLAVISCHEN SPRACHEN von A. Bezzenberger, A. Brückner, V. von Jagić, J. Máchal, M. Murko, F. Riedl, E. Setälä, G. Suits, A. Thumb, A. Wesselowsky, E. Wolter. (Die Kultur der Gegenwart. Ihre Entwicklung und ihre Ziele. *(Dr. St. Dobrzycki)* 239
OPIŚ MUZEJA STAWROPIGIJSKAWO INSTITUTA WO LWOWIE. Swiencickij I. S. *(Dr. St. Zdziarski)* 245
UKRAINŚKO-RUŚKIJ ARCHIW, wydaje istoryczno-filosoficzna sekcija Naukowoho Towarystwa imeny Szewczenka. Tom IV. Materijały do istoriji hałyćko-ruśkoho szkilnyctwa XVIII i XIX ww., wydani pid redakcijeju Stefana Tomaszywśkoho. *(Dr. St. Zdziarski)* 369
ZAPYSKI NAUKOWOHO TOWARYSTWA IM. SZEWCZENKA. T. LXXXVIII. *(w. i.)* 373

Zapiski bibliograficzne.

NOWE SZKOŁY W ANGLII, FRANCYI, NIEMCZECH I SZWAJCARYI — ich geneza i organizacya. Szkic z podróży. Józef Lewicki. *(W. B.)* . 97

Str.

PAMIĘTNIKI OBEJMUJĄCE OKRES OD R. 1863 DO 1908. Poprzedzone wspomnieniami z lat dziecinnych. Ks. Leon Postawka. *(W. B).* 97

JAK MOŻNA WYLECZYĆ SUCHOTY. Napisał D. Dmyterko, nauczyciel c. k. seminaryum. *(Zet)* 97

ŻYWOT I DZIEŁA WIEL. SŁUGI BOŻEGO BARTŁOMIEJA HOLZHAUSERA. Ks. dr. J. Górka. *(St. B.)* 97

LUD POLSKI I RUSI WŚRÓD SŁOWIAN I ARYÓW. Dr. Michał Żmigrodzki. Księga I. Obrzędy weselne. *(St. B.)* 98

BOŻE STOPKI. Archeologia i folklor kamieni z wyżłobionemi śladami stóp. Maksymilian Baruch. *(Zet)* 98

Z NIZIN. Emilia Topas-Bernsztajnowa. *(R. Ch.)* 99

REICHTHUM UND EIGENTHUM IN DER ALTCHRISTLICHEN LITERATUR. Von O. Schilling. *(K.)* 99

MANUEL D'ÉCONOMIQUE POLITIQUE. Jos. Schrijvers. *(C.)* 100

DIE INSPIRATIONSLEHRE DES ORIGINES. Von Dr. Theol. August Zöllig. *(L. B.)* 100

ST. AUGUSTINS SCHRIFT DE CONSENSU EVANGELISTARUM unter vornehmlicher Berücksichtigung ihrer harmonistischen Anschauungen. Dr. Heinrich Vogels. *(L. B.)* 100

KRÓL POWIETRZA. Powieść z najbliższej przyszłości. L. Szczepański. WOJNA W PRZESTWORZU. Powieść z niedalekiej przyszłości. H. Wells. BŁĘKITNA FLOTA. E. G. Seeliger. *(Ks. W. W.)* 247

Z DZIEJÓW PUŁKU. Pułk dwunasty piechoty Ks. Warsz. St. Ostrowski. *(Ks. W. W.)* 248

BYLI I BĘDĄ. Pow. z niedawnej przeszł. M. Rodziewiczówna. *(Ks. W. W.)* 248

JASKÓŁCZYM SZLAKIEM. Powieść. M. Rodziewiczówna. *(Ks. W. W.)* . 248

PIERŚCIEŃ Z AMETYSTEM. A. France. *(Ks. W. W.)* 248

ZBRODNIA W ZAMKU. M. Leblanc. *(Ks. W. W.)* 248

NA SKALNEM PODHALU. K. Przerwa-Tetmajer. V. *(Ks. W. W.)* . . 249

WESOŁE OPOWIADANIA. Dr. M. S. Z rosyjsk. *(Ks. W. W.)* 249

GENEZIS Z DUCHA. MODLITWA. J. Słowackiego (obraz duszy poety) K. Wróblewski. *(W. B.)* 249

SCHWESTER MARIA VOM GÖTTLICHEN HERZEN DROSTE ZU VISCHERING. Ordensfrau vom Guten Hirten. Von L. Chasle. *(M. H.)* 249

DAS LEBEN DER ALLERSELIGSTEN JUNGFRAU UND GOTTESGEBÄRERIN MARIA, mit einem Anhange von Gebeten. Von Fr. A. Schmid S. J. *(M. H.)* 250

GŁOSY NA CZASIE. — TOWARZYSTWO IM. PIOTRA SKARGI. — ODCZYTY I BROSZURY POPULARNE DLA TOWARZYSTW POLSK. Nr. 22—34. PRZEWODNIK PO OKOLICACH KRAKOWA. Dr. Klem. Bąkowski. PRZEWODNIK PO SANDOMIERZU z dokł. planem. Ks. J. Rokoszny. PRZEWODNIK PO POZNANIU I W. KS. POZNAŃSKIEM. K. Kościński. — PRZEWODNIK PO MUZEUM IM. XX. LUBOMIRSKICH WE LWOWIE. — XIV ROCZNIK WYDAWNICTWA IZBY HANDL. I PRZEMYSŁ. W KRAKOWIE. — CZTERDZIEŚCI LAT PBZEŚLADOWANIA UNII NA PODLASIU. — MŁODZIEŻ POLSKA W UNIWERSYTECIE KIJOWSKIM PRZED R 1863. M. Dubiecki. — ZAMEK W BRZEŻANACH z planem z roku 1755. Dr. M. Maciszewski. — WIELKI APOSTOŁ BŁ. JAKÓB STREPA, arcyb. lwowski. Ks. bisk. W. Bandurski. — ŻYWOT ŚW. ANTONIEGO Z PADWY. Ks. Euz. Stateczny. — WOJNA R. 1809 M. Sokolnicki *(St. B.)* 376

KIEDY SIĘ URODZIŁ JULIUSZ SŁOWACKI? Kilka uwag hist.-prawnych o dacie urodzin poety. L. Méyet. *(N. T)*. 378

AUS DEM MUSIKLEBEN DER GEGENWART. Beiträge zur zeitgenössischen Kunstkritik von L. Schmidt. *(Dr. A. Ch.)* 378

KWASORYT (akwaforta). Z podręczników francuskich zestawił Józef Ruffer. *(N. B.)* 379

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Str.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Z francuskich kłopotów. — Z liberalnego obozu w Belgii. — Liberalizm angielski przeciw katolikom. — Fanatyzm antykatolicki we Włoszech. — Kłopoty liberalne w Holandyi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 102
CHRISTLICHE KUNST. Przez *Maryana Strzembosza* 111
PRZEGLĄD MUZYCZNY. Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* 115
LISTY Z WARSZAWY. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 119

MAJ.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Ruch rekolekcyjny. — Kölnische Volkszeitung i jej jubileusz 50-letni. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 251
KRAKOWSKA RADA OPIEKUŃCZA 261
SPOŁECZNA DZIAŁALNOŚĆ POLSKIEGO ZWIĄZKU KATOLICKICH UCZNIÓW RĘKODZIELNICZYCH W KRAKOWIE ZA ROK 1909 266
Z OKAZYI KOMETY HALLEYA. Przez *ks. K. Konopkę T. J.* 269
KONKURS TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI 273

CZERWIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Hiszpania a stuletnia rocznica urodzin Jakóba Balmesa. — Episkopat francuski i »Sillon«. — W sprawie Cerkwi ruskiej w Galicyi. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 380
ELIZA ORZESZKOWA. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 393
CHRISTLICHE KUNST. Przez *Maryana Strzembosza* 396
PRZEGLĄD MUZYCZNY. Przez *d-ra A. Chybińskiego* 401
ZWIĄZKI ANTYPORNOGRAFICZNE. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . 404

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.